

Infantka





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Infantka

Infantka

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
(ANNA JAGIELLONKA)

KSIĘGA PIERWSZA. NADZIEJE

Na niebiosach i w kalendarzu była wiosna, ale na zamku warszawskim smutek tak ponury i przygniatający oblekał twarze, zdawał się nawet na szarych murach jego odbijać, jak gdyby świat późną jesienią obumierał.

Ta sprzeczność pomiędzy obrazem natury a obliczem ludzi, wyraziściej jeszcze dawała czuć troskę, która ich uciskała.

Na kogo spojrzeć było, co się o uszy obijało, tchnęło goryczą jakąś i zwątpieniem, wszystko i wszyscy. Wyjątek jedyny stanowili może parobcy i czeladź, która z rozprężenia korzystała, aby broić bezkarnie.

Był wieczór, dzwony odzywały się leniwo, posępnie, opieszale i żałośliwie na pacierz wołając, który dzień miał zakończyć.

Okolo zamku snuły się postacie zadumane, powolnymi krokami mierzące podwórze, patrzące przed się osłupiałymi oczyma.

Nikt nie śmiał raźniej podnieść głosu, szeptało jakby się obawiano dźwięku własnej mowy. Od miasta też, już o tej porze zabierającego się do spoczynku dochodziły tylko szmery głuche, których znaczenia rozemnać było trudno.

W powietrzu powiew wiosenny niekiedy przynosił woń od lasów rozwijających się, od wezbranych wód Wisły, od łąk pierwszemi okrytych kwiatami.

Niebo zwolna zrzucalo z siebie jaskrawe blaski wieczora, i przywdziewalo plową szatę nocną, na której gdzieniegdzie już blade starsze gwiazdy, wybiegłe naprzód jak na zwiady, przyswiecały.

W dolnych krużgankach wewnętrznych zamku mało było widać ludzi. Niekiedy przesuwali się dworzani w barwie królewskiej, starszy komornik lub nędznie odziany stróż z wiadrem wody, z wiązką drzewa do kuchni.

U słupa jednego na ławie, spoczywał niemłody mężczyzna zmęczony, pot ocierając z czoła, z twarzą pooraną i ciemną, a jak noc smutną.

Z sukni trudno się było domyślać kim był, odzież bowiem miał skromną, szarą i nie wyglądał na pana, ale obliczem, na które padał odbłask wieczora, mógł stać choćby pomiędzy senatorami, tak było poważne i wyszlachetnione.

Twarz jego nosiła na sobie znamiona stoczonych bojów ciężkich, po których pozostaje znużenie, ale nie zgrzyzota. W smutku widać było pokój sumienia, który daje żywot poczciwy.

Spoczywał, ale nawet w tej chwili myśl jego pracować musiała. Najmniejszy szmer oczy zwracał i uwagę. Stał na czatach. Kilka razy poruszył się, jakby chciał powstać i pozostał na miejscu.

Mimowoli, bezwiednie, w takt myśli, które po głowie jego przebiegały, stary ręce podnosił, ramiona dźwigał, głowę potrząsał i siedział potem kamiennie nieruchomy.

Ważył w sobie coś i rozważał, a tak był przejęty troską swą, iż nie postrzegł i nie usłyszał gdy wolnym krokiem idący krużgankiem mężczyzna, prawie tego samego wieku, ale rzeźwiejszy i żywszy, zbliżył się ku ławie i ku niemu.

Dopiero gdy mu światło z zachodu sobą zasłonił przychodzący, podniósł zwolna głowę.

Pozdrowili się milczący ruchem rąk i głowy, jakby im obu na słowo się zdobyć było trudno.

Przybywający, na którego padło światło od podwórza, wyglądał bardzo rycersko. Choć nie miał na sobie ani zbroi, ani żadnej oznaki wojaka, można było poprzysiądz, iż w służbie żołnierskiej spędził życie.

Twarz na podziw była mimo wieku piękna i szlachetnych rysów, czysto polskich; siwiejący wąs spuścisty okrywał mu wargi i niemal na piersi spadał. Strój miał starodawnego kroju, niewytworny, co w owym czasie nie było pospolitem bo się wszyscy radzi cudacko przebierali.

— A co? oboźny mój — odezwał się stłumionym głosem przybywający — a co? nie masz tam jakiej pocieszającej nowiny, którąbys mnie odżywił?

Oboźny króla Augusta, Karwicki, ręce na kolanach leżące załamał, podniósł głowę i westchnął ciężko.

— A! rotmistrzu mój, panie miły — rzekł ponurym głosem grobowym — pod te czasy nieszczęśliwe zład co dobrego wziąć? Zdaje się, iż Opatrzność, w niezgłębionych swych wyrokach nad naszymi głowami i nad tem nieszczęśliwym królestwem skupiła wszystkie klęski, jakie tylko ludzi trapić mogą.

Rotmistrz Bieliński na westchnienie odpowiedział westchnieniem.

— Pomnijcie na to — odparł spokojnie — iż ona Opatrzność krzyże zsyła tym, których Bóg miłuje, i że one są próbą cnoty. Narzekać nadaremna rzecz i niemężka. Jak na wojnie, panie oboźny, na czatach stać z różańcem i szablą, to jest z wiarą w Boga i w siły własne.

Karwicki oboźny podniósł oczy niebieskie, zbladłe wiekiem i dziś szare, usta mu się skrzywiły i z piersi znowu wydobyło się mimowoli westchnienie.

— Nie dziwuj się, że człowiek stęknie, rotmistrzu — rzekł. — Brzemie okrutne, pod czas głowę stracić można.

Bieliński zamilkł, snadź i on czuł to brzemie.

— Cóż z królem, panem naszym miłościwym — zapytał po chwili — co mówią lekarze?

— Pan Stanisław Fogelweder i Niemiec Ruppert jedno pono prawią — odpowiedział oboźny, obok którego zajął miejsce na ławie rotmistrz Bieliński. — Z królem źle jest, bardzo źle, a leki i lekarze co pomogą, gdy kto życia nie szanuje?

— Zaprawdę — przerwał rękę podnosząc Bieliński — i ja tak trzymam. Ciało żaden lekarz nie poradzi, gdy dusza choruje i radaby uciec z niego. Wszak ci to męczennik!

— A tak! — potwierdził gorąco Karwicki — któż to lepiej wie nad nas, cośmy w służbie jego oddawna i smutną tę historję znamy. Ci co zdaleka patrzą, mogą obwiniać, sarkać, zadawać mu, że własną winą w to popadł, ale my wiemy, iż się stał ofiarą losu jakiegoś, który go chyba od kolebki ściagał. Lepszego i szlachetniejszego człowieka, większego serca monarchy na świecie chyba nie znaleźć, a oto jak ginie marnie, pamięci nawet po sobie nie zostawując, na jaką zasłużył. O Boże!

Śluchając z głową ku mówiącemu zwróconą, rotmistrz słowo każde chwycił bacznie.

— Nie nam go sądzić — rzekł — biedny pan! biedny pan!

Karwicki z wielką żywością zwrócił się do rotmistrza.

— Wy go lepiej znacie — rzekł — ale drudzy? Sądzą go z tego co teraz czyni, gdy już sobą prawie nie władnie, a nie patrzą na to, co go do tego stanu przywiodło.

— Jesteż już tak źle ze zdrowiem? he? — zapytał Bieliński.

— Gorzej nie może być — odparł oboźny — ręce i nogi chiragra i pedogra trapią, wewnątrz boleści cierpi, a najgorzej z umysłem. Troski go jedzą, sam już nie wie co czyni.

— A! bracie miły, wiele on ich sobie sam przysporzył — rzekł, zniżając głos, Bieliński — ale, prawda, i ludzie mu ich przynieśli wiele.

Zawahawszy się nieco, rotmistrz dodał.

— Aleby wam z Warszawy potrzeba już precz, póki czas. Morowe powietrze dokoła ją opasuje. W Okuniewie ludzie padają jak muchy, a pono i tu po przedmieściach i w samym mieście śmierci przypadków było wiele, które mór już, już wciskający się zwiastują. Nie odkurzają go żadnym dymem.

— Tać wybieramy się zład, acz nie wiem dokąd — rzekł Karwicki oboźny. — Z chorym panem jechać troska też będzie niemała. Siedzieć, choćby w najwygodniejszej kolebce, nie będzie mógł; nieść się nie da, chyba go z łóżem na wóz postawimy, a po naszych drogach taki wóz nie wszędzie przejdzie bez szwanku.

Oba zamilkli potem, patrząc przed siebie niemi.

— Zamęczyli go — rzekł Bieliński po długim przestanku. — Bona go naprzód pod fartuchem trzymała za długo. Gdyby naówczas, jak go na wojnę wyprawiano, nie zawróciła z drogi, byłby się do zdrowego życia obozowego nałamał, młodym i rzeźwym byłby dziś jak ja, co się starym nie czuję.

Jak kwiatusek w cieniu rósł i wyciekł też blady, biedny i wątły. Dali mu pierwszą żonę, to ją zazdrość Bony rychło zabiła; ożenił się z drugą, która go wiele kosztowała zgryzoty, i tę mu matka odebrała. Ożenił się z trzecią, i z tą żyć nie mógł dla okropnej choroby jej, a rozdzielić mu się nie dali.

Zszedł na ladajakie miłośnice... i tak ostatni z tej wielkiej krwi królów, bez potomka, nędznie schodzi, nie wiedząc nawet, komu kraj puści, który tak kochał.

Jedna królowna Anna została nam doma, a i tej bodaj niedaleko do pięćdziesiątki!

— Cicho! — przerwał oboźny — nam sługom królewskim imienia jej nawet wyrzec nie wolno. Źli ludzie tak umieli zasiać niezgodę między rodzeństwem, iż król jej na oczy nie dopuszcza, żal ma wielki. A ta nieszczęśliwa oczy sobie wypłakuje.

— Teraz przecie na nią i królestwo i Litwa przyjdzie po śmierci króla, Boże uchowaj! — odezwał się rotmistrz. — Ostatniac ona tu doma z tego rodu.

Oboźny ramionami wstrząsnął.

— Takby ono było, gdyby korona dziedziczną się zwała — odparł — ale tu już zawczasu przebąkują, że sobie króla wybierać będą, jakiego zechcą.

— A! nie może być! Srogaby była niesprawiedliwość i niewdzięczność — krzyknął, głos podnosząc i zaraz go zniżając Bieliński.

— Rozsłuchajcież się — odparł spokojnie oboźny.

I milczeli znowu.

— Na królestwo to — dodał Karwicki po cichu, oglądając się dokoła, jakby się podsluchania obawiał — na królestwo to zawczasu już poluje wielu. Jeszcze król nie zamknął powiek, a posłów potajemnych i szpiegów po senatorach, po szlachcie, po duchowieństwie włóczą się ćmy.

Jeden Bóg wie na czym się skończą te frymarki.

— Po mojemu, po żołniersku — odpowiedział Bieliński — rzecz bardzo prosta i jasna. Królowna ma pierwsze prawo do tronu, kto wybrany zostanie ożeni się z nią.

Nie tak-li było z królową Jadwigą?

Karwicki potrząsnął głową.

— Prostsze to i pocziwsze serca owych czasów były — rzekł — dzisiaj ludzie bardzo zmądrzeli, na dobre i na złe rozumu zażywając. Kto tu odgadnie co się stanie.

I podumawszy trochę, dołożył, obracając się ku rotmistrzowi.

— Powiadają, że króla Francyi brat o koronę się stara, ofiarując zaślubić królownę Annę, a u nas tu i głośno i po cichu zaprzędanych nie mało jest, którzy cesarskiego brata czy synowca popierają. Litwa cara moskiewskiego wziąć gotowa, aby od niego spokój miała. Są i tacy co za pruskim książątkiem głosują.

— Zawczasu! zawczasu! — z oburzeniem przerwał rotmistrz. — Czy się to godzi! alboż to Bóg nie wszechmogący i nie może panu zdrowia przywrócić, żywota przedłużyć, a nawet syna dać w późnym wieku jak Jagielle?

Niedźwiedz w lesie, a ten na targ skórę niesie. O ludziska, ludziska!

— Wszystkiemu winni — dorzucił Karwicki — ci co mu rozwodu dopuścić nie chcieli. Kardynał Commendoni najwięcej, bo się upierał dla czci cesarskiego domu nie rozłączać ich, gdy kościół w takich wypadkach choroby ciężkiej i wstrętliwej, niemożliwego pożycia, niejeden raz małżeństwa rozwiązywał i żenić się pozwalał.

Bieliński krzywiąc się nachylił do ucha oboźnemu.

— A lepiejby było, gdyby wzięwszy rozwód uparł się żenić z Zajączkowską?

Szeptał po cichu i szukał oczyma wejrzenia towarzysza, który wzrok wlepił w ziemię i głowę zwiesił na piersi smutnie.

— Była chwila, że się koniecznie napierał tej Hanny — dodał — a kto wie, czy i teraz jeszcze o niej nie myśli. Mówią, że ją po książęcemu wyposażoną trzyma w Witowie. Za samo łóżko dla niej cztery tysiące dukatów zapłacono! Panie Boże odpuść! Gdyby z grobów wstali ci, którym Radziwiłłowej dla króla było za mało, cóżby powiedzieli na Hanusię Zajączkowską?

Po krótkim milczeniu Karwicki się odezwał.

— Wszystkiemu temu bałamuctwu winni źli doradcy nie on. Chcieli mu życie osłodzić babami, a niemi je zatruli. Niech Bóg przebaczy krajczemu i podczaszemu, i innym pomocnikom, którzy mu miłośnice wynajdowali, stręczyli i przywodzili. Zaczęło się od tej mieszcanki Basi Giżanki, która dziś kareta jeździ o czterech woźnikach; poszła za tem Zuzia Orłowska, aż napatrzyli Hannę Zajączkowską między fraucymerem królownej Anny, która teraz pokutuje za nią i łzy wylewa.

— Zniedołężniał tak nakoniec, że już własnej woli nie ma — westchnął rotmistrz — lada pacholę, jak ten Książnik, czyni z nim, co chce.

— Cierpieniem, troską, postrachem zgonu bezpotomnego tak się znużył, iż dziś, dla świętego spokoju wszystko gotów poświęcić — począł Karwicki. — Niepocziwi ludzie, gotowi zawsze ze wszystkiego korzystać, im gorzej go widzą, tem więcej naciskają, uprzykrzają się i lupią.

Dotąd pono testamentu nawet nie ma, a dla samych siostr uczyniły go powinien, aby im nie wydarło co należy.

Serce się kraje myśląc o tem — dodał oboźny. — Ja gdy rozważać zaczął wszystko, a odgadywać przyszłość, uciekam się do modlitwy taki strach mnie ogarnia.

Bieliński rękę jego ujął.

— Sądźcie, że ze mną lepiej? — zawołał. — Nie ma pono w tem królestwie naszym jednego pocziwego człowieka, któryby jak my nie bolał. Jak w ulu, gdy matki zabraknie, co pocznie rój? Tak i z nami. Zabraknie nam króla i królewskiej rodziny, choć dziś boli na nią patrzeć, co się naówczas stanie z tem państwem naszym? Z jednej strony czyha na nie car moskiewski, z drugiej cesarz niemiecki, który już Węgrów i Czechów wziął, a na Polskę zęby ostrzy. Nie liczę Turka i Tatarów. Jak my się obronim bez wodza i głowy? Co naówczas się stanie z naszymi od wieków zdobytymi prawami i swobodami? Ażali je poszanują obcy? Im potężniejszego wybierzemy dla bezpieczeństwa od nieprzyjaciół, tem dla nas on groźniejszy, bo mu nasze swobody będą solą w oku.

— To też wielu już dziś sądzi, że francuzkiego królewicza, o którym gadki chodzą, że i on o koronę się stara, wziąć byłoby najbezpieczniej — odparł Karwicki. — Tylko znowu ci co lepiej są poinformowani prawią, że młokos jest i papinek... a nasza królowa, z którąby się żenić musiał, matkąby mu być mogła.

Bieliński głową potrząsał.

— Statystą nie jestem — odezwał się — a na łaskę Bożą i natchnienie Ducha św. wiele liczę.

— Gdybyśmy na nie zasłużyli — dokończył oboźny.

— Bieda! — przerwał Bieliński.

— A no, bieda! — powtórzył za nim Karwicki.

Zciemniało tymczasem trochę na dworze, a pod krużgankami noc prawie była. Na zamku mało gdzie ukazywały się światelka, ruch ustawał, cisza rozpościerała się głęboka dokoła.

Zdała, jakby głosy nadziei, z nad krzaków ogrodu nad Wisłą, od rzeki dały się słyszeć słowicze śpiewy, którym siedzący oba, milcząc, długo się przysłuchiwali.

Rotmistrz Bieliński wstał.

— Czas na spoczynek — odezwał się. — Przyszedłem tylko na zamek dowiedzieć się, czy król mnie nie potrzebował, bo mi kazał być pogotowiu.

— Cały ten dzień okrutnie cierpiał — odezwał się Karwicki. — Doktorowie o podróży radzili i nie uradzili nic.

— Ale z Warszawy musi precz jechać — przerwał rotmistrz — bo czasu moru miasto, to jak czasu pożaru śpichrz ze smołą... zagnieździ się śmierć na długo. Musimy króla salwować.

— Pewnie! ale dokądże z nim? — zapytał oboźny.

Bieliński dumiał, odpowiedzieć nie umiejąc.

Stali tak jeszcze w cieniu, gdy od wrót, które na drugi podwórzec zamkowy mniejszy wiodły, szmer się jakiś dał słyszeć.

Oboźny spojrział i nie odzywając się, palcem tknął rotmistrza, ukazując mu na tę część krużganków, która kurytarzami wiodła do mieszkania chorego króla.

Wieczornej zorzy odbłask we mrokach rozeznac dozwalał postaci, które furtą otwartą po cichu na zamek się wśliznęły. Trzy ich było.

Przodem szedł wysokiego wzrostu mężczyzna, płaszczem włoskim na ramię zarzuconym osłonięty, w kapeluszu z pióropuszem. Tuż za nim, rańtuchem z głową okryta cała posuwała się niewielka figurka, która niewiastą być musiała, sądząc z chodu i ruchów; za niemi postępował chłopak wysmukły wyrostek.

Szli cicho, na palcach, ostrożnie, oglądając się, przesunęli przez podwórzec, dostali się do krużganków i we drzwiach wiodących ku izbom króla znikli.

Rotmistrz przypatrywał się ciekawie, zdając się objaśnienia oczekiwać od oboźnego, który milczał póty, aż się przychodzący nie oddalili w głąb kurytarzy.

— Król leży chory — rzekł — a to mu albo jakąś czarownicę, albo jednego z tych „sokołów” poprowadzili, o których on sam teraz powiada po cichu, że one go zgubiły.

Dziwna a najdziwniejsza rzecz — dodał wzdychając Karwicki — on sam jasno widzi, że się gubi, wie, że mu te kobiety żywot skracają, a oprzeć się pokusie nie może.

Fogelweder i Ruppert przypisują mu leki apteczne; wieczorem starą babę czarownicę, znachorkę sprowadzą, ta go okurza, omywa, zamawia, męczy... może truje!

Ledwie się zbył wiedźmy, biegnie Basia Giżanka, o córeczce powiadając, aby mu, póki czas, coś wydarła, choć dosyć już ma, aby sobie męża kupiła.

Ręce załamał oboźny rozpaczliwie.

— Koniec świata!

— Na Boga — podchwycił rotmistrz — od czegoż są panowie senatorowie, Rada królewska! Winni go oni wziąć w opiekę. Cóż ksiądz podkanclerzy?

Zzymnął się, posłyszawszy o nim oboźny.

— Ksiądz podkanclerzy! o sobie myśli, nie o panu — zamruczał. — Umiał on opanować umysł królewski, ale tylko tem, że namiętnościom schlebia i przez szpary patrzy na nie.

— Dreszcze po mnie przechodzą — zawołał Bieliński — gdy was słucham. Myślałem, idąc tu, że pociechę jaką wyniosę, a wyście mi jakby całunem świat cały oblekli.

— Co pomoże zabawiać się nadziejami próżnemi, gdy nad głową wisi miecz — odparł Karwicki.

— No, ale na dziś, chyba dość tego — przerwał, obejmując przyjaciela rotmistrz. — Ufajmy w Bogu! Mnie się wierzyć nie chce, aby nas miał pokarać tak srodze i wydać na łup nieprzyjaciółom.

— Nieprzyjaciółom — podchwycił oboźny — rotmistrzowi miły. Nieprzyjaciółom byśmy się obronili, ale my sami sobie jesteśmy najgorszym wrogiem.

Bieliński uszy zatykając, słuchać już nie chciał.

— Dość! dość! Czołem panie oboźny.

— Czołem, mój stary!

Uścisnęli się milcząco.

Karwicki, jakby mu przyjaciela trudno opuścić było, powoli towarzyszył aż do bramy, lecz milczał już, idąc z głową spuszczoną.

Rotmistrz Bieliński otwarłszy furtę, rękę jego ścisnął i poszedł żywo ku miastu. Chwilę postawszy Karwicki, nazad do zamku powrócił, lecz nie siadając już na ławie, w głąb podwórca ku wewnętrznej bramie się skierował, i miał wniść na wschody około niej zewnętrzny muru przyczepione, gdy furta się otworzyła, a w niej ukazała się postać kobieca, której zdala zbrojny towarzyszył mężczyzna.

Spostrzegłszy Karwickiego, kobieta chciała się cofnąć żywo, ale poznawszy go rychło, wróciła śpiesznie i syknąwszy zcicha, śmiało się do niego zbliżyła.

Twarzy kobiety, osłoniętej od stóp do głów płachtą ciemną, nie można było rozeznąć, ale pod tą osłoną niedbale zarzuconą, czuć się dawała zręczna i gibka postać, a głos srebrny, młody zadźwięczał.

— Oboźny!

— Dosia! — odezwał się Karwicki.

— A któżby był, jeśli nie ja? — odparła żywo przybywająca. — Gdyby nie poczciwy stary Żegota, nie ważyłabym się z jednego podwórza zamkowego na drugie sama po nocy, bo i na królewskim zamku bezpieczeństwa nie ma... ale Żegota mnie wziął w opiekę, a królowna...

— Z czemże przychodzisz od królownej? — zapytał, zbliżając się Karwicki.

— Z czem ja przychodzę? — odparła kobieta z odcieniem szyderstwa — zapytaj raczej po co? bo od nas nie ma co przynieść, chyba łzy. Królowna niespokojna biedaczka, nie wspomnieliście królowi o niej?

— Nie było przystępu do niego! — odparł smutnie Karwicki.

Kobieta rozpaczliwie się poruszyła.

— A! mój Boże! mój Boże! — poczęła narzekać — król o niej zapomniał, a u was na wszystkim zbywa, panie oboźny. Na wieczrę trzeba było wyprosić u kupców bez pieniędzy, bo zapłacić nie ma czem.

Królewnaby ochotnie ostatek sreber zastawiła, ale tu na nas tyle oczów patrzy, dla czci królewskiego domu nie godzi się, więc woli głodem przymarzeć. Nikt nad nami litości nie ma. Co zawiniła ta biedna królowa nasza, iż jej król bratem a ojcem, i opiekunem, jak powinien, być nie chce, że się nieprzyjacielem stał?

— A! Nie mówcie tego — przerwał nagle Karwicki. — Nie godzi się. Serca on dla siostry nie stracił, źli tylko ludzie sprawili, iż żal do niej ma.

— Królowa winna żal mieć do niego daleko większy, bo jej się krzywda działa i dzieje — zawołała posłanka.

Dokoła głoszą, że król dla morowego powietrza wyjeżdża z Warszawy, cóż natenczas się stanie z nami? Nas też niepodobna dać na łup zarazie; a o czemże my podróż odbywać będziemy i dokąd się schronimy?

— Cierpliwości! czekajcież! — zawołał Karwicki — ani dziś, ani jutro król nie wyjedzie. Nim to nastąpi, klnę się najuroczyściej, my go skłonimy do widzenia się i przedjednania z królową.

— I do opatrzenia jej potrzeb — dodała żywo kobieta. — Na nas już i moru nie trzeba, pozdychamy niebawem z głodu.

Oboźny niby się uśmiechnął.

— Cóż? Myślicie, że ja po kobiecemu z muchy robię wielbłąda? — odparła przybyła. — Zapytajcież drugich, jak u nas jest? Gorzejby nie mogło być, gdyby królowa córką prostego ziemianina była, a toć przecie królewskie dziecię, siostra króla i królowych.

Boże mój!

Zafrasowany, zgnębiony milczał Karwicki.

— A! Dosiu moja — rzekł — ja to wszystko wiem. Z duszybym rad dopomóżd, nie ja jeden, Żaliński także, Fogelweder, ale do króla przystąpić trudno i sam na sam się z nim rozmówić. Przy trutniach się z tym odezwać, znaczyłoby popsuć sprawę.

Kobieta łamała ręce.

— A! czekamy już długo na zmiłowanie! — westchnęła.

Oboźny tarł czoło niecierpliwie.

— Gdybyście wiedzieli, jak mi do was trudno było iść, z jakim ja tu biegłam strachem — mówiła dalej — a no, musiałam, bo nikt inny nie mógł, nie chciał. Królewnaby też może nie rada lada komu się zwierzyć z nędzą swoją. Pokrywa ją, jak może, aby się ludzie z niej nie naigrawali.

Mnie na odwadze nie zbywa, choćby z rozpaczy, gdy na królowę, panią moją, do-brodziejkę, patrzę, poszłabym już choć i bez Żegoty!

— No! no! — odparł Karwicki — sama się tak nie wyrrywaj! W mieście, koło zamku i na zamku ludzi różnych, włóczęgów dosyć, pod noc biedy napytać łatwo.

Obejrzał się po niebie.

— Wracajno, wracaj — rzekł.

— Z czem? — zapytała kobieta.

— Z tym, że jutro albo ja, albo Żaliński powiemy królowi, przypomnimy królowę i skłonimy go do zgody.

— Do zgody! — powtórzyła cicho oczekująca. — Do zgody! Boże miłosierny! mógłże kto przewidzieć, że między bratem a siostrą powstać może niezgoda, i o co?

— No, dobrej nocy i szczęśliwej drogi — zamknął jej usta oboźny.

— Do jutra! — zakończyła uparta dziewczyna, nie ruszając się z miejsca — do jutra, bo ja przyjdę jutro i dopóty chodzić będę, aż coś wykołaczę.

— Do jutra! — powtórzył oboźny, który do furty się zbliżył, otworzył ją i wypuściwszy kobietę, prędko za nią zasunął.

Spojrzał w górę po oknach zamkowych. W tę stronę wychodziły komnaty królewskie.

W dwóch oknach zasłonami pół przezroczystemi zapuszczonych, czerwonaświatło przebijało się przez nie słabo. Czasami cienie jakieś po nich się przesuwają.

W tych izbach spoczywał na łożu tęsknicy i boleści ostatni męzki rodu Jagiellońskiego potomek — Zygmunt August. U wezglowia jego nie miłość i przywiązanie, nie wierne serca i ludzie oddani mu czuwal, ale chciwe dłonie, wystygłe piersi, nienasycone żądze.

Szybkim krokiem od wrót zamkowych oddaliła się posłanka na drugie ciche podwórce, które budowle starsze i mniej foremne otaczały. Ciągnęły się tu mury głównej budowy, połączone z nią, a pomiędzy nimi przejścia, wschodki, galeryjki, sklepienia świadczyły, że wieki kłeciły to gniazdo, a każde pokolenie uścielało je wedle potrzeby.

Ciemnymi zaułki szła śmiało posłanka, a stary Żegota kord trzymając w ręku pogotowiu, towarzyszył jej aż do oddzielnego dziedzińczyka, który budowę jedną opasywał. W murze były i tu wrota. Zbrojny stróż zapukał do nich, wpuścił dziewczę i nie mówiąc słowa, sam poszedł dalej.

Naprzeciw powracającej Dosi, z kagankiem w ręku wyszła niemłoda kobieta, przygarbiona nieco, odziana ubogo, z twarzą jakąś wyplakaną i smutną.

— Królowna? — zapytała Dosi.

— Układliśmy ją do snu — szepnęła stara. — Znowu to oko rwało i głowa ją bolała strasznie. Żalińska materacyk położyła z rumianku, obwiązaliśmy chustynką szafranową. Bóg wie! ulży jej może!

No a król?

Dosią poruszeniem głowy dwuznacznem odpowiedziała, jakby o nim nie wiele co mówić było.

Zatrzymały się tak obie w podwórku, którego mur jeden wychodził w stronę Wisły i ogrodu, a po nad nim zielone drzew i krzewów gałęzie widać było.

W budynku, przed którym stały, nie świeciło się nigdzie, stał czarny ze swymi murami gdzieniegdzie z tynku pozdzieranymi.

— W izbach u nas jeżeli nie zimno, to zaduszno — odezwała się przybywająca Dosi — a tu powietrze wiosenne takie miłe, nie chciałoby się do komory, bo i sen powiek się nie ima.

Stara kobieta, która kaganek osłaniając ręką, na swą towarzyszkę patrzyła ciekawie, szepnęła cicho.

— Kto go tam wie, gdzie teraz bezpieczniej? Powietrze wiosenne zawsze zimnicę daje, a no i mór idzie, człowiek boi się nawet oddychać. Lada wiatr przyniesie może lichu.

— A! wstydzę się Maciejowa — żywo przerwała jej Dosi. — Powietrze! powietrze! Jakby to czasu moru Pana Boga nie było, bez którego woli człowiekowi włos nie spadnie z głowy.

Ja się moru nie boję! a każe Bóg życie dać, wola Jego!

Stara zaczerwienionemi oczyma ciekawie, z poszanowaniem spojrzała na dziewczę.

— A! wy bo się niczego nie boicie, nikogo nie lękacie — szepnęła. — Ale niemal wszyscy młodzi tak śmiałują, dopóki ich życie trwogi nie nauczy. Nie igraj i ty, abyś się nie doigrała.

W tej chwili blask kaganka padł na twarzyczkę śmiałej dziewczyny i całą ją czaro-dziejsko oświecił.

Czy światło to uczyniło ją tak piękną? Stała słuchając i patrząc na starą z takim wyrazem mężstwa i ufności w Bogu i sobie, a tak jej z tem było heroicznie pięknie, iż zdawała się jakąś nadziemską, przez malarza wymarzoną istotą, zjawiskiem, które chwilę błysnąwszy, zniknąć i w mrokach rozplynąć się miało.

Ta nadzwyczajna piękność Dosi musiała się nawet starej babusi wydać zachwycającą, gdyż mimowoli wykrzyknęła.

— A! jaka ty jesteś piękna!

Dosłyszała Dosi tych słów cichych, zwiesiła główkę smutnie, brwi się jej ściągnęły i rzekła tęskno.

— Pan Bóg mnie tą pięknością pokarał, na co się ona zdała?

Stara przypomniawszy sobie kaganek, który trzymała w ręku, dmuchnęła nań i zgasiła. Ciemność otoczyła je.

— A Żalińska? — zapytało dziewczę.

— Siedzi przy królownie, pilnując, czy się nie przebudzi a nie zapotrzebuje czego.

— Gdzież reszta dworu?

— Rozeszli się, gdzie który chciał albo musiał — mówiła stara. — Niektórzy już i chrapać muszą.

— Idźże i ty zasnąć, moja Maciejowa — dokończyła Dosia. — Mnie się chce się jeszcze trochę tu na ławie u drzwi i spocząć na świeżem powietrzu, w komorach mi jakoś duszno. Sen nie bierze.

Posłuszna Maciejowa, milcząc, z kagankiem wsunęła się po cichu we drzwi, a Dosia z głowy na ramiona opuściwszy rątnuch, zbliżyła się ku ścianie, znalazła ławę i siadła na niej, ręce na kolanach załamawszy.

Cicha noc majowa, która nawet o północy nigdy zbyt czarną nie jest, miasto i zamek usypiała.

Z każdą chwilą milczenie stawało się uroczystsze, szmery dolatujące zdala rzadsze i słabsze.

Dosia z oczyma wlepionymi w niebo, dobytej różańca i miała się zacząć modlić, gdy blisko niej, z za węgła kroki słyszeć się dały.

Z niechęcią i obawą zwróciła wzrok w tę stronę, lękała się, aby natręt jaki nie spłoszył jej z tego kąta, w którym spocząć sobie obiecywała.

Chód był powolny, stąpanie dawało poznać mężczyźną.

Wkrótce też z za węgła wyszedł słuszny, silnie i foremnie zbudowany, zręcznie się poruszający człowiek, otulony narzuconą na ramiona opończą, z głową nakrytą małą, od niechcenia włożoną magierką. Krokiem powolnym posuwał się naprzód zadumany.

Chociaż twarzy rozpoznać nie było można, Dosia zobaczywszy go, zerwała się uciekać, gdy nadchodzący obejrzał się, poznał ją i uchylając czapeczki, rzekł cicho.

— Niechaj panienska nie ucieka, ja pójdę precz.

Głos był łagodny i sympatyczny, Dosia przysiadła na ławeczce mruczając:

— Będę przecież musiała iść, bo mi po nocach w rozmowy wdawać się nie przystało.

— Ale ja dla porządku obejść muszę dokoła, aby się ludzie nie rozpuszczali — rzekł zatrzymując się mężczyzna.

Dziewczę nie odpowiedziało i słyhać tylko było paciorki różańca uderzające o siebie w jej rękach.

Mężczyzna stał, odejść mu się jakoś nie chciało.

— Ani we dnie ani wieczorem, nigdy mi panna Dorota rozmówić się z sobą nie pozwala! — westchnął. — A, takbym tego pragnął.

— Przynajmniej nie dziś i nie tu pora do rozmowy — niecierpliwie i prawie gniewnie odparło dziewczę. — Idź pan swoją drogą, a nie, to ja będę musiała.

— Idę już, idę — zawołał mężczyzna — ale na rany Chrystusowe, kiedy ja będę miał to szczęście...

Nie dała mu dokończyć dziewczyna.

— A! szczęście! co za szczęście! Nigdy! nigdy! — zawołała nadąsana, zerwała się z ławki, wpadła we drzwi i zatrasnęła je za sobą.

Mężczyzna machinalnie poprawił czapeczkę na głowie, ujął się za wąs i pokręcił go, przebaknął coś i szedł dalej powoli obejrząc podwórce i otaczające go stajnie i szopy.

Zwolna tak, bacznie przesuwając się nasłuchując, pomiędzy budowlami, popróbował gdzieś drzewo i wrót, zaglądnął do komórek pół otwartych, z których go dochodziło chrapanie, i okrążywszy budynki, drugą stroną od tyłu wszedł do głównego korpusu przez sień ciemną zdążając do komory, w której się świeciło.

Choć ciepło już było na dworze, tu na kominie palił się jeszcze ogień dogasający, nie dla ogrzania izby, ale dla oczyszczenia wilgotnego powietrza i dla światła naniecony.

Izba była dosyć przestronna, sklepiona, czysta, wybielona świeżo, z podłogą posypaną tatarakiem i jedlinką, których woń czuć się w niej dawała. Dwa tarczany stały u dwóch jej ścian przeciwległych, a stół prosty pomiędzy niemi w pośrodku. Po kątach, jakby w gospodzie podróżnej, tłumoki i skrzynki widać było, uprząże, siodła i wojłoki na kupę zrzucone.

Na stole zgasły leżał kaganek, a blask dogorywającego ognia chwilami oświecał komorę, podobną do jakiejś izby klasztornej.

Na jednym z tarczaków, opończą okryty, zwinięty w kłębek leżał człowiek, który posłyszawszy drzwi skrzypnięcie podniósł głowę na pół łysą z wąsami ogromnymi, z policzkami obwisłymi i znużonymi, zapadłymi oczyma.

Zobaczywszy wchodzącego już się, na drugi bok obróciwszy, spać chciał kłaść, gdy usłyszał z piersi jego dobywające się westchnienie ciężkie.

Ziewnął, podniósł się, wyciągnął, oczy przetarł, splunął i usiadł na łóżku.

— Waść, mości Talwoszu, wzdychasz tylko a wzdychasz, piersi sobie mordujesz, do czego się to zdało?

— Myślisz, mój miły Bobolo, że ja to z dobrej woli czynię? — odparł przychodzący, który zrzucawszy opończę i czapeczkę na swój tarczan, zbliżył się do ognia aby go poprawić i pokazał się młodym i przystojnym, mężnego wyrazu twarzy człowiekiem.

— Gdzieżeś znów u licha po nocy wędrował — zapytał Bobola ziewając. — Masz jakiego języka? dopytałeś co?

— Tyle tylko żem najrzał Dosię, która mnie połajawszy, uciekła — rzekł młody Talwosz. — Obszedłem szopy i stajnie, bo dziś nikomu wierzyć nie można, wszystko się rozprzęga.

To mówiąc, gdy raz jeszcze westchnął, Bobola splunął gniewnie.

— Panna Dorota ci w głowę zajechała! — odezwał się. — Rozumu nie masz! albo to pora o amorach myśleć, gdy taka bieda dokoła i na śmierć się raczej sposobić potrzeba, bo nas tu dalej, dalej powietrze wszystkich podusi w tych murach.

— Niechajby już, niechaj! — machając ręką rozpaczliwie odparł Talwosz — mnie, dalipan, życie zbrzydło.

— Dla jednej podwiki! — zawołał z oburzeniem stary Bobola. — Ale, wstydyłbyś się. Przecież panu Talwoszowi nie lada szlachcicowi, dobrego rodu, o innej przyszłości i krescytywie myślećby się godziło, a nie świat sobie zawiązywać jedną taką dzierlatką, u której tyle tylko, że liczko kraśne.

— Jak Bóg miły ci, Bobolo — przerwał młody — zaklinam nicze mi przeciw niej się. Przecież panu Talwoszowi nie lada szlachcicowi, dobrego rodu, o innej przyszłości i krescytywie myślećby się godziło, a nie świat sobie zawiązywać jedną taką dzierlatką, u której tyle tylko, że liczko kraśne.

— Jak Bóg miły ci, Bobolo — przerwał młody — zaklinam nicze mi przeciw niej się. Przecież panu Talwoszowi nie lada szlachcicowi, dobrego rodu, o innej przyszłości i krescytywie myślećby się godziło, a nie świat sobie zawiązywać jedną taką dzierlatką, u której tyle tylko, że liczko kraśne.

Siedzący na łóżku, przygarbiony, rozespany Bobola, który obie ręce trzymał oparte o krawędź tarczana, podniósł zwolna oczy na towarzysza. Patrzył, patrzył i minę zrobił wyrażającą politowanie, jakby chciał mówić:

— Żal mi cię biedaku! Do tego już przyszło? — Słuchaj Talwosz — odezwał się głośno. — Dotąd sądziłem, żeś ty się tak mimochodem zadurzył w niej, jak to się codzień młodym zdarza, a jutro, gdy cię królowa na Litwę odprawi, wywietrzeje to z głowy, ale ty na prawdę szalejesz.

— A! na prawdę! na prawdę! — potwierdził Talwosz, który siadł u ognia na niskiej ławeczce. — Mów sobie co chcesz, mój koniuszy, łaj mnie kiedy wola, Dosi drugiej, równej jej nie było i nie będzie.

— Urodą, rozumem, dowcipem, nie ma co mówić — zawołał Bobola — przechodzi inne, co prawda, prawda. Ale ja w dziewczynie tej śmiałości, tego zuchwalstwa, tego rwania się naprzód nie lubię. Na kozaka patrzy.

Talwosz głową potrząsał.

— Rycerskiego ducha niewiasta — zawołał z uniesieniem.

— Dziewczynie młodej ten duch nie przystał — odparł Bobola surowo.

— Terazniejszego czasu i kobietom serce urasta, tak nas bieda przygniotła, a my zniedołężnieli — począł Talwosz.

Ale, posłuchaj Bobolo, dobrze, że się o tem zgadało. Tyś się już przespał, a mnie się wcale spać nie chce.

Obiecowałeś mi tyle razy o tej Dosi relację. Ja nie od tak dawna na dwór przybywszy, tyle tylko wiem, że ją królowa wychowała, że ją lubi, a ona za swą panią życie dać gotowa.

Ale zkadże ona! co ona?

Bobola nie ruszając się z łóżka, poprawił się tylko i usiadł wygodniej.

— Prawdą a Bogiem — począł — ja przeciw niej nie mam nic, ale mi żal ciebie, bo ty na prawdę myślisz o niej, a ona, choćby jak piękną i pocziwą była, za żonkę, nikomu się nie zda.

U nas żona, prawda, męstwo musi mieć i rozum, gospodarną być, ale my się ciągle po świecie włóczymy, ona za nas i za siebie gniazda powinna strzedz i spokojnego ducha w sobie piastować. Na naszych żonach wszystko, ale w domu. Tej domu będzie mało.

Szlachcic u siebie na wsi gościem. Jak nie na pospolite ruszenie, to na komisye, na deputacye, na zjazdy, na urzędy iść musi. Póki korda dobyć ma siłę, z konia nie zsiada.

Więc jejmość koło domu, koło roli, koło interesów i do sadu i do robotnika musi iść i za męża i za siebie i do tańca i do różańca.

Talwosz nie przeczył i nie odpowiadał.

— Myślisz że taka twoja Dosi na wsi we dworze wytrzyma? — dodał Bobola.

— Ona? — wyrwało się Talwoszowi — ona z siebie uczyni co zechce! Ale daj pokój, nie o tem mowa. Obiecaliście mi o niej coś więcej powiedzieć niż ja wiem, bądźcież laskawi.

Bobola głowę pocierał.

— Gdyby cię to mogło wyleczyć z tej niedorzecznej miłości — westchnął. — Co ja wiem, czemużbym ci powiedzieć nie miał? Nikt mnie o tajemnicę nie prosił.

Znacie naszą królową Annę? Serce ma złote a szczęścia do ludzi ani za grosz. Piękna była i jest jeszcze nie szpetną, a oto jej już pięćdziesiąty podobno roczek dochodzi, nikt się prawie o nią nie starał. Inne, młodsze przed nią powychodziły. O tę się nikt ani dowiedział. Król nasz August losem się jej nie zajął, ona o siebie nie troszczyła się.

— Katarzyny, królowej szwedzkiej losu nie ma pono co zazdrościć — przerwał Talwosz — ta się mało nie na śmierć zamęczyła nim doszła przez więzienie ciężkie do królestwa. A mało co że ją carowi moskiewskiemu nie wydał ten szalony Eryk.

— Ale, wszelako dziś króluje — odparł Bobola. — Zofia wyszła też niezgorzej za Brunświckiego, o innych nie mówię, ta została na koszu.

Coby ją brat, sierotę, miał kochać więcej, dziś przyszło do tego, że o tę Zajączkowską się pogniewawszy, gadać do niej nie chce.

— Ale cóż to wszystko ma do Dosi? — zapytał Talwosz.

— No, poczekaj, to jest *exordium* — mówił spokojnie Bobola.

— U naszej królowej, niby to dla usługi, a w rzeczy przez litość pobranych, zawsze sierot i wychowanic bywało dosyć, co je utrzymywała, uczyć kazała i wyposażała. Wszak i ta Zajączkowska... ale dać jej pokój.

Otóż byliśmy, pomnę, w Krakowie, lat temu nie pamiętam ile, będzie około dziewięciu może, gdy raz przyszedłszy z miasta stara Zakrzewska, która naówczas ochmistrzynią była przy fraucymerze, powiada królowie: Tomci na mieście cudne dziecko, dziewczyninę widziała, choć malować. Gdyby aniołek piękna, ale odarta, w lachmanach, żal się Boże, jak zbiedzona. Szlachcic ją tu przywiózł, przez miłosierdzie wzięwszy z odbitych Tatarom jeńców. Nikt się do niej nie chciał przyznać. Radby ją, słyszę, komu oddać, ale nikt się nie zgłasza.

Spojrzała na królową, która natychmiast odpowiedziała.

— Kaźcie tego szlachcica z dzieckiem na zamek przywołać.

Zakrzewska, litościwego też serca kobieta, pchnęła zaraz pacholika na miasto. W godzinę może przyszli królowie oznajmić, że szlachcic z dzieckiem w antykamerze stoi.

Wybiegliśmy wszyscy patrzeć, bo nas opowiadanie zaciekawiło.

Dziecko wychudzone, sińcami okryte, nędzne było bardzo, mogła mieć lat około dziesiątka. Ale mimo nędzy i brudu twarzyczkę miała tak piękną, że się płakać chciało nad tem co to stworzenie śliczne wycierpieć musiało.

Szlachcic, który ją porzuconą na pół nagą wziął, nie miał nawet czem okryć, więc zgrzebnymi lachmanami była odziana i w starą, obciętą oponiczkę otulona, której po pas starczyło jej za pięty.

Zapytała królowa zkąd ją wziął.

Począł opowiadać, że niedawno Tatarom jeńców nad Tykiczem odbito, a między nimi i ta sierotka się znajdowała. Domyślano się z tego, co dziecko samo o sobie opowiadało, i z innych poszlaków, że było córką niejakiego Sochy-Zagłoby, których tam dwu braci z Mazowsza wywędrowawszy na kresach się osiedliło.

Temu Sosze-Zagłobie jednemu Tatarowie dwór spalili, żonę zabili, jego zamęczyli w niewoli, a o dziecku sądzono, że je ten sam los spotkał.

Gdy dobrze później jeńców odbito w stepie, znalazła się w rękach tatarskich dziewczynina. Pamiętała o sobie że ją Dosią zwano, że we wsi Mchowie rodzice mieszkali, i miała drewniany krzyżyk jakiś na sznureczku u szyi.

Obok Mchowa, w drugiej osadzie, brat tego Sochy-Zagłoby ocalał był, wczas zbiegłszy, ale gdy mu synowicę przyprowadzono, wcale się do niej przyznać nie chciał, ani ją znać, chociaż po bracie Mchów zagarnął. Krzyżyk drewniany, który miała na szyi, służył mu właśnie do dowodzenia, że musiała być chłopką, kiedy kijowskiej roboty krucyfiks na piersiach nosiła.

Szlachcic, który się od stryja tego nagrody spodziewał, oberwał łajanie i nie wiedząc, co począć z sierotą, przywiózł ją naprzód do Lwowa, potem do Krakowa, rad się zbyć, bo nie żonaty był, nie miał domu ani łomu, i sam służby szukał.

Królowna ani się namyślała, kazała mu kilka czerwonych złotych dać, a Zakrzewskiej dziecko wziąć. Obmyto je, uczesano, nakarmiono, a Anna królowna bardzo pokochała wychowanicę.

Gdy biedactwo odżyło, wypytywano je o przeszłość, o niewolę, ale było tak przemęczone, schorowane, przybite obchodzeniem się okrutnym, że mało co zachowało.

Mówiła tylko, że imię swe Dosi pamiętała i że rodzice jej na wsi jakiejś, którą po swojemu opisywali, mieszkali.

Z bałamutnych tych dziecka wspomnień mało co było można wyciągnąć, nawet to rzecz bardzo niepewna, czy w istocie tego Sochy-Zagłoby córką była, ale ją tu przyjęto i nazwano Dorotą Zagłobianką.

Gdy to biedactwo potem odżyło, dopieroż niemal cudownie rosnąć, pięknieć i rozwijać się jęło tak, że królowna się nią nacieszyć nie mogła. Poszły stąd pieszczoty wielkie i niepotrzebne dogadzanie.

Zachciało się dziewczynie uczyć, królowna sama nauczyła ją po włosku, Francuz który pod czas był przy ogrodzie, po francuzku, a żartem i na podziw ks. Niedźwiedzki zaczął po łacinie.

Na co się to wszystko zdało? chyba żeby się jej w głowie przewróciło.

Umiejąc języków tyle, zażądała niemieckiego, królowna jej się o Niemkę postarała. Szczęście jeszcze, że po turecku i po tatarsku nie zechciała się uczyć, boby jej i tego nie odmówiono. A z tatarskiego języka dotąd, słyszę, pamięta coś nie coś.

Pisze tak pięknie, że mogłaby w kancelaryi służyć.

Jakże potem nie miała zdumnieć i nabrać pychy, gdy się jej wszyscy dziwić zaczęli, a rozum jej wychwalać i piękność przytem?

Tatarowie też kumysem pojąc włali w nią krew taką dziką, że jej pohamować trudno.

Otóż ją macie jaką dzisiaj jest.

Zagłobianka! szlachcianka! ale stryj jej znać nie chciał, pewno nie bez powodu. Kto wie co za jedna? tyle tylko pewne, że Dosia...

— No i to — dodał Talwosz — że drugiej takiej Zagłobianki czy Dosi nie ma na świecie. Wyrzucacie jej że się górą nosi, co za dziw! niechże druga temu co ona sprosta? Złego przecie nic jej zadać nie możecie?

— Dla siebie najgorsza — mówił dalej spokojnie Bobola. — O swoją przyszłość cale nie dba. Za królownę życie gotowa dać, ale się rwie nie do swoich rzeczy, nawet pani nasza pohamować jej nie może.

— Za to jej naganić nie można — odparł Talwosz — iż się przywiązała i chce wdzięczność okazać. Tu wszyscy głowy potracili, królowna płacze tylko i narzeka, ta jedna ani odwagi nie traci, ni na chwilę nie odpoczywa.

— A do czego się to zdało? — spytał Bobola. — Lata, biega, wciska się, ale cóż zrobić może? Nastęrcza się na posła, gotowa w największy ogień, a nie zrobi nic, tylko się jej ludzie dziwią i pod czas wyśmiewają.

— Mój Bobolo miły — począł Talwosz po chwilce namysłu. — Coś mi miał serce odjąć dla niej, toś chyba przysporzył. Dokaże ona co czy nic, nie w tem rzecz; podziwiwać trzeba i męstwo i rozum i wdzięczność dla królownej.

— I szaleństwo — dorzucił Bobola. — Zważże sam. Dziewczyna piękna jak anioł, oczy rwie, wie o tem i pięknością się tą posługuje, naraża. Wyjdzieli cało? a ludzie zawsze paplać będą.

— Znajdzie się za nią ująć komu — zamruczał Talwosz.

— Tak jak i dziś wieczór — mówił dalej Bobola — sama jedna do oboźnego na zamek do króla, gdzie lud rozpuszczony. Gdzie to kto słyszał? Ale ona się nie złąknie nikogo. Biskup, senator, żołnierstwo, ciżba, hałastra, ani się zawaha, ani drgnie.

— A wszystko to robi dla królownej — przerwał Talwosz — bo ona sama nikogo nie potrzebuje i zbliżyć się nawet nie da do siebie. Powiedźże Bobolo, nie piękna to wdzięczność?

— Bodaj piękna ale nierozumna i bez pożytku — mówił Bobola i rozśmiał się. — Co chcesz? gotówem ją nazwać heroiną, ale właśnie przez to na żonę nie stworzona, a ty się bez miary rozmiłowujesz i głowę tracisz.

Zamilkł Talwosz, ale wcale nie okazywał, żeby był przekonany.

— Teraz — odezwał się po namyśle — pozwól mnie słowo rzec. Czy ja się kocham w niej czy nie, to moja rzecz, ale ten sam mam sentyment dla królowej co ona.

Albo się to serce nie rozdziera patrząc na tę nieszczęśliwą panią? Takiego rodu dziecię, królów córka, wnuczka, prawnuczka, królów siostra i królowych, dziś sierota, opuszczona, sama jedna, biedna tak, że dla kawałka chleba srebra musi potajemnie zastawiać. Albo to nie okropna pomyśleć o jej losie!

Gdy na którego z nas biedaków, pospolitych ludzi padnie takie nieszczęście, toć jeszcze! ale pomazańców bożych dziecko! w takim osieroceniu, pod taką dolą ciężką! Nie powinniśmy wszyscy się ująć za nią, a choćby ginąć dla niej!

— Tęgiś — przerwał Bobola. — My! my! a cóż my możemy, choćbyśmy i poginęli?

— E! e! — wyrwało się Talwoszowi. — My! my! toć przecie szlachta jesteśmy, a w królestwie tem coś znaczymy. Ani ty ani ja nic nie zrobimy, ale trzeba budzić i nawiolywać.

Panowie senatorowie klucze trzymają, my pięści mamy.

— O ho! ho! — zakrzyknął Bobola — daleko idziesz! Pleć tylko tak, pleć, i królownie się przysłużysz i sobie.

— Nie może być ażeby sprawiedliwości nie było na świecie! — wołał Talwosz rozgoryczkowany.

— Czekajmyż na nią!

— A tymczasem królowna Anna bez opatrzenia, głodem niechaj mrze i ze wstydu, że ją poniewierają! — wykrzyknął Talwosz. — Cóż tu się dziwować, że dziewczyna głowę traci, patrząc na to! Mnie się też wnętrzości burzą.

Porwał się Talwosz i żywo po izbie biegać począł.

— Trzeba radzić! nic nie pomoże.

Bobola się ironicznie uśmiechał.

— Gdyby cię ksiądz podkanclerzy Krasieński do rady wezwał — rzekł — nie żleby było, a no, wątpię żeby mu to na myśl przyszło.

Talwosz stał zadumany ponuro.

— Patrząc — odezwał się jakby żarciku Boboli nie dosłyszał — lada dzień ztąd chorego króla wywiozą do Tykocina lub Knyszyna Bóg wie dokąd, cóż się naówczas z królowną stanie? W Warszawie pozostać, gdy tu powietrze albo już przyszło, albo jutro nadejdzie, niepodobieństwo, bo to wyrok śmierci na nią. Dokądże wyjedziemy i o czym?

— Nie wiem — odparł Bobola — ale mi się widzi, że ani ty, ani ja, ani piękna Dosia Zagłobianka, choćby latała do pana Karwickiego, do Żalińskiego, do podczaszego nawet, nie uczynimy nic. Na to trzeba większej siły. Więc po co się rwać?

Talwosz zwątpiwszy ażeby towarzysza przekonał, tchnął piersią całą i rzucił się z impetem wielkim na swój tarczan.

Bobola z wolna wstał, poszedł do dzbana wody sobie nalać, napił się, wąsy otarł i nic nie mówiąc, legł także na posłanie.

W komnacie ogień, jakby czekał na to, przygasł zupełnie i karmazynowe tylko węgle z pod popiołu jak rubiny świeciły.

Gdy z rana wstawszy Talwosz się ubrał i wyszedł się około dworu rozpatrzyć, raniejszą jeszcze od siebie Dosię Zagłobiankę znalazł już stojącą w progu, na rozmowie z ochmistrzynią i starą sługą królowej Żalińską.

Szeptaly obie, tak smutne mając twarze, iż Talwoszowi na myśl przyszło spytać czy się co złego nie stało.

Dosia Zagłobianka cała czarno ubrana, ale w smutnej tej odzieży tak cudnie piękna, iżby ją nikt za sługę nie wziął, ale za wysokiego rodu panią — z pańską też dumą nosiła strój ten skromny i ubogi.

Po dniu dopiero ta piękność, o której sobie wczoraj rozpowiadali Bobola z Talwoszem, w całej swej świetności się okazywała.

Czarnowłosa, czarnooka, biała ale z odcieniem jakimś płci brunatnym, świeża, rysy miała nadzwyczajnej czystości i wielkiego wdzięku, chociaż coś w nich niemal męskiego, zuchwałego, dziwnego w tak młodem dziewczęciu uderzało.

Dumna była i wyzywająca, jakby nieustannie bronić się była zmuszoną.

Twarzyczka zawsze piękna, pod naciskiem myśli i uczuć mieniła się co chwila i była w ciągłym ruchu, to się rozpogadzając, to zachmurzając naprzemiany.

Kibić, włos bujny, rączka i nóżka, wszystko odpowiadało obliczu.

Zdawała się jakąś przebraną księżniczką, tak wybitnie arystokratyczną miała powierzchowność, chociaż się nie starała o nią.

Talwosz, na którym czyniła wrażenie istoty jakiejś wybranej, stawał się przy niej pokornym i nieśmiałym, choć mu zwykle na energii nie zbywało.

Żalińska ochmistrzyni, zdawna przy królownie Annie w usługach będąca, była jedną z tych długą powolnością zepsutych sług, które przewodzą i dziwaczą, więcej o sobie niż o pani myślą, mało się na co zdają a wiele kosztują. Anna królowna ulegała jej przez wdzięczność i z nałogu, obawiała się nawet, dawała na siebie gderać i wyrzekać i wszystko od niej przyjmowała. Ona, mąż, syn więcej na dworze przewodzili niż należało, a wiernością swą i przywiązaniem oczy nieustannie wykałali.

Rozmawiały z Zagłobianką po cichu, nachylone ku sobie, zajęte czemś mocno i strwożone; Żalińska jak zawsze skarżyła się na królownę, broniła jej Dosia — gdy Talwosz przybliżył się do nich z zapytaniem.

— Nie ma tam co nowego, na coby radzić potrzeba? Nie mogę ja służyć czem?

Żalińska skrzywiła się, patrząc na niego z ukosa.

— Nowego nie ma nic — rzekła kwaśno — i stara bieda dosyć dokucza. Wszyscy głowy tracimy, a królowna nad sobą i nad nami litości nie ma, dziwaczy i płacze, a płacze...

Dzień łzami poczyna, wieczorem skończywszy go płaczem.

— Wracam z zamku, od oboźnego — dodała Dosia nie patrząc na Talwosza. — Król i dziś ma się coraz gorzej, ani doktorowie, ani czarownice nic nie mogą, a o widzeniu się z siostrą słuchać nie chce.

— Na rany Chrystusowe — przerwała Żalińska gwałtownie, ręce załamując — nie może to być! Widzieć się musi, pojednać się, obmyśleć coś dla niej! Nie ma się znowu czego tak trwożyć, jak królowna, a wy jej strachu dodajecie, gdy ją trzeba zgromić i uspokajać.

Nie dokończywszy nasrożyła się ochmistrzyni.

— Nie do nas należy gromić! — odezwał się Talwosz. — Ale jeśli trzeba co czynić, powiedzcie mi dokąd mam iść, będę kołatał, dobiję się bodaj do samego króla.

Dosia spojrziała na niego teraz dopiero.

— Czekajmy, co królowna każe — odezwała się.

Wszystko troje zamilkli a Żalińska burczała coś sama sobie, gdy wtem do jednego z okien, z wewnątrz pukać zaczęto i Talwosz dojrzał za szybami białą rękę, która mu dawała znaki.

— Zdaje się, że królowna mnie woła — odezwał się.

Żalińska i Dosia usunęły się a Talwosz śpiesznym krokiem wszedł do sieni i skierował się w lewo do antykamery, od której drzwi do dalszych izb stały otworem.

W pierwszej z nich czekała na niego królowna Anna.

Tu ona zwykle przyjmowała niewielu ją odwiedzających, a nic nie dozwalało domyśleć się mieszkania córki i siostry królów, tak komnata skromną była i ubogą. Przysłałaby ledwie zamożniejszemu mieszczaninowi.

Obicia na ścianach nie było żadnego, sklepienie przyciemniałe i niskie dawało jej cechę klasztorną i ponurą, okna, z błonami w ołowiu dawno nieoczyszczanymi, skąpo przepuszczały światła. Stół w pośrodku stojący okrywał kobierczyk wytarty i splowiały. Kilka krzeseł ciężkich, ławy pod ścianami okryte lichem, a za całą ozdobę w głębi rodzaj ołtarzyka, na którym stał krucyfiks i dwa dzbanuszki z kwiatami — to było wszystko.

Anna Jagiellonka w czarnej, faldzistej sukni, jakby zakonną przypominającej, z łańcuchem na szyi, przy którym był krzyżyk złoty, z głową odkrytą, na której koronkowa, przejrzysta zarzucona była zasłonka, związana pod brodą, chusteczkę białą trzymając w ręku, czekała w pośrodku izby na Talwosza.

Pomimo oczu łzami zmęczonych i bladej twarzy, miała jeszcze resztkę młodości, i lat, których doszła, domyślać się nie było można.

Wyraz wielkiej, tłumionej boleści czynił ją sympatyczniejszą jeszcze.

W obliczu tem zmęczonem życiem, nadziejami i rozpaczą, pragnieniami i upokorzeniami, ofiarami i niewdzięcznością, tyle się łączyło z sobą znamion różnych przeszłości i terażniejszości, iż trudno było właściwy jej charakter odgadnąć. Energia i zwątpienie, słabość i siła jakby prądami gorączki i zimna przepływały po licu.

Niecierpliwe drżenie dostrzegł Talwosz zbliżając się ku niej z uszanowaniem.

Zaledwie dała mu się pokłonić.

— A! Talwoszu mój! — odezwała się głosem poruszonym, w którym łkanie tłumione czuć było. — Talwoszu mój! Radź i ratuj, nie mam nikogo. Co tu począć, król coraz gorzej.

— Miłościwa pani — przerwał Talwosz żywo nie chcąc się jej dać rozżalać — pewny jestem, że tam u króla JMości co panna Dorota przez oboźnego uczynić mogła, to zrobiła jak najlepiej. Wiem że obiecali dopilnować, aby o W. K. Mości nie zapomniali. Nie może to być, lada chwila odbierzemy wiadomość.

— Ale nim to nastąpi — rzekła królowna głos zniżając — mój Talwoszu, na utrzymanie mego szczupłego dworu, choć jak oszczędne, nie mam nic. Nikt o moich potrzebach nie myśli.

Ja dla siebie nie wymagam wiele, gotowam suszyć o chlebie i wodzie, Bóg widzi, ale mi wstyd ludzi... dla tej dostojności córki królewskiej, siostry królewskiej, którą dźwigac muszę.

Zbliżyła się parę kroków do Talwosza i obejrzała dokoła.

— Przed wami ja się ukrywać nie potrzebuję — dodała — tyś wiernym naszym sługą.

— I żywot gotowem dać aby tego dowieść — gorąco zawołał Talwosz.

— Na wiarę u ludzi brać nie mogę, a u mnie już w całym domu talara jednego nie ma — poczęła Jagiellonka. — Pożyczać nie widzę u kogo, prosić się nie nauczyłam, trzeba potajemnie część srebra zastawić, ale nikt, na świecie nikt wiedzieć nie ma, że ono mojem jest.

Gdy to mówiła głos jej drżał i oczy napęłniały się łzami. Talwosz stał strapiiony, z oczyma wlepionymi w podłogę.

— Chodź za mną — odezwała się królowna.

Posłuszny Litwin powlókł się smutnie za królowną, która pośpiesznym krokiem skierowała się ku drzwiom w głąb wiodącym i prowadząc go za sobą, doszła do małych drzwiczek zamkniętych, wgłębionych w murze sypialni. Otworzyła je kluczem dobytym z kieszeni, i po dwu wschodkach wprowadziła Talwosza do bardzo szczupłej komórki o jednym zakratowanym w górze okienku.

Izdebka pusta była i na podłodze jej ceglanej tylko, na rozesłanym sukna kawałku, widać było rozsypane w nieładzie srebrne misy, kubki, dzbanki, nalewki i puhary. Jak gdyby je niespokojna ręka jakaś niedawno przebierała, stały porozdzielane na kupki, powywracane, rozproszone. Nie wiele tego już było.

Królowna wszedłszy na próg, stanęła ręce załamawszy, zamyślona.

— To resztki! — odezwała się do Talwosza — a po większej części pamiątki z lepszych czasów, przypominające różne lata życia. Na niektórych z nich znaki i herby okazują pochodzenie, tych tknąć nie można... inne...

I nie kończąc zakryła sobie oczy. Talwosz, chcąc królownie oszczędzić bólu, schylił się ku tym naczyniom.

— Wybierz mój Talwoszu z tych co są na prawo — odezwała się Anna — weź jak najmniej, a przynieś jak najwięcej, ale nie sprzedawać nic. Pozbywać się nie mogę.

Daj w pewne ręce aby to nie przepadło, wykupię jak tylko będę mogła... ale dziś, nim siostra moja Brunświcka coś nadesłać raczy, nim się od Czarnkowskiego doczekam, nim się król ulituje, ludzi głodem morzyć nie mogę, a i odprawić ich wszystkich nie godzi mi się.

Talwosz przyklęknawszy na podłodze, to przebierał rękami misy i dzbany, to się cofał, żał mu było dotknąć tych pamiątek, a i założenie ich bezpieczne nie sądził łatwym.

Królowna sparszyła się o drzwi, nie patrzyła już na niego.

Po chwili tylko szepnęła:

— Śpiesz się, pokaż mi, co wybierzesz. Kawalek sukna znajdziesz tu w kątku. Zawinił aby nikt nie widział. A! wstyd mi wielki.

— Miłościwa pani — odezwał się nareście Talwosz — tymby się wstydzić trzeba, co was do tego przywiedli.

Pójdę zaraz na miasto, żydów się boję, znajdę może poczciwego mieszczanina.

— Umów się proszę aby to nie przepadło — dodała królowna głosem drżącym.

Żal chwycił ją za serce, gdy ujrzała Talwosza kilka mis i kubków zawijającego i wybuchnęła:

— A! Zajączkowskiej, którą wzięła prawie bez koszuli, nie zbywa dziś na niczem w Witowie.

Placz mówić jej nie dał. Talwosz pośpiesznie zawinawszy srebra, stał już gotowy do wyjścia.

— Referendarz Czarnkowski pewnie przybędzie — rzekł, chcąc dodać odwagi strapionej — niech wasza miłość nie lęka się o przyszłość, o srebrach żywa dusza wiedzieć będzie. Lada chwila z królem też pewnie się widzieć będzie można, a on opatrzeć musi.

— Daj to Boże, bo się siły wyczerpują — szepnęła oczy ocierając królowna. — Idź, mój Talwoszu, spraw się jak należy, a nie opuszczajcie wy mnie, których już tylko garstka pozostała wiernych.

Królowna zamykała drzwi komory. Litwin stał przed nią z węzłkiem pod pachą.

— Słówek mi dozwólcie rzec miłość wasza — odezwał się po namyśle. — Co tu pomoże lzy lać, gdy należy o swe prawa się upominać śmiało. Wasza miłość zbytkiem powolności i dobroci uzuchwiliłaś niegodziwych ludzi, a i królowi JMości, jako siostra, mogłaś rzec śmielej słowa prawdy.

— Przystępu nie mam za temi złemi, którzy go opanowali — rzekła Anna.

— Nie prosić więc teraz o to, ale się domagać trzeba — odparł Talwosz. — Jam mały człek, ale mi na odwadze nie zbędzie, gdy tylko rozkazy otrzymam. Pójdę przebojem choć do króla JMości.

— Gdyby zdrowszym był — przerwała cicho królowna.

— Właśnie dlatego, iż chory niebezpiecznie, zwlekać nie można — dodał Talwosz.

Anna chciała się tłumaczyć ze swej powolności.

— Dosi obiecano, iż mi posłuchanie wyrobią — rzekła — czekać już trzeba cierpliwie.

— Lecz jeśli zawiodą i nie doczekamy się — rzekł Litwin burząc się — niech miłość wasza ręce rozwiąże, ja pójdę i nie może być, żebym posłuchania nie wyrobił. Posłyszają ode mnie faworycy i zauszniczy czego od nikogo nie słyszeli.

Złękła się Anna i składając ręce, zawołała szybko.

— Tylko mi się bez zezwolenia nie wrywaj, nie chcę nic gwałtem zdobywać.

Gdy to mówili, Talwosz już stał w progu pierwszej izby.

— Idź, śpiesz — dokończyła królowna — zrób to com ci zleciła, ale więcej nic. Bóg łaskaw ulituje się nademną.

Tak odprawiony Litwin, znalazłszy się sam z węzłkiem pod ręką w posłuchalnej komnacie, zwolnił kroku, obejrzał się. Musiał teraz obmyśleć środek jakiś wymknienia się ztąd niepostrzeżonym.

W antykamerze nie było nikogo, a małe drzwi wiodły z niej na korytarz, gdzie się nie spodziewał spotkać z żadnym ze dworu sługą, bo ich tu niewiele pozostało. Wymknął się więc, uchodząc niemal jak złodziej i szczęśliwie dobiegł do swojej izby, w której towarzysza Boboli nie zastał. Było mu to właśnie na rękę.

Zaryglowawszy drzwi, mógł swobodnie zabrane srebro zwinąć i ułożyć tak, aby jak najmniej miejsca zabrało, okrył je wołokiem i obwiązał rzemieniem od uprząży. Węzeł mógł się wydawać częścią jakąś stajennego przyboru.

Tak się dopiero przygotowawszy, drzwi otworzył i chłopaka od stajen zawołał, sam się ubrawszy jak do miasta.

Nim przestąpił próg, poczciwy Talwosz przeżegnał się krzyżem świętym. Znał on siebie, gorączka był i przy najlepszym sercu do spraw, które przebiegłości i cierpliwości wymagały, nie zdał się bardzo, ale ufal w pomoc Bożą.

Poszanowanie i miłość dla nieszczęśliwej królownej, a może i rozkochanie w Dosi, u której łaskę mógł sobie zaskarbić najłatwiej, służąc jej pani, dodawały mu odwagi.

Rażno więc wyruszył przez podwórcę na miasto, stajennego z węzłem na ramieniu prowadząc za sobą.

W podwórcach teraz ruch już był wielki i ludzi się płątało mnóstwo; przejść nieopstrzeżonemu trudno było, lecz nikt nie spytał Talwosza co za nim niesiono, a znano go też z opryskliwości i zaczepiać nikt nie miał ochoty.

Tak szczęśliwie do głównych już wrót od strony Krakowskiej Bramy się dostał, gdy Pudłowski, jeden z królewskich dworzan, go pozdrowił.

— Z czymżeście się to w miasto tak rano wybrali? — spytał, ciekawemi oczyma mierząc pacholę.

— Zechcieliście, rupiecie potrzeba do podróży połączyć — odparł Talwosz.

Pudłowski głową tylko pokręcił i ciekawą ręką chciał węzełek obmacać, gdy Litwin tak mu nad uchem zaryczał: Wara! — że musiał się cofnąć.

— Dajcie pokój moim rupieciom — krzyknął — ja pewnie z zamku nie wyniosę co do mnie nie należy. Pilnujcie lepiej swoich towarzyszków.

Zamruczał coś śmiejąc się kwaśno Pudłowski — i na tem się skończyło.

Talwosz wyszedł z chłopcem na miasto, ale gdzie się tu było obrócić?

Obcy w Warszawie, poczuł, że bez rady czyjejs nie potrafi nic.

Posądzić go też łatwo było, a na samą tę myśl krew mu twarz oblewała. Stał trochę w ulicy, nie wiedząc spełna dokąd się obróci.

Z gorącej chęci usłużenia królowi podjął się tego, co mu teraz bardzo trudnym wydało się do spełnienia.

Rozmyślał jeszcze, gdy poczuł, że mu ktoś rękę na ramieniu położył i pozdrowił go łagodnym głosem po chrześcijańsku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Przed nim stał, od kościoła Panny Maryi idący, w wytartej sutannie księżyna, słuszny, blade, z twarzą niepiękną, której rysy nieforemne były i grube, ale nadzwyczaj łagodne i pełne jakiegoś miłosierdzia. Był to ubożuchny wikaryusz Stępek, którego Talwosz znał i cały dwór królowej, bo często do gawiedzi i służby zaglądał, za obowiązek mając szczególnie biednych i mało oświeconych pocieszać, uczyć i nawracać. Było to jego powołanie.

Sam, syn ubożuchnego włościanina, sierota, z trudnością wielką dobił się tego, iż mógł kapłanem zostać i poświęcić się też temu ludowi, którego czuł się bratem.

Nie stary jeszcze, zahartowany życiem, ksiądz Stępek żył jedynie powołaniem swoim i spełnianiem obowiązków wziętych na siebie dobrowolnie. W kościele wszyscy, od proboszcza począwszy do zakrystyana, na niego wszelkie ciężary zrzucali. On ubogich grzebał bezpłatnie, on szedł do biednych umierających w słotę po nocy, on siadywał przy trumnach, śpiewał i modlił się, gdy inni nie chcieli.

Dla siebie nie potrzebując tak jak nic, w sutannie wytartej chodząc, poszcząc niemal ciągle, zawsze wesół i spokojny, ks. Stępek budził w jednych litość niemal sztyderską, w drugich poszanowanie.

Widywano go tam, gdzie rzadko się duchowni spotykać zwykli, po Rynkach, po szynkach, wśród ciżby, niosącego słowo Boże, rozbijającego zwaśnionych, jednającego pokłóconych, nawracającego obłąkanych.

Łagodny zawsze, miewał czasem ks. Stępek wybuchy pobożnego gniewu tak straszne, iż się go obawiano. Lud bowiem miał go niemal za świętego człowieka, który o sobie zapominając, z prawdziwie apostołską gorliwością służył braciom, o których inni nie dbali.

Zdawało się Talwoszowi, iż mu chyba Opatrzność zesłała w tej chwili tak świętego człowieka i pochwycił rękę jego, całując ją radośnie.

— A dokąd to? — zapytał wikary.

— Żebyśmy wiedział! — odparł Litwin, odprowadzając nieco księdza na stronę. — Wy może ojciec kochany, powiecie mi, dokąd iść. Wam się ja zwierzyć mogę. Królowa mnie posyła! Nie mamy ani grosza w domu... biedna pani srebra mi potajemnie zastawić kazała w miejscu bezpiecznym. Sam nie wiem dokąd udać się z niemi.

Ksiądz Stępek podniósł ogromne swe ręce do góry.

— Królowa! potrzebuje srebra zastawiać aby chleba kupić? Królowa! — zawołał przejęty i przestraszony. — Możeż to być! O! dopuście Boży! za grzechy ojców, niewinna ofiara! A dworki chodzą w łańcuchach i jeżdżą w kolebkach wyzłacanych a wszeteczniczy pieniędzmi sypią się grzech i zgorszenie.

Podniósł oczy, które mu łzami zaszkły, ku niebu.

— Ojcie mój — przerwał Talwosz — na miłość Bożą, nie mam chwili do stracenia, radź jeśli możesz lub dozwól mi iść, bo na mnie czekają z powrotem.

Zamyślił się duchowny, wodząc oczyma dokoła. Wtem właśnie z bramy zamkowej ujrzeni wyjeżdżającego na koniu, w towarzystwie kilku zbrojnych dworzan, mężczyznę lat średnich, w polskim stroju, dość wytwornym, który chmurnem wejrzeniem, pokręcając węższą, rozglądał się dokoła. Twarz jego poważna, była miłego wyrazu, ale smutek ją okrywał. Temu się dziwić nie było można, bo nikt naówczas z zamku od króla wesołym nie wyjeżdżał, ani ci co go widzieli schorzałym i na duchu upadłym, ani tacy co się do niego docisnąć nie mogli.

Ksiądz Stępek zobaczywszy jadącego, dał znak Talwoszowi.

— Zatrzymaj się małą chwilę, ja dwa słowa tylko powiem panu staroście.

Posłuszny Litwin, który poznał w jadącym starostę warszawskiego Zygmunta Wolskiego, choć nie rozumiał dlaczego wikary mu czekać kazał, zatrzymał się, a ks. Stępek poszedł żywo ku przyjeżdżającemu.

Wolski stanął i począł z wikarym rozmawiać, który wkrótce znak dał Talwoszowi, aby się przybliżył.

Zaledwie miał czas pozdrowić go Litwin, gdy starosta, pochyliwszy się ku niemu, szepnął:

— Przychodź zaraz do mnie, na starościński dwór, wiesz, ułatwimy co potrzeba. Dzięki Bogu, że się to tak złożyło. Trzeba było wprost przyjść do mnie.

To mówiąc Wolski skłonił się księdzu, głową skinął Talwoszowi i konie puściwszy pojechał dalej ze swoim orszakiem.

Stępek tymczasem Talwoszowi szeptał na ucho.

— Ani słowa więcej nikomu, idź do starosty.

— Ale, na Boga! — przerwał Talwosz — tym sposobem się tajemnica wyda, o której nikt wiedzieć nie powinien.

— Starosta jej nie zdradzi, ja go znam — zawołał ks. Stępek. — Mów z nim szczerze, szanuje on królową i rodzinę całą, jemu zaufać możesz. Idź, a śpiesz.

Litwin od niedawna przy królowie będący, chociaż w krótkim czasie energią swą jej zaufanie pozyskał, nie znał zbliżka starosty, ale wiedział o nim, że był prawym człowiekiem i że królowa Anna ceniła go wielce; słyszał że z temi co króla otaczali i obdzierali, nie miał żadnych stosunków — posłuchał więc ochotnie rady ks. Stępka i pośpieszył na dwór pana starosty.

Ten stał jeszcze w ganku i dawał ludziom rozkazy, gdy Talwosz się przystawił, chłopca z węzłem prowadząc za sobą.

Weszli razem do izby wielkiej, w której Wolski zwykł był gości przyjmować. Zwrócił się starosta żywo, szablę odpasując, do Talwosza.

— Na rany pańskie, tak że już u was źle, że srebra trzeba zastawiać aby dwór nie marł z głodu! — zawołał Wolski.

— Nie mogę zaprzeczyć — odparł Litwin — ale to jest i powinno zostać tajemnicą. Zwierzyłem się z tego ks. wikaremu, chociaż prawa nie miałem, niech pan starosta ma miłosierdzie nad sługą swoim.

— Ja nie zdradzę — żywo począł Wolski — bądź spokojny. Więc tak źle, tak źle jest?

— Źle tak, iż gorzej być chyba nie może — przerwał Talwosz. — Litość bierze partkę na królową. Z zamku tysiącami czerwonych złotych wywożą, klejnoty zabierają, a z królową najjaśniejszy pan mówić nie chce, potrzeb jej nie opatruje nikt, ona od rana do nocy płacze i z rozpacz srebrowi i klejnoty zastawia.

Stukamy i kołaczemy dopraszając się rozmowy, posłuchania — i tego się nie można doczekać.

Wolski węższą kręcił namarszczony.

— Zgroza! — zawołał — ale Bóg łaskaw, wszystko się to zmienić musi.

Przeszedł się po izbie dumając i zawrócił do Talwosza.

— Srebra sobie weź nazad — rzekł — ile na nie mogłeś dostać?

— Sam nie wiem — odparł Litwin. — Sreber w żadnym razie zabrać nie mogę, bo by się wydało żem tajemnicę zdradził, a królowaby mi nie przebaczyła. Idzie jej o cześć królewskiego domu. Nikt wiedzieć nie powinien, że jest do tego przywiedziona.

— Pokaż te srebra — rzekł starosta.

Talwosz otworzył drzwi, skinął na chłopca i kazał mu podać węzełek, który sam na stole rozwiązał.

Wolski niemal ze łzami w oczach po jednym brał przyniesione puhary i półmiski, zakrył je szybko sukniem i odezwał się do Talwosza.

— U żydów wątpię abyście na nie więcej nad parę set złotych dostali; tyleż i ja dam, i niech srebra w skarbcu leżą, jeżeli ich nazad zabrać nie możecie... ależ my wszyscy śmiertelni... napiszesz ty mi kwit, a ja waszmości.

Skłonił się Litwin.

— Panie starosto, na rany Chrystusowe, niech nikt nie wie! — dodał cicho.

— Ja dlatego to czynię, aby nie wiedział nikt — odezwał się Wolski — bo mi nietylko królowej żal, ale i mnie też cześć krwi jej droga.

To mówiąc Wolski, wyszedł na przeciwek, zabawił krótko, i przyniósł worek z sobą, a Talwoszowi wskazał miejsce u stołu, dla napisania rewersu.

W kilka minut wszystko było gotowe, Talwosz odetchnął; z poszanowaniem pożegnał starostę i wyniósł się pośpiesznie nazad na zamek, rad że mu się szczęśliwie udało spełnić zlecenie...

Chłopaka odprawivszy przodem, sam z workiem za pazuchą, już był na drugim podwórzu, niczyjej szczęściem, nie zwróciwszy uwagi na siebie, i miał zaraz opowiedzieć się do królowej, gdy Zagłobianka zaszła mu drogę.

Zmierzyła go oczyma bystremi, z których mógł wyczytać, że wiedziała z czem chodził, a chciała się dowiedzieć jak powracał.

— Dzięki Bogu — szepnął kłaniając się jej Talwosz — wszystko dobrze mi się powiodło.

To mówiąc, ręką uderzył po worku, który miał za suknią.

Dziewczę nie mówiąc słowa, wzrokiem mu tylko podziękowało.

— Jest kto u królowej? — zapytał Talwosz.

Dosia ramionami poruszyła.

— Nie ma nikogo — rzekła — wiedzą ludzie, że się tu niczem pożywić nie można, rzadko też kto zajrzy. Idź waćpan...

Wejrzenie dziewczęcia zdawało się Litwinowi płacić za wszystko, tak mu się twarz wyjaśniła. Nie miał nawet czasu namyśleć się, jak skłamię przed królową, gdy go zapyta, co ze srebrem zrobił, i wbiegł do posłuchalnej izby.

Anny tu nie było, chodziła po drugiej komnacie z Żalińską coś radząc po cichu, a zobaczywszy Talwosza, z uśmiechem pośpieszyła naprzeciw niemu do progu.

— Uwinąłeś się waszmości! — rzekła, mierząc go oczyma, aby wiedzieć, czy przyniósł co z sobą.

Talwosz dobyty worek położył na stole, kłaniając się, i cicho szepnął ile przyniósł.

Zdziwiła się trochę królowna.

— Tak wiele? — spytała, nieco wahając się i badając go oczyma.

— Poszło na wagę — skłamał Talwosz — i tyle wypadło...

— A pewneż są srebra?

— Ja gardłem za nie stoję — odezwał się Litwin.

Królowna Anna, której pilno było bardzo, drżącymi rękami podała Żalińskiej worek, skinieniem dziękując Talwoszowi.

— Bóg niech ci zapłaci — rzekła — bo ja nie wiem, czy kiedy wdzięczność moja waszmości okazać potrafię.

Litwin skłonił się aż do ziemi... Obawiał się, aby go królowna nie rozpytywała więcej, i natychmiast cofnął się do progu, jakby podziękowań unikał.

Teraz dopiero odetchnął swobodniej, gdy do swej izby powróciwszy, usiąść mógł, czoło otrzeć, i podumawszy przyjść do tego przekonania, że się z polecenia szczęśliwie wywiązał.

Nadchodzący Bobola zastał go siedzącego nad stołem, z daleko jaśniejszym czołem, niż wczora...

Tuż prawie za Krakowską bramą, stała ogromna gospoda dla podróżnych, znana dobrze w owych czasach, bo była niemal jedyną w mieście, do której, czasu pobytu dworu, podróżni z daleka, mianowicie Niemcy zajeżdżali.

Wywieszony na drągu z jednej strony znak, wyobrażał bardzo nieforemnie z drzewa wyrzezanego i biało pomalowanego konia z grzywą i ogonem karmazynowym.

Słoty i pył wprawdzie białego konia szarym i pстрыm uczyniły, a czerwoną niegdyś grzywę i chwost wyblakowały, ale niemniej zwała się gospoda: „pod białym Koniem”. Obok rumaka tego, który w powietrzu dwiema nogami przebierał, na mniejszym drążku była ogromna wiecha, mająca z obowiązku być zieloną, lecz także żółkła i na pół opadła.

Domostwo wielkich rozmiarów, z szopami, stajniami, chlewami i szpichrzami, opasane parkanem dokoła — na oko nie wyglądało wytwornie, ani nawet czysto, ściany miało szare i pobryzgane, okiennice nie szczelne, dach połatany, ale wiadomo było wszystkim, że lepszej gospody i usługniejszego gospodarza nad Barwinka, nie było w Warszawie.

Barwinek miał szczególnie przywilej przyjmowania u siebie podróżujących Niemców, z którymi w ich języku macierzystym mógł się rozmówić, czem był dumnym. On sam utrzymywał, że z biedy coś niecoś i łaciny miał w zapasie na nieprzewidziany wypadek.

Oprócz tego gospodarz w osobie swej łączył jeszcze — z powołania — rzeźnika, i mówiono, że zawód swój począł od zabijania, nim się wziął do karmienia. Postać Barwinka, który fartucha i noża z zapasa nigdy we dnie nie zrzucił, odpowiadała w zupełności tradycjom cechu, do którego się liczył. Ogromnego wzrostu, ramion i szyi silnych jak u żubra, twarzy okrągłej i rumianej, połyskujących policzków, Barwinek był niezmordowanym w pełnieniu swych dwoistych obowiązków. Przez cały dzień na nogach, gęby też nie żałując, chodził, biegał, krzyczał, i nie raz pięści względem czeladzi zażywał.

Z gospody swej, choć wiele może zostawiała do życzenia, bardzo był dumnym. Na dole mieściła się olbrzymia izba wspólna dla ogółu podróżnych, która zarazem i kuchnię zastępowała, gdyż w głębi jej na ogromnym kominie, w oczach gości przysposabiały się potrawy, które im Barwinek podawał.

Przy kilku stołach jedzono tu i zapijano od świtu do późnej nocy. Kilka zabrukanych kobiet ledwie usłużyć starczyć mogło. Naprzeciw znajdowała się rzeźnia, z okiennicą wywieszoną na ulicę, na której i przy niej mięsiwo świeże wywieszano. Przez szerokie wrota w pośrodku wchodziło się do stajen i do dalszych izb i komor na tyłach. Wschody stare i wychętane prowadziły ztąd na strychy i na górę, gdzie izb kilka było dla podróżnych, co lepiej zapłacić mogli i na szczególne względy zasługiwali.

Bywały czasy, iż w gospodzie pod białym koniem panowała cisza, i Barwinek na ławie mógł się zdrzemnąć przy kufelku piwa, ale gdy dwór zawitał do Warszawy, trudno się tu było docisnąć.

Niemcy, którzy z cesarstwa często przybywali, od księżnej Zofii z Brunświku, od książąt pruskich, wszyscy tu się mieścili, a choć kto dostojniejszy na zamku miał kwatere, konie i poczet pod białym koniem zostawiał.

Z Mazowsza też i innych ziem, kto przybywając do Warszawy, u mieszczanina znajomego, albo w klasztorze nie miał gospody, musiał się wpraszać do Barwinka.

W niemalą też dumę wbijało to gospodarza, iż świat i ludzi znał, a lepiej był oświadczeniem ze wszystkim, co się gdzie działo, od innych.

Nieraz panowie radni, burmistrze i mieszczanie, chcąc się czegoś dowiedzieć, do Barwinka ciągnęli, a o kim on nie dał dobrego świadectwa, temu nie ufano.

Skarzyli się cudzoziemcy szczególnie na niego, iż przy obrachunkach litości nie miał nad niemi i słono sobie płacić kazał, ale Barwinek powiadał, że darmo pracować nie mógł i za te pieniądze spokój swój sprzedawał.

Mało z kim i z jakiegokolwiek narodowości człowiekiem, choćby najopryskliwszym, najbutniejszym, nie dał sobie rady Barwinek. Wiele zimnej krwi w początku, a potem żelaznego uporu, w tem mu posługiwało. Ludzi z aspektu, z przyborów, ze stroju, z miny, a jak powiadał, nawet z ucierania nosa, nauczył się poznawać tak, iż mu nie wiele czasu było potrzeba, aby wiedzieć jak ma postępować z niemi.

Milczący w pierwszych godzinach, gdy swojego podróżnego raz spenetrował, grał na nim jak na znajomym instrumencie. Z każdym niemal postępował inaczej, a mało kogo potem nie wysmiał...

Nie pochlebiał i nie płaszczył się nikomu, a dumnym kłaniał się nisko, ale im potem za to płacić sobie kazał.

— Kiedyś wielki pan, doładźże mieszka! — powiadał.

W tej porze, gdy się nasze opowiadanie poczyna, Barwinek, jak rzadko, chodził posępny i nie kontent z siebie. Chłopcy mogli to poznać po własnych plecach, podróżni po usposobieniu milczącym. Dziewki, posługujące w wielkiej izbie, uchodziły na sam widok jego, tak biegał zły i kwaśny i niczem mu dogodzić nie było można.

Przyczyną tego było upokorzenie. Rzadko się kiedy trafiło Barwinkowi, aby kogoś do dwóch dni nie poznał, nie wiedział, jak się z nim obchodzić i z kim miał do czynienia.

Tymczasem już cztery doby mijało od czasu gdy do niego zajechał podróżny, a Barwinek dotąd nawet narodowości jego zbadać nie mógł.

Na oko wydawał mu się Niemcem, służbę miał niemiecką, konie i wóz na sposób niemiecki przybrane. Sam się nosił jak Niemcy, i uzbrojenie miał jak oni, a okazało się, że po polsku rozumiał i mówił nawet polszczyzną trochę zepsutą, w której czuć było, że ją niegdyś dobrze umiał.

Z Barwinkiem wolał mówić po niemiecku, ale gdy gospodarz się łątał polszczyzną, nie miał najmniejszej w zrozumieniu trudności.

Nazwisko też nie mówiło wiele, słudzy zwali go Ritter von Nemetsch; on sam nazywał się gospodarzowi Niemczkowskim, ale mógł być zarówno Czechem i Polakiem, a Barwinek go nawet za Czecha z początku wziął.

Z pytań, które zadawał gospodarz, wnosił, że niegdyś w Polsce bywał i znał ją dobrze, ale nie dzisiejszego czasu.

Z czem i po co tu przybył, nie mógł też Barwinek odgadnąć ani z niego wyciągnąć. Człowiek był dobrze nie młody, posiwiwały, twarzy opalanej i pofałdowanej, marsowego oblicza, rycerskiej postawy i obyczaju. I on, i służba żołniersko wyglądali, a karność między czeladzią była wielka.

Okolo tego Niemczkowskiego wyglądało dostatnio wcale i sobie ani ludziom nie skąpił; ale co on tu robił, dlaczego przesiadywał, w tem sęk był dla Barwinka.

Pocieszał się tem tylko, że prędzej czy później dojsć tej tajemnicy musi.

Zrana podróżny wychodził zwykle na miasto, a choć go śledził gospodarz, wysuwając się za nim, nie mógł dojsć gdzie przez cały dzień przebywał. W rozmowy się nie rad wdawał i za język pociągnąć nie dopuszczał.

Wiedział Barwinek, że i na zamku bywał ów Niemczkowski, ale u kogo?... dojsć nie potrafił.

Najbardziej zagadkową była mowa jego, w której czasami najdoskonalsza brzmiała polszczyzna, to znów słów i wyrażeń brakło nagle, tak że się niemieckimi posługiwać musiał.

Żeby się tak Polak dał przerobić na Niemca, to się Barwinkowi w głowie pomieścić nie mogło. Znał on takich wielu, co w służbie u cesarza, u króla rzymskiego, u księżnej Brunświckiej bywali, ba nawet w Szwecyi przez długie lata z królową Katarzyną przeżyli, a języka przecie własnego nie zapomnieli i stąpiwszy na rodzinną ziemię, zaraz łatwość mówienia nim odzyskiwali.

Niemczkowski zaś już dziś lepiej po niemiecku i łatwiej się wyrażał niż po polsku, więc, zdaniem Barwinka, Polakiem być nie mógł.

Piątego dnia pobytu owego zagadkowego podróżnego w gospodzie pod białym koniem, zdziwił się niepomału gospodarz, gdy zrana ujrzał znanego sobie z widzenia rotmistrza Bielińskiego, przychodzącego i zapytującego wprost o Niemczkowskiego.

Trafił z tym zapytaniem na samego Barwinka, który nisko się pokłoniwszy, skorzystał ze zręczności i spytał.

— My tu mamy tylko Rittera von Nemetsch! miałzeby to być Polak Niemczkowski? Bieliński się rozśmiał głośno.

— A juści nie kto inny jest, tylko szlachcic polski, Niemczkowski.

— No, proszę! — odparł Barwinek — a języka rodzzonego tak zapomniał!!

— Ba! — zawołał Bieliński — co za dziw, gdy może przez te lat dwadzieścia i kilka, jak Niemcom i cesarzowi służył, nie wiem czy go raz w rok przy świętej spowiedzi używał!! Zapiisał to sobie Barwinek w pamięci i z tem większą ciekawością przypatrywał się gościowi swemu.

Rotmistrz tego dnia poszedł szukać dawnego znajomego aż do izby na strychu, i tam się między nimi zawiązała następująca rozmowa.

Niemczkowski z początku mówił ciężko i połamaną polszczyzną, dopiero, gdy się z Bielińskim rozgadał, popłynęła mu coraz łatwiej.

Uścisnęli się w progu.

— Toś mi dopiero gość — rzekł Bieliński. — Gdyśmy cię z oczów stracili, a potem głucho było, jakbyś w wodę wpadł, naprawdę wszyscyśmy cię oplakiwali. Wszak to temu...

— Dwadzieścia siedem lat — przerwał Niemczkowski. — Młoda królowa Elżbieta naówczas, uproszona przez ś. p. hetmana Tarnowskiego, dała mi listy polecające do cesarza na wojnę francuską. Chciałem się rzemiosłu rycerskiemu u obcych przypatrzeć i ani mi się śniło tam zagnieździć.

Cesarz Karol V. przyjął mnie jak nie można lepiej i dał w wojsku pomieszczenie. Prawda, że w początkach ciężko było i z mową i z obyczajem się oswoić a do nich nałamać, ałem młody był i chciwy uczyć się, a wojsko całe, bodaj nawet te lancknechty ich, tak się od naszego różniło, iż mi się korzystać pragnęło, aby co do domu przywieźć. Więc jąłem się do ich oręża, do sukni, do zbroiczki, i na podziw mi się poszczęściło...

Ludzie też mnie polubili z tego, że zapamiętały był a dziarski...

Cóż powiecie? Od roku do roku, jakem się z nimi żył, a w domu z rodziny nikogo nie było, zasiedziałem się aż po te czasy.

Niemczkowski nagle oczy spuścił, i zawahał się, jakby mu się do czegoś przyznać było nie łatwo.

— Trochę w tem i babska chytrość była winna — dodał — polubiłem w Wiedniu dziewczynę i musiałem się żenić...

Bieliński parsknął.

— Domyślałem się — rzekł — inaczej byś tam nie wytrwał tak długo.

— A! piękna bo była, piękna, krew z mlekiem! wesola i rozumna — mówił Niemczkowski — opętała mnie... Panie świeć nad jej duszą, bo już nie żyje. Dopiero po śmierci żony tęskno mi się do kraju zrobiło, choć w nim tak jak nikogo już nie mam.

Pamiętacie rotmistrzu, młodemi byliśmy oba... dwadzieścia siedem lat... król Zygmunt panował jeszcze... królowa Elżbieta żyła... Jak się tu u was w Polsce wszystko zmieniło! Nic nie rozumiem, nikogo nie znam... Naówczas gdy jechałem na dwór Karola V., nasz Zygmunt Stary chorzał i rychłą mu śmierć przepowiadano, a teraz, słyszę, August też bez nadziei życia... i... bez potomka!

Szlachcic ziemczwały powiódł oczyma po zamysłonym rotmistrzu, jakby chciał odgadnąć co odpowie, i urwał czekając; ale Bielińskiemu smutek nie dał rychło przyjść do słowa.

Milczeli tak dobrą chwilę. Rotmistrz podniósł głowę.

— Słuchajno, Niemczkowski — rzekł — nie kryj się przedemną. Dwadzieścia siedem lat nie byłeś u nas i nie pilno ci było, teraz nagle ochota przyszła... Przyznaj się otwarcie... wysłano cię na zwiady?

Cesarz ma wielki apetyt na Polskę?

Niemczkowski rzucił się tak gwałtownie, usłyszawszy to pytanie, jakby w niego piotrun uderzył; stanął przerażony niemal.

— W imię ojca i syna! któż to powiedział? — krzyknął.

Bieliński śmiał się.

— Nikt nie mówił, ale ja cię o to posądzam — rzekł. — Kręci się tu różnych ludzi siła i od Szweda, i od cesarza, i od Francuzów, a w Litwie od cara. Cesarz ma dużo swoich u nas... naturalnaby rzecz była, gdyby i z ciebie chciał skorzystać.

Pan Zygmunt — tak było imię Niemczkowskiemu — nie odpowiadając, węża zagrzał; w twarzy widać było jakieś wahanie i obawę.

— Gdzieżby znowu mieli takiego małego jak ja człowieka posyłać — odezwał się — nie na wieleby się im przydało. Ałem ja tyle lat cesarzom służył, napatrzył się ich potęgę, że sam z siebie, gdybym mógł, gotówbym im pomagać, po dobrej woli.

Więc jak tu rzeczy stoją, rotmistrzu?

Bieliński śmiejąc się poklepał go po ramieniu.

— No! no — rzekł — więcej wiedzieć ja nie chcę. Co do cesarskich zalotów o naszą koronę, niewiele wiem i znam tych rzeczy. Jest tu możnych panów dosyć, co z cesarzem trzymają; prawda, będą tacy, co go za pieniądze zechcą popierać, ale szlachta się boi. Na Węgrzech i w Czechach Niemcy dobrze swobód i przywilejów ukrócili, a my o swoje dbamy. Gdyby nawet kogo z rodziny wybierać chciano, naprzódby się musiał z naszą królową ożenić, a powtóre... dobrzeby go obwarowano, aby nam *absolutum dominium* nie wprowadził.

Szlachta nie lubi Niemca...

Niemczkowski słuchał z zajęciem.

— Ale dla obrony od Turka i Moskala — rzekł — potęga cesarza bardzoby się nam przydała...

— Dotąd myśmy się bez niej obchodzili — odparł Bieliński.

— Któż się więcej do korony swatał? — począł po chwili Niemczkowski.

— O Francuzie mówią — rzekł Bieliński — a ten siłę ma bodaj nie mniejszą, jak cesarz, a groźnym nie jest. Pruski książę pokrewny takżeby rad być wybranym. Litwa chciałaby cara, ale się pono rozmyśli... Są tacy, co o małym synku króla szwedzkiego, z naszej królowej narodzonym, bąkają...

Kto może zgadnąć przyszłość, wszakci król żyje.

— Ale mu życia nie obiecują? — zapytał Niemczkowski.

— Bardzo źle jest — począł rotmistrz. — Nieszczęśliwy pan przez baby popadł i w chorobę i w taki stan, że mu się życia nie chce.

Dziś lub jutro testament ma pisać kazać i pieczętować.

Bieliński sparł się na rękę i łzę otarł.

— W testamencieby mógł wyrazić życzenie co do następcy? — wtrącił Niemczkowski.

— Nie wiem czyby się to na co zdało — ciągnął dalej Bieliński — a mniej niż komu cesarzowi, bo z powodu królowej żal do niego ma. Powtarza to iż umiera bezpotomnym przez niego, gdy mu się wczas rozwieść z żoną nie dano.

Niemczkowski słuchał pilno, nie odpowiedział nic i rozmowa zdała się wyczerpaną, gdy stanąwszy znowu przed Bielińskim spytał.

— Nie słyszeliście tu co o Gastaldim?

Ruszył ramionami rotmistrz.

— Jakim? tym co się na naszym dworze wychowywał?

— Myślę, że ten właśnie jest, bo ich dwu nie znam — odezwał się pan Zygmunt. — Nie ma go tu?

— Nic nie wiem o nim.

Znowu czas jakiś rozmowa nie szła. Niemczkowski przysiadł na tarczanie.

— Cale ja tu — odezwał się — inaczej u was znajduję niż się spodziewałem. Mówiono w Wiedniu, że cesarz potężne ma stronnictwo w Polsce i prawie zapewniony wybór. Tu zaś kogo zapytam, komu o tym napomknę, słuchać o nim nie chce.

Myślałem, że się wam na co przydam, bom się zżył z wielu dworskimi, panami i rycerstwem.

— Ale wszystko to za wczesne — przerwał Bieliński. — Król żyje, Bóg dać może iż się podźwignie.

W ten sposób przerywana rozmowa trwała jeszcze czas jakiś, gdy rotmistrz zapytał Niemczkowskiego, czy długo myślał tu bawić i jaki był właściwie cel podróży, ażali tu osiąść nie myślał.

— Sam nie wiem — odezwał się Niemczkowski — rodzinę mam daleką, która mnie nie zna a ja jej też. Chciałem się w kraju rozpatrzyć na wypadek, gdyby cesarz miał tu jaką nadzieję.

— I wybrałeś się w złą godzinę — dodał Bieliński — gdy powietrze już do Warszawy zagłąda a po kraju się szerzy. Lada chwilę my z królem ztąd wyruszamy.

— Dokąd?

— Nie wiem, ku Litwie pewnie — mówił Bieliński.

— A królowa? — badał Niemczkowski.

— Ją także wyprawia, ale pewno nie tam gdzie król będzie — rzekł rotmistrz. — Ci co przy naszym panu są, nie radzi, aby na ich czynności zblizka patrzano.

Mówiąc to wstał stary Bieliński.

— Do licha mi tu u ciebie w tej izbie pod strychem duszno, albo ty ze mną chodź ztąd, lub ja sam na zamek muszę.

— Weźmiecie mnie z sobą? — spytał wahając się gość?

— Dlaczegożby nie — uśmiechnął się Bieliński. — Najlepszy to będzie sposób przekonania cię jak tu na cesarskich patrzą, gdy ciebie ze stroju i z mowy za jednego z nich wezmą.

Zawahał się posłyszawszy to pan Zygmunt.

— Jeżeli tak — odparł — wolę w gospodzie pozostać.

— Ja mam izbę na zamku — dodał Bieliński — pójdziesz do mnie. Przyjechałeś się rozpatrzyć, a w gospodzie tylko czeladź spotkasz, u mnie zawsze się kto znajdzie. Choćby ci co nie w smak było, lepiej ażebyś się nie ludził.

Wyszli tedy na zamek oba.

Stojący w progu Barwinek pozdrowił ich przechodzących i powiódł za nimi oczyma. Od czasu, jak rotmistrza widział na rozmowie poufalej z gościem swoim, znacznie był uspokojony i miał go już za Polaka. Zaczego Bielińskiego znano jako prawego rycerza, który w żadne potajemne konszachty się nie wdawał.

Nie miał też czasu bardzo się zajmować Niemieczkowskim, gdyż od wczoraj inna i jeszcze osobliwsza figura zjawiła się pod białym koniem.

Ta większą była może dla Barwinka zagadką, niż w pierwszych dniach ów domniamany Niemiec.

Nad wieczór wcale piękna zatoczyła się przed gospodę kolebka, czterema gniademi woźnikami w błyszczącej uprząży ciągniona, ze służbą w barwie, z pacholkami i wozem za nią. Panowie i panie, które naówczas same tylko kolebkami jeździły, do gospody nigdy prawie nie zwracali się. Moźniejsi mieli albo własne dwory lub znajomych w mieście.

Wyszedł Barwinek czapki już zawczasu uchylając i spodziewając się zobaczyć wychylającą z powozu kobietę, gdy dwóch pacholców, zbliżywszy się do stopni, wydobyli z wnętrza kolebki coś, jakby małego wyrostka, dziecko... i postawili go na ziemi.

Figurka ta Barwinkowi zaledwie do kolan sięgała, ale nie było to dziecko, gdyż schyliwszy się dostrzegł ze zdumieniem gospodarz małego, niemłodego człowieczka, karła, ubranego z cudzoziemska, z miną butną, przy mieczyku.

Karły po dworach naówczas nie były osobliwością, miała ich Bona kilkoro, z których dwoje darowała cesarzowi Karolowi; Dosieczkę karlicę zabrała z sobą do Szwecyi Katarzyna, i ta w więzieniu z nią siedziała, Jagnieszkę wzięła księżna Brunświcka, ale karła, któryby sam sobie panem był, kolebką jeździł, sługi miał, barwę i pańsko występował, Barwinek jako żyw nie widział i nigdy o podobnym nie słyszał.

Nie wiedział jak miał się znaleźć, uczyć go, czy sobie równym poczytać. Jeszcze rozmyślał, gdy karzeł coś żywo zaszwarzotał do sługi, a ten zbliżył się do Barwinka i oświadczył mu, że pan jego, podkomorzy królewski (jakiego króla nie mówił) dowiadywał się gdzieby wygodną i piękną gospodę mógł znaleźć, za którą jak należy zapłaci.

— Ale — dodał sługa — lada czem pan nasz nie da się zaspokoić, nawykł do królewskich pokojów, trzeba mu czystych i pięknych izb parę.

Barwinek byłby go chętnie u siebie pomieścił, dla zarobku, lecz miejsca nie było; tarł więc głowę i rozmyślał, a tymczasem zobaczywszy tak ustrojonego karła, gromada się ludzi jak na dziwowisko koło niego i u wrót zebrała, co małego pana mocno niecierpliwiło.

Strasznie był żywego temperamentu, począł wołać na sługi, niecierpliwie się kręcąc — i nim Barwinek się namyślił zaprowadzić go w sąsiedztwo do mieszczanina Sówki, który mógł pięknych parę izb odstąpić, karzeł porwał się nazad do swej kolebki i już precz chciał jechać, rozkazując do dworu starosty, choć pora była spóźniona.

Barwinek ledwie miał czas przypaść i zaofiarował się do Sówki zaprowadzić, a że tam szopy i stajni nie było, dwór i konie małego owego podkomorzego, miały pod białego konia powrócić.

Od ludzi później dowiedział się gospodarz, iż karzeł zwał się Krassowskim, że był szlachcicem polskim z Podlasia, moźnym człowiekiem, i że przez czas długi na dworze królowej francuzkiej bawił, a niedawno do Polski powrócił.

Tegoż dnia rano widziano go z kolebką jadącego do pana Wolskiego starosty, który nie tylko przyjął gościa, ale go od Sówki do siebie na dworzec zabrał z ludźmi i końmi. Około południa potem nadjechał posłaniec ze Szwecyi z listami i ten pod białym koniem stanął, a pod wieczór od księcia Pruskiego dwóch przybyło.

Słowem, nie miał Barwinek spoczynku i wnosił z tego ruchu, jaki się tu objawiał, iż z królem źle być musiało, kiedy się tak dowiadywano pilno ze wszęch stron.

Na zamku dzień ten nie zmienił położenia, ci co bliższy mieli przystęp do króla, powiadali, że polepszenia na zdrowiu nie rokowali doktorowie, a na wyjazd nalegali.

Zamęt panował wielki wśród służby usiłującej z chwil ostatnich życia pańskiego korzystać. Wynoszono skrzynki i worki, przyprowadzano żydów i lichwiarzy, włóczyły się kobiety różne, ulubieńcy króla postępowali sobie tak śmiało i zuchwale, jak gdyby bezkarności byli pewni.

Więść chodziła dnia tego, że król długo z ks. Krasieńskim podkanclerzym siedział zamknięty i testament już ułożony, na kilka rąk spisywać kazał. W stajniach wszystko przysposabiano do podróży. Zygmunt August z łóżka prawie nie powstawał.

Dzień wyjazdu jeszcze nie był postanowiony. Krajczy i podczasy, którzy oba liczyli się do przyjaciół Giżanki, zwłóczyli z podróżą, chcąc się jej tu doczekać, aby jeszcze dla siebie i dla córki swej u króla coś wyludzić mogła.

Z mnogich ulubienic Zygmunta Augusta, Barbara Giżanka najgłośniejszą była, a w tym roku powiwszy córeczkę, którą za królewskie dziecię miano, korzystała z tego, aby dla siebie obfite wyjednać wyposażenie.

Piękna bardzo, córeczka ta mieszczanina i burmistrza warszawskiego, żyła z matką w klasztorze, gdy ją krajczy i podczasy napatrzyli i z pomocą żyda Egidego, który im w podobnych sprawach służył, uwiedli dla króla. Podczaszy miał być pierwszym, co się tam wkraść potrafił pod nazwiskiem siostry Opackiej.

Sprowadzona na zamek, w którym na jednym dziedzińcu z królową Anną mieszkała, boleśnie dała się czuć jej, gdyż z okien królowej widać było po całych dniach wyglądającą i przyjmującą mnogich gości kochankę, a potem nieraz i kwilenie jej dziecka dochodziło do uszu upokorzonej pani.

Dwór królowej Anny oburzony i ona sama dziecięcia tego inaczej jak „szczeniciem” nie nazywali.

Łaski u króla wielkie mnogich jej zjednały przyjaciół, na których czele stali krajczy i podczasy. Pierwszy z nich obdarzył ją zaraz karetą i końmi, któremi po mieście się pyszniła, gdy u królowej grosza na kuchnię dla dworu nie było. Hieronim Sieniawski kasztelan kamieniecki, Łaski wojewoda mazowiecki, wielu innych skarbiło sobie Giżankę, przez nią u króla wyrabiając przywileje i dary.

Boleńszem może jeszcze nad sąsiedztwo Giżanki na zamku, było porwanie z własnego królowej fraucymeru pięknej Anny Zajączkowskiej, z którą król chciał się żenić. Zażyto fortelu, oszukano królowę, udając jakoby Zajączkowska za mąż wychodzić miała, i w ten sposób wzięto ją do króla, a potem umieszczono tymczasowo w Witowie, niedaleko Piotrkowa, gdzie po książęcemu ją utrzymywano. Po kilka tysięcy czerwonych złotych posyłał naraz król Zajączkowskiej, a samo jej wystawne łoże cztery tysiące kosztować miało.

Krwawemi łzami srom ten domu swego oplakiwała Anna, a że oburzenia swego powściągnąć nie umiała, że o tem co mówiła donoszono Augustowi i usiłowano ich poróżnić, przyszło do tego, iż się od dawna brat z siostrą nie widywali i król o wszystkich jej potrzebach zdawał się zapominać.

Anna miała wprawdzie przyjaciół i na królewskim dworze, ale mniej śmiałych niż ci, którzy z ostatnich godzin dla siebie starali się korzystać.

Testament, który właśnie dnia tego spisywano, dowiódł najlepiej, że serce Zygmunta Augusta nie odwróciło się od siostry. Wstyd raczej niż gniew był powodem zerwania stosunków. Obawiał się król wymówek słusznych, lecz samych, któreby go dotknęły boleśnie.

Nie dawano też pokoju choremu, odosobniano go umyślnie, zajmowano coraz nowemi lekami bab i sprowadzanych czarownic — tak że osłabły, zmęczony nie był panem siebie.

Oboźny Karwicki jednym z tych był, którzy najuroczyściej sobie przyrzekli nie dopuścić wyjazdu króla, dopóki się z siostrą nie widział i nie pojednał.

Gdy tak w jednej zamku połaci około chorego kręci się rój ludzi chciwych, w drugiej około królowej Anny zbierają się wierni jej i rodzinie, gotowi bronić opuszczonej. Do tych należał, jakżeśmy widzieli, i starosta warszawski, który będąc na zamku, a do króla nie mogąc się docisnąć, kazał się do królowej prowadzić.

Przyjmowała go zawsze mile, gdyż szacowała w nim człowieka, który nikczemnym służalstwem się nie plamił, a u króla łaskę miał zasłużoną pracą, jaką podejmował około mostu na Wiśle, bo Zygmunt August pragnąc to dzieło widzieć dokonaniem, powierzył jemu i po nim się go spodziewał.

Ogromny ten most, budowa na swe czasy trudna i kosztowna, już w połowie była ukończoną. Jeździł gdy zdrowszym się czuł król oglądać ją, przypatrywała się królowa, chlubił nią Wolski.

Zobaczywszy go u siebie, Anna, która jak zawsze, tak i tego dnia z zapłakanymi wyszła przeciwko niemu oczami, sądziła iż przybywał dziełem się swym pochłubić.

— Dawno was nie widziałam, panie starosto — odezwała się smutnie — a no wiosna, zima pono nie uszkodziła robót waszych, które pewnie daleko postąpić musiały.

— Nie spoczywamy — odpowiedział starosta wesoło, gdyż zawsze oblicze pogodne zwykł był okazywać — lękam się tylko teraz, aby nam postrach powietrza nie rozpędził ludzi.

Westchnęła królowa. Wolski coś jeszcze o moście powiedziałszy, nagle zmienił przedmiot rozmowy.

— Gościa mam ciekawego u siebie — rzekł — którego bym i waszej miłości rad okazać, ale bez zezwolenia nie śmiałem.

— Któż to taki? — obojętnie zapytała Anna.

— Szlachcic polski, Krassowski, ale długim pobytom we Francji na dworze królowej matki, której ulubionym był i jest, na poły już Francuz. Zowie się on Krassowski. Pan Bóg go dotknął kalectwem, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę, gdyż nie wiem czy nad łokieć ma wzrostu, ale Łokietek ten rozumem, dowcipem, nauką a nawet postacią i twarzą nie jednego olbrzyma przechodzi. Potrzeba go widzieć aby temu uwierzyć.

Tak mu owa karłowatość, co miała być upośledzeniem, stała się narzędziem fortuny. Długie lata na dworze francuskim przebywając, zebrał sobie i mienia dosyć i wziętość uzyskał. Zateśkniło mu się jednak do Polski i teraz tu przebywa. Najciekawsza to co o dworze francuskim, królowej matce, królu i jego rodzinie opowiada, posłuchać warto.

— Starosto mój! — westchnęła Anna — dziś u nas tak smutno, iż najpiękniejszą bajeczką o królach zabawić nas trudno!

Wolski nie zraził się tą odprawą.

— A jaby — rzekł — pomimo to pokornie dla niego o posłuchanie upraszał. Gdyby król zdrowszym był, przyjąłby go pewnie, w zastępstwie choć miłość wasza zechcesz mu tę łaskę wyrządzić.

Obojętnie dosyć, nie podnosząc oczów, odezwała się królowa.

— Jeżeli to koniecznie potrzebne, a wam miłem być ma?

Starosta się do kolan pokłonił.

— Chciałbym mu to wyjednać, bo do mnie miał z Krakowa polecające listy — rzekł.

— Człowiek zresztą ciekawy, bo jak mały tak w nim rozumu wiele, i warto widzieć tę osobliwość, gdyż się podobna nierychło zjawi.

Karlów myśmy wszyscy znali i widzieli wielu, pospolicie złośliwych i dziecinnych, ten zaś wcale różny i wstydu narodowi polskiemu u Francuzów nie uczynił.

Zapytał starosta kiedyby mógł Krassowskiego z sobą przywieść, a królowa zafrasowała się nieco.

— Kiedy chcecie — rzekła — tylko nie wówczas gdy mi u brata, u króla JMości posłuchanie wyjednają, bo się go dziś, jutro spodziewam.

— Dziś wątpię — rzekł starosta — z ks. podkanclerzym zajęty i wiem że się nieprędko to skończy. Gdybyś więc miłość wasza dozwoliła, nad wieczór bym go tu mógł przywieść.

Królowa nie zdawała się ani ciekawą, ani żądną poznania tego stworzenia tak oryginalnego, które jej starosta zalecał, lecz nie chciała się sprzeciwić Wolskiemu.

— Dobrze więc — odparła zimno — a mówi on po polsku czy po włosku?

— Zna oba te języki, i francuzki naturalnie, bo do tego przywykł długim we Francyi pobytem.

Wolski krótko tak zabawiwszy odjechał, a królowa Anna zakłopotała się zaraz tem, że karzeł, który do przepychu na dworze paryzkim był nawykły, miał u niej znaleźć takie ubóstwo i prostotę. Kazała Dosi postarać się, aby posłuchalna komnata trochę świetniej wyglądała.

Ale zkądże tu było wziąć do niej sprzętów i przyozdobień?

Zagłobianka z innych izb powynosiła co mogła, postarała się o kwiatki i odświeżyła nieco smutną i ciemną komnatę.

Jak starosta zapowiedział, przed wieczorem zajechał z kolebką pod małe zamkowe podwórze, gdzie kilka osób ze służby się znajdowało i zdumiało się widząc przechodzącego Krassowskiego.

W istocie była to figurka tak osobliwa, że się jej cały Boży świat zdumiewał i wydziwić nie mógł. Karzeł był bardzo wytwornie wedle mody francuzkiej ubrany, a że zręczny był i pełen życia, choć nie młody, obracał się rzeźko, nastawiał bardzo śmiało i butnie — miło było na niego popatrzeć. Począwszy od włosów utrefionych kunsztownie, wszystko, co miał na sobie niezmiernie starannie było dobrane, kosztowne a piękne. Łańcuch, mieczyk, były dla niego robione umyślnie.

Twarzyczka, acz podstarzała i pomarszczona, miała wiele życia, oczy ognia, ruchy wdzięku.

Nawykły do wielkiego dworu, do towarzystwa królów i książąt, obracał się żwawo, śmiało, bynajmniej nie zmieszany i pewien siebie.

Królowa przystroiwszy się trochę staranniej, choć ubierać się niebardzo lubiła, wyszła na spotkanie starosty, który jej Krassowskiego przedstawił.

Karzeł z kapelusikiem w ręku, przybrawszy postawę dworaka, pokłonił się królowi i nader śmiało wypalił swój komplement po włosku.

Głos jego nie tak piskliwy, jak zwykle karłów bywa, brzmiał przyjemnie i Krassowski w ogóle miłe na Annie uczynił wrażenie.

Spytała go jak długo w kraju nie był. Naówczas karzeł począł opowiadać, jak się przed dwudziestu niemal latami dostał do Francji przypadkiem, jak dla swej ułomności był przedstawiony na dworze królewskim, polubiono go tam i zniewolono pozostać.

— Chociaż mi tam bardzo dobrze było i cieszyłem się łaskami całej rodziny królewskiej — mówił dalej — nieraz mi za krajem było tęskno i nigdy o nim zapomnieć nie mogłem.

Królowa matka, w której usługach miałem honor zostawać, nie chciała mnie odpuścić, musiałem nawet przyrzec iż powrócę odwiedzwszy moją rodzinę, i tak się tu teraz dostałem.

— W smutną dosyć godzinę — odparła królowa Anna. — Dwór nasz z powodu słabości króla okryty smutkiem, rozerwany, a oto i powietrze nam zwiastują. Prędko waszmość pewnie, przekonawszy się co u nas się dzieje i jak tu życie ciężkie, powrócisz do weselszej Francji.

Krassowski odparł, że mu tu jednak miło było między swemi i że tyle doświadczył już dobrego, będąc przyjętym łaskawie przez panów Zborowskich i innych znaczniejszych, że nie rad Polskę opuści, a pewno nieprędko. Zatem zręcznie zwrócił rozmowę karzeł na rodzinę królewską we Francji panującą, na jej potęgę, bogactwa, wielkie przymioty, przywiązanie do kościoła i wierność Stolicy apostolskiej.

Opowiadał jak królowa matka miała wiele zgryzot, porówni z synem swym panującym Karolem, usiłując się opierać zamachom Hugonotów, którzy herezycę szczepili i jednolite dotąd a zgodne królestwo rozerwać usiłowali na dwa obozy.

— Coś podobnego i u nas widzę — dodał Krassowski — gdyż i my swych Hugonotów mamy, również możnych jak francuzcy; daj Boże tylko, aby się znaleźli tak czynni obrońcy kościoła, jak królowa matka we Francji, która pewnie Hugonotom przewagi wziąć nie dopuści.

Ponieważ królowa dosyć ciekawie się przysłuchiwała, rzuciła kilka pytań i zdawała się żywo zajmować opowiadaniem o francuzkim dworze, Krassowski o jego zabawach, grzeczności, wykształceniu, wielkiej wytworności i elegancji obyczaju szeroko się rozwdzić zaczął.

— Król sam — dodał — mało dotąd się rządami kraju zajmował, więcej zabawom i polowaniu oddając, za to królowa matka bardzo jest czynną. Szczególną ona ma miłość dla drugiego syna swego, młodego księcia andegaweńskiego Henryka, który jest nieochybnie jednym z najmilszych i najpiękniejszych książąt swojego czasu w Europie.

Jest też ulubieńcem matki, która właśnie szuka dla niego pomieszczenia po za krajem, gdyż się obawia, aby król o niego zazdrosnym nie był, i stronnictwo Karola co przeciwko niemu nie knuło...

Chciano dla niego utworzyć królestwo nowe z ziem poganom podległych, ale trudno, aby to przyszło do skutku.

Jam sobie myślał — dodał śmiało Krassowski — że gdyby kiedy nasze królestwo przez bezdzietność pana osieroconem zostało, nie mogłoby lepszego uczynić wyboru, jak prowadząc na tron Henryka.

Słyszając to, zarumieniła się mocno królowa, a karzeł dodał żywo.

— Książę Andegaweński nie żonaty jest i lepszego dla dziedziczki tronu męża żyćczyby, ani marzyć nie można.

Wystąpienie to trochę zuchwałe, nie podobało się królowi, gdyż udała jakby go nie słyszała lub nie rozumiała, ale karzeł się tem nie zraził bynajmniej.

— Należy mi przebaczyć — rzekł, kłaniając się — iż do obu rodzin królewskich będąc przywiązany, snuję sobie takie plany, i takąbym rad przyszłość im zapewnić.

Dla Polski nie byłoby sprzymierzenia potężniejszego a pewniejszego nad Francją, i bezpieczniejszego daleko niż cesarz Maksymilian, który tu ma swych przyjaciół, ale też boi się go tu wielu, bo tego losu się spodziewają, jaki Czechy i Węgry spotkał.

Królowa Anna zaczęła słuchać z uwagą.

— Widać — rzekła — żeś waszmość korzystał z krótkiego czasu, jaki w Polsce przebyłeś i już rozsłuchałeś się potroszę, co się u nas dzieje.

Smutne to przewidywania są, o których mnie szczególnie przystało sądzić.

Krassowski powrócił do rodziny królewskiej Francji.

— Książę Andegaweński — rzekł — jako bardzo gorliwy katolik, prędkoby u nas sobie serca pozyskał... Osobiście też pełen jest przymiotów, które go czynią miłym. Młody, wesół, dowcipny, lubiący się bawić, umiejący sobie zawsze wynaleźć rozrywkę... z powierzchowności nawet wszystkim się podoba...

To mówiąc, Krassowski z płaszczyka i sukni, zapiętej na piersiach, dobywać coś zaczął.

— Przy rozstaniu królowa JMość, która zawsze tak łaskawą dla mnie była — dodał — najdroższym mnie podarunkiem i pamiątką zaszczyliła... Noszę ją zawsze przy sobie... Są to wizerunki królowej JMci, która dotąd jeszcze majestatem i pięknnością góruje nad młodszymi nawet, króla JMci Karola IX. i brata jego, młodego księcia Andegaweńskiego.

To mówiąc Krassowski, dobył nareszcie w aksamit szkarłatny oprawny rodzaj pugilaresu i przyklękając z ręcznikiem podał go królowi.

Zawahała się zrazu Anna, czy ma rzucić okiem na te wizerunki, lecz po chwili namysłu wzięła z rąk Krassowskiego pugilares, i przypatrywać się zaczęła z kolei wizerunkom.

Karzeł tymczasem starał się szczególną jej uwagę zwrócić na ostatnią z tych miniatur, wyobrażającą bardzo pochlebnie upięknionego księcia Andegaweńskiego.

Starosta Wolski, który stał blisko, mógł dostrzedz, jak blade lice królowej zarumieniło się i twarz jej wyraziła pewne pomięszanie...

Krassowski wciąż tymczasem opowiadał: o dostatkach, wspaniałości, o zabawach na dworze, maszkarach, tańcach, turniejach i o wielkiej wytworności, z jaką się tu wszystko odbywało.

— Niczem są przy tem — mówił — słynące z wykwintności i przepychu dwory książąt włoskich, z których żaden dostatkami i potęgą królowi Francji dorównać nie może.

Z całej Europy, z Włoch też, co jest najprzedniejszych kunsztmistrzów, malarzy, rzeźbiarzy, tu się zbiega na usługi potężnego monarchy. Nie ma życia, jak tam...

Książę Henryk, który od kolebki do niego przywykł, gdziekolwiek się obróci, pewnie z sobą poniesie to, co mu jak powietrze jest potrzebnem... Szczęśliwa pani, która serce jego i rękę pozyskać potrafi.

Naleganie ciągle na przymioty księcia Henryka, tak jakoś było znaczące, że królowna nie mogła go niezrozumieć, rumieniła się, milczała, ale każde słowo Krassowskiego głęboko się w jej pamięć wrażało.

Czas na tych jego opowiadaniach, dowcipem i wesołością ożywionych, upływał tak prędko, iż ani się spostrzegła królowna, jak wieczór nadszedł.

Starosta dał znak Krassowskiemu, iż czas było pożegnać królownę.

Karzeł zostawił w jej rękach swój pugilares z wizerunkami i nie upominał się o zwrot jego, a królowna położyła go przy sobie na stoliku; lecz Krassowski nie sięgnął po tę swą własność i już żegnał się, gdy mu ją królowna przypomniała.

— Jeżeli miłość wasza pozwoli — odezwał się — mogę wizerunki te, dla lepszego ich widzenia zostawić tu, dopóki się je zatrzymać podoba... Może je kto więcej widzieć zechce, a radbym bardzo, aby one sobie tu serca pozyskały... dla drogiej mi dobroczyńców moich rodziny.

Nim Anna miała czas zaprotestować, karzeł się uwinął prędko, pokłonił się i wyszedł z Wolskim, pugilares zostawiwszy na stole.

Zaledwie byli za progiem, gdy królowna drżącą ręką chwyciła książeczkę z miniaturami, i wizerunkowi księcia Henryka chciwie przypatrywać się zaczęła.

Twarz jej mieniła się, drżała; widać było, że jakieś marzenie, nadzieja jakaś nią owładła. Stała zadumana, wpatrzona w te niemal niewieście pieszczone rysy młodego księcia, którym malarz nadał wyraz i wdzięk, a urok młodości, jakiego może w naturze nie miały.

W Henryku nawet najmniej wprawne oko mogło wyczytać szyderstwo i zimną jakąś, okrutną ironię człowieka, który siebie tylko kochać umie; na obrazku wcale inaczej się on stawiał: łagodnym, uprzejmym, miłym.

Królowna uczuła się dziwnie pociągniętą ku temu nieznanemu, który mógł być jej przeznaczonym, jej, co tak długo czekała na kogoś, na tego opatrnościowo dla niej wskazanego męża i pana. Biedne jej serce od tak bardzo dawna pragnęło kochać kogoś, dla kogoś się poświęcić, przywiązać się do jakiejś istoty, któraby jej choć odrobiną miłości za całe serce wypłaciła.

Ileż to razy zazdrościła losu siostrze Katarzynie, dzielącej więzienie Jana, cierpiącej z nim, odpowiadającej tym, co ją rozdzielić chcieli od męża: Bóg nas złączył, wierną mu będę do śmierci.

Temu sercu biednej królowej przez cały ciąg życia tylko najboleśniejsze zadawano ciosy. Ojciec dla niej był obojętny, matka kochała przedewszystkim Izabellę... brat był zimnym... Poświęciła się dla Katarzyny, której praw swego starszeństwa odstąpiła, nie zdobywszy tem jej serca. Zofii Brunświckiej służyła, korzyła się przed nią, padała przed nią, rzadko otrzymując dowód pamięci i przywiązania.

Wszystkie projekta wydania jej za męża pełzły z kolei na niczem... została coraz bardziej samą, samą, a teraz brat się jej wyrzekął, znać nie chciał, i śmierć jego mogła lada chwila, bez opieki, bez przyjaciół, rzucić na łup rozterek domowych o wybór pana.

Panowie polscy i litewscy mieli o niej pamiętać, czy nie?? Pomiędzy nimi liczyła przyjaciół niewielu, niechętnych i obojętnych tysiące.

Nadzieja, jakkolwiek słaba, uludna jakiegoś szczęścia, odżycia, odmłodzenia, poruszyła jej sercem. Henryk się jej podobał, coś zdawało się mówić, że on był tym przeznaczonym!

W błogiem, razem i tęsknem marzeniu, Anna spędziła chwilę długą... Siadła zadumana, a lękając się, aby jej wizerunków nie odebrano, aby się nie wyśmiewano może z zajęcia niemi, schowała je skrzętnie.

Zalińska, która wiecznie i zawsze teraz wymówkami ją karmiła, naganiała, gniewała się, dąsała — i to marzenie pewnie znalazłaby grzesznem... i niewłaściwem.

Z tem marzeniem o Henryku, milcząca... poczęła się wreszcie modlić, aby natrętne myśli odpędzić.

Talwosz, dla miłości królowej Anny, a trochę i dla pięknych oczów Dosi Zagłobianki, nabiegawszy się zrana ze srebrem i szczęśliwiej, niż się spodziewał, dostawszy grosza, spoczywał już na laurach dnia tego i wesoło rozmawiał z Bobolą, który posępny siedział na swoim tarczanie, biadając, gdy do drzwi zapukano i w tejże chwili uchylono je; głów-

ka wyrostka, dziewczyny z krótko ostrzyżonymi włosami, ukazała się w nich, oczyma poszukiwała Talwosza i zawołała.

— Pana Talwosza proszą!

Nie pytając kto i sądząc, że albo Żalińska go potrzebuje, lub królowna wołać każe, porwał Litwin za czapkę i pobiegł.

Dziewczyna poprzedała go, wyskakując przez korytarz aż do antykamery, w której z założonymi rękami na piersiach, z podniesioną dumnie głową, stała oczekująca na niego Zagłobianka.

Niespodziewane szczęście dla rozkochanego Talwosza.

Dziewczę, które przyprowadziło go tutaj, wskazało palcem Dosię. Talwosz się uklonił, serce mu biło...

Zadumana Dusia zdawała się namyślać, co mu ma powiedzieć.

— Nie potrzebuję was pytać — rzekła — czyście tak przywiązani do królownej, jako ja? Choć niedawno jesteście na jej dworze, ale mam was za wiernego sługę naszej pani.

— I możecie za to poręczyć — przerwał Talwosz, rękę kładnąc na piersiach.

Zagłobianka powiodła białą rączką po czole.

— A! — rzekła smutnie — gdyby ona tylu miała przyjaciół, co ma wrogów... Na nią się wszyscy spikają i sprzysięgają. Opuścił ją król i zaniedbał... a drudzy, gdy on oczy zamknie, wszystko będą czynili w interesie jakichś tam przyszłych panów, którym się chcą zaprzedać... a o królownie, choć się jej to państwo należy i korona, ani pomyślą!!

Westchnęła Dusia i nagle znizywszy głos, poczęła żywiej.

— Cesarz Maksymilian ma już tu więcej przyjaciół, niż ona... Wszyscy za nim i z nim...

Królowna wie na pewno, że kardynał Commendoni tylko o cesarskich interesach myśli, a o jej los wcale nie dba.

Jak i z kąd my to wiemy, z tego ja nie potrzebuję wam się spowiadać, ale to pewno, że kardynał, który codzień wyjeżdża do lasku Bielańskiego dla świeżego powietrza, dzisiaj się tam ma spotkać z kimś... pono z Litwy. Będą tam jakieś narady.

Spojrzała na Talwosza, nie śmiejąc dokończyć. Litwin się zarumienił.

— Niemiła to rzecz — odezwał się — podsłuchiwać i szpiegować, i jeśli komu, to mnie ona nie przystała... ale gdy idzie o królownę...

— O ocalenie jej może! — przerwała Dusia gorąco — bo niebezpieczeństwo dosyć czasem znać, aby go uniknąć. Gdybyś waszmość choć o tem się dowiedział, kto tam kardynała oczekuje, z kim i... o czem będzie narada.

Wejrzenie dziewczęcia, które doskonale wiedziało, że niem co zechce, wymoże na Talwoszu, stało się tak nalegającym, iż Litwin gotowym się uczuł na wszystko.

— Już kiedy kardynał — dodała Zagłobianka — takich sposobów używa, iż za miastem w lesie zwołuje schadzki, niemalej wagi sprawa być musi, i osoby do niej wezwane.

— Ja naszych Litwinów wszystkich znam, i Chodkiewiczów i Radziwiłłów, i ile ich tam jest — rzekł Talwosz.

Dusia przerwała mu.

— Ponieważ Commendoni już wprzódę się znosił z Polakami, z wojewodą Firlejem, z Zebrzydowskiemi nawet... a teraz Litwinów sprowadza, oczewista rzecz, że idzie o ważne sprawy, o spadek po królu, którego już uważają jakby dni jego policzone były.

Talwosz zamyślony stał, węża mordując i wargi zakąsywając.

— Kardynał, Włoch przebiegły, jak tu żaden — rzekł — dosyć przypomnieć, że króla zmógł, gdy mu o rozwód chodziło; miarkujcież miłość wasza, jeżeli on do lasku jedzie dla skrytości, postawi pewnie strażę i zbliżyć się do nich nie będzie podobna.

Dusia rzuciła ramionami.

— Na to waszmość masz rozum i przebiegłość — odezwała się rzeźko. — Zapewne że tak jak stoisz, nie zbliżysz się, ale...

Talwosz się rozśmiał.

— A! prawda — zawołał — juści się za chłopa albo za babę po grzyby idącą mogę przebrać.

— Dosyćby za żebraka — wtrąciła Zagłobianka żywo.

— Nie wiecie o której godzinie ta schadzka w lasku ma się odbyć? — zapytał Talwosz.

— Przed wieczorem, czasu dużo do stracenia nie ma, a choćbyś waszmość się jaką godzinę przechadzał, oczekując, nie tak to sroga męka.

Litwin nic jeszcze stanowczego nie odpowiadał, poczęła się niecierpliwie Zagłobianka.

— Pójdiesz, czy nie? — spytała.

— Muszę — rzekł posłuszny Litwin — ale jak ja to potrafię, co mi rozkazujecie... jeden Bóg wie.

— Ja wam nie rozkazuję — przerwała Dosią — nie dla mnie to uczynicie, ale dla królowej.

Talwosz wejrzeniem zdawał się jej mówić, że przynajmniej równie dla niej, jak dla Anny, podejmował się bardzo niebezpiecznego i nieprzyjemnego szpiegostwa.

Nie upłynęła godzina potem, gdy odarty żebrak z osmoloną twarzą, w sukmanie dziurawej, w łapciach, o kij, z zamku się przez ogród spuścił ku Wiśle, odwiązał u brzegu przytwierdzone czółenka małe, siadł do niego niepostrzeżony i potężnie wiosłem robiąc posunął się, obejrawszy dokoła, z biegiem rzeki ku Bielanom.

Trudno w nim było poznać młodego i przystojnego chłopaka, który się stroić lubił i dbał o to, ażeby nie gorzej od innych wyglądał. Ale czegoż miłość nie zrobi i pocziwie serce.

Talwosz wiele dla Dosi czynił, to pewna, niemniej jednak pragnął usłużyć królowej, którą dwór jej i ci, co ją teraz w położeniu tem sierocem widzieli, kochali mocniej niż kiedy, dlatego, że ją prześladowano.

Talwosz nie darmo nad brzegami Niemna się wychował, z maleńką łódką umiał sobie doskonale radzić, kierował nią zręcznie i bardzo krótkiego potrzebował czasu, aby się dostać do lasku, który zarosłym brzegiem schodził aż do rzeki.

Ukrywszy łódkę w trzcinach i sitowiu, wyskoczył z niej, i przygarbiony, o kij, rozglądając się pomiędzy sosnami, począł wspinać się na górę, usiłując odgadnąć, gdzie kardynał i tajemniczy owi Litwini zejść się mieli. Znał on trochę lasek ów, bo do niego na przechadzki z miasta chadzano.

Nie spostrzegł w nim zrazu nikogo, pusto było... Dopiero dalej nieco idąc, na maleńkiej polance, konie, które masztalerz wodził, widzieć się dały. Z siodeł i przykryć, choć skromnych, poznał, że nie lada kto z tych wierzchowców zsiąść musiał.

Ale oprócz pacholka, przy koniach nikogo nie było. Ostrożnie od drzewa do drzewa przesuując się tak, aby go pnie i zarośla zasłaniały, wdarł się Talwosz aż w głąb lasu, ciągle na wszystkie strony oczyma rzucając i nastawiając ucha.

Długo nic słyhać nie było.

Dalej idąc, zdało mu się, że cichą posłyszał rozmowę... Szedł więc w tę stronę, z której ona go dochodziła. Wkrótce mignęły mu dwie postacie. Pełznąć prawie po ziemi Litwin, teraz usiłował się jak najbardziej ku nim przybliżyć.

Kilkanaście kroków zrobiwszy, mógł już twarzy dostrzedz... i zdziwił się nadzwyczajnie, gdy mu się zdało, że w nich poznał Jana Chodkiewicza i Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła.

Nie osobom się zdumiał, ale temu, że one się zbliżyć do siebie i spokojnie z sobą mogły rozmawiać. Wiadomo mu bowiem było, że Chodkiewicz naówczas z Radziwiłłami o lepszą idąc, kto na Litwie zawładnie, na noże byli z sobą.

Nikt nie słyszał i nie przypuszczał pojednania. Cudem się to wydało Talwoszowi, gdy ich postrzegł spokojnie stojących obok siebie i zamieniających z sobą co chwila po słów kilka.

Serdeczności wielkiej widać po nich nie było. Chodkiewicz stał, w bok się wzięwszy, z tą dumą ogromną, która go nigdy nie opuszczała, nawet obok tronu. Radziwiłł nieco opodał, z twarzą obojętną, z udanym może chłodem, spoglądał na niego bacznie — nie dając sobie imponować tym wyrazem buty.

Radziwiłł był jakby ten, który już swojego stanowiska zdobytego czuł się pewnym. Chodkiewicz zdawał się dopiero chcieć je zdobyć i zapewnić sobie.

Mówili mało.

Talwosz idąc w kierunku ich oczów, bo oba w jedną stronę wzrok zwracali, domyślił się, że ztamtąd pewnie kardynała oczekiwać musieli.

Upłynęła dobra chwila. Talwosz począł się pilno rozglądać, chcąc domyśleć, gdzie rozmowa miejsce mieć może, aby się zbliżyć ku niemu i choćby na ziemi w krzakach przylegnąć.

W lesie dosyć zarosłym podówczas, pełnym gałęzi połamanych, suszy i łomu, przechadzać się nie było podobna, aniby wypadło szukać w nim kątów jakichś; należało przypuszczać, że kardynał nadjedzie drogą z Warszawy, i że na tym gościńcu z oczekującymi na niego zatrzyma się dla rozmowy.

Zdała słyhać już było turkot powozu, i Litwin podniósł głowę, usiłując go dostrzedz, lecz wkrótce umilkło wszystko. Radziwiłł i Chodkiewicz spojrzawszy na siebie, posunęli się kilkanaście kroków naprzód, jakby na spotkanie, a z za drzew w głębi wystąpiły dwie postacie idące pieszo.

Talwosz nie jeden raz widywał kardynała, ale zawsze w jego szatach urzędowych, w szkarłatach. Teraz miał on na sobie tylko ciemne fiolety na spodzie, a wierzchem suknię długą i płaszcz czarny. Na głowie takiż kapelusz z szerokimi skrzydłami.

Tuż za nim, tak samo ubrany, szedł drugi duchowny tylko — nikogo więcej. Służba i powóz zostały zapewne gdzieś u skraju lasu.

Kardynał szedł coraz żywiej, oglądając się pilno dokoła. Była to też sama, znana Talwoszowi twarz Włocha, w której niezmierną przebiegłość, niesłychaną zręczność, okrywał wyraz takiej łagodności i dobroci, takiej słodyczy i naiwności prawie dziecięcej, iż nikt się go obawiał, nikt o chytrą posadzić go nie mógł.

A był to swojego czasu najzręczniejszy z negocjatorów, najrozumniejszy z dyplomatów, mąż niepoścignionej umiejętności pozyskiwania ludzi, przekonywania ich, zdobywania.

Dość jest na dowód przytoczyć, że potrafił ludzi już od Kościoła odpadłych, straconych dla niego, skłonić do wyboru zgodnego z katolikami, że umiał sprzedaż zawziętych wrogów, jakimi byli: marszałek Firlej i wojewoda Zebrzydowski, Radziwiłł i Chodkiewicz.

gorliwy katolik, gdy tego interes Kościoła wymagał, umiał Commendoni, sprawę religii wrzekomo odłożyć na stronę, nie tykać ją, uczynić podrzędną; wyrzekał się propagandy, nawracania, zamykał oczy na żądania wbrew jego przekonaniom przeciwne.

Zyskiwał sobie naprzód słodyczą i łagodnością ludzi, potem dopiero do sumienia ich kołatać próbował. Na przemiany tolerujący i nieubłagany, od nikogo nie stronił, nikim nie gardził — i dokazywał też cudów, o ile mogły być dokonane.

Przeszkodzenie rozwodowi króla, utrzymanie go wiernym Kościołowi, gdy o niewiele szło, by od Rzymu odpadła Polska i sprzeniewierzyła się jemu — już za prawdziwy cud zręczności i taktu Commendoniego uważać można.

Chodkiewicz i Radziwiłł powitali go z wielkimi oznakami uszanowania. Commendoni szedł ku nim z twarzą rozpromienioną, uśmiechający się, słodki, z wyrazem ojcowskiej dla obu czułości.

Nie było więcej nikogo, nad ich czterech tylko. Jakim sposobem Talwosz zdołał dopelznąć ku nim niepostrzeżony, on samby może tego zuchwalstwa, które mu się szczęśliwie powiodło, wytłómaczyć nie umiał. Na wypadek, gdyby go towarzysz kardynała, który pilno się rozglądał dokoła, był postrzegł — miał gotowe tłumaczenie: chciał udać uśpionego w zaroślach.

Szcześnie nie domyślano się nawet, aby w lesie pustym zupełnie, mogła się żywa dusza znajdować.

— Ciesz się niewymownie — pocął po przywitaniu Commendoni — iż uprzedzając wypadki, naradzić się możemy, zapobiegając klęskom, jakieby na to piękne państwo, będące przedmurzem chrześcijaństwa, spaść mogły, gdyby je zdać przyszło na niepewne losy chwili rozstrojenia w umysłach i trwogi.

Król żyć nie będzie.

Zwiążmy się uroczystą przysięgą, iż to, co tu między sobą ułożymy, pozostanie tajemnicą.

Chodkiewicz i Radziwiłł zamruczeli coś niewyraźnie, skłaniając głowy, kardynał rękę na piersiach położył, i mówił dalej.

— W tej chwili, stanowiącej o przyszłości, od Litwy zależy los państwa całego. Nie ulega wątpliwości, iż Polacy muszą wybrać tego królem, kogo wy obierzecie wielkim księciem. Tak zawsze bywało, tak będzie i teraz.

— Unia jest wprawdzie zawartą — odparł posepnie Chodkiewicz — ale Litwa nie jest nią zaspokojoną. Oderwano nam należne ziemie... W przymierzu z Polską chcemy trwać, ale jej podlegać i przez nią pochłonięci być nie powinniśmy.

— Jeżeliście odrębność waszą potrafili dotąd ocalić — przerwał kardynał — tembardziej ją ugruntujecie na przyszłość, jeżeli mnie posłuchacie. Zaręczy ją wam jeden z synów cesarskich, jeśli go wybieriecie.

Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zaprotestowali przeciwko temu, spojrzeli po sobie tylko, badając się wzajemnie i milczeli.

— Aby poprzeć elekcyę tę, siłę też zbrojną przygotować trzeba i nie zawadziłoby mieć ze dwadzieścia tysięcy jezdnych.

— To się zbierze łatwo! — zamruczał Radziwiłł.

— Ernest lub inny z synów cesarskich — dodał kardynał — może pozostałą zaślubić królowę, aby swe prawa umocnił tym związkiem.

Chodkiewicz się namarszczył.

— Królowa żadnych praw już nie ma — odparł butnie. — Wszakże się dziedzictwa swego nad nami zrzekł król, gdy Unię czynił, zatem i spadku po sobie nikomu nie może przekazać. Swobodni jesteście pana sobie wybrać jako chcemy.

Kardynał spojrział na niego.

— Sądzę — rzekł łagodnie — iż przywiązanie do dawnych panów, jeżeli nie u wszystkich, znajdzie się jeszcze u wielu na Litwie. Uczucie to uszanowaćby należało i nie wyłączać go z rachuby.

Radziwiłł zaszępioty nie ujął się za prawa królowej, myśl jego zdawała się gdzieindziej wędrować.

— Cesarz — odezwał się — pewnie dla nas najlepszym panem będzie i obrońcą, ale w Polsce ma on wielu nieprzyjaciół.

Commendoni uśmiechnął się.

— Ci się nawrócą — rzekł — nie obawiajcie się. Korzyści z wyboru członka cesarskiego domu są tak wielkie dla kraju, dla Kościoła, dla całego świata, że je w końcu wszyscy uznać muszą.

— A jeśli Polacy się oprą temu wyborowi — przerwał Chodkiewicz — tem lepiej, zerwiemy Unię. Nie przyniosła ona nam korzyści żadnych a straciliśmy na niej wiele.

— Nie mówcie tego, niech Bóg uchowa — począł łagodnie Commendoni. — Osłabłyby oba państwa, a że, jak mówicie sami, sporne są granice i posiadanie ziem niektórych, cóż gdyby do wojny pomiędzy nimi przyjść miało.

Korzystaliby z tego nieprzyjaciele Krzyża św., Turcy i czyhający na posiadłości wasze carowie moskiewscy. Litwa, choćby coś poświęciła nawet dla Unii, nie tyle waży utrzymując ją, ileby mogła stracić zrywając.

Chodkiewicz nie nalegał, ale się nie zdawał być przekonany, zamruczał tylko:

— Cesarz nam nasze odrębności, jakieśmy ocalili dotąd, poręczyć musi.

— I poręczy! i utrzyma! — zawołał kardynał. — Właśnie dlatego wy pierwsi go wybiercie, wam winien będzie tron i sprawom waszym da pierwszeństwo.

— Musi nam przywrócić oderwane ziemie — dodał uparty Chodkiewicz.

— To sobie przy wyborze zawarujecie — wtrącił Commendoni.

— A starostwa i urzędy — ciągnął dalej Litwin — tylko urodzonym Litwinom rozdawać ma.

— Mogę was zapewnić, iż wszystkie te warunki przyjęte zostaną — począł prędko Commendoni, chwytając za rękę Chodkiewicza. — My tu nie o nich mówić mamy, ale się zgodzić na wybór potrzebujemy.

Macież co do zarzucenia przeciwko niemu — dodał zwracając się do Radziwiłła.

Milcząc głowę skłonił tylko powołany. Chodkiewicz nieuspokojony nalegał znowu na odrębność Litwy i wyswobodzenie się od Unii, na zwrot ziem i powiatów oderwanych.

Commendoni zwrócił rozmowę na więcej osobiste stosunki, zaręczając za cesarza, iż tym, którzy mu drogę pierwsi do tronu utworzą, potrafi zawdzięczyć ich miłość i zaufanie i że najwyższe czekają ich dostojeństwa.

Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zdawali się do tego przywiązywać wagi, a przynajmniej okazać jeden wobec drugiego, iż mogli osobiste widoki mieć na myśli.

— Litwa więc niech przoduje — dodał kardynał. — W Polsce mogą być zdania i głosy rozbite, wy za sobą rozprzężonych pociągniecie.

— Ernest, syn cesarski, jeżeli na niego padnie wybór — odezwał się nareszcie Radziwiłł — powinien być pogotowiu osobą swą, abyśmy go podnieśli na księztwo i ukoronowali.

Zawczasu zbliżyć się musi ku granicom.

— Sądzę i ja, że nic nie zagraża mu, gdy się narodowi litewskiemu powierzy — dodał kardynał — ani wahać się może.

Chodkiewicz potwierdził to. Nie było już sporu. Ani kardynał, ani żaden z przybyłych nie wspomniał o królownie Annie, tak jak gdyby wcale praw jej nie uznawali.

— Mam więc słowo wasze i mogę na nie rachować? — spytał wpatrując się po kolei w obu Commendoni.

Radziwiłł spojrział na Chodkiewicza, który już nie stawiał oporu.

— Uczynimy co w mocy naszej — rzekł Radziwiłł.

— A w mocy was dwu, miłośnicy panowie — ciągnął dalej Commendoni — jest wszystko. Jeżeli zechcecie w tej sprawie być zgodni, kraj pójdzie za wami, oprzec się nikt nie może.

Dawnych sporów i nieporozumień zapomnieć należy.

Zapanowało milczenie.

— Nalegam na pośpiech — odezwał się raz jeszcze kardynał. — Potrzeba ażeby Litwa Polskę wyprzedziła i dała jej dobry przykład, od tego wszystko zależy. Pierwsza ona, okrzyknawszy Ernesta, pozyska większe prawa do jego serca i wdzięczności. Młody jest i przez matkę świątobliwą wychowany, więc Kościołowi będzie podporą i wam opieką przeciw tym, co by rozdziwić chcieli pod pozorem wiary, gdy ona najlepszą i jedyną trwałą jest spójnią narodu.

— Cesarz zapewne kogoś nam przysze od siebie — wtrącił Chodkiewicz — abyśmy się porozumieć lepiej mogli.

— Tak sądzą i skłonię go do tego — odparł Commendoni.

Bogu więc niech będą dzięki, jeżeli król ocalonym być nie może, a zgon jego was osieroci, nie zostanieie nieprzygotowani.

I z kolei Radziwiłła naprzód, potem Chodkiewicza ucałował obejmując kardynał, obiecując im błogosławieństwo i modlitwy Ojca świętego.

— Ufam — rzekł — znanej mi wierności domu cesarskiego dla Stolicy apostolskiej; jednakże, jeśli nie dla dnia dzisiejszego, to dla przyszłości radziłbym wam, abyście od króla przyszłego wymogli przywrócenie tego wydartego kapitułom, a słusznie im należnego prawa, iżby z pomiędzy siebie biskupów wybierały.

Monarchowie najświętobliwsi rządzą się, mianując ich od siebie, więcej tem co im dogodne, niż co interesom Kościoła odpowiada. Bezpieczniej zawsze, gdy Kościół od państwa niezawisłym pozostanie, bo może po stronie praw narodu, w razie gdyby zagrożone były, zając przeważne stanowisko.

Mówiąc to Commendoni, spojrział na obu z kolei. Radziwiłł się zgadzał i przyzwalał, Chodkiewicz pozostał obojętnym. Jedna tylko niezawisłość Litwy i odrębność jej od Polski najmocniej go obchodziła.

Talwosz usłyszał raz tylko wymienione imię królowej, lecz w tej chwili kardynał razem z przeprowadzającymi go ku powozowi swemu zwolna iść zaczął, a las w tem miejscu przerzedzony nie dozwalał pełznąć dalej niepostrzeżonemu.

Musiał więc pozostać w krzakach i widział tylko jak się na pół drogi pożegnali z kardynałem Litwini i jak on prędkim krokiem napowrót do karety swej podązał. Chodkiewicz i Radziwiłł, mało co mówiąc do siebie, zwolna iść do swych koni poczęli.

Chociaż rozmowę nie całą może podchwycił Litwin i nie mógł zapamiętać jej szczegółów, smutnie go to w niej uderzyło, iż Chodkiewicz wszelkich praw królownie zaprzeczał, a Radziwiłł się też nie ujmował za nią.

Kardynał zaś o warunku zaślubienia jej przez przyszłego króla nie wspomniał prawie potem i nie nalegał wcale.

Niepłonne więc były obawy, iż się tu coś knuło, co biednej Annie zagrażało.

Niedługo czekając teraz na odejście Chodkiewicza i Radziwiłła, Talwosz, który się już nie lękał być postrzeżonym jako żebrak, wstał z ziemi i napowrót poszedł ku łódce, którą

zostawił u brzegu. Powiodło mu się szczęśliwie, ale to, co posłyszał, wcale pociesającym nie było.

Utkwiło w nim boleśnie, co z taką mocą przekonania wygłosił Chodkiewicz, iż królewna wcale żadnych praw nie ma i do żadnego spadku przypuszczoną nie będzie.

Zdało mu się to zuchwałem, niemożliwem, chociaż Chodkiewicz pewnie mówił to nie z siebie, ale wiedząc o usposobieniu części znacznej kraju. Nie potakiwał mu Radziwiłł, lecz się też nie sprzeciwił i za królową nie ujął.

Zaczynało zmierzchać, gdy zsunąwszy się z brzegu, Talwosz dopadł łódki swej szczęśliwie, znalazł ją na miejscu i siadł, aby nią powrócić do zamku. Ciężej mu teraz przychodziło, przeciwko dość silnemu prądowi rzeki wiosłować i dla pośpiechu trzymać się musiał brzegów, a wiosła do popychania używać. Dobrze się tem umęczył i kawał czasu upłynęło, nim wręście dzwony na pacierze wieczorne odzywające się posłyszał i przybił w miejscu, z kąd niepostrzeżony mógł się dostać do zamku.

Bobola, towarzysz jego, właśnie był z miasta powrócił i próbował ogień rozpalić dla odświeżenia powietrza, gdy Talwosz w tych łachmanach, w których się ztąd wykradł, wpadł do izby.

— A toż co się z tobą stało! — krzyknął zdziwiony koniuszy.

— Ani pytaj, ani mów o tem — odparł Talwosz. — Masz wiedzieć, żem się musiał przebrać, ale po co i na co, tego ci powiedzieć nie mogę.

Bobola poruszył głowę.

— Doigrasz ty się — rzekł krótko.

W jednej chwili Litwin żwawo łachmanów się pozbył, twarz i ręce obmył, suknię codzienną wdział i biegł, bo mu pilno było zdać sprawę z wycieczki przed Dosią.

Ta oczekiwała na niego, niespokojna chodząc po podwórku. Zobaczywszy go, choć zawsze starała mu się obojętną pokazać, tym razem pośpieszyła na spotkanie.

Talwosz w krótkich i prostych słowach wszystko jej opowiedział.

Rozumne dziewczę słuchało chciwie.

— Nie ma co z tem do królowej śpieszyć — rzekła — dobrze wiedzieć co kardynał knuje, chociaż to rzecz nie nowa. Na teraz i rady nie ma. Pan Bóg wam za pocziwe serce zapłaci — dodała. — Nowina za nowinę... ja też powiem wam, że oboźny Karwicki wymógł nareście na królu dziś, iż jutro siostrę przyjmie. Królowa i rada temu, i płacze. Pojutrze, jeżeli się królowi nie pogorszy, wywieźć go ztąd mają, może jutro nawet.

— A my? — zapytał Talwosz.

— Zdaje się, że pozostaniemy na zamku, nikt o nas nie myśli, królowa się powietrza nie obawia, a choć ono w pobliżu już jest, w mieście go nie ma dotąd. Łacniej nam tu i żyć i ludzi znaleźć i radę sobie dać, choćbyśmy tylko starostę Wolskiego mieli.

Za królem jechać nam nie dadzą, bo teraz więcej niż kiedy nie chcą dopuścić, aby kto wgłądał jak umierającego odzierać będą.

Talwosz słuchał nie przerywając, a korzystał z tej chwili, aby oczyma jeść piękną Dosię, która zwykle nawet mu na siebie patrzeć nie bardzo pozwalała.

Westchnął boleśnie.

— Królowę Wolski dziś trochę rozerwał — dodała Zagłobianka — bo jej przywiózł karła, szlachcica polskiego, który długi czas przebył na francuzkim dworze i o nim wiele opowiadał.

Zajął tem naszą panią. Bogu dzięki, i dawnom jej nie widziała tak ożywioną, tak zaciekawioną i zajętą, jak dziś powieścią karła tego.

Żalińska i to jej ma za złe, a nieustannie ją fuka i gderze...

Nie dokończyła.

— Gdyby tak mnie spytano — zamruczał Talwosz — jabym dawno tę jędzę i sekutnicę wyprawił stąd na cztery wiatry.

— Tsy! — odparła oglądając się Zagłobianka — królowa ją znosi i kocha nawet, choć ona srodze jej dokucza. Musimy i my znieść.

— Ale ona wszystkim już kością w gardle.

Uśmiechnęło się dziewczę i głowę skinąwszy Talwoszowi, natychmiast do królowej powróciło.

Litwin siadł na ławce przy drzwiach i rozważał co czynić.

Czy o królownie myślał, czy o Dosi, trudno było poznać — brwi mu się ściągały, ręce wyprężyły i opadały, dumiał tak, nawet o wieczerzy zapomniawszy, gdy wyrostek od pana Konieckiego, ochmistrza królowej a raczej miejsce jego zastępującego, bo Anna dawno go już nie miała, przybiegł przypomnieć, że misy na stole były, a z jedzeniem nie czekano na nikogo. Talwosz powłókł się z nim.

Krajczy i podczaszy napróżno zabiegając, aby królowej do brata nie przypuścić, gdy się to niemożliwym okazało, ściągnęli spotkanie się rodzeństwa do ostatniego dnia przed wyjazdem Augusta z Warszawy i postarali się o to, aby jak najkrócej trwało.

Gdy obożny Karwicki przypomniał ten obowiązek królowi i nastąpił na przyjęcie Anny, król naznaczył dzień, zgodził się bez trudności i nie okazał już najmniejszego żalu i niechęci. Czuł w tych ostatnich życia swego godzinach, że wina nieporozumienia nie ciążyła na królowie, ale na nim samym.

Spowodowało je słuszne oburzenie Anny, gdy podstępem z jej dworu wykradziono Hannę Zajązkowską dla Augusta. Krajczy i podczaszy starali się gniew siostry odmalować w takich barwach, że króla do najwyższego rozjątrzyli stopnia. Zapobiegali potem, korzystając z tego, aby pojednania nie dopuścić, nosili plotki, oczerniali Annę, i gdyby nie starania Karwickiego i Żalińskich, możeby do zgody nigdy nie przyszło.

Zapowiedziane przybycie królowej, której ochmistrz jej tymczasowy Koniecki miał towarzyszyć i Żalińska, wyгнаło obu oblubieńców królewskich, nieśmiejących się na oczy pokazać Annie. Musieli się skryć, równie jak czynniejsi ich pomocnicy.

Godzina ranna była na to posłuchanie naznaczona; zapowiedziano zawczasu, że króla chorego długo nie mogła siostra zatrzymywać i żadnymi go skargami i żalami trapić. Doktor Fogelweder sam jeden miał być świadkiem spotkania, bo Karwicki chciał u drzwi pozostać, których niepoczciwy, rozpustny lotrzyk Książnik pilnował.

Z łoża wstał król ani mógł, ani myślał; okryto go jedwabnym płaszczykiem i pozostał leżący z nogami przykrytymi.

Zaprawdę była to dla obojga uroczysta godzina; wiedziała królowa Anna, że brata pewnie już nie ujrzy żywym, że go miała pożegnać na wieki. I on też żyć się nie spodziewał, a czuł się względem siostry winnym. Jedno to, że był sam wielce nieszczęśliwym, powinno mu było wyjednać przebaczenie.

Od czasu jak się z Anną nie widzieli, zmiana w twarzy Augusta była niezmiernie wielka, straszna i znacząca. Wychudzenie, żółtość, wzrok zaostroszony chwilami i nagle ospały i znudzony, mowa niezrozumiała, głos stłumiony, oddech głośny i ciężki, czyniły go na wejrzenie przerażająco znędzniałym i jakby dogorywającym.

Chwilami opanowywała go jakby gorączka i rozdrażnienie, częściej jednak wpadał w rodzaj ospałej apatyj, w odrętwienie zobojętnienia na wszystko.

Gdy godzina, w której królowa nadejść miała, zbliżyła się, łatwo ją poznać mógł król, bo ci, co zwykle łoża jego nie odstępowali, znikli nagle, pozostał Fogelweder; w komnacie było pusto, w pokojach sąsiednich cicho.

Szelest szat i chód powolny zwróciły wejrzenie chorego na drzwi, podźwignął się trochę niespokojny.

Szepty dały się słyszeć w progu, drzwi otwarto powoli, Karwicki wpuszczał czarno ubraną, chwiejącą postępującą krokiem, zmięszaną, bladą królową Annę. Za nią szła Żalińska, która się zatrzymała u progu.

Wzruszenie przybyłej było tak wielkie, iż łzami wybuchnąć musiało, ale cichemi; przycisnęła do ust chusteczkę, skłoniła głowę i nieśmiało, nie mówiąc słowa, pokornie podstępowała do królewskiego łoża.

Widok brata, na którego licu już śmierć wycisnęła swe piętno, rozbroił zażaloną i zbolełą.

Czemże były jej osobiste cierpienia wobec tego umierającego a zrozpaczonego ostatniego z rodu, który schodził sam, bez rodziny, wyniszczony rozpaczą, znękanym życiem, bez żadnej, bez najmniejszej pociechy.

August dobył z pod przykrycia bladą rękę drżącą i wyciągnął ku siostrze, która chwyciła ją i pocałowała z uczuciem.

Dopiero teraz wejrzenia ich się spotkały. Król spoglądał na siostrę bez gniewu, łagodnie spokojnie, jak gdyby wszystko przeszłe w niepamięć poszło. Szeptał, lecz nic słyszeć nie mogła.

Anna chciała coś powiedzieć, ale słów jej zabrakło, tchu nie miała. Po przestanku dopiero, widząc go tak cierpiącym, a w nim razem króla, ojca i brata, głowę rodziny czcząc, odezwała się pokornie.

— Jeżeli w czem pobłądziła, a była przyczyną W. K. Mości żalu jakiegoś, raczcie mi to przebaczyć. Złej woli nie miałam, i źli ludzie chyba przypisać mi ją mogli.

Król obawiając się zapewne, aby rozmowa dłuższą w tym przedmiocie do wzajemnych wyrzutów nie była powodem, przerwał żywo.

— Wzajem sobie przebaczyć należy. Przekonasz się z testamentu, który ci oddaję, żem o tobie pamiętał i nie dozwolił, aby cię rodzeństwo pokrzywdziło. Zdrowa mi bywaj...

Głos słabnął, rękę wyciągnął znowu — rozplakała się Anna.

Wtem August znak dał Fogelwederowi, który się domyślił o co chodziło, i podał leżący na stole testament dla oddania go królownie.

Jakby spełniwszy ten obowiązek, pilno mu było rozstać się z Anną, raz jeszcze pożegnał ją król, ucałował rękę jego i zachodząc się z płaczem, z zakrytymi oczyma, wyszła podtrzymywana przez Żalińską, która zaraz, za próg wyszedłszy, strofować po swojemu i fukać zaczęła.

Ale biedna królowna nie słyszała nic i nie wiedziała co się z nią dzieje.

Wyjazd królewski zapowiedziany był na dzień następny; tymczasem, po pożegnaniu, przestraszeni panowie krajczy i podczaszy lękając się zbliżenia większego i wnosząc, że serce brata dla siostry obudziło się, natychmiast po oddaleniu się Anny, wbiegli dowodząc, że i z dnia pogodnego i z polepszenia małego na zdrowiu króla należało korzystać. Mieli za sobą doktora Ruppertta i całą swą służalców gromadę.

Ani obożny Karwicki, ani się nikt im nie mógł oprzeć, król słuchał ich, powodując się biernie, nie sprzeciwiając się w niczem.

Umyślnie już od dni kilku przygotowany wóz ogromny zatoczono pod same drzwi zamkowe.

Gawiedź mogła się zbiedz oglądać wcale niezwykłą i niewidzianą kolebkę, która dla króla zbudowaną została. Rozmiary jej, olbrzymie koła, grube osie, nakrycie na słupkach zawieszona, opona szkarłatna, stopnie dla pacholąt, które stojąc na nich, króla strzedz i na zawołanie mu być miały, ośmiokonny cug koni grubych i silnych, przygotowanych do ciągnięcia tej arki, wszystko to w istocie tłum ciekawych sprowadziło.

Ponieważ krajczy i podczaszy władali tu wszystkim, na znak przez nich dany, czardziejsko zaraz napełniły się podwórca ludem konnym, służbą, czeladzią, wozami.

Pilno im było wywieźć Zygmunta Augusta, ażeby go od siostry odłączyć i wpływowi jej zapobiedz.

Pomimo łagodności jej, bezbronności, upokorzenia, potwarcze głosy czyniły Annę straszną, przepowiadały w niej drugą Bonę.

Sam ks. Krasieński nawet, potakując królowi i Mniszchom, wszystkich od królowej odstręczał, ostrzegał aby się do niej nie zbliżano.

Anna szła płacząc do swoich pokojów na zamku, nic nie wiedząc o nagłym wyjeździe postanowieniu; pochlebiała sobie nawet może, iż pierwsze lody przełamawszy, brata pozyskać potrafi.

Otaczający ją szczipły dwór winszował, cieszył się, prorokował zgodę, i ani się domyślano, że w tej chwili już Mniszchowie wóz kazali zatoczyć, czeladzi na koń siadać, a króla skłonili do wyjazdu nagłego.

Przyspieszono tak wszelkie do niego przygotowania, iż w niespełna kilka godzin, służba na ramionach już niosła schorzałego pana do zaprzężonego wozu, przy którego koniach stali pacholki, każdy swojego za uzdę trzymając. Z trudem niemalym, przyszło łoże na wozie tak ustawić, aby za każdym poruszeniem jego nie drgało i nie przechylało się.

Świeże powietrze, którem August odwykl był oddychać, drażniło mu piersi, sam ten wyjazd z takimi przybory czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział, że tu już nie powróci. Błady, oczyma błędnie rzucił dokoła, jakby ratunku szukając i Fogelweder na krok go nie mógł odstąpić.

Krajczy, podczaszy, najulubieńsze sługi, Książnik, Konarski skarbnik, chirurg Łukasz, Maciej Żaliński dozorca łoża, otaczali wóz, czepiając się dokoła.

Podwórze przedstawiało widok niezwykle a smutny, pośpiech sprowadzał nieład, ludzie się rozbijali, pędzili, wołali, odpychano cisnące się tłumy, zasłaniano leżącego króla — a Mniszchowie naglili, aby co prędzej ruszać z miejsca.

Woźnice, pacholkiwie, paziowie ustawiali się niespokojni.

Na dany znak wszystkie osiem koni ruszyło z miejsca i ciężki wóz zaskrzypiał, lecz jakby na *omen* nieszczęsny, jeden z woźników na kolana padł i dźwignąć go nie było można. Wóz z łożem stanął.

Koniuszowie biegali klnąc na służbę, król dopytywał niespokojnie co się stało. Ćwierć godziny potrzeba było, nim znowu koniom znak dano i powolnie jak z marami żałobnemi ruszył naostatek zaprząg ku bramie.

Słudzy tak szczerze zewsząd poopinali firanki i trzymali je przy drążkach, iż nikt ani posłania, ni leżącego na nim króla dostrzedz nie mógł.

Daleko pewnie dnia tego nie myśleli Mniszchowie wywieźć króla, szło im o to tylko, aby Warszawę opuścić. Tłómaczyli się troskliwością o pana z powodu zbliżającego się powietrza, gdy w istocie szło im o skutki pojednania z siostrą, której zbyt się dali we znaki, aby się jej zemsty nie obawiali.

Królowna cieszyła się jeszcze tą oznaką dobrego serca, jaką jej dał brat, jeszcze rozmawiała o nim, bolejąc nad zdrowiem a obiecywała sobie, iż nazajutrz przypuszczona zdola odzyskać odebrane zaufanie, gdy Talwosz wpadł do komnaty.

— Króla wywożą! — zawołał.

Zerwali się wszyscy.

— Nie może to być — odparła królowna — miał jechać jutro dopiero. Wozu może próbują.

— Tak jest jak mówię! — potwierdził żywo Litwin. — Patrzałem na to, jak łóżko z nim zniesiono i na wóz wkładano.

Oślupiała królowna ręce łamiąc. Jak stała z Żalińską razem wybiegła ku wrotom z drugiego podwórza wychodzącym na pierwsze, z kąda widać było wszystko co się na niem działo.

Panował tu nieład i zamięszanie, służba królewska wyciągała, wozu już widać nie było.

Przechodzący dworzani, spytany potwierdził, iż króla właśnie już wywieziono.

Jakkolwiek pośpiech ten był niespodziewany, wyjazd nagły, Żalińska na swój sposób to tłómaczyła, nic nie widząc nadzwyczajnego, nic tak bardzo dla Anny niepomyślnego.

Na wpeł zdrętwiała powróciła królowna do izb swoich, rozmyślając co teraz pocznie.

Chociaż król pogodził się i oddał jej testament, choć gniew ustał i poróżnienie, położenie się w niczem nie zmieniło. Niewiadomo było czy August pomyślał o tem, aby siostrze przyzwoite stanowi jej opatrzyć utrzymanie. Brakło pieniędzy, rozkazów, opieki nad nią.

Panowie, którzy pomocni w tem jej być mogli, razem z królem wyruszyli z Warszawy; wszystko, co żyło, miało się dla zbliżającego powietrza i dla opustoszenia zamku rozproszyć.

Anna zostawała tu zupełną sierotą na łasce warszawskiego starosty, który niewiele mógł i miał prawo uczynić dla niej.

Rozplakała się więc znowu, a nieznośna Żalińska, gdy ona wybuchnęła łzami, razem buchła wyrzutami i narzekaniem, że Annie nigdy niczego dosyć nie było, że sobie tworzyła troski, aby je móżdż oplakiwać.

Anna była tak do tych strofowań nawykłą, że mało one na niej czyniły wrażenia, co jeszcze bardziej jątrzyło i niecierpliwiło Żalińską.

W takich razach jedna Dosia Zagłobianka poradzić coś mogła, uprowadzając królownę do jej sypialni, a starając się Żalińską oddalić.

Pośredniczyła ona, łagodziła, jednała, a gdy inaczej nie umiała, gniewy i fukania ochmistrzyni odciągała albo na siebie, lub na kogoś, co je obojętniej mógł znosić.

Wyjazd nagły króla, natychmiast po widzeniu się z siostrą, którego znaczenie zrozumieli dworscy i przyjaciele Anny, wywołał powszechne oburzenie.

Jeżeli powietrze od Okuniewa idące, spodziewane lada dzień, wybuchnąć tu miało, potrzeba było i królownie uciekać. Dokąd? o czym? o to się nikt nie troszczył.

Talwosz pobiegł na zwiady czy nie było jakich rozporządzeń lub rozkazów, tyjących się królownej? Nikt o tem nie wiedział, nigdzie się nią nie zajmowano.

Mniszchowie i ks. biskup Krasieński nie zapobiegli wprawdzie testamentowi na korzyść Anny, ale potrafił tymczasem uczynić ją sierotą, bezbronną i na łasce narodu, który w tej chwili więcej myślał o własnem zagrożającym mu osieroceniu, niż o losie królowej.

W mieście, po którym się rozeszła błyskawicą wieść o wywiezieniu chorego króla, uczyniła ona wrażenie przerażające. Mówiono sobie, że ta ucieczka zwiastowała mór nadchodzący, więc kto mógł, chciał także się wynosić.

Z gospody pod białym koniem widziano ogromny wóz wyciągający Krakowską bramą. Barwinek załamał ręce, bo dla niego to zwiastowało też wprędce pustki.

Niemczkowski stał właśnie we wrotach, gdy z zamku ruszać poczęto; domyślił się co to znaczyło i zapowiedział, że on też rusza ztąd.

Starosta Wolski, który dopiero nazajutrz spodziewał się wyjazdu, gdy się o nim dowiedział siadł na koń, aby króla dognać i pożegnać, ale Fogelweder go nie dopuścił, utrzymując, że kołysanie wozu chorego uspiło.

Zwrócił się więc na zamek, aby się o królownie dowiedzieć, i przybył w sam czas aby ją pocieszyć.

Uradowała się gdy jej oznajmiono o nim i wyszła natychmiast zapłakana.

— Panie starosto — zawołała — godzin temu para zaledwie, gdym miała to szczęście zbliżyć się do króla.

Dla łez i wzruszenia parę tylko słów mogliśmy przemówić do siebie, spodziewałam się widzieć go jutro... porwano i uwieziono!

— A miłość wasza co myślisz czynić? — spytał Wolski.

— Ja? czekałam woli i rozkazów króla — odparła Anna. — Nie wiem co pocznę, nie mogę się dowiedzieć czy wydał jakie rozporządzenia.

Przy pomocy Bożej, powietrza się nie lękam, siedzieć będę, dopóki od brata nie otrzymam wiadomości co chce abym z sobą postanowiła.

— Ja także — odezwał się starosta — gonilem próżno za wozem pańskim, chcąc się mu pokłonić. Nie dopuszczono mnie, pod pozorem, iż usnął w drodze.

— Jam teraz na opiece waszej — dodała smutnie Anna.

Dzięki choć za to Bogu, iż odjechał nie mając żalu do mnie, żem mogła przebłagać go za niemoją winę. Dziś zrana dał mi krótkie posłuchanie. Dłuższemyb ono stało się może, ale czyhano na niego aby mu się pocziwe, braterskie otworzyć nie mogło serce.

Królowna zapłakała.

— Miłościwa pani — odezwał się Wolski — łzy tu nie pomogą, męztwa potrzeba i wielkiego serca, bo niedaj Bóg, przyjdzie chwila, gdy na waszej miłości męztwie losy narodu spoczywać będą.

Cud stać się może i zdrowie powróci, lecz tak jak dziś jest król, nie obiecują mu dni długich doktorowie.

W przewidywaniu nieszczęścia tego, w całym kraju niepokój się szerzy i trwoga. Król żywa a już biegają obcych panów posły i szpiegi jednając im przyjaciół.

Cesarz Maksymilian zdaje się ze wszystkich najczynniejszym dotąd, a że ma po sobie kardynała, który stanie za wielu, bodaj abyśmy się w rakuzką niewolę nie popadli.

Królowna słuchała ciekawie, łzy ocierając.

— Wasza to rzecz — odezwała się — zapobiedz wcześniej, aby się wam krzywda nie stała.

— A razem i miłości waszej — dorzucił Wolski. — Ja do cesarskich nie należę, a wolałbym abyśmy francuzkiego księcia, którego karzeł zaleca, dostać mogli.

Zarumieniła się królowna Anna, ale Wolski nie mógł dostrzedz zmiany na jej twarzy, bo łzy jeszcze ciągle ocierała.

— Krassowski tak samo jak tu — dodał Wolski — w Krakowie panom Zborowskim opowiadał o księciu Andegaweńskim i zaręcza, że bardzo wzięli do serca jego kandydaturę do korony.

— Wszystko to zawczesne — szepnęła Anna.

— Miłościwy pan nasz, gdyby mu nawet Bóg życia przedłużyć raczył — podchwycił Wolski — zawszeby sam nawet, bezdzietnym będąc, powinien myśleć o wyborze następcy, przyczem i waszej miłości los przyszły mógł i powinien być zabezpieczyć.

— A! mój starosto — tęskno i smutnie odezwała się królowa — mój los dla wszystkich ostatnią będzie rzeczą, o której pomyślą. Jam na sieroctwo bez opieki skazana.

— Nie — sprzeciwił się Wolski — jeżeli miłość wasza zechcesz tylko dla samego dostojenstwa krwi swej o prawa swe się upominać i zamiast łez, okazać energią i wytrwanie. Ja mam lepsze przeczucia. Po tych dniach smutnych, Bóg i nam i miłości waszej nagrodzi jaśniejszemi.

Nie śmiała królowa wspomnieć staroście o pozostawionych u niej wizerunkach królewskiej rodziny, ani o Krassowskim, którego sobie jeszcze widzieć życzyła, lecz sam Wolski napomknął zaraz jak miłe miał towarzystwo Karła, który przebywał w domu jego, zapytując królowę czyby mu dozwoliła raz jeszcze pokłonić się sobie.

Półśłówkiem zgodziła się na to Anna, zapytując co dalej z sobą myśli ów gość poczynać, zostanie-li w Polsce, czy nazad do Francji się wybiera.

— Nie wiem — rzekł starosta — ale mi się zdaje, że odwiedziwszy na Podlasiu rodzinę, wróci naprzód do panów Zborowskich, którzy go sobie bardzo upodobali, a ci pono tak biorą do serca Henryka, na przekorę tym, którzy się już dziś z cesarzem noszą, iż gotowi Krassowskiego użyć za narzędzie.

Nowy rumieniec okrył twarz Anny, która nic nie odpowiedziała.

Wolski wkrótce ją pożegnał, ale zaraz nazajutrz z południa zjawił się tu znowu, Krassowskiego przywożąc z sobą.

Karzeł, jakby chciał okazać iż francuzkiego dworu przejął obyczaje, ustroił się jeszcze staranniej niż pierwszym razem i było mu dziwnie do twarzy w tych sukniach tak szytych, przyozdobionych, wykwintnych, jakby najwybredniejszej niewieście przeznaczone były.

Od sukni i płaszczyka począwszy, aż do kapelusza i łańcucha, wszystko znowu było inne, nowe i dobrane, aby piękną stanowiło całość.

Śmielszy teraz, wesół, Krassowski opowiadał o zabawach wykwintnych dworu, o pałacach i rezydencyach królewskich, o przepychu królowej, o jej rozumie wielkim i nadzwyczajnej przebiegłości.

Mało co o królu Karolu mówiąc, przeszedł zaraz do księcia Andegaweńskiego, wielkiego ulubieńca matki, który rozum i talenta jej miał odziedziczyć... a być bardzo mogło, że i tron francuzki później mógł spaść na niego.

Królowa słuchała z zajęciem, chociaż ani pytać, ani okazywać nie śmiała, że to ją żywo obchodziło.

Bolało ją wielce, że słuchając o przepychu, o wykwintności dworu, do którego karzeł był przywykłym, sama tak ubogo i skromnie, sieroco go przyjmowała. Rzuciła więc o tem słówko, jako ona i brat w podróży byli, a z powodu słabości króla wszystko się rozpręgało.

Krassowski, któremu na podstawie do opowiadań o dworze, o najglówniejszych osobach, otaczających króla młodego i królowę matkę, nie zbywało, gwarząc o różnych przygodach, o zabawach i zajęciach, kilka godzin zajmował królowę, a musiał ją w istocie zainteresować, gdy żegnającemu się zapomniiała oddać pozostawionych wizerunków.

Przypomniała je sobie zapóźno, gdy już starosta z Krassowskim do kolebki wsiedli, a posyłać je za nimi wstydziła się. Tak więc zostały przy niej jeszcze... i biedna królowa uradowała się w duszy, że mogła lepiej się przypatrzeć tej nadziei swej, której wstydziła się, ale wyrzec nie chciała.

Wszystko się tak jakoś składało, jak gdyby Opatrzność, ulitowawszy się nad nią, miała za długie dni łez i tęsknoty, za opuszczenie i sieroctwo niespodzianie świetnym nagrodzić losem.

Serce jej biło na tę myśl, że i ona mogła mieć rodzinę, męża, dziecię... własną wolę i moc dobrze czynienia ludziom, gdy teraz skępowana, nawet litościwą być nie miała z czego.

To imię Henryka powtarzało się jej ciągle, obraz młodzieńczego narzeczonego przesunął się przed jej oczyma.

Wprawdzie Ernest rakuzki był także młodym, był synem cesarskim, ale jakiś wstręt i obawę czuła dla tego domu, z którym połączenie nigdy szczęścia Polsce nie przyniosło.

Augustowi jedna z arcyksiężniczek żalobę z sobą dała, druga męczarnię długą i rozpaczliwe lata walki.

Oczy królowej zwracały się ku Francji i nadzieja wstępowała w serce.

Nigdy może żadna niewieścia gałązka wielkiego panującego domu nie znalazła się w takim położeniu, w jakim królowę Annę, co chwila spodziewany zgon brata, miał postawić.

Z licznego rodzeństwa, wszystko co żyło, rozproszone było i rozbite. August konał zubożniały już na wszystko w świecie, schodząc bezpotomnie, ostatnim rodu.

Królowa szwedzka, przecierpiawszy wiele i strasznie, całkiem teraz była oddaną rodzinie swej i krajowi, nad którym mąż jej panował. Pomiedzy nią a Anną trwały stosunki, biegały listy, ale dowodów miłości wielkiej nie dawała Katarzyna, więcej żądając od Anny, niż przynosząc jej, troszcząc się głównie o spadek po matce i po bracie.

Sprawy tego spadku stanowiły najsilniejszy węzeł, który królowę Katarzynę łączył z Polską i z siostrą.

Czułości serca, współczucia nie było w listach.

Anna próżno swojemi pokornymi, posłusznymi starała się w siostrze obudzić uczucie, którem jej serce było przejęte.

Jan III., mąż Katarzyny, wiedząc o tem, że Augusta lekarze na śmierć skazywali, sam już myślał o tronie polskim, o połączeniu dwu państw. Miał młodziuchnego syna Zygmunta, któremu też, jeżeli nie sobie, rad był koronę zapewnić.

A Anna — Anna już naówczas gotową była dla szwagra i siostrzeńca, którego jak własne dziecko kochała, wyrzec się marzeń swoich i praw swoich. O tem dziecku siostry, przyswajając je za własne, pisała, dowiadywała się, chciała mu być matką. Serce jej domagało się kogoś, aby kochać i poświęcić się mogło.

Z księżną Brunświcką, drugą siostrą, stosunki były ściślejsze jeszcze, serdeczniejsze ze strony Anny i nacechowane taką pokorą, poddaniem się, posłuszeństwem, ofiarnością, jak gdyby Zofia odpłacała to uczucie. Tymczasem Brunświcka księżna obchodziła się w listach swych do Anny pisywanych dosyć szorstko z nią, nadużywała powagi, wymagała, rozkazywała, rzadko słowem uprzejmem wywzajemniała się Annie, która padała przed nią.

Więcej mogąca, mająca, swobodniejsza księżna Brunświcka, rzadko w czemś pomagała Annie, najczęściej od niej wymagała ofiar, przysług, poświęceń i krzywiła się, gdy jej rozkazom natychmiast nie czyniła zadość.

Ze strony królowej szły dary za darami, wszelkiego rodzaju posługi, a od księżnej z trudnością, w najcięższych godzinach mogła małą jakąś wyprosić pożyczkę.

Zofia obchodziła się z nią jak mentorka, nauczycielka, przybierając tony protektorskie. Lecz z dwu ich, królowej szwedzkiej i księżnej Brunświckiej, jeszcze ostatnia dla Anny była serdeczniejszą, więcej siostrą.

Widzieliśmy jaki smutny skutek sprowadziły intrygi dworskie, dzieląc Zygmunta Augusta od siostry. Ona mu nie mogła przebaczyć tego, że na jednym dziedzińcu, pod jednym dachem musiała mieszkać z Giżanką i jej „szczeniędem”, z bezwstydną Orłowską, czarownicą, z innemi babami, że z pod jej opieki porwano Zajączkowską, swatając królowi za małżonkę.

Mniszchowie malowali niechęć Anny i żal do brata w takich barwach, że serce jego odwrócili od niej. Dopiero w chwili pisania testamentu, chociaż biskup Krasieński, pochlebiając Augustowi, także był przeciw Annie, sumienie tknęło króla i nie ukrzywdził jej, ale, jak należało, uczynił, znaczniejszej części swojego spadku dziedziczką.

Najlepszy to był dowód, że schorowany król uległ zausznikom, ale czuł swe obowiązki i na łożu śmiertelnem chciał krzywdę wyrządzoną nagrodzić.

Pomiedzy znakomitszymi panami, którzy w chwili tej przy królu i w królestwie głównejsze zajmowali stanowiska, królowa nie miała prawie nikogo, na którego by rachować mogła.

W Małej Polsce wcale się nie zajmowano i nie myślało o niej, a na Litwie zawczasu zaprzeczano wszelkich praw nietylko do dziedzictwa kraju, ale nawet do spadku po panującym.

Ks. podkanclerzy Krasiński, niby wtórując królowi a w rzeczy poblązając Mniszchom, głośno mówił, że kto chciał mieć łaskę u pana, nie powinien być ani bywać u królowej, ani z nią stosunków zachować.

Z możniejszych i znaczniejszych jako przyjaciel, opiekun, jako wierny sługa Jagiellonów, zatem i Anny, a szczególnie księżnej Brunświckiej, występował Sędziwoj Czarnkowski referendarz, postać charakterystyczna swojego czasu, dwuznaczna, dwulicowa, wcale inna w istocie, niż się na oko ukazywała.

Przywiązanie jego do Jagiellonów i Jagiellonek było pokrywką oddania się zupełnego, zaprzędania cesarzowi Maksymilianowi, którego sprawę Czarnkowski nader zręcznie popierał, ale czynił to tak potajemnie, tak umiejętnie, aby popularności nie postradał i nie naraził się nikomu.

Dla Czarnkowskiego losy własnego kraju, a tem mniej Anny, nie były rzeczą pierwszą i główną — interes cesarza brał górę.

Udawał wylanego dla Anny, dlatego tylko, aby pomagając jej, miał na nią oko i nie dał nic uczynić przeciwnego interesom Maksymiliana. Czego nie mógł sam dokazać, to starał się przez księżnę Brunświcką, z którą był w ścisłych stosunkach, wymóżyć na Annie.

Przy królu Czarnkowski do ostatniej godziny tak umiał chodzić, iż ani Mniszchowie, ani Krasiński się go nie obawiali i nie znajdowali niebezpiecznym. Służył, przewoził pieniądze, nie sprzeciwiał się, a nawet Anny nie bronił, aby się nie dać w podejrzenie.

Zręczny, chytry, przebiegły, myślący tylko o sobie, Czarnkowski spodziewał się z obraniem rakuzkiego księcia wypłynąć na wierzch i dojść najwyższych dostojeństw. Nikt nie mógł się domyśleć jego podziemnych chodów, zabiegów, rachub i sieci intryg, jaką oplątywał królownę.

Anna jego zaręczeniem i przysięgom, gorącym zapewnieniom miłości dla rodziny, wierzyła najmocniej, nie posądzając go nawet o to, co knował, gdy referendarz i ją i jej los gotów był bez skrupułu poświęcić cesarzowi.

Z możnych panów i urzędników wyższych nie miała królowna nikogo więcej. Najlepszego serca, ale zboląła, smutna, wyrzekająca, często zamknięta w sobie, nie wiedzieć czem wyrobiła zawczasu opinię kobiety, która, zdaniem wielu, „mogła być drugą Boną”.

Nieprzyjaciele jej posługiwali się tem wyrażeniem groźnem, zapowiadając w niej chytrą intrygantkę, która wszelkimi środkami mogła się dobijać władzy. Potwarz ta nie miała najmniejszej podstawy, ale raz rzucone słowo, gdy z ust do ust pójdzie między ludzi, ma siłę dziwną.

Najłagodniejsza z Jagiellonek, która dotąd energii i charakteru nie miała zręczności okazać, uchodzić zaczęła za „drugą Bonę”.

Tego dosyć było, aby od niej odstręczyć. Losem zresztą sieroty nie zajmował się nikt.

Można było przewidzieć, że ją mogli ludzie użyć za narzędzie w swych rachubach, ale dla niej samej nikt nic czynić nie myślał.

Przywiązanie do dynastji nie było tak silnem, aby dla niego najmniejszą chciano uczynić ofiarę.

Tak Anna była ostatecznie skazaną na — niewielkiego znaczenia sługi swoje — kilku życzliwych, którzy żadnego wpływu nie mieli.

Pocziwy obożny Karwicki sprzyjał jej przez dobre serce i litość. Rotmistrz Bieliński, jako wierny sługa rodziny, z rycerską gotowością stawania w obronie uściśnionej.

Jeden i drugi przecież niewiele mogli, wpływ ich był tak jak żaden, Karwicki wyrobił ostatnie posłuchanie, Bieliński miał później stać na straży spadku po królu, dla zachowania go królownie.

Do tych dwu doliczyć trzeba równie jak oni wiernego królewskiej rodzinie Rylskiego, którym się posługiwała to szwedzka królowa, to księżna Brunświcka, to Anna. Wylany dla nich, jeździł z listami, z powierzonymi przesyłkami, z ustnemi poleceniami; niezmordowany, gorliwy, ale to jedno tylko mógł uczynić, nic więcej.

Człowiek był mały i nieznaczny.

Od śmierci ostatniego ochmistrza, królowna Anna, nie miała wyznaczonego po nim następcy. Pełnił te obowiązki niejaki Jan Koniecki.

Był to dobry człowiek, życzliwy dla swej pani, wierny, uczciwy, ale ciasnej głowy, niewidzący daleko, dający sobie z kolei wmówić, co się komu podobało. Tłuściuchny,

zażywny, powolny, nadający sobie powagi, której utrzymać nie umiał, Koniecki popełniał omyłki nieustannie przez dobroduszną i głupotę.

Ludzie sobie z niego żartowali, ale on zawsze był rad z tego co czynił i nigdy się nie dał przekonać, ażeby mógł się omylić.

Talwosz, Litwin, żywy, czynny, roztropny, syn zamożnego ziemianina, dostał się niedawno na dwór królowej, zbiegiem dziwnych okoliczności, przy królu miejsca nie znalazłszy.

Nie byłby może pozostał tu, bo służba królowej żadnej przyszłości mu nie obiecywała, ale na nieszczęście, piękne oczy Dosi go przykuły. Stał się jednym z najgorliwszych, najzapaleńszych pomocników osieroconej pani.

Różnił się on tem od innych, że gdy wszyscy niemal Annę starali się utrzymać w bezczynności, wyczekiwaniu spokojnem, wyrzeczeniu się wszelkich starań na swoją rękę — Talwosz dowodził, że królowa powinna była wystąpić czynnie w obronie swych praw i nie zapominać, że była Jagiellonką, której Polska i Litwa przecież coś dłużną była.

Z tego powodu Talwosz i z Konieckim iż innymi ciągle musiał się ujadać. Znajdowano go niebezpiecznym, chciano się pozbyć, ale i on trzymał się twardo i Anna powoli zaczynała się ośmielać, słuchać go, nabierać energii, jakiej nigdy nie miała.

Okoliczności też wyrobić jej nie mogły nigdy. Zahukana, zapomniana, słuchać musiała zawsze Bony, która dla niej jak i dla reszty sióstr nie miała serca, słuchać potem sióstr, poddawać się woli brata.

Zaledwie parę razy dozwolono jej objawić własne przekonanie, gdy szło o małżeństwa sióstr, a Anna dla nich uczyniła z siebie ofiarę.

Energia, jaką ją obdarzyła natura, spoczywała jakby uspiona, służyła tylko do oporu przeciwnościom, upokorzeniom, sponiewieraniu, które znosiła z powagą i dumą. Teraz po raz pierwszy bliski i przewidywany zgon brata powoływał ją do czynu, do wystąpienia, do objawienia siły.

Talwosz usiłował ją w niej obudzić. Nie mogło po długich latach bezczynności przyjść to łatwo, królowa zresztą otoczona była ludźmi, przeciw którym działać musiała z ostrożnością.

Z męskiego otoczenia, dodawszy doktora Czeczera, milczącego medyka, który ziola zbierał, w politykę się nie wdawał i zabawić mógł królowę, ale pomódz jejby nie potrafił; księżdz Jana Borakowskiego sekretarza króla, ograniczającego się duchowną posługą, nie było przy królowie bliżej nikogo prawie.

Z kobiet miała przy sobie dawną swą ochmistrzynię Żalińską, która teraz stanowiła ciężar i nie zdała się wcale do posług, bo, dla swoich widoków, gotową była poświęcić królowę.

Ufna w tę przewagę, jaką jej dawały długie lata służby, Żalińska, która miała dwudziestokilkoletniego syna pana Matyasza, na dworze Zygmunta wychowanego na zepsute a zarozumiałe chłopię, ułożyła sobie plan zawczasu, wyrobienia mu stanowiska przy królowie takiego, aby nią, jej majątkiem i sprawami zawładnął.

W tym celu trzymała go przy sobie, narzucała nieustannie królowie, a gdy ta dosyć zimno przyjmowała niemiłe sobie usługi, gniewała się, burczała i nie ustępowała. Patrzano już na to krzywo, że Żalińska, mieszkająca obok swej pani, w komorze przy sobie trzymała syna na uwięzi, i nocować mu tu nawet kazała.

Gdziekolwiek potrzeba było pośrednictwa, poufnego rozmówienia się, Żalińska syna narzucała królowie. Kazała mu pisać listy, utrzymywać rejestra, wciskała go gdzie tylko mogła.

Królowa znosiła cierpliwie, lecz widać było, że jej to ciążyło.

Zuchwały, naprzykrzony, rozpuszczony Matyaszek, był tu, oprócz matki, wszystkim dokuką wielką.

Żalińska, nie mogąc królowej zmusić do poddania się, ciągle teraz ją strofowała i w sposób najnieprzyzwoitszy burczała. Wyrzucała jej, że udaje choroby, że się skarży nadaremnie, że jest wszystkim ciężarem, że jej w niczem dogodzić nie można.

Starą piastunkę, nudną i naprzykrzoną, z angielską cierpliwością znosiła królowa.

Prawdziwą przyjaciółką od serca, dla której tajemnic nie miała Anna, była Zofia ze Śmigła Łaska krajczyna koronna, zdawna z królowkami Zofią, Katarzyną i z nią związana wspomnieniami dzieciństwa.

Krajczyna równie kochała księżnę Brunświcką i Annę, ale teraz nie mogła być z nią i listami tylko się z sobą znosiły. Obiecywała jednak przybycie. Była to niewiasta czynna, żywa, lubiąca zajęcie, szlachetnego charakteru, a nadewszystko nienawidząca spoczynku. Potrzebowała ciągle coś pisać, o coś się starać, coś wiedzieć, czego nikt się nie domyślał.

Gotową była narazić się, pracować, jeździć, byle nie nudzić się spoczynkiem i bezczynnością.

Krajczyna była w sercu Anny jedyną, a choć obok niej stały pani Elżbieta Świdnicka i Elżbieta z Gulczewa Brudzewska, wdowa po łęczyckim wojewodzie, i Zosia Łaska córka wojewody sieradzkiego, żadna z nich mierzyć się nie mogła z krajczyną.

Brudzewska nie młoda, trochę już wiekiem ociążała, nie mogła tak czynnie służyć królowi, jakby chciała, Świdnicka nie była wolną, dla rodziny; Zosia Łaska za młodą, aby coś, oprócz wesela, uśmiechu i słowa pociechy przynieść tu mogła.

I te wszystkie przyjaciółki rozproszone, nie rychło się obiecywały przybyć, aby samotność Anny ożywić i podzielić jej losy. Za całą więc pociechę, jako jedyną powiernicę, miała Dosię Zagłobiankę, którą wychowała, do której się przywiązała jak do dziecka.

Była to istota wyjątkowa, rozumna, odważna, gotowa na wszystko dla Anny, ale mimo niezmierniej energii i przebiegłości, niewiele ona mogła; chyba w domu i gdy szło o obronę od Żalińskiej.

Zamiast Matyasza Żalińskiego, jej Anna używała do listów, gdy ich nie mogła pisać sama, nią się posługiwała chcąc zachować w czemś tajemnicę. Dosi umiała ją pocieszać, dodawać odwagi, zapobiegać nieustannym napaściom ochmistrzyni, pozbywać się jej syna i t. p.

Matyasz chłop jak od siekiery wyciosany, dworak zepsuciem ale nie umysłem, bo był tępy, choć wiele trzymał o sobie, nie mógł codziennie widywać i ocierać się nieustannie o Zagłobiankę, nie rozmiłowawszy się w jej nadzwyczajnej piękności.

Wzdychał do niej, równie z wielu innymi, mając więcej niż inni zrzęczości zalecania się, ale wszystkie jego zabiegi, starania, wdziękzenie się, nie potrafiły mu zjednać dziewczyny, dla której był zanadto ograniczonym.

Posługiwała się nim, ale zbliżyć się do siebie nie dopuszczała.

Na próżno matka, która dla syna była słabą, starała się go popierać. Dosi zaloty w śmiech obracała.

— Wiadomo wszystkim — mówiła Żalińskiej — że jestem podrzutkiem, do którego się nikt przyznać nie chce, za mąż iść nie myślę, boby mi mąż mógł wypominać, że mu nic, nawet pocziwego szlacheckiego imienia nie przyniosła!

Żalińska rachowała jednak na swoją potęgę, wpływ na Annę, jej pośrednictwo i siroctwo Dosi. Z powodu syna też nie występowała tak przeciwko niej, jakby nieraz mogła, znajdując ją na zawadzie.

Zagłobianka nie cierpiała Żalińskiej, jasno widząc jej zamiary względem królowej. Nie tała się z niemi ochmistrzyni, mówiła otwarcie.

— Ma lat blisko pięćdziesiąt, co jej się tam śni, że jeszcze za mąż wyjść może. Po co jej to. Weźmie po bracie dosyć grosza, wyposażą ją panowie i dadzą oprawę czy na Mazowszu czy gdzieindziej i będzie Pana Boga chwalić, a my przy niej spokojnie żyć i używać.

Ja dla niej na ochmistrza syna wychowałam, ja i on, byle głupich podszeptów nie słuchała, wystarczmy aby wszystko w porządku otrzymała.

Teraz się ze śmiercią króla wszystko tak składało, że Żalińska poczyniała być niespokojną. Słyszała dokoła mówiących o tem, iż na przypadek zgonu jego, gdy nowego króla obierać będą, pewnie mu Annę za żonę nastręczą.

Nie obawiała się odprawy Żalińska, znając dobre serce pani, ale przewidywała, że i syn, i ona zniżyć musieli na stronę i już jej tak opanowaćby nie mogli, jak ona sobie ułożyła.

Wśród tej gromadki zastępujący ochmistrza Koniecki, z wielką powagą obracał się sądząc, że nadzwyczaj jest czynnym, a w istocie nie widząc nic i nie robiąc nic wcale.

Pilnował porządku, chodził, pytał, wydawał rozkazy, których nie słuchano, zapominał o tem, co mówił, a zresztą gorliwie zawsze narzucał się pani do wszystkiego, choć nigdy go prawie nie używano do niczego.

Konieckiemu starczyło gdy go służba i dworacy czcili tytułem ochmistrza i drwiąco mu się kłaniali.

Odjazd Zygmunta Augusta, którego królowna ostatniego dnia dopiero widziała i znalazła niemal dogorywającym, zrodził niepokój wielki.

Zostawała sama na tym pustym zamku, nie będąc nawet pewną, czy o zdrowiu brata mieć będzie wieści. Nikt się o to nie troszczył. Jeden starosta Wolski mógł jej w tem posłużyć.

Czarnkowski referendarz miał się znaleźć też przy królu i na tego rachowała, że listem ją zawiadomić może.

Wyzdrowienia zaledwie się można było spodziewać, a doktor Czecher zapytany, odpowiedział, że choć się cuda dzieją, ale tam gdzie baby i czary doktorom robotę psują, nie wielką w nich nadzieję pokładać należy.

Opowiadano wówczas wszędzie, że zaniedbana przez króla czas jakiś Zajączkowska, co tydzień wieczorem dnia jednego, z jakimiś obrzędami groch na ogień ciskała, przeklinając aby się tak rozpuknął ten co jej wiernym być nie chce.

Inne czarownice myły i naparzały chorego, odrywały strzępki jego szat, aby go mieć w swej mocy. Jedna z nich dała królowi prostą obrączkę, którą on jak najkosztowniej pierścień nosił.

Było zawsze około króla tych bab z Wilna i z różnych stron przywożonych dosyć... cóż potem mogli doktorowie?

W parę dni po odjeździe króla dowiedziała się Żalińska i przyniosła to królownie zaraz, że po drodze z Warszawy do Knyszyna, Barbara Giżanka czekała na Augusta w Ostrowie. Nie było temu końca!

Któż mógł przewidzieć, co czekało króla w Knyszynie? i co z nim poczynać mieli ulubieńcy, na których łaskę był zdany?

W niedzielę dnia 6 lipca zmierzchało, gdy starosta tykociński Łukasz Górnicki, wysiadłszy z wozu przede dworem, pieszo przyszedł do drzwi budynku, w którym król leżał w Knyszynie, dowiadując się z obawą o zdrowie pańskie.

Z twarzy ludzi, którzy stali w gankach i na podwórzu, z ciszy, jaka tu panowała, chociaż ruch był niespokojny, mógł wnieść że się tu źle święciło.

Poznawszy mimo mroku starostę, wyszedł naprzeciw niemu dworzanin Lissowski i szepnął, że król kilka razy słabym głosem pytał czy nie przybył, a nakazał go natychmiast gdy się zjawi puścić do siebie, choćby odpoczywał i drzemał.

Szedł więc już nie zatrzymując się starosta, a tu go w pierwszej komnacie spotkał referendarz Czarnkowski, który u okna siedział z rękami złożonymi, jakby się modlił, i ujrawszy Górnickiego, ku niemu powstał.

— Idźcie do króla, idźcie — szepnął, zniżając głos — pragnął mówić z wami. Źle się ma. Duchowni go do pojednania z Bogiem i przyjęcia Sakramentów już przygotowują. Życia pozostało niewiele.

Gdy to mówił, z drugiej izby wystąpił Jakób Zaleski starosta piaseczyński i ujrawszy Górnickiego pośpieszył ku niemu mówiąc:

— Król na was czeka.

Nie wdając się więc już w pytania Górnicki pośpieszył za Zaleskim, który go do sypialni prowadził.

W izbach, przez które przechodzili, cisza panowała i smutny mrok wieczora je zalegał. Powietrze ciężkie było i parne.

U drzwi sypialni, gdy zcicha zapukali, zjawił się Książnik, który już się zabierał ofuknąć aby panu nie przerywano spoczynku, gdy zobaczywszy starostę, podniósł zasłonę i wpuścił go prędko, nie pytając.

W izbie było przyciemno też, tylko w kątku osłonięta gorzała lampka mała, a że okno nie było całkiem zamknięte, płomień jej poruszało się i migotało.

W głębi na szerokim, niskim łożu, osłoniętem pawilonem szkarłatnym, spoczywał król drzemiąc chorobliwie i marząc, cały w białiznie, z nogami tylko okrytymi jedwabną kolderką.

Żółta, wychudła twarz jego widać było na białych poduszkach leżącą z oczyma zamkniętymi. Ręce białe, kościste, złożone trzymał na piersiach.

Pomimo że starosta jak najciszej wniósł się starał, Zygmunt August posłyszał czy przeczuł jego przybycie, powolnie ciężkie podniosły się powieki i poruszyły usta blade.

Górnicki przejęty widokiem umierającego stał jak wryty i oczy mu się zwilżyły.

Chwilę trwało milczenie, słaby głos dał się słyszeć od łoża.

— A to ty... nareście... czekałem...

Ręka jedna z trudnością podniosła się nieco i skinął aby przystąpił. Górnicki posłuszny zbliżył się na palcach powoli.

Oczy króla, które były zapadły, podniosły się ku niemu i usta drgnęły.

Starosta, który od tak dawna i dobrze króla znał, a widywał go w różnych ducha usposobieniach, przerażony został zmianą jego twarzy.

Było to zawsze tożsamo, poważne, Jagiellońskie oblicze, wiekuistym jakimś obleczone smutkiem, lecz teraz zbliżający się zgon nadawał mu wyraz uroczysty, jeszcze bardziej majestatyczny i namaszczony.

Nie był to już człowiek na ziemi żyjący i ziemskimi sprawami przejęty, lecz duchem na poły na świecie innym.

Starosta pytania żadnego zadać mu nie śmiał, stał z boleścią w duszy wpatrując się w niego i ręce załamał.

Słysząc było oddech w piersiach ciężki i chrzęszczenie.

Parę razy powieki trochę się poruszyły i opadły.

— Koniec, koniec się zbliża — odezwał się po cichu po długiej chwili oczekiwania.

— Żyłem za długo, za długo, cierpiełem wiele... zostawiam was sierotami.

Górnicki ledwie mógł stłumić płacz, który, mimo męztwa, pierś mu i oczy napęśniał.

— Miłościwy panie — rzekł — żyjcie, Bóg łaskaw, zdrowie wam przywróci.

Na ustach króla widać było jakby uśmiech niedokończony.

— Ani dla siebie, ani dla was tego nie życzyć — odezwał się cichym bardzo głosem.

— Walczyłem próżno, z dołą walczyć nadaremnie, nikt swego nie uniknie losu.

Zatrzymał się król, jakby mu tchu zabrakło, spojrzął na Górnickiego i szeptał znowu:

— Całe życie, całe stoi przedemną jak rozwinięta karta. Widzę je przed sobą. Pasma przeznaczeń. U kolebki, matka! tak, matka, która być miała mi prześladowcą i mojego szczęścia nieprzyjaciółką. Ojciec kochający a surowy... pochlebcy i kobiety... a! te kobiety, te sokoły, które mi żywot zatruć miały.

Przez nie ginę! a tak je kochałem?

Zamilkł znowu. Górnicki chciał powstrzymać go i szepnął, że mówienie rozdrażnia i męczy.

August nie zdawał się słyszeć i rozumieć. Oddech stał się żywszym, powieki odkryły oczy wpadłe, ale jaśniejące blaskiem niezwykłym.

— Widziałeś Elżbietę, pierwszą moją... padła ofiarą, niewinna, biedna, anielska istota. Co ona zawiniła, że jej męczennicą być przeznaczono...

Barbara... a! ukochana Basia moja, o którą z narodem walczyć, z matką wojnę prowadzić, z całym światem się poróżnić przyszło, ją i mnie żółcią i piołunem poiili.

I ta jak kwiat w mych oczach uwieźla... i ta...

Górnicki dostrzegł jak dwie łzy dobyły się z pod powiek powoli i nieotarte potoczyły z wolna po twarzy, znikając gdzieś na białiznie, w którą wsiąkły.

I znowu było milczenie, król się podniósł nieco, uczynił wysiłek, lecz osłabłe ciało zmusiło opaść na pościel bezwładnie, oddychał coraz ciężej, ale oddech stawał się przyspieszony.

— Chcieli bym żył z Katarzyną, to mi śmierć zadało. Nie mogłem się zwyciężyć. Przez to umrę bezpotomny, ostatni, ze mną do grobu pójda Jagiellonowie.

Bóg, los, przeznaczenie, fatalność, żelazne prawo zniszczenia.

Górnicki chciał coś wtrącić, aby smutne te myśli odwrócić, król mówić mu nie dał.

— Bezpotomnym! — rzekł — to nic, ale zejść bez dobrego imienia, bez pociechy z wielkiego dzieła.

Starosto, wszystkom chciał, nic nie mogłem. Litwa dotąd dąsa się na to co jej przyszłość miało zapewnić. Na Unię pracowałem życie całe, dla niej praw się zrzekłem... oni jej nie chcą.

Swobody ich szanowałem... plwali mi w oczy za to.

Nie było nieszczęśliwszego nademnie. Na Ruś zbierałem się iść odzyskać zabrane... zawady mi stawili.

Wrogów wszędzie, przyjaciół nie miałem nigdzie, nigdzie, nikogo.

— A! miłościwy panie — przerwał Górnicki — nie czyńcie nam wiernym sługom swoim krzywdy, myśmy cię cenili i miłowali!

— Wielu? kto? — przerwał król. — Mój starosto, śmierć oczy przemywa i wzrok daje co do głębi dusz sięga... widzę w każdym co w sobie nosi, do szpiku kości.

Przyjaciół dla łupieży, kochanek dla łask i darów, jest wiele, a ktoby kochał?...

Zamilkł nagle i zwolna w piersi się uderzył.

— Winienem, winienem — szeptał — przebac mi panie, winienem wiele, ale przejrzałem za późno.

Starosto, pamiętajcie o tej sierocie królownie Annie, ja życie jej zatrąłem. Co z nią będzie? maż ona do końca żywota łzami się obmywać?

— Miłościwy panie — podchwycił Górnicki — naród nigdy panów swoich krwi nie odrzącił i nie zapomniał o niej. Nie trwożcie się o los królownej.

— Zapóźno przyjdzie jej korona i małżeństwo — przerwał znowu ciszej król. — Katarzyna przecierpiała wiele, Zofia owdowiała, sierota Anna na łasce waszej.

A cóż z tem państwem?

Wstrzymał się król i milczał długo, spojrzął na starostę, jak gdyby go wyzywał.

— Wybierajcie ostrożnie, abyście za soczewicę praw swych nie pozbyli. Jest ich dosyć co sięgną po koronę naszą.

— Cesarz pierwszy — podszeptął Górnicki.

— Cesarz? — zamruczał król — przez nich my straciliśmy Czechy i Węgrów, oba kraje Jagiellonom należały. Ojciec dał się im uwikłać i wydrzeć je sobie.

Cesarz uczynił mnie bezpotomnym, cesarz zakuje was w niewolę!

Podniósł rękę, która opadła ciężko na posłanie.

— Litwa za carem ze strachu. Tyran jest. Katarzyna truchlała, by mu jej nie wydano; nie oddawajcie mu Anny, biednej Anny. Zabije ją.

Nie śmiał Górnicki wspomnieć o Francuzie, ale król sam szepnął.

— Francuskiego króla brat się swata, obcy nam, daleki, młody. Polska niczem dla niego, on na nic dla was.

I dodał po namyśle.

— Pruski książę? któż wie? Zechcecie go?

Starosta słuchał z natężoną uwagą, lecz te myśli przesuwające się z kolei rozmarzomemu po głowie, zdały mu się go dręczyć nadto; przerwał uspokajając.

— Miłościwy panie, Bóg miłosierny. Jeśli osierocić zechce, opiekować się będzie! Pocóż trapić się zawczasie.

— Tak! przeznaczenia są nieuniknione, konieczność żelazna — westchnął. — Widzę przyszłość, widzę ją... smutna...

— Wasza miłość — odezwał się Górnicki — zechcecie mi wydać jakie rozkazy. Rozkazaliście mnie przywołać.

Król niespokojnie ręką powiodł po czole.

— Nie wiem już — rzekł — tak... potrzebowałem was... Chciałem mieć kogoś przy sobie...

Oczy jego skierowały się na drzwi.

— Sokoly i sępy... chciwe... nikogo więcej... wszyscy czegoś żądają, nikt nic nie przynosi. Słowa pociechy... lzy pocziwej...

Jaki to dzień? — zapytał nagle.

— Niedziela — szepnął Górnicki.

— Tak, byłoż to dziś rano? czy wczoraj, czy miesiąc temu? już nie wiem. Wszystko się zmieszało razem, cała przeszłość leży pogmatwana przedemną.

Te sokoly...

— Zbyćby się ich, miłościwy panie — rzekł starosta.

— Płaczą — począł król — jak ojciec łez niewieścich znieść nie umiem. Gizanka ma córkę... dziecko moje jedyne. Zajączkowska... wiesz... żenić się z nią chciałem... czeka... świat zawiązany.

Zuzię Orłowską aż tu przywieźli... i ta... A! te sokoły!

Nie śmiał nic powiedzieć Górnicki, ale mu się zrobiło przykro, a gdy potem król zamilkł, odważył się podszeptnąć:

— Nie myślę o nich!

— Tak — po chwili dodał król — czarami mnie i napojami wzięły, a zdrowie i życie poszło.

Te, którem kochał, los mi wydarł prędko... przemknęły mi przez życie moje jak cienie, tylko śnię teraz o nich. Widzę je jakby żywe były. Stają koło mnie... Elżbieta i Basia razem.

Starosto — odezwał się żywiej — przywiozłeś mi z sobą ich wizerunki?

— Są w Tykocinie — odparł Górnicki.

— Jam je teraz chciał mieć... pocieszyć się niemi — rzekł król. — W Tykocinie! Jedźże po nie, proszę cię, jedź po nie, a śpiesz jutro do mnie z powrotem. Chcę je mieć, chcę je koniecznie mieć teraz, choćby do trumny.

Górnicki począł się tłumaczyć, dlaczego ich nie zabrał z sobą, lecz w myślach pograżony, już się go słuchać nie zdawał i powtórzył:

— Jutro — przywieź mi je jutro.

Wtem jakby sobie coś przypomniał.

— Bieliński — spytał — jest w Tykocinie na zamku?

— Nie odstępuję go na krok — rzekł Górnicki. — To człowiek, na którego spuścić się można, miłościwy panie.

— Dla tegom go nad skarbem moim wszystkim postawił — słabnącym głosem dodał August. — Starej wiary to mąż, prawości starej. Mów mu, niech nikomu nie zdaje po mnie mienia, krom królewnej Anny... Ona siostr nie ukrzywdzi, a ja chcę, aby pokrzywdzoną nie została. Biedna Anna...

Na jej sieroctwo spadnie korona! Kto wie? Wydrą jej może i mój spadek i ją... z Jagiellonek ostatnią...

— Miłościwy panie, nie może to być — przerwał starosta — myśli tych nawet nie przypuszczajcie; ludzie bywają niewdzięczni, naród się niewdzięcznością splamić nie może.

Zygmunta Augusta oblicze zmieniło się wyrazem szyderskim.

— Mylisz się, starosto, mylisz — odparł — przeciwnie, ludzi wdzięcznych znajdzie się coś może, narody zawsze niewdzięczne być muszą!

Napróżno chciał zaprotestować starosta tykociński, król głową potrząsał.

Lecz widać było w skutek długiej już rozmowy tej znużenie.

Wśród niej Zygmunt August chwilami usypiać się zdawał. Słów mu brakło i wypełniało je mruczenie... Mruczenia przerywały mowę. Starosta nie śmiał ani się oddalić bez rozkazu, ani dłużej męczyć króla, który, ile razy go zobaczył, jakby pobudzony do mówienia, usta otwierał i wkrótce wyczerpując się, słabnął.

Na ostatek sądząc, że się już nazbyt przedłużyło posłuchanie, zrobił parę kroków wstecz od królewskiego łoża, ale król posłyszał chód i oczy otworzył.

— Jedź — rzekł — zaraz, prędko... proszę cię... wizerunki, wiesz... dwa razem, Elżbiety i Barbary... przywieziesz mi je jutro.

— Natychmiast wyruszam spełnić rozkaz, miłościwy panie — odezwał się Górnicki odchodząc.

Król nie musiał już usłyszeć odpowiedzi, gdyż starosta ujrzał go z otwartymi ustami, uspionym głęboko, oddech tylko ciężki i chrapanie piersi znużonych słyszeć było.

Gdy ostrożnie podniósłszy zasłonę starosta tykociński znalazł się w izbie sypialnią poprzedzającej, w której podedrzwiami stał Książnik, Plat i Jakób cześnik na cichej jakiejś naradzie, potrzebował chwili długiej, aby przyjść do siebie, tak mu jeszcze w pamięci, w sercu brzmiało to, co z ust umierającego słyszał.

Nie ulegało wątpliwości dla niego, iż król już z tego łoża boleści nie miał powstać, że to były ostatnie godziny i słowa ostatnie.

Wzruszony do głębi duszy, Górnicki usiłował zapanować nad sobą, lecz łkania powstrzymać nie mógł.

Do stojącego nie opodal od progu zbliżył się Fogelweder i ujął go za rękę.

— Wszelka nadzieja stracona? — szepnął Górnicki. — Doktorze, macie wy jeszcze jaką?

Fogelweder potrząsnął głową.

Milczeli chwilę. Doktor ujął go za rękę i wywiódł z sobą do drugiej komnaty, w której, oprócz referendarza Czarnkowskiego, znajdował się chwilowo marszałek Radziwiłł, na uboczu rozpytujący cicho Jakóba Zaleskiego o króla.

Zobaczywszy powracającego Górnickiego, Czarnkowski się zbliżył do niego.

— Mówiłeś z nim? — zapytał.

— Tak — rzekł starosta — i rozmowa była może dla chorego za długa. Zmęczyła go, ale odpuścić mnie nie chciał.

— Dał ci jakie rozkazy?

— Kazał mi jechać do Tykocina, abym mu jutro przywiózł dwa wizerunki: Elżbiety i Barbary, które zwykł był nosić przy sobie.

— Jutro! — podchwycił Czarnkowski smutnie — lecz któż wie, czyje jutro jest... Biedny pan! Nie wspomniał co o królownie?

— I owszem — odparł Górnicki — los jej go obchodzi wielce, troskę ma wielką o nią.

Referendarz zamilkł.

— Doktorowie obaj — dodał po przestanku — żadnej już nadziei nie czynią. Jutro król na śmierć dysponować się będzie.

— Tem bardziej śpieszyć muszę do Tykocina — odezwał się starosta — abym ostatnią jego spełnił wolę i choć małą przywiózł pociechę.

Otarł łzę, podali sobie ręce.

Noc już była, gdy Górnicki się znalazł w podwórzu dworu królewskiego, który, choć cichym był, niemniej ludzi go mnóstwo napełniało.

Znając wszystkich, mógł starosta mimo ciemności rozpoznać tych, co się tu krzątali.

Krajczy i podczaszy z Konarskim, któremu król wszystko zwierzał i klucz od pieniędzy oddawał, stali przy ładujących się wozach. Widocznem było, że się śpieszono, aby z zaborem przewidywany już zgon króla uprzędzić.

Zaprzęgano konie, szeptali ludzie: ze śpichrzów wynoszono skrzynie i różny ładunek.

Jakób cześnik królewski, znany ze swej chciwości i bezwstydu, kręcił się także około wozów innych, z dworzanami: Platem, Kolfilskim i Kazanowskim.

Niektórzy z nich wcale na starostę nie zdawali się uważać, drudzy zmięszali się widząc go powoli przechodzącego podwórze i rozpatrującego się w tem co się tu działo.

Łatwa do poznania, po swej tuszy i zuchwalej postawie, Zuzanna Orłowska, jedyna z dawnych miłośnic króla, która była przytomną w Knyszynie, chodziła także pilnując rzeczy, które na gwałt tej nocy wyprawiano w świat, aby tylko z Knyszyna, obawiając się dnia następnego, gdyż biskup Krasieński, marszałek Radziwiłł i referendarz Czarnkowski mogli łupieżstwo powstrzymać.

Zmięszany widokiem Górnickiego, krajczy przybliżył się do niego pozdrawiając.

— W przykrem jestem położeniu — rzekł — król wydał rozkazy, aby niektóre rzeczy i pieniądze rozdaruwane, wysłać zaraz z Knyszyna. Muszę spełnić polecenie, a kto wie, jakie na mnie później spaść mogą potwarze. Nikt nie wie, że ja tu niczem nie rozporządzam, niczem.

— Tak — odparł Górnicki, starając się okazać obojętnym, choć się w nim krew burzyła, bo prędki był i do uniesienia się skłonny — dobrzeby było, panie krajczy, oprócz podcaszego inne świadki mieć woli króla, bo w istocie przewidzieć łatwo, iż się o roztrwonienie mienia ludzie później upomną.

— Wszyscyć widzą — odparł krajczy butnie — co się tu dzieje, świadków dosyć jest.

— To źle, iż ci sami świadkowie obwinionemi będą — zaczął Górnicki — więc zeznania ich niewiele wzbudzą wiary.

Chciał śpiesząc już odejść starosta, i oddalił się od Mniszcha, gdy od ganku ujrzał goniącego i dającego znaki referendarza Czarnkowskiego, który ująwszy go pod rękę, nie spojrzawszy nawet na krajczego, stojącego na drodze, wyprowadził za wrota.

— Widzieliście, co się dzieje! — zawołał, ręce łamiąc. — Gdy król oczy zamknie, nie będzie mu co dać do trumny. Dzisiejszej nocy rozgrabią resztę. Wiem, że Konarski co było grosza, rozesał na wsze strony, tak, że z pieniędzy pożyczonych u gdańskich kupców

grosza pono nie zostało. Giżanka z Orłowską i innemi rabusiami pozabierały klejnoty, jednego nawet z licznych pierścieni i łańcuchów nie zostało. Co było sukna, szkarlatu, jedwabiu, futer, znikło wszystko. Pustki gdzie zajrzeć.

Do rana dzięki takim, jakim Jakób cześnik, Książnik, Pągowski, który dziś jeszcze sobie przywilej na Bronowice zapieczętować kazał, nie mówię o innych i o wyżej stojących, do rana nie stanie u nas jednej misy srebrnej.

— Widziałem to — odezwał się starosta — ale radzić nie umiem, jeżeli wy nie potraficie, jeżeli ks. biskup Krasieński, marszałek Radziwiłł, nie mocni są temu się oprzeć. Krajczy i podczasy jeszcze dosyć mają zachowania i łaski, aby nam wszystkim usta pozamykali.

— I dość bezwstydu, aby nawet śmierć ich nie powstrzymała od łupieży! — przerwał Czarnkowski zrozpaczony.

— Szczęściem — dodał Górnicki — król jakby przewidywał ten rozbój, co miał kosztowniejszego i co zachowanym mieć pragnął, wysłał do Tykocina, gdzie pod dobrą strażą rotmistrza Bielińskiego nikt nie tknie skarbu.

Król mi wyraźnie polecił, abym rotmistrzowi powtórzył, nie wydawać nikomu tykońskich rzeczy, krom królewnej Anny.

Czarnkowski ręce podniósł do góry.

— Daj Boże tylko — dodał — aby panowie litewscy i koronni nie zagarnęli siłą co się słusznie jej należy...

Nazajutrz, gdy Górnicki do Knyszyna z wizerunkami żądaniami powrócił, zastał wszystkie okna otwarte, świece palące się około mar, a na nich ciało ostatniego z Jagiellonów, któremu do trumny pierścienia pożyczyc musiano.

Spodziewanym, przewidywanym był zgon króla, ludzie się przysposabiali zawczasu do obmyślenia mu następcy, a każdy więcej go dla siebie może wybierał, niż dla Polski; mówiono o blizkiej śmierci, a jednak, gdy z Knyszyna żałobna wieść: król umarł! rozeszła się po kraju i we wszystkich kościołach uderzono we dzwony, gdy gońce się rozbieżeli po całym królestwie i Litwie, zwiastując, że one pana nie miały, strach ogarnął niezmierny wszystkich.

Uczuli się bezbronnymi, wydanymi na łup samowoli zuchwałych i silniejszych — nikt życia i mienia nie był pewien.

Nie było króla, więc nie było sądów i sprawiedliwości — ustawała wszelka władza płynąca od tronu.

Nie wiedziano w początku nawet, komu zastępczo, tymczasowo zwierzone być miało zwierzchnictwo, kto miał prawo rozkazywać, kogo należało słuchać.

Nigdy za ludzkiej pamięci, nawet czasu wojen i napadów, tak powszechna trwoga nie objęła wszystkich; kraj stał otworem, bezbronny, na łasce nieprzyjaciół, a wewnątrz na samowoli wicherzycieli i możnych.

Jak gdyby Tatarowie lub Moskwa wtargnąć miała, obwarowywano zamki, opatrywano w broń dwory, kościoły kryły swe kosztowności, strażę stawiano po nocach.

Po kilku dniach sąsiad zaczął dopadać najbliższych swych.

— Radźmy! co tu poczynać! Zjedźmy się. Nikt o nas nie myśli.

Ale kto miał zjazd zwoływać? dokąd się trzeba było skupiać?

Gromady zaczęły się zbiegać do miasteczek, gwarzono, wykrzykiwano, tracono głowy, rozpaczano.

Śmielsi docierali do grodów, do powiatów. Każda ziemia zaczęła zwoływać się osobno.

Kraj, co przez długie wieki całość stanowił spójną, osieroceniem się znowu rozbił na gromadki.

Małopoleanie radzili o sobie, Wielkopolska u siebie, Litwa zamknęła się też w domu, Ruś w granicach, Mazowsze w swych lasach.

Strach pędził i dyktował pierwsze środki dla zabezpieczenia pokoju wewnętrznego i uniknięcia zawichrzeń. Z gorącości wielkiej uchwalono drakońskie prawa przeciwko tym, którzyby się ważyli z bezkrólewia korzystać. Chciano za najmniejsze wykroczenia karać śmiercią.

Oglądano się z niedowierzaniem na senatorów.

Tam, w górze, wiadomość o śmierci króla może mniejsze uczyniła wrażenie, tylko to, co gorzało pod popiołem, poczęło pobłyskiwać jawnie,

Z góry odzywały się głosy, iż prędko pana wybierać należało.

Pana tego każdy miał gotowego w zapasie, ale kto, jak go wybierać mógł, kto okrzyknąć — nikt nie wiedział. Świeccy senatorowie radzi byli działać sami, najwyższy dostojnik Kościoła, będący zarazem najpierwszym senatorem państwa, głową i naczelnikiem, pierwszeństwo niezaprzeczone miał za sobą.

Szlachta nie chciała prawa wyboru ustąpić panom, panowie nie chcieli na tłum szlachty się zdać, zamieszanie w pojęciach praw tych panowało największe. Tradycja została zagubioną, albo raczej nie było jej wcale. Wybory panujących zawsze dotąd wiązały się z prawami krwi i dziedzictwa — dziś spadkobiercy zabrakło.

O królownie jako dziedzicze tronu w tej pierwszej chwili zamętu nikt nie pomyślał.

Można śmiało powiedzieć, że pretendenci do tronu więcej się oglądali na królownę Annę, niż senatorowie i duchowieństwo krajowe.

Biskupi i panowie lękali się tylko, aby Anna nie była przeszkodą do wyboru, aby nie dochodziła praw, nie stworzyła sobie partii, nie związała im rąk.

I jeśli pomyślano o królownie, to tylko, aby ją uczynić niewolnicą, odebrać jej wszelką możliwość działania, otoczyć ją strażą, nie dać się jej ruszyć i uczynić kroku.

Obawiano się Anny, tej osieroconej i bezbronnej, jak gdyby ona w istocie była widmem Bony, groźbą i postrachem.

Królowna w trwodze o życie brata pędziła dni smutne na zamku, nie mogąc nawet pewnych mieć wiadomości z Knyszyna, gdy goniec od referendarza Czarnkowskiego nadbiegł z listem, zwiastując żalobną nowinę.

— Król nie żył!

Anna rzuciła się płacząc i mdlejąc na kolana, czuła, że w życiu jej przyszła godzina wielka, że powołaną być miała do piastowania tu sama, ona słaba, całej godności krwi swojej, że musiała stawać w obronie praw nie jej jednej, ale dynastii służących.

Ale myśl ta przemknęła się jak błysk po skolataną głowę, oplakać naprzód musiała brata i jedynego opiekuna, ofiarę niecnym służalców.

Zakwefiona czarno, poszła podtrzymywana przez sługi swe naprzód do zamkowego kościoła na pierwsze żalobne nabożeństwo. Tu padła na kolana, prosząc Boga o siły i natchnienie.

Wśród tej modlitwy czuła, jakby promień z góry padł na nią, jakby siła jakaś zstąpiła z niebios wołając ją do czynu.

— Jesteś ostatnią, wszyscy twoi przodkowie w tobie są i żyją, ich sławę i wielkość możesz albo pogrześć na wieki, lub ocalić i dać jej życie. Wstań, idź, działaj!

Głos ten powtarzał się w jej duszy jako wołanie Boże, jako rozkaz przyniesion przez aniołów.

Broniła mu się słabością swą i płakała, a nieublagane wołanie trwało ciągle: Wstań, idź i działaj! Płakałaś długo bezsilna, dziś czas łez przeszedł, a nastał czas trudu i krwawych potów...

Mężną być musisz i niezwykcioną; z grobów dziadowie nakazują ci, nie wypuść berła ich z dłoni.

Gdy po długiej modlitwie, czując się nią złamaną, powstała Anna, znalazła się zdumiona nagle silniejszą niż była. Duch w nią wstąpił, i ci co widzieli do kościoła idącą, z głową zwieszoną na piersi, chwiejącą się na nogach, zdumieli się, gdy powracała powoli z oczyma oschłemi, wyprostowana, z podniesionem czołem, w majestacie swego sieroctwa, jakby wiodła za sobą cały szereg zmarłych przodków.

Łzy niekiedy wytryskały jeszcze z pod powiek, lecz osychały natychmiast.

Gdy w chwilę potem starosta Wolski wszedł z pokłonem i kondolencją, spojrzawszy na królownę zdumiał się. Stała przed nim tak majestatyczna, pewna siebie, poważna, jaką nie widział ją nigdy.

— Stało się — rzekła do niego — kraj i ja sierotami jesteśmy, ale ja teraz dzieckiem się czuję tego państwa i pod jego opiekę oddaję z ufnością. Nie opuście mnie.

Skłonił się Wolski zapewniając, że wszyscy z miłością wielką przy swych panach stali zawsze i stać będą.

Anna zapytała go o szczegóły zgonu brata, o ostatnią godzinę, ale nikt więcej nad to nie wiedział, że skończył życie w Knyszynie, że tam nieład panował wielki w chwili zgonu i że ciało tymczasowo przeprowadzić miano do Tykocina.

Popłoch jeszcze panował taki, że starosta co do pobytu królowej i przyszłego jej utrzymania nic nie umiał postanowić; nie rozkazywał nikt, nie wiadano kto miał rozkazywać.

Anna po raz pierwszy ośmieliła się oświadczyć staroście, że co do osoby swej, czuje się swobodną i wolną postąpić tak, jak uzna właściwym. Wolski się nie sprzeciwiał.

Oczekiwano referendarza Czarnkowskiego, który przywieźć miał i wiadomości pewniejsze i skazówki jak postępować należało.

Następne dni królowa spędziła na nabożeństwie i rozmyślaniu, była milczącą i pogrążoną w sobie, jakby już teraz przyszły plan zakreślić chciała.

Każdego dnia wstawano z nadzieją, że Czarnkowski nadbieży, oczekiwano na niego do wieczora napróżno, a gdy i listy nie nadchodziły, odkładano nadzieję do jutra.

Następny ranek i wieczór tak samo upływał, a niecierpliwość rosła, Czarnkowskiego nie było.

Dnia jednego naostatek, jak zawsze żywy, ruchawy, mówny, na oko szczerzy, otwarty, wylany, z twarzą, która co chwila inne jakieś wyrażała uczucie zbyt dobitnie aby mogło być prawdziwym, przybiegł pan referendarz, cały w kirze i żalobie, i dramatycznie bardzo upadł przed królowną na kolana, ze łzami całując kraj jej szaty.

Któż w tym wybuchu żalości mógł się domyślać pocałunku Judasza?

Referendarz głośno deklamował.

— Pani moja, królowo! przybywam cały się oddać na twe usługi, stać w obronie twej, być twoim rzecznikiem! rozkazuj mi!

Gdy powstał i z kolei rękę ucałował i pohamowawszy zapał ten, począł ostygły mówić o zgonie króla, o stanie umysłów, o przyszłości, już wcale nie był tym człowiekiem, jakim wszedł przed chwilą.

Królowna rada go była słuchać, bo miała w nim wiarę niezachwianą; zdziwiło ją to tylko, że gdy ona czuła się powołaną do czynu, referendarz zalecał jej przeciwnie, nadzwyczajną oględność, aby najmniejszym ruchem śmielszym nie obudziła obaw i nie ściągnęła podejrzeń.

Według niego senatorowie obawiali się, aby sobie nie chciała zawczasie zapewnić praw, których oznaczeniem oni sami mieli rozporządzać. Radził ostrożność, umiarkowanie, bierność.

Królowna słuchała go, nie śmiejąc się odzywać, ale serce jej biło — czego innego się spodziewała.

— Jeżeli ja całkiem zamilczę i o żadne prawa stać a przypominać ich nie będę — odważyła się przerwać — łącno one zostaną zabyte i mogą być sponiewierane.

— A! nie — przerwał Czarnkowski — my stojemy na straży, my nie damy was pokrzywdzić, ani zapomnieć o was, lecz panom senatorom narażać się nie należy.

Anna zamilkła; referendarz napomknął, iż nawet, zdaniem jego, należało się gdzieś królownie usunąć, aby nie znajdować się tam, gdzie tłumne zjazdy i narady szlachty i panów się obiecowały. Nie chciał, by pozostała w Warszawie.

Musiał na twarzy królowej dostrzedz przykre wrażenie, jakie ta rada uczyniła, gdyż natychmiast zrzęcznie odwrócił rozmowę na przedmiot inny.

— Ja stoję na stronie i czynnie tylko o obronę spraw waszych, miłościwa pani, działać będę, do wczesnych zabiegów nie mięszam się, ale już ze wszech stron słyszę głosy i domysły o wyborze przyszłego pana.

Królowna rzuciła pytające wejrzenie.

— Największa część głosów — dodał referendarz — jest za cesarzem, a raczej za jednym z synów jego. Sprawa to kardynała, który potrafił na stronę swą nawrócić nawet tak zażartych jak Firlej i Zebrzydowski wrogów, którzy jeden przeciwko drugiemu na złość iść mogli, a pójdą razem.

— Przejeżdżając przez miasta, wstępując do grodów — ciągnął dalej referendarz — miałem sposobność przekonać się, iż większość głosów jest za pośpiesznym wyborem i za Rakuszaninem.

Strach wielki opanował umysły, boją się wszyscy bezkrólewia, radziby jednej godziny pana sobie dać, aby lada warchoł nie panował i nie wicherzył.

— Ale na żaden sposób rychło się to stać nie może — odparła Anna. — Obmyśleć muszę sposób w jaki wybierać będą.

— Toteż śpieszą wszędzie ze zjazdami — dodał Czarnkowski. — Zaledwie jeden się rozszedł, zwołują drugi, myślą o trzecim. Zbiegali się po powiatach, zbiegają po ziemiach, a dalej chcą po prowincjach, dopóki wszyscy razem gdzieś się nie zbiorą, z Litwą pewnie też...

Królewna słuchała, Czarnkowski mówił z zapalem, a co rozpoczął o innym kandydacie do korony, jakby mimowoli nawracał do cesarza.

Przyszły na stół sprawy osobiste królewnej.

Miała ona testament brata i przekazaną znaczniejszą część skarbu po bracie, złożoną w Tykocinie pod strażą wiernego Bielińskiego, ale tego tknąć jeszcze nie było można. Tymczasem królewna żyć musiała, skarb był pusty, nie było komu nawet asygnować z niego, choćby się w nim co znajdowało.

— Nie wiem co mam czynić, biedna sierota — odezwała się Anna, widząc się sam na sam z Czarnkowskim. — Pieniądzy mi nikt nie pożycz tu, ostatek sreber zastawiłam, nie godzi mi się okazywać w takiej chwili biedną i żebrac posiłku.

Referendarzu mój! przyjacielu nasz, pisz do Zofii, u której masz zaufanie, wstaw się za mną. Nieuchronna jest potrzeba, aby mi przysłała pieniądze. Winnam już jej, to prawda, ale łatwiej Zofii dostać niż mnie, a ja, da Bóg, wszystko jej wrócę zawiązką.

Czarnkowski nie śmiał odmówić.

— Niech wasza miłość pisze od siebie — rzekł — ja też popierać będę, lecz pierwszy się odezwać nie mogę.

— Czyń jak uznasz lepszem — mówiła Anna — pamiętaj, żebyś mnie zwłoką na wstyd nie naraził. Ostatkami gonię. Do skarbcza tykocińskiego sięgnąć nie mogę, dopóki testament ogłoszony i przyjęty nie będzie.

Załamala ręce.

— Ciężkie nad miarę położenie moje — dodała — lecz się pocieszam tem, że trwać ono nie może, że panowie senatorowie myśląc o kraju, nie zapomną i o mnie.

Z następnych zaraz słów Czarnkowskiego widać było, iż chciał mówić o czem innym.

Zapewnił tylko, że do księżnej Brunświckiej pisać nie omieszka.

Anna chciała śłać umyślnego, aby jechał i powracał z pieniędzmi, ale do tego jeden Ryłski się nadawał, a o tem nie wiedziała, czy był ze Szwecyi z powrotem.

Po chwili znowu Czarnkowski jakby mimowoli o potędze cesarskiej i o mnogości przyjaciół Maksymiliana w Polsce mówić zaczął.

— Z tego co ja tu słyszeć mogłam — przerwała Anna — powzięłam owszem przekonanie, że wielu miał sobie bardzo niechętnych.

Wiesz jak Polacy o swobody swe są zazdrośni, obawiają się aby on ich im nie ukrócił, jak Węgrom i Czechom, coby mu tem łatwiej przyszło, że zaciężne wojska zawsze pogotowiu ma, i niemi a siłą co zechce uczyni.

Czarnkowski śmiał się z tych obaw.

— Miłościwa Pani — rzekł — kto to wie, czyby cokolwiek swobód nie należało ukrócić? Mamy ich może do zbytku, dlatego często nieład się wkłada i buta w prywatnych, gdy pan na tronie bezsilny. Ale ci co tak są troskliwi o swe przywileje, mogą przecie dopilnować, aby ich zachowanie poprzysiężono uroczyście.

Królewna miała już na ustach, gdy potem Czarnkowski wierność cesarza dla Kościoła wynosić zaczął, iż niemniej gorliwym synem jego był dom panujący francuzki, ale się zdradzić obawiała ze słabością swoją dla tego Henryka, którego wizerunek pełen młodzieńczego wdzięku ją oczarował.

Referendarz dotąd wcale się tego nie domyślając, gdy napomknął o Henryku Andegawęńskim, śmiać się począł z tego kandydata do korony, którego całe Niemcy od Polski przedzielały, a nimby on przybył tu, stronnictwo coby cesarzewicza wybrało, miało czas sprowadzić i ukoronować swojego. Nazwał to mrzonką niemożliwą i śmieszoną.

Królewna Anna zarumieniła się milcząca i nic nie odpowiedziała.

— A! Na kandydatach zbywać nie będzie, nie licząc cara moskiewskiego, którego Litwa chce niby prowadzić, ale kardynał i tam z głowy wybił Chodkiewiczowi i Ra-

dziwiłowi dziką myśl poddania się człowiekowi, który ani ludzi i ich żywota, ani praw szanować nie był nawykłym.

Mówią także o siedmiogrodzkim Stefanie Batorym, drudzy o Auguście księciu saskim, ale to są małe książątka, których u nas nikt nie zna.

Za księciem pruskim nie ma także komu stanąć tak dalece, ani za Janem szwedzkim.

Słuchała tego wszystkiego królowna, aż milczeniem uważnym zachęcony Czarnkowski, przyszedł do Piastów, śmiejąc się z tych, co życzyli sobie wybrać kogo ze swoich, a wyrzekali się nowej siły, jaką mógł przynieść panujący obcy, bogaty, mający sojusze za sobą i rodzinę.

Według niego, co łatwo było wyrozumieć, jeden cesarz miał największą pewność wyboru.

Anna posmutniała tem więcej, że referendarz zapędziwszy się tak i zapomniawszy o niej, o jej interesach i prawach wcale nie wspomniał.

Dopiero w końcu, pomiarkowawszy się, dorzucił Czarnkowski, iż młody Ernest ożenić się ofiarował... co na lice Anny rumieniec wywołało, ale jej wcale nie rozweseliło.

Miała w myśli i w sercu Henryka, ale to musiało pozostać tajemnicą, z której nikomu a nikomu zwierzyć się nie mogła. Zdawało się jej, że — mimo wszystko — Bóg, który go przeznaczył, potrafi przyprowadzić.

Rozmowa z referendarzem, który rozpoczął ją i skończył zapewnieniami najuroczystszymi swojego poświęcenia dla Anny i rodziny, nie pozostawiła po sobie wrażenia tak uspokajającego, jak się królowna spodziewała. Chciała jechać do Knyszyna, aby się znajdować przy przeniesieniu zwłok do Tykocina, Czarnkowski jej odrazu oświadczył, że pewnie panowie senatorowie będą temu przeciwni, a drażnić ich nie potrzeba. Obawiali się, jak mówił, aby królowna zbyt wybitnego nie zajęła stanowiska i samowolnie nie zażądała postępować sobie.

Referendarz prosił o cierpliwość, o umiarkowanie w pierwszych dniach, a ręczył, że on nie da krzywdy uczynić.

Z tych półsłówek trzeba się było domyślać, że dokoła królowej niewidzialne osnuwały się jakieś środki, aby nad każdym poruszeniem jej czuwać. Ulękła się nieco i zaniepokoiła.

Czarnkowski, który wszystkim dworował, kim się albo posłużyć mógł, lub jakąś korzyść wyciągnąć dla siebie, od królowej wyszedłszy, dał się pochwycić dawno sobie znajomej poufale Żalińskiej, która go do swojej izby zaprowadziła; po drodze już narzekając na panią, bo do tego tak już była nawykła, że się powstrzymać nie mogła.

— A, panie referendarzu — mówiła, ręce podnosząc i wywijając niemi dramatycznie — a! zmiłuj się pan, wpływ powagą swoją na królowę, aby się nie gryzła nadaremnie, nie rzucała tak, nie stękała, a czekała spokojnie, co panowie senatorowie zarządzą i postanowią.

Mam z nią kłopot niewypowiedziany... zrywa się jechać do ciała królewskiego, na pogrzeb, a tu powietrze, a tu na podróż pieniędzy nie ma... Do koła nas intrygi i intryganci... — Każdy jej coś podszeptuje, wszystkich słucha, nie wiedzieć co jej po głowie chodzi, a mnie starej, wiernej, doświadczonej piastunki nie chce wierzyć i zaufać.

Czarnkowski głową wahał.

— Wiele królownie przebaczyć należy — rzekł — zboleła jest, biedna... a ma przed sobą jeszcze niemało do przebycia...

Waćpani ją staraj się uspakajać i wmawiać, aby bez porady starych przyjaciół nie czyniła nic... niech się nie porywa... Senatorowie i tak obawiają się jej.

Żalińska łamała ręce.

Zalecał referendarz jak największe umiarkowanie i cierpliwość, a gdy ochmistrzyni uskarżać się zaczęła na niedostatek, zaręczył, że prymas, życzliwy królownie, on i inni obmyślą dla niej teraz środki utrzymania odpowiednie.

W tem wszystkim co tu przynosił Czarnkowski było trochę prawdy, ale nie cała.

Królowna nie czuła jeszcze i nie widziała tego, jakimi ją strażami obstawiono, jak każdy krok jej był pilno badany. Panowie senatorowie, naówczas w Warszawie będący, w pierwszej chwili popłochu przewidywali, że Anna zechce sobie nadać zbyt przeważną rolę, że może opanować owe skarby tykocińskie, na które i Litwa i Korona zęby ostrzyły, otoczyć się partią, uchwycić przewagę, pokierować elekcją, narzucić im pana...

Lękano się jej energii, chociaż dowodów jej nie dała jeszcze.

Pierwszy Talwosz, który biegał, podsłuchiwał, wywiadywał się, szpiegował, doszedł do tego, iż Annę chciano koniecznie tak ścisłą otoczyć strażą i dozorem, aby kroku samowolnie uczynić nie mogła.

Pierwszy też on przybiegł przelękniony donieść jej o tem.

— Miłościwa pani — rzekł żywo — z pomocą referendarza, jeżeli on istotnie wiernym jest, trzeba się temu opierać, a nie dać się uczynić niewolnicą.

Wiem na pewno, że miłość waszą chcą z Warszawy wyprawić, do jej boku dodać senatorów, którzyby z oka nie spuszczały; z Warszawy pod pozorem powietrza wysłać do Płocka lub do Łomży. Mówią, że nawet posłańców i listy będą przejmować, aby bez wiedzy senatorów nic z tych nie wyszło ani do Sztokholmu, ani do Brunświku.

Królowna zbladła słuchając, lecz tak bardzo teraz już zastraszyć się nie dała. Pomyślała chwilę.

— Sprobójmyż — odezwała się — czy ja jeszcze wolną jestem lub nie. Każ waszmość kolebki i mozaiki przygotować, pojedę do Błonia. Wprawdzie dwór tam nie zbyt wygodny, ale ja o to nie stoję wielce. Zobaczmy, czy mnie kto wstrzymać się pokusi.

Talwosz pobiegł wydać rozkazy.

Natychmiast dano o tem znać referendarzowi i innym senatorom, zrobił się ruch pewien, naradzano się, biegano, ale postanowiono nie trwożyć królowej, stawiając jej przeszkody do wyjazdu.

Nazajutrz jechała do Błonia.

Talwosz, który wiał się i kręcił, aby coś pochwycić i przestrzedz, dowiedział się tymczasem, że dwaj Francuzi, wysłani przez królową matkę z Paryża, starali się w sekrecie dostać do królowej i u niej mieć posłuchanie.

Wahał się, czy ma o tem oznajmić królowej lub nie, i w niepewności tej, nie wiedząc jak sobie radzić, udał się do Dosi Zagłobianki.

Nikt, ani nawet ona nie wiedziała stanowczo, kogo sobie życzyła Anna: cesarzewicza Ernesta, czy francuzkiego Henryka, ale przenikliwe oko kobiety odgadło, do czego się królowa nie przyznawała.

W Błoniu więc, gdy Talwosz odpoczywał, nimby się znowu na zwiady puścił do Warszawy, Dosi poszła do swej pani, tak się wyrachowawszy, aby jej Żalińska podsłuchać i przeszkodzić nie mogła.

— Królowo moja — rzekła, przyklękając przed nią i całując jej ręce — Talwosz przybył z Warszawy... ale to, co z sobą przywiózł, tylko waszej miłości może być wiadomem. Są posłowie z Francji od królowej matki do was, którzyby się potajemnie z miłością waszą widzieć i rozmówić potrzebowali.

Zagłobianka spojrzawszy na swą panią, spostrzegła na jej licu tak żywe poruszenie, w którym mimowoli się radość przebijała, a razem taki przestach, iż ją to potwierdziło w domysłach.

— A! na Boga! — odezwała się głos zniżając królowa i pochylając się do Dosi — ja o tem wiedzieć nie powinnam. Lękam się o nich. Gdybym nawet chciała i dozwoliła, niepodobna ażeby potrafili się do mnie dostać niepostrzeżeni. Ty wiesz, żeśmy otoczone stróżami.

Niespokojna wstała Anna.

— Co tu począć? co począć? — zawołała. — Ja im nic, nic ułatwić nie mogę. Niech Talwosz strzeże się też, bo co on uczyni, to na mnie spadnie, ja odpowiadam za niego.

Bez panów senatorów wiedzy mnie osobno nie wolno widzieć nikogo, z nikim się układać! Ty wiesz, że nawet do sióstr listu przesłać mi nie dają, i jeśli referendarz ich nie przekradnie, nawet do nich pisać nie mogę.

Ale sąż pewnie ci posłowie?

— Talwosz nawet wiedział ich nazwiska — dodała Dosi. — Ostrożnie bardzo starali się tu przekraść, lecz widać, że mieli trudności, gdy dotąd się nie zgłosili.

Anna łamała ręce i rozważała co ma czynić. Mówiła sama w sobie.

— Potrzeba tę niezmierną bojaźń senatorów ukolysać, choć na pozór będąc w początkach im posłuszną. Wyrzec się więc podróży na pogrzeb do Knyszyna, aby się nie obawiali tam pozyskania serc i skupienia wiernych nam koło mnie.

Po namysłach królowa kazała zalecić Litwinowi, aby ostrożnym był i do niczego się nie mieszał czynnie, a wszystko miał na oku.

Sprowadzono go wreszcie na chwilę do Anny, w chwili gdy się wtargnięcia i podsłuchania Żalińskiej nie obawiano.

— Talwoszu mój — odezwała się Anna — niech ci Bóg płaci za twoje serce dobre i wierne posługi; nie opuszczaj ty mnie, ale nie daj się złapać na żadnej niemiłej senatorom imprezie. Musimy ich uspokoić. Widzisz jak czuwają nademną, jak gdybym nieprzyjacielem była!

— Niech miłość wasza tylko — rzekł Talwosz — zbytniej im uległości nie okazuje, ani nadto posłuszeństwa. Swoją wolę powinna pani nasza mieć i swą godność zachować. Senatorowie dobrze czują, co znaczy dziś dziedziczka tronu ze krwi i dlatego się jej obawiają. Wasza miłość masz potęgę wielką. Nie trzeba się dać krępować.

Słuchała królowna.

Talwosz ucałowawszy jej ręce, zawinął się i pod pozorem rzeczy potrzebnych, zapomnianych na zamku w Warszawie, puścił się zaraz z Błonia do Warszawy.

Nazajutrz przybywał Czarnkowski, zawsze jako przyjaciel i sługa najwierniejszy, chociaż los królowej nie tyle go obchodził, co własne rachuby na cesarza.

Był on zręcznym posłem senatorów, kanclerza Dembińskiego, wojewody Firleja i innych, chociaż utyskiwał na ich despotyzm i zbyt surowy nadzór nad Anną.

Królowna poskarżyła mu się naprzód, że listów jej do sióstr nawet nie było wolno wyprawić, że i nad tem czuwano. Oburzony Czarnkowski podjął się pośrednictwa, obiecywał je potajemnie wysłać. Oprócz tego zapewnił, że senatorowie obiecywali opatrzenie, pieniądze, ludzi, dwór dla królowej stosowny, ale prosili, aby z okolic Warszawy dla powietrza usunęła się do Płocka.

Nie przyznał się do tego, o czem wiedział dobrze, iż chciano królowę dlatego oddalić, bo myślano o zwołaniu sejmu w Warszawie, a przytomność jej na niem nie była na rękę panom. Obawiali się uroku wspomnień, skupienia ludzi około niej, przewagi, jakąby ona uzyskać mogła.

Anna łatwo się tego domyśliła. Same okoliczności uczyły ją co czynić miała. Instynkt wskazywał, aby to czyniła właśnie, czego jej zabraniali ci, których za nieprzyjaznych musiała mieć.

Nawet z Czarnkowskim, któremu ufała całkiem, o tem, co najbardziej na sercu miała, nie mówiła wcale.

O posłach francuzkich referendarz albo nie wiedział lub mówić nie chciał. Przestrzegł tylko królowę, ażeby ani nawet z cesarskimi wysłańcami, bez wiedzy jego się nie zbliżała i nie wiązała niczem.

Referendarzowi szło o to, aby cesarz jemu nie komu innemu zawdzięczał pomyślny obrót swej sprawy.

Pokrótce i niezbyt wiernie zdawszy sprawę Annie ze zjazdu w Łowiczu, Czarnkowski powrócił nazad do Warszawy, oznajmiwszy tylko, że na wyjazd do Płocka nalegać będą.

Położenie tej osieroconej córki królów, która nigdy spraw ważniejszych w ciągu dość już długiego życia nie dotykała, a teraz sama sobie musiała radzić, czując, że na nikim się bezpiecznie oprzeć nie zdoła, było zaprawdę trudnem.

Można było, nie znając tego ile czasem sił zamknięta dusza ludzka przyzbierać może w sobie, przewidywać, że się da złamać i nie podoła walce.

Tymczasem w miarę trudności jakie się rodziły, przeszkód, zawał, umysł się budził, rosła energia, instynkt dobywał z głębi.

Anna dawniej płacząca, milcząca, modląca się, zajęta swojemi wychowankami, dobreimi uczynkami, ogródkiem, podarkami dla sióstr, drobnostkami życia niewieściego, nagle umiała zająć stanowisko, z którego jej cała siła gromady senatorów zepchnąć nie zdołała.

Potrafiła milczeć, a w chwili stanowczego wyboru zawsze pójść w kierunku, który przyszłości nie zagrażał.

Niezupełnie próżnemi okazały się obawy Firleja i Dembińskiego, którzy się w niej odrodzonej Bony lękali. Nie rozpoczynając walki, nie wypowiadając wojny, pozornie im nawet ulegając, Anna umiała tak swą godność i niezależność zachować, iż musieli ciągle się z nią rachować.

Oni też przeciwko niej wystąpić jawnie nie mogli — opasali tylko żelaznem kołem.

Po kilku dniach Talwosz zjawił się znowu. Przywoził wiadomość, że posłowie francuzcy kręcili się w okolicy, że trudno im było ważyć się do królowej, bo ich już wytropiono i śledzono... że może nawet nie dostaną się do niej, ale mieli być dobrej myśli i ufali, że ich królewicz pozyszcze sobie dosyć przyjaciół, aby uprzedzić i zwyciężyć cesarzewicza.

Gdy to mówił, królowa obojętną udając, stała z oczyma spuszczone — lekki rumieniec przebiegł po jej twarzy. Talwosz przewidywał, że senatorowie na wyjazd z Warszawy do Płocka nalegać będą, i zdawało mu się, że można ich było usłuchać. Kto wie, czy w Płocku Anna spokojniejszą i swobodniejszą być nie miała?

Królowa nie odkryła się z tem, co myślała, kazała jednak Talwoszowi, aby na wszelki wypadek dwór się gotował do podróży.

I znowu nadbiegł Czarnkowski, tym razem z przyjacielską i wiernego sługi radą, ażeby Anna usłuchała senatorów i jechała do Płocka.

Królowa wyraziście mu w oczy popatrzyła.

— Nie będę się opierać — rzekła — jeżeli zechcą, pojedę; spodziewam się tam nareszcie spotkać z moją kochaną krajczyną Łaską, a tak mi dobrze czekać na jakiś koniec tam jak tu.

— Powietrze zbliża się do Warszawy! — dodał referendarz.

Uśmiechnęła się Anna.

— Panie mój — odparła — o ile ja wiem, równie ono grozi i w Płocku, ale wola Boża i opieka jego nademną wszędzie jedna!

Westchnęła.

— Pojedziemy więc do Płocka.

Czarnkowski miał jeszcze coś do oznajmienia, z czem się wahał, bo chciał niemiłej nowinie nadać pozór jakby była pomyślną.

— Panowie senatorowie — odezwał się — takby radzi czuwać nad miłością waszą, tak chcą jej bezpieczeństwo zapewnić i wszelkim jej wymaganiom zadość uczynić, iż zamierzają pono do osoby jej dodać dla powagi i uświetnienia dworu dwu z pomiędzy siebie, zacnego ks. biskupa chełmskiego Wojciecha ze Staroźreb Sobiejuzkiego i wojewodę płockiego Uchańskiego.

— A! rozśmiała się królowa — straż tedy mi postawią, abym im nie zbiegła.

Poruszyła ramionami. Czarnkowski się zmięsział nieco.

— Ale miłość wasza swobodną będziesz przy tej straży, jak gdybyś żadnej nie miała — rzekł żywo — a oni przynajmniej czuwać muszą, aby jej i dworowi na niczem nie zbywało.

— Dziękuję za tę troskliwość — dodała wzdychając Anna. — Niech będzie, jak postanowią senatorowie. Widzisz, kochany referendarzu, iż powolniejszą nademnie być niepodobna? nie prawdaż?

Skłonił się Czarnkowski, usiłując zaraz czem innem zatrzeć wrażenie.

Uprzedzał królowę, że chodziły ciągle pogłoski o francuzkich posłach, potajemnie się uwijających, a drudzy i o cesarskich też wysłańcach podobnych do królowej opowiadali.

— Ale, miłość wasza — dodał referendarz bardzo żywo i gorąco — nie powinnaś ani jednym ani drugim dać przystępu do siebie. Z godnością waszą się to nie zgadza, aby tajemniczym knowaniom podawać rękę!

— W tem macie zupełną słuszność — przerwała Anna — ani potrzebuję, ani chcę nic czynić sekretnie. Jedne tylko moje listy do siostr muszą mi w ten sposób za pośrednictwem waszem przekradać, ale gdzie o stosunki między rodzeństwem chodzi, tam panowie senatorowie nosa wtykać prawa nie mają.

Czarnkowski ręce na piersiach skrzyżowawszy potakiwał.

Słyszał on coś już o wysłańcu cesarza do Anny, i lękał się, aby ona wprost się nie porozumiała z Maksymilianem, boby on naówczas i jego robota, za którą mu znaczne pieniądze obiecywano, na nic się nie przydała. Anna go zupełnie uspokoiła.

Dawno temu, za czasów gdy żył jeszcze Zygmunt Stary i królowa Bona królowała, zjawiło się na dworze jej chłopię, włoskiego pochodzenia, rodu jakoby znakomitego, ale podupadłego, a zwano je Alfonsem Gastaldi.

Na dworze Zygmunta wychowywał się ładny, żywy, dowcipny, nad wiek swój rozumny a przebiegły ulubieniec starej królowej. Uczono go, pieszczono i bawiono się nim na dworze.

Obok włoskiego języka, Gastaldi nauczył się doskonale po polsku.

Zdawało się, że dorósłszy utrzyma się przy dworze i mając opiekę a łaski wynieść się potrafi i zająć każde stanowisko.

Nagle stało się coś niezrozumiałego. Gastaldi z wielkich faworów popadł w niełaskę, a wkrótce potem z listami polecającymi go zjawił się na dworze cesarskim.

Utalentowany młodzieniec, pięknej powierzchowności, zalecony dobrze, zyskał tu posadę, umiał się podobać i stał się cesarskim sługą.

Królowna Anna знаła go dobrze. Widywała często, lubiła dosyć...

Teraz, gdy do Polski potrzeba było ludzi, którzyby ją znali i wiedzieli, jak się tu obracać potrzeba, nastęrczył się Gastaldi.

Mógł jako na pół Polak, mający pono nawet pewne prawo obywatelstwa, zjawić się tu nie budząc podejrzeń, i jednać cesarzowi przyjaciół. Charakter, temperament, natura czyniły go do tego bardzo sposobnym.

Czarnkowski, który o wszystkim co spraw cesarza w Polsce się tyczyło był doskonale uwiadomionym, w Warszawie po wyjeździe królowej do Płocka otrzymał niepokojącą wiadomość, że Signor Alfonso Gastaldi był już w Polsce, a co gorzej, że miał polecenie potajemnego widzenia się z królowną i zawarcia układów o małżeństwo jej z Ernestem.

Przestraszył się niezmiernie referendarz; znaczyło to wyrwanie mu całej zasługi, że on na tron wprowadził rakuskiego pana.

Wiedział Czarnkowski, że nie był sam jeden w Polsce, któremu powierzono sprawę elekcji, ale dotąd zdawało mu się, że on mógł być głównym czynnikiem. Uląkł się, aby go nie podszedł Gastaldi.

Signor Alfonso był królownie dobrze znany, zabiegliwy i zręczny.

Anna już była wyjechała do Płocka z dosyć licznym dworem wiernych sług swoich i dodanych jej wiernych sług panów senatorów. Nie mogła się uskarżać teraz ani na brak czci, ani na małą troskliwość; kłaniano się jej, posługiwano, lecz otaczano tak ściśle, tak szczelnie, iż nawet zręczny Tälwosz i przebiegła Dosia nie mogli ani świstka, ani rozkazu przenieść, nie będąc zaraz wysłędzeni.

Zaopatrywano wszelkie potrzeby, ale czujne warty stały widzialne i niedostrzeżone dokoła.

Pan wojewoda Arnolf Uchański wyjechał naprzeciw królowej, czekał na nią łagodny, uśmiechnięty biskup Wojciech, na zamku znalazła przygotowane na przyjęcie komnaty, spiżarnie zaopatrzone, lecz u wrót strażę i slugi nieznanne, które się nastęrczały do wszystkiego, aby nic się bez nich nie działo.

W pierwszych chwilach przykre wrażenie niewoli zatarła radość z widzenia krajczyny Łaskiej, przyjaciółki serdecznej i żywej, czynnej, niezmordowanej do posług, szczerze do królowien przywiązanej.

Z nią razem przybywała sierotka Zofia Łaska, dziewczę skromne i łagodne, którą Anna przyjęła serdecznie i chciała, aby przy niej została, widząc w niej „wielką sierotę”, jak się wyrażała, a sama też ona była sierotą największą.

Musiano się urządzać na zamku, rozpatrywać we wszystkim, a nadewszystko Anna potrzebowała serce swe całe wylać przed przyjaciółką krajczyną.

Całe, aż do jednego tajemniczego zakątka, który pozostał zakryty nawet dla niej, bo się go odsłonić wstydziła.

Tego co czuła dla Henryka, swoich nadziei na francuzkim królewiczu pokładanych, nawet krajczynie się zwierzyć nie mogła.

Ludzie posądzać ją, domyślać się, przeczuwać coś zdołali może, ona się przyznać nie chciała, aby nie rumienić się potem, gdyby Bogu podobało się dotknąć ją nowym zawodem.

Z małemi odmianami ten sam dwór, ciż ludzie co w Warszawie otoczyli ją w Płocku, lecz miała tu krajczynę jako tarczę i obronę od nieznośnej zawsze Żalińskiej i jej syna; Zosię sierotkę, której Dosia Zagłobianka stała się towarzyszką i opiekunką. Troski o chleb powszechny nie tak były w Płocku dokuczliwe.

Towarzystwo codzienne pomnożyło się przybyciem biskupa chełmskiego, który był gościem ciągłym, a prawie każdego też dnia zjawiał się wojewoda Uchański, na pozór z uszanowaniem, w istocie dla zbadania, czy się tu co nie knuło potajemnie.

W parę dni po przybyciu do Płocka, czynny Tálwosz już się rozpatrzył, poznał z ludźmi, zyskał niektórych i obracał się tak swobodnie jak w Warszawie, a przez Dosię, bo mu to było najmilszym, zawiadamiał królownę gdy dostał języka.

Najgorzej na przesiedleniu wyszła Żalińska, która mniej się mogła narzucać i nie tak nieznosnie zrzędzić. Krajczyna w różny sposób zamykała jej usta, a pana Matyasza, następczącego się do posług, zbywała ostro.

Oszczędzano królownie chwil nieprzyjemnych, choć trosk zawsze jej dosyć pozostawało.

W kilka dni Tálwosz przyniósł wieczorem z miasta wiadomość, iż na pewno w okolicy znajdował się pan Alfons Gastaldi, który miał wszelkich środków użyć, aby się wkraść na zamek i dostać do królownej.

Nie zdawało się to ulegać wątpliwości, chociaż razem z tą chodząca wieść, jakby przy nim przebrany znajdował się arcyksiążę Ernest, który osobiście chciał poznać i zalecić się królownie, wyglądała na bajeczkę.

Dosia pobiegła o tem zaraz zwiastować swej pani, sądząc, że może sprawi jej tem przyjemność, ale wzbudziła tylko przestrasz wielki.

Królowna Anna kazała natychmiast przywołać Tálwosza.

— Cóżes to za plotki przywiózł z miasta! — odezwała się, podchodząc ku niemu.

— O Gastaldim nie plotka — rzekł Litwin — ale najwierniejsza prawda. Nie wiem, czy on się tu dostanie, ale że po okolicy uwija się i o to stara, nie ma wątpliwości.

— Ja go widzieć ani chcę, ani potrzebuję — przerwała Anna smutnie. — Wolałabym zapobiedz temu, aby się do mnie nie dostał.

Tálwosz nie umiał na to odpowiedzieć. Przynosił co słyszał, lecz sam nie miał sposobu ani sprawdzić pogłoski, ani się zbliżyć do wysłańca cesarskiego. Był tu człowiekiem nowym, a Gastaldi, wedle wszelkiego podobieństwa, musiał się chyba posługiwać dawnymi swemi znajomościami na dworze.

Królowna przeszła się parę razy po komnacie zasępiona.

— Tálwoszu mój — rzekła w końcu, obracając się do niego — pilnujcie wy, proszę, na zamku, aby się ludzie obcy i nieznajomi nie wciskali. Mam i tak dosyć kłopotu z panami senatorami, którzy mi nie dowierzają, podejrzewają... Nie chcę nic robić potajemnie, z nikim widzieć się, mówić, nie potrzebuję.

Gastaldi jest bardzo zręczny i śmiały, trzeba się mieć na baczności.

Z tem wyszła Anna. Na zamku pilnowano się o tyle, o ile było można, aby obcych nie wpuszczać. Ale ludzie z miasta wchodzili ciągle, przywożono rzeczy różne, przybywali do urzędników zamkowych meldujący się nieznajomi, tak, że dopilnować się było trudno. Królowna zamknęła się niespokojna w swoich komnatach z krajczyną i Zosią. Wychodziła tylko do biskupa i wojewody, oczekiwała na Czarnkowskiego, który był niezmiernie czynny.

Miał w istocie wiele na głowie: musiał utrzymać się w łaskach i zaufaniu królownej, nie zaniedbywać księżnej Zofii i nie dać w podejrzenie senatorom, a oprócz tego i przedewszystkiem służyć cesarzowi, po którym się najwięcej spodziewał.

W całym kraju wrzenie i niepokój nie ustawały. Na oko najsilniejsze było stronnictwo cesarskie i cesarz miał zdawna tu oddanych sobie, a bliskość granic Polski ułatwiała mu przygotowania do elekcji. Przez kardynała Commendoniego pewien był poparcia duchowieństwa. Wszystko więc zdawało się mówić za nim. Lecz, pomimo zbliżenia się, jakie z niesłychaną zręcznością Commendoni umiał wyjednać u Firleja i Zborowskich, stara waśń i antagonizm pod popiołami gorzała. Można było przewidzieć, że gdy Firlej chwyci się jawnie cesarskiej strony, przeciwnicy pójdą za innym kandydatem.

Tegoż dnia gdy Tálwosz oznajmił królownie o Gastaldim, a ona oczekując na Czarnkowskiego z trosk swoich nawet krajczynie się zwierzyć nie chcąc, zamilkła zafrasowana wielce, wieczorem przyszedł zwykły ból głowy, który często ją trapił.

Pożegnawszy więc wcześniej niż zwykle obie Zofie, przywołała Dosię i posłała z nią do swej sypialni na spoczynek.

Zagłobianka niosła świecę przed Anną, a że w komnacie była jak u siebie i wszystko tu własnymi rękami uporządkowywała, uderzył ją na stole spory zwitek papierów, który ukazała idącej za sobą królownie.

— Niech już miłość wasza — rzekła — da dziś pokój wszelkiemu czytaniu a oczu i umysłu nie męczy.

— Ale cóż to być może? — zapytała Anna niespokojnie.

— Ja nie wiem — odparła Dosia — sądziłam, że wasza miłość samiście tu te papiery złożyli.

— Żadnych nie miałam dziś! — odparła królowna zbliżając się do stolika.

Na wierzchu leżał półarkusz papieru, nieforemnie złożony, jeszcze gorzej przypieczętowany, który Anna niespokojnie rozerwała.

Wewnątrz, ręką jakąś czy niewprawną, czy niechcącą się zdradzić stało tylko słów kilka, które przeczytawszy prędko, obejrzała się królowna, palec położyła na ustach, dała znak Dosi, aby milczała i szybko papiery schowała do stojącego u łóża stoliczka. Na licu jej malował się niepokój wielki.

W milczeniu poczęła się królowna rozbierać, nie rozmawiając nawet z Dosią, bo się obawiała, aby Żalińska lub syn jej z bocznej komory nie podsłuchiwali. Zagłobianka rada była wiedzieć z kąd się tu wzięły te papiery tajemnicze, ale pytać się nie śmiała.

Weszła w tej chwili Żalińska, rzuciła okiem dokoła i zbliżyła się do Anny.

— Cóż to? tak wcześnie do łóżka? — zapytała.

— Głowa, głowa mnie znowu boli — cicho i bojaźliwie odparła Anna.

— Jak nie ma boleć! — prawie szydersko poczęła stara, biorąc się w boki — kto cały dzień stęka, piszczy, narzeka jak wy, musi w końcu napytać biedy.

Nie trzeba się tak pieścić.

— Żalińska moja! — z wymówką odparła Anna — możeszże ty mi to wyrzucić?

— Ależ bo w istocie królewianko moja — wołała ciągnąc dalej ochmistrzyni — sami już nie wiecie czego chcecie?

— Na ten raz, Żalińsiu, chcę tylko odpocząć — odezwała się królowna — Dosia posiedzi przy mnie. Dobranoc.

Odprawiona tak ochmistrzyni usta zagryzła.

— Ja wiem, że moje usługi już teraz niemiłe i niepotrzebne — ciągnęła dalej — ani ja, ani Matyasz nie mamy łaski.

— Jesteś niesprawiedliwą — słabym głosem poczęła Anna — bądź pewną, że serca nie straciłam do ciebie, ale... proszę cię... w tej chwili daj mi spocząć... głowa boli bardzo.

Żalińska porwała się gniewna, i niezrozumiałego coś mrużąc, wybiegła szybko, stukając drzwiami za sobą, co królowna zniosła cierpliwie.

Tym sposobem uwolniwszy się od Żalińskiej, rozkazawszy Dosi opatrzyć drzwi, Anna w łóżku już poczęła rozpatrywać papiery, które znalazła na stoliku.

Karta do nich przyłączona pisana była ręką Gastaldiego, a listy pochodziły od cesarza Maksymiliana, który wprost z królowną chciał się układać o zaślubienie z nią Ernesta i odziedziczenie tronu polskiego.

Czytając je serce biło gwałtownie, oczy zaszyły łzami, dziwne jakieś uczucie trwoży ogarnęło ją, smutek po straconych nadziejach. Miała niewysłowiony wstręt do rakuskiego pretendenta i do tego domu, z którym związki nigdy dla Jagiellonów korzystnymi nie były, przynosiły z sobą zawsze zawody i smutki. Pod klucz schowawszy te niebezpieczne, a nie wiedzieć w jaki sposób podrzucone papiery, Anna długo odezwać się nie mogła słowa. Dosia zdala czekała w kątku na rozkazy. Skinęła na nią.

— Na Boga, Dosiu moja — szepnęła jej do ucha — o papierach tych nikomu ani słowa! ale jeżeli się dowiedzieć możesz, dojsz, dośledzić, kto je tu położył, jak się na stół mój dostały, a! będę ci bardzo wdzięczną. Powracaj do mnie, jeżeli się co dowiesz, ja spać nie będę... połóż się tu u mnie blisko.

Drżę jeszcze cała.

Rozplakała się królowna. Zagłobianka kilku słowy uspokoiwszy ją nieco, wybiegła natychmiast na zwiady. Sama nie wiedziała jak spełni rozkazanie. Pierwszą spotkała Żalińską, która dla syna (choć nie lubiła Dosi) oszczędzać ją musiała.

— Cóż to się Annie stało? — poczęła ochmistrzyni. — Znowu głowa! znowu nas będzie męczyć piskiem i udaną chorobą.

— Ja o niczem nie wiem — obojętność udając i namyślając się, odparła Dosia. — Królowna wchodząc do sypialni postrzegła, że jej tam ktoś książki i papiery porozrzucił. To ją rozgniewało. Nie wiecie kto tam w sypialni gospodarował?

Oburzyła się Żalińska.

— Kto? gdzie? w sypialni? a to mi się podoba! Nikt nie może się dostać do niej bez mojej wiedzy... ja nie wychodziłam nigdzie. Śni się wam, nikt nie ruszył nic. Chyba ta nowa wychowanka wojewodzianka Zosia, poprzewracała szukając.

— Ale nie — zaprzeczała Zagłobianka. — Ktoś obcy musiał się wkraść.

— Obcy? a ja tu od czego? — gniewnie oburzyła się Żalińska. — Oprócz stróża, który drevka na komin przynosił, żywej duszy nie było.

Zmilczała Dosia i urywając rozmowę wybiegła do sieni. Szukała oczyma Talwosza, stał on wypatrując jej właśnie, a zobaczywszy wychodzącą domyślił się że był potrzebnym.

W kilku słowach opowiedziała mu Zagłobianka o co chodziło; Litwin zrozumiał, dał znak aby czekała na niego i pobiegł na podwórze.

Dosi nie było bardzo przyjemnie stać w antykamerze, gdzie ją zaraz otaczano, bo nie było między dworzanami młodszymi jednego, któryby się do niej nie zalecał, choć wszystkich wyśmiewała, lecz musiała.

Z kolei ilu ich było przychodzili się nastręczać do posług i odprawieni usuwali się kwaśno. Jedno to ich mogło pocieszać, iż żaden z nich nie miał się czem pochwalić.

Nawet poważny Koniecki, choć dostojność swe ochmistrza nosił teraz jeszcze majestatycznie w Płocku niż w Warszawie, przyszedł pięknej Dosi się pokłonić.

Talwosza długo nie było, Zagłobianka już się miała cofnąć nie doczekawszy go, gdy powrócił nareście, ale przy Konieckim mówić nie było można.

Dosia wprowadziła go z sobą do przedpokoju.

— Znalazłeś stróża?

— A jakże — odparł Talwosz — nie czyni on z tego tajemnicy, iż za biały grosz, który mu dał jakiś bardzo poważny pan, już nie młody, ofiarował się papiery, nikomu ich nie dając, położyć w sypialni królowej.

— Nie doszłście kto to był? — spytała Zagłobianka.

— Stróż zaprzysięga się, że go pierwszy raz widział w życiu — mówił Talwosz — ale tak dostojnie wyglądał, iż czuł się w obowiązku usłuchać go, zwłaszcza gdy groszem poparł swoje żądanie.

Poszedłem potem na zwiady po zamku, do wrótnych, czy kogo nie widzieli obcego wchodzącego na zamek; powiadają, że połowy tych co tu teraz przybywają nie znają i pierwszy raz ich widzą. Dojść bardzo trudno. Obawiam się tylko, abym dochodzeniem tem nie obudził niepotrzebnie uwagi tych, co nas tu na każdym kroku śledzą.

Z niewielką zdobyczą powróciła Dosia do królowej, którą znalazła z różańcem w ręku w łóżku, niespokojnie oczekującą na wiadomość. Jawnem było, że Gastoldi nie mogą tu zwierzyć się nikomu, zuchwale i nieroztropnie papiery powierzył człowiekowi, który łatwo mógł niezręcznością się zdradzić. Cudem prawie listy cesarskie dostały się do rąk królowej.

Co o nich i o tem wszystkiem myślała Anna, Dosia tylko z zapłakanych oczu, z westchnień i smutku w twarzy dorozumiewać się mogła. Nie przyniosły one pociechy. Serce i nadzieje królowej były gdzieindziej.

Zrana przybywająca krajczyna znalazła królowę bledszą i smutniejszą niż zwykle, ale badana nie przyznała się do tego, co ją trwogą nabawiło.

Zaledwie miała czas się ubrać Anna, gdy Koniecki z powagą urzędową przyszedł oznajmić, iż ksiądz biskup chełmski przybył i o posłuchanie pilno się dopraszał.

Ksiądz Wojciech ze Staroźreb był łagodnym, uprzejmym, słodkim starowiną, do którego królowa zbyt dużego zaufania nie miała. Stał on tu na straży, jako wysłaniec panów senatorów, którzy przy wszystkich zapewnieniach wierności i przywiązania, coraz większą grozili królowie niewolą. Był więc nieprzyjacielem.

Anna była dla niego uprzejmą, ale ostrożną.

Ksiądz Wojciech pozdrowił ją bardzo uniżenie i serdecznie, zapytał jak się miała, zasiadł na wskazanem krześle przy stole i ciężko westchnął.

— Przychodzę do miłości waszej z niemiłym zleceniem — rzekł — ale proszę wierzyć, że co się czyni tu, wszystko dla przyszłego dobra miłości waszej.

Wiemy z pewnością, że Gastaldi jest tutaj, że się starał dostać na zamek i listy cesarskie, które miał z sobą, potrafił przesłać miłości waszej.

Królewna zaniemiała ze zdziwienia. Zbladła, nie wiedząc co odpowiedzieć w początku. Nie mogła się zaprzecić, boby jej to uwłaczało, nie wiedziała czy przyznać się wypadało.

Ksiądz Wojciech nie odbierając odpowiedzi, dodał słodko.

— Z wielkim dla mnie smutkiem muszę o tem donieść panom senatorom, a strażę około miłości waszej podwoić. Nie mogą na to pozwolić panowie senatorowie, aby jakiegokolwiek układy bez ich wiedzy przychodziły do skutku.

W czasie gdy biskup to mówił, Anna czas miała ochłonąć i namyśleć się.

— Ojczy mój — odparła — czyńcie to co wam polecono i co poczytujecie za swój obowiązek, nic nie mam przeciwko temu, ale mnie, królewskiej córce, która nad sobą władzy nie uznaję innej nad Boga, wolno jest też czynić co dla siebie poczytam lepszem. Niewolnicą nie jestem i nie będę.

Dosyć już odjęliście mi swobody, nie dopuszczając do siostr nawet pisać, ani ludzi przyjmować jakichbym potrzebowała. Znoszę to do czasu, ale wreszcie głos podniosę i słyszany on będzie; użalę się i znajdę przyjaciół, co staną w mojej obronie.

Wyrzekła to z taką godnością, z takim wzruszeniem, iż biskup musiał zamilknąć.

— Nie można panom senatorom brać tego za złe — odezwał się po przestanku. — Idzie tu o los przyszy państwa, nad którym czuwać muszą, bo są odpowiedzialni.

Nie mogą dozwolić, aby bez ich wiedzy rozporządzano.

— A któż o tem myśli? — odparła dumnie królewna. — Ja się wcale nie porywam na to, ale oświadczam wam też, że nad sobą nie dopuszczę włości nikomu.

— Ale miłości waszej doręczono listy cesarskie? — rzekł ksiądz Wojciech.

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się z tego przed wami — spokojnie odezwała się królewna.

— Gastaldi zabiega, aby mógł się widzieć i mówić z miłością waszą.

— Anim go widziała, ani wiem o tem — mówiła królewna chłodno.

Biskup zdradził swą trwogę, załamał ręce.

— Powiadają, że z nim razem przebrany ma się znajdować Ernest syn cesarski!

— A wy, ojczy mój, wierzyście temu? — zapytała królewna — i sądzicie że ja zgodziłabym się na potajemne widzenie się z nim? Tem mi uwłaczacie.

Nigdy tak energiczną jeszcze biskup nie widział królewnę, zdumiał się, ale własnemu, zbyt ostremu wystąpieniu począł to przypisywać. Złagodniał więc.

— Wasza miłość przebaczy mi — dodał ciszej — ja jestem posłem tylko... czynię co mi zlecono.

— A wy, ojczy, darujcie mi też, iż stoję w obronie godności nie mojej tylko — rzekła Anna — ale tych Jagiellonów, z których tu jestem ostatnią.

Biskup skłonił głowę milczący, nie wiedział już co ma czynić dalej. Trwała cisza przez dobrą chwilę. Anna pierwsza ją przerwała.

— Uciekłam z Warszawy przed powietrzem — rzekła — ale od kilku dni przynoszą i tu wieść, że się ono zbliża do Płocka. Nie wiem co tam pomyślą sobie i powiedzą na to panowie senatorowie, ale jak skoro niebezpieczeństwo zagrozi, wyjadę ztąd. Tego mi nikt nie zabroni.

Ksiądz Wojciech spojrział tylko na królewnę, na licu jej widział postanowienie mocne.

— Ale dokądże ztąd? — rzekł ręce pobożnie składając. — Zaprawdę wybór trudny będzie. Wszędzie prawie po grodach i po większych miastach szlachta się tłumnie zjeżdża dla narad, a gdziekolwiek ciżba, tam większe niebezpieczeństwo.

— Wybierzemy kąć spokojny — odezwała się Anna — a zresztą i to wam powiedzieć przystoi zawczasu, że gdy panowie senatorowie tak się obawiają, abym ja bez nich o sobie nie postanowiła, ja też czuwać muszę nad tem, aby oni o mnie nie stanowili bezemnie i mej wiedzy.

Zezwolą czy nie, tam, gdzie mi się znajdować będzie potrzeba, pojedę. Nikt nie śmie królewskiej córki zatrzymać!

Mówiąc to wstała Anna, lecz jakby siły się jej wyczerpały, padła na krzesło, chustkę do oczu przyłożyła i siedziała zachodząc się cichym płaczem.

Ksiądz biskup chełmski, którego wystąpienie doprowadziło do tak niepomyślnych następstw, siedział również zmieszany i zakłopotany.

Z ust wyrwały mu się wyrazy niepowiązane i niezrozumiałe, widział potrzebę uspokojenia rozdrażnionej królowej, która dotąd dosyć się łagodną i powolną radom jego okazywała. Z drugiej strony lękał się, aby nie ustąpił za wiele i nie naraził się w górze.

Dochodziły już do Płocka odgródki szlachty, która na skarb tykociński zęby ostrzyła i, mimo testamentu króla, opanować go chciała, na państwa potrzeby.

Z drugiej strony Litwa także do tego skarbu równe sobie rościła prawa, a głośniejsze jeszcze zaprzeczała ważności rozporządzeniu króla i samowolnie już dobra domu Jagiellońskiego, należące do rodziny, zajeżdżała i zabierała.

Takie przynajmniej wieści przynoszono z Litwy, gdzie Chodkiewicz się oświadczał, iż Unię zerwie.

Tak ze wszech stron spadały ciosy na ostatnią z Jagiellonek.

Ale właśnie może wielkość niebezpieczeństwa, groza tego położenia, wydobywały ze słabej dotąd kobiety siły, jakich się w niej nikt nie spodziewał.

Plakała jeszcze czasem zamknąwszy się w sypialni, ale gdy tak jak dziś, potrzeba było w obronie swych praw wystąpić, znajdowała w sobie dosyć energii, aby nie uleść naciskowi i nie poddać się władzy, której nie uznawała.

Biskup chełmski, ułagodźwizy jak mógł i umiał królowę, pożegnał ją śpiesząc na naradę do wojewody Uchańskiego.

Królowa, do której prawie współcześnie z listami cesarskimi doszły zatrważające groźby Litwinów, już zagarniających jej majątności, wahała się jeszcze jak sobie postąpić miała i kogo posłać tam, aby stanął w jej obronie. Talwosz choć czynny i obeznany z ludźmi, nazbyt jej był tu potrzebnym. On sam czuł się za małym do podjęcia sprawy takiej wagi, a obawiał się dumy i gwałtowności Chodkiewicza. Czekać więc było potrzeba.

Tymczasem po zuchwałem podrzuceniu listów cesarskich, choć i biskup i wojewoda płocki strzegli się rozjątrzać królowę, obawiając się aby im z Płocka nie pierzchnęła, podwojono dokoła strażę pilne, zamek uczyniono niemal więzieniem. Za wychodzącymi i powracającymi sługami snuli się dodani im nadzorcy. Talwosz widział wszystko, oburzało go to, po cichu donosił Dosi, ale był on i ona tego zdania, że Annie o tem mówić nie należało.

Litwin uśmiechał się gorzko.

— Gdyby potrzeba była — mrucał po cichu — potrafilibyśmy ich wszystkich wywieść w pole, a w dodatku ich własnymi ludźmi się posłużyć... ano, potrzeba być cierpliwym aż do końca.

Dosia Zagłobianka mniej tu się swobodnie obracać mogła, lecz czuwała pilno nad panią swą, a musiała też i na Żalińską mieć oko, aby jej nie dopuścić znęcać się nad królową. Często bardzo ona sama padała ofiarą, łudząc potrosze rozkochanego Matyasza, który miał nad matką przewagę i czyniąc mu nadzieje, które się ziścić nie miały. Nawówczas Talwosz, który był zazdrośny i którego oka nic nie uszło, rozpaczliwie patrzył na Zagłobiankę, a ta go szyderstwy zbywała.

Dla królowej jedyną pociechą było, że miała swą ukochaną krajczynę, z którą obie razem po całych dniach listy do księżnej Brunświckiej układały, donosząc jej o najmniejszych zachodzących tu wypadkach. Pisma te oczekiwały na referendarza, który je potajemnie miał przysyłać.

Ksiądz biskup chełmski i wojewoda Uchański wiedzieli, że panie obie dużo pisały, domyślali się, że pisanie to musiało ztąd gdzieś odpływać, ale na trop wpaść nie mogli.

Referendarz umiał tak zręcznie chodzić, iż za sobą ślady zacierał.

O Gastaldim poszły doniesienia do panów senatorów, bo biskup lękał się odpowiedzialności, a królowej Anny codzien się więcej obawiano, przekonywając się, że przy pozornej łagodności miała energię niepospolitą i lada czem się zrazić ani zastraszyć nie dawała.

Ks. Wojciech, chociaż z obowiązku swego dozorował i donosił, nie rad był się narazić królowie, za każdym razem przybywając starał się łagodzić, pocieszać i dowodzić swej życzliwości. Miło mu też było, gdy wprost do niego przybył jednego ranku szlachcic z okolicy, niejaki Lesznowski, prosty sobie, zażywny, rumiany, opalony, człek w starodawnej mody wiejskiem ubraniu, cale nie wyglądający na dworaka, kłaniający się do

stóp, całujący po rękach, który mu oświadczył, że będąc żonaty z Litwinką, wielką miał miłość dla rodziny Jagiellońskiej, którą i jejmość jego podzielała, że oboje oni widzieli z kompasją osierocenie ostatniej z rodu... pani, którejby wedle przemożności chcieli się czemś przysłużyć.

— Ale — dodał naiwnie Lesznowski — powiadają, że na zamek do królowej nie puszczają bez wiadomości panów... więc się oznajmuję, zem wóz zwierzyny dla pani naszej przywiózł na kuchnię.

Biskup się rozśmiał.

— No, to mnie się z niego też dziesięcina będzie należała?

— Ja o tem nie zapomniałem — rzekł, w rękę go całując szlachcic — jest kozioł i dwanaście kuropatw dla pasterza.

— Więc czegoż chcecie? — zapytał się biskup.

— A o tobym ja pragnął mieć to szczęście sam do nóg upaść królowi i ofiarę jej złożyć — otrzymał pozwolenie.

Biskup ruszył ramionami.

— Cóż bo wy znowu myślicie, że my królowę w niewoli trzymamy, czy co? — odezwał się. — Każdemu do niej przystęp wolny, a jeżeli się patrzy i ogląda, to dlatego, aby ją nie trapił intryganci, którzy w mętnej wodzie radzi ryby łowią. Takim, jakim wy, nigdy drzwi nie są zamknięte.

Lesznowski otrzymawszy pozwolenie biskupa, pojechał na zamek i, nadzwyczaj mądrze, zgłosił się tu do Talwosza, którego wziął na stronę.

— Ks. biskup chełmski pozwolił mi królowi zwierzyny wóz ofiarować — rzekł do niego cicho — ale waszmości to ja powiedzieć mogę, że nie dla zwierzyny przybył, posłał mnie tu poufnie pan Chodkiewicz i trzeba mi się z królową widzieć na cztery oczy, ale tak, aby z tego gadania nie było. Ludzie mają wiedzieć, że sarniny i ptactwa nabitego u mnie w lesie wóz do kuchni dostawił i tyle...

Spojrzeni sobie w oczy z Talwoszem, Litwin był niedowierzający.

— A jak królowa nie zechce się widzieć z wami? — spytał.

— Uczyni źle — odezwał się Lesznowski — bo o jej sprawę idzie. Litwa sobie bez niej radę da, a ona bez Litwy... nie wiem. Powiedźcie, że od Chodkiewicza posłany; ona wie, co on znaczy i co może...

Poszedł tedy Talwosz, ale niełatwo było tak ułożyć posłuchanie, aby ani krajczyna Łaska, ani nikt ze dworu nie był przytomnym, i żeby to nie zwróciło oczów. Żalińska, Koniecki zazdrośni byli i nieradzi, gdy ich pomijano.

Udało się wszakże Talwoszowi uprosić królowę, aby Lesznowskiego do komory osobnej wpuścić dozwoliła, od której drzwi do izby posłuchalnej miały stać otworem, a tu tylko jedna krajczyna się znajdowała.

Otrzymałszy pozwolenie Lesznowski, suknie ociągnął na sobie, pasa poprawił, czuprynę pogładził i wpadł tak śmiało i raźnie, jakby innym był całe człowiekiem, nie tym, który przed biskupem niuńkę udawał.

Królowa poczęła mu dziękować za pocziwą ofiarę jego, gdy on, nie tracąc czasu, z za żupana dobył list i pochyliwszy się, podał go królowi.

Starosta żmudzki Chodkiewicz poświadczał w nim, że cokolwiek powie od niego Lesznowski, wiara mu być ma daną.

— Cóż mi przynosicie od pana starosty? — zapytała ciekawie się zbliżając ku niemu królowa.

— Naprzód czolobitność, jaka się swej pani należy — począł Lesznowski. — Starosta prosi pokornie miłości waszej, abyście nie zapominali, że ze krwi litewskiej idziecie, która od wieków panowała tym krajem. One też o tem dobrze pomną, i ofiarują wprost, nie omawiając wiele i długo, waszą miłość na tron swój podnieść i ogłosić wielką księżną... a dozwolić, abyście sobie mężem obrali kogo zechcecie.

Zarumieniła się Anna, a szlachcic mówił dalej głos zniżając.

— Jedno to sobie waruje starosta, a z nim Litwa, aby jej kraje te, które do Korony oderwane zostały, były przywrócone, i chce być tak niezależną i sobą samą, jak była za dawnych czasów, aby jej Polacy praw nie dyktowali.

Gdy Lesznowski mówił, a Anna milczała i dumiała, Talwosz na straży stał i drzwi pilnował.

— Niedobrze rozumiem pana starostę — rzekła powoli królowna. — Litwa się tak połączyła od Horodła począwszy, aż do Lubina, gdzie Unją przypieczętowano na wieki, iż się już ten węzeł, jakby małżeński, nigdy rozerwać nie może.

— Ale to się stało z wielką krzywdą i upokorzeniem Litwy, twierdzi pan starosta — dodał Lesznowski — i teraz pora odzyskać, co się straciło. Polacy o waszej miłości zapominają zupełnie... Litwa chce jej do tronu drogę otworzyć.

— Możesz to być — odezwała się Anna — gdy ten sam pan Chodkiewicz mi dobra macierzyste zajeżdża i odbiera, praw do nich zaprzeczając?

— Wszystko wasza miłość odzyskacie i uczynicie po woli swej, oddając się Litwie — rzekł Lesznowski — ale Unii on nie chce znać, Unię poszarpać potrzeba, a Litwie wolę swą dać.

Po twarzy królowej bledość się rozpostarła, cofnęła się krok, jakby przestraszona, ręce zacisnęła, w których trzymała różaniec.

Lesznowski wnioskować już mógł, że ofiara nie będzie przyjęta.

— Boże uchwaj — odezwała się słabym głosem Anna — abym ja do tego rękę przyłożyć miała. Jego królewska mość, ś. p. brat mój, pracy wielkiej i zdrowia nie żałował, aby tę Unię skleić, jakżebym ja miała ją rozrywać?

Dziękuj Wmość staroście odemnie, ale powiedz mu, nie uczynię tego¹.

Lesznowski stał milcząc, czekając ażby się może inaczej namyśliła, gdy królowna dała:

— Co się kolwiek ze mną stać może, niech się stanie. Panu Bogu poruczam sieroctwo swe w opiekę Jego².

Postrzegł szlachcic, iż na razie więcej nie zyszcze, obejrzał się dokoła, pokłonił i szepnął, że w tak ważnej sprawie czas do namysłu potrzeba mieć, więc za dni kilka przybędzie, aby ostatnie słowo posłyszał.

Chciała mu odpowiedzieć Anna, iż nie zmieni postanowienia, ale Lesznowski uwinął się żwawo, pokłonił i wymknął.

Gdy po chwili królowna powróciła do krajczyny i Zosi, siedzących w posłuchalnej izbie przy krosnach, na których szyły antepedium do ołtarza, poznały zaraz po zmienionej twarzy jej, że wzruszoną była nad miarę. Zerwała się krajczyna niespokojna pytając, ale uspokajając otrzymała odpowiedź, że szlachcic swą ofiarą i przywiązaniem tak serce jej przejął a sieroctwo przypomniał. Nie przyznała się, z jak wielką i ważną sprawą przybył i co mu odpowiedziało.

Trudno było potem Zosi szczebiotaniem, krajczynie czułościami i pieszczotami, Żalińskiej gderaniem, Dosi staraniami, jakimi ją otaczała, smutek głęboki Anny rozproszyć.

Pozostała przez kilka dni ciągle milcząca, więcej niż kiedy zagłębiona w siebie, poplając tajemnie, zdradzając cierpienie, do którego się przyznać nie chciała przed nikim.

Szanowała nadto wielkie dzieło, jedyną dokonaną panowania brata sprawę główną, aby ją zniszczyć mogła dla swojego osobistego interesu. Kochała nadto oba kraje. Wydawało się jej zbrodnią targnąć się na ten związek, na który krwią i łzami blisko trzechset lat pracowano.

Lesznowski nie dał za wygranę.

Czy potem widział się z panem starostą, lub od niego otrzymał nowe zlecenia, z tego się nie tłómaczył, ale po dziesięciu dniach z nowym wozem zwierzyny przybył, łosia przywiózł do osolenia dla czeladzi na zimę, dla biskupa drugiego; oprócz tego mniejszej zwierzyny dość i całą kładź ryb.

Znowu tedy na zamek się wprosił, Talwosza znalazł i posłuchania się domagał.

Królowna z obawą i niebardzo chętnie się zgodziła na nie.

Wyszła ociągając się. Lesznowski pokłony od pana starosty przynosił, ale i coś więcej nad nie.

— Boleje Litwa — rzekł — że waszą miłość tu na zamku, na wygnaniu pod strażami, jakby niewolnicę, trzymają Polacy. Uwłacza to godności jej i tej krwi, z której pochodzi

¹Historyczne. [przypis autorski]

²Historyczne. [przypis autorski]

miłość wasza. Pan starosta mi kazał oświadczyć, że gotów jest w pięć tysięcy koni przyjść, na zamek siłą wtargnąć i miłość waszą wyzwolić a z tryumfem prowadzić na stolicę.

Królowna aż krzyknęła, posłyszawszy to, z oburzenia i przestachu.

— Niech Bóg uchwala! — zawołała — abym ja na to przyzwolenie dać miała! Niech się pan starosta czynić tego nie waży, gdyż wolę się wyrzec wszelkich praw moich, niż zdradzić jednych dla drugich i być przyczyną zamieszania i wojny, podczas gdy zgoda i pokój najpotrzebniejsze³.

Kusicie mnie — dodała — jak zły duch Chrystusa Pana przed męczeństwem Jego... słabą jestem niewiastą, lecz z drogi moich powinności sprowadzić się nie dam.

Powiedźcie panu staroście, iż mu wdzięczną jestem za dobrą wolę przeciw mnie, lecz co innego w sercu mam i na ofiarę gotowa jestem, a nie bym z chwili zamieszania korzystała. Od czego niech Bóg mnie uchwala.

Postrzegł szlachcic, że tu już nic do czynienia nie miał i nadziei żadnej, aby się powiodły tajemne zabiegi. Spuścił głowę i zamilkł.

— A proszę was — dodała Anna — abyście więcej mnie podobnemi nie nachodzili ofiarami, których sumienie przyjąć się wzbrania.

I skłoniwszy głowę, królowna wyszła natychmiast z komory do krajczyny, która czekała na nią.

Wkrótce potem postanowiła królowna, nie chcąc osób, które się przy niej znajdowały, narażać na niebezpieczeństwo, gdy powietrze ku Płockowi zbliżać się zdawało, przenieść się do Łomży.

Ks. biskupowi chełmskiemu wprost o tem doniosła jako o rzeczy, która konieczną była i na którą pozwolenia nie potrzebowała.

Nie chciała się bowiem poddać rozkazom i władzy panów senatorów.

— Dozoru nademną — mówiła krajczynie — wzbronić i przeszkodzić sprawowaniu go, opierać się nie mogę, ale się krępować nie dozwolę.

Czekała tylko na Czarnkowskiego, któremu zlecić miała, ażeby na zjazdach szlachty, które wszędzie się zbierały na niespokojne narady, sprawę jej i praw należnych popierał.

Referendarz przybył, jak zawsze, pełen wylania się, gotów w słowach na wszystko, przedewszystkiem bacząc na to, aby cesarskie interesa i swoje przy tem upiekl.

Królowna się wcale nie domyślała tej wielkiej miłości jego dla Maksymiliana i Ernesta, z którą niezupełnie się wydawał. Tym razem jednak próbował Czarnkowski poruszyć strunę, chcąc się dźwiękowi jej przysłuchać. Zagaił o Erneście, — królowna pozostała chłodną i nie dozwoliła się wyrozumieć; słuchała o nim, nie odpowiadając.

Referendarz mimo całej przebiegłości swej nic więcej nie dowiedział się nad to, że była obojętną i zimną. Ze swą sympatyą dla Henryka Anna wcale się też nie wydała. Była to jedna z tych tajemnic, które w najgłębszym serca zakątku zachowała, jako skarb swój najdroższy.

Mówiło jej coś, że nadzieje na niczem nie oparte, śmieszne prawie, mimo ludzi, mimo przeszkód, mimo wszystko, ziścić się miały.

Zostawszy sama, bawiła się obrazem wymarzonego szczęścia swojego...

— Bóg mi długo na nie czekać kazał, ale mnie z jasnych chwil nie wydziedziczył!

I modliła się po cichu.

Dla wszystkich w istocie marzenie to królowej pozostało tajemnicą, z wyjątkiem Dosi Zagłobianki.

Długim pobytom przy Annie nauczona ją odgadywać, wnikać w jej duszę, Dosią jakąś intuicyą miłości dla pani swej, wyczytała w niej, co wszystkim było zakryte.

Była prawie pewna, że królowna o tyle sobie życzyła Henryka, o ile Ernesta obawiała.

Śledząc każdy krok, poruszenie, wrażenia Anny, Dosią dopatrzyła gdy Krassowski przywiózł i pozostawił wizerunki francuzkie, jak ciekawie królowna wpatrywała się w nie, chowała, a będąc sama wydobywała, nie mogła nasycić przyglądaniem się miniaturze Henryka. Jedna Zagłobianka tylko wiedziała o tem, a raz wpadłszy na trop, później z tyśiącznych małych oznak utwierdziła się w swem przekonaniu.

³Historyczne. [przypis autorski]

Nigdyby nie śmiała dać poznać Annie, że to, co ona skrywała i tała tak skrzętnie, odgadnąć potrafiła, ale przez przywiązanie swe dla pani łamała sobie głowę jakby mogła dopomódz, usłużyć, zapobiedz, aby się coś przeciwnego nie złożyło.

Pomimo całej swej zuchwałości, przebiegłości, cóż mogło biedne dziewczę? nic lub tak jak nic.

Przeszkadzała tylko temu wszystkiemu, co tu cesarzowi i Ernestowi posługiwać chciało, i z pociechą się przekonała, że Anna z tego rada była.

Nie wiedział o tem nikt, nawet królowna, że śmiała Zagłobianka napadłszy raz w sypialni królowej podrzucony przez kogoś, niewidomą ręką wizerunek Ernesta, natychmiast go zniszczyła.

Nie mogła zapobiedz, aby Gastaldi nie wsunął tu listów cesarskich, ale to były pierwsze i ostatnie. Dosia poprzysięgła, że choćby się narazić miała, wszelkie późniejsze dopilnuje i zniszczy.

Dotrzymała też danego sobie samej słowa i spaliła znalezione później w sypialni wiadomości z cesarstwa...

Istota to była dziwna to dziewczę, na pół dzikie, nic niemające do stracenia, żyjące całe przywiązaniem dla swej pani.

W jej sercu obok tej miłości, żadna inna się obudzić nie mogła. Młoda, piękna, otoczona pochlebcami, którzy szaleli za nią, wyśmiewała się ze wszystkich, widziała w nich tylko ich przywary i słabości.

Jeden może Talwosz miał u niej jeżeli nie łaskę, to trochę pobłażania, bo on najgoręcej także służył królownie i był w tej służbie najrzęczniejszym.

Ale i on nie mógł pochwalić się tem, aby mu Dosia najmniejszą uczyniła nadzieję, że łaskawiej spojrzy na niego. Gdy szło o posługę, używała go, szukała, naradzała się; jak tylko o swem sercu mówić zaczynał, wyśmiewała i odpychała go bez litości.

Jedynym węzłem, co łączył ich, było to przywiązanie do królowej.

Talwosz nie mógł, jak ona, odgadnąć, co się działo w sercu Anny, ale to wiedział i domyślał się, że cesarzewicza sobie niebardzo życzyła...

Dosia wahała się jeszcze, czy mu się ma zwierzyć ze swych domysłów, i czy się to na co przydać mogło, gdy Litwin jednego wieczora, w rozmowie z nią niewielką do tego przywiązując wagę, rzekł śmiejąc się.

— Mnie się zdaje, że królownaby już Francuza wołała niż cesarzewicza.

Dosia spojrzała mu w oczy wyraziście, nie mówiąc nic długo.

— Zkądże to macie?

— Albo ja wiem? — odezwał się Talwosz. — Panna Dorota musi przecie znać to, że kogo się miłuje, tego się odgaduje. A co panna na to?

— Ja? — zawołała Dosia wesoło. — Ja? powiem, że mogłoby to być, ale naszej królowej odgadnąć trudno... Smutek na człowieku jest jak piasek na mogile, kogo on przysypie, niełatwo odkopać... a pani nasza wiele na sobie smutków dźwiga...

Ale, gdyby to przypadkiem prawda była, że jej Francuzik lepiej do serca przypada... co w takim razie poczynać? Za cesarzem wszyscy... a ten Czarnkowski, którego królowna i lubi i wierzy mu... przysięgnę, że za nim też ciągnie.

— To pewna! — potwierdził Talwosz — ale mocniejszy Pan Bóg od pana Czarnkowskiego — dodał Litwin przysłowie stare przerobiwszy. — Gdyby to prawdą być miało, że królowna w tamtą stronę oczy zwraca, czy nie wartoby się lepiej dowiedzieć i rozśluścić, co ztamtąd od Francyi wieje?

— A to jak? — zapytała niedowierzająco Dosia.

— Nie wiem — odrzekł Talwosz — myślę sobie tylko, gdyby potrzeba życie ważyć, jechać, rozwiadywać się, przeglądać... choćby na kraj świata, jam pierwszy gotów!

Zagłobianka wdzięcznie mu się uśmiechnęła.

— Któż to wie? — odrzekła zadumana. — Może jeszcze waszmości wezmę za słowo.

Ale nie śmiała mówić więcej, skinęła główką i odeszła.

Infantka

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(ANNA JAGIELLONKA)

KSIĘGA DRUGA. MARZENIA

Ksiądz biskup chełmski zwykł był codzien zrana przybywać na zamek, pełniąc bardzo gorliwie swe obowiązki stróża, chociaż od czasu, jak je na niego włożono, znacznie był złagodniał dla królowej. Krajczyna znajdowała, że dobry, uprzejmy, ale trochę bojaźliwy ksiądz Wojciech coraz więcej się akomodował i ustępstwo czynił Annie.

Działo się to bezwiednie. Królowna coraz stawała się energiczniejszą, biskup walczyć z nią nie mógł. Narzekał on na to przed wojewodą Uchańskim, ale oba razem bezsilnemi się czuli wobec Anny Jagiellonki, która z krwią zimną, ale z żelazną wytrwałością szła gdzie sama zamierzyła, niełatwo słuchając kogo.

Rosła w ich oczach ta pani niedawno jeszcze zapomniana, lekceważona przez brata i zalewająca się łzami. Naówczas ulegała ona choremu królowi, teraz sama się czuła tu pierwszą i nie ustępowała nikomu.

Jednego poranku jesiennego przybył ksiądz Staroźrebski jak zwykle na zamek i zdziwił się mocno widząc, że podwórca część zajmowały powyciągane z szop wozy, paki i skrzynie; że tuż w improwizowanej kuźni konie przekowywano, a ludzi mnóstwo kręciło się pośpieszając tak jakby im bardzo było pilno.

Wyglądało to na przygotowanie do podróży. Biskup o żadnej nie wiedział.

Talwosz, którego w niedostatku innego tytułu nazywano sekretarzem królowej, stał właśnie wydając rozkazy; biskup, wysiadłszy z kolebki, powołał go do siebie.

— Cóż się to tak przygotowujecie? — zapytał — co się u was dzieje?

— Królowna wydała rozkazy, aby się gotowano do podróży — odparł sucho Talwosz.

— Gdzie? dokąd? do jakiej? — żywo przerwał biskup — ale ja o niczem nie wiem! Na rany pańskie! Ja tu przecie stróżem jestem!

Litwin słuchał obojętnie księdza biskupa i rzekł również zimno.

— Ja spełniam co mi przykazano, do mnie nie należy więcej nad to.

— Ale dokądże jechać myślicie? — zawołał biskup coraz bardziej poruszony.

Talwosz ruszył ramionami.

— Królowna się przedemną tłumaczyć nie potrzebowała — rzekł — a ja pytać nie śmiałem. Wiem tylko, że jedziemy.

Ksiądz biskup stał z załamanemi rękami; poczciwa jego twarz łagodna zmieniła się, zasępiła, posmutniała, widać było, że go to wiele kosztowało, iż zmuszonym został królownie czynić wyrzuty.

Zmiészany nie śpieszył na zamek, aby się rozpytać, bo chciał z pierwszego wrażenia ochłoniąc, lękając się narazić zbyt żywemi wyrzuty królownie, a był do nich obowiązany.

Panowie senatorowie postawili go tu na straży; królowna nie powinna była kroku uczynić bez ich wiedzy i przyzwolenia; biskup nie słyszał o żadnej podróży, a tu już czyniono, nie pytając, przygotowania do niej.

Talwosz pokłonił mu się i odszedł.

Ksiądz Wojciech postawszy chwilę jeszcze zakłopotany, powolnym krokiem wsunął się na pokoje Anny.

W posłuchalnym, w którym go zwykle przyjmowano, pusto było. Dosta tylko sprzątała po stolikach, i przysła księdza w rękę pocałować. Nie śmiał się biskup jej pytać.

Wtem ze drzwi bocznych wyjrzała krajczyna i znikła, a po chwili królowna Anna ukazała się w progu i weszła powolnym krokiem.

Biskup ją przywitał milczący, badając oczyma; w twarzy nie znalazł żadnej zmiany — spokojną była zupełnie i nie zdawała się zakłopotaną, gdy ksiądz Wojciech zmiészany był niezmiernie.

— Widzę na zamku jakieś przygotowania — odezwał się nieśmiało — tak jak gdyby do podróży. Czy wasza miłość odebrała jakieś wiadomości od panów senatorów?

— Żadnych — odparła Anna — ale powietrze się zbliża codzien do Płocka i ja tu na nie czekać nie myślę. Muszę szukać bezpieczniejszego schronienia.

— Ale to nie może nastąpić bez wiedzy panów senatorów — przerwał biskup.

— To wasza rzecz, mój ojciec, z nimi się o to porozumieć — rzekła spokojnie królowna — co do mnie ja niczych rozkazów czekać nie potrzebuję, jestem przecie wolną.

Biskupowi pot z czoła spadał kroplisty, ocierał go ruchem gorączkowym rąk obu.

— Tak jest, tak jest — pośpieszył potwierdzić — lecz niemniej bez ich wiedzy by nie wypadło. I dokądże wasza miłość chcesz jechać?

— Sądzę, że w Łomży będę najbezpieczniejszą — chłodno, po krótkim namyśle odezwała się królowna.

Biskup ręce łamał, przyszło mu na pamięć, że z Łomży łatwiej było z Litwinami się porozumiewać, że z tamtąd też królowna może miała jakie umówione drogi i posłów na zjazdy, które się zapowiadały.

— Potrzeba więc chyba natychmiast o tej woli miłości waszej dać wiedzieć arcybiskupowi, panu marszałkowi i wojewodom — mówił ks. chełmski, i w ustach mu zasyczało, a głos jego coraz był słabszy.

— Nic nie mam przeciwko temu — odparła Anna Jagiellonka — ale za późno będzie o tem ich uwiadamić, gdy ja czekać na odpowiedź nie mogę. Pojedziemy jutro lub pojutrze.

— Jesteż to stałe postanowienie? — przerwał ksiądz Wojciech łagodnie. — Jabym się ośmielił miłości waszej uczynić uwagę, że panów senatorów drażnić i zniechęcać nie należałoby.

— Ale ani też im się poddawać i uniać — odpowiedziała Anna — boby ze mnie lalkę jakąś uczynili, którą ja być nie mogę, znając krwi mej prawa i dostojęństwo.

Chcę właśnie okazać, iż się nie uważam niewolnicą i podległą rozkazom niczym. Rady chętnie słucham, ale więcej nic. Jeśli się ona nie zgodzi z mojem przekonaniem, odrzucić ją muszę.

Biskup ręce podniósł do góry.

— Ale wasza miłość nie widzisz chyba, że to wypowiedzenie wojny! że to opór jest przeciw woli narodu.

— Szanuję ją, ale jej swojej poświęcić nie mogę — rzekła królowna. — Wy, ojczyzna kochana, nie przekonacie mnie. Myślałam długo, wzywałam Ducha świętego, a com postanowiła to uczynię i będzie co Bóg da! Pojadę do Łomży.

Biskup milczał, królowna dodała łagodnie.

— Wy ze mną, nieprawdaż?

— Muszę — rzekł ksiądz Wojciech zcicha — choć zaprawdę przeciwko tej podróży samowolnej protestuję.

— Nie sądzą, abyście wy, mój ojczyzna, albo pan wojewoda Uchański wstrzymać mnie gwałtem zamierzali. Wy doniescie, co ja czynię, a ja postąpię, jak mi lepiej.

— Powietrze jeszcze daleko! W Płocku o niem nie słyhać! — odezwał się biskup.

— Nie czas będzie wyjeżdżać gdy nadejdzie — sucho rzekła Anna.

Ksiądz chełmski nie odpowiedział, szukał w głowie co mogło spowodować to nagłe wyjazdu postanowienie; domyśleć mu się było trudno czegoś, prócz łatwiejszych z Litwą układów, gubił się w przypuszczeniach.

Cesarskich wysłańców, czy francuzkich może, królowna tem bezpieczniej myślała przyjmować?

Anna przechadzała się po komnacie, nie okazując najmniejszego wzruszenia. Weszła w tej chwili jedna z kobiet, dopytując o jakieś rozporządzenia do podróży, które Anna wydała głosem śmiałym i bez namysłu, jakby oddawna je już miała w myśli przygotowane.

Biskup chełmski spróbował jeszcze na różny sposób królownę skłonić, jeśli nie do zmiany postanowienia, to do zatrzymania się z wykonaniem dopóki on nie odebrał odpowiedzi, ale musiał się w końcu przekonać, że królowna nie da się zachwiać, westchnął, pożegnał się i poszedł co prędzej do pana wojewody, który szczęściem znajdował się w Płocku.

Uchański o niczem dotychczas nie wiedział i jak biskup zdumiał się wielce, ale on także nie śmiał nawet ważyć się pomyśleć o tem, aby królownę siłą zatrzymać na zamku i nie dopuścić wyjazdu.

— Królowna ma wielu przyjaciół — rzekł — wszyscy się nad jej sieroctwem litują, uchowaj Boże, rozterki z nią, pójdzie po świecie wieść, że ją krępują i w niewolę zaprzęgają senatorowie, szlachta się zburzy. Następstwa mogą być smutne.

Litwa tylko szuka przyczepki, gotowa się ująć za nią.

Ślij wasza przewielebność doniesienie, ale jeśli jechać się uprze, niech jedzie, nam władzy nie dano, abyśmy ją zamykali, tylko dozór i czuwanie.

Rozmawiali tak jeszcze, gdy nadszedł referendarz Czarnkowski z pożegnaniem do wojewody. Wyjeżdżał i on jako wysłaniec od królowej, wraz z księdzem Janem Borakowskim, proboszczem łęczyckim, do prymasa i na zjazdy, w sprawie tykocińskich skarbów i innych ważnych interesów.

Biskup i wojewoda znali dobrze referendarza jako oddanego sercem i duszą nietylko Annie, ale trzem Jagiellonom wszystkim, wpadli więc na niego z góry, żądając tłumaczenia: co znaczyło nagłe postanowienie.

Czarnkowski, który dotąd bezpiecznie na kilku stołkach siedział, służąc Annie, zaprzysięgając wierność Zofii, a nadewszystko pilnując sprawy cesarskiej, od niejakiego czasu poczynał wielce zdumiony dostrzegać, że co się spodziewał kierować królowną, zmuszony był jej ulegać i spełniać co mu polecała.

W oczach jego zmieniła się ta płacząca niegdyś i słaba kobieta w śmiałą, nie odslaniającą całej swej myśli, energiczną panią.

Czarnkowski jej nie poznawał.

Na domiar zawodu znajdował, że wcale się ku cesarzowi i cesarzowiczowi dziesiętnastoletniemu nie skłaniała. Uczyniła nawet uwagę referendarzowi, że młodzik taki dla niej nie przystał.

Na nieszczęście francuzki kandydat o kilka lat był starszy. Królowna nie mówiła o nim nic, ale Czarnkowski przeczuwał, że bodaj tam się jej serce pochylało.

Przyprowadzało go to do rozpaczki!

Wszystkie naówczas piękne obietnice cesarza w niweczby się obróciły.

Gdy biskup i wojewoda napadli na niego jako na prawą rękę królowej, Czarnkowski poruszył ramionami, dłonie podniósł do góry i zawołał.

— Ale ja tak dobrze, jak miłości wasze, do wczorajszego dnia nie wiedziałem o niczym! Królowna się nikogo nie radzi, nie słucha nikogo. Jestem jej sługą nie mentorem, bo tych ona nie potrzebuje i nie przyjmuje!

Uchański i Starożrebski spojrzeli po sobie.

— Ale wy, panie referendarzu — odezwał się biskup — powinniście królownie przedstawić na co się naraża. Coby miała sobie panów senatorów pozyskiwać, zraża ich i nieprzyjaciółmi czyni!

— Wiercie mi, ojczce przewielebny — odparł Czarnkowski — iż królowna Anna do zastraszenia łatwą nie jest. *Hic mulier!* gdy co raz powie, nie ustąpi, a i wymową z nią walczyć niełatwo. Zawsze była ze wszystkich siostr najmądrzejszą i na swadzie jej nie zbywa. Jeżeli wydała rozkazy do wyjazdu, nie cofnie ich dlatego choćby, ażeby ludzie nie sądzili, że się komuś powoduje.

Ani ja, ani wy księżo biskupie, nie poradzimy nic. Trzeba się do Łomży gotować i po wszystkim, a gdy potem zażąda z Łomży do Warszawy, choćby czasu konwokacji, choćby natenczas, gdy jej tam najmniej sobie życzyć będą, pojedzie nie pytając nikogo.

Westchnął biedny biskup.

— Wszystka wina spadnie na nas — zamruczał.

Uchański dodał z uśmiechem:

— Ile nas jest, cośmy niegdyś widywali królownę, kiedy Mnischowie ją z bratem poróżnili, a ona oczy wypłakując zносиła wszystko, nawet gdy jej Zajączkowską z jej pokojów gwałtem brano, omyliliśmy się na niej dużo. Ulegała bratu i królowi, lecz nikomu więcej się nie podda... Czuje się królową.

— Tak jest, niewątpliwie — potwierdził Czarnkowski. — Ja poświadczyć to mogę. Sądziłem niegdyś, iż mojej rady potrzebować będzie i iść za nią, a teraz jej słuchać muszę.

Kto tam u niej ma posłuch, kto przewagę, trudno dociec; pono wszyscy muszą się jej submitować i czynić, co rozkaże.

Krótko tu zabawiwszy biskup, musiał pośpieszać gotować się też do podróży nieuniknionej i natychmiast gońce wyprawić do senatorów z oznajmieniem.

Czarnkowski z Borakowskim jechali do prymasa.

Na zamku wszystko szło raz przez królownę wykreślonym trybem.

Mianowany ochmistrem Koniecki, który przy małej głowie nadawać sobie chciał wielką wagę i znaczenie, spróbował także reflektować królową, która go zbyła kilku słowami i słuchać nie chciała.

Żalińska, bo i tej z Płocka nie było dogodnie ruszać się do Łomży, wpadła z narzekaniem i fukiem. Anna dała jej się wygadać, ale nie zmieniła rozporządzeń, odpawiwszy łagodnym ponowieniem rozkazów.

Tą mocą charakteru cieszył się Talwosz najwięcej może, bo do pewnego stopnia przypisywał sobie nakłonienie królowej, aby się nie oglądała na ludzi i śmieiej poczynała.

On i Dosia znajdowali, że królowa teraz dopiero mogła być pewną, iż pokrzywdzona nie zostanie.

W chwili, gdy królowa i cały jej dwór z Płocka się wybierali do Łomży, Talwosz jednego dnia nagle z dwojgiem służby siadł na koń i pojechał w świat.

Był on tak czynnym i ruchawym, że gdy go nie stało, wszyscy to zaraz dostrzegli. Niektórym może lżej nawet bez niego było, ale ciekawym był każdy, dokąd ruszył tak nie opowiadając się nikomu.

Ochmistrz Koniecki, kręcąc węża powiadał, że za zezwoleniem królowej Talwosz pojechał krewnych na Litwie odwiedzić.

— Nie bójcie się — mrucał ironicznie — powróci on rychło, będziemy go mieli do syta.

Nie lubiono pocziwego Talwosza, bo u królowej łaskę miał, a ruchawością i rzutkością w posługach innych przechodził.

Dosia Zagłobianka, którą też badano o Litwiną, bo się około niej nieustannie kręcił, mówiła obojętnie, że kędyś na Litwę jechał. Być może że i on sam przed wszystkimi się tak ze swej wycieczki wytłómaczył, lecz inny ona cel miała.

Dla niego i dla Zagłobianki nie ulegało wątpliwości, iż królowa więcej sprzyjała Henrykowi francuzkiemu, że marzyła o nim.

Talwosz, który służyć jej chciał po myśli, czy z jej przyzwoleniem, czy *proprio motu* ruszył na zwiady ku posłom, którzy już w Polsce znajdować się mieli.

Sprawa wyboru Henryka nie stała tak źle, jak się czasami referendarzowi Czarnkowskiemu zdawało. Firlej się z tem nie taił, że cesarzewicza prowadził, więc Zborowski, choć Commendonemu także przyrzekł za cesarzem być, na złość i przekorę Francuza chciał popierać. Czynił to potajemnie, ale skutecznie.

Nie mógł też los lepiej Walezyuszowi usłużyć jak następcząc mu za pierwszego sprawy jego rzecznika w Polsce Montluca biskupa Walencyi.

Był to człowiek stworzony na dyplomate owych czasów, przewrotny, rozumny, bystry, nie przebiegający w środkach, gładki i słodki, w towarzystwie uprzejmy, znający ludzi i umiejący się do nich zastosować. Ci co z nim przybyli z Francji i otaczali go, doskonale mu pomagali. Montluc u dawniej sobie znajomego Stanisława Wysockiego kasztelana łędzkiego pod Koninem znalazłszy gościnne przyjęcie, siedząc na wsi, jak pająk rozrzucał sieci niewidzialne dokoła, w które się ludzie łapali.

Zyskiwał Montluc kogo chciał, i kto mu się nastęrczył, bo obiecywał co tylko kto żądać mógł. Nie kosztowało go to bynajmniej, gotów był zobowiązania podpisywać na krocie, chociaż grosza przy duszy nie miał i żył podobno pożyczkami, ciągle się pieniędzy z Francji spodziewając.

Obejście się jego z Polakami było całkiem różne niż posłów i agentów cesarskich. Słodyczą jednal ich, a nawet różnowierców, choć sam duchowny i biskup, przyciągał głośno objawianą tolerancją. On i Bazin przy nim będący podówczas, nie gardzili zdobyczą najmniejszej muszki, przymilali się szlachcie, jednali ludzi drobnych i małego znaczenia, dobijali się popularności.

Cesarscy posłowie zabiegali po cichu i tajemnie, oni działali otwarcie, mówili głośno.

Przybywającym do kasztelana Wysockiego w gościnę pokazywano dwa piękne wizerunki księcia Andegaweńskiego, uśmiechniętego łagodnie, wyświeżonego, spoglądającego z serdecznością wiele obiecującą, z wyrazem dobroci ujmującej.

Ponieważ w cesarzu obawiano się nieprzyjaciela swobód, Montluc zaręczał, że Henryk gotów je jeszcze rozszerzyć i zobowiązać się do zachowania dawnych nietkniętymi.

Różnowiercom zapewniano swobodę sumienia; wszystkim najszcześliwsze, błogie, obfitujące w złoto panowanie, mlekiem i miodem płynące.

Młody pan lubił się bawić, nie obce mu były też sprawy rycerskie i żołnierzem być miał mężnym, wodzem rozumnym.

Dla wielu już to za nim mówiło, że Niemcem nie był; inni podnosili siłę i znaczenie Francji, która w przymierzu z Polską w szachu mogła trzymać cesarstwo.

Każdy od Montluca wyjeżdżał rozmarzony, upojony, gorącym zwolennikiem Francuza.

Głoszono też po cichu, że królowna Anna, z którą Henryk miał się żenić, była za nim, a nie życzyła sobie zbyt młodego cesarzewicza, bo z rakuzkim domem połączenie zawsze nieszczęście na Jagiellonów sprowadzało.

Po kraju chodziły wieści o tajemnych wysłańcach cesarskich, do których i Gastaldi należał; obudzało to obawy w panach senatorach, gdy ze strony Francuzów, postępujących jawnie, niczego się obawiać nie potrzebowano.

Wiele też przypisać było można staraniom i zabiegom Zborowskich, którzy nie odslaniając się, różnowierców i cały obóz własny na stronę Francuza przetrzucili.

Talwosz znikłszy ostatnich dni pobytu w Płocku, nie znalazł się, aż gdy królowna w Łomży już mieszkała.

Trafił na niezmierne zburzenie umysłów, niepokój i trwogę.

Jak ksiądz biskup chełmski przewidywał, wyjazd samowolny z Płocka niesłychanym na senatorów rzucił popłochem.

Sądzili, w najlepszej wierze, iż królownę opanowali, że nią kierować będą, że uczynią z nią co zechcą. Wszystko to nagle okazywało się złudzeniem, Anna nie myślała ich słuchać i szła swoją drogą wcale się nie oglądając na senatorów.

Posądzano ją więc, że potajemnie musiała układać się i frymarczyć koroną, że mogła ją wydać cesarzowi, że gotową była związać się z Litwą przeciwko Polsce.

Najstraszliwsze widma trapiły przerażonych panów, którym z rąk się wyslizgała władza.

Obawiano się głównie cesarza i rozgałęzionych jego zabiegów. W Osieku na zjeździe polecono dwom panom posłom Słupeckiemu i Sienieńskiemu do Płocka jechać i czuwać, aby cesarscy wysłańcy do królowej przystępu nie mieli i po kraju się nie kręcili bez dozoru.

W Osieku nie wiedziano wcale, że Anna już wyjechała do Łomży. Słupecki i Sienieński nie zastawszy jej tutaj, pognali do Łomży, dając znać do Warszawy na zjazd co się stało.

Popłoch to wywołało większy jeszcze. Zarazem jednak ulękli się Mazurowie cesarza i posłali zalecając swoim, aby szanowano cesarskich.

Przybiegłszy do Łomży, panowie deputaci naprzód do biskupa chełmskiego i do ochmistrza Konieckiego się udali, składając swe listy i domagając się widzenia natychmiast z królowną.

Biskup począł się im tłómaczyć, że wyjazdu powstrzymać nie mógł, a Koniecki mu potakiwał. Trudno było mocą i gwałtem hamować.

Anna natychmiast dała tym ichmościom posłuchanie.

Wysła do nich z powagą wielką i majestatem, jakby zdawna przygotowana, spokojna i sama zagaiła rozmowę.

— Dziękuję waszmościom panom, żeście mnie od panów senatorów nawiedzić raczyli, gdyż zdawna pragnęłam o wielu sprawach rozmówić się otwarcie, jako mnie i im przystało.

Słupecki, dosyć gorący człek, wnet chciał zacząć o wyjazd i o dalsze panów senatorów względem Anny starania, ale królowna przerwała mu.

— Dzisiaj o tem mówić nie będziemy, spoczniście waszmoście, ja też niedawno z podróży, potrzebuję trochę wytchnąć. Wieczór blizki, czasoby nam dziś nie stało na wszystko co omówić potrzeba, lepiej więc gdy to odłożymy do jutra.

Słupecki i Sienieński, z którymi i biskup chełmski przybył razem, musieli uledez. Podano im wino i słodczyce, ile tam znaleźć było można w zapasach podróży nieobfitych. Mówiono o drogach popsutych, o powietrzu po wszystkich ziemiach rozszerzającym się, o tem i owem, nie tykając nic ważniejszego.

Królowna w ten sposób czas do namysłu pozyskawszy, zatrzymała u siebie biskupa chełmskiego i potrafiła tego dokazać, czego się ksiądz Starożrebski po sobie nie spodziewał

i nie przypuszczał. Wmówiła mu bowiem, że senatorowie go jej do boku dodali nie dla dozoru, ale do pomocy.

— Wy, mój ojczu, i teraz i zawsze macie moje sieroctwo na sumieniu, powinniście bronić mnie. Ufam, że jutro, gdy do rozmowy przyjdzie, na was rachować mogę. Przemówicie za mną, proszę o to.

Biskup chełmski zdumiał się w początku, nie zrozumiał, zmilczał, lecz w końcu i litością zdjęty, i przekonany prostemi, ale serdecznymi słowy królowej, z owego strasznego Argusa zmienił się na rzecznika. Łzy miał w oczach.

Przeszedł, sam nie wiedział jak, do obozu Anny.

Zwycięstwo to prawie nic ją nie kosztowało.

Drugiego dnia rano biskup chełmski uprzedził posłów, czekał na nich, i gdy królowa wyszła, w jej imieniu przemówił z wielkiem namaszczeniem, użalając się, że jest zupełnie opuszczoną i zabytą przez panów rad koronnych, że w tym swoim sierocym stanie, nawet od nich żadnego dowodu troskliwości i współczucia nie otrzymała dotąd.

Słupecki i Sienieński, którzy wczoraj biskupa innym widzieli, słuchali go zdziwieni, gdy królowa sama dodała w końcu.

— Miałam pradziada, dziada, stryja i brata królami polskimi, których dobrodziejstw wasze miłości doznawaliście dosyć, a ja dziś po nich sierota nie mam dowodu, abyście to mieli we wdzięcznej pamięci.

Ja w tej żalości mej, opuszczeniu i niedoli, niedostatek we wszem cierpiąc, zwątpiłam już o sercach ludzi.

Słupecki, który śmielszym był, zaledwie rozpocząć zdołał wymówki, iż panowie to złem okiem widzieli, jako królowa poza ich wiedzą się z cesarzem zносиła, gdy mu przerwała.

— Na Boga miłosiernego! czyż mi to może za złe być poczytanym, że mi cesarz powinowaty mój, słowa pociechy przez swych posłów przysłał, a nawet że do mnie siostry, a ja do sióstr pisywałam!

Wszakże wszystkie te listy i pisma, jakiegokolwiek one były, dawałam czytać panu referendarzowi i tajemnic w nich żadnych nie kryłam.

Żadnych praktyk pokątnych mi waszmoście nie możecie zarzucić, bo ksiądz biskup chełmski wie co się tu dzieje.

Słupecki, który ciągle oratora na siebie urząd przyjmował, począł tłómaczyć, iż panowie senatorowie wcale o tem nie wiedzieli, że ksiądz arcybiskup zaniedbał po zgonie króla uroczyście pozdrowić królowę.

Złożył tedy winę na prymasa, i natychmiast co najpilniejsza była, imieniem panów rad domagać się począł, aby królowa do siebie przystępu wzbronila wszelkim obcym posłom i ludziom o konszachty podejrzanym, a ze dworu swego oddaliła tych co im dopomagają.

Mieli posłowie na myśli Gastaldiego, posądzając, iż się z królową widywał.

Słupecki się coraz bardziej rozgorączkował, gdy mu Anna usta zamknęła.

— Cesarz JMć dobrze mi życzy, a za jego dobrą wolę dla mnie ja mu nie mogę zniewagą posłów jego odpłacać. Na moim dworze nie dopuszczę jej, możecie waszmoście gdzieindziej ich szukać i ścigać.

Zbity na chwilę z tropu Słupecki, wnet znowu do Gastaldiego powrócił, i począł z jakichś listów jego przytaczać urywki, dowodząc niebezpiecznych praktyk.

Dała mu się królowa wygadać zpełna, lecz w końcu zimno i surowo, z powagą zamknęła.

— Praktyk ja żadnych nie czyniłam i nie czynię, świadkiem mi ksiądz biskup chełmski, więc i posądzaną o nie być nie dopuszczę.

Za radą waszmościów gotowam iść — dodała — ale w niewolę się zaprzędz nie dam.

Ostatnie słowa dodała tak dobitnie, iż Słupecki zamilknąć musiał.

Chcąc naprawić co on popsuł, Sienieński rzekł łagodnie, że Rzeczpospolita jak zawsze panów swych krew i osoby do rodziny należące szanowała, a miała o nich pilne staranie, tak i o królowie zapomnieć nie chce i czuwać nad nią nie przestanie.

— Daj Boże, aby się to ziściło co powiadacie — odparła Anna — a przedewszystkiem proszę, abyście panom senatorom położenie moje i co się tu koło mnie dzieje, opisali i zdali sprawę wierną.

Słupecki też łagodniejszych słów kilka dorzucił.

— Nie dziwujcie się waszmość — przerwała mu królowa — iż się uskarżam przed wami, gdyż godności mojej i krwi tej uwłacza w jakim stanie po dziś dzień, ja sierota i dwór mój ubogi.

W podróży wstyd mi moich kolebek i woźników. Co było ślepych i chromych szkap, to mi wydzielono, choć w Knyszynie kilkaset koni król zostawił. Nieboszczyk inaczej tem chciał rozporządzić.

Co za dziwo! Ci sami ludzie, którzy za życia króla starali się, abym pokrzywdzoną i zapomnianą była, po śmierci też woleli rozszarpać między siebie co zostało, niż mnie jako należne powrócić. Podzielili się tem łupieżce. Czasu swojego zdam sprawę z tego, co się działo, aby na jaw wyszło wszystko.

Trzymam to o panach senatorach, że i tego co ze mną uczyniono, i gwałtu jaki się stał ostatniej woli królewskiej nie pochwałą.

Miała królowa przy sobie przygotowane już listy księdza Krasieńskiego i wojewody Firleja, które położyła przed posłami, żaląc się na nie, iż bez należnego poszanowania pisane były i domagały się więcej niż przystało.

Słupecki listów tych kopie miał i nie potrzebując czytać, rzekł iż tego samego co one zawierały i im się domagać kazano od królowej.

Anna przerwała mu, skarżąc się na to też, że jej do Knyszyna, do ciała brata nie dopuszczono, gdy je do Tykocina miano przeprowadzać.

Sienieński złożył to na powietrze, na zamieszanie, jakie w pierwszych chwilach po zgonie Augusta panowało, i wszczęła się poufalsza rozmowa, w której Anna wszystko co raz już zarzucała senatorom utrzymać się starała, zwłaszcza co do testamentu brata, iż go nie poszanowano.

A ponieważ testamentu tego miała wierzytelną kopię, w Warszawie sobie przez brata oddaną, wniosła ażeby był odczytany.

Słupecki i Sienieński nie sprzeciwili się temu, i ksiądz biskup chełmski zasiadł do odczytania testamentu.

Zaledwie go jednak rozpoczął, gdy kapelan biskupa, Ruszczyk, zapukał do drzwi, chociaż rady nikomu nie wolno było przerywać.

Z twarzy jego, gdy wszedł, dorozumiał się wielce już i bez tego utrapiony ksiądz Starożrebski, iż coś niedobrego przynosił.

Szeptał mu coś do ucha. Posłowie czekali ciekawi, królowa też, gdy ksiądz biskup odezwał się pomieszany.

— Gastaldi przybył tu do Łomży!

Nie była już więc pora ani testament czytać dalej, ani z królową rozprawiać. Słupecki chwycił za kółko i począł wołać, że go ztąd natychmiast uprzątnąć potrzeba.

— Nie zapominajcież przecie — odezwała się Anna do niego — iż posłem cesarza jest, którego drażnić nie przystało. Spadnie to na panów senatorów nie na mnie.

Biskup nieśmiało wyraził radę, żeby królowa odpowiedź cesarzowi na listy jego natychmiast dała Gastaldiemu i sama go odprawiła.

Godzili się na to posłowie.

Królowa im przerwała.

— Posłem cesarskim jest Gastaldi, to prawda, ale się chował na dworze ojca mojego i niejako Polakiem przez to się mieni, więc mu pobytu w kraju zabronić nie można.

— Indigeną przez to nie został — odparł Słupecki — choćby na dworze naszym jak długo chleb jadł; a pod ten czas my cudzoziemców u siebie cierpieć nie możemy.

Wszczęły się tedy spory jak Gastaldiego odprawić, co mówić z nim, jak się go pozbywać, do których królowa prawie się nie mieszając, to tylko sobie zastrzegła, aby od niej się żadna obelżywość cesarskiemu posłowi nie stała.

— A co ichmoście uczynicie — dokończyła żegnając ich — to na ich odpowiedzialność niech spadnie.

Słupecki tedy i Sienieński natychmiast ruszyli szukać Gastaldiego, reszty zabywszy.

Gdy już ksiądz biskup chełmski razem z nimi się oddalał, bo go z sobą mieć chcieli, Anna szepnęła mu, iż wiedzieć pragnie, jak się z Gastaldim sprawa zakończy.

Ze dwojga — panów posłów i królowej sądząc, łatwo potem rokować było, iż, choć przybyli aby Annie w jej położeniu swobody uszczuplić i przykrość uczynić, na końcu sami nie wiedzieli co dalej poczynać i nic nie zyskawszy, myśleli o odwrocie.

Widział to i ksiądz biskup chełmski, który teraz coraz więcej brał stronę królowej.

Do utrudnienia panom posłom ich zadania przyczynił się też i Gastaldi, który wcale im ustępować i zastraszyć się dać nie myślał. Stał przed nimi jako dbały o cześć własną, człek rycerski i poseł cesarski, z godnością wielką i gotowością choćby gardło dać, a poczciwości obronić.

W końcu żwawych rozpraw, jak opowiadał biskup, Gastaldi w istocie rękę na gardło położył i rzekł do Słupeckiego.

— Com powiedział, tego dokonać muszę, poczciwość moja w tem i gardło.

Życie gotów jestem położyć raczej, niż się ztąd ruszyć bez wiadomości cesarza.

I Sienieński i Słupecki równie u królowej, jak u niego mało co wskórawszy, uradzili wieczorem nie czekać dalej i nazajutrz wracać do senatorów z doniesieniem i listem królowej, który wieczorem został przygotowany.

Tak z wielkiej chmury deszczu było mało i Anna co miała utracić na przybyciu posłów, zyskała, utrzymawszy się przy swoim, a zjednawszy sobie biskupa chełmskiego.

Zaledwie posłowie z Łomży wyruszyli, gdy zapobiegając wszystkiemu, co drażnić mogło, Anna posłała po Gastaldiego, prosząc go, aby się nie upierając dłużej, z listem który mu dała do cesarza, nazad do niego powracał.

Musiał się na to zgodzić tem łatwiej, że inni posłowie cesarscy znajdowali się jawnie już tu przybywszy i tymczasowo zatrzymali się w Dziekanowie pod Warszawą.

Po wyjeździe Słupeckiego, królowa tem, że zwycięzko im czoło stawiała i nie dała się zastraszyć, ani przekonać, przy swoim stojąc, zyskała na energii i postanowiła niezłomnie trwać przy tem, aby prawa jej poszanowane były.

Do sypialni czasem powracając wprawdzie, gdy jej nikt nie widział oprócz Dosi, modląc się zapłakała, lecz gdy trzeba było do obcych a szczególnie do niechętnych wyjść, nie brakło jej nigdy na mocy, na wymowie i na męzkim prawdziwie charakterze.

Cudem to prawie nazwać było można co się z nią i w duszy jej działo. W oczach ludzkich rosła i potężniała.

Ksiądz biskup chełmski patrzył na nią z poszanowaniem i szeptał, że to było sprawą Bożą.

Co się potem działo w Warszawie za powrotem posłów i jak senatorowie przyjęli sprawozdanie a list królowej, opowiedzieć trudno.

Inaczej jak popłochem nazwać tego nie było można, lecz strach łączył się z gniewem wielkim, z odgrózkami, z przemyślaniami nad tem, jak tę biedną królową, sierotę będącą na łasce narodu, zmusić do posłuszeństwa i poddania się.

Tymczasem zwołany był zjazd szlachty do Kask, na który Anna wysłała listy od siebie, a w nich oświadczyła, wprawdzie domagając się zezwolenia, lecz razem stałe objawiając postanowienie przybycia na sejm do Warszawy!

To dopełniło miary! Senatorowie strwożyli się mocniej jeszcze.

Przybycie na sejm oznaczało zajęcie należnego stanowiska, pozyskanie ludzi, zdobycie wpływu na sprawę, którą kraj sam chciał rozstrzygnąć.

Potrzeba więc było królową zatrwożyć, zagrozić jej, zmusić do posłuszeństwa.

Radzono nad tem.

Sprawa Henryka i Francuzów dotąd mniej głośno, lecz daleko szczęśliwiej się zdawała rozwijać niż cesarska. Montluc zyskiwał z dniem każdym serca; Zborowscy potajemnie szerzyli propagandę, która szła tem lepiej, że i katolików zaspokajała, a po cichu mówiono, iż papież ją popierał.

Wszystko tedy zdawało się iść jak najszczęśliwiej dla Francuzów, gdy jak piorun nadbiegła wieść o rzezi św. Bartłomieja.

Na odgłos o niej, z Niemiec tu przyniesiony, wszyscy innowiercy na raz odpadli z oburzeniem, i Montluc znalazł się opuszczonym. Sprawa się wydawała już przegraną.

Królowa odebrała o tem wiadomość w Łomży i poszła się zamknąć ze łzami swemi, aby nie okazać jak ją okrutnie dotknęła.

W całym kraju jedno się powtarzało, iż nikt nie zechce kata, zbroczonego krwią, widzieć na tronie.

Obwiniano nietylko Karola IX., ale królowę matkę i księcia Andegaweńskiego. Cesarz mógł się radować, gdyż najniebezpieczniejszy ze współzawodników zdawał się unicestwionym.

Na zjazdach szlachty, wszędzie gdziekolwiek doszły relacje o rzezi, a były i przesadzone i namiętne, zaprzysięgano Francuza odpychać i nie dać się z nim odzywać nawet jego stronnikom.

Zborowscy też w początkach umilkli przybici; lecz nie darmo biskup Walencji był wysłanym do Polski, a jeden z najzdolniejszych owego czasu pisarzy w pomoc mu był dodany.

Zaczął od tego Montluc, iż napadających na niego o cierpliwość prosił, dopóki by z Francji nie odebrał wiadomości wiarogodnych. Zapewniał z uśmiechem, że przeczuwa potwarze i złośliwości, iż król i królowa matka oczyścić się potrafią z zarzutów mordowania własnych poddanych.

Pibrac już przygotowywał swój list do Elvidiusa; pisano memoriały, mające wprędce nadejść do Polski, w których dowiedzionem było, że król wcale winien się nie czuł. Owszem, okazał największą litość dla ranionego admirała Coligny, gdy się dowiedział, iż on i Hugonoci na życie jego sprzysięgli się i tejże nocy na Luwr napaść mieli. Musiał się więc król bronić i dozwolił Gwizyuszom uprzedzić spiskowych. A potem — potem sam lud ujmując się za pana swojego, oszalały dokonał reszty.

Winnemi więc byli sami Hugonoci, którzy na życie rodziny królewskiej czyhali.

Wszystko to jasne było, jawne, dowiedzione jak na dłoni.

Tysiącami relacyj tych nowych o rzezi św. Bartłomieja rozsypano natychmiast w całej Polsce. Drukowano je w Niemczech i w Krakowie.

Montluc pokazywał słodko uśmiechnięty wizerunek Henryka, pytając czy młodzieniec tak śliczny, tak łagodny posądzonym być mógł nawet o okrucieństwo.

Oprócz tego owa rzeź — dodawał biskup Walencji — była w ustach niechętnych przesadzoną, powiększoną, padli tylko winni i zdrajcy.

Na gorętszych różnowiercach pisma Pibraca, opowiadania Montluc, szczegóły, które przynosiłi jedni za drugimi przybywający z Francji wysłańcy, nie czyniły zrazu wrażenia. Nie wierzono im, wołano: Precz z Francuzem! Lecz tu, jak zawsze i wszędzie, tłumy się dały ciągnąć przewodcom, a Zborowski, przeciwko Firleja stojąc, gotów był raczej swoje różnowierstwo narazić, niż ustąpić mu i uznać się pobitym.

Począł dowodzić, że od wszelkiego prześladowania różnowiercy się zabezpieczyć potrafią, przysięgę wymódcz, prawo postanowić!

Gwałtowne wrzenie zwolna łagodzić się i ostygąć zaczęło.

Królowna oplakawszy zrazu pogrzeb swych tajemnych nadziei i marzeń, czekała niecierpliwie wieści z Francji. Przysłano i do Łomży owe listy Pibraca i mnogie inne objaśnienia, które w zupełnie nowym świetle ukazywały tę straszną rzeź nocy św. Bartłomieja. Król był do niej zmuszonym w obronie własnego życia, a lud — lud wszędzie jest okrutnym.

Skłonna do uwierzenia wszystkiemu, co nadzieje jej żywić mogło, królowna z wdzięcznością opatrności przyjęła tę wiadomość pocieszającą. Zdawało się jej to prawdziwym, niewątpliwem.

Chmurne czoło wypogodziło się znowu.

Niezwykła była ona nigdy odzywać się z własnym zdaniem; gdy mówiono o cesarskich i francuzkich kandydatach, milczała i słuchała, lecz poznać mogli otaczający ją, że się radowała oczyszczeniem od zarzutów rodziny panującej we Francji.

Talwosz i Dosia, którzy usiłowali z twarzy jej czytać, aby odgadnąć myśli i wedle niej postępować, utwierdzili się w przekonaniu, że królowna sprzyjała Henrykowi.

Litwin biegał, poszukując świstków i relacyj, któreby uspokoić mogły.

Anna niemająca dotąd wprost od panów rad wiadomości o tem, co postanowić chcieli względem niej, wiedziała tylko przez pilno rozwiadującego się Talwosza, a po trosze i przez pozyskanego sobie biskupa chełmskiego, że się na nią groza i burza gotowały.

Upredzano ją, że panowie nietylko do Warszawy dozwolić jej nie chcą przybyć, ale myślą gdzieś dalej od granic, od stolicy wyznaczyć rodzaj więzienia.

Przebąkiwano o Łęczycy, o Krasnymstawie.

Gdy jej o tem napomknął ksiądz Starożrebski, nie spostrzegł najmniejszej zmiany w twarzy; odpowiedziała mu zimno ale stanowczo.

— Nie pojedę tam, przeniosę się gdy zechcę i gdzie zechcę. Gwałtu mi uczynić nie mogą, a ja do niewolniczego posłuszeństwa nie jestem obowiązana.

Starcie się z panami rad zdawało się nieuchronne.

Siedziano w Łomży, ale Talwosz miał wydane rozkazy, aby do podróży, na wszelki wypadek, gotowość była zawsze.

Ponieważ odgróźki i warczenie przeciw królownie z Kask dochodziło, gdzie miano coś postanowić, aby wiedzieć czemu się i jak opierać, Anna wyprawiła potajemnie Talwosza, języka potrzebując.

Człowiek to był do wszystkiego, który zniknął i powracał cudownie, odbywał podróże z pośpiechem niesłychanym, docierał wszędzie, umiał się dowiedzieć tajemnic i nigdy z próżnemi nie wracał rękami.

Królowna, którą wielu zawiodło, miała w nim nieograniczone zaufanie, a gdy Zagłobianka podjęła się pośrednictwa i zaniósła mu rozkazy, Anna pewną być mogła, iż pójdzie w ogień i w wodę.

Sprawił się i tym razem Talwosz żywo, a nie wrócił z niczem; ale złe przywiózł wiadomości, których przed Anną ukrywać nie było można. Wiedział on o tem, że chciała być o wszystkim zawiadomioną, bez oszczędzania strapień, aby zawczasu do oporu przygotować się mogła.

Talwosz ze smutkiem przyznać musiał, że się tak bardzo sierzono i odgrażano tam na królownę, że postanowiono ją wysłać do Łęczycy lub Krasnostawu, a do Tykocina wyprawić dla zagarnięcia skarbów, które testamentem do niej i do siostr należały, o czem senatorowie słuchać nie chcieli.

Wszystkie te pogróżki i posądzenia, że królowna z Gastaldim potajemnie i cesarzem miała jakieś układy, że samowolnie coś poczyniała — gdy Talwosz jej przyniósł — wysłuchiwała ich bardzo cierpliwie, jakby zawczasu przygotowana, podziękowała mu za gorliwość i odeszła, słowa nie rzekłszy, ale nie okazując, aby się tem zakłopotowała.

Talwosz nie śmiał powtórzyć Annie co mu powiadano jako niepewne jeszcze, że senatorowie mieli żądać wydania kluczy od tykocińskich skarbów, i że dla pilniejszego dozoru nad osobą królownej wyznaczeni byli w Krasnymstawie oprócz biskupa chełmskiego, pan Andrzej z Tęczyna kasztelan bełzki, a w Łęczycy Andrzej Dembowski kasztelan sieradzki.

Talwosz powiedział Dosi, że natychmiast chciano Annę z Łomży wyprawić.

Wszystko się to sprawdziło wkrótce, i jednego dnia dano znać królownie, już na wszystko przygotowanej, że posłowie od panów senatorów biskup kujawski Karnkowski i wojewoda łęczycki Jan z Bogusławic Sierakowski do Łomży zawitali. Pobiegł na spotkanie ich biskup chełmski.

Wybór tych posłów wskazywał, że chciano powagą ich większy nacisk na wymagania położyć i zapobiedz wszelkiemu ze strony królownej oporowi. Rozumem i dostojeństwem odznaczał się Karnkowski, nie ustępował mu Sierakowski, zręczniejszy i żywszy od niego.

Wiadomość o przyjeździe ich nietylko że nie przestraszyła Anny, ale zdawała się jej wielce pożądaną.

Biskupowi chełmskiemu dała wiedzieć natychmiast, że przyjmie biskupa i pana wojewodę jak tylko odwiedzić ją zechcą.

W kilka godzin też potem Karnkowski z wojewodą przyszli powitać Annę, która przyjęła ich z wielkim majestatem, ale nader zimno i obojętnie.

Na zapytanie z czemu do niej wysłani byli, biskup kujawski oświadczył naprzód tylko, że żądano, aby królowna z Łomży wyjechała natychmiast do Krasnegostawu lub do Łęczycy.

— Dlaczegoż po mnie tego wymagacie? — spytała zimno.

— Otwarcie powiem — przerwał Sierakowski — iż, niesłusznie pewnie, boją się panowie senatorowie, aby tu Litwa nie zabiegła i nie starała się skłonić miłość waszą do działania na zerwanie Unii.

Anna uśmiechnęła się ironicznie i poruszyła ramionami.

— Posądzenie to dla mnie obelżywe jest — rzekła — ale ja przebaczyć muszę. Co się tyczy Krasnegostawu lub Łęczycy — dodała — stanowczo wam oświadczyć muszę, że ani do jednego, ani do drugiego mi wyznaczonego miejsca nie po-ja-dę.

Tak, nie pojedę. Wybiorę się tam, gdzie mi się zda znajdować, bo niewolnicą uczynić się nie dam.

Wojewoda zbladł, biskup spuścił głowę, nie odezwali się już ani słowa. Sam ton, jakim wyrzeczone były wyrazy te przez Annę, nie pozostawiał wątpliwości, iż się skłonić nie da do posłuszeństwa bezwarunkowego.

Uzbrojona była do walki z senatorami.

Dnia tego biskup Karnkowski już nawet nie rozpoczynał nalegania, i krótko zabawiwszy pożegnał królową.

Powrócili do niej nazajutrz z wojewodą. Karnkowski na nowo oświadczył, iż z Łomży oddalić się Anna musi, bo panowie senatorowie mają wiadomość o tem, iż Litwa zmierza do zerwania Unii i będzie się starała nakłonić ją ku sobie. Sama więc królowa dla spokoju własnego powinna była uniknąć nacisków, którym możeby się oprzeć nie potrafiła.

Nie przyznała się Anna, iż Chodkiewicz ją już kusił wyborem na W. księstwo, ale odpowiedziała zimno, że niesłusznie ją posądzano, jakoby bez rady panów mogła i chciała jakieś z Litwą czynić układy.

Wtem wojewoda chcąc odrazu pozbyć się wszystkiego co najcięższe mu było, dodał że kazano im się domagać kluczków od skarbów tykocińskich, w których skrzyniach znajdowały się też przywileje koronne.

Anna spojrzała z góry na niego.

— Pojedziemy więc razem do Tykocina — rzekła — i przy mnie otworzymy skrzynie, aby szukać przywilejów, o których ja wiem tylko tyle, że ich tam niema!

Sierakowski i Karnkowski zaniemieli, królowa siedziała naprzeciw nich majestatycznie, dumnie, po królewsku zbywając się natrętów.

Biskupowi zrobiło się nad wyraz przykro, widział się w konieczności wytoczenia wojny ze słabą niewiastą, do której przygotowanym nie był. Niemilem mu było stawić się nieprzyjacielem tej ostatniej gałązki Jagiellońskiego szczepu.

Począł więc, po chwili milczenia i namysłu, z goryczą i żalem wywodzić do jak wielu posług go Rzeczpospolita zażywała, jak je sprawiał zawsze ochotnie i szczęśliwie, jak i teraz z chęcią i wolą dobrą jechał tu do królowej dla porozumienia się bez sporu, dla dobra obustronnego.

Nie zbywało na wymowie biskupowi, a gdy raz rozpoczął niełatwo się powstrzymać mógł, mówił więc długo, z uczuciem. Tłómaczył dlaczego wyjazdu domagano się, gdyż przejęto listy Litwinów i wiedziano o ich intrygach.

Łatwo było się domyśleć, że odmówienie kluczków i wydania przywilejów tak dobitne, strwożyło też księdza Karnkowskiego. Z niezmiernym zapalem, w uniesieniu zbytecznym może, przypuszczając, że zabiegi jakieś są na opanowanie gwałtowne tronu z pomocą i za wiedzą Anny, zawołał.

— Jako senator i jeden z rady koronnej obowiązany jestem miłości waszej oświadczyć uroczyście, że cudzoziemcy napróżno tu przebywają w Polsce i różne starania czynią; ani W. Kr. Mość, ani nikt w świecie tego nie dokona, aby nam przeciw woli naszej pana narzucił.

Pierwej ciała i szaty nasze krwią się opluczą, niż my tego dopuścimy!

Uniósł się jeszcze więcej biskup i nierozważnie dodał.

— O tem W. Kr. Mość myśl i my się o to starać będziemy, co jest z wolą Bożą, zgodą powszechną, ale tego nie dokażesz ani praktykami, ani dumą swą, i zginiesz... z żalnością to mówię i z płaczem.

Królowa słuchała blada i poważna, a Karnkowski raz za daleko się posunawszy, nie wiedział teraz jak złagodzić wrażenie swych gróźb; mówił więc ciągle, nie mogąc przestać, o przejętych skryptach, o praktykach tajemnych, o tych których Anna do pomocy używała... i skonkludował, iż w Łomży dłużej pozostać nie mogła.

— Słuchaj W. Kr. Miłość nas, zaufaj nam — mówił — Bogu na chwałę, a sobie i nam na pożytek. Miejsce tu ku mieszkaniu niebezpieczne jest, obrony nie masz, zawarcia żadnego, ludzi około miłości waszej niewiele. Obcy przybiegają, wciskają się, ztąd niebezpieczeństwo i podejrzenia i złe mowy.

Książę Lignicki przejeżdża się po kraju, książę Pruski pomoc cesarzowi obiecuje.

Powtórzył wręście biskup wymagania wyjazdu i wydania przywilejów koronnych z Tykocina.

Zdało się jemu i wojewodzie, że wymową tą, zakłęciami, groźbami pokonał Annę, lecz okazało się, że trwała niewzruszona przy swoim.

Napróżno zeszło godzin kilka i posłowie nic nie dokonawszy odejść musieli. Dostało się tedy księdzu biskupowi chełmskiemu, a potem ochmistrzowi Konieckiemu za to, że musieli dopuszczać do Anny ludzi, którzy ją podbudzali, utrzymywali w oporze, bo nie mogli przypuścić, aby tę siłę charakteru sama z siebie brała.

Wygadał się z tem Karnkowski przed ochmistrzem, który Bogu ducha był winien, że Litwa jakoby chciała się pozbyć Anny osadzając ją na księztwie Baru we Włoszech, a Korona lepiej o niej myślała.

Trwało parę dni naleganie i stateczny opór królowej, która oświadczyła ponownie, iż ani do Krasnegostawu, ani do Łęczycy nie myśli i nie pojedzie, choćby dlatego, iż potrzeba było przebywać w podróży zapowietrzone jawnie okolice.

Zgadzała się zaś na to, aby w bliskości Warszawy osiąść tymczasowo w Piasecznie, choć tam odpowiedniego pomieszczenia spodziewać się nie mogła.

Biskup i wojewoda, którym jadąc zdawało się, że z jedną osieroconą niewiastą łąco trafią do końca, pracowali nadaremnie kilka dni, i musieli się uznać pokonanymi.

Miała tę wyższość osobiwą nad wymownym biskupem Anna, że mówiła i odpowiadała spokojnie, bez namiętności, bez gniewu, nie unosząc się, ale nie dając się złamać.

Nie brała za złe Karnkowskiemu jego występów gwałtownych, odzywała się jak przystało do duchownego, z pokorą, łagodnie, lecz nie ustępując ani na włos z tego co postanowiła.

Biskup i wojewoda zgodzili się, radzi nie radzi, na Piaseczno.

Było to jedno co zyskali u królowej i wyjeżdżając musieli powiedzieć sobie, iż porwacali tak jak z niczem. Jagiellonka odniosła zwycięztwo, choć radości zbytniej z tego nie okazywała.

Miała wiele innych powodów do trosk i smutku. Ta Litwa, którą posądzano, iż w spisku z nią była, odgrażała się, że wcale testamentu króla uznawać nie chce i nie myśli, że jego spadkobiercami nie rodzeństwo, ale kraj być powinien.

Panowie koronni, równie łaknący grosza dla opróżnionego skarbu, gotowi byli na współ z Litwinami przystąpić do podziału.

Zgodzono się obejrzeć i sprawdzić co i jak się tam w Tykocinie znajdowało.

Wiemy już z opowiadania tego, iż król powierzył straż skarbów tykocińskich rotmistrzowi Bielińskiemu, którego wierności ufał, a kazał mu powiedzieć i wymógł na to przysięgę, że kluczy nikomu nie da, ani przystępu, oprócz królowej Anny.

Gdy do Łomży doszła wiadomość, że się Litwini i panowie koronni wybierali do Tykocina, pobiegł zaraz Talwosz rotmistrza Bielińskiego od królowej zakląć, iżby zaufania w nim położonego nie zawiódł.

Poselstwo to wcale nie było potrzebnem. Gdy Talwosz nadbiegł, już po wszystkim znalazł, a Bielińskiego tak spokojnego, jakby wcale mu nic nie zagrażało. Stary wojak był jednym z tych ludzi, którym ani wojewodowie, kasztelanowie, ani biskupi powagą swą senatorską imponować nie mogli. Cześć swą i słowo rycerskie stawiał tak wysoko, iż za nie gotów był dać życie.

Z zimną krwią zdał relacyą Talwoszowi, iż w istocie z Litwy wyznaczeni starosta żmudzki i Wojna pisarz litewski, wraz z wojewodą sandomirskim i kasztelanem gnieźnieńskim przyjechali byli do Tykocina w zamiarze opatrywania owych skarbów. Tym zaraz na wstępie bez ogródki oświadczył Bieliński.

— Obejrzyjcie waszmościowie czy jest należyty porządek około ciała królewskiego i około sklepów opieczętowanych, ale nie żądajcie odemnie, abym złamał słowo. Jestem człowiekiem sędziwym i rycerskim, nieboszczykowi królowi przysięgałem, a prędeż życie stracę niż przysięgę moją naruszę.

Panowie tedy zażądali, aby on i wszyscy na zamku w Tykocinie nową przysięgę złożyli Koronie i Litwie, — Bieliński się oparł.

Poswarek się stał i zamięszanie z tego powodu, rotmistrz trwał przy swoim nieporuszony.

Grożono mu pozwaniem na zjazd do Warszawy, nie pomogło i to. Gwałtu popełnić nie ośmielono się i sklepy zostały nienaruszone.

Talwosz przywiózł pocieszającą tę nowinę w chwili, gdy już się wybierano do Piaseczna.

W ten sposób królowna szczęśliwie się przy swem utrzymała i miała się zbliżyć do Warszawy, do której chciała się dostać, choćby to panom senatorom niebardzo miłym być miało.

Wśród zimy, po najgorszych drogach, z niewygodami wielkimi puściła się królowna w tę podróż, do której była na pozór zmuszoną, a w istocie odpowiadała ona jej życzeniom: zbliżała ją do miejsca, gdzie zjazdy odbywać się miały i czynną być mogła.

Dotąd wiodło się wszystko, choć zdobywać musiała przebojem stanowisko, które zająć potrzebowała. Od śmierci króla owa sierota bezsilna już doszła do tego, iż straszną się stała, i swoją wolę mieć mogła. Panowie musieli się z nią rachować.

Co się tam działo w duszy jej? jak potrafiła utrzymać się na zdobytym stanowisku, nie mając pomocników, oprócz maluczkich sług wiernych? jeden Bóg wiedział.

Widząc ją tak śmiało kroczącą coraz dalej, nie dającą się zastraszyć, ani zbić z raz wyznaczonej drogi, panowie nie pojmowali, aby tę siłę w sobie samej czerpała; roilo się im, że była w zмовie z cesarzem, i że im chciała pana narzucić, nie dopuszczając elekcyi.

Więc poprzysięgano, zaklinano się, że nie dozwolą, aby im panował, kogo sami nie wybiorą.

Ponieważ ani głupawego Konieckiego ochmistrza niepodobna było posądzać o posilkowanie królownie do tych urojonych spisków, ani biskupa chełmskiego, ani Czarnkowskiego, który za sobą zacierał tropy, na Talwosza się zwróciły oczy, jemu przypisywano wszystko: opór, konszachty potajemne...

Żądano od Anny aby go oddaliła. Królowna w chwili wielkiego zburzenia umysłowa sama nie wiedziała co począć i potajemnie kazała Litwina przywołać, który już o wszystkim wiedział.

Nic mu to nie zachmurzyło czoła, choć ode dworu królownej odejść nie rad był dla Dosi.

— Co ja pocznę, Talwoszu mój — odezwała się do niego Anna wzdychając — oczy mi tobą wykałają.

— Jeżeli W. Kr. Miłość dla mnie mizernego służki swojego cierpieć masz — rzekł Talwosz kłaniając się — proszę usilnie rozkażcie mi precz iść, ja nie mniej gorliwie służyć będę.

Łza się zakręciła królownie w oczach.

— Uspokoić potrzeba panów senatorów — dodała — ale się nie oddalajcie z Warszawy. Da-li Bóg, ja wierne służby nagrodzę.

Jaka nagroda najmilszą mu była, nie powiedział Talwosz, odszedł na wszystko gotowy.

Nazajutrz Anna przy biskupie chełmskim przywołać go kazała i oświadczyła, że dla spokoju i nalegania panów żąda, aby od niej odjechał.

— Stanie się po woli miłości waszej — odpowiedział kłaniając się Litwin — dziękuję za wszystkie łaski, jakich doświadczyłem i odchodzę życząc tylko, aby miłości waszej drudzy równie wiernie jak ja służyli.

Urzędownie tedy Talwosz został odprawiony.

Wesoło jednak poszedł do towarzysza Boboli.

— A co! druhu miły! — rzekł — mnie kazano precz! Wyście szczęśliwi, że panowie senatorowie was w posądzeniu nie mieli i zostajecie.

Bobola uszom nie dowierzał. Zdawało się nietylko jemu, ale nawet Konieckiemu, Żalińskiej nawet, która go nie lubiła, niepodobieństwem ażeby się na dworze bez Talwosza obejść mogli.

Teraz dopiero okazało się, jaką on tu niepokazną, cichą a czynną był wszystkiego sprężyną.

Nigdy z tego chluby nie szukał, nie wynosił się, łaskami nie chwalił, wpływem nie nadymał, ale wszędzie go było pełno, każdemu dobrą radę dał, karku chętnie nastawił, a gdy niejasno w czym było, on najlepiej dojrzał drogi.

Dla królownej był to służka nieopłacony, nieoszacowany, ale wyrzekając się go, wiedziała że nie straci.

Z dobrą miną tegoż dnia przyszedł Talwosz na pożegnanie do dobrego, łagodnego księdza biskupa chełmskiego, który go też lubił i miał tęsknić po nim.

— Przyszedłem najprzewielebniejszego ojca pożegnać — rzekł całując w rękę — pędzą mnie ztąd, niema rady. Kiedy już Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie być ma przez Talwosza, trzeba ją ratować! więc choćby głową w przereźbę.

Biskup stał zafrasowany.

— Kochanku — rzekł — wierzaj mnie, jam temu nie winien nic. Ochmistrzowi Konieckiemu byłeś solą w oku, ten na ciebie zrzucił wszystko.

Śmiał się Talwosz.

— Gdy ja pójde precz — rzekł — nic przeto on więcej tu znaczyć będzie.

Ksiądz biskup westchnął powtórnie.

— Dokądże ty? na Litwę? — spytał.

— Bóg jeden wiedzieć raczy — odparł Talwosz. — Człowiek czasem swobodę odzyskawszy, nie wie co z nią robić, tak i ja. Na wsi mi się nie chce siedzieć. Siła jest panów, do których dworów człowiek się zda, ale nie do każdego rad pociągnie. Czas jakiś pewnie zostanę w Warszawie.

Pobłogosławił go ksiądz Wojciech i tak się rozstali.

Koniecki ochmistrz, gdy z nim przyszło się żegnać, z kolei poprzysięgał, iż on wcale przyczyną nie był odprawy, że złe języki mogły to składać na niego, ale się czuł niewinnym.

— Albo ja miłość waszą winuję? — odezwał się Talwosz — Boże mnie uchwaj! Przyszedłem tylko z przestrogą, że co dziś mnie, jutro może miłość waszą spotkać. Nie stanie Talwosza a zrobi się co nie po myśli, zrzucą teraz na ochmistrza.

Zasepił się Koniecki, ale nadto ufał wysokiemu urzędowi swojemu, ażeby się uląkł bardzo. Nosił się z godnością tą, pewien będąc, że nawet złe języki dosięgnąć nie mogły wyżyny, na której się znajdował.

Zalińska gderliwa tym czulszą chciała się okazać dla Talwosza, im się w duszy cieszyła więcej z tego, że się go pozbędzie. Miała nadzieję, że syn jej skorzysta z tego i zbliży się swobodniej do Zagłobianki, która patrzeć nań nie chciała.

Najcięższe było pożegnanie z Dosią. Talwosz nie mógł dotąd zbadać dziewczęcia i na przemiany to nadziejami najslodsze się ludził, to rozpaczał. Dosi ani on, ani nikt w świecie zrozumieć nie mógł.

Dumna, zimna, szyderska, obchodziła się ze wszystkimi mężczyznami tak, jakby z nich żadnego siebie godnym nie uznawała.

Spotykało to Talwosza co innych. Czasami słuchała go cierpliwiej, okazywała przyjacielską, ale zaledwie z tego zapragnął skorzystać, aby się zbliżyć i spoufalić, natychmiast oblekała się dumą i stawała nieprzystępną.

O miłości ani mówić nie dozwalała.

Talwosz, zamożny po rodzicach szlachcic, pięknego imienia, był dla niej pożądanym mężem, ale o wyjściu za mąż słuchać nie chciała.

Korzystając z tego, iż pożegnać ją miał, Litwin postanowił raz jeszcze spróbować rozmówić się z nią stanowczo.

Dosia, która pierwsza wiedziała tu wszystko, tak iż powiedzieć było można, iż myśli królowej odgadywała, o odprawie Talwosza była uwiadomioną wcześniej. Nie zdziwiła się, gdy wypatrzywszy chwilę, samą ją w komorze królowej zastał i oświadczył, że przyszedł z pożegnaniem.

Zagłobianka, która około krosien jakichś zajęta była, rzuciła je i podeszła ku niemu.

— Panno Doroto — odezwał się Talwosz — serce mi się kraje. Mało mi nieraz było raz lub dwa widzieć ją we dnie, a teraz Bóg wie, czy raz w tydzień mnie to szczęście spotka.

A gdy Dosia milczała dodał.

— Niechże choć przy tem rozstaniu wolno mi będzie raz jeszcze powtórzyć, zem ja służę jej wiernym do grobowej deski, a siebie i co mam u nóg waszych składam.

Zagłobianka się cofnęła, twarzyczka jej zbladła i brwi się ściągnęły.

— Dalibyście pokój temu — odpowiedziała. — Wszyscy wy mężczyźni, gdy się liczko podoba toż samo oświadczać i mówicie... a no na lodzie nie budować.

— Jam tedy nie więcej wart niż drudzy w oczach waszych, panno Doroto? — zapytał smutnie Talwosz.

— Nie mniej nad innych, ale pono i nie więcej — powtórzyła Zagłobianka. — Albo waszmość znasz sam siebie? Ja to tylko wiem, że pókim młoda, a krasy trochę jest, ona za wszystko płaci, nie stanie jej, pocznie się wypominanie, żem ani mienia ni imienia nie przyniosła, a ja na to się narażać nie chcę, i za mąż iść nie myślę.

Talwosz głową zawahał.

— Mnie się zda, że gdzie wielka miłość jest, tam ani imienia ani mienia nie potrzeba.

— Tak to się waszmości zda — rozśmiała się z przymusem Dosia — a nie dosyć was, rodzinę macie, ojca, matkę, braci, siostry, powinowatych, ci oczy sierocieby wykałali. Proszę więc nie mówmy o tem.

— Jeżeli drugim tak samo jak mnie odpowiadać będziecie — odezwał się Talwosz — gotówem czekać aż się o wiernej miłości mej przekonacie.

Zagłobianka zwróciła rozmowę.

— Więc was odprawiono — rzekła — ale wy się odprawiać od królewnej nie powinniście.

— Ani też myślę — odparł Talwosz.

Zostanę w Warszawie. Z Piaseczna niedaleko do mnie będzie, gdybym się miał zdać na co. Zresztą widzi mi się, że i królowna rychło do Warszawy się przeniesie.

Gdybyście mnie na co potrzebować mieli — dodał w końcu — każcie szukać w gospodzie pod Białym koniem u Barwinka, za krakowską bramą.

Ponieważ Zagłobianka nie odchodziła, wniósł Talwosz, że mu ma jeszcze coś do powiedzenia; czekał rad, iż się rozmowa przedłużała.

Dosia cichym głosem poczęła.

— Nieprawdaż? Mnie się zdaje, że choć panowie senatorowie naszą panią posądzają o to, iż z cesarzem jest w potajemnej znowie i z nim spiskuje, myślą się bardzo. Więcej ona sprzyja Francuzowi.

Talwosz głową dał znak potwierdzający.

— Najlepszym dowodem tego było — dodała Dosia — gdy wiadomości nadeszły o tej rzezi okrutnej, zgryzła się tak, że po całych dniach słowa od niej dopytać nie było można. A potem, jak począł biskup Walencyi rozsyłać pisma, które oczyszczały króla i królowę, naczytać się ich nie mogła. Kazała mi sobie po nocach raz i drugi odczytywać i tłómaczyć.

Spojrzała na Talwosza.

— Jam też domyślił się, że z cesarzem nasza pani dlatego tylko umyślnie zdawała się na dobrej stopie, aby strachu senatorom napędzić i nie dopuścić lekceważenia.

— No, to powinniście, jeżeli tak mniemacie — wtrąciła Dosia — powinniście wiedzieć, co czynić. Królowna znaku nie da, ażeby Francuza popierano, bo się wstydzi, ale przyjaciele jej odgadłszy myśl, starać się powinni podług niej się sprawniać.

— Ani słowa — odparł Talwosz — tylko tacy przyjaciele a słudzy jak ja, nie wiele mogą.

— Nieprawda — przerwała Dosia gorąco — kto chce, ten może wiele, a mali ludzie czasem nieznacznie sprawy wielkie popierają skutecznie, tyle tylko, że potem ich robota na cudzy idzie rachunek.

— A ja się też chwalić i korzyści z niej dla siebie ciągnąć nie myślę — odpowiedział Talwosz. — Byle naszej pani usłużyć, zapłaty, ani chwalby z tego nie szukam.

— Bóg wam to nagrodzi — dodała Dosia uprzejmie. — Wiecie więc co czynić... róbcie.

— Nie omieszka — rzekł kłaniając się zabierającej do odejścia Talwosz. — Pozwolicie abym, gdy potrzeba się okaże, zgłosił się do was?...

— Czemuż nie — cicho szepnęło dziewczę — ale o tem zapominać nie trzeba, że ludzie mnie i was będą szpiegowali. Ostrożnym musisz być. Bóg z wami.

Talwosz sklonił się raz jeszcze.

— A! jak wy, panno Doroto, nielitościwi jesteście!

Położyła palec na ustach piękna Zagłobianka, twarz jej posmutniała.

— Ani słowa!

I odeszła żywo.

Królewna mieszkała w Piasecznie. Ze wszystkich tych pustych zamków i dworów, które dotąd od śmierci brata zajmowała czasowo, dwór tutejszy najędźniejszym był.

Królewna musiała zajmować izby nieopatrzone, zimne, wiejące, w których pieców brakło, ław i stołów, a nie wszędzie tokowisko zastępowały podłogi. Dla niej i dla kilku osób ze dworu jako tako pootymano ściany i okna, ale reszta służby gorzej niż na obozowisku cierpiała, a zima była ostra.

Żaden z tych panów senatorów, którzy ją tu siedzieć zmuszali, nie byłby wytrwał w takiej obrzydłej dziurze. Królewna znosiła nie uskarżając się, a gdy Żalińska i Zagłobianka lub Koniecki poczynały pisać, zamykała im usta. Miała w tym myśl jakąś. Właśnie to nędzne pomieszczenie posłużyć jej najlepiej mogło dla wytłómaczenia przeniesienia się do Warszawy.

Nie pytając o pozwolenie, już razy kilka z Piaseczna jeździła do miasta, zatrzymywała się tu po dniu i więcej. Za każdym razem przyjazd jej popłoch obudzał, lecz w końcu ludzie się z tem oswoili, a królewna obracała się swobodnie.

Dosia spostrzegła, iż miała wielką ochotę przenieść się stale na zamek, ale się jeszcze wahała, jakby sposobnej wyczekując chwili.

Nie zwierzała się ze swych zamiarów nikomu.

Sprawami cesarskich posłów i innemi, o które ją posądzano, że się niemi porała, nie zdawała się bynajmniej zajmować. Cała jej troska i staranie zwrócone było na most na Wiśle pod Warszawą.

Było to wielkie, ulubione dzieło Zygmunta Augusta, które on rozpoczął z gorącym pragnieniem widzenia jeszcze za żywota ukończonem. Leżało mu ono na sercu, dopytywał o nie na śmiertelnym łożu, dawał na to pieniądze ze swej szkatuły, a powierzwszy dokonanie staroście warszawskiemu Wolskiemu, do ostatniej godziny troszczył się o nie.

Na owe czasy było to dzieło trudne, kosztowne, wielkie.

Most ten, któryby był jakoby wcieleniem idei Unii dwóch narodów, mający połączyć dwie połowy Rzeczypospolitej i ułatwić wymianę ludzi i zasobów, rozpoczęty został jeszcze w roku 1568, 25 czerwca, gdy pierwszy pał pod niego wbito. Król okupił dwoma wioskami, Przekorą i Dobrą Wolą prawo przewozu od Jeżowskich, spłacił dzierżawcę przewozów Erazma z Zakroczymia i jemu powierzył budowę stałego mostu, który miał się oprzeć i wylewom i lodom, łącząc stale dwa brzegi.

Kilkadziesiąt ogromnych baszt drewnianych, z prastarych, niezmiernej grubości belek wznoszonych, miało go bronić rozbijając kry i lody. Drzewo spuszczano z królewskich lasów z Korony i Litwy; nieustannie pracowali nad nim cieśle w wielkiej liczbie i budowa mająca 1150 kroków długości, już bliską była dokończenia. Starosta Wolski przejął gorąco myśl króla i dokończenie przyspieszał, a Anna się nią zajmowała tak pilno, iż za każdą wycieczką do Warszawy jeździła na miejsce, kazała sobie pokazywać ile roboty postąpiły, zagrzewała do nich, naostatek ze swych bardzo szczupłych zapasów pieniądze dawała na opłatę robotnika. Wolski, który najlepiej wiedział, że królewnie o pieniądze było trudno, bo z Tykocina nic jej nie dawano wziąć dotąd, oprócz pary srebrnych lichtarzy, nie rad przyjmował, zmuszała go przecież Anna, aby dokonanie mostu przyspieszył.

Wiadomem było, że tu się Litwa i Korona dla narad nad przyszłym wyborem króla zjechać miały.

Starosta warszawski rad też był temu, aby wiekopomne owe dzieło doprowadzić do skutku, a królewna jeszcze animuszu mu dodawała. Ze swemi basztami już teraz prawie gotowemi, most oparty na niezmiernej grubości palach, związany z takich belek, jakich dziś już nasze lasy nie mają, ukrzepiony mnogimi kłamrami żelaznemi, które go spajały, przedstawiał widok wspaniały.

Królewna dla pamięci brata była nim dumną, cieszyła się i patrząc nań płakała. Wolski pysnił się też, że jemu danem było ostatnią rękę przyłożyć do budowy jedynej wówczas w kraju.

Za każdą podróżą do Warszawy jechała Anna na brzeg w towarzystwie starosty, kazała sobie ukazywać wszystko i nagliła o wykończenie.

Podróże te w porę zimową, na którą nie zważała królewna, a bardziej podobno pobyt w Piasecznie, gdzie nocami woda w pokojach zamarzała, wilgotno było i niewygodnie, poczynał już na zdrowie wpływać. Anna była cierpiąca na ból głowy, oczów i miewała gorączkę często, ale nie zważała na nią wcale.

Czas było nareście z Piaseczna mimo panów senatorów przenieść się do Warszawy, choć przewidzieć było łatwo jaką to wrzawę wywoła.

Panowie senatorowie jeszcze się byli po długich naradach nie rozjechali z Warszawy, gdy w piątek przed zapustami (23 stycznia) wcale się nie oznajmiwszy im, nie pytając o pozwolenie, królowna z całym dworem i taborem w biały dzień wprost zajechała na zamek.

Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie.

Był jeszcze w Warszawie prymas Uchański, biskupów siła, był Firlej marszałek koronny i inni senatorowie świeccy.

Zmiarkowali oni, że zamiast walkę rozpoczynać, która się dotąd nie wiodła, należało królownę przyjąć ze czcią jej należną. Pośpieszył więc Uchański, okazując wielkie poszanowanie dla krwi królewskiej, Firlej, biskupi i świeccy panowie na powitanie uroczyste.

Królowna wyszła bynajmniej nieustraszona, z pogodną twarzą i wszystko się odbyło jak najuroczyściej, najspokojniej, bez wymówek, bez żalów.

Witał prymas, przemawiał wojewoda krakowski, dziękowała sama Anna, odzywali się inni z wiernością swą i przywiązaniem dla rodu królewskiego. Nikt nie śmiał ani spytać Anny, jak się ważyła na krok tak samowolny, ani jej wyrzucał, iż lekceważyła radę.

Królowna w kilku słowach napomknęła o tem, jak pobyt w Piasecznie był niemożliwym.

Rozgospodarowano się więc na zamku na dobre, widocznie już nie myśląc ztąd dać się wyrugować.

Koniecki, który teraz sam jako ochmistrz na zamku rozkazywał, nabrał jeszcze większej powagi i pewności siebie.

Działo się to w piątek. Ponieważ Uchański i Firlej już na wyjeździe byli i pośpieszyli z powitaniem, nie mogli wszystkim oznajmić o tem i wielu się do nich przyłączyć nie mogło.

Litwini, którzy po odrzuceniu przez Annę ich ofiar do rozerwania unii dążących, najnieprzyjaźniejsi się dla niej okazywali, godzili na testament króla i na prawa Anny, nie pokazali się dnia tego. Nie przyszedł też przeciwnik Firleja Zborowski, może dlatego, iż z nim razem nie chciał się tu znajdować.

Dotąd stawał on także dosyć nieprzyjaźnie względem królownej.

W sobotę potem zdziwiła się ona wielce, gdy zrana Koniecki jej przyszedł oznajmić, iż pan wojewoda sandomirski o posłuchanie prosił. Nie zawahała się ani na chwilę z przyjęciem tego, który się głosił jej nieprzyjacielem.

Wielki a dumny pan, Zborowski różnił się od tych ówczesnych czynnych w Rzeczypospolitej magnatów jak Firlej, którzy z myślami i zamiarami swemi ukrywać się starali niezręcznie i sądzili, że świat oszukują.

Zborowski większy frant od nich, mówił głośno co myślał, udawał otwartego i namiętnego, krzyczał i unosił się, chociaż przy tem wszystkim doskonale pamiętał z czem się mógł wydać, a co miał utaić.

Z nim i sprawa, i rozmowa szła inaczej, nie politykował on jak Uchański, nie kłaniał się jak Firlej, rubasznie się tłumaczył, chciał, aby mniemano, że nic do ukrywania nie miał.

W istocie obok przebiegłości wielkiej, temperament gwałtowny nie dozwalał mu całkiem się powściągać. Puszczal więc wodze sobie, mówił wiele, obchodził się z ludźmi rzeźko.

Królowna Anna po wczorajszym powitaniu prymasa i wojewody nie wiedziała czego się ma spodziewać od Zborowskiego, który się nie taił z tem dawniej, że przeciw niej godził.

Wyszła naprzeciw niego z małym dworem, przywołał kazawszy biskupa chełmskiego.

Zdumienie było wielkie, gdy wojewoda zobaczywszy ją wychodzącą, bardzo grzecznie, uprzejmie i z poszanowaniem należnem zaczął witać nietylko imieniem swem, ale i innych panów, którzy przybyć tu nie mogli.

Co więcej, ofiarował jej pokorne służby swe, przypominając jako przodkowie jego wiele z łaski Jagiellonów dobrodziejstw otrzymali. Nie przepominał i ubolewania nad tem, co królowna za życia i po śmierci brata ucierpiała, obiecując na przyszłość pomoc czynną i opiekę, i t. p.

Mowa Zborowskiego była tak niespodziewaną, a tak pocieszającą, iż na królownie uczyniła wrażenie jakiegoś cudu. Rozjaśniło się jej oblicze. Zbliżyła się dziękując wojewodzie z wyrazem takiego przejęcia i rozrzewnienia, że Zborowski poruszył się więcej jeszcze.

Wymieniono słów kilka uprzejmym i Anna uczuła się zniewoloną pana wojewodę prosić, aby z nią obiadować przyszedł. Zborowski przyjął wezwanie ochoczo.

Jaką myśl miała Anna, rozkazawszy Konieckiemu do stołu swojego zaprosić jawnie sobie też nieprzyjaznych Litwinów, Ostafiego Wołłowicza i Pawła Paca, trudno było księdzu biskupowi chełmskiemu zgadnąć. On i pan Zygmunt Wolski mieli się także u stołu znajdować.

Tak owa prześladowana, pędzana z miejsca na miejsce, córka królewska, która miała pod ścisłym dozorem siedzieć w Łęczycy lub Krasnymstawie — teraz, dzięki energii swej i silnej woli, przyjmowała na zamku królewskim nieprzyjaciół, którzy się jej kłaniali nisko i oświadczały z pomocą i służbami wiernymi.

W Zborowskim domyślać się można już naówczas powziętej myśli, użycia Anny w pomoc do elekcji Henryka. Mówiło mu coś, że cesarzowi nie była tak oddaną jak głoszono. Być może, iż oznakę jakąś uchwycił i nie omieszkiał z tego korzystać.

Zeszli się wszyscy na obiad tak dobrej myśli, tak pokorni i ochotni, że przy stole rozmowa żartobliwy i wesoły obrót wzięła.

Zborowski miał to w naturze swojej, iż mówił niby otwarcie, co myślał, śmiało, chociaż nigdy nadto się nie zdradził.

Królowna znając to, iż ludzie przy kieliszkach radzi się otworzystszymi stają, nalewać kazała a Koniecki do picia zapraszał i naglił, czego pan wojewoda nie potrzebował zresztą, bo pił zwykle dużo i wcale go obecność królowej nie hamowała.

Usta mu się czy pozornie czy rzeczywiście szeroko bardzo rozwiązały.

Przyszło do tego, że śmiejąc się wyznał przed Anną, iż pogłoski chodziły, jakoby ona zamiar miała struć kazać księdza Krasińskiego biskupa krakowskiego, Firleja i jego.

Mówił to w sposób żartobliwy niby, lecz powtarzał, co wieść roznosiła przez tych szerzona, którzy w Annie chcieli widzieć drugą Bonę.

— Wojewodo mój — odparła zimno a smutnie — na nicby się nie zdało do takich środków uciekać przeciwko wam, a Bóg mi świadek, iż nikomu, nawet nieprzyjaciółom źle nie życzę. Ludziom na rękę różnić nas, mnie czernić, aby w mętnej wodzie swą rybę łowić.

Gdybyście lepiej mnie znali, śmielibyście się z tych potwarzy, a ja niemi gardzę.

Zborowski podchwycił gorąco, iż onby się nie ważył powtarzać baśni złośliwych, gdyby do nich przywiązywał wagę.

Królowna tedy, choć ciężko jej mówić było, dodała.

— Wiercie mi, panie wojewodo, iż przed własnym interesem moim, kraju tego dobro w sercu przoduje. Nie pragnę dla siebie nic, tylko co dla Rzeczypospolitej z korzyścią jest i sławą. Nie upominam się, jeno o to, coście wy sami sobie winni i godności waszej.

Obwiniono mnie o jakieś spiski z cesarzem, o których nie myślałam nigdy, o chęć narzucenia wam pana, gdy ja nad sobą najcięższego ucisku doznawałam.

Panowie litewscy, którzy przewidywali, iż się na rozerwanie Unii zwrócić może królowa, nie chcieli dopuścić tego i przerwali zapewnieniami przywiązania do panów swoich. Zborowski już dobrze napity, czy też napitego udający, aby się tem szczerzym wydawał, począł, z kielichem przyklękając przed królową, przy czem go z dwu stron przytrzymywać musiano, poprzysięgać, iż na przyszłość w zgodzie z nią będą działali dla dobra wspólnego.

Dziękowała Anna, przyklaskiwali wszyscy. Zborowski kielich po kielichu wychylał, język mu się plątał, ale serca okazywał coraz więcej i tak obiad się skończył przy powszechnem rozrzewnieniu.

Biskup chełmski, starowina, płakał także. Litwa więcej milcząca, wtórowała tym wyrzuceniom miłości i przywiązania dla królowej.

Na klęczkach tedy ucaławszy podaną sobie rękę królowej, gdy ta z pokojów wyszła, bo czas było myśleć, jak Zborowskiemu odwrót zapewnić, Koniecki z Ryłskim musieli pod ręce go wziąć, aby ze wschodów prowadzić, gdyż chodzić już nie mógł.

A że konia też dosiąć nie było o czem myśleć, kolebki zaś nie miał pogotowiu wojewoda, musiano go z zamku końmi królewnej odesłać.

Wróciwszy do swojej sypialni, Anna we łzy się rozlała.

Wszystko wprawdzie obracało się na dobre — na pozór wychodziła zwycięzko, ale to były dopiero początki, a przyszłość stawiała się przed jej oczyma z całą swą grozą niepewności.

Wspomnienie trucizny, potwarze te, które ją czyniły w oczach narodu poczwarą jakąś, gotową nieprzyjaciół pozbywać się wszelkimi środkami, zabołały mocno.

Musiała wejść w siebie, azali jej postępowanie nie usprawiedliwiała tych domysłów i przypuszczeń. Stała twardo przy prawach swych, ale one razem były prawami siostr jej i krwi tej, które ona jedna tu reprezentowała.

Nie mogła się dać zgnieść i usunąć a zasłonić — nie dla siebie, ale dla krwi, jaka w jej żyłach płynęła.

W chwili tej wszelkie marzenia, jakie karmiła potajemnie w głębi duszy, rozwiały się i rozpierchły. Nie szło jej już o siebie i szczęście własne, ale o pamięć przodków, o ich sławę i cześć.

Każde słowo i myśl Zborowskiego rozpamiętywała i rozbierała, badając, co się w nich kryło.

Upojenie owo i mniemane wylanie się pana wojewody wcale jej nie uwodziło, czuła, że człowiek ten, choć się na nogach nie trzymał, na wodzy miał myśli swoje. Co znaczył ten nagły zwrot jego, czułość, wylanie się, obietnice...

Wiedziała, że Firlej potajemnie sprzyjał i prowadził cesarzewicza. Commendoni zaręczał, że Zborowski zgodnie z nim miał także prowadzić Ernesta.

Na te łzy weszła Zagłobianka i przykleknęła przed panią swoją. Wiedziała już ona przez Ryłskiego, co się przy obiedzie działo, ale więcej też od innych.

Zrana Talwosz przyszedł oznajmić jej, że z najbliższymi powiernikami Zborowskich zawarł ściśle stosunki i wiedział na pewno, że wojewoda pozornie cesarzewicza zalecając, pilno się starał o pomożenie Francuzom, że sam słał do Francyi, Montlucowi pieniędzmi pomagał i — nawet wrażeń rzezi św. Bartłomieja zatrzeć się starał.

Z tą wiadomością przybywszy Dosia, szepnęła ją Annie, aby postępowanie Zborowskiego wytłómaczyć.

Nie godziło się jej okazywać, że potajemne życzenia pani swej odgadywała — mówiła więc o tem obojętnie, jako o wiadomości tylko, którą Talwosz jej przyniósł i za pewność zaręczał.

Anna słuchała ciekawie. W istocie tłómaczyło to postępowanie Zborowskiego, niezrozumiałe z początku.

Gdy prymas Uchański i Firlej w piątek pośpieszyli uprzejmie witać królową, nie mógł Zborowski dać się im zatrzeć i pozostać obojętnym na stronie.

Pośpieszył więc w sobotę do Anny. Zważył, że w królowie była jakaś siła i prawo, którego lekceważyć nie należało.

Ztąd jego wylanie się, oświadczenia i zaręczenia opieki na przyszłość.

O wyjeździe z Warszawy już potem mowy nie było. Nikt nawet nie śmiał zagać o tem.

Koniecki i przybyły świeżo, wylany dla Jagiellonek poczciwy sługa ich Ryłski, z resztą dworu poczęli się rozmieszczać na zamku, tak aby za długo doznawane niewygody pobyt terażniejszy wynagrodził. W pomoc im przychodził Wolski, a i pomniejszych, chętnych sług nie brakło.

Królowa rozpoczęła tu toż samo życie, jakie dotąd prowadziła.

Dnie całe schodziły na pisanie listów, szczególnie do Zofii Brunświckiej, którą w pomoc sobie sprowadzić chciała koniecznie.

Siostry się dosyć kochały, szczególnie Anna wylaną była dla Zofii i Katarzyny, one zaś odplacając jej wzajemnością, więcej jednak myślały o sobie, o spadku, o wspólnych interesach, niż o sprawie biednej, osieroconej i osamotnionej siostry.

Polepszyło się jej położenie na pozór, wszyscy, nie wyjmując najnieprzyjaźniejszej Litwy, czuli, że miała pewne prawo i reprezentowała siłę, którą się posłużyć mogli; kłaniali się więc, ale szczerze, serdecznie mało kto myślał pomagać.

Litwa dla siebie, cesarscy zwolennicy sobie, Montluc dla Francyi chcieli się nią posłużyć.

Stała na świeczniku, a nie miała biedna czem świecić! Pieniądzy ciągle brakło, dwór należało pomnożyć. Urzędników przybywało, fraucymer musiał się dla okazałości zwiększyć, gości trzeba było przyjmować, nie mając sreber stołowych opieczętowanych w Tykocinie. Podskarbi nie dawał pieniędzy, bo skarb był wyczerpany, pożyczyć było trudno.

Królowna po cichu gryzła się i martwiła, pisała do Zofii prosząc o zasiłki nadaremnie, użalała się przed bliższymi napróżno. Przywiązani do niej biegali, starali się i najczęściej wracali z jakąś nieznaczącą kropelką, która wsiąkała w najniezbędniejsze życia powszedniego potrzeby.

Tyle trosk i niepewność przyszłości, doznane niewygody, pomieszczenie w Piasecznie, oddziaływały też na zdrowie tak, że Anna chorzeć zaczęła. Gdyby nie krajczyna, nie miałaby nawet około siebie litościwego serca, prócz Dosi, bo Żalińska w chorobie stawała się zgryźliwszą jeszcze.

To co zdobyła sobie siłą charakteru Anna, było jeszcze małym w stosunku do tego co zostawało do zdobycia.

Zbliżał się ów sejm elekcyjny, który o losach kraju miał rozstrzygać; umysły się przygotowywały do niego. Annie nie wzbraniano wprawdzie pobytu w Warszawie, przekonawszy się, że ona sobie nie da rozkazywać, ale panowie trwali w nadzorze pilnym nad nią, wymagali, aby bez ich wiedzy nie przyjmowała nikogo, nie czyniła nic.

Wprawdzie umocowany przez nich dobry i łagodny biskup chełmski nie stawał tak dalece na zawadzie, i łatwo go było wyminąć, ale musiała się królowna mieć na baczności.

Każdy krok, każde słowo trzeba było obrachować, wyważyć, a nawet z przyjacielem domu, z tym wylanym i zaklinającym się, że gotów był na wszelkie ofiary Czarnkowskim, królowna dyssymulować wiele, przemilczać i taić musiała.

W miejscu referendarza zjawił się teraz jako doradca na dworze, Solikowski, zdolny, ambitny, zręczny, umiejący się przypodobać, odgadujący usposobienia, człowiek, który wiele obiecywał i dla siebie też spodziewał się wiele.

Solikowski, który się od pierwszego widzenia podobał królownie z taktu, powagi, i z pewnej zgodności pojęć, widział w Annie ostatnią spadkobierczynię dynastii i, zdając się, że przeceniał nawet wpływ, jaki ona mogła mieć w przyszłości.

Ofiarował on usługi swe królownie, która, że potrzebowała kanclerza dla siebie, zrobiła mu wkrótce nadzieję, iż miejsce to będzie mógł zająć.

W istocie szukała ona kogoś, coby jej zastąpił referendarza, którego daleko lepiej przeniknęła, niż on się domyślał. Poznała, że był ciałem i duszą oddany cesarzowi, a miała wstręt od wszelkiego związku z domem rakuzkim.

Solikowski w pierwszych zaraz chwilach zdradził się z tem, że sprzyjał wyborowi Henryka.

Anna nie wydając się ze skłonnością i marzeniem o nim, dlatego jednego dała pierwszeństwo Solikowskiemu, który się stał domownikiem i doradcą pożądanym.

Młody jeszcze, żywego temperamentu, pragnący wywyższenia, Solikowski nie mógł nawet się stawić w jednym szeregu z ks. biskupem chełmskim, dobrodusznym, łagodnym, ale krótko widzącym.

W miarę, jak na zamku więcej się spoufalał i częstszym stawał Solikowski, Czarnkowski mniej się tu okazywał.

Miał nadzwyczaj wiele do czynienia, razem z innymi gotując ową elekcję cesarską, od której większość szlachty wstręt miała. Popierali ją magnaci, złudzeni obietnicami, kupieni lub wzięci na pochlebstwa; ogół się obawiał już ukrócenia swobód.

Kandydatury pomnażały się, nie licząc główniejszych i oddalonych a niemożliwych, jak szwedzkiego króla i cara moskiewskiego. Kielkowała myśl wybrania jakiegoś Piasta, a nim niby miał być wielkiego rodu, bogaty, spokrewniony świetnie Rosenberg, Czech nie Polak. Obok niego stawały mało znane postacie różne, aż do śmiesznego Słupskiego Bandury, którego przezwisko samo pobudzało do szyderstwa.

Jedni mówili za Piastem, a tych było bardzo niewielu, drudzy oburzali się na myśl, aby wczoraj równemu sobie kłaniać się i posłuszeństwo poprzysięgać mieli.

Na prowincjach rozlegały się najrozmaitsze echa stolic i grodów.

W Wielkiej Polsce i wielu innych województwach chciano wybierać samą Annę, a mężowi jej potem dać koronę, którąby ona mu przyniosła. Myśl ta miała zwolenników wielu.

Cesarz głosił przez usta swych posłów, że syn jego Annę zaślubi, Montluc i Francuzi co do tego drażliwego punktu milczeli, ani przyrzekając, ani się opierając. Mówili dwuznacznie, dawali się domyślać, nie chcieli zobowiązywać.

Biskup Walency Pibrac i wszyscy Francuzi znający rozpustnego Henryka, kochającego się w piękności, strojącego jak lalka, wybierającego sobie i najładniejszych chłopców na przyjaciół i najpiękniejsze panie na kochanki, wiedzieli dobrze, że ożenić go z niemłodą, poważną, smutną polską królową byłoby nadzwyczaj trudnem.

Zdawało się im, że Annie zapewniając stanowisko, dochody, poszanowanie, stawiając ją obok tronu, niekoniecznie Henryk zenić się potrzebował. Była to zawada, nieprzyjemna przeszkoda, lecz z czasem dająca się usunąć i uprzątnąć.

Po miastach nigdy może jak tej zimy nie zjeżdżano się tłumnie, i nie naradzano wrzawliwiej. Szlachta polska naówczas nie grzeszyła zbytnią znajomością stosunków europejskich, a nawet krajów o granicę położonych.

Przyjaciele cesarza rozpowiadali dziwolągi o jego potędze i środkach, jakich mógł użyć dla zdobycia Korony, o Erneście (Rdeście, mówiła szlachta) chodziły też baśnie różne, a cóż dopiero o Henryku, o carze, o Janie Szwedzie i kilkoletnim synku jego, o wszystkich innych aż do Słupskiego Bandury!

Cesarscy, choć nieobficie po troszę pieniędzmi rozdawanemi cicho, zyskiwali sobie, Francuzi więcej obietnicami i zobowiązaniami na piśmie, w których stały złote góry.

Montluc dawał na papierze, co kto chciał.

Na całe województwo często potrzeba było jednego tylko wygadanego a żwawego szlachcica, aby za sobą tłum poprowadził i skuteczną szerzył propagandę. Mówca taki na zjeździe, na odpuszcie, czasu jarmarku często kawał kraju usposabiał do przyszłego głosowania.

Tam gdzie się dwa wpływy ścierały, rzadko cesarz zwyciężał liczbą. Miewał za sobą magnatów, mniejsi się go lękali i nie dowierzali.

Duchowieństwo wahało się między Henrykiem a Ernestem. Różnowiercy szli za Zborowskim, pomimo rzezi św. Bartłomieja, choć gorętsi się go wyrzekali i ani słuchać nie chcieli o nim.

Taki rozerwany był stan umysłów w przededniu zwołania sejmu elekcyjnego, którego następstwa nikt przewidzieć nie mógł. Pobożni rachowali na Opatrzność i Ducha św. a w istocie tam, gdzie tłumy głosować miały pod wpływem namiętności i rozdrażnień chwilowych, żaden rozum w świecie odgadnąćby nie umiał, kto się utrzyma.

Jeden wykrzyk nierozumny, gwałtowny mógł wszystko zachwiać, albo niespodziane wywołać skutki.

Nie dziw też, że ludzie poważniejsi, których los kraju obchodził, chodzili zaszępieni, z trwogą wyglądając godziny ostatniej.

W chwili zwołania sejmu, gdy się już Mazury ściągają poczęli do Warszawy, a za niemi i z dalszych ziem i województw zjeżdżała szlachta i senatorowie, nasz Talwosz oddawna był na stanowisku.

Nie mieszkał on na zamku, aby się nie narażać tym co go ztąd wywołali, a bardziej dlatego, ażeby królowie nie przysparzać troski; ale nie było dnia, żeby się tu nie znajdował, nie widział z Dosią i nie dostał języka.

Anna wiedziała o nim, może go czasem potajemnie przypuszczała do siebie, ale nie wspominała i obchodziła się bez usługi.

Jako sekretarz zastępował go inny, jako kanclerz tymczasowy był ks. Solikowski.

Niemniej Litwin był niesłychanie czynnym, a że Dosią i on przekonani byli, iż Anna sobie życzyła wyboru Henryka, chociaż się z tem odzywać nie mogła, Talwosz biegał jednając mu zwolenników.

Ponieważ pierwsi stawili się na placu Mazurowie, Talwosz poznawał się z niemi i puścił pomiędzy nich hasło, że trzeba było głosować za Francuzem, cicho dodając, iż to było życzenie, rozkaz raczej królowej.

Podawano to sobie z ust do ust jako tajemnicę, ale wszyscy bardzo rychło się nią podzielili.

Mazury widywali częściej Annę, polubili ją, żalowali, chcieli pomódz i pójść za jej myślą.

Gdziekolwiek się ich gromadka zebrała, Talwosz znalazł się pewnie między niemi i nie było rozmowy, któraby się nie skończyła na tem, że wedle woli Anny, na Francuza głosować potrzeba.

Nie był też bez wpływu ten wikary od P. Maryi ks. Stępek, któregośmy już widzieli, gdy o zastaw sreber chodziło. Talwosz z łatwością go pozyskał dla osieroconej pani, której pobożność, dobroczynność, prostotę obyczajów i zacność Stępek znał oddawna.

Widział ją cierpiącą i upokorzoną za życia króla i tego starczyło, aby dla niej współczucie gorące wyrobić w wikarym.

A przytem Henryk, jak wiedziało duchowieństwo, był wiernym synem Kościoła.

Słowo ks. Stępka znaczyło wiele, bo mówiło do serc w imię Boga.

Mazurowie zaledwie się powoli tu ściągać zaczęli, już hasło było dane, a nowo przybywający przejmowali je z łatwością.

Obok Henryka szeptano imię Anny. Szły one razem.

Nadchodząca wiosna piękna, ciepła, dla szczęśliwych wesoła, na zamku zapowiadała się smutną. Królowna leżała prawie ciągle chora, zmuszona nie wstawać z łóżka dla febry, która przez dzień ją trzęsła, a niczem się pokonać nie dawała. Miała tyle siły, że wolna od paroksyzmów wstawała, wychodziła, przyjmowała, zajmowała się sprawami bieżącymi, lecz z każdym dniem wyczerpywał się zapas życia, a choroba przeciągała się uparcie.

Ani lekarze, ani sławione leki starych bab, ani modlitwy nie pomagały. Do blizkiego już nawet kościoła, pobożna pani, która nawykła była wstawać na jutrznię i iść modlić się, nie mogła już chodzić i mszy słuchać.

Choroba niby nie groźna, z czasem jednak wycieńczyła straszliwie. Cera żółkła, oczy zapadłe świadczyły o cierpieniach.

Dosia, Zosia Łaska, krajczyna i inne panie mieniały się u łóżka królowej, służąc jej, obiecywano sobie polepszenie ciągłe, ale ono nie przychodziło.

W dniach wolnych, gdy się zjawił Czarnkowski, gdy przyszedł ks. Solikowski, gdy oznajmiono szlachtę lub panów chcących się pokłonić swej pani, musiała osłabiona zwlec się z łóżka, odziać żalobnie (bo dotąd dwór i ona w kirze chodziła) i przyjmować przybywających i uśmiechać się, aby nie stękać przed niemi.

Oprócz tego trudu, miała królowna niezbyty a codzienny starania się o pieniądze, zaciągania pożyczek, ratowania tymczasowo wszelkimi środkami od sponiewierania i głodu.

W tem pomagał usłużny i poczciwy, a niezmordowany Rylski, który gotów był każdego dnia jechać na koniec świata, byle się to na co przydało, kłócić się, walczyć i zdobywać posiłki dla biednej swej pani.

On i starosta Wolski, ks. Solikowski, po troszę biskup chełmski dopomagali Annie całym sercem, ale trosk jej odjąć nie mogli.

Królowna, pomimo choroby i znużenia, spraw pilnych zaniedbywać nie chciała. Zrywała się z gorączką, z bólem głowy, aby potem osłabła, podtrzymywana przez Dosię powrócić do łóżka.

Pociechą jedyną dla niej było to, że wszyscy zdawali się nawracać ku niej i do niej gnać.

Talwosz świadczył o tem.

Stał on już teraz gospodą nie pod Białym koniem u Barwinka, bo tam tak było pełno dostojniejszych, że on się docisnąć nie mógł, ale na mieście u rzemieślnika, u którego izbę najmował. Na pozór nie miał żadnego zajęcia, był zupełnie swobodnym, ale od rana biegał, kręcił się, podsłuchiwał, naprawiał co gdzie zepsutem znalazł, a w godzinie wieczornej przeciskał się na zamek, gdzie miał swoich starych przyjaciół i prawie codzień widywał z Zagłobianką. Nie przychodził do niej z próżnemi rękami nigdy, coś miał zawsze do doniesienia lub ostrzeżenia. Na pozór próżniaczę jego życie całe schodziło na usługach sprawie królowej.

On pierwszy, powziąwszy wątpliwość o szczerości Czarnkowskiego, ostrzegł o tem Annę i zapobiegł, aby mu się nie zwierzała.

Talwosz umiał bardzo zręcznie odegrywać różne role, wystąpić jako możny szlachcic i półpanek, bo był w istocie nim, lub jako skromny szaraczek. Bywał u pana starosty

Wolskiego, u niektórych senatorów, a gdzie się Mazurowie ubodzy skupili przy dzbanku na gawędę, gdy się czuł potrzebnym, znalazł się także.

Wieczorem przy kaganku lub łożówce, a często do późnej nocy siedział za stołem w swej izdebce i przepisywał pilno chodzące po rękach listy, odezwy, paszkwile, które później rozdawał między ludźmi a oni je rozrywali, bo każdy się czegoś chciał nauczyć o Rdeście i o Francuzie, o Rosenbergu i Bandurze.

Czasem musiał przedsiębrać wycieczki, bo poselstwa różne zbliżać się zaczęły i zjeżdżać. Niespracowanym był i niez mordowanym, chociaż piękna Dosia wychwalając go przed królowną, oddając mu sprawiedliwość należną, sama go wynagrodzić za te trudy wcale nie myślała.

Dopóki jej mówił o tem co zrobił, czego się dowiedział, słuchała go z zajęciem, uśmiechała mu się uprzejmie; jak tylko zaczął wzdychać i zagaił o swej miłości dla niej, odwracała się zasępiąca i zamykała mu usta.

Potrzeba było i człowieka tak cierpliwego i miłości tak uporczywej, aby się tem nie zrazić, nie ostygnąć i nie wyrzec nadziei.

— Panna Dorota w końcu się przekona — mówił często, gdy go odprawiała z niczem — że na takie pocziwe przywiązanie jak moje rachować można i polegać na niem, ale panna nie ma ani litości, ani serca.

Dosia czasem odwracała się z uśmiechem dziwnym i odpowiadała mu gorzko.

— Serca ja może nie mam! Nie wiem... albo mi go Bóg nie dał, lub za młodu wyszło. Cóż począć na to? Głowa mi się nie zawraca.

— Ale kiedyś przyjdzie pora, że się serce odezwie — mówił Talwosz — tylko nie dla mnie może, ale dla jakiegoś Żalińskiego, albo jemu podobnego gołowąsa.

— Bądź waszmość spokojny — odpowiadała Dosia. — Nie dam się ja wziąć łatwo.

— A cóż będzie później... później...?

— Na starość? — przerwała Zagłobianka. — A cóż ma być? posiwieję i będę pani mojej służyła jako dziś.

— Ale królowna, Boże nam ją uchowaj, nie wieczna — mówił Talwosz.

— Albo to klasztorów niema dla takich, jak ja, co rodziny nie mają? Pan Bóg im ojcem, a klauzura domem i przytulkiem.

Tak się najczęściej kończyły niefortunne zaloty Talwosza, który wzdychał, ale kochać nie przestawał. Dosia coraz mu się wydawała piękniejszą, nawet w tej żalobie niewdzięcznej, która oprócz grubego kiru, okrywała dwór rodzajem płaszczów z płótna zgrzebnego szarego, obyczajem zdawna przyjętym.

Okrycia te płócienne, nieforemne, doprowadzały do rozpaczki kobiety dworu, więcej dbające o swe wdzięki; lecz musiały brać je codzien, bo i królowna się tak przyodziewała do gości szczególnie.

Litwin się zaklinał, że Zagłobiance nawet w tym worze, jak on go nazywał, było cudnie do twarzy.

Biedny rozmiłowany Talwosz, nieczułości dla siebie pięknego dziewczęcia szukając przyczyn, wpadał na tę myśl ciągle, iż kogoś innego kochać musiała. W razie, gdyby się o tem przekonał, możeby był zalotów zaprzestał, ale z równą zręcznością szpiegując Dosie, jak cesarskich pomocników, nie potrafił dotąd nawet pozoru znaleźć do posądzenia jej.

Zagłobianka spędzała dnie całe na usługach królowej, a jeśli nic do czynienia nie miała, chwytiała książki, których była chciwą tak, że ją z tego wyśmiewano.

Niewiele naówczas kobiet zwykły były zabawiać się czytaniem, a jeśli z nich która miała w niem upodobanie, zatapiała się w książkach pobożnych. Zagłobianka zaś czytała wszystko, co się jej do rąk dostało, nie czyniła wyboru i mądrzejszą też była od innych. Czy przez to szczęśliwszą? rzeczą jest bardzo wątpliwą.

Nauka jest jak napój, który obudza coraz większe pragnienie i rodzi niepokój nienasycony. Niema jej końca; więc kto raz wszedł do tego labiryntu, już po nim życie całe błądzić może, nie znajdując spoczynku.

Dla Dosi była ona jedyną rozrywką, a odrywała ją od świata i stawiała, jak naówczas, zupełnie osamotnioną, bo z bardzo małym wyjątkiem, na dworze nawet o tem co ją zajmowało, mówić z kim nie miała.

Duchowni, gdy który z nich przypadkiem słowo jakie z niej wyciągnął, dostrzegłszy w niej niepokoję ducha, karcili tylko i zdrożną ciekawość umysłu naganiali.

Zamykała się więc w sobie.

Czy się jej serce nigdy nie odezwało, a przywiązanie Talwosza nie czyniło w istocie na niej żadnego wrażenia, trudno było odgadnąć. Jeśli miała dla niego uczucie jakie, kryła się z nim jak najtroskliwiej, nie chcąc mu zawiązywać świata.

Czuła się sierotą, a miała nadto dumy, aby nic nie przynosząc oprócz serca, zgodzić się na ofiarę szczęścia i losu, których wedle swego przekonania, nie miała czem opłacić.

To pewna, że gdy czasem Talwosz w wycieczkach swych opóźnił się z powrotem, gdy wieczorem go nie było na zamku, gdy go długo nie widziała, tęskniła za nim żywiej, zarumieniona podawała mu rękę trochę drżącą, witała głosem poruszonym, uradowana widocznie.

Pierwszych dni kwietnia Warszawa już była przepelniona, każdy dom niemal miał gości. Tam, gdzie dla panów nie było izb wygodnych, cisnęła się liczna ich służba, a wozy i kolebki, które się pod szopami i w podwórcach pomieścić nie mogły, koczowały pod domostwami na ulicach. Sypiała na nich czeladź, bo i tej nie było gdzie się schronić.

Nigdzie próżnego nie znaleźć było kąta, a gwar i ruch dniami i nocą nie ustawał. Za liczną gawiedzią, dworami, panami ze wszech miast znacniejszych w Koronie, z bliskiego Szlązka, z sąsiednich Niemiec pozwlekała się liczba niezmierna kupców, przekupniów, ludu różnego, na tłum rachującego, który nie znalazłszy miejsca w sklepach miejskich, na furach i pod szalasami w rynkach na prędce skleconemi frymarczył różną kupią.

Klasztory musiały też swym dobrodziejom otworzyć gościnne wrota. W niektórych mieścili się biskupi z dworami swemi, w innych senatorowie świeccy, którzy lepszych gospód znaleźć nie mogli.

Tacy jak Firlej, jak Zborowscy panowie, nietylko dwór, czeladź z sobą ciągnęli bardzo liczną, ale zbrojnych ludzi siłą, niektórzy nawet jak na wojnę, działka i moździerze prowadzili.

Obraz, jaki naówczas przedstawiały targowiska i ulice miasta, przedmieścia i okolice, był niezmiernie malowniczy i ożywiony.

Każdy orszak inaczej z cudzoziemska strojny był i zbrojny. Niektórzy z brunświcka, inni z włoska, po tatarsku, po staropolsku, po rusku byli poubierani i orężem różnym opatrzeni. Każde niemal województwo można było odróżnić, a cóż dopiero Litwę, Podole, Wołyń, Ruś czerwoną, Krakowskie i Sandomierskie, albo ziemie pruskie.

W mowie też było odmian wiele, bo Kaszuby, Mazury, śpiewająca Litwa, Małopole, każdy po swojemu klął i śpiewał.

W gospodach nie mogli nastarczyć piwa, miodu i różnych napojów, które pod wystawami w ulicach wprost z beczek toczono tłoczonym się gościom. Tak samo jadło w kotłach po podwórkach gotowano i tuż na stołach, ławami obstawionych, na prostych misach przynoszono łaknącym. Łyżkę za pasem naówczas nosił każdy i na nożu nikomu nie zbywało. Gdzieniegdzie płachty na drągach porozwieszane zastępowały namioty, bo kwietniowa aura niepewna, nieraz dokuczała szronem, deszczem i krupami.

Wieczorem po szynkach grały gdzieniegdzie popijającym muzyki niewytworne, kobzarze, skrzypki, gęśle, serby, którym śpiewami wtórowano.

Lecz w mieście stali tylko wielcy panowie i ich dwory, dokoła pola elekcyjnego mieściła się pod namiotami najrozmaitszemi, szalasami i budkami szlachta ziem różnych, które się każda z osobna kupy trzymały.

Olbrzymich rozmiarów namiot, tak zwany królewski, który stał po środku, a przeznaczonym był dla senatorów na główne i uroczyste narady, mógł w sobie pięć do sześciu tysięcy głów pomieścić. Dokoła niego stały cztery mniejsze, jakby baszty, połączone z sobą drewnianą zagrodą i opasane rowem głębokim.

Dalej województwo każde miało dla narad namiot osobny, przy którym chorągiew jego powiewała. Dalej jeszcze niezliczona moc małych różnej barwy namiotów zalegała szeroką równinę.

Było się tam napatrzyć wszystkiego, począwszy od najkosztowniejszych namiotów wschodnich aż do bitych zwojłoków, zszywanych z płótna i sukna, łatanych ze zgrzebna i przystrajanych kobiercami.

Czeladzie sobie kuchnie w ziemi wykopawszy doły na ogniska, przyrządzały, inni klecili z opilków i tarcic, z dranic i kłoców budy i szopy.

Byli i tacy co się na wcale schludne domostwa wysadzali, w których nawet okien z błonami nie brakło, ale takich tu znajdowało się niewiele.

Jak się konie biedne mieściły, smutno pomyśleć, żal było patrzeć, bo ani żłobów, ani pokrycia nad sobą nie miała część ich większa, tyle tylko, że je derami osłaniano i stawiano tak, aby wiatr nie dokuczał im bardzo.

Pomimo wszystkich tych niewygód, a przewidywania, że i sejm i elekcya musiały się długo przeciągnąć, ludzi tylu razem w kupie, czując się między swemi gromadą, wesoło i ochotczo się zabawiali. Piosnka i śmiech rozlegały się po obozie, chyba tylko kłótnią i brzękiem a szcękaniem szabel przerywane. Ścinano się nie jeden raz i krew pociekła często, ale gdy się rana założyła pajęczyną, chlebem i hubą, a zawiązała szmatką, ochota i zgoda powracały.

Wpółśród tej różnobarwnej szlachty, liczbą i ubożuchną, prostą powierzchownością swą, strojem niewykwintnym, szabelkami niepoczesnymi, które u wielu kije zastępowały, odznaczała się szlachta mazowiecka. Było jej tu za to, na własnych śmieciach daleko więcej niż z innych województw.

Mogły się z nich śmiać drugie ziemie, którym butniej stały kołnierze, ale Mazury przez to nie traciły poczucia swej siły i gospodarzyły tu jak w domu, a mieli to do siebie, że się jak jeden trzymali kupy. Najuboższego zaczepiwszy, zaraz ich cały rój się zlatywał, aby się ująć za niego, a dziesięć kijów starczyło za kilka szabl. Wywijali niemi młyńce dzielnie i tłukli bez miłosierdzia.

Mazowsze, można powiedzieć, było już wówczas gniazdem szlachty, która rozrodziwszy się po wszystkich ziemiach aż do kresów, słała kolonistów i mało gdzie powinowatych nie miała. Szaraczki te za pan brat potem z karmazynami spokrewnionemi chodziły, niewiele do serca biorąc ich szkarłaty a swoje ubóstwo.

Zacześć też Mazura nie było bezpiecznie, choć się małym wydawał.

W mazowieckim obozie, z wyjątkiem kilku namiotów okazańszych, nie było zbytku — konie i ludzie nie bili w oczy. Znaczniejsza część koczowała przy wozach i na nich spędzała noce lub pod niemi. Czasu posiłku zbierali się do większych kociołków, do beczek i przekarmiali kosztem zamożniejszych. Każdy z nich czuł, że gdyby więcej miał, tak samoby brata przyjmował i do misy swej zapraszał, jak się teraz do niej garnął.

Z czapką na bakier, przeżegnawszy się, zasiadano do jaglanej kaszy i klusek. Wielkim festynem było, gdy się gdzie na drążku baran przed ogniem obracał, którego potem do białych kostek ogryzano. Piwa nastarczyć nie mogły browary warszawskie, więc go i ze Szlązka, i z innych miast siła przywożono.

Tu, pomiędzy Mazurami, znajomy nam Talwosz był jak u siebie. Wiedziano, że królownie służył, że myśli jej znał, i słuchano go tak, jakby ona sama przez usta jego słała rozkazy.

Zawczasu tu Henryk Francuz, którego tytuł Andegaweński srodze przekręcano, był jednomyślnem hasłem, ale do czasu każdy go za pazuchą trzymał.

Obozowisko to gromne, po obu brzegach Wisły, łączył most nowy, wspaniały, na którym królowna pięćdziesiąt straży zbrojnej postawić musiała dla utrzymania porządku, gdyż dzień i noc przecisnąć się było trudno wśród wozów, konnych i pieszych.

W tym tłumie, którego tło stanowiła gawiedź pospolita, zawsze najliczniejsza, od czasu do czasu zjawiały się poczty jakby na okaz, które sobie palcami okazywano. Wyjeżdżała bogatsza młodzież postrojona i uzbrojona jakby do popisu, na koniach najpiękniejszych, w rzędach najbogatszych, z mieczami w pochwach wysadzanych, z tarczami malowanemi u sodeł, lukami złożonemi, kołczanami szytymi bogato.

I było na co patrzeć, gdy taki panek ciągnął z czeladzią z cudzoziemska przystrojoną w jednej barwie, który często i psy pstre, osobliwe z sobą prowadził i sokoły nieść kazał.

Każdy się rad był pochwalić z tem co miał najlepszego, a innym patrzeć było miło na swoich, że tak występowali, nie dając się cudzoziemcom w Kamysz zapędzić. Tłumy zbiegały się też przyglądać, gdy posłowie różni w początku sejmu ściągają się zaczęli.

Cesarscy posłowie prześcigali innych wspaniałością orszaku i liczbą dworu. Oprócz Rosenberga i Pernsteina, a stu dwudziestu szlachty za niemi, mieli z sobą posła Filipa

drugiego i deputowanych miast Imperium, ale im wspanialej wyglądało poselstwo, tem większą obudzało trwogę.

Szlachta się lękała Rakuszan. Francuzcy posłowie odznaczali się mniejszym orszakiem, ale wielką wykwinnością strojów i szlachetnością postaci, na których widać było wiekową cywilizację, która ludzi wydelikaciła i po troszę zniewieściła, zarazem czyniąc piękniejszymi i miłszymi nad innych.

Montluc, Poix de Sechelles, dwaj opaci towarzyszący biskupowi Walencyi, kawalerowie do poselstwa należący, wyglądali jak postrojone laleczki, na które patrzeć brała ochota. A nie było ludzi, coby się ładniej, niżej, uprzejmiej kłaniali i uśmiechali słodziej i kochali wszystkich łatwiej i serdeczniej. Czarowali oni każdego co się zbliżył do nich.

Inne poselstwa przy tych dwu daleko mniej na siebie zwracały oczy i równać się z nimi nie mogły.

Było wszakże na co patrzeć, gdy przybył kardynał Commendoni w towarzystwie towarzyszącego mu uroczyście duchowieństwa, posłowie szwedzcy, wysłańcy pruscy i t. p.

Pomimo ogólnie wesołego usposobienia, na twarzach senatorów, od których zdawały się zależeć losy Rzeczypospolitej, widać było zadumę i niepokój o przyszłość.

Jedno słowo wymowne Jana Zamojskiego, młodego naówczas wychowanka włoskich humanistów, rozstrzygnęło o sposobie wybierania królów. Nie powierzono elekcyi wyborowi najdoświadczeńszych i najwykształceńszych panów, ale zdano na okrzyk tłumów, z tą wiarą niezmierną w natchnienie Boże, w Ducha świętego, która pobożność głęboką znamionowała.

Tłumy te prowadzić, kierować niemi, mógł sobie pochlebiać tylko ten chyba, który nigdy z niemi do czynienia nie miał.

Na placu, w gwarze, wśród rozstroju, można było dopiero zważyć, że elekcyja zdana była na Opatrzność w istocie, bo nikt w świecie ani pokierować nią, ani pewnym być nie mógł jej wypadku.

Ci, co jak nasz przebiegły referendarz Czarnkowski chcieli zbadać przyszłość, wyrozumieć następstwa, odchodzili z placu zmuszeni powiedzieć sobie, iż w tym wrzątku nic dojrzeć nie było podobna.

Jedne Mazury tylko cicho siedziały, wiedząc zawczasu, co czynić mają i o drugich się nie troszcząc, gdy po innych województwach i ziemiach starszyzna jeszcze kazania prawda i nawracała.

Pilno bardzo Talwosz codziennie ogromne obozowisko po obu brzegach rzeki objeżdżał, zaglądając to do Mazurów, to do swojej Litwy, to po innych kątach.

Martwiło go to długo, iż starosta Chodkiewicz w początkach stawał przeciwko królowi, potem się na nią dąsał, że Unii zrywać nie chciała, ale umiejętnie chodząc około tej sprawy, potrafił to, że pani starościna żmudzka, z domu Zborowska, przybyła do Warszawy, że królowa Anna posłała ją przywitać, czem ujęła sobie Chodkiewiczową.

Musiła na zamek podziękować królowi, a tu się przyjazne zawiązały stosunki i żona męża za sobą pociągnęła.

Przyczynili się do tego może i Zborowscy, którzy za Henrykiem byli a Anny usposobienie dla niego przeczuwali.

Litwa teraz garnęła się do królowej.

Chora pani miała do czynienia dosyć, bo żadne poselstwo przybyć ani odjechać nie mogło, nie powitawszy jej i nie żegnając.

Występowała naówczas uboga sierota królewska w swej żalobie zgrzebnej z dwudziestu czterema pannami, z biskupem chełmskim, z ochmistrem, z Solikowskim, z paniami towarzyszkami uroczyście, aby słuchać grzeczności i przez usta swoich odpowiadać na nie. Posłowie napróżno, wpatrując się w jej lica, badali wyraz twarzy, starali się odgadnąć uczucia i myśli. Anna miała nad sobą mocy tyle, iż się nigdy nie zdradziła. Z równą uprzejmością przyjmowała cesarskich posłów, Montluc'a i Francuzów, Szwedów, i ile się tam na zamek przyciągnęło.

Pomimo to, referendarz Czarnkowski, który często na zamku przebywał teraz, usiłując trochę ostygłą królową znowu sobie pozyskać, był niespokojny. Zdawało mu się, że Rosenbergowi nie dosyć okazywała uprzejmości, a Montlucowi zanadto.

Montluc oprócz tego pozyskał sobie panów wielu nadzwyczajną powolnością w zastawianiu się do ich żądań, w uprzedzaniu życzeń, gotów będąc jechać, zostać, oddalić się, czekać, gdzie i jakby mu wyznaczono, gdy cesarscy, dumą i potęgą pana swego przejęci stawili się butnie, a zniechęcali pokątnymi intrygami, które się co chwila zdradzały.

Trzy pierwsze tygodnie zeszyły na przygotowaniach, rozmowach z posłami, na usposobieniu umysłów, a wszystkim pono stronnictwom zdawało się, że sobie grunt przysposabiały, gdy w istocie pozostał on czem był — zamkniętym placem, na którym jakiś Leszek nowy miał trafem swych współzawodników prześcignąć.

Gromadząc się na zjazd szlachta rachowała, że juści do Świątek pana sobie obierze i spokojnie się po domach rozjechać będzie mogła. Tymczasem upływało trzy tygodnie, nie uczyniono tak jak nic. Obozującym przykrzyć się zaczynało. Firlej, na którego naciskano, aby do głosowania przystępować, zwlekał z dnia na dzień. Zdawało mu się, że dla cesarza, którego pożywał, dotąd za mało zrobiono. Odezwał się kto za nim, natychmiast go zakrzyczano, zawsze jednym, że swobody odbierze i w kajdany zakuje.

Firlej rachował już tylko na to, że gdy się na innych nie zgodzą, rozdwoją ci co Francuza jedni, drudzy Piasta prowadzić chcieli. Cesarz potem wygra na złość jednym i drugim.

Powszechnemu więc domaganiu się czyniąc zadość, Firlej w niedzielę przy trąbach po mieście i przedmieściach kazał obwołać, że nazajutrz głosowanie się ma poczynać.

Radość była niezmierna! Okrzyki, wystrzały, bębny, trąby, rozlegały się dokoła.

Na ostatek dobiegano do pożądanego końca.

Talwosz wpadł na zamek pierwszy z tą nowiną, która tu więcej pono trwogi niż radości obudziła. Królowa z krajczyną Łaską poszła się modlić.

Nazajutrz, trzeciego maja, obozy na polu inną postać, uroczystsza jakąś przybrały. Wszyscy czuli chwilę stanowczą, w której losy ojczyzny rozstrzygać się miały.

Talwosz, który od rana już biegał między Mazurami i Litwą, trafił pod namiotami ich na nabożeństwo.

Wszyscy jakby jedną myślą natchnieni, dzień ten rozpocząć chcieli modlitwą.

Było w tem coś tak uroczystego, wielkiego, iż za wszelkie płochości tłumy tego płacilo, który padał na kolana, losy swe składając w ręce Boże.

Talwosz klął razem z Mazurami, pokrzepiony tą oznaką pocieszającą.

Księża czytali modlitwy, wzywające Ducha świętego, indziej śpiewano *Veni Creator Spiritus*. W chwili gdy każdy miał prawo podnieść głos, ulękli się wszyscy doniosłości jego.

Nigdy pole cichszym nie było, a ludzie spokojniejszymi.

Po ukończeniu modlitw długi czas żadne województwo poczynać nawet nie chciało.

Oglądały się jedne na drugie.

Czas upływał na takim rozsluchiwanym się i rozpatrywaniu.

Czarnkowski, który około marszałka się kręcił, dostał od niego języka, iż lepiej się było nie spieszyć z cesarzem, a na koniec go zostawić, gdy wszyscy inni odejdą z niczem.

Wysłani na wywiady od namiotu do namiotu ludzie, przysłuchiwali się napróżno. Szeptano wszędzie i naradzano się po cichu.

W królewskim namiocie też mowy tylko prawiono rozwlekłe, których konkluzji nie mogąc się doczekać szlachta, odchodziła znudzona.

— A co? — pytał Talwosz stojący przy Mazurach.

— Wodę warzą panowie! — odparł powracający szlachcic.

Wtem, a było to już pod wieczór, Mazurowie poszeptawszy między sobą, zebrali się do gromady i dosyć nieśmiało głosy poczęli wołać: Henryk! Henryk!

Na głos ten zewsząd się zbiegali ciekawi, ale nikt nie poszedł za nim, przebrzmiał bezskutecznie i szaraczki zawstydzeni, że się tak wyrwali nadaremnie, zamilkli.

W innych ziemiach i województwach dnia tego nie odezwano się z nikim jeszcze. Umysły były zaniepokojone i niepewne tego, co czynić.

Nie udało się Mazurom wprawdzie, ale wcale tego do serca nie wzięli. Owszem wesoło im było, że uprzedzili innych.

Jeden do drugiego mówił.

— Jutro hukniemy głośnie. Niech drudzy kogo chcą obwołują, my przy swoim zostaniemy. Królowa tak rozkazała.

Na zamku wiadano zaraz o wypadku dnia tego. Królowna wysła do Talwosza, który przybiegł zdyszany, rozgorączkowany, upadający na siłach, ale wesół; wysłuchała relacji, ale na bladej twarzy jej nic poznać nie było można, tak nad sobą panowała. Nie odezwała się ani słowa, chociaż pani krajczyna i inne panie zaczęły zaraz rozpytywać, wykrzykiwać, cieszyć się i niepokoić.

Widząc Litwina niezmiernie znużonym, ocierającym pot z czoła, i śpieszącym napowrót do obozu, bo i nocą musiał pracować na jutro, kazała mu podać kubek wina Dosi, podziękowała za wiadomość i zadumana, wolnym krokiem odeszła do sypialni, gdyż godzina paroksyzmu się zbliżała.

Ledwie Talwosz zniknął, zostawiając po sobie nadzwyczajnie poruszone umysły całego dworu, gdyż nie wszyscy byli wtajemniczeni w to, czego sobie życzyła Anna; gdy referendarz Czarnkowski zjawił się chmurny jak noc i znalazłszy krajczynę w izbie samą, natarczywie się dopraszać zaczął, aby z Anną mógł widzieć i mówić, dodając, że pilno mu tego było potrzeba,

— Ale królowna nasza bodaj już w łóżku i ta nieszczęsna febra lada chwila nadejdzie.

Czarnkowski począł dowodzić, że był sługą domu, i że królowna, bodaj leżąc przyjąć go mogła.

Pobiegła więc dać znać Annie Zosia Łaska — bo krajczyna nie odstępowała referendarza, chcąc z niego więcej coś dobyć niż z Talwosza.

Czarnkowski był widocznie zgryziony i zafrasowany, tak że nie zawsze odpowiadał do rzeczy.

Przyczyną troski było, iż kręcąc się dnia tego po elekcyjnym polu, tu i owdzie, między Mazurami też, języka gdzieś pochwycił, iż za rozkazem królowej na Francuza głosy dawać miano.

Inne też oznaki zaczynały mu teraz wyjaśniać, że Anna dla Ernesta, którego on prowadził, nie zbyt była życzliwą. Chciał wiedzieć, jak istotnie rzeczy stały. Miało to dla niego tem większą wagę, iż mogło mu dowieść, że on, który sobie pochlebiał, iż miał całe zaufanie królowej, w istocie je już utracił.

Chytry i przebiegły człeczek, postanowił przed dniem jutrzejszym wiedzieć jak stoi i wedle tego zastosować dalsze swe postępowanie.

Nie myślał dla królowej poświęcić Ernesta, bo cesarzowi był zaprzędanym, ale zmienić taktykę musiał i iść ostrożniej.

Zosia Łaska, która pobiegła do sypialni za królową, znalazła ją jeszcze nierozbraną, i gdy jej o Czarnkowskim znać dała, Anna, choć nie bardzo chętnie, zwróciła się ku posłuchalnej komnacie nazad, aby z referendarzem zobaczyć.

Zastała go roztargnionego, znużonego, narzekającego na ciężki trud i niepewność, ale razem sypiącego czułościami i zaręczeniami usług wiernych i t. p.

Anna podziękowała zimno.

Czarnkowski wtrącił zaraz o „ślepych”, jak ich zwał pogardliwie, Mazurach, że się pierwsi wyrwali; narzekał na wszystkich panów, iż sobie ze szlachtą rady dać nie umieli, dając zakrzyczeć i skończył na zwrocie ku Ernestowi, o którym mówiąc oczy miał ciągle w królownę wlepione.

Słuchała go cierpliwie, ale nic więcej; twarz najmniejszej nawet nie zdradzała ciekawości.

Krajczyna, Zosia Łaska i inne panie, nie chcąc poufałej rozmowie być na zawadzie, usunęły się do drugiej komnaty, tak, że królowna sam na sam z referendarzem pozostała.

Coraz żywszym głosem i w tonie napastliwszym Czarnkowski swój panegiryk wygłaszał, ale bez najmniejszego skutku.

Naostatek, gdy już tak dobre ćwierć godziny prawił, włożył rękę za żupan i szukać tam czegoś począł.

— Nie wiem, czy miłość wasza — dodał — widzieliście nawet, jak Rakuzki Ernest wygląda. Śliczny młodzieniec, znać w szlachetnych jego rysach krew, która w żyłach płynie. Tak pięknego księcia niema drugiego Europa.

Właśnie oto nadesłano mi wizerunek udatny z Wiednia, i gdybyś miłość wasza zezwoliła, mógłbym go tu jej zostawić.

Usłyszawszy to Anna, cofnęła się jak przestraszona.

— Panie referendarzu — zawołała żywo — bardzo proszę, ani mi go pokazujcie, ani myślście, abym ciekawą była i mogła go zatrzymać. Nie przystało mi to i nie uczynię tego.

Czarnkowski, który już pugilaresu z zamkniętą w nim miniaturą dobywał, zatrzymał się i spojrział. Anna miała surowo zaciśnięte usta.

— Ale cóżby w tem było zdrożnego — począł dalej — gdybyś miłość wasza chciała lepiej się mu przypatrzeć, ja w tem nie widzę nic.

— Nie chciałam innych wizerunków przyjmować i nie byłam ich ciekawą — odparła królowna — dlaczegożbym Ernesta miała czynić wyjątkiem?

Referendarz uparcie trzymał w ręku przyniesiony wizerunek i badał twarz królowej, która się wielką oblekła powagą. Zamilkł chwilę.

— Przecież — dodał — znasz mnie W. Kr. Mość, wiernym sługą jestem. Zostałoby to między nami, a zaprawdę nie wadziłoby lepiej poznać i przypatrzeć się Ernestowi, boć gdy go obiorą, on się przyrzeka żenić, gdy Francuz o tem milczy.

Zarumieniła się Anna.

— Nie pora o tem mówić — odrzekła cicho. — Proszę was, nie namawiajcie mnie do tego, czemu się bronić muszę.

A po chwili dorzuciła.

— Sądźcie więc, że Ernest ma widoki jakie? że się powiedzie cesarskim?

Z głosu referendarz nie mógł się domyśleć czy pytanie było natchnione trwogą, czy nadzieją, ale coś mu mówiło teraz, że jego Ernestowi tu nie sprzyjano bardzo. Dla lepszego więc wybadania królowej dorzucił.

— Sądzę na pewno, że cesarscy innych przeważą. Kupka Mazurów, która się dziś wyrwała, niepoparta, nie dokaże sama nic, a co było niepewnego, widząc że Francuz pada, do cesarza się obróci.

Czarnkowski mówił to bez przekonania, bo troskę miał wielką. Popatrzał na królowę, która rzekła zimno.

— Tak wnosicie?

— I zdaje mi się, że się nie omyłem — dodał referendarz — dopiero, gdy się pole z ladajakich kandydatów oczyści, cesarscy górę wezmą. Szlachta znużona, cztery niemal niedziele stoi w polu a nic nie zrobiono. Rozstrój dziś w umysłach większy niż był; w końcu wezmą choćby Bandurę, aby raz do domu powrócić.

Posmutniała jakoś królowna.

Czarnkowski raz jeszcze żartobliwie napomknął o wizerunku, że wartoby go zachować, choćby dla nasycenia ciekawości fraucymeru, lecz królowna mówić mu nie dała. Kilka więc słów jeszcze dorzuciwszy na pożegnanie, pokłonił się Czarnkowski nierad z tego co wynosił od królowej i z niczym szedł do marszałka Firleja.

U niego i u Zborowskich mało nie przez całą tę noc przy kubkach radzono i słuchano, co przynosili na zwiady wysłani.

Nikt z panów nie był pewien, że swojego elekta przeprowadzi, troskę czytać było można z każdego czoła. Firlej zwłaszcza niecierpliwił się i niepokoił, twierdząc, że cesarscy nie umieli sobie poczynać, a nadto ufali w swą siłę.

U Zborowskiego znowu panowie dyssydenci, którzy się zgodzili na wybór Francuza, objawili wielki niepokój o to, aby się w Polsce rzeź św. Bartłomieja nie powtórzyła. Wojewoda poprzysięgał, że takimi artykułami zwiąże elekta, iż mu pęta nałoży i nie dopuści tknąć wolności sumienia.

Nazajutrz daleko spokojniej niż dnia pierwszego szlachta się do namiotów swoich pościagała, czuć było wydane rozkazy, rachuby, jakieś wyczekiwanie, politykę.

Mazury tylko, jak wczoraj wołali za Henrykiem, tak hałaśliwie, tłumnie, uparcie domagali się go znowu.

Płoczanie i szlachta rawska przyłączyła się do pierwszych. Jednogodnie tu głosowano za Francuzem.

Czarnkowski, który się wsunął ku namiotowi, dopytując, czegoby się tak spieszenie przed innymi wrywali, otrzymał na ucho odpowiedź, iż to było hasło z zamku im dane, któremu posłuszni być chcieli.

Jednego tylko biskupa płockiego potrafił referendarz skłonić, spodziewając się, że to może na Mazurów oddziała, ażeby w głos i otwarcie przemówił za Ernestem i za nim wotował.

Długiej mowie jego szlachta z początku cierpliwie się przysłuchiwała, potem niektórzy niewyspani głośno ziewać zaczęli i krzyże sobie na ustach pisać, wszczął się szmer i mało już kto zwracał na biskupa uwagę.

Poparł biskupa tylko podkomorzy warszawski Grzybowski, ale we dwu nie pociągnęli nikogo więcej za sobą.

Rawianie z biedy, jeżeli nie Henryka, woleli już Szweda.

Dzień ten spelzł na niczem.

Mało które województwo zgodziło się na jednego jak Mazury; panowie przemawiali każdy za innym kandydatem i do głosowania nie przychodziło. Zdawało się, że czas zamiast skupiać i jednać, coraz silniej rozdawał i rozstrajał.

W niektórych województwach głosy się tak gwałtowne odzywały, że niemal boju się można było spodziewać. Szlachta się lżyła i do szabel rwała. Rdest, Szwed, Piast Bandura, Piast Rosenberg, Francuz mieli zwolenników tu i owdzie; kto ich miał największą liczbę, trudno było policzyć, a Czarnkowski z boleścią widział, iż cesarska sprawa stała we czwartek gorzej niż w poniedziałek, gdy Henrykowa zdawała się polepszać. Prostopoduszne Mazury stali przy swem, wołali Henryka kupą, głos się ich rozlegał i miał jakąś siłę pociągającą. Zaczynały i inne ziemie za Francuzem się ogłaszać.

Czas było kończyć!

Czarnkowski widząc co się święci, obrachował, że trzeba zamęt wzniecić; dał swoim znak, aby głosowano na Piasta. Sam zaś on ogłosił się za Szwedem.

We czwartek tedy na polu było, jak się wyrażali niektórzy, istne piekło. Ryk, krzyk, wrzask, przekleństwa, kupa przeciwko kupie. Niektórzy kije, inni szable, nie dobywając ich, z pochwami podnosili do góry, popychano się, naciskano. Przejeżdżających panów obstępowały tłumy. — A pókiż to tego będzie. — Złośliwi wołali, że siano niezgodę umyślnie, aby w mętnej wodzie łowić i bodaj siłą narzucić despotę. Wieści chodziły najdziwaczniejsze.

Wzięli się niektórzy mówić, iż cesarz orężnie i zbrojno chciał wtargnąć; że cesarscy chcą szlachtę rozpedzić i t. p. Wielkopolanie dla ładu, którego nie było, spisać kazali wszystkich kandydatów, bo ich się namnożyła moc wielka, pod imieniem Piastów. Często czytać głośno wszystkich po kolei, nad każdym złośliwie czyniąc komentarze, które jak z samopalów strzelały z kup otaczających. Gdy naostatku ktoś wykrzyknął jako kandydata Słupskiego Bandurę, buchnęły śmiechy i zaraźliwie poszły po całym polu, że ich przeszło godzinę utamować nie było można.

Pocziwy i zacny Wojciech Słupski pogrzebał wszystkich Piastów z sobą.

Nadszedł nareście piątek już, a króla jeszcze nie było. Znużenie i niecierpliwość mallowały się szczególnie na twarzach wodzów. Firlej burzył się z gniewu, Zborowski po troszę szydersko uśmiechał się, ale wcale nie tracił animuszu. Pilno było i jemu, ale stał tak, że z omyłek cesarskich korzystać i na nich budować musiał.

W piątek wszyscy niemal panowie senatorowie zgromadzili się pod wielkim namiotem królewskim, który obstarpi wysłani od województw deputaci.

Przewidywano dnia tego stanowczą walkę, jako też mowy się rozpoczęły zawczasu.

Jakim sposobem pocziwie Mazury Henrykowe i ich sprzymierzeńcy w przemagającej liczbie, bo ich rachowano do trzech tysięcy, oblegli nieznacznie dokoła namiot wielki, to tylkoby może niewidoczni tacy sprawcy jak Talwosz wytłómaczyć umieli. Drobną szlachtą zawczasu dobrze nakarmiona, ze wszech stron spływała jakby przypadkiem i ustawiała się jak od niechcenia, ale w końcu żelaznym obręczem objęła panów senatorów i stała sobie spokojnie.

Ale działały się rzeczy osobliwe. Gdy który z panów senatorów przemawiał za Francuzem, cisza była taka, jak mak siał; począł inny o Ernestie, o Szwedzie, wszczywał się szmer, ze szmeru wrzawa, hałas, gwar, iż słowa nikt usłyszeć nie mógł.

Przychodziło to niby trafem i przypadkiem, lecz zwalczyć nie było podobna losu.

Wtem podniósł się do głosu starosta Chodkiewicz, którego cesarz, jak wiemy, zdawna pewien był, i z nim też całej Litwy, bo on głową jej się stał. Nie wątpili Firlej, Czarnkowski i cesarscy, że za Ernestem da głos, gdy — o cudo — oświadczył się pan starosta za Henrykiem, dodając.

— Henryk się ożeni z królową Anną, a tak i krwi naszej stanie się zadość.

Jeszcze nie skończył Chodkiewicz, gdy Podole wołać zaczęło.

— Henryk z Anną! Henryk z Anną!

Pierwszy raz tak jawnie wystąpiło życzenie narodu, aby ostatnia szczepu gałązka mar- nie nie uschła. Przemówiło to do serc.

Wprawdzie Ernest także mógł i obiecywał się żenić z Anną, ale ten Niemcem był, a bądź co bądź, w każdym Niemcu starego widziano nieprzyjaciela.

Głos Chodkiewicza uderzył jak grom na cesarskich i szalę przeważył.

Gdy raz prąd się wziął za Francuzem głosować, Podole i Braclawszczyzna zrobiła po Litwie początek, dalej poszły za niemi Łęczyckie, Lubelskie, Bełzkie, Pruskie wojewódz- twa, znaczna część Krakowian, Sandomierzan, Sieradzian.

Wielkopolska głosowała za Anną samą.

Jawnem i oczywistem było, że Francuz weźmie górę.

Już była noc, gdy wszyscy znużeni rozpywać się poczęli; Czarnkowski głowę tracił, rękami w powietrzu młyńce kręcił zrozpaczony i wołał, że Francuzi Litwę przekupili, że ogromnemi jurgeltami przyobiecaniem panom zyskali ich sobie.

Na zamku dnia tego napróżno jego i Talwosza do późna oczekiwano; królowna się musiała do łóżka położyć, gdy Litwin nadbiegł z radością na twarzy i przywitał wychodzącą naprzeciw Dosię ręką podniesioną do góry.

— Francuz tak jak wybrany!

Królowna w ciągu dnia odbierała już wiadomości o tem, co się pod wielkim namiotem działo, ale zpełna nikt sprawy nie zdał; dopiero Talwosz przyniósł lepszą wiadomość, a to samo, że Czarnkowski się dnia tego nie pokazywał, miało wielkie znaczenie.

W milczeniu przyjęła to królowna i teraz jeszcze nie objawiając radości, ale otaczający ją zmiarkować mogli z rozbudzenia żywszego, iż rada być musiała.

Talwosz przy drzwiach stał.

— Kiedyż się to skończy? — słabym głosem spytała Anna.

— Bogu wiadomo, bo opór jest silny — rzekł Litwin — więc gdy przeszkodzić nie mogą, przeciągnąć radzi, a nuż coś im z nieba spadnie. Ale wszystko to próżne, mądrzy oni, my też nie obrani z rozumu.

U Firleja całą noc niemal jedni drugim czynili wyrzuty, kto był winien, że się Erne- stowi nie powiodło, dociec nie mogli. Jeden na drugiego zrzucał, ale skutek był ten, że Francuz wziął górę. Przy znużeniu wielkiem przewidzieć było łatwo, że ci, co się wahali przystaną dla dobicia się rychlejszego do końca.

Marszałek Firlej bąkał gniewny o użyciu siły, o rozpędzeniu tłumów, wyrwały mu się wyrazy nieopatrzne; ale on sam nie wierzył pewnie w to, ażeby przemocą można co dokazać.

Tymczasem słowo nieostrożne, raz wyrzeczone, w świat poleciało.

Szeptano sobie do ucha, że pójdą działa i moździerz na namiot i poczty zbrojne się gotują.

W sobotę przed Świątkami namiot znowu był oblężony, od rana mowy głoszone, jedne po drugich, ale ich tak jak nikt nie słuchał.

Prymas po cichu szeptał, wzdychając.

— *Vox populi, vox Dei.*

Już tylko pięć województw i kawałek Prus opierał się jednomyślności, reszta jedno- głośnie się Henryka domagała.

Senatorowie oblężeni w namiocie pod wieczór zażądali, aby szlachta się rozeszła i osob- no województwami głosowała; ale nic to nie pomogło. Zborowscy i wszyscy Henrykowi zaczęli na prymasa nacierać, aby króla ogłosił, gdyż jawnem było, za kim stała i kogo chciała większość narodu.

Cesarskim zostawała jedyna nadzieja w niedzieli, która narady przerwać miała uro- czystością, bo w Zielone Świąta nikt o niczem, prócz nabożeństwa, myśleć nie mógł.

Wszystkie namioty już były w zielen postrojone, w mieście kościoły woniały młodą brzezina, każdy dom zdobył się w drzewka i gałęzie.

Była to jakby przepowiednia szczęśliwego końca, błogich lat pokoju i pomyślności.

Z obu stron nalegano na prymasa, jedni, aby okrzyknął króla, drudzy, aby się wstrzy- mał dla nocy, bo pod namiotem ciemno już było.

Uchański niepewien co ma czynić, skłonił się do odłożenia ogłoszenia na po Świątkach.

Na drugi dzień, w poniedziałek, w ostatek miało się wszystko rozstrzygnąć. Jak?

Nie było prawie wątpliwości. Cesarscy chodzili pogrążeni w smutku, gniewni, zrozpaczeni. Nie było ratunku. Firlej — wołali niektórzy — powinien był niesforne rozpedzić tłumy!

Lecz łatwiej to powiedzieć, niż się ważyć na to...

Noc była wesoła! Święto każde u nas prowadzi za sobą zawieszenie wszelkich czynności a nawet troski wszelkiej na kolku. Pana Boga chwalić i dobrej myśli zażywać potrzeba.

Mało komu, szczególnie z bliższych Warszawy, żony z domu nie przysłały na Świątki kołaczów, placków, mięsiwa, kielbas, jaj i beczulek. Było się więc czem posilać i na co sąsiadów prosić. Odżywało ciało i duch się krzepił.

Kościoły pełne były przez dzień cały. Modlił się każdy, a szlachta spotykając pocieszała tem, że króla tak jak miała.

— Bogu dzięki! Do domu człek pojedzie! żonę i dzieciśka uściska. A! pora!

Z południa zjawiał się referendarz na zamku, ale królowa chora leżała i widzieć się z nim nie mogła. Wylał swe żale przed panią krajczyną.

— Uciśnioną była wolność, przemocą Zborowscy prowadzili Henryka. Lękali się cesarza różnowiercy, religia była zagrożoną. Dyssydenci teraz mieli wziąć górę, kościoły zabierać, duchowieństwo obdzierać, ojczyznę zgubić.

Łaska starała się go tem uspokoić napróżno, iż Francuz przecież panem katolickim był i nie mógł dopuścić, aby wiara święta uciśniętą została.

Referendarz nie dawał się pocieszyć. Był to koniec świata! Wszystko zgubę zapowiadało.

Z tem wyszedł nieszczęśliwy.

Nazajutrz rano ściągali się wszyscy pewni tego, że już tylko ogłoszenia króla słuchać będą, gdy pod namiotem na nowo mowy się rozpoczęły. Wszystkie swe boleści wylewali cesarscy.

Gdy się to działo pod królewskim namiotem, Pan Bóg wie, kto puścił wieść.

— Wojewoda Firlej z działami, ze zbrojną siłą ciągnie na pole i wszystko chce w niwecz obrócić.

Co się w tej chwili stało nagle, opisać niepodobna. Jakby grom w ten tłum uderzył, ruszyło co żyło ze wrzawą, hasło dając do oręża! Ułękli się panowie senatorowie nie umiejac sobie wytłómaczyć co się stało.

Tymczasem zawrzało okrutnie dokoła.

Henrykowi wszyscy rozbiegli się po oręż i niebawem uzbrojeni namiot otaczać poczęli.

Widok był osobliwy, jakby się na bitwę zanosilo: błysły broje na piersiach, podniosły się samopały, hakownice, przyciągano moździerze, dobywano szable, dźwigano dzidy.

Nie upłynęła godzina, gdy kilka tysięcy koni uszykowało się na równinie, piechota przy nich, stając w obronie namiotu, którego nikt napadać nie myślał.

Od pocztu do pocztu biegali konni, roznosząc rozkazy, rozstawiając ludzi, wysuwając jednych naprzód, drugim cofać się każąc.

Wojewoda Firlej i zastęp jego przyjaciół nawet tym okazem siły nie dał się zwyciężyć. Rozprawiano, krzyczano, opierali się cesarscy.

Niektórzy rozpaczliwie wyrzekając, zjechali w końcu precz, inni pozostali protestując. Zgody nie było. Czarnkowski ochrypl, dowodząc przemocy.

Zbliżał się wieczór. Zborowscy poczęli na prymasa nalegać, aby znowu wahaniem się nie dawszy nocy nadejść, nie zwłókl niepotrzebnie tego, czemu już zapobiedz nie było podobna.

Zmierzchało, gdy prymas złamany w końcu, mimo oporu Firleja, mimo wołania Czarnkowskich, wstał i donośnym głosem Henryka, księża andegaweńskie, królem polskim i Wielkim księżciem Litwy okrzyknął.

Gdy otaczający namiot usłyszeli to, w mgnienu oka cała równina rozległa się jakby jednym wielkim głosem, który przebiegłszy ją wcisnął się do miasta, i brzmiał długo ponad stolicą Mazowsza.

Na polu radość była niezmierna, wielka, nie do opisania; ale też rozpacz i gniewów Firleja i Czarnkowskich wyrazić niepodobna.

Referendarz stał jak zdętwiały, słuchając okrzyku prymasa. Pięść zaciskał, usta się krzywiły.

— Nie koniec jeszcze — mruknął. — Co myślał i z czem późno potem z pola zszedł, ciągnąc do Warszawy, on tylko i kupka co mu towarzyszyła wiedziała.

Nim Talwosz mógł królownie przybiedz zwiastować szczęśliwą nowinę, na zamku już wiedziano o niej. Przyniósł ją naprzód ten okrzyk, który zamek otoczył i aż do komnat jego się wcisnął, potem mnodzy dworzanie, znajdujący się w mieście, poczęli wbiegać każdy sądząc iż pierwszym był.

Królowna odmawiała wieczorne pacierze, gdy krajczyna przypadła niosąc jej do kolan wieść o Henryku. Serce Anny już przeczuło ją wprzód; lecz nawet przed krajczyną swą nie mogła się z tem wydać jak ono było i jaka je radość, nadzieja, marzenia przyszłości przepełniały.

— Bogu dzięki — odparła Anna po chwili — kraj odżyje w spokoju, a i ja odetchnę i zwłoki króla nareście dostaną się na to miejsce wiecznego spoczynku, na które dotąd czekają.

Imię Pańskie niech będzie błogosławione!

Doba ta w życiu Anny Jagiellonki, która nigdy szczęśliwą nie była, może się nazwać istną męczeństwem kroniką. Cierpieć ona musi za grzechy ojców, za słabość sióstr swych, za rodzinę, za kraj i za siebie.

Obok niej stoją tylko pomocnicy serca dobrego a bezsilni i tacy jak Czarnkowski przepuknie frymarzczący sumieniem, którzy sobie nie jej radzą, o sobie nie o niej myślą.

Ona jedna pamiętną jest wielkiego dostojęstwa swojego, krwi, która w żyłach jej płynie; ona jedna, gdy idzie o zerwanie Unii, powiada, że woli zginąć, niż dzieło brata nadwerężyć, a gdy ją chcą ze spadku po zmarłym wyposażyć siostrą zatrzymując ich działy, woli cierpieć ubóstwo, niedostatek, niż je skrzywdzić dla siebie.

Całe jej postępowanie nacechowane jest najwyższą szlachetnością. Leje łzy, bo jest kobietą; ale znosi upokorzenie, ucisk, zawody, nie dając się złamać.

Kraj cały okazywał wstręt do domu rakuzkiego, który jej obiecywał oswobodzenie i zameżcie; odrzuciła je stosując się do życzeń ogółu. Myśl i serce jej przywiązało się naówczas do Henryka, jako do wybranego przez Opatrzność dla niej wybawiciela.

Jest to jedną, jedyną słabostką tej wielkiej duszy, że marzyła chwilę o szczęściu z Henrykiem, nie znając go, wyobrażając sobie dobrym, łagodnym, szczerym, takim jakim go ludzie jej starali się przedstawić.

Kochające to serce widziało w nim rodzinę, podporę, choćby błysk jakiś krótki szczęścia, którego ona nigdy nie doznała.

Nadzieja przebija się w tej chwili życia, jak słońce przez chmury, zdradza mimowolnie, ale Anna stara się ją utrzymać w sobie, zamknąć w głębi duszy.

Zaledwie mgnienie oka ma trwać to złudzenie i wkrótce w jednym z tych bolesciwych listów do siostry, które świadczą co wycierpiała, wyraża się z przejmującą goryczą.

„O szczęśliwe a błogosławione siostry moje, że tego nie doczekały, czegom ja nie-szczęśliwa dożyła”.

Moment, w którym ten wykrzyk miał się wyrwać z jej piersi, nie nadszedł jeszcze. Anna ludzi się Henrykiem jako przyszłym małżonkiem, obiecuje sobie odetchnąć, marzy.

Wszystko, co jej ludzie i pisma przynoszą o tym narzeczonym z Opatrzności, chwytają chciwie. Głosy są zgodne, pochwalne. Na wizerunku ten zepsuty i rozpieszczony syn przewrotnej matki wygląda tak łagodnym, tak miłym, jak był w istocie chytrym i zwodnikiem.

Między nim a nią są podobieństwa losów, pochodzenia. Bona Sforzia przypomina Katarzynę Medycejską.

Czasem Anna wyrzucać sobie musi te marzenia spóźnione licząc lata swoje i jego, zwątpienie i rozpacz ją ogarnia. Miałażby i ta ostatnia zawieść nadzieja?

Co naówczas? Gdzie się schroni? Jaką pochwycić nadzieję zbawienia? Z potrzeby kochania, myśl jej leci za morze do kolebki siostrzana Zygmunta.

Rada by go przybrać za syna, jemuby chciała tron zapewnić.

Jak? — nie wie.

Pomiędzy Henrykiem a tym Zysiem drogim ciągle kołysz się biedne serce starzejacej królowej, której Bóg odmówił rodziny, macierzyństwa, przywiązania i dał jej tak nędznie usychać na łożysku.

Kobieta walczy w niej teraz z królową.

Nadchodzi chwila stanowcza, Henryk wybrany. Warunek ożenienia został wciśnięty, mimo posłów oporu. Anna w niepewności wyczekuje, jak ten narzeczony znajdzie się względem niej? Odepchnie ją czy przyjmie? Pozna się na sercu czy odrzuci smutną niewiastę.

Od dnia do dnia zwlekała Anna wyjazd za ciałem brata z Warszawy do Krakowa. Chciała mu towarzyszyć koniecznie, uważała za obowiązek stanąć przy tej trumnie, gdy więcej nikogo z rodziny nie było. Tymczasem słabość pół roku ją trzymała przykutą na zamku warszawskim.

Z dnia na dzień wyjazd się odkłada, aż do stycznia 1574.

Ten pochód żałobny, za którym Infantka jedzie z całym swym dworem, ma przesunąć się przez znaczną część kraju, musi więc być uroczystym, ostatnim królewskim pochodem.

Króla zmarłego pożegnać powinni raz ostatni wszyscy co go kochali. Jagiełłów ród z nim schodzi do grobu. Ona za trumną, to przypomnienie tego co kraj winien jest jej.

Na podróż trzeba pożyczać pieniędzy, królowej brak ich ciągle, panowie niechętnie dają, podskarbi nie zawsze może. Pożyczać trzeba na most, na podróż, na pogrzeb, na chleb powszedni.

Naostatek zwlekać już dłużej nie było podobna; Henryk oznajmywał, że przybywa, a pieszczony i przesądny nie chciał zaczynać panowania od pogrzebu, wysłał więc zastępców za siebie, aby uniknąć żałoby.

Królowa z ogromnym pocztem dworzan, którzy się zbiegali zewsząd, aby ostatnią oddać panu posługę, wyjeżdżała z Warszawy.

Z nią ciągnęli dworscy, komornicy, urzędnicy z ogromnemi pocztami, słudzy króla z chorągwią jego, drabanci.

Zwłoki wieziono na okrytym wozie żałobnym, za którym tłumy ubogiego ludu ciągnęły, obdarzane kosztem skarbu jałmużną i strawą.

Wszystkie naprzód stanowiska były wyznaczone; na każdym zamku i dworcu, w którym się zatrzymywano, czekała izba obita kirem. Przed nią zatrzymywał się wóz, nie zdejmowano ciała. Na trumnie kładziono koronę, berło, jabłko i miecz, zapalano świece i pochodnie, stawiono straż z dwu komorników, ośmiu drabantów, dwóch dworzan i dwóch jurgeltników złożoną i kapelani przez całą noc śpiewali psalmy.

Nazajutrz po mszy żałobnej w kościele, na którą szła Anna ze swym dworem, ruszano dalej ku Krakowu.

Droga szła na Radom i Miechów i zabrała dni jedenaście. Wszędzie na spotkanie ciała wychodziły procesje, bito w dzwony, dworzanie zsiadali z koni, nakładali kaptury, oznakę żałoby, brali świece i przeprowadzali przez każdą wieś i miasto zwłoki, idąc przy nich pieszo.

Toż samo często czyniła Anna z dworem swoim, jeżeli przykra roku pora dozwalała.

Z Warszawy co żyło, wszystko się przyłączyło do swej pani, która miała w Krakowie zajmując wyznaczone sobie mieszkanie starej królowej Bony i być przyjętą ze czcią należną.

W oczekiwaniu pogrzebu i koronacji, jedna część panów i szlachty już zapełniała starą stolicę, inni gotowali się na granicy państwa witać przybywającego monarchę.

Poprzedzony przez mnogich posłów, przez sługi swe, niezliczonych Francuzów, których nowy kraj pociągał ku sobie, jechał Henryk przez Niemcy, nie śmiejące mu wzbronić przejazdu. Z dobrą czy nie dobrą wolą przyjmowano go jak króla.

Tymczasem w Krakowie i wszędzie, gdzie się Francuzi pokazali, zbiegano się do nich, usiłując odgadnąć pana ze sług. Znajdowano ich zabawnymi, grzecznymi, ale razem tak czasem lekceważącymi krajowców, tak nie umiejącymi się do ich obyczajów zastosować, tak dumnymi, gdy co miłość własną podrażniło, iż u wielu szlachty rodziły się już niesmaki.

Najwzględniejsi nawet z Francuzów zdawali się dawać do zrozumienia Polakom, że sobie powinni byli winszować, a Henrykowi wdzięczni być, iż raczył przyjąć koronę.

Otwarta, szczerą, wesołą rubasność polską odbijała jaskrawo obok galanterii chytrej, ironicznej, pogardliwej Francuzów, którzy się kłaniali szydząc i zdawali drwić ze wszystkiego.

Ani jadłem, ani napojem dogodzić im nie było podobna, prychali na wszystko, dziwili się rzeczom najprostszym, a szwargotu ich, ani nawet łaciny nikt prawie nie rozumiał.

Biednym zimno tu było, głodno i smutno; na twarzach zsiniałych malowało się więcej podziwienia, zdumienia niż radości.

Z tych wszystkich wrażeń, jakie czynili Francuzi przybywający, nie spowiadano się szczerze przed królową.

Dwór jej, szcędząc biedną panią, przynosił tylko to co ją pocieszać mogło.

Na prawdę szlachta kręciła węża i myślała w duchu, że lepszymby był może jaki taki Piast, albo i Szwed nareście.

Ale potęga Francji coś też znaczyła.

Zapał dla Henryka, gdy się o Francuzów ocierać zaczęto, ostygł znacznie.

Dla królowej Anny podróż żałobną zimą, powolną, smutną, będąca niemal jednym nieprzerwanym nabożeństwem za duszę brata, była męczarnią tem większą, że prowadziła do miejsca, gdzie się jakieś nowe, nie dające obrachować życie rozpocząć miało.

O małżeństwie natychmiastowym, któreby koronację poprzedziło, mowy nawet nie było. Zostawało ono w cieniu i mrokach jakiejś niepewności, odłożone do nieoznaczonego terminu.

Mówiono o niem tylko półgębkiem. Anna nie wiedziała sama, czy ma się go spodziewać, czy wyrzec i całą miłość przenieść na siostrzeńca, na tego Zysia (Zygmunta), którego myślą za morzami szukała czasem, pragnąc mu się stać matką.

W Miechowie, w kościele Bożogrobców złożono zwłoki, które nazajutrz uroczyście wiodła siostra na Prądnik do biskupiego dworu, gdzie przez dzień cały spoczywały.

W Krakowie przygotowywano pogrzeb wielce wspaniały. Od Henryka miał się na nim marszałek de Retz znajdować, razem z dawniejszym posłem panem Rambouillet.

Pomimo ostrej pory roku uroczystość, wedle tradycyjnych form, odbyła się z wystawą i przepychem nadzwyczajnym.

Na Kleparzu, przed kościołem św. Floryana czekali na wóz żałobny posłowie: cesarski, francuski, węgierski, szwedzki, wenecki, ferrarzski, brandenburski, brunświcki, pruski i pomorski.

Gdy po nabożeństwie odbytem tu ruszył pochód, końca mu nie było. Poprzedzało go duchowieństwo, studenci szkół różnych, zakony, tłumy ubogich i ludu. Szli dalej arcybiskup i biskupi pontyfikalnie ubrani, za nimi przeszło tysiąc ludzi w czarnych kapach i kapturach z zapalonemi świecami. Chorążowie wszystkich ziem i województw jechali z chorągwami i pocztami.

Królewską niósł wielką Maciejowski chorąży nadworny.

Trzydzieści koni w kapach czarnych jedwabnych poprzedzało trzydzieści mar okrytych jedwabnemi oponami złotem szytymi.

Za nimi ten, któremu Anna przebaczyła, a kraj darować nie mógł ostatnich chwil króla, krajczy koronny na koniu pięknym, we zbroi pańskiej, miał szczęście przedstawiać *Personę*, to jest widmo jakby króla samego. Za nim jadący Garnysz był w szatach króla, drugim takim osoby zmarłego wizerunkiem żywym.

Senatorowie szli za nimi pieszo, a za nimi oznaki królewskiego majestatu. Zborowski wojewoda Sandomierski niósł miecz, Piotr Zborowski jabłko, Firlej wojewoda krakowski berło.

Po obu stronach wozu, na którym spoczywały zwłoki, szło po piętnastu dworzan króla ze świecami. Następowali cudzoziemscy posłowie i przez posłów cesarskiego i francuskiego wiedziona Anna Infantka, a za nią szereg długi pań i panien.

Ten dzień po złożeniu zwłok w kościele św. Stanisława na Wawelu był tylko jakby początkiem obrzędu pogrzebowego.

Nazajutrz takim samym porządkiem obchodzono inne kościoły.

Nic poetyczniejszego, majestatyczniejszego wyobrazić sobie nie można nad te pogrzeby królewskie dawne, które stworzyło poszanowanie dla swych panów, miłość dla nich i boleść po stracie.

Te masy zapełniające kościół, ten katafalk okryty koroną, przy których z kolei kruszono wszystko, co służyło zmarłemu, miecz, tarczę, hełm, włócznię, pieczęcie, laski, naostatek rycerz konny przedstawiający króla, zapadający się w ziemię u stóp trumny, wywoływały płacz i jęki.

Nie można było wyrazić, dobitniej ukazać znikomości wszech ludzkich rzeczy, potęgi wszelkiej i niezbląganego losu skazującego na śmierć wszystko co żyje.

Potrzebaż mówić, ile siły ducha musiała mieć Anna, aby przybywszy z pogrzebem, dotrzeć do tego ostatniego aktu, gdy widmo brata zapadło się w ziemię w jej oczach, a z niem całą przeszłość.

Jutro stało przed nią mgliste, niepewne, straszne, a choć przyjaciele i przyjaciółki dodawali jej otuchy, bić musiało serce obawą i przeczuciem.

Godność tylko Infantki w Krakowie poszanowaną została.

Wyznaczono jej pokoje Bony i dworu dla liczego fraucymeru, sześć tysięcy nadwornego wojska miała przy sobie, postarano się o to, aby na zamku sreber i sprzętu nie brakło.

Łaska i Świdnicka, starsze panie uśmiechając się napomykały, iż zawczasu po francuzku uczyć się zacząć było potrzeba. Nie wątpiły one, iż Henryk przybywa ażeby Annę poślubić.

Znaczna część panów była tego przekonania, że dla utwierdzenia się na tronie będzie musiał to spełnić.

Ze dworu i fraucymeru Anny z tym językiem przyszłego króla jedna tylko Dosia była obeznaną. Chorobliwe jej niemal pragnienie uczenia się ciągle czegoś nowego skłoniło ją dawniej do obeznania się z mową, która teraz cudownie okazała się dogodną.

Anna miała w niej gotowego tłumacza, na którego rachować mogła.

Wprawdzie syn Włoszki, jak ona, Henryk musiał z macierzystą mową oswojonym być od kolebki; zaręczano, że po włosku umiał, ale jeden z posłów wygadał się nieopatrznie, iż nie bardzo wprawnie mową tą władał.

Na dworze zaś jego, większa część, nawet najwykształceńszych Francuzów, oprócz własnego, żadnego innego nie umiała języka. W Polsce, gdzie łaciński tak był naówczas pospolitym, iż cudzoziemcy znajdowali woźniców, z którymi się po łacinie rozmówić mogli, wydawało się to również dziwnem, jak we Francji, iż posłowie polscy wszyscy prawie kilku językami władali.

Dosia, biedny Talwosz to znajdował, zmieniała się jakoś w oczach. Zawsze była dumną i nieprzystępną; teraz, gdy poselstwu francuzkiemu parę razy za tłumacza służyła, a z Francuzami, zachwyconemi jej pięknnością, spotykać się zaczynała coraz częściej, piękna główka jej się zawracała.

Czuła tu wyższość swoją, siłę i, choć się z tem nie wydawała, posądzić było można, że zabierała się z tego korzystać.

Od pierwszych Francuzów Montluca do ostatnich marszałka de Retz i pana Ramboillet, Dosia po kolei wszystkich sobie ujęła i podbiła. Mówiono o niej jak o gwiazdzie dworu Infantki; zachwycono się nie tylko jej wdziękami, ale rozumem, umiejętnością języka, wyższością nad innymi niewiastami. Przy niej gasł nawet majestat królowej.

Którzejby kobiety oddawana jej cześć nie upoila?

Francuzi, którzy tylko na migi z innymi rozmawiać mogli, oblegali to zjawisko z zapalem, z uwielbieniem właściwym ich temperamentowi.

Zbiegali się, aby ją widzieć, kłaniali do ziemi, wyprzedzali w usługach. Tracili głowy.

Śmiała się niby Zagłobianka z tych holdów, lecz kadzidło takie z czasem zawsze działać musi.

Talwosz pierwszy spostrzegł, że w obejściu się z nim przybrała ten ton nowy, z jakim do Francuzów występowała. Patrzała nań z góry.

Dotknęło go to mocno, uczuł coś nakształt politowania, pierwszy raz w tem bóświe dopytawszy słabostki ludzkiej, ale milczał.

W Krakowie Dosia stała się tak nadzwyczaj potrzebną, iż się na chwilę bez niej obejść nie można było. Wołano ją do tłumaczenia kartek, pism, do porozumiewania się z nadjeżdżającymi Francuzami.

Obok niej zjawiał się tu jako pośrednik karzeł Krassowski, który poprzedził króla i ofiarował usługi swoje Infantce.

Przyczyniwszy się, jak przyznawali wszyscy, do zalecania Polsce Henryka i do jego wyboru, Krassowski dumny był z tego, a teraz cały się chciał Annie poświęcić. Codziennie prawie przychodził na pokoje, zawsze prawie go przypuszczano i słuchano z zajęciem opowiadającego o Henryku.

Na sercu mu leżało równie jego zalecić Annie i Polakom, jak ją i ich jemu w najlepszym przedstawić światłu.

Żywy, gorący, dowcipny, na pół Polak, pół obyczajem i długim pobytom we Francji, Francuz, Krassowski najlepiej rozumiał jak wiele tu ostrych kantów potrzeba było zaokrąglić, aby bez szkody zetknąć się mogły.

Każdy niemal dzień nowe sprowadzał trudności i zadania dla niego. Skarżyli się przybywający Francuzi, żalili przyjmujący ich Polacy. Krassowski jak mógł i umiał szczepił porozumienie i zgodę.

Niczem były te drobnostki obok tego, co posłowie po króla wyprawieni do Paryża mieli tam do przebycia, nim na artykuły i wymagania ich zgodzili się doradcy Henryka. Dochodziły o tem głuche tylko wieści, a ostatecznie wiedziano, iż król podpisał, przyrzekł, przyjął czego żądano, i choć się z podróżą ociągał, choć mu bardzo żal było Francji porzucić, nareście do granic Polski się zbliżał.

Ogromny zastęp wszystkiej szlachty najzamożniejszej, najświetniejszej, mogącej wystąpić, z niesłychaną świetnością i przepychem oczekiwał na niego w Międzyrzeczu.

Piętnaście tysięcy jezdnych rozstawionych po otaczających pagórkach, wybór i czoło rycerstwa polskiego witało młodego króla.

Henryk, któremu nie zbyt okazałych trzy tysiące Niemców towarzyszyło aż tutaj, stanął niemal osłupiały widokiem, jaki się oczom jego przedstawiał. Obok tych żołnierzy na koniach ciężkich, odzianych czarno i szaro, nieodznaczających się niczem, rycerstwo polskie wydało się idealnym jakimś obrazem.

Największa różnorodność uzbrojeń, strojów, barw oręża, kosztowne i najpiękniejsze w świecie konie, rzędy świecące klejnotami, okrycia szyte złotem, skrzydła u ramion jeźdźców, malowane ich tarcze, kolczany, pióropusze kosztowne składały się na zachwycającą barwami i wspaniałością całość.

Taż sama różnorodność twarzy, nakryć głowy, postawy, bród i wąsów, siwe włosy obok pukłów młodzieńczych zdawały się mówić, że cały kraj wysłał tu na spotkanie co miał najlepszego.

Krół, który niemal całą podróż odbył z uśmiechem szyderskim i znudzonym na ustach, nie kryjąc się przed Pibrakiem i innemi ulubieńcami, iż wszystko to niepospolicie go nużyło, po raz pierwszy wykrzyknął, okazując szczerze zdumienie i zachwycenie.

Powtarzano, iż miał się wyrazić, zapewne mimowolnie:

— Po raz pierwszy w tej chwili uczulem się królem w istocie!

Nie mniejsze wrażenie mogło na nim uczynić poselstwo panów senatorów, od którego przemawiał tu do niego poważny Karnkowski. Na łacinę jego zmieszany król kilku słowami włoskimi odpowiedział, zdał resztę na Pibraka.

Na zamku w Międzyrzeczu, potem w parę dni w Poznaniu przyjęcie było ochocze, głośnie, wesołe, a tak radośne i szczerze po polsku, iż Francuzom niemal zanadto się serdecznem wydało.

Po polsku też zasypano króla mowami długimi, których on ani ocenić, ani na nie odpowiadać nie umiał.

Z Kurnika na Częstochowę, wszędzie przyjmowany równie serdecznie i huczno, wprost przybył król 14 lutego do Balic pod Krakowem.

Tegoż dnia wiedziano o tem na zamku i królowna, do której krajczyna przybiegła z oznajmieniem, iż nazajutrz ujrzy Henryka w Krakowie, potrzebowała się zeprzeć na krzesło stojąc blisko, tak słabą się uczuła i strwożoną. Słów jej zabrakło, chustkę przyłożyła do ust, objęła Łaską i na jej ramionach złożyła głowę, ukryła oczy.

— A! co nam przyszłość gotuje! — szepnęła łkając.

A po chwili dodała.

— Ja jutro tego wszystkiego widzieć nawet nie będę mogła! Jak mu się wyda ta nasza biedna Polska po Francji!

Krajczyna wiele czasu potrzebowała na to, aby zwolna uspokoić Annę i dodać jej odwagi, a wlać w nią to przekonanie, iż Opatrzność nie darmo zrzędziła cudowny wybór Henryka, który z sobą Polsce i jej szczęście przyniesie.

Anna chwilami zdawała się mieć tę nadzieję, ale wprędce doznane zawody, długie cierpienia odbierały jej ją i szeptała krajczynie.

— Może się Bogu podobało dlatego tylko dać mi teraz otuchy trochę, abym tracąc ją ucierpiała boleśniej.

Co moment teraz przybywał ktoś na zamek albo z Balic, lub co młodego pana w podróż widział, i opisywał jego dwór, znajdowanie się Francuzów, ich stroje i t. p.

Rozumie się, iż do królowej nie dochodziły te wrażenia, któreby ją zawczasu mogły zasmucić. Nie dopuszczały ich otaczające ją panie.

Tego wieczora obficie było gości, opowiadań i sprzecznych pogłosek.

W mieście panowało poruszenie nie do opisanego, gorączka popisu, radość razem i niepokój. Nazajutrz na powitanie króla występowało co żyło z okazałością niesłychaną.

Królowa Anna parękroć wyraziła po cichu żal swój nad tem, iż nic widzieć nie będzie mogła, oprócz ostatniego aktu, przybycia na zamek, na którego podworcie ani część nawet pocztów i zbrojnych orszaków dopuszczoną być nie miała. Dosia, która była przy rozbieraniu królowej, westchnęła także nad tem.

— Gdybym choć ja, za pozwoleniem miłości waszej, widzieć to wszystko mogła, potrafiłabym opisać najlepiej — odezwała się. — Niech mi tylko miłość wasza pozwoli.

— Co ci mam pozwolić? — zapytała królowa.

— Proszę o uwolnienie mnie na dzień jutrzejszy — dodała Zagłobianka z uśmiechem — o nic więcej. Zresztą dam już sobie radę.

Zawahała się nieco Anna, lecz ulubienica tak naglić, prosić i po rękach całować zaczęła, że w końcu milczące przyzwolenie otrzymała.

Godzina już była późna, gdy wybiegłszy z sypialni, śmiała dziewczyna posłała po Talwosza, którego zawsze wiedziała gdzie szukać miała.

Litwin, chociaż dotknięty tem, iż się Dosia nadto Francuzami zajmowała i dozwalała im stroić zaloty, przybiegł natychmiast.

Dziewczę odezwało się tonem rozkazującym, nim miał czas otworzyć usta.

— Patrz wpan, abyś mi na jutro dodnia ułatwił wszystko. Przebiorę się po mężku i muszę od rana widzieć wszystko, abym królowie doniosła, jak się odbyło.

— Po mężku! — wykrzyknął Talwosz. — Ależ noc nadchodzi! sukni nie mamy, przygotowanego nic, a o tem nie myśli panna Dorota, że ją choćby z pięknego lica wszyscy poznają.

— To moja rzecz! — odparła Zagłobianka dumnie — czyn wpan co do niego należy, albo chcesz, abym się zwróciła ku komu innemu?

Talwosz się rzucił.

— Zrobię przez noc co będzie można — rzekł — lecz mało powiedzieć: przebiorę się po mężku. Musicie sobie strój wybrać i oznaczyć.

Dosia krótko się namyślała.

— Włoski strój mnie przysposóbcie — rzekła.

— A z włosami co będzie?

— Nie potrzebuję nakrycia z głowy zdejmować przed nikim, beret lub kapelusz okryje włosy.

Jakim sposobem potrafił Talwosz nazajutrz rano całe ubranie dostarczyć Dosi, która na koniu, po mężku jechać z nim się ofiarowała, nie tłumaczył się z tego. Strój był piękny, choć w oczy niebijący, a na wierzch jego płaszczyka z futrem nie brakło. Koń spokojny był przysposobiony.

Posłuszny Litwin dostarczył wszystkiego, lecz pomimo to, wielce był niespokojny i wyprawę tę odradzał jeszcze, tylko że z Dosią rozprawić i przekonać ją, gdy się uparła, było trudno.

W godzinę po dostarczeniu jej stroju Zagłobianka wyszła przebrana, jaśniejsza piękną, którą mężki strój podnosił jeszcze, wyglądająca tak uroczo, że wszystkich oczy ściągnąć na siebie musiała. Ubiór ten, którego dotąd nie nosiła nigdy, tak jej dobrze przystawał, tak się umiała do niego w ruchach i postawie zastosować, że Talwosz osłupiał.

— Panno Doroto — zawołał — raz jeszcze pozwól mi powtórzyć sobie, że ja za ten krok jej nie biorę na siebie odpowiedzialności. Odradzałem i odradzam. Ściągniecie oczy... Francuzi...

Nie dała mu dokończyć. Mężtmem zuchwałem twarz jej pałała.

— Na koń! — zawołała — dość gadania.

Co się z biednym Litwinem działo, on jeden wiedział. Cierpiał okrutnie, bo i obawa o dziewczę i zazdrość go dręczyła, a stało się to co przewidywał, iż Zagłobianka, która się wcale z sobą nie ukrywała, oczy ciekawe zwracała na siebie.

Domyślano się w niej czy nie przebranej kobiety? — nie wiadomo, ale szlachetna postawa, nadzwyczajna piękność rysów twarzy kazały się w niej domniemywać jakiejś niepospolitej osobistości.

Zagłobianka uparła się szukać sobie takiego miejsca, z któregooby mogła widzieć wszystkich i wszystko. Talsosz jej musiał przebojem często torować drogę, bronić stanowiska, aż do miecza się zrywając.

Oddziały pańskie, które wyciągnęły na powitanie Henryka, miały co najmniej każdy po trzystu ludzi, a było ich przeszło trzydzieści, jedne nad drugie okazalszych.

Tak samo jak niegdyś na powitanie Elżbiety rakuzkiej sadzili się senatorowie na wspólniałość i wytworność, na przesadzenie jedni drugich fantazyą, którą tylko upodobanie ich i możność ograniczały.

Oddziały niektóre były przystrojone na sposób francuzki, włoski, brunświcki, węgierski, ruski.

Na Francuzach największe wrażenie zdawały się czynić poczty węgierskie w hełmach, w kolczugach, z długimi tarczami tak okrywającemi ludzi, iż głowy ich tylko z za nich wystawały, z ogromnemi dzidami malowanemi i złoconemi; okrycia koni skórami niedźwiedzi i lampartów, przy których poczepiane były dzwonki i skrzydła w złoconych osadach. Stawali wlepiając oczy w te postacie, które się im widziadłami jakimiś wydawały.

Stroje kozackie i ruskie nowemi też dla nich były zarówno z tatarskiemi. Iście polska fantazyja nawet niedźwiedzie żywe w kagańcach posadzała na konie dla popisu. Króla przeciągającego przed oddziałami witały one wystrzałami z organków na wozach stojących, które się obracały i mieściły, gdzie im było potrzeba.

Trąby i kotły wiezione na koniach, huk wystrzałów, okrzyków na cześć przybywającego dosłyszeć nie dawały.

Pierwszy z pocztów, który witał Henryka, był arcybiskupa gnieźnieńskiego, przybrany z węgierska w aksamit czarny ze złotem. Prymas jechał w kolebce szkarłatnej, sześciami końmi ciągnionej, po obu stronach mając biskupów poznańskiego i plockiego. Za nim ciągnął arcybiskup lwowski, kamieniecki, krakowski z ludźmi po włosku ustrojonymi, w futrach kosztownych; dalej inni biskupi i senatorowie.

Na czele ich jechał krakowski pan z oddziałem Tatarów i Węgrów w zbrojach lśniących. Żaden z tych pocztów nie był do drugiego podobny; barwy, szycia, złoto, srebro, futra, zbroje, skrzydła, coraz inaczej się mieniły spojone, coraz dziwniej podobierane.

Wśród tego oślepiającego przepychu odznaczał się Albert Łaski swemi Tatarami i Węgrami, których konie, rynsztunek, uzbrojenie rwały oczy.

Za Polską ciągnęła Litwa z Radziwiłłem na czele i jego ludźmi w szkarłatach, Chodkiewicz i mnoga drużyna, niedająca się bogactwem zaćmić ani liczbą.

Któż policzy idące za niemi poczty senatorów Wapowskiego, Tarnowskich, Opalińskich, Zamoyskich, Rejów, których skarbcie i odwieczne skrzynie na ten dzień uroczysty się wypróżniły?

Gdy się te szeregi ustawiły na równinie pod miastem samem, widok był, od którego Henrykowi serce po wtóry raz mogło uderzyć, jak gdy go na granicy witano.

Biskup plocki wystąpił w bramie tryumfalnej z mową, na którą znowu Piłbrak tylko odpowiadał.

Naturalnie dopytywano o niego co zaczął być i jak się zwał, a nazwisko z ust do ust sobie ludzie podając, przekręcili na Psibrat i ono mu pozostało.

Spoglądano na króla, wszystkim się wydał cienkim, małym, delikatnym jakimś, a chude nóżki, w obcisłym stroju, szlachcie bociana przypominały.

Ona wolałaby była szerokich ramion, pięści silnej, zbudowanego od siekiery żołnierza i wodza — los jej dawał pieszczonemu dzieciaka, laleczkę strojną jak do wertepu. Niektórzy ciekawsi dopatrzili się u uszów przywieszonych kolczyków i, nawet mówić o tem nie śmiano, tak się to poczwarnem wydało i nie do wiary.

Noc już była, gdy Henryk wjechał do oświetlonego miasta. Tu na wązkich ulicach, ci co bliżej szli, lepiej mu się mogli przyglądać.

Dosia, której zuchwałstwu dziwnie się szczęściło, wybiegła naprzód, aby miejsce zająć takie, z któregoby Henrykowi długo i bacznie przypatrywać się mogła.

Ukazał się jej w końcu; pod baldachimem ze złotogłowu, niesionym przez panów radnych stolicy, otoczony halabardnikami szwajcarskimi i arkebuzierami gaskońskimi, na pięknym białym koniu, z rzędem wspaniałym, cały czarno, w futrze sobolowem, w toku na głowie opasany sznurem szmaragdów, z ogromną spinką dyamentową nad czołem.

Dosia stanęła tak, iż się z nim oko w oko spotkać musiała.

Jechał błady i zmęczony, z twarzą, na której nuda mimowolnie się wypiętnowała, dopiero gdy oczy jego, błędząc po tłumie trafiły na uroczą twarzyczkę Zagłobianki, która zuchwale wzrok w niego wlepiła, drgnął i dopóki tylko mógł ją oczyma ścigać, nie spuścił ich z tego oblicza, które widocznie go pociągały pięknnością niewieścią ku sobie.

Zaden z wymokłych minionów towarzyszących Henrykowi z tym tajemniczym młodzieńcem równać się nie mógł.

Co sobie oczyma powiedzieli, dumna dziewczyna i zniewieściały Francuz, Talwosz nie umiał odgadnąć, widział tylko, że na twarz Dosi wypłynął krwawy rumieniec.

Zagłobianka, ledwie już okiem rzuciwszy na książąt Nevers i Mayenne, na resztę orszaku wiedzionego przez wojewodów i kasztelanów, nie czekając aż powolny pochód przeciągnie przez wszystkie bramy, któremi droga do zamku była poprzecinana, dała znak Talwoszowi, iż chce uprzedzić na zamek Henryka.

Znowu się więc przedzierać z nią musiał przez zbite tłumy i z niemałą trudnością potrafił ją na Wawel odprowadzić.

Cały dzień przebywszy na mrozie i na koniu, Zagłobianka bynajmniej nie okazując znużenia, dała się zsadzić z siodła i nie podziękowawszy nawet Litwinowi, uciekła się przebrać, aby królownie zdać ze wszystkiego sprawę.

Wkrótce potem dzwony kościelne oznajmiły, iż król się znajdował w katedrze, z której *Te Deum* rozlegało się dziękczynne.

Z okien swoich pokojów widzieć mogła Anna jak go nareście już nocą na zamek wprowadzono, gdzie króla i panów, posłów obcych i dostojniejszych gości ucza na dole oczekiwała.

Tak dzień się ten skończył nużący dla wszystkich, a może najtrudniejszy do przebycia dla Anny, która z trwogą coraz rosnącą oczekiwała widzenia człowieka znanego jej dotąd z wizerunków i pochwał, równie jak one upiększających.

Z okien przemknął się jej tylko szczupły, drobny, dziecinnie jakoś wyglądający chłopczek.

Postawiła go w myśli przy sobie i zasmuciła się. Paziem jej... byłby bardzo miłym — na towarzysza życia poważnej Jagiellonki zdawał się niedorosłym jeszcze.

Westchnęła.

Zjawiając się Dosię, której twarz od zimna i od doznanych wrażeń pałała, królowna i panie obstały z ciekawością niezmierną.

Widziała wszystko, przypatrzyła się królowi, mogła lepiej niż drudzy opisać go, odgadnąć.

Zawiodły jednak nadzieje, Zagłobianka weszła zmieszana, a znużenie może teraz się dopiero czuć dające, nie dozwalało jej opowiedzieć tego, co widziała.

Król... król wydał się jej pięknym jak wizerunki, które pokazywał karzeł Krassowski, ale Dosia znajdowała, że męskiego w nim niewiele było, chociaż wdzięk w sobie miał wielki i siłę potężną we wzroku.

Nie opatrzyła się zdradzając, iż ten wzrok spotkać musiała i na sobie go doświadczyć. Dopiero gdy się to z ust wyrwało, usiłowała wytłómaczyć tem, co słyszała od ludzi.

Zagłobianka mówiła jeszcze, gdy nadbiegł Krassowski, który na dole króla do stołu idącego czas miał pochwyć i kilka słów z nim zamienić.

Karzeł ręce na piersiach krzyżując zaręczał, iż Henryk był wszystkim zachwycony, że Polska przeszła jego oczekiwania, a wspaniałość przyjęcia Francuzów w osłupienie wprawiała.

— Nie nowina dla nich — mówił śpiesząc się jak zawsze i sypiąc słowami jakby się lękał, by mu ich nie odjęto — nie nowina dla Francuzów przepych, złoto i srebro, ale takiej fantazyi cudnej, takiego wymysłu i różnaitości, takiego kunsztu w barbarzyńskiej Polsce nigdy się nie spodziewali.

Krassowski nie mówił może wszystkiego co słyszał, lecz rokował jak najlepiej o przyszłości.

Orzeł, który stał na bramie w rynku, wesoło witając pana nowego skrzydłami trzepotał.

Wśród tysięcy ludzi, żadnego nie zgnieciono, nikt się nie poskarżył, nikt nie zginął.

Anna słuchała smutna trochę i zadumana.

W tym dniu o niej wcale mowy nie było jakby nie istniała. Kiedy przybyły miał ją powitać? nie śmiała pytać nawet.

Nazajutrz, z równym przepychem wedle starego obrzędu odbyć się miała koronacja, lecz noc, która ją poprzedziła, burzę się gotować zdawała. Ci, którzy Henryka wyborowi przeciwni byli, podszeptnęli dyssydentom, iż przy składaniu przysięgi wolność wyznań i sumienia pominiętą być miała.

Nie było jej w prastarych formułach, bo wiara żadną reformą zagrożoną nie została, teraz zawarowano sobie w Paryżu dodatkowo przysiężenie dobitne zachowania praw wyznań od katolickiego się różniących.

Artykuł ten stał w wydanych przez króla poręczeniach i paktach, ale duchowieństwo katolickie chciało go pominąć milczeniem.

Kto podszeptnął Firlejowi, iż się to stać mogło i groziło? Kto wieść tę puścił z wieczora pomiędzy wodzów dyssydentów i poburzył nią umysły?

Na zamku już wieczorem przy uczcie różnowiercy się tem obesłali.

Nieprzyjaciele nieprzejednani Firlej i Zborowski, który króla na tron prowadził, zgodni w tym byli, że Henryk swobody dyssydentom poprzysiądz musiał.

Katolickie duchowieństwo wcale o tem nie zdawało się zawczasu uwiadomionem. Arcybiskup naturalnem znajdował trzymać się dawnej formy przysięgi, która mogła przejść niepostrzeżona.

Na przyszłość Henryk miał ręce swobodne, sumienie nie związane niczem.

Szeptano już dokoła stołu gotując się na dzień jutrzejszy, gdy król, Francuzi i duchowieństwo nie miało najmniejszego przecucia tego, co się gotowało na ostatnią chwilę najuroczystszą.

Kościół był przepełniony od rana, a ci, którym szło o to, aby wystąpić mogli z głosem i protestem, zawczasu sobie miejsce zabezpieczyli.

Król przywiedziony uroczyście do katedry zasiadł na przygotowanym tronie, królowna Anna zajęła ze swym dworem łożę jej przeznaczoną, z której raz pierwszy lepiej przypatrzyć się mogła temu, który dotąd zdawał się dla niej przeznaczonym małżonkiem.

Z obawą zwróciła wzrok ku niemu, patrzyła długo, zbladła i ukląkłszy z zakrytą rękami twarzą, modlić się zaczęła.

Rozpoczął się powolnie, uroczyście, śpiewami i modlitwami przerywany obrzęd koronacyjny. Ciska panowała w kościele, królowna modliła się ciągle, a krajczyna klęcząc za nią leż się na jej oczach domyślała.

Nagle przerwano śpiewy. Prymas stał przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwę, król klęczał, oczekując na przysięgę, którą miał złożyć.

Jeszcze chwila i wszystkoby przeszło spokojnie. Wtem wśród momentu milczenia grobowego głos podniósł Firlej i wezwał króla, aby w przysiędze pokój dyssydentom zapewnił.

Duchowieństwo z arcybiskupem stało milczące. Na twarzach biskupów widać było przerażenie, jeden prymas pozostał na oko obojętnym. Niektórzy z pasterzów oczyma się porozumiewając poczęli szeptać i coraz głośniejszy odzywać, iż stara forma zachowaną być powinna. Za nimi głos podniósł Chodkiewicz.

Kościół, o zgrozo! zmienił się jakby w salę obrad namiętnych.

Z pośrodku tłumu wyrywały się coraz krzykliwsze:

— *Pacem inter dissidentes!*

Za Firlejem teraz wstał Mikołaj Radziwiłł, a nawet wojewoda sandomirski Zborowski.

Królewna w łoży klęcząca, przerażona, osłabła odchyliła się od okna, nie chcąc widzieć ni słyszeć co się działo.

Dochodziło do niej głuche jakby warczenie z głębi tłumu, który napęłniał kościół. Namiętne wykrzyki, spór, kłótnie, odbijały się o sklepienia kościelne.

Cizba ciekawa cisnęła się ku wielkiemu ołtarzowi i kołysała jak fala burzą podjęta. Ponad nią widać było ręce podnoszące się do góry.

Groźby warczały w powietrzu.

— Przysięgać musi!

Francuzi obecni temu, wcale nieprzygotowani do tej sceny, nie mogąc przewidzieć końca, zgorzeleni wybuchem, stali przerażeni, dopytując; niektórzy z nich widząc w tem spisek i zasadzkę, chwyтали już za szpady.

Obraz był rzadki w dziejach. Sędziwy arcybiskup, klęczący w oczekiwaniu król, duchowieństwo nieposzanowaniem kościoła oburzone, dyssydenci tem zuchwalsi, iż się czuli mniejszością, pobożni strwożeni, bojaźliwi przewidujący skalanie miejsca poświęconego; wszystko to zmieszane razem, w tłumie ściśniętym walki na gorące słowa, ruch przy cizbie gniotącej słabych, mogło najśmielszych widzów zastraszyć.

Dwukroć biskup chciał przystąpić do króla z dawną formą przysięgi, a krzyki namiętne nie dopuściły go.

Protestowano głośno.

— Nie przysięże pokoju, nie damy korony.

Okolo wielkiego ołtarza było samo ognisko tego boju. Oczy pałały, drżały ręce, szep-tano, naradzano się. Henryk podnosił błagające oczy ku arcybiskupowi, zwracał je ku Zborowskiemu, ale Zborowscy też domagali się zaprzysiężenia pokoju.

Opór był tak gwałtowny, iż uledz mu stawało się koniecznością.

Henryk szeptał do stojących przy sobie, iż gotów jest na wszystko. Nie podobna było przerwać w sposób tak gorszący rozpoczętego już obrzędu.

Arcybiskup uległ woli jego. Jeszcze w głębi kościoła trwały gorące utarczki między katolikami a dyssydentami, nie uspokoił się tłum, gdy król wyrzekł głośno owe żądane:

— *Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo.*

Firlej, który stał najbliżej, podniósł się na stopień ołtarza i zawołał głosem donośnym.

— Senatorowie i posłowie! król złożył przysięgę żadaną, chcecie aby był ukoronowany?

— Przysięgł na pokój dyssydentom! — poczęła wołać szlachta niespokojnie.

— Przysięgł — odparł Firlej.

— Niech będzie ukoronowany! *Vivat rex! vivat!*

Arcybiskup włożył mu na skroń koronę Chrobrego, a w kościele długo jeszcze wrzawa się ukolysać całkiem nie dała.

Królewnę Annę osłabłą wyprowadzono z łoży na zamek.

Zwycięstwo zostało przy różnowiercach, z wielką goryczą i upokorzeniem katolików.

Na chwilę zażegnane było niebezpieczeństwo przywrócony pokój pozorny, ale chwile takiej gorączki zawsze zostawują po sobie niezagojone blizny.

Ci co się ścierali w kościele, pozostali wrogami; rozejm chwilowo zawarty zapowiadał wojnę długą, a pierwsze odniesione zwycięstwo wcale nie ręczyło za ostateczne następstwa w przyszłości.

W kościele wszyscy pozostali ze zburzonymi umysłami, z krwią zaognioną, z na pół w ustach przeciętymi wyrzuty wzajemnemi, które gdzieindziej wysypać się miały. Nikt nie był uspokojony, a duchowieństwo wrzało niechęcią przeciwko burzycielom powszechnego pokoju, chociaż oni należeli do najwyższych kraju dostojników.

Gdy po zasiądzeniu na tronie i odebraniu przysięg od senatorów, król w stroju swym obrzędowym zasiadł z nimi razem do stołu, na twarzy jego i Francuzów widać było nietajoną już ich niechęć ku Polakom, i nieprzejednany wstręt, który się łączył z obawą.

Chwila ta rozstrzygnęła o dalszych stosunkach między obcym panem i garstką jego dworu a krajem, któremu przybywał panować.

Henryk doskonale udawać umiał uprzejmość, przejednanie, wdzięczność, lecz w sercu jego była odraza do tych burzliwych poddanych, którym wcale już nie ufał. Francuzi otaczający go szli dalej jeszcze, milczeli z zaciętymi ustami, ale nieprzejednana nienawiść się w nich zrodziła. Spodziewali się tu uległości, znajdowali nieugięty opór. Sądząc się o wiele wyższymi od Polaków, nie mogli im tych wymagań przebaczyć.

Otoczający króla Polacy starali się dnia tego jeszcze zatrzeć wrażenie smutnej sceny koronacyjnej. Katolicy zrzucili całą winę na bezwstydną zuchwałstwo dyssydentów, Zborowscy starali się króla przekonać, iż chciano jego i ich oszukać.

Wśród tych uroczystości, które mało królowi zostawiały czasu dla zbliżenia się do Infantki, zwrócono wreszcie jego uwagę, że powinien był ją powitać. Czas i godzina wyznaczone zostały.

Z bijącym sercem Anna przygotowała się do tego spotkania. Ona i dwór jej musiały wystąpić z przepychem i wykwintnością, do których od dawna były odwykły.

Henryk, który w czasie tym właśnie krwią pisał listy do pozostałych w Paryżu kochanek, dla kobiet zawsze z nawyknięcia był niesłychanie grzecznym. Natura i wychowanie czyniły go zalotnym, chciał się podobać i te nawet zdobywać serca, o które nie dbał wcale.

Ubrany jak laleczka, okryty klejnotami, woniejący, strojny, zręczny, mimo zużycia wczesnego ujmujący wdziękiem młodości, stanął przed poważną królową, starając się widocznie pozyskać ją sobie.

Jakoż ujął ją i oczarował nie tylko słodkimi słowy, jakimi ją przywitał, ale samym dźwiękiem głosu, uśmiechem i obejściem się pełnym pieśczołliwości jakiejś, która zachwycała Annę.

Całą tę komedię zalotów wzięła ona za szczerą prawdę. Henryk wydał się jej niezrównanie pięknym, niewypowiedzianie łagodnym i miłym. Twarz jej mówiła mu jak wdzięcznie i serdecznie go przyjmowała. Rozmowa toczyła się po włosku, bo Anna mówiła doskonale tym językiem, Francuz zaledwie znośnie, ale umiał się ratować tak zręcznie uśmiechami i gestami, że się mało zdradził z tą niewprawą we włoszczyznę.

W czasie tych pierwszych odwiedzin, które dla zbyt zajętych godzin trwały zaledwie kwadrans, król, który rozmawiał więcej oczyma niż usty z królową, miał nadto czas przebieżać niemi fraucymer, który jej towarzyszył, i znalazłszy wśród niego tę samą twarzyczkę cudownie jaśniejącą pięknnością, która go w męzkim stroju w czasie wjazdu uderzyła mocno, dał poznać Dosi, jak wielkie na nim zrobiła wrażenie.

Po wyjściu Francuzów, i Anna i Łaska i inne panie wybuchnęły z pochwałami dla niego, unosząc się nad tą galanterią w Polsce niewidzianą, grzecznością, słodyczą, obejściem, które upoiły wszystkie panie. Nie tała się królowa, że podzielała to ich zdanie o królu, i na chwilę także rozmarzyła się, dała uwieść nadziei.

Zdawało się jej, że i ona musiała na nim toż samo uczynić wrażenie, a towarzyszki potwierdzały to, i radość dnia tego była powszechna.

Nazajutrz powtórzone odwiedziny, równie krótkie, w ciągu których król z większą poufalością, żartobliwie, wesoło starał się zabawiać Annę opowiadaniem o tem, jak go nowi dla niego ludzie, obyczaj, stroje zachwycały — potwierdziły i podniosły jeszcze dnia pierwszego uczynione wrażenie.

Anna modliła się dziękując Bogu i prosząc Go tylko, aby ten początek szczęśliwy nie prowadził do smutnego rozczarowania i zawodu.

Nie miała dotąd Henrykowi nic do wyrzucenia, był tak niesłychanie zajęty, umęczony, porywany, iż więcej czasu poświęcić jej nie mógł.

O ożenieniu, które miało być włożone w pakta i poręczone, jakoś dotąd nie mówiono wcale, nie ukazywało się ono nawet na bardzo odległym horyzoncie. Milczeli wszyscy, ale honory oddawane Infantce, znalezienie się króla, zdawały poręczać za nie.

Rzeczywiście zaś nikt dotąd ani słowem o tem nie śmiał napomknąć Henrykowi, a on umiejętnie bardzo uprzejmością zwłokę starał się osłodzić.

Anna za siebie upomnieć się nie mogła. Bliżsi jej zdawali się pewni szczęśliwego końca. Biskup chełmski, pani Łaska, Chodkiewiczowa i inne przypuszczane do królowej, ciągle zmuszały ją rumienić się, czyniąc alluzje do małżeństwa i domniemywając się, iż Anna bardzo życzliwą była dla przyszłego pana.

Było to powszechnie uznanem i przyjętem; chodziły gadki po dworze całym, że królowa sprzyjała wielce Henrykowi, że on się jej podobał, że była nim zachwyconą.

O nim nie mówiono wcale.

Tymczasem uroczystości, turnieje następowały jedne po drugich... król musiał występować wszędzie. Anna także ukazywała się tam chętnie. Zamieniano ukłony i uśmiechy.

Gdy się z sobą spotykali, a Henryk zobaczył królową, pozdrawiał ją publicznie z największym poszanowaniem i uprzejmością, Anna rumieniała się jak młode dziewczę.

Coraz żywiej zajmował ją widocznie, trudno to ukryć było — dwór oczarowany wtórował jej gorąco.

Z najmniejszej drobnostki wyciągano wnioski, tłumaczono słowa, nadawano znaczenie wejrzeniom, ruchom i starano się w królowie uczucie rodzące się ożywić.

W ostatni wtorek Anna wraz z królem znajdować się miała na weselu u Zborowskich, którzy opóźniwszy się na wjazd, teraz z całym przepychem pańskim swojego domu występowali sami jedni.

Do dworu Henryka przyplątał się był od dni kilku Włoch, który dowcipem, maskarami, odgrywanymi małemi scenami, figlami różnemi króla i panów zabawiał. O tym signorze Paolo Magnifico, którego poufalej zwano Mago, zdania były podzielone.

Jedni mieli go za prostego trefnisia i kuglarza, który za zarobkiem gonił, drudzy podejrzewali, nie bez przyczyny, iż był szpiegiem ksiąząt włoskich (toskańskich), którzy radzi byli wiedzieć, jaki obrót na dworze polskim miały nadać okoliczności stosunkom Henryka i Infantki.

Wszyscy jednoznacznie sławili Włocha jako niesłychanie zręcznego, śmiałego dowcipnisia, który śpiewał doskonale, błaznował, głosy różne udawał, na cytrze grał, tańcował, maski w rozmowy improwizowane wprowadzał i sam z niemi sceny zabawne odegrywał, tak że najsmutniejszych mógł do wesołości zmusić.

Śmieli się z niego nawet ci, co go nie rozumieli, tak wiele i dobitnie sama twarz jego mówiła.

Mężczyzna był urody pięknej, gibki, zręczny, mający talent Włochom łatwo przycho-
dzącej mimiki, rozwinięty do wysokiego stopnia, a szczególnie zdumiewający śmiałością i rzutkością słowa.

Półtrefniś Mago, korzystając ze swej roli, pozwalał też sobie wiele.

Miano dawać do stołu, królowa otoczona paniami swemi wysła tylko co na pokoje, gdy jej oznajmiono Włocha Mago, jako posła od króla, a wnet za pazim wpadł signor Paolo z ukłonami do ziemi, ze śmiechem, z potokiem słów, który całe towarzystwo do zapustnej wesołości nastroił.

— Miłościwa królowo — zawołał od progu — jestem posłem nietylko króla, ale wesela! Za mną idą w ślad śmiechy i pustota! Są to dni, w których Kościół pozwala figle stroić, nim głowy popiołem posypie, a Najjaśniejszy król polski radby ani jednej pośepnej twarzy nie widzieć w całym swem państwie. Przynoszę pozdrowienie od stęsknionego pana, którego senatorowie nudzą, aż mu uszy od mów bolą. Sam nie mógł przybyć, niestety...

Królowa przyjęła go z uprzejmym uśmiechem.

— Jakże się wam Polska wydała po Włoszech? — spytała.

— Cudownie — rzekł Mago — ale więcej w niej złota niż słońca, i futra niż gorąca. Naród rycerski, a śmieje się bardzo ładnie.

Króla dziś — dodał — w Rynku miasto przyjmuje, gdyby napalić choć kazali. Prawda, że tu w złotych dzbanach płynny ogień leje się obficie.

Misy już na stół podawać zaczęto i panie stanęły przy swych krzesłach, a królowa z Włochem rozmawiając i słuchając dowcipów jego, nie myślała siadać.

Sądziła może, iż go rychło odprawić potrafi. Włoch chciał dłużej pozostać i rachował zapewne na przypuszczenie do stołu.

— Miłościwa Pani — odezwał się ciszej — polewka stygnie, a wy nie spieszycie do niej? Miałoby być powodem tego zadumania, że wczoraj król dotknął jej ręki?

Zarumieniała się niezmiernie Anna, usłyszawszy śmiały ten wykrzyk, ale może nie było jej przykrem, że upatrywano między nią a Henrykiem zawiązujące się bliższe stosunki.

Kazała stolik nakryć przy sobie dla Włocha, który nie przestał prześladować ją Henrykiem, dając do zrozumienia, iż i on zajęty jest Infantką.

Od trefnisia trzeba to było przyjąć bez gniewu. Mago razem jadł, pił za zdrowie króla i ośmielił się prosić Anny, aby i ona razem to drogie wychyliła zdrowie, czemu się ona wcale nie opierała.

Zmusił potem wszystkie panie, aby i one za pomyślność tak pięknego, młodego i tak dziwnie dobrego króla wychyliły kubki.

Naprzeciw niego w końcu stołu siedziała Dosia, którą Włoch tak jakoś ścigał oczyma napastliwie, jakby do niej też miał szczególne poselstwo. Nie przeszkadzało mu to bawić Infantki, rzucać dowcipami, odegrywać zarazem rolę starych, młodych, dzieci i pań, których głosy przybierał z kolei.

Ze wszystkich siedzących u stołu, tylko królowna, dwie panie cokolwiek i Zagłobianka rozumiała dobrze po włosku. Parę też razy wmięszała się do rozmowy bardzo zręcznie, co Włocha jeszcze więcej ożywiło.

Rzucił jej przez stół parę komplementów, które zapłaciła śmiałym wejrzeniem.

Pod koniec obiadu dosyć nadworowawszy przy królownie, coraz coś nowego wymyślając dla zabawy, Mago zaczął biegać około stołu i z mimiką przedstawiać razem dwu kłócących się z sobą o piękną panią młodzieńców. Zmieniał tak twarz, postawę i głosy, że w istocie zdawać się mogło, iż nie on jeden, ale dwu innych było ludzi. W tej wędrówce około stołu, skończywszy scenę wybornie odgrywaną, za którą królowna podarek kilkadziesiąt skudów wartujący przynieść mu kazała, Mago znalazł sposobność rozmówić się z pięknym dziewczęciem, tak że nikt nie spostrzegł tego.

— Signorina! — rzekł żywo — klnę się na piękne oczy twoje, iż mam do was polecenie, ważniejsze może niż to, które królownie przyniosłem.

— Do mnie? od kogo? — przerwała dumnie Dosia.

— A! nie marszczcie brwi tak groźnie! Cześć wam to przynosi — zawołał Mago. — Król sam rozmiłowany jest w was.

— Czy to żart zapustny? — odparła Zagłobianka.

— Nie, najrzetelniejsza prawda! Gdym odchodził szepnął mi, abym przy podanej zręczności odniósł wam westchnienia od niego.

— A was wybrać za posła, was co śmiech nie westchnienia nosić zwykliście?

— Jak gdyby westchnienie w radość i szczęście się zmienić nie mogło? — rzekł Mago śpiesznie. — Mnie zlecono tylko odnieść, że jesteście bosko piękna, czy równie okrutna?

— Zgadliście — rozśmiała się Dosia — mężczyźni nie wierzą żadnemu.

— Ani królowi?

— Mniej niż innym! bo dla nich ludzie zabawkami.

Włoch więcej mówić nie mógł.

Po obiedzie trwała jeszcze rozmowa ożywiona bardzo z godzinę, a królowna z początku dosyć milcząca, powoli tak jakoś dała się Włochowi ożywić, iż z ust jej uśmiech nie schodził.

Mago, który może nie bez przyczyny przypisywał to częstemu przypominaniu Henryka i zręcznemu prześladowaniu królownej, nie przestawał mówić o nim, wynosząc dobroć, słodycz i szczodrobliwość jego pod niebiosami.

Nie wiadomo jak długoby Mago pozostał tu ujęty łańcuchem, który mu Łaska przyniosła, gdyby dwóch królewskich posłańców nie przybiegło po niego. Czas nadchodził, gdy Henryk wprost z Rynku, na którym przyjmował hołd miasta Krakowa, miał się udać na wesele do Zborowskich.

Królowna być tam miała także.

— Poprzedzę W. Kr. Mość — odezwał się żegnając Włoch — i wiem, że będę dobrze przyjętym, gdy przyniosę wesołą nowinę, iż król widzieć was tam będzie.

Odmłodzona, odżywiona Anna poszła się stroić i, co nigdy nie bywało, troszczyła się o swe ubranie, pytając Łaskiej jak ma włosy utrefić, co włożyć na głowę i jaka suknia najlepiej przystanie jej, tam gdzie się jako królowna odznaczyć czemś musiała.

Ze skąpo pozostawionych córkom przez Bonę klejnotów, które na odjeździe niechętnie im wydzieliła, musiano dobyć najpiękniejsze, najdroższe, bo Henryk zawsze najwytworniej był przybrany, z niewieścią elegancyą, a kolczyki jego z dużych pereł w jednych podziwieniu, u drugich śmiech pobudzały.

Nie lada to było wesele panów Zborowskich, na którym król i królowna znajdować się mieli. Rodzina, która się tem szczyliła, że ona tron polski dała Henrykowi, zawsze

ze krwi i ducha była butną i nikomu nad sobą przewodzić nie dała. Powodzenie jakiego doznała czasu elekcyi, pokonawszy cesarskich i cesarza, wbijało ją w tem większą dumę.

Zdało się panom Zborowskim, że oni teraz w tem królestwie obok Tarnowskich, Tęczyńskich, Melsztyńskich i najstarszych rodów zająć miejsce byli powinni. Jastrzębiec nie wydawał się im gorszym od Topora i Leliwy.

Mniej dotąd na widoku ród panów Zborowskich i w dostatki urósł i w dumę z nich a siły swej niezmierną. Obok niej mieli Zborowscy to co ją podwaja: śmiałość, odwagę, powiedzmy, zuchwalstwo ogromne. Wszyscy ludzie rycerscy, silni, odważni, nieulękni, mieli temperamenta warcholów, którzy gdy nie mogą bić się i walczyć, tęskno im, a gotowi szukać powodu, aby dobyć szabli i ująć za toporek.

Tam gdzie kilku Zborowskich głos podniosło, nikogo już więcej słyhać nie było, tak, nawet spokojnemi będąc, wykrzykiwali.

Wszyscy lubili błyszczeć, popisywać się, przodem iść, nikomu przed sobą nie dać wziąć kroku. Mówiono, że na wjazd królewski spóźnili się nie przez winę że się źle obrachowali, ale umyślnie, aby teraz sami występując z rycerstwem nadwornem okrytem stalowemi kolczugami, błyszczącemi jak srebro, popisać się mogli.

Na wesele to, które król i co było najprzedniejszego w królestwie zaszczycić mieli swą przytomnością, nie żalowano nic. Nietylko gości, ale gawiedź miejską, która kamienicę obiegała, karmiono i pojono kosztem nowożeńca. Stawiano jej beczki po beczkach, aby wiaty pod oknami wykrzykiwała.

Dwór i służba w szkarłatach od srebra i złota, z królewską mogła iść o lepszą. Wesele to Kraków miał długo pamiętać, bo podobnego mu nie widział oddawna.

Wprost z Rynku, gdzie na majestacie zasiadał, Henryk poszedł do kamienicy Zborowskich, zaledwie strój uroczysty zamieniwszy na nieco lżejszy. Towarzyszyli mu wszyscy jego Francuzi, Pibrak, który był nieodstępny, bo zawsze prawie za króla głos zabierał, książęta i panowie, z podziwieniem ale z niezbyt ukrywaną ironią przypatrujący się polskim obyczajom, wydającym się im dziwnymi trochę.

Raził ich jaskrawy przepych polskich panów, serdeczna otwartość, swoboda i rubasność słowa, ta szczerłość wielka, z jaką tu miłość i nienawiść się wyrażała na nic nie oglądając.

Oni umieli doskonale przymilać się nienawidząc, uśmiechać, gdy gryźć chcieli, kłamać usty, oczyma, słowem i postawą, gdy tu wszystko leżało jak na dłoni. Nie napadano po kryjomu i po ciemku, nie zabijano po kątach, ale codzien i na ulicach i po domach zrywano się do szabli, a potem często ludzie sobie padali w objęcia i przyjaźń poprzysięgali.

Francuzom się to wydawało śmiesznem i zbyt prostodusznem.

Scena w czasie koronacyi w kościele zostawiła po sobie w początku i kwasy i obawy, które się powoli zacierać i łagodzić zaczynały. Francuzi jednak pozostali nieufni, podejrzliwi i niechętni.

Po królu, który lepiej od innych komedję grać umiał, trudno było poznać co się w duszy jego działo. Przed Polakami zaręczał, że zapomniał o wielkiej doznanej przykrości, do której powodu nie dał. Dwór jego milczał grzecznie i unikał o tem wzmianki. Na twarzach, gdy cokolwiek się zapomnieli Francuzi, widać było niepokój i obawy.

Wielu z tych, którzy tu pozostać obiecywali przy królu, zaczynało pod rozmaitemi pozory wybierać się do Francyi.

Stosunki z nią, pomimo dosyć utrudnionych przez Niemcy podróży, były niezmiernie ożywione.

Mówiono, że król wszystkie wolne chwile spędzał na pisaniu listów do matki i kochanek. Codzień przybiegali posłańcy, codzień ztąd wyprawiano zaledwie wypoczętych.

Czuć było, że Henryk całą duszą i sercem był nad brzegami Sekwany i że stokroć go więcej obchodziło to co tam niż co w Polsce i Krakowie się działo.

Gdy listy przywożono, gdziekolwiek się król znajdował, natychmiast mu je przynosić musiano, a gdy dnia którego brak ich było, tęsknił i niepokoił się.

Panowie senatorowie widzieli dobrze, iż Henryk dotąd ze sprawami polskimi wcale się nie obeznał i nie brał ich do serca, ale obiecywali sobie, iż się to z czasem zmienić musiało.

Zabawiano go, rozrywano, czynił każdy co mógł, ażeby król się nie nudził i nie tęsknił po Paryżu.

Do Zborowskich, oprócz liczego dworu polskiego, wszyscy Francuzi zaproszeni tłumnie się zebrali.

Zdawało się, że od koronacy dali sobie słowo na chwilę pana swego nie opuszczać i czuwać nad nim, jakby się obawiali Polaków.

O ile sam król był grzecznym i uprzejmym dla wszystkich, towarzyszący mu książęta i dwornia jego butą i lekceważeniem zrażała Polaków. A że się z niemi trudno było porozumieć, bo języka nie rozumieli, a nie wszyscy łacinę znali, nieustanne ztąd wynikały nieporozumienia.

Gdy króla wprowadzono na pokoje, a państwo młodzi i rodzina ich otoczyła go, zaczęto obnosić wino i słodycze, odezwała się muzyka, młodzież zabierała się do tańca, ale król oświadczył, że potrzebuje spocząć nieco. Posadzono go więc na przygotowanym tronie w głębi sali i koło niego co było przedniejszych osób zbierać się zaczęły.

Henryk udawał ożywionego, wesołego, wszystko niepomiernie wychwalając.

Trochę późno ukazała się ze swoim fraucymerem wybranym, z Zosią Łaską, z Dosią Zagłobianką, z krajczyną i z kilku starszemi paniami, poważna królowa Anna.

Weszła na pokoje wprowadzona przez gospodarzy, zmieszana nieco, a król z uprzedzającą grzecznością natychmiast zbliżył się aby ją powitać.

Z boku stojący mogli wnosić z jego postawy, iż wielce pragnął ująć sobie Infantkę, a na jej też twarzy widać było radość z tego i rozpromienienie.

Pomimo tej dobrej zgody dwojga, jak sądzono powszechnie, przyszłych małżonków, jedno spojrzenie na nich, ogromną różnicę ich wieku dostrzedz dawało.

Świeża jeszcze, ale resztkami tylko młodości kwitnąca Jagiellonka, obok Henryka wydawała się starszą, on przy niej wyrostkiem zaledwie. Strój obcisły, elegancki, ale wyszukany po niewieściemu, wstążki, koronki, klejnoty, utrefienie włosów odmładzały go jeszcze.

Ironiczny uśmiech mógł uchodzić za serdeczność i dobroć, Anna się nim ludziła, lecz starsi ludzie patrząc zdala potrząsali głowami.

Rozmowa z Infantką wpośród tłumu ciekawie się jej przypatrującego, bo podsłuchać dla gwaru i muzyki było trudno, zdawała się obrachowana nie tylko na ujęcie jej, ale na okazanie wszystkim, iż Henryk myślał o spełnieniu swych zobowiązań — o ożenieniu.

W myśli Henryka i Francuzów było to tylko fortelem potrzebnym dla pozyskania czasu. Wiedzieli, choć z krótkiego doświadczenia, że w Polsce brano wszystko za dobrą monetę.

Odprowadziwszy Annę na miejsce dla niej i pań przeznaczone, Henryk z Francuzami w tłum się wmieszał, z przyjemnością widoczną przypatrując pięknym twarzyczkom dziewcząt i pań polskich, których ciekawe oczy ku niemu skierowane były.

Z wszystkich jednak, Dosią najwięcej Henryka ku sobie pociągała, może tem, że ją naprzód w ulicy widział w męzkim stroju. Dworacy już się dla niego dowiedzieli o jej sieroctwie, charakterze, niepospolitem wykształceniu, umiejętności języków, i Villequier ulubieniec pański, szczególnie sprawami serca i miłostkami króla zajęty, powtarzał, że to była losem dla niego wyznaczona kochanka.

Wcale Francuzów nie zdawało się zrażać, gdy im zaręczono, że panna była dumną i nieprzystępną.

Wśród tańców, przeznaczone dla zabawiania gości na różny sposób maskary różne przybywać zaczęły i mieszając się z tłumem, figle wyprawiać, dowcipnemi słówkami drażnić.

Domyślano się pomiędzy temi maskami Maga i jego towarzyszków, o których król wiedział i życzył sobie, ażeby się tu znajdowali dla rozbawienia towarzystwa, lecz oprócz Włochów, których liczba była wiadomą, masek daleko więcej znalazło się wkrótce.

Pibrak, Bellievre (poseł francuzki), Villequier, Souvray i inni mieli baczność na pana, aby nie każdemu dozwolić się do niego docisnąć, lecz nie mogli od następujących masek obronić.

Jedna szczególnie, zdająca się młodym chłopakiem, zręczna, gibka, przeciskała się przez najciaśniejsze gromadki, wślizgała między stojących szczerlnie, i długo tak przewijając, potrafiła w końcu dostać do Henryka.

Zręczna ta figurka wprzód już musiała na siebie zwrócić jego uwagę i wydać mu się nie straszną, gdyż zbliżając się zaczepił. Król zmuszonym tu był posługiwać się językiem włoskim, który daleko więcej osób rozumiało niż francuzki. Na zapytanie rzucone za kim gonił i kogo szukał, zagadnięty odparł po francuzku.

— Ciebie, najjaśniejszy panie.

Dźwięk mowy był tak czysty jakby nie z ust cudzoziemca wychodził.

— Masz co do mnie? — zapytał król.

— Bardzo wiele, gdyby po temu czas i miejsce było! — zawołał zamaskowany.

Henryk popatrzył bacznie, maska wesoło podrygując mówiła dalej.

— Żal mi was, najjaśniejszy panie!

— Mnie?

— A! tak! grozi ci tu więcej niebezpieczeństw, niż twoi przewidują, niż ty sam domyślać się możesz.

Henryk spoważniał.

— Chcesz mnie nastraszyć — rzekł — ale wiedz, że to niełatwo.

— Wiem, że masz męztwo — poczęła maska — ale nie dosyć odwagi, potrzeba ostrożności.

Widzisz tę kobietę, którą ci, jak na szyderstwo, przeznaczają za żonę, gdy ona matkąby ci być mogła. Wiesz, jaką była jej matka i co ona po niej wzięła w spuściznę?

Bona wojowała trucizną i czarami, a to nieodrodna jej córka.

Całemu światu wiadomo, że ona otruła brata, aby po nim skarby odziedziczyć; wszyscy wiedzą, że czarownicą jest, że czaruje niepochwyconemi sposobami.

Henryk pobladł, zwrócił oczy na maskę, ale nic nie odpowiedział.

— Strzeż się jej, nie zbliżaj! pamiętaj... Usidli cię, opanuje...

Pierwszy to raz do uszu Henryka dochodziły te potwarze i nie dziw, że na nim głębokie uczyniły wrażenie, tak że odpowiedzieć nie umiał i nim się zebrał na słowo, maska wysliznęła się szybko, wmięszala w tłum, znikła.

Villequier stał niedaleko, Henryk szepnął mu, aby się starał uchodzącego zatrzymać i dowiedzieć kto był, lecz nim Francuz zdołał się za nim precyzyjnie, maski nie było już śladu, a dopytywani o nią wszyscy się tem składali, że nie znaną im była.

Henryk nie wziął może bardzo na seryo tych ostrzeżeń, ani im dał wiarę, chociaż powodów i celu takiego oszczerstwa trudno mu było dociec, zawsze jednak śmiała ta potwarz utkwiła w jego pamięci. Rzucił wzrokiem na poważną Annę i myślał, że czarownicą i trucicielką być może, inaczej mu teraz wyraz twarzy jej tłómaczyła.

Niczego naówczas nie lękano się tak jak czarów i uroków, tych tajemniczych środków pozbywania ludzi, przyciągania ich ku sobie, władania nimi, które znane być miały adeptom czarnego kunsztu.

Musiał jednak król, którego wkrótce otoczyli panowie, przybrać znów wesołe oblicze, i nie dawać poznać po sobie, iż trwogę miał w sercu.

Nie zbliżył się już do Anny, natomiast Villequier wypatrzywszy chwilę, gdy Dosia Zagłobiankę do tańca wzięto, podprowadził tak Henryka, aby mógł z nią zawiązać rozmowę.

Nikogo ona dziwić nie była powinna, bo wiadano, że Dosia jedna prawie z kobiet umiała po francuzku, a to starczyło, aby króla ku sobie pociągnąć mogła.

Zagłobianka widziała, że się ku niej Henryk przybliżał, udawała jednak, iż się tego nie domyśla, i gdy Henryk zagadnął ją tem, że czasu wjazdu widział po mężku przebraną, odparła zarumieniona.

— Wiadomo światu, że kobiety są bardzo ciekawe.

— Cieszę się z tego — odparł król — bom miał sposobność widzieć najpiękniejszą z kobiet, w najlepiej jej służącym stroju.

Dosia spuściła oczy.

— Nie powinnabym się przyznawać do popełnionej winy — rzekła — ale mam nadzieję, że W. Kr. Mość ani mnie karać, ani wyśmiewać nie zechcesz.

— Ja? — zawołał król — przeciwnie, na wszystkoby wam pozwolił, byle łaskę pozyskać.

— Łaskę? — rozśmiała się Dosia, kryjąc twarzyczkę wachlarzem, a z ukosa spoglądając na króla.

— Wierzcie mi — pośpiesznie, korzystając z czasu, dodał Henryk — że mi wielce o to chodzi. Wy tu jesteście jedyną, na którą po dniach całych patrzeć się chciało.

To mówiąc król, któremu Villequier dawał znaki, aby rozmowy nie przedłużał, pochylił się jeszcze do Dosi, szybko coś szeptać jej zaczął, i oddalił się żywo, bo już oczy na nich się zwracały.

Nie zdziwiło to przecież tak bardzo nikogo, iż król do ładnego dziewczęcia przemówił słów parę, zwłaszcza że naprawiając to, zwrócił się do kilku innych pań z grzecznościami, aby dane pierwszeństwo jednej nie raziło.

Poza tańczącymi stał nieszczęśliwy Talwosz. Inaczej go teraz nazwać nie było można, istotnie był nieszczęśliwym.

Kochał Dosię całą siłą serca, a nie szło mu nawet o to, aby ją dla siebie pozyskał — trwożył się, ażeby ona nie upadła i w oczach jego nie została zrównaną z temi, ponad które on ją tak wysoko wynosił.

Czuł i przewidywał, że się jej główka zawrócić mogła, a Zagłobiance słowa powiedzieć nie było można, tak siebie pewna szła, nie zważając na nic.

Napróżno chciał sobie tłómaczyć Talwosz jej powolność dla króla tem, że dla Anny u niego pożyteczną być zamierzała. W oczach jej, w wyrazie twarzy czytał jakiś poczynający się szal, jakąś zapowiedź zapomnienia się i rzucenia w przepaście.

Od Francuzów łatwo się było dopytać, jakie życie i obyczaje panowały we Francyi, sami się oni z tem zdradzali. Talwosz wiedział, że kobiety były płochy, a mężczyźni w stosunkach z niemi zuchwali.

Drżał z obawy o Dosię.

Jak tylko mógł później zbliżyć się do niej, nie strzymał tego, co mu serce przepelniało.

— Panno Doroto — rzekł — wieszować czy boleć, nie wiem, ale król widocznie za wami goni. Jemu się nie dziwuję, ale dla was...

Odwróciła się gniewna.

— Cóż dla mnie? — odparła szydersko. — Sądzicie, że zaszkodzić mi to może nawet, gdy kto spojrzy na mnie?

— Jest taki wzrok co zabija, powiadają — odezwał się Talwosz — to wzrok bazyliuszka, ale jest i taki co plami.

Oburzona zmarszczyła się dziewczyna.

— Wstąp wpan do klasztoru, abyś miał prawo na weselach prawić kazania! — rzekła śmiejąc się ale gniewnie. — Narzucasz mi się za opiekuna, nie mogąc być czem innem.

— Przyjacielem byłem i będę, choćbyście na mnie kamieniem rzucali — rzekł kłaniając się Litwin — od was przyjmę wszystko, kiedyś poznacie mnie lepiej.

Zagłobianka zmierzyla go pogardliwym wzrokiem. Talwosz milczał i usunął się.

Zabawa nadzwyczaj ochocza, coraz się stawała bardziej ożywioną, ale król pod pozorem znużenia dłużej zabawić tu nie chciał. Poszedł pożegnać królową, chociaż nie zbliżył się już do niej i ukłonem tylko uprzejmym uszanował. Zaraz potem w towarzystwie swoich Francuzów i Tęczyńskiego młodego, przeprowadzany przez Zborowskich, wsunął się do oczekującej kolebki.

Wiedzieli już panowie Zborowscy, iż Tęczyński ten przez króla miał być do osoby jego przywiązany i marszałkiem lub podkomorzym mianowanym, co w nich zazdrość obudzało.

Stary ten ród zajmujący znowu stanowisko najbliższe króla był solą w oku Zborowskim, którzy sobie pierwsze prawa rościli do otoczenia Henryka i zawładania nim.

Samuel, który odwiódłszy do kolebki króla pozostał chwilę z braćmi u drzwi, nasrożył się okrutnie.

— Patrzcie no ich! ledwieśmy parę dni zaspali, już się wcisnąć, przypochlebić i uprzędzić nas potrafili! Leczą, na Boga, myślą się sądząc, że oni nas zepchnąć potrafią poza siebie. Wiemy co nam należy, a nie zechce król czynić co powinien dla nas, damy mu się lepiej we znaki niż na koronacyi.

Daliśmy mu koronę, to ją zdjąć też potrafimy.

Wrzał pan Samuel, starano się go powściągnąć, bo wielu ludzi słuchało, ale na to on baczenia mieć nie chciał.

— Wszystko to sprawy są katolików — przerwał któryś z dyssydentów — nie o panów Zborowskich chodzi, ale o ujarzmienie sumień naszych i o wprowadzenie inkwizycji, albo

o rzeź taką jaką w Paryżu zarządzili! Król przysiągł, ale go z przysięgi papież rozwiąże, byle się pozbyć nienawistnych.

Ani pora, ani miejsce było do podobnej rozprawy, którą dochodząca otwartymi drzwiami wesola muzyka głużyła. Nie odpowiedział więc pan Samuel, ale na twarzy jego namiętne widać było poruszenie.

Wszedł z braćmi napowrót do izb przepelnionych jeszcze wesołymi gośćmi, którzy nie zdawali się zważać na to, iż północ nadchodziła, a z nią post wielki się rozpoczynał. Z pewną ostentacją chciano tańcami przeciwko surowemu zachowywaniu katolickiej powściągliwości protestować.

Na dzień następny w zamku miasto innych zabaw rano był turniej zapowiedziany, a król sam obiecywał wziąć w nim udział, biegnąc do pierścienia i chcąc w tym zręczność swą okazać.

Samuel Zborowski spodziewał się znaleźć przeciwnika godnego siebie i zetrzeć się z nim w turnieju.

Noc popielcowa, która wesołe krakowskie zamykała zapusty, mało komu zasnąć i spocząć dozwoliła. Jedni potrzebowali rozprawić się z przeszłością i ocenić to co przeżyli, drudzy obmyśleć co mieli jutro poczynać.

Od pierwszych dni to uważano, że młody król i jego towarzysze Francuzi z niecierpliwością wyglądali zawsze chwili, gdy mogli sami z sobą pozostać.

Jeżeli choćby jeden Polak, nawet tak miły królowi i zaufany jak Jan z Tęczyna, był z nimi, Francuzi wstrzymywali się, miarkowali, na pół przegryzali słowa, spoglądali na siebie i zamykali ostrożnie. Chwalili wszystko.

Dopiero gdy pozostali sami, gdy Henryk miał tylko około siebie swą wierną służbę przywiezioną z Paryża, straż pilnowała drzwi, i w pokojach królewskich rozpoczynały się zwawe rozprawy, śmiechy, swawole, a niekiedy wrzawliwe rozmowy, w których podsłuchujący pode drzwiami pięknych i ciekawych rzeczy mógł się o Polakach dowiedzieć.

Prawda, że nie lepszych może o Francuzach by się nasłuchał, tam gdzie Polacy sami byli, a obyczaj ich i sprawy przyszło im sądzić.

Król, który już po owej burzliwej koronacji ręczył, że zapomni o wszystkim i przebaczył co doznał, w rzeczy zachował na dnie serca żal i pragnienie odwetu. Chwila ta wpoila w niego dla narodu, któremu miał panować, niechęć i odrazę do niego niepoko-naną.

Dworacy nie tylko mu wtórowali, ale szli daleko dalej od niego. Pomiedzy nimi nie było ani jednego, któryby się starał pojednać, złagodzić, wytłómaczyć, wszyscy obwiniali. Czuli oni i Henryk, że długo tu wyżyć nie potrafią.

Tęsknota za Francją rosła razem z nowinami odbieranymi, które donosiły o złym stanie zdrowia Karola IX., a nie było wątpliwości, że królowa matka w razie katastrofy, choć oddalonego będzie się starała na tron wprowadzić Henryka.

Błysk tej, choć jeszcze oddalonej nadziei, czynił Polskę i koronę czemś tak mało znaczącym i tymczasowym, że tu na przyszłość wcale pracować nie chciano. Szło tylko o to, żeby przeżyć jako tako, a dworacy króla starali się mu ten czas pokuty uczynić znośnym.

Z Francuzów, kto tylko mógł i znalazł najmniejszy pozór, wymykał się nazad do Francji, nie zapominając z sobą zabrać prezentów, jakimi go w Polsce obsypano. Odjeżdżającemu zazdrościli pozostający.

Króla nazywano po cichu męczennikiem. Henryk tęsknił za kochankami opuszczone-mi, do których krwią wyklutą z palca pisał listy, wzdychał do porzuconych nad Sekwaną faworytów, wzdrygał się na piwo polskie, które czasem brał do ust dla przypodobania się panom i szlachcie, i był najnieszcześniejszy.

O zameścium z Anną ani mowy być nie mogło.

Gdyby mu nawet nie podszepnięto, że była czarownicą i że otrula brata, sam widok niemłodej, smutnej, poważnej kobiety, dla płochego pana był wstrętnym.

Lecz właśnie dlatego, iż się wcale żenić nie myślał, musiał być dla niej niezmiernie uprzejmym, postanowił nadszpeciwać, chciał ją tem uspić.

Później spodziewał się z tą garstką panów, która małżeństwo widziała również niepolitycznym, bo chciała ożenienia, któreby dynastję zapewnić mogło, uwolnić się z więzów przyrzeczenia, a Annie zapewnić byt spokojny.

W pierwszej tej chwili nagle nie godziło się wystąpić, Henryk więc wyrachowanie musiał tak się obchodzić z Infantką, jakby w istocie o ożenieniu z nią myślał.

Nic dziwnego, iż się tem nietylko królowna złudzić, ale dwór jej dał zupełnie obałamuć. Panie wszystkie prorokowały ożenienie i szczęście wielkie.

Anna uśmiechała się milcząca.

Czasem ją ostrzegało to co przeżyła, iż ludzić się nie powinna była, ale marzenie zbyt było słodkiem, aby mu się nie poddać.

Donoszono jej skrzątnie o wszystkim, co mogło dowieść, iż Henryk się nią zajmował, krajczyna nie wątpiła, że musi się żenić. Wielu panów senatorów było tego najmocniejszego przekonania. Stał przecie gdzieś ten warunek w podpisanych zobowiązaniach.

Po weselu u Zborowskich król powróciwszy na zamek, pod pozorem wielkiego znużenia natychmiast panów polskich odprawił, nawet Tęczyńskiego, Francuzi z nim pozostali sami; był to moment dla nich, w którym dopiero się rozpasać i usta śmiało otworzyć mogli.

O obrzędzie hołdu w Rynku niewiele się dało mówić: był świetny i nużący; zato wesele wcale różne od francuzkich, o wiele rubaszniejsze, dziwiło razem i śmieszyło.

Stroje pań podstarzałych wedle krajowej mody, niektóre czółka wysadzane jeszcze z XV. wieku pochodzące, suknie kosztowne nie terażniejszym krojem, wszystko aż do form tańca i muzyki dla Francuzów dziwaczne i śmieszne się wydawało.

Zborowskich jaskrawy przepych, popis z bogactwy, zuchwałe ich mowy i obejście się, mowa krzykliwa ulegały krytyce.

Villequier nie mógł się wydziwić niezmiernej ilości piwa, jaką Polacy w siebie wlewali i przyprawom potraw, których dla piekących korzennych sosów w usta wziąć nie mógł.

— A! — zawołał król, który już się nie potrzebował pomiędzy swojemi ze zdaniem kryć i wszystko chwalić — powiniecie sobie panowie powiedzieć, iż jesteśmy w kraju niedźwiedzi i nie dziwić się już niczemu. W czasie wjazdu widzieliście przecie wśród pacholków nie wiem którego wojewody niedźwiedzia na koniu z tarczą w łapach, był to obraz kraju i jego mieszkańców najwierniejszy.

— Ba! — przerwał niemłody już siwiejący, ale żywy i ruchawy doktor królewski Miron. — Bądź co bądź kraj to ciekawy. Z pomiędzy panów mało który nie zna i obcych państw, i cudzych języków, wszyscy wiele widzieli i uczyli się, a żadnego z nich to nie przemieniło. Klimat ich chyba takimi czyni.

Król stał zadumany.

— Kobiet pięknych jest dużo! — rzekł cicho.

— A! — przerwał Villequier — cóż po tem, wszystko to zimne, nieokrzesane, naiwne aż do śmieszności, a galanterya, słodkie słowa dla nich stracone. Paryska mieszcanka więcej ma dowcipu niż te panie najświetniejszych imion.

— Wyjątek musicie uczynić — odezwał się król — dla tej panienci z fraucymeru Anny, która Paryżanką i księżniczkąby być potrafiła, nietylko pięknnością ale dowcipem.

— Tak — zamruczał Villequier — ale zuchwalstwo i odwagę ma czysto polską, a niewieściego mało.

— Dziwnie piękną się wydawała — odparł Henryk — gdy czasu wjazdu po mężku była przebrana.

Souvray, jeden z ulubieńców króla, rozśmiał się.

— Lękam się wielce o tę pięknosc — rzekł — chociaż broni ją to, że do Infantki należy.

Do pokoju króla wszedł w tej chwili młody Jourdain, który się liczył do najmilszej królowi garstki jego towarzyszków.

— Na jutro gotuje się nam bodaj dramatyczny turniej — rzekł złośliwie. — Samuel Zborowski zatknął na placu swoją włócznię i postawił tarczę, ofiarując się na cześć króla z równym sobie stoczyć bój.

— To będzie igraszka — odparł Henryk. — Zmówią się z kimś pewnie, aby sobie zbytniej nie zrzadzili szkody.

— Nie wiem — dodał Jourdain — ale zdaje mi się, że jeśli było co ułożonego, to się nie powiodło. Wieczorem prosty służalec hrabi z Tęczyzna, jakiś Kroata, porwał podobno włócznię i uniósł ją z sobą, wyzywając Zborowskiego.

Mówią, że pan Samuel dowiedziawszy się o tem, wściekły się odgrażał na Tęczyńskiego, utrzymując, że namówiony sługa afront mu ten uczynił.

Naturalnie z podłym Kroatą bić się nie będzie, ale wyzwie jego pana.

— Miałżeby istotnie tę złośliwą intencję Tęczyński? — zapytał król. — Nie spodziewam się. Waśni i tak jest dosyć.

— Nie wiem — mówił Jourdain — sądzą o tem różnie, ale są ludzie, którzy utrzymują, że między Zborowskimi a Tęczyńskimi nienawiść jest stara, i że to ją na nowo rozjątrzy.

— Niepodobna — przerwał król — aby mi tu chcieli uroczystości zawichrzyć i trudności przymnożyć; potrzeba o tem mówić z Tęczyńskim, jest to człowiek łagodny i spokojny.

— Tak, ale z raz podrażnionym Zborowskim trudniej będzie — rzekł Villequier. — Wszyscy oni ile ich jest, stworzeni się zdają, aby nikomu pokoju nie dali i sami go nie mieli nigdy. Walka jest ich żywiołem.

— Mogą ją na później odłożyć — odparł król. — Proszę was, starajcie się, aby do żadnego wybuchu nie przyszło.

— Zborowskim wiele król winien, to rzecz niezaprzeczona — wtrącił Pibrak, który się dotąd do rozmowy nie mieszał — co tylko można, uczynić potrzeba, aby urażonymi nie byli.

— Ale i Tęczyński jest mi miłym — rzekł król, zwracając się ku niemu. — Jest to charakter szlachetny, człek rycerski i daleko mi sympatyczniejszy od tych krzykliwych Zborowskich.

— Mówią powszechnie — dodał Pibrak krzywiąc się — że ich dom to istne osiegniasto. Niema tam nigdy spokoju. Żołnierze dobrzy, odwaga w nich nieustraszona, ale duma niesłychana i charaktery nieunoszone.

— Pibrak, proszę cię — dorzucił Henryk — ty coś tyle razy umysły zburzone umiał ukołysać i tyle kłamstw ich przełknąć zmusiłeś bez zaksztuszenia się, weź to na siebie.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł przebiegły Francuz — jeżeli tylko nie za późno.

Rozmowa zwróciła się znowu na wesele, na ucztę, na nieskończone mowy, któremi króla częstowano, a Pibrak musiał na wszystkie odpowiadać.

— Mają straszliwą łatwość mówienia po łacinie — odezwał się Pibrak — i spotrzebowywania dziesięć razy tylu słów, ilu w istocie ograniczyć by się mogli. Jestto naród Liwiuszów.

Villequier począł opisywać panie, nieśmiało ich wejrzenia a osobliwe ukłony i śmieszki. Utrzymywał, że po kątach całowano się serdecznie.

Król byłby może się rozchmurzył i w swawolniejszą dał wciągnąć rozmowę, gdyby mu przestroga maski nie tkwiła w pamięci.

Nie chciał z początku mówić o tem nikomu, wziął potem Pibraka na stronę i przyznał mu się do tego co od maski słyszał.

— Nic nowego dla mnie — odparł Pibrak — Nasłuchałem się i ja podobnych baśni o Infantce, ale im nie wierzę. Powabną nie jest, młodą także, po ścisłym obrachunku, choć może nie wygląda na więcej niż lat czterdzieści, zbliża się do pięćdziesięciu. Ludzie pamiętni tego co tu dokazywała jej matka, która była w istocie straszną niewiastą, chcą w niej widzieć charakter Bony. Ci co bliżej ją znają mówią jako o pobożnej, zacnej, życiem nieszczęśliwym znękaney, może dumnej ale szlachetnego charakteru kobiecie.

Nie jest to żona dla W. Kr. Mości — dodał Pibrak. — *Pardieu!* spodziewam się, że nam jej nie narzuca, ale trucizny się obawiać nie należy.

— Zkądże to, że struła brata? — zapytał Henryk.

— Obiło mi się o uszy — mówił Pibrak — że przed śmiercią brata była z nim poróżnioną o jakąś panienkę, którą dla niego z dworu jej wykradziono. Pojednali się jednak potem i wszystko jej zapisał.

— Wiem — odparł śmiejąc się Henryk — zapisał jej wszystko, a panowie senatorowie nic dać nie chcą.

— Tak, i podobno tak skąpo na potrzeby swej Infantki dostarczają, że ciągle pożyczonemi pieniędzmi żyć musi.

Rozmowa w pokojach króla, nawet gdy już się rozebrał i w łóżko położył, które faworyci obstawiali, przeciągnęła się bardzo długo.

Nie mniej żywo po powrocie z wesela u królowej wszystko rozbierano cokolwiek się tego wieczoru przytrafiło. Pani krajczyna szczególnie widziała w młodym królu co chwila zdradzający się afekt dla Anny. Gdy nie mógł do niej się zbliżyć, ścigał ją oczyma. Rokowano jak najlepiej na przyszłość, ale król teraz tak niesłychanie był zajęty, godziny jego policzone tak skrzętnie, iż więcej dowodów uczucia wymagać nie było podobna.

— Uroczystości koronacyjne — mówiła — przecież kiedyś się skończyć muszą. Nawczas nieochybnie bliżej się zechce król poznać z Anną, byle te narady sejmowe raz także doszły do końca.

Wiedziano i u królowej o turnieju nazajutrz, na który Anna z okien swojego mieszkania patrzeć miała i widzieć sobie obiecywała, choćby dlatego, że razem i króla zobaczyć mogła, który w swej łoży miał zasiąść, a potem biegać sam do pierścienia.

Panie wiedziały też, że Henryk, który był niezrównanym tancerzem i miał w Volcie celować, w igrzyskach zręczności, w popisach rycerskich nie ustępował nikomu.

Wszystkim tym pochwałam, jakie mu tu dawano, Anna się przysłuchiwała chciwie, żądną ich była, ale rzadko do nich coś dorzuciła od siebie. Wstyd jej było wydać się z tem, co w sercu miała.

Jej także Henryk wydawał się stokroć piękniejszym od innych, a postać jego i wyraz twarzy pełne szlachetności i wdzięku.

Rozpamiętywała w sobie co jej przyniósł Włoch Mago, który był tylko echem tego, co musiało powszechnie być przyjętem. W czasie wesela u Zborowskich i on i wielu innych z panów polskich przynosili jej coś ciągle o Henryku.

Jego krótka rozmowa z Dosią przeszła prawie niepostrzeżoną i nikt na nią nie zwrócił uwagi. Wszystkie jednak starsze Anny towarzyszki uważały to, że Dosia od czasu koronacji bardzo była zmienioną, zadumaną, roztargnioną i że ona jedna o królu unikała wszelkiej rozmowy.

Miano jej to za złe, nie domniemywając się wcale, iż i ona się zdradzić obawiała.

Dziewczę dotąd nieprzystępne, dumne, dzikie, trochę upojone było kadzidłem, które ku niej spłynęło od króla.

Z tego co czytała o Francyi, a chwytiała chciwie co z tamtąd przychodziło, przekonywała się, że królewskie kochanki wysoko się podnieść mogły.

To sieroctwo, które dawniej nie dopuszczało jej narzucać się Talwoszowi, teraz przy nowym zwrocie uczuć i myśli zdawało się jej rękojmą swobody. Nie miała rodziny i imienia, przed któremiby rachunek z życia składać potrzebowała.

Rodziło się w niej jakieś pragnienie świata, używania, zabawy, które ją napełniało niepokojem. Surowo wychowała się sama, nie dopuszczając marzeń do siebie, teraz one tłumnie, gwałtownie rzucały się na nią i odepchnąć ich nie miała siły.

Gdy się to działo na zamku, a u panów Zborowskich weselono się do białego rana, pan Samuel nie położył się nawet spocząć, tak mu już pilno było powetować na Tęczyńskim obelgi, którą przypisywał jemu.

Janasz Kroata, prosty jurgeltnik, wedle niego nigdyby się nie mógł ośmielić wyrwać kopii, przy której tarcza Zborowskich stała, gdyby mu to rozkazaniem nie było.

Z Tęczyńskimi oddawna byli nieprzejednanymi, stare Topory sądzą się czemś daleko lepszym od Jastrzębców, bo wprzód trochę siedli około tronu. Chciano właśnie teraz przed królem upokorzyć Zborowskiego. Tak on mniemał.

Prawdą zaś było, iż Kroata, dzielny szermierz, pijanym pono z zamku na miasto powracał, gdy mu przyszło plac turniejów przejeżdżać i przez zbytnictwo jakieś pochwycił kopię i zabrał ją z sobą, o czem pan Tęczyński, którego on był sługą, nie wiedział wcale.

Zborowscy w tem spisek widzieli. Gniew przeciwko Tęczyńskiemu pomnażało, że go mianowano już jako przyszłego urzędnika dworu króla, a Zborowscy sądzą, iż najpierwsi prawo mieli otoczyć tego, którego na tronie posadzili.

Przypisywali to sobie.

Król nie zaprzeczał, laskaw był dla nich, chociaż w sercu za koronacyjny występ żał miał do nich. Połączyli się oni w kościele z dyssydentami i nalegali głośno na przysięgę.

Oprócz tego w sercu Henryka nienawiść dla hugonotów francuzkich w Polsce się przelana na różnowierców. Czynnym w czasie rzezi św. Bartłomieja był krwią przelaną związanym ściślej jeszcze ze sprawą katolików. Zborowscy stawali mu się przeciwnikami.

Zaledwie dzień poczynano, gdy pan Samuel zbroję, konia i cały swój do turnieju, choćby na ostre, rynsztunek już gotował, a towarzyszków sobie dobierał gromadę, któraby tym samym animuszem co on ożywioną była.

W turnieju, wiedział dobrze, mało kto się z nim mógł mierzyć. Miał siłę, zręczność, ale nad wszystko tę furję bojową, która przeciwnikowi tchnąć i opamiętać się nie daje.

Królowna Anna zrana poszła ze swym dworem na popiół do kościoła, a po mszy wracając zastała tu dawną swą przyjaciółkę i dobrą znajomą, którą pamiętała jeszcze panną Katarzyną Maciejowską, a która dziś nosiła imię Wapowskiej.

Przyszła ona wprost ze mszy pokłonić się Annie i przywiodła jej synaczka swego. Dwu takich miała.

Piękną i dziwnie spokojną a łagodną twarzą odznaczała się pani Wapowska. Dziewczęciem słynęła ona z pobożności tak, iż posądzano ją o zamiar wstąpienia do klasztoru. Później wydana za Wapowskiego Andrzeja, który jej był godzien, szczęśliwa z nim, nie zapomniała o Bogu. Słynęła i teraz z wielkiej gorliwości religijnej, z przykładu jaki dawała spełnianiem obowiązków.

Mile widzianą na dworze Anny była ta pani, i królowna ją powitała serdecznym okrzykiem, bo dawno nie widziały się z sobą.

Wapowscy ze swych Radochonic dopiero na koronację przybyli.

Wapowska przed królowną chciała się synaczkiem pochwalić. Był on właśnie tego wieku co syn Katarzyny królowej szwedzkiej, Zygmunt, dla którego Anna wielką miłość miała — przypomniał jej szwedzkiego królewicza.

Schyliła się ku niemu królowna całując go i błogosławiąc, a mimowolne wspomnienie Zysia poruszyło ją mocno.

Często, często już przychodziło jej na myśl, że umierając bezdzietną, tego siostrzana sobie za własne dziecię przybierze i jemu po sobie zostawi spuściznę.

Nadzieje teraz płocze, sama je sobie wyrzucała, zatarły nieco Zygmusia, a oto los jakby przynosił jej przestrożę i wskazówkę, gdzie serce swe zwrócić miała, ażeby nie doznało zawodu.

Schyłona nad główką małego Wapowskiego, sama nie wiedziała czemu, jak zrosiła je łzami.

Pani Wapowska tymczasem o swem szczęściu mówiła, o mężu, o dzieciach, o życiu jakie spokojnie wiodła na wsi.

— Mężowi — mówiła do Infantki — towarzyszyć musiałam, bo mu się należy posłuszeństwo a mieć mnie chciał z sobą, ale jakże mnie ta wrzawa i ten zgielk ludzi i te obce twarze przerażają niemal.

Z radością do Radochonic powrócę.

— A ja — rzekła smutnie królowna — widzisz moja Kasiu, wśród tej wrzawy i zgielku żyć muszę.

— Brat mój Bernard mawiał — odezwała się Wapowska — że Bóg każdemu stanowi szczególne daje łaski. Wy, miłościwa królowo moja (Anna się zarumieniła), przeznaczeni jesteście żyć w tem ogniu i Bóg wam da wytrwałność salamandry.

— Kasiu moja — westchnęła Anna — wierzaj mi, i ja się nie czuję stworzoną do tego życia. Cięży mi ono.

— Dopóki się szczęśliwie nie uwieńczy małżeństwem i koroną — przerwała pani Wapowska. — Wszyscy widzą, że się to inaczej skończyć nie powinno i nie może.

Anna spuściła oczy, wargi jej zadrżały, nie odpowiedziała nic.

Zdała tylko widziała pani Wapowska króla, ale go chwalić zaczęła, na co zapewne wpływała przyjaźń męża z Tęczyńskimi, którzy na dworze byli dobrze widzianymi, co Zborowskich tak gniewało.

Po odwiedzinach pani kasztelanowej nastąpiły inne, przyszedł biskup chełmski, zjawił się Solikowski, a potem wierny sługa Ryłski. Każdy z gości przynosił wiadomość jakąś o królu, oznajmując co robił, gdzie był i jaki program dnia tego został ułożony.

Na zamku dnia tego dla pilnych spraw była narada panów senatorów, której Henryk musiał być niemy i znudzonym świadkiem. Obowiązek ten dla płochego młodzika należał do najcięższych.

Nie wszyscy senatorowie mogli i chcieli mówić po łacinie, a i tego języka Henryk nie był wielce świadomym; rozprawy żywsze toczyły się po polsku, a tych mu treść ktoś po włosku lub francuzku szeptać musiał.

Pomimo wysiłku aby okazać że to go niesłuchanie zajmowało, król siedział zadumany, znużony, niemal drzemający a widocznie tak kwaśny i chmurny, że się tego nawet ukryć nie starał, bo to przechodziło siły jego.

Spoglądano ku tronowi, a mniej dobrze usposobieni dla Francuza uśmiechali się z tej męczarni, która była zarazem i smutną i pocieszną. Bądź co bądź jednak król siedzieć musiał i dosiadywać do końca.

W izbie senatorskiej tymczasem wśród najpoważniejszych narad nad stanem kraju i bieżącymi sprawami nie dawało się ukryć poruszenie jakiegoś, które nie miało żadnego z niemi związku.

Przyczyną jego był burzliwy pan Samuel Zborowski, który nie chciał czekać obrad końca i wyzywał Tęczyńskiego gwałtem, aby się z nim stawiał w szranki.

Uwiadomiony o tem pan z Tęczyna wybiegł z izby natychmiast otoczony przyjaciółmi, którzy się lękali napaści ze strony Zborowskiego.

Ten cały już uzbrojony, gotów do walki, wrzący z gniewu, nie hamując głosu biegł po antykameryze, wywołując Tęczyńskiego i sromocąc go obelżywymi wyrazami, iż się przed nim jako tchórz ukrywał.

Wybiegł Tęczyński wprost z izby senatorów ku niemu w towarzystwie Wapowskiego i kilku innych przyjaciół.

Zaledwie zobaczywszy go rzucił się krzycząc Samuel.

— Znieważyleś mnie, nasyłając twego służalca Janasza, aby kopię moją wyrwał, ja ci tego nie mogę darować.

— Świadcę się wszystkimi, co od wczoraj są ze mną — odparł spokojnie pan Jan z Tęczyna — żem ani myślał wyzywać, ani chciał znieważać. Głupi opilec uczynił to z własnego zuchwalstwa.

— Ludzie widzieli! człowiek twój! to dosyć! — wrzeszczał Zborowski nie dając się pohamować. — Krwią twoją muszę zmyć obelgę.

— Panie Samuele — przerwał Wapowski — nie zapominaj, żeśmy na zamku, pod bokiem króla i że tu nie miejsce do walki i kłótni.

— Ja czekać nie mogę! ja odkładać nie chcę! Ani na czas, ani na miejsce zważać nie myślę. Należy się zadośćuczynienie — wołał coraz się rozpalając Zborowski.

Drudzy go próżno hamować chcieli, szalał.

— Skoro tak jest — zawołał spokojnie Tęczyński — chcesz się bić ze mną, zgoda! Nikomum nie odmawiał, ani tobie też ustąpię. Daj mi zbroję wdziać i druha do boju poszukać.

Potrzebuję tyle czasu, abym na Podwałę do domu się dostał, zbroję na siebie wdział. Jesteś uzbrojony, ja nie.

Zborowski rwał się ciągle i kilka razy za miecz chwytał, którego dobytka na zamku pod bytność króla śmiercią karało prawo. Ledwie go przyjaciele mogli pohamować.

— Daj mi się uzbroić! staję! — wołał Tęczyński, któremu drzwi zastępowano.

Ledwie nieledwie zmuszono Zborowskiego, aby niechętnie podawszy Tęczyńskiemu rękę, puścił go do domu.

— Śpiesz, bo mnie gniew i złość spali! — wołał za odchodzącym.

Zdawała się rzecz cała ubita i na dobrą wprowadzona drogę, szło tylko o to, aby Zborowskiego strzymać, ukoić do czasu i nie dać mu wrzeszczeć, bo wołanie jego aż do izby senatorskiej dochodziło.

Zaledwie go posadzono, zrywał się, kłął, wściekał i łajał; na ławie usiedzieć nie mogąc, biegł po izbie, w której go trzymano, ażby Tęczyński z domu dosyć oddalonego na Podwałę powrócił.

Każda chwila upływająca na oczekiwaniu coraz go na nowo rozjątrzała. Zdawało mu się, że Tęczyński wymknął się, aby uniknąć walki, że nie miał i nie chciał powrócić.

Napróżno go starano się do rozumu przyprowadzić.

W końcu przyjaciele, aby mu się czas nie tak długim wydawał, umyślili Moszczyńskiego, sługę Zborowskich, który się miał potykać z tym nieszczęsnym Janaszem Kroatą, wyprawić w szranki i choć tym bojem pragnienie zemsty pana Samuela zażegnać.

Dano znać, że Moszczyński stał gotowy na placu, a i Kroatą był także — czekali tylko, aby im znak dano.

Porządek wymagał tego, aby król dał znak do turniejów, a ten siedział jeszcze w senacie.

Zborowski już i na niego zważać nie chciał, tak mu pilno było, gdy na wschodach ukazał się Henryk i przyskakującemu do siebie jednemu z dworzan odparł obojętnie, iż przeciwnicy zmierzyć się mogą z sobą.

Pan Samuel pobiegł z tem sam i siadł też na konia, a z nim ci co mu towarzyszyli. Zbliżył się do Moszczyńskiego, który kopię układał właśnie, i krzyknął mu.

— A pamiętaj mi, abys go rozumu nauczył, bo ci nie daruję.

Moszczyński głową tylko potrząś.

Spojrawszy na nich obu, choć Polak ów Zborowskich sługa krzepki się wydawał i zręczny, można mu było przepowiedzieć, że Kroatcie ogromnemu jak dąb, nadzwyczajnej siły i zaprawionemu do gonitw podobnych, nie dostoi.

Sam Moszczyński pono, dopiero na placu zobaczywszy przeciwnika, którego nie znał wprzód, trochę się zawałał, ale się cofnąć wstyd było. Oczu zbyt wiele patrzyło, król sam zatrzymał się ze wschodów zszedłszy. Podworce dokoła, wały, krużganki, galerye, okna napełnione były tłumem ciekawym.

Moszczyński ufając w siłę niepospolitą, kopię tak ułożył, aby tarczę Kroaty rozbić, bo mu się lekką wydała.

Z wielkim rozpędem koni uderzyli się i zwarli. W istocie kopia Moszczyńskiego na wylot przeszła tarczę, ale Kroatą z siodła chcąc wysadzić przeciwnika nagle swoją włócznię pochylił i siodło rozdarszy w lędźwie go zranił, a nie tracąc czasu, już z pod kolana koncerz dobywszy zamierzył się ciąć okrutnie Moszczyńskiego i byłby go okaleczył, gdyby ogromny krzyk tuż stojących Węgrów, powtórzony przez tłumy, nie zmięszał go i nie powstrzymał.

Rzucili się niektórzy do Kroaty, który posłuszny miecz oddał i odjechał cały, gdy Moszczyńskiego rannego musiano z siodła zsadzać.

Zborowski kłął i łajał na cały głos i sam chciał biedz na Kroatę, rwąc się tak, iż go musiano gwałtem hamować. Czekan porwawszy już się nad głową jego zamierzył, wydobyszy się z rąk przyjaciół, gdy drudzy przypadli i odciągnęli go precz.

Trwała tu jeszcze wrzawa, gdy od króla strwożonego tym zgiełkiem i krzykami nadbiegł marszałek z rozkazem, aby natychmiast się wszyscy z zamku wynosili.

Zborowski albo nie słyszał rozkazu lub wściekły nie chciał nań zważać i gonił za Kroatą, aż go marszałek zamkowym ludziom porwać i uprowadzić kazał.

Otrąbiono, aby wszyscy podwórza oczyszczali i wychodzili; tłum powoli począł wyciągać a straż zamkowa pędziła pozostałych, ale do Zborowskiego, który ze złości szalał, przystąpić nikt nie śmiał.

Chciał do króla, ale drzwi były pozamykane, wołał że na Tęczyńskiego czekać musi — nie ustępował.

Tak prawie do wieczora napróżno go łagodzano, namawiano, przychodziły posły jedne po drugich — nie ustępował.

Zmuszono go nieco ustąpić ku wrotom, gdy zaledwie się to stało, wybuch nowy jakiś zawracał go na plac gonitw ku zamkowi.

Lżył ciągle Tęczyńskiego, obwołując go tchórzem i bezczelnym, łajał Kroatę, kłął Moszczyńskiego, dostawało się wręście i królowi, którego zwał lalką i babą.

Ledwie nieledwie, gdy już zmierzchało, a pan Samuel prawie pod wrotami był, za-tętniało.

W czwał śpiesząc nadbiegł uzbrojony Jan z Tęczyna i wpadł na samą tę wściekłość przeciwnika, który pohamować się nie dając, wprost bez żadnego przygotowania do miecza się rwąc, łajał i lżył Tęczyńskiego i jego towarzyszków.

Zaczęto z obu stron wielkimi głosami wołać: na plac! na plac!

Zakipiała krew w Tęczyńskim, Samuel był jak bezprzytomny.

Nim przybyli na miejsce wyznaczone, Zborowski chciał się rzucić na Jana. Wtem z boku stojący Wapowski, także zbrojny i lamparcią skórę na ramieniu mający, widząc, że mieczów dobywano uląkł się i skoczył pomiędzy nich.

Żadna już siła Zborowskiego nie mogła powstrzymać, nie słyszał nic, nic nie widział, a może Wapowskiego ujrawszy, którego wrogiem był, jeszcze bardziej zajadły, czekając podniósł i z sił całych dwa razy nim ciał go w głowę, tak że krew mu natychmiast twarz zalała.

Wszyscy naówczas pamięć stracili, ci co żyli z Tęczyńskim i ci co towarzyszyli Zborowskiemu, chwycili co kto miał pod ręką, krzyk, zamieszanie i gwałt powstał straszliwy...

Piechota, którą z sobą Tęczyński prowadził, dała ognia z kilku rusznic. Wszystko się zmięszało, zbito w jedną kupkę.

Dopiero teraz przyjaciółom Samuela udało się człowieka oszalałego, któremu kula nogę zadrasnęła, pochwycić i kupą z nim popędzić do wrót, do których tłum z miasta nadbiegający szturmował.

Ale rozkazy były dane, aby nikogo nie wpuszczać na zamek.

Król Henryk a bardziej jeszcze Francuzi z nim będący zlekli się tak tego tumultu i strzałów, że całą sprawę wzięli za spiszek przeciwko nim wymierzony.

Gdy w podwórzu odegrywała się ta krwawa scena, na zamku co żyło Francuzów zwołało się, zbroiło i w niezmiernej trwodze, przeklinając Polskę, zabierało się do rozpaczliwej obrony. Wprawdzie Pibrak i kilku roztropniejszych wszystko to składali na swarliwość i butę Polaków, ale strach ma wielkie oczy.

Henryk blady, zamknięty w najdalszej komnacie, otoczony sprowadzoną gwardią, czekał następstw wypadków, a każdy szmer i krzyk wystraszonych jego ludzi miotał ku drzwiom i na obronę przeciw domniemanej napaści.

Można sobie wystawić też, co się u Infantki działo, która dopóki się nie ściemniło, z okien swojego mieszkania wszystko widzieć mogła, nie wiedząc, co było przyczyną zamieszania na zamku.

Kobiety klęczały i modliły się; służba zbiegała po wiadomość i nie powracała.

Po wyjściu Zborowskiego za wrota, pozostały Tęczyński zajął się ranionym przyjacielem, który wprawdzie przytomności nie stracił, ale chwał się na nogach i co prędzej potrzeba było ratować go.

Kasztelan Wojnicki czując, że i na niego spadnie wina tego boju, którego nie poczynił, ale się musiał bronić od napaści i miecza dobyć tam, gdzie go obnażać nie było wolno; chciał koniecznie z rozbitą głową Wapowskiego stawić przed królem. On też sam żądał tego.

Pociągnęli wszyscy prowadząc z sobą kasztelana, którego skóra lamparcia cała krwią była zlane, ku drzwiom zamkowym.

Wszystkie były pozamykane. Musiano bić i kołatać, a hałas ten Francuzów utwierdzał w przekonaniu, że na nich napaść chciano.

Wiele więc czasu upłynęło i Wapowski osłabł znacznie, nim nareście Francuzi się ośmielili, po parlamentowaniu nudnym, otworzyć Tęczyńskiemu.

Wprowadzono rannego do sali, a tu znowu nierychło król blady i pomieszany, otoczony całym swoim dworem ukazał się, nie mogąc słowa przemówić.

Tęczyński przypadł do niego, domagając się sprawiedliwości, kary, pomsty nad warchołem, który nic nie poszanował, nawet majestatu królewskiego.

Sam Wapowski mógł jeszcze przemówić, żaląc się, że bezbronny Samuel jak zbójca raził.

Henryk cichym głosem przyrzekał sprawiedliwość, rzucając błędnymi oczyma dokoła. Pibrak pobiegł po Mirona, lekarza królewskiego, aby ranę tymczasem opatrzył i obwiązał.

Wszyscy razem Francuzom jęli opowiadać co i jak się stało. Dopiero teraz ochłonęli oni nieco z przestachu.

Miron posadziwszy kasztelana na ławie, obmył zaledwie ranę i przewiązał głowę, nie powiedział nic — tylko że opatrzenia lepszego w domu potrzebowała.

Na zapytanie cichego króla, szepnął mu.

— Czaszka haniebnie strzaskana... mózg odkryty... życie ocalić będzie trudno.

Z zamku już na noszach do nieszczęśliwej żony musiano prowadzić kasztelana, który padł ofiarą swej przyjaźni dla Tęczyńskich i nienawiści Zborowskiego.

Ledwie się to stało na zamku, a z wrót potem wyniesiono Wapowskiego i po mieście się rozeszła wiadomość o tej walce, zawrzało i wzburzyło się wszystko w niewypowiedziany sposób.

Wina Samuela Zborowskiego była tak jawna i wielka, że go nawet przyjaciele nie mogli bronić, starali się tylko zmniejszyć ją tem, iż Kroata go znieważył. Ale ci co byli świadkiem starcia, szła Samuela niczem w świecie usprawiedliwić nie dozwolali.

Znano zresztą cały ten ród niepohamowany w namiętnościach i niemogący nigdy wytrwać w pokoju. Tego rodzaju Samuel był najstraszniejszym z dzieci, i sami bracia się go lękali, tak w gniewie zmysły tracił.

Gdy go jeszcze się miotającego i szarpiącego odprowadzono do kamienicy, w której wczoraj obchodzono wesele, wszyscy nań padli z wyrzutami, iż sobie i familii nieszczęście ściągnął, a gardło dać będzie musiał.

Ale co takiemu człowiekowi popędliwemu znaczyło w tej godzinie namiętnego porwy życie stracić i drugich o śmierć i zgubę przyprawić. Rwałby był, kąsał i siekł, nie patrząc kogo, i sam się dał posiekać na kawały, byle zadość namiętności uczynić.

Krew, która go zboczyła, zdawała się jeszcze nienasycone zemsty wznagać pragnienie. Drżał cały i śmiał się dziko.

Starsi ze Zborowskich chcieli natychmiast biedz na zamek do króla, ale nie było najmniejszej nadziei, aby ich tam wpuszczono.

Dziwnym zwrotem w tym wypadku było, iż w mieście winę jego składano już na króla. Wszystkiemu byli winni Francuzi. Jak? tego nikt nie umiał wytłómaczyć; lecz, jak na zamku narzekano tej nocy na Polaków i większa część wylękłych Francuzów uznawała pobyt tu niemożliwym, tak w mieście króla obwoływano niezdarnym, niewieściuchem, słabizną.

Niechęć wzajemna zrodziła się tak, prawie bez powodu, bo wprzód już przygotowaną była wielką różnicą obyczajów i usposobień.

Nie takiego z pewnością króla w tej chwili potrzebowała Polska.

Po ulicach, po browarach i piwnicach przybiegali z zamku i pobliza, niby lepiej uwiadomieni, opowiadając androny, tłómacząc zajście tem, że król Zborowskim dlatego że mu do korony pomagali poblązał i wszystko pozwalał.

— Gdyby kto inny królewski zamek zakrwawił, ścięto by go pod Dorotką, a jemu nie będzie nic.

Niechęć ku Zborowskim, żal do nich były powszechne.

Jeżeli takie rzeczy poczynały panowanie, a miały uchodzić bezkarnie, czegoż się było na przyszłość spodziewać.

Pomiędzy posłami i senatorami też niepokój był ogromny... i noc upłynęła na narażach burzliwych...

Zborowscy i ich przyjaciele łatwo się przekonać mogli, iż większość przeciwko nim była. Domagano się kary śmierci na gwałciciela pokoju pod bokiem króla.

Królowna Anna modliła się i płakała.

Przecucie jakieś wskazywało jej, że przyszłość tak się zwiastująca groźnie, szczęśliwą być nie mogła.

Losy Henryka ciągnęły za sobą jej dolę niefortunną.

Gdy popłoch pierwszy przebiegł zamek, a z niewiast około królowej będących żadna się nie ośmieliła za drzwi wychylić dla powzięcia wiadomości, jedna Zagłobianka nie wahała się iść wprost do dworzan króla, ale zastała ich w takiej trwodze, tak rozpierzchnych i wylękłych, że nieledwie odwagi im dodawać musiała.

Krzyczeli i wołali jedno, iż spisek uknuty być musiał przeciw nim i królowi i rozpaczliwie biegali, ściągając broń, którejby nawet użyć w tej chwili nie potrafili.

Zagłobianka zdołała wyszukać Talwosza aż gdzieś na dole, od niego się dowiedziała o wszystkim i pierwsza przyniosła królownie smutną prawdę. Zdawało się jednak, że biedny Wapowski, który przed królem jeszcze mówić mógł przytomnie, był tylko ciężko rannym, a życiu jego żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Oplakiwano i człowieka powszechnie szanowanego, i losy rodziny Zborowskich, która za Samuela pokutować miała. Anna wprawdzie nie miłowała ich bardzo, lecz im winna będąc wybór Henryka, co się starali nieustannie przypominać, klęskę Zborowskich skłonną była uważać za porażkę króla, do którego obozu oni się liczyli.

Jak dzień wysłała Dosia swojego podwładnego do pani Wapowskiej, aby się o zdrowiu kasztelana dowiedzieć. Talwosz, który się ledwie mógł docisnąć tam, zwiastował smutnie, że ranny żył wprawdzie, ale lekarze, którzy głowę opatrywali i kości potrząskane czekaniem wyjmowali z niej, rozpaczała aby go uratować mogli.

W dniu tym życie całe jakby zahamowane zostało zburzeniem umysłów, które wypadek wczorajszy obudzał. Zbierano się tłumnie, radzono... Senatorowie szli na zamek, posłowie gromadzili się gdzie mogli na narady. Zborowscy obsyłali swoich niespokojni.

Trafili naprzód do Pibraka.

Byli z nim najlepiej i najbliżej, mieli i innych przyjaciół u boku króla. Henryk milczał, z drugiej strony Tęczyńscy i za nimi ogromna większość wołała przykładowej kary i sprawiedliwości.

Król okazał się niepewnym, wahającym i przybitym aż do zupełnego obezwładnienia. Dawał mówić jednym i drugim, oskarżającym i obrońcom, potakiwał jednym i drugim. Ani on, ani rozumny i przebiegły Pibrak nie wiedzieli, na którą się przechylić stronę.

Jawnym już było jednak pierwszego dnia, że całkowicie bezkarnie ująć przestępstwo nie może.

Zależało wiele na tem, czy Wapowski żyć miał lub umierać.

O tem nikt wyrokować nie umiał, począwszy od Mirona, a kończąc na najuczestniejszych lekarzach krakowskich.

Jedni spodziewali się go ocalić, drudzy widzieli niemożność utrzymania przy życiu. Wapowski stracił przytomność. Siły się wyczerpywały.

U łoża klęczała modląc się spłakana żona z dwojgiem dzieci; po wszystkich kościołach odbywały się nabożeństwa uroczyste.

W ulicy stał tłum patrząc na zapuszczone okna, podsłuchując pod ścianami, chwytając wychodzących, którzy zapytania milcząc smutnie zbywali.

Na zamku też niepewność ta czy Wapowski żyć będzie, sprawę w zawieszeniu trzymała. Szóstego dnia wreszcie nadzieja była straconą, poczęło się powolne konanie...

Z męztwem, które tylko taka wiara głęboka, jaką miała Wapowska, dać może, odmawiała ona modlitwy za konających u łoża męża, którego powieki już się prawie nie podnosiły. Dawno stracił był przytomność; wyrazy, które mu się z ust wyrwały, były albo ułamkami modlitw, lub jakimiś marzeniami i snami o niebiesiach.

Przebaczył wszystkim — ale mężna niewiasta, która klęczała przy nim, mówiła w duszy, iż pomsty za krew niewinnie przelaną szukać będzie... Morderca niech da głowę!!

Siódmego dnia otwarto okiennice. Wapowski leżał na katafalku, otoczony światłem, z obnażoną głową strząskaną, na której żółtej skórze krew zaschła czarna. Wapowska w czerni z dziećmi w nogach płakała na ziemi.

Gdy we wszystkich kościołach uderzono w dzwony żałobne, wiedziano w Krakowie, kto życie skończył, a gawiedz uliczna pod domem Zborowskich wołała.

— Samuelowi na śmierć dzwonią.

Zborowski stał w oknie i mruczał.

— Niedoczekanie!!

Śmierć, jemu? który króla na tronie posadził?

Nazajutrz ze dworu Wapowskich wyciągnął kondukt żałobny. W czerni, w kirach seciny ludzi, panowie i służba, wozy czarne, konie w kapach, zakonnicy z pochodniami, księża śpiewający psalmy przodem. Za trumną w czarnej sukni i zaslonie, z synaczkiem starszym przy sobie, Wapowska błada, z suchemi oczyma, widmo domagające się krwi za krew.

Przy niej Maciejowscy, Wapowscy, Tęczyńscy, rodzina, przyjaciele, powinowaci, wszyscy wrogowie Zborowskich.

Kondukt nie idzie ani do kościoła, ani na cmentarz — na zamek, na Wawel, do króla domagać się sprawiedliwości wobec zwłok zamordowanego.

Kto powziął tę myśl zuchwałą i przerażającą? kto ją poddał? Nikt. Wapowska wstała od trumny i ona głosem śmiałym wskazała.

— Na zamek, przed króla z jego zwłokami, i nie odejdziemy aż nam sprawiedliwość wymierzona zostanie.

Rozkaz dreszczem przejął wszystkich, ale jak ogień zapłonął potem w sercach przyjaciół.

— Na zamek ze zwłokami! na zamek! — oczy połyskiwały od łez i od ognia... spoglądano na siebie.

Orszak przy śpiewie powolnym psalmów ciągnął noga za nogą, aby lud widział zamordowanego, aby trup obudził zemstę a wdowa politowanie.

I zbiegły się tłumy i szli jak kto stał za pochodem aż do wrót zamkowych, a kto się mógł wcisnąć wewnątrz na podwórze.

Król jak piorunem został rażony, widząc ten długi szereg ludu w czerni, uroczyście podciągający pod krużganki, z tą wdową i sierotą.

Henryk zbladł, Francuzi zmięszali się przestraszeni, Tęczyński wdowę wiodł do króla, służba wzięła na ramiona trumnę, chcąc ją nieść do sali, gdy szmer się zrobił i król pospieszył wyjść cały drżący jeszcze, z odkrytą głową, smutny a w duszy gniewny.

Czyniono go wobec narodu winnym. Trup ten oskarżał o nieudolność, o opóźnienie wymiaru sprawiedliwości. Zborowski chodził dotąd wolny i urągał się tem swej ofierze.

Wystąpił przed zwłoki Stanisław Maciejowski z mową bolesną, żałościwą, poruszającą. Jęk i płacze słyszeć się dały.

Zabrała głos wdowa, do nóg przypadając panu i błagając o pomstę za tę ofiarę niewinną. Mówił potem Tęczyński.

Król zmięszany kładł rękę na sercu, bełkotał coś niezrozumiałego, przyrzekał. Twarz mu bladła, to czerwieniała nogi pod nim dygotały. Widok tego żółtego trupa przejmował go zgrozą, nie śmiał spojrzeć nań.

Z dzieciną przy sobie, zaledwie król się wymknął, poszła kasztelanowa do Anny. Królowa naprzeciw niej już wystąpiła i na ramionach wdowy położywszy ręce, zachodziła się od płaczu.

Serce jej mówiło, że może z Wapowskim i własne szczęścia nadzieje pogrzebać miała.

Stały tak długo milcząc i łkając, aż Tęczyński z Maciejowskim ujeli pod ręce osłabłą i nazad przeprowadzili do kolebek, których siedem towarzyszyło wdowie na zamek.

Po chwili w milczeniu trup i pochód zawrócił od krużganków nazad.

Tęczyński chciał kondukt skierować do kościoła, w którym czekał na zwłoki przygotowany katafalk.

— Nie — odezwała się Wapowska — do domu. Niech zwłoki leżą niepogrzebione, aż król sprawiedliwość wymierzy.

Rozbolelej niewieście nikt się nie śmiał sprzeciwiać. Dano rozkazy, pochód nazad sunął się ulicami do dworu Wapowskich i trumna stanęła na marach w dolnej sali, a duchowieństwo rozpoczęło na nowo śpiewać psalmy nad zwłokami.

Na zamku u króla przerażenie było ogromne, radzono nie mogąc postanowić. Do Henryka, który nie wiedział co ma uczynić, do Pibraka, który nie śmiał powiedzieć co myślał, przybiegali po kolei Zborowscy, domagając się zuchwale prawie wypłaty długu za elekcyę, a więc bezkarności, i Tęczyńscy a Wapowscy, żądający sprawiedliwości.

— Tęczyński też miecza dobył na zamku — wołali Zborowscy — niech więc i on ukarany zostanie.

Król milczał — dnie schodziły.

Dowiedział się kasztelan wojnicki, że go obwiniano.

— Dam więc i ja gardło! Gotówem — zawołał poszedłszy do króla — ale niech ze mną morderca ukarany zostanie. Pójdę sam do więzienia, położę głowę na pieńku!

Król zimny — ani Tęczyńskiego stracić, ani Zborowskich sobie narażać nie chciał — milczał.

Dokoła niego wiły się jak nici niewidzialnej pajęczyny intrygi, na jedną i drugą usiłujące go pociągnąć stronę.

Szlachta tymczasem warczała groźnie, zbierała się tłumnie, wołała senatorom:

— Czyńcie powinność waszą.

Posłano referendarza Czarnkowskiego do senatu z domaganiem się, aby on króla skłonił do wyroku.

Wyrok się ociągał.

Dwa dni upłynęły, w mieście najróżniejsze chodziły wieści, sama zwłoka dowodziła, że Zborowscy mieli na dworze obrońców... oburzenie wzrastało.

Wapowska, która dnie i noce klęczała modląc się u zwłok męża, wstała.
Nie mówiła nic, głos zasechł jej w ustach, wskazała ręką. Pochód żałobny ciągnął na zamek raz wtóry.

— Na zamek?

— Tak, do króla.

Ale tu już go poprzedziła wieść o drugim wystąpieniu. Pi brak był gniewem przejęty, Henryk zaciął blade usta. Chciano zamknąć bramy.

Rozmyślił się król jednak.

Gdy Wapowska zbliżyła się do krużganków, wyszedł z głową odkrytą, ale na twarzy jego tym razem więcej było zniecierpliwienia i gniewu niż litości i postrachu.

Poszeptał i oddalił się szybko.

Wdowa jak pierwszym razem szła z sierotą do królowej.

Padła jej do nóg, składając ręce i zawołała tylko.

— Sprawiedliwości!

Anna z nią płakała. Zapomniała się chwilę przejęta tą żalobą i rozpaczą.

— Sprawiedliwości! — odezwała się głosem złamanym. — Kasiu moja! ale gdzież sprawiedliwość jest na tym świecie! Tobie ją ociągają, ja jej dla siebie doprosić się nie mogę...

Sprawiedliwość tam!

I podniosła rękę ku niebu.

Po raz wtóry odciągnęły zwłoki od zamku. Sądono, że teraz już pogrzeb nastąpi. Wapowska odprowadziła je do dworu i złożyła na katafalku, przy którym uklęknęła.

W mieście zburzenie rosło.

Zborowscy chodzili porażeni i wściekli; ten trup wędrujący i domagający się pomsty na nich, mężnych nawet i zuchwałych przejmował trwogą.

Z trupem razem naród cały zaczynał naciskać na króla i naglić o przykładowe ukaranie.

A pan Samuel naumyślnie wychodził z kamienicy w Rynek i stawał jakby urągając się z twarzą swą zuchwałą, szyderską, mówiąc wbrew tłumom.

— Oto mnie macie! Nie będziecie śmieli uczynić mi nic.

Dwa dni naradzano się na zamku i wyrok król zatrzymał. Nie chciał nikogo sobie narazić, a obojga stron zaspokoić nie mógł.

Większość Francuzów za Zborowskimi głosowała. Pi brak ich bronił, król w sercu gotów był przebaczyć. Cóż go obchodził zabity Wapowski? Tęczyńskiego za to chciał zrobić podkomorzym swym i przywiązać do swej osoby.

Niepokonana w swej żalości Wapowska po raz trzeci przyciągnęła na zamek ze zwłokami.

Król nie ukazał się już. Szła do królowej ze łzami i z tem jednym zawsze wołaniem.

— Sprawiedliwości!

Potem płakały obie i kondukt raz jeszcze odciągnął do dworu, a zwłoki stanęły na katafalku, a modlitwy i śpiewy brzmiały znowu we dnie i w nocy.

Król nie śmiał ogłosić wyroku.

Ścierały się ciągle wpływy i rano jedne, wieczorem drugie górę brały. Pi brak dowodził, że Zborowscy odepchnięci, ukarani w osobie Samuela, pół kraju odejmą królowi. Senatorowie byli za sądem surowym i bezwzględny. Firleje i nieprzyjaciele Zborowskich wołali o karę śmierci.

Tęczyński dla pomsty nad Samuelem swoją głowę ofiarował.

Tak panowanie rozpoczęte zuchwałym wykrzykiem Firleja:

— *Si non jurabis, non regnabis!* miało się otworzyć krwawym wyrokiem i toporem kata; pierwsze słowo młodego króla miało być: śmierć temu, kto mnie do tronu podnosił.

Raz czwarty jeszcze nadaremnie Wapowska do wrót zamkniętych zamku przyszła ze zwłokami męża. Nie wpuszczona do króla, przywlokła się do Anny z narzekaniem.

Płakały razem.

Naostatek te zwłoki, które się nie mogły doczekać spoczynku, obudziły litość w biednej żonie. Mąż snił się jej, domagający, aby go pochowano.

— Bóg za mnie sprawiedliwość domierzy — mówił do żony we śnie — morderca zginie z ręki kata!

Nazajutrz po tym śnie oblany nowymi łzami, Wapowska zakrytą trumnę odprowadziła do kościoła.

Nieprzeliczone tłumy jej towarzyszyły, tysiące otaczały świątynię, napelniały cmentarz. Płacz i łkanie rozlegały się wszędzie, a gdy wymowny Dominikanin przemówił słowem natchnionem z kazalnicy, nie było oka suchego i piersi, którąby nie poruszyła żałość straszna.

I z kazalnicy znowu ozwał się ten sam głos, to słowo, które powtarzały usta Wapowskiej — Sprawiedliwości — ale kaznodzieja w Bogu wskazywał wielkiego Sędziego nad sędzią, który karze nawet to co ludzkie sądy bezkarnem uznają.

Nazajutrz po pogrzebie spodziewano się wyroku, ale na zamku, w senacie, wszędzie aż do sypialni królewskiej sprzeczano się dotąd, nie mogąc postanowić nic.

Król na karę śmierci wprost nie chciał się zgodzić, powiedział to wyraźnie.

Zborowskim mało było tego, oni żądali zupełnego oczyszczenia, w ich przekonaniu Tęczyński winien był tylko, bo jego Kroata włócznie Zborowskiego wyrwawszy, zelżył dumnego panka.

Uniewinnienie całkowite Samuela jednakże nawet przyjacielowi ich Pibrakowi wydawało się niemożliwe. Głos ludu znaczył coś, a ten się domagał kary.

Rozprawiano, a tymczasem oburzenie przeciwko królowi i jego doradcom rosło.

Pomiędzy Francuzami a Polakami ta krew Wapowskiego jakby przepaść jakąś wyłobowała. Zamiast się zbliżyć i jednać, stanęli przeciwko sobie w bojowym szyku. Polacy jawnie, Francuzi ze swą garstką milczący, upokorzeni i tem wścieklejsi, że się słabemi czuli.

Z więcej wystraszonych, który mógł tylko gońcem się wypraszać do Paryża, zabierając z sobą podarki, które króla obsypywano, a te szły zaraz wyprawiane nad Sekwanę. Tak przynajmniej utrzymywano w mieście, gdzie niechęć do króla, do Psibrata, do wszystkich tych wymuskanych lalek z cienkimi nóżkami rosła z każdą godziną.

Francuzi już sami z trudnością się mogli pokazać na miasto, rzadko zchodzili z Wawelu, a gdy chcieli spocząć gdzieś w Rynku i zabawić się, musieli wymykać się nocą i szukać sobie osobnego kąta, gdzieby ich palcami nie wytykano i nie wyśmiewano.

Nie wesoło było u królowej Anny. Tu zdało się, jakby wieczór w kamienicy Zborowskich spędzony razem z Henrykiem był ostatnim błyskiem nadziei, a początkiem rozczarowania.

Anna widziała jeszcze tego, którego za narzeczonego uważała, uśmiechającego się jej uprzejmie i słodko, obracającego się wesoło wśród ludzi, którzy mu miłość i poszanowanie okazywali.

Nazajutrz razem z popiołem na czoła spadł smutek, niechęci, waśnie i zawikłania, którym nie było końca.

Henryk znękanym zaledwie się ukazywał królownie. Została na stronie zaniedbaną, zapomnianą.

Sprawa spadku po bracie leżała odłogiem, nikt jej podnosić nie chciał, nikt bronić nie śmiał. Anna musiała pożyczać pieniądze na utrzymanie siebie i dworu, a jej wołanie przez Czarnkowskiego, przez Ryłskiego, rozbijało się i tonęło we wrzawie sprawy Zborowskich.

Dwa razy na krótko król przychodził powitać królowę, która sama mu o sobie i swem położeniu mówić nie śmiała. Zamieniali kilka słów chłodnych, ceremonialnych, Henryk skarżył się że nie miał czasu, i uciekał zaledwie się pokłoniwszy. Wejrzenie jego nawet zdawało się ostygłym, bojaźliwym, niepewnym, bez wyrazu.

Anna się ludzi już nie mogła, ale wszystko zamykała w sobie.

Na cóż się zdało skarżyć?

Łaska i inne panie widziały zawsze wielkie nadzieje, były pewne, że się to weselem skończyć musi. Potajemnie panny królowej dostały rysunki herbów francuzkich i lilie szyły na sukniach przeznaczonych w ich mniemaniu na wyprawę królowej.

Tymczasem o weselu głucho było i żaden żyw człowiek na dworze o niem nie myślał. Francuzi śmieli się między sobą, gdy który z nich o tem jak o poczwornej groźbie napomknął.

Nie dziw, że skłonna zawsze do smutku i lez królowna, nie sprzecząc się z Łaską, gdy ta jej swoje marzenia powtarzała zawsze jedne, słuchała ich roztargniona, nie odpowiadając ani słowa.

Znowu teraz częściej dobywała królowa listy swej siostry królowej szwedzkiej i odczytywała w nich wiadomości o małym Zygmuncie, który po polsku mówił dobrze, przy ks. Warszewickim modlił się w tym języku i bardzo był pobożnym.

Serce biednej Anny zwracało się ku niemu, przysposabiając go sobie.

Do wielu innych zawodów, które spotykały królowę, dodać było potrzeba i zmianę, jaka zaszła w jej ulubienicy Zagłobiance.

Służyła ona z równą na pozór gorliwością ukochanej pani, miewała dla niej wybuchy czułości i po dawnemu przypadała do nóg całując je a czasem oblewając łzami; ale nie była to już dawna Dosia, żyjąca tylko swą panią.

Talwosz pozołkł i wybladł śledząc jej kroki, nie śmiejąc czynić wymówek, niedowierzając oczom własnym, codzień mocniej przekonany, iż ktoś z Francuzów głowę biednej dziewczynie zawrócił.

Zręczna bardzo, niedająca się nigdy złapać na uczynku, a pochwycona na czemś dwuznacznem, umiejąc się zawsze uniewinnić, Dosia wymykała się często, niktęła z oczów Talwoszewi i Żalińskiej, powracała zarumieniona, pomieszana.

Żalińska, która ją dla syna mieć chciała, bo ten zawsze szalał za nią, doszła, że jakieś podarki kosztowne znajdowały się pomiędzy rzeczami Zagłobianki. Zkąd one pochodzić mogły?

Talwosz nie miał prawa o nie zapytać, ani wymówek czynić. Niekiedy jakby ogólnie o Francuzach się wyrażając malował ich płochotę i niestałość i zwracał na to uwagę, jak mało im zawierzać było można. Naówczas Zagłobianka z wielkim zapalem brała ich w obronę i dowodziła mu, że nie znał wcale tych, których sądził.

Ona widziała w nich wszystko dobre a dla króla była z niewypowiedzianem uwielbieniem. Z rozmaitych poszlak domyślać się musiał Talwosz, iż Dosia przestrzegala o wielu rzeczach Francuzów i donosiła im o tem co się na dworze Anny działo i mówiło.

Dawniej Zagłobianka z niezmierną gwałtownością sobie właściwą dowodziła, że Henryk musiał i nieochybnie miał się żenić z królową.

Talwosz teraz na próbę umyślnie wznowił o tem rozmowę z Dosią. Spojrzała na niego bystro i długo zagryzwszy usta milczała.

— Juściż — rzekła w końcu — miał się żenić i przyrzekł, to pewna, ale kto kocha królową naszą, nie wiem czy tego dla niej życzyć powinien.

— Panna Dorota więc chyba teraz inaczej przejrzała! — rzekł szydersko Talwosz.

— Ani się tego myślę zapierać — odparła dumna dziewczyna. — Głupi tylko ludzie widzieć nie chcą i gdy się omylili do błędu przyznać nie mogą. Królowa ma właśnie dwoje tyle lat co on. Za kilka lat będzie zupełnie starą, a on ledwie zmężnieje.

— Więc lepiej, żeby się nie żenił? — zapytał Talwosz.

— Co to do mnie należy? — szorstko przerwało dziewczę. — Dlaczego wpan mnie pytasz o to? Mnie się zdaje, że sama pani nasza tego nie zechce, gdy się rozmyśli.

Litwin poczał głową potrząsać, dziewczę się zarumieniło mocno i pogniewało.

— Kto królową kocha jak ja — dodała gorąco — kto jej dobra pragnie, ten nie powinien życzyć, aby się to małżeństwo skleilo.

— Zapewne — wtrącił Talwosz szydersko — jeżeli jak teraz z Francyi ma sobie dziewczęta sprowadzać.

Dosia wybuchnęła zapalczywie.

— Kto to wpanu powiedział? — zawołała — to fałsz!

— A dla kogoż to tę pannę przywieziono co ją u karła Sederyna w Rynku, w Starej Mynicy trzymają — odezwał się Talwosz pewien swego — i do kogo ona wieczorami ztamtąd na zamek przybywa?

Zagłobiance paliła się twarzyczka.

— Kłamstwo! potwarz! — poczęła wołać. — Mało Francuzów jest na zamku przy królu, żeby to na jego składać rachunek? Dosyć tu ich przecie, co do żadnej z naszych kobiet przemówić nie mogą, bo z nich żadna po francuzku nie umie.

— Oprócz panny Doroty! — dorzucił złośliwie Talwosz.

Na moment zamilkła zmieszana Dosia, lecz wnet zuchwale przystąpiła z wyzywającym, gniewnym wzrokiem do Talwosza.

— Ja to od niejakiego czasu już widzę — wykrzyknęła — że waszmość sobie pozwalasz śledzić wszystkie moje kroki. Nie masz do tego prawa i bardzo proszę, abys przestał się mną opiekować.

Zbity tak Litwin smutnie spuścił głowę, podniósł głos nie już oburzony i gniewny, ale pełen żalości.

— A! panno Doroto — rzekł — gdybyś wiedziała jak dobrem i braterskim sercem ja to czynię, za co się gniewasz tak na mnie! Wierz mi, nie dla siebie, nie przez urojenie, że mnie mogłabyś pokochać i miłością moją pocziwą nie gardzić, ale przez szczerą przyjaźń dla was, prawda... śledzę kroki wasze i smucę się.

Dosia spuściła oczy; wyraz, z jakim to mówił dotknął ją, uczuła się poruszoną.

— Dość tego — rzekła ciszej i nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy — jestem wpanu wdzięczna, ale (tu wzrok łzawy podniosła) ale co komu przeznaczone, tego nie uniknąć nigdy.

— Ja w kolebce może na zatracenie byłam poświęcona. Nie chciał mnie nikt, wyparli się swoi.

— A królowna? — przerwał Talwosz.

— Nie sądz, abym była niewdzięczną — przerwała Zagłobianka — Bóg widzi, dla niej bym życie dać gotowa, ale gdybym je dała nawet, to jej nie przyczynię tego, co dla niej też... nieprzeznaczone, czego ona nigdy mieć nie będzie.

— Czego? — zapytał Talwosz.

— Takiego człowieka, coby ją pokochać umiał i ocenić jak ona warta, nie znajdzie. Zapóźno! — westchnęła Dosia — zapóźno.

I przestała mówić nagle. Talwosz dał jej milczeć chwilę zatopionej w sobie.

— Mówmy lepiej o pannie Dorocie — dodał korzystając z tego, iż zdawała się zła-godzoną — Prawdą jest, że ja pannę śledzę, bo się boję...

Panna wierzy Francuzom, a to są ludzie bez czci i wiary, gdy o kobiety chodzi. Oni sobie z ich łez nic nie czynią!

— Gdzieżes to ich tak poznał? — szydersko przerwała Zagłobianka.

— A no, dosyć było patrzeć od czasu jak tu są — rzekł Talwosz.

Spojrzała na niego z góry dziewczyna.

— Wy ani ich języka nie rozumiecie, ani obyczaju — rzekła — nie wiecie jak oni miłować umieją. U was wszystko od siekiery, nawet miłość.

— Tak, panno Doroto — rzekł Talwosz — ale od siekiery wyciosane trwa cały żywot, a ich piórka wiatr zdmucha!

Zagłobianka nic nie odpowiedziała.

Ta rozmowa i kilka podobnych wcale nie wpłynęły na sposób jej postępowania. Zda-wała się lekceważyć Talwosza szpiegowanie, pewną będąc, że on jej nie zdradzi. Umiała się nim nawet posługiwać, gdy było potrzeba, a nieszczęśliwa ofiara ta sła posłuszna, choć serce pękało.

Żalińska wzięła na siebie szepnąć o tem Annie, iż lęka się, aby który z Francuzów Dosi nie bałamucił.

Królowna się mocno oburzyła na to przypuszczenie.

— Ale co ci w głowie! moja Żalińsiu — zawołała. — Dosia! ona! to nie może być! Ja się nią posługuję, gdy mi potrzeba co od Francuzów się dowiedzieć, ale to dziewczyna stateczna! a głowa się jej tak łatwo nie zawróci!

Miała dosyć chłopców co się koło niej kręcili, nie chciała żadnego.

— Ale ona strasznie często biega do nich i po kątach szepty a schadzki ma ciągłe — dodała Żalińska.

— To ja wiem — odparła królowna. — Może być, że niepotrzebnie ją narażam, będę na to miała bacność.

— Aby nie było zapóźno — szepnęła Żalińska.

Na tem się skończyło, bo gdy Anna wieczorem coś o tem szepnęła Dosi, ta jej do nóg upadła, poczęła ścisnąć za kolana, tłómaczyć się, płakać i nazajutrz tak biegała jak przedtem.

Żalińską tylko posądziwszy o doniesienie, gniewnie odprawiała gdy się zbliżyła do niej, a pana Matyasza gorzej jeszcze.

Pomimo całej swej przebiegłości w kunszcie podpatrywania i podsłuchiwania, w którym Talwosz zdawna był mistrzem, nie udało mu się dośledzić, z kim właściwie Dosia ze dworu Henryka była w najbliższych stosunkach. Znali ją tu wszyscy, kłaniali się jej i witali rękę kładnąc na sercu, bawili ją dowcipami, usługiwali ochoczo, ale ona żadnemu nie zdawała się dawać pierwszeństwa i wszystkich zbywała dumnie.

Infantka

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(ANNA JAGIELLONKA)

KSIĘGA TRZECIA. ZAWODY

*Gdzież one złote góry nieprzebrane?
Gdzie Gaskonowie i Wojska ubrane?
W co poszły działa i nasze turnieje?
Wiatrem nadzieane puknęły nadzieje.*

J. Kochanowski

Znało całe miasto Karła (Karola) Sederyna, który trzymał kamienicę w Rynku, zwaną Starą Mynicą. Kupiec był zamożny, co się zowie, bo oprócz tej posiadłości i kilku pomniejszych placów i dworków, posiadał wieś Zielonki pod Krakowem.

Kupcem się zwał i w istocie kupczył, ale jakim towarem, niełatwo powiedzieć było, raczej czem nie handlował. Sklepu nigdy żadnego nie miał, chociaż w domu u siebie różne rzeczy sprzedawał, ale szopy i składy pełne kupi wszelakiej. Sprowadzał miedź, żelazo, ołów, kruszec różny, wywoził futra, miał pełne wina piwnice; na składzie trzymał sukno i różne tkaniny, których na łokcie nie dawał, chyba przyjaciółom, ale je hurtem sprzedawał.

Gdzie się kolwiek okazała albo potrzeba czegoś lub nadzieja zysku, tam pan Sederyn pierwszy był i drugich prześcigał. Nie znaczyło dla niego nic czy wodą czy lądem ściągać kupią, a najdalsze podróże go nie zastraszają. On sam, gdy tego było potrzeba, dobrze zbrojny i z ludźmi pewnymi puszczał się w podróż, a miał oprócz tego kilku sprawnych pomocników, których na wszystkie strony rozsyłał.

Ludzie mu naówczas przepowiadali, że dojdzie do takiego znaczenia i majątności jak Wierzynek i Bonery — ale los później inaczej zrządził.

Sederyn też nie starał się nigdy o to, aby u dworu znaczenie miał i do urzędów żadnych się nie cisnął. Miał bez tego wiele do czynienia.

Pieniądz u niego wszystko znaczył, o resztę się nie troszczył i z mieniem, jak to drudzy umieją, nie popisywał i nie pysznił.

Gdy zrana w kożuchu, długich butach i czapce baraniej prostej po składach chodził, ludzi doglądał, sprawdzał towar przywieziony, niktby go za możnego kupca nie wziął, tak wyglądał niepocześnie i skromnie.

Miał też tę naturę, że zamiast się chwalić z dostatkiem, pisał i rad się był czynić ubogim, choć się z tego śmiano.

Ludzie rozpowiadali, że dla oszukania pieniędzy pożyczal, choć ich nie potrzebował, aby myślano, że dostatku wielkiego niema. Tymczasem świadomi rzeczy twierdzili, że żelazne skrzynie w lochu trzymał pełne pieniędzy.

Oddawna już Sederyn z Zachodu, z Włoch i z Francji różny towar sprowadzał i miał tam mnogie stosunki. Sam jeżdżąc w interesach języków się nauczył i po włosku a po francuzku mówił dobrze.

Gdy Henryk się począł starać o polską koronę, Sederyn nie wiadomo naprzód przez kogo użyty został dla wywiedzenia się o wielu rzeczach w Paryżu, potem do ułatwienia stosunków z Francją, przesyłania listów i pieniędzy. Naostatek się tak złożyło, że Francuzi przybywający do Krakowa, niemal sobie gospodę założyli u niego.

Był ich sługą.

Musiał na tym nieźle wychodzić, bo pilno i serdecznie brał każdą ich sprawę.

Cały teraz dom niemal, Stara Mynica, otworem dla Francuzów stała. Tu się oni zbierali, naradzali, miewali schadzki i zabawy, które na zamku zbytby oczy zwracały.

Na dole niejaki Beraldi otworzył był temi czasy winiarnię pod złotym gronem, do której przeważnie uczęszczali dworzanie Henrykowi i cudzoziemscy. Gospodarz był z południowej Francji gdzieś rodem, otyły, osmalony, czarny, a gorący, jak żywe srebro ruchawy człek, krzykacz i zuchwalec. Ten gotował dla swoich ziomeków potrawy, do których nawykli, poił ich winami, jakie lubili, i dostarczał wszystkiego, czego z nich który zażądał.

Gdy mieszczanin albo szlachcic przypadkiem pod to złote grono zabłądził na lampkę wina, prędko się przekonywał, że to nie było miejsce dla niego; przyjmowano go tu zimno, częstowano jakby się zbyć chciało. Francuzi oprócz izby przystępnej dla wszystkich, mieli tylko dla siebie pozostawione, w których się zamykali.

Stara Mynica była w istocie jedną z najdawniejszych kamienic murowanych i pomimo odnawiania znać to po niej było. Mury miała ogromnie grube, okna wązkie, izby sklepione, niskie, a że nie od razu powstała i lepiono ją a przerabiano, więc przejść, kurytarzy, wschodów, skrytek, ciupek, komórek było w niej bez miary. Obcy człowiek w biały dzień tu sobie rady nie dał w tym labiryncie. Oprócz połaci od Rynku, wielki podwórzec jeden i drugi dokoła był ostawiony budowlami różnych rozmiarów.

Ponad pierwszym wznosiło się drugie piętro, a nad niem w części kamienicy i trzecie. Z dawnej budowy krągła baszta stała w podwórzu, która nad dachy całego rozległego domostwa górowała.

Na piętrze Sederyn zajmował sam dosyć izb dla siebie, służby i na składy, ale i próżnych stało wiele na wszelki wypadek, które teraz Francuzi najczęściej zamieszkiwali, a nawet Francuzki, bo i tych się coś zaraz do Krakowa przywlekło.

Czy kto z Paryża przybywał, czy odjeżdżał tam nazad, bez Sederyna się nie obszedł i o niego zawadzić musiał. O każdym on wiedział, dostarczał koni, wozów, przewodników, listów. U niego składano co na zamku nie mogło się pomieścić, od niego brano czego ztamtąd pożyczać nie chciano.

Poczawszy od Pibraka, od posła francuzkiego pana de Bellièvre, aż do najmniejszego pacholika królewskiego i czeladzi, nie było ktoby go nie znał i kogoby on nie mógł nazwać. Wszyscy szli do niego jak w dym.

Karł Sederyn był człowiek niemłody, posiwiały w trudach, ale rumiany i krzepki. Twarz jego okrągła, puciołowata, oczy małe, nie mówiły nic; wydawał się pospolitym człowiekiem, a mowa nie zdradzała też w nim żadnych szczególnych darów, jękał się nawet czasami, a jednak był to najpraktyczniejszy z ludzi, bystrego oka, zręczny, odgadujący i cudownie umiejący milczeć.

Wymowa jest niezaprzeczenie darem bardzo wielkim, ale milczenie rozumne, rzadsze jeszcze, prawdziwym skarbem. Człowiek, który milczeć umie a myśleć nie przestaje, więcej zdoła czasem niż najpotężniejszy retor.

Dowodem tego był Sederyn, który przegadać siebie dawał każdemu, ale co zrobił milcząc, to było więcej warte niż najpiękniejsza oracya.

Wprost Starej Mynicy, w której wiadomo było że się Francuzi zbierali, a czasem, choć okiennice zamykano i okna zawieszano, po całych nocach się tam świeciło i gwar słychać było, znajdował się jeden z najsłynniejszych ówczesnych browarów i szynków piwa u Grocika.

Tu już pewno Francuza nigdy nikt ani na lekarstwo nie znalazł, ale za to mieszczan, rzemieślników zamożniejszych, nawet szlachty z okolicy zawsze bywało pełno.

U Grocika kto się chciał dowiedzieć, co się w mieście działo, z kąd wiatr wiał, jakie chodziły wieści, kogo wieszano, wyświecano, a komu kadzidla palono, dostał najprędzej języka.

Przychodzili tu i Niemcy, ale gospoda była polska i oni tu silili się mówić jak mogli językiem polskim. Piwo było doskonałe, marzec najlepszy, a przekąsić też znalazło się czem; usługi zaś sam Grocik pilnował.

Francuzi ze Starej Mynicy mogli wygodnie patrzeć na browar polski, a od Grocika na Sederyna kamienicę także wyglądać mógł kto chciał.

W początkach czasem tu jaki Francuz pod boki się wzięwszy z Polakiem zabłądził, próbowali piwa, braterstwo się przy nim zawiązywało, ale od zabójstwa Wapowskiego i początku postu, jak nożem uciął. Żaden Francuz już w ulicy się nie pokazał z Polakiem i dwór królewski stanął jakby wyłączony, osobno. Patrzeć zaczęto na siebie z ukosa, krzywić się wzajemnie, nawet zaczepiać i z każdym dniem ten rozdział widoczniejszym się stawał.

Na zamku po cichu mówiono, że czasami, gdy się król zamknął ze swoimi faworytami, najwyższych urzędników nawet do niego nie dopuszczano, a obchodzono się z niemi tak zuchwale, że kanclerz koronny Dembiński, gdy mu Francuzina jakiś burknął, pięścią go skarcił i trochę zębów nadwęrzył, aby pamiętał z kim miał do czynienia.

Wielkie braterstwo i serdeczna przyjaźń dwóch narodów, na którą się niby zanosilo, zmieniły się jak liche wino w ocet kwaśny.

Unikali jedni drugich aby swaru nie mnożyć — obchodzono się po ulicach. A nie było, pomimo to, dnia, żeby jakieś starcie na zamku lub na mieście nie potrzebowało załatwienia.

Francuzi, których garść była mniejsza, choć króla mieli po sobie, cicho się sprawowali i starali się nie wywoływać walki, ale czasem który nie strzymał. Co się tyczy szlachty polskiej, ta nie nawykła się poskramiać, a zawsze na języku mająca to co w sercu było, wykrzykiwała głośno, drwiła jawnie, niemal wyzywała.

W ulicach poczeli się pokazywać umyślnie poprzebierani po francuzku na śmiech ladający trefnisie, w opiętych spodenkach jak królewski dwór, za którymi gawiedź szydząc i rychocząc biegła.

Po murach tu i owdzie malowano na laskowatych nogach poczwarki i podpisywano je nieprzystojnymi wyrazami.

W senacie jeszcze ciągnął się proces Zborowskiego, przeciw któremu jedni instygowali, drudzy go bronili, gdy te symptomata wzajemnych niechęci i rozdrażnienia pokazywać się zaczęły.

Prawda, że choć w ulicach Francuzi nie dawali powodów do waśni, a nie pokazywali się nawet we dnie, za to na zamku to co spotkało kanclerza Dembińskiego, trafiało się innym codziennie.

Król zamykał się jak mógł najszczelniej, odosabniał ze swoimi i po całych nocach z nimi się zabawiał przy drzwiach zapartych. Nawet podkomorzy musiał odchodzić, a wten czas dopiero poczynały się śpiewy, śmiechy, wieczerzanie, bankiet i gra w karty.

Nazajutrz rano wygrane konie, sprzęty, srebro przenosiły się do Sederyna.

Noc tak przesiedziawszy, król na dzień zasypiał. Senatorowie stali czekając na niego próżno, a gdy się pokazał, jak z krzyża zdjęty, blady, niewyspany, zmęczony, ziewający, znudzony, albo ich prędko zbywał, lub spał czasu narady.

Wszystkie sprawy zalegały, a najpilniejsza Zborowskich wlokła się bez końca.

Pani Wapowska czekała dekretu nie ruszając się z Krakowa. Chodziła do królowej, płakały z nią razem. Król u Anny prawie się nie pokazywał już i prośby jej o zakończenie sprawy spadku po królu a opatrzeniu królowej tak samo nie skutkowały, jak płacz i naleganie kasztelanowej.

Królowna Anna, która broniła długo Henryka, nareście sama się przekonała, że na niego wcale rachować nie było można. Obiecywał, zapominał — nic go nie obchodziło.

Naostatek już naleganie stało się tak gwałtowne, że dekretu królewskiego lada dzień się można było spodziewać.

Samuel Zborowski, snadź nie lękając się tego co go spotkać miało, i pewien bezkarności, chodził jawnie i nie chciał się ukrywać.

Czyniono już wnioski z tego.

Wieczorem ku końcowi postu u Sederyna na górze zebrała się gromadka Francuzów bardzo późno. Sederyn zdawał się czekać na tych gości. Na dole już było pośledniejszej czeladzi dosyć, a do niego przychodzili tylko znaczniejsi.

Posyłał razy kilka dowiadywać się tam, lecz Villequier i Jourdain, których się spodziewał, nie przychodzili. Późno w noc nareście otworzyły się drzwi i drzemiący przy stole Sederyn pośpieszył na ich powitanie.

Villequier szedł szybko ku niemu.

— A co? — zapytał Sederyn.

— Dekret podpisany — rzekł Francuz.

Spojrzeli na siebie, ciągnął dalej.

— Król nie mógł inaczej, musiał skazać go na wygnanie, ale przez szpary się patrzeć będzie, choćby granicę przekroczył, a po niej jakim czasie ulaskawi.

Sederyn otarł czoło i coś zamruczał.

— Krzyczeń będą okrutnie — rzekł wykrzywiając usta.

— Niech krzyczą — rozśmiał się Villequier. — Król musiał jednych i drugich oszczędzić, nikogo nie narażać sobie.

Dajcie znać panu Samuelowi.

— Niech mu kto chce o tem oznajmi — odparł kupiec — ja się nie podejmuję.

Znacie mnie, siedzę tu w Polsce zdawna, za tutejszego się liczę, ale Polakiem nie jestem. Wiem ich naturę, szaleńcy są wszyscy, pan Zborowski nielepszy.

Machnął ręką.

Villequier się zwrócił do stojącego Jourdaina, który wąsika bardzo młodziuchnego pokręcał.

— Idź ty do Zborowskiego. Sederyn da ci przewodnika. Król życzył sobie, aby mu o tem dziś oznajmiono.

Jourdain również ochoty nie objawiał wielkiej do tego poselstwa.

Stali trochę milczący. Gospodarz korzystając z chwili nalewał kubki, które były przygotowane.

— Za późno do Zborowskiego — odezwał się Jourdain w końcu — a mojem zdaniem pilnego niema nic.

Villequier nie nalegał — usiedli.

Sederyn wzdychał.

— Źle, źle, moi panowie — począł mówić głowę z ramienia na ramię przechylając. — Co tam u was na zamku... u nas w mieście! strach! umysły poburzone... w ulicach co wypsiewują, co przylepiają! po rynkach i szynkach co prawią, uszy więdną!!

Jourdain, który kubek wychylił odrazu, uderzył nim o stół.

— A! nieszczęśliwa to była godzina i najfatalniejszy pomysł Henryka tu na to okropne wyprawić wygnanie!! Tu żyć niepodobna.

— Tak — przerwał Villequier — ale któż mógł przewidzieć gdy pierwsze poselstwo do Paryża przybyło, tak świetne, tak lśniące, ludzie tak wymowni, twarze tak łagodne, umysły tak pozornie prostoduszne, że tu w Polsce natrafimy na jeże i na osy.

Tam się zdawali do całowania stworzeni, a tu do nich przystąpić nie można.

Myśleliśmy że nas na rękach nosić będą, a...

— A... daliśmy się wam okłamać — wyrwał się Jourdain. — Wszyscy co do nas przyjeżdżali, choć było do rany przyłożyć, chwalono ich.

Sederyn milczał.

— Dziś już zapóźno narzekać na to co się stało — rzekł po chwili.

— Król zrażony, zniechęcony — dodał Villequier — boję się o jego zdrowie. Miron powiada, że nie wyżyje ani w tym klimacie, w tej atmosferze, ani między temi ludźmi. Władzy niema żadnej. Senatorowie burczą, szlachta się odgraża, nie szanują go.

— Wiesz pan — odezwał się Sederyn zimno — że jest francuskie przysłowie: wino utoczone, trzeba go wypić.

Francuzi uśmiechając się spojrzeli po sobie.

— Wątpię żebyśmy je wysączyli do końca — wolimy resztę wam zostawić — rzekł Villequier. — Dla was, panie Sederyn — dodał — nie będę czynił z tego tajemnicy. My tu nie wytrzymamy.

— Na dobitkę — przerwał Jourdain — senatorowie niektórzy chcą jeszcze uprzjemnić życie królowi dając mu starą babę za żonę.

Ale... ba! tego już za wiele.

Śmiali się oba, Sederyn spojrział z ukosa.

— A po cóż się zobowiązał? — spytał.

— Co znaczy takie zobowiązanie? — gwałtownie zawołał Villequier.

Jest to wprost, rzecz poczwarna, niemożliwa.

— Jakże się to skończy? — szepnął niespokojny trochę kupiec.

— Na Boga! nie wiem — wyrwał się Villequier — lecz sądzę, że chyba smutnie i tragicznie.

Zawiedziono króla i nas, obiecywano nam wcale inny stan rzeczy. Gratiani, z którym się pan nasz widział po drodze, zapewniał go, iż władzę monarchiczną w pełni uzyska, a znalazło się, że żadnej niema.

— Moznaby ją uzyskać — rzekł oglądając się Sederyn — ale...

Położył palec na ustach.

Villequier chodził po izbie, głowę to podnosząc ku sklepieniowi, to ją spuszczał na piersi.

— A przytem — począł — to życie! te nudy! to towarzystwo! ten język! wprost piekło. Jedyne lepsze godziny, gdy się panowie Polacy porozchodzą, drzwi na rygiel spuścimy

i sami zostaniemy z sobą. Naówczas choć myślą i wspomnieniami przenosim się nad brzegi Sekwany, przypominamy lepsze czasy.

Sederyn okazywał niepokój.

— Panowie moi — przerwał — wszystko to prawda być może, ale ostatecznie com powiedział o utoczonem winie, to powtórzę.

Henryk jest królem z łaski bożej, usiadł na tronie, objął rządy, należy mu je ułatwiać, nie zrażać od nich.

Choćby się musiał ze starą królową ożenić, nikt mu młodych mieć nie zabroni. Panowie polscy nauczą się od was grzeczności, a wy...

— Nie wymagajcie od nas, abyśmy się od nich czegokolwiek uczyli — wtrącił Jourdain. — To zwierzęta, nie ludzie!

Sederyn syknął.

— Zmiłujcie się — zawołał — nuż kto podsłucha! Już i tak dom mój podejrzanym jest bardzo.

Francuzi obejrżeli się i zamilkli. Villequier nalał sobie wina, a gospodarz pośpieszył napęłnić kubek Jourdaina.

— A! ten karzeł przeklęty! — zawołał Villequier. — On temu wszystkiemu winien. I bezwstydnym jest do tego stopnia, iż się ciągle nam około nóg płacze, jakby chwalić chciał dziełem swoim. Król go już znieść nie może.

Pijąc westchnęli Francuzi.

— Wpadliśmy w pułapkę okrutną — zaczął z kolei Jourdain. — Co do mnie, mam nadzieję przy pierwszej sposobności uprosić pana, aby mnie wysłał, choćby z listami, do Francji. Położę się tam w łóżko i więcej nie wrócę.

— A! toby było bardzo ładnie! — odparł Villequier. — Tęgo samego co wam zachciewa się mnie i drugim, ale mamyż biednego króla samego tu na pastwę zostawić?

Wtem kroki i głosy słyszeć się dały pode drzwiami. Sederyn pośpieszył ku nim, właśnie gdy się otwierały i dwie ufryzowane głowy ostrożnie się z nich pokazały.

Byli to dwaj młodzieniaszkowie królewscy z dołu, którzy się zapewne lepszego towarzystwa domyślając na piętrze, wbiegli z wesołemi śmiechami, dowodzącymi iż czasu w winiarni nie tracili.

— Patrzcie! Villequier! Jourdain! Któż został przy królu! — zawołał jeden.

— A! jest ich tam dosyć — odparł Jourdain. — Siedzimy na zamku jak w więzieniu, choć nocą wyrwać się potrzeba.

Sederyn przybyłych gości uprzejmie częstował, dobywszy nowe dwa kubki.

Byli to dwaj ulubieńcy króla, woniejący jakimiś zapachami, postrojeni w atlasy jak dziewczęta, z rączkami białymi, zalotne robiący minki i przybierający ruchy dziwne niewieście.

— Cóż król robi? — zapytał jeden z nich.

— Gra w karty — rzekł Villequier — zostawiliśmy go z Pibrakiem, Souvrayem i p. Bellievre, któremu dziś nadzwyczajne szczęście służy.

— Wszystkim oprócz królowi — przerwał jeden z młodzieniaszków. — Gdybyż się choć to sprawdziło, że kto niema szczęścia w karty, temu za to miłość płaci!

— A! — przerwał Jourdain z miną poważną. — Cóż chcecie, królowa Anna szalenie w nim zakochana. To wiadomo.

Ogromnym śmiechem powitano ten żarcik.

Zaczęli szeptać coś między sobą, a Sederyn cofnął się kilka kroków przez grzeczność.

— Gdyby się nareście sejm ten skończył — głośno odezwał się Villequier — mogliśmy stąd wyjechać gdzieś na stronę trochę, gdziebyśmy tak bardzo na oku nie byli. Tu ze wszystkim się kryć i zamykać potrzeba.

Jeden z młodszych nagle spytał.

— A! gdzie jest Naneta?

Sederyn, do którego po części było zwrócone pytanie, rzekł bardzo cicho.

— Oddawna na zamku.

— Jakże się przekradła, żeby ją nie widziano na mieście? — rzekł drugi młodzieniaszek — bo wiem, że ciekawi podglądają.

— Jak zwykle, ubrana po mężku — dodał gospodarz. — Niktby jej wśród waćpanów nie rozróżnił od nich.

Śmiech stłumiony mu odpowiedział.

Chłopcy wypiwszy wino, posiadali na ławach ziewając.

Wtem Villequier z kieszeni płaszczyka, który miał na ramionach, dobył karty. Wszyscy chciwie rzucili się ku niemu i na nie.

Sederynowi nie pozostało już nic, tylko światło przybliżyć i zdala się grze przypatrywać.

Gdy się tak u niego zabawiano, naprzeciw w browarze też gwarno było i pełno — ale w izbie wielkiej pospolita się gawieź zabawiała, a *honoratiores* mieli osobną, do których Grocik tylko swoich wybranych, chcąc ich uczcić, dopuszczał.

W pierwszej jak giełda ogromnej można się było dowiedzieć co myślała i mówiła ulica i rynek, w drugiej co na Ratuszu i w wyższych mieszczaństwa kołach myślano i zamierzano. Z zamku przychodzili tu także nieliczni polscy króla słudzy i dworzanie, przynosząc co się im pochwycić udało.

Musieli jednak nadrabiać domysłami, bo Francuzi coraz się bardziej odosobniali, kryli i nie dopuszczali do siebie nikogo. Polakami radzi się posługiwali, gdzie mogli w pracy wyręczyć, w poufalsze nie wchodząc stosunki.

Nie dowierzano sobie wzajemnie, a że Francuzi przy królu śmielszymi się czuli i kupą stali, niebardzo ukrywali się z tą nieufnością i niechęcią.

Wyjątek stanowiła piękna Dosia, która jako kobieta, nie uważana za niebezpieczną, a piękną swą pozyskując płochych młodzików, obracała się tu swobodnie. Musiała mieć wysoką protekcję, bo jej słuchali wszyscy.

Talwosz tylko do progu komnat królewskich mógł ją ścigać, dalej nie wolno mu się było cisnąć. Nienawidził też Francuzów coraz więcej.

Kilka razy już przychodziło do poswarków — tylko ostrożny Litwin dopuścić nie chciał do żadnego wybuchu, bo się z gawieźnią tą obcą zadawać nie chciał. Z szlachcicem się poważnie i ścigać było chlebem powszednim, z cudzoziemcem, który plebejuszem mógł być, nikt sobie nie życzył.

W pierwszej izbie u Grocika dla późnej godziny przeredzać się zaczynało. Kilku upartych gromadkami małemi po kątach Marce dopiwało, ciszej między sobą rozmawiając. W bocznej komorze za to gwarniej było, bo się nie obawiano podsłuchania.

Dwóch panów radnych, ławnik jeden i kupców dwu żywo sobie rozpowiadali co ich w ciągu dnia doszło.

Obchodziła i mieszczań sprawa Zborowskich, a wielu interesa króla.

Miasto i kupiectwo potrzebowало spokoju, rozruchy handlowi nie szły na pożytek, bezkrólewie nie było dobre. Wzdychano, aby lepsze czasy nadeszły.

— Jak ono było, to było — mówił Kaczer do Smolika — za nieboszczyka króla, ale życie płynęło jak rzeka wybitym korytem i każdy wiedział, jak po niem żeglować, a teraz człek nie zgadnie gdzie się ma obrócić.

— I wątpię — przerwał Smolik — aby z tym panem, kiedy nam lepiej było... codzień gorzej. Francuzi się osobno trzymają, Polacy osobno.

Ile razy gdzie się zetną z sobą, pewna waśń i guzy. Król młody i o panowaniu nie myśli. Gry tylko coraz nowe i zabawy wynajdują, dziewcząt mu szukają, a co ma i czego nie ma faworytom rozdarowuje. Rzuca pieniędzmi jak plewami.

— Ja — rzekł ławnik — nie uwierzę w to, żeby on nam panować miał, póki się z królowną nie ożeni.

— Na zamku powiadają, że jemu to ani w głowie — odparł Kaczer. — Rozpustnik jest a ta ani młoda, ani ładna.

Na tak rozpoczętą rozmowę wszedł krocząc powoli Talwosz, który tu czasem się przywlekał dla powzięcia języka. Dwóch starszych znali go i grzecznie pozdrawiając zbliżyli się zaraz, bo ich ciekawość piekla, czy nie przynosił nowiny jakiej.

— A cóż, miłościwy panie — spytał Kaczer — będzie kiedy koniec tej sprawie Zborowskiego?

Talwosz się obejrzał dokoła.

— Zdaje się — odparł — że ona lada chwila się rozstrzygnie.

— Na czyją stronę? — wtrącił Smolik — to ciekawa.

Talwosz ramionami poruszył i smutnie się uśmiechnął.

— Łatwo to odgadnąć — rzekł — król zechce aby i wilk był syty i koza cała... a nie dogodzi ni jednemu, ni drugiemu. Głowy Zborowskiemu nie zdejmą.

Panowie mieszczenie popatrzyli na siebie.

— Prawda — odezwał się jeden — że Francuz Zborowskim wiele winien.

Milczał Talwosz i poprosiwszy o piwo siadł za stół. Obrócili się ku niemu wszyscy.

— Jutro — rzekł niepytany tym razem — dekret pono ogłosić mają.

Słuchano w milczeniu.

— Królowi on przyjaciół nie zjedna — ciągnął dalej Litwin.

— Sam sobie winien — przerwał Smolik — a więcej niż on Francuzy te jego, które w gościnę do nas przybywszy, chcieli nam na własnych naszych śmieciach przewodzić.

Straż miejska musi za nimi chodzić i czuwać, bo gawiedź Francuzów nie cierpi. Szczęściem, że oni języka nie rozumieją, bo co po murach na nich piszą i malują, to strach.

U mnie na kamienicy dziś zrana szorować musiałem kazać króla, tak mi go szpetnie ktoś z rana nabazgrał na ścianie. I żeby się nikt nie omylił, dopisał mu Gaweńskiego i koronę sążnistą z osłemi uszami włożył na głowę.

— Moi ludzie — przerwał Kaczer — ledwie wychodzącego od Sederyna napilego Francuza czeladzi z rąk wyrwali, bo gonila go i chciała wybatożyć. Codzień się to po ulicach trafia.

— Sederynowi nie zazdroścę — dodał inny mieszczanin. — Bądź co bądź, panowanie to Francuzów kiedyś się skończy, a nie będzie długie, widzi mi się, tymczasem on cały się im oddał.

— Dla milego grosza — dodał Kaczer. — On tylko o zarobek dba; zdaje mi się, że rodzonego ojczyzny przehandlował, gdyby na nim mógł zarobić.

Talwosz słuchał chwilę.

— Dekret więc jutro posłyszemy — rzekł ławnik — ciekawym! Pani Wapowska ma przyjaciół wielu.

Prezentowała zwłoki tak długo, że i obojętni ludzie żal w sobie poczuli, będzie *larum* nie małe, jeżeli kary przykładnej nie wymierzy.

— Śmiercią powinien karany być — odparł Kaczer — ubił niewinnego człowieka, gdzie? na zamku, a prawo gardłem za dobyte miecza przy królu karze.

— Dobylże go i pan Tęczyński — odezwał się drugi.

— Ale w obronie życia, zmuszony — mówił Kaczer. — To całe co innego, a mówią, że on gotów też gardło dać, byle Zborowskiemu nie przebaczone.

— My z Tęczyńskimi — wtrącił Smolik — zdawna nie jesteśmy w zgodzie. Dali się oni nam we znaki, ale Jan winien nie jest.

— Zborowscy wszyscy wicherzyciele i zbóje! to wiadoma — odezwał się ławnik — jakby jednemu łeb ucięto...

— Ha! drudzyby się za niego mścili — wtrącił Smolik.

— Nie — dokończył Ławnik — musieliby siedzieć cicho. Samuel, jeżeli życie uniesie, będzie czekał pogodnej chwili i zawichrzy nam znowu.

Chwilę jeszcze trwała ta rozmowa u Grocika i zgromadzeni się rozchodząc poczęli, gdy, pomimo późnej pory, szybkim krokiem, zadyszany, wsunął się, jakby pośpieszając, przestraszony drab jak żerdź długi i chudy, czarno odziany, ni klecha, ni pacholek, mizerny i chudy. Obejrzał się po przytomnych, szukając kogoś oczyma, spostrzegł Kaczera, zbliżył się do niego i coś mu, tkając papier w rękę, poufnie rozpowiadać zaczął.

Na twarzy mieszczanina pomieszanie widać było, obejrzał się bojaźliwie.

Przybyły, jakiś pisarz sądowy, usunął się zaraz na bok.

Kaczer poszedł do kaganka i pochylony nad nim z trudnością z papieru coś odczytywać zaczął.

Na twarzy jego widać było podziwienie i przestach.

Wszyscy z ciekawością spoglądali, co mu pisarz mógł przynieść, gdy Kaczer, raz jeszcze po przytomnych się obejrzawszy, rzekł stłumionym głosem.

— Otóż jak po mieście króla i Francuzów opiewają!! a to dopiero początek. Gdy się jeden taki głos odezwie, to jak w błocie żaby, zaraz za nim tysiące kwakać zaczną.

Skupili się wszyscy około trzymającego papier w drżących rękach mieszczanina.

— Niech Franek przeczyta — odezwał się ławnik — on przyniósł, to go też dobrze musiał wysylabizować.

Tuśmy wszyscy swoi, czytajcie.

Talwosz wstał i zbliżając się dodał.

— Czytajcie, co to jest.

— Paskwillusz straszny! odparł Kaczer.

Franek, ów pijaczyna chudy, któremu pismo w ręce wetknięto, przysunął się do kaganka i na głos, ale nie zbyt go podnosząc, począł.

Rada skuteczna

Nim Krawcowi dasz sukno, a skórę szewcowi,
Patrzaj czy zna rzemieślnik to o czym ci mówi,
Bo kurdyban i sukno zaprzepaści marnie,
Kiedy je lada partacz pokraje niezdarnie.
I dla Polaków taka potrzebna nauka,
Co się dali okłamać przez zdrajcę Mamluka ⁴,
Gaweńskiemu książęciu ⁵ wkładając koronę...
A ten nie wie na którą obrócić się stronę.
Łątka na cienkich palkach, ni z pierza, ni z mięsa,
Tańcuje i gra w karty, rozumu ni kęsa...
Bodajżeście przepadli tacy gospodarze,
Henryku z Mamlukiem i Psubratem ⁶ w parze
Francuzka sprawiedliwość! Winien pan z Zborowa,
A Wapowskiego za to pokutuje głowa.

Wiesz, choć go Franek wyjąkał niezręcznie, uczynił na wszystkich wielkie wrażenie. Stali milczący, okazując tylko ruchami, iż rzecz była smutna i znacząca.

— Zniszczyłoby to — szepnął ławnik.

— Mnie dajcie — rzekł rękę wyciągając Talwosz — ja nikomu nie okażę, a jutro pewnie po mieście tego będzie dosyć.

Zwrócili się do Franka, pytając z kąd dostał.

Pisarz zaręczał, że na wielu kamienicach, na wartach nalepione to czytał, i sam w ulicy św. Anny spisał to około kościoła.

— A no — dodał — są i inne.

Pokiwano głowami — mieszczanie się poczęli do czapek brać, Talwosz też, piwa dopiwszy i papier za suknię wetknąwszy, gotował się z powrotem na zamek.

Wszystkim twarze sposepniały.

— Źle się dzieje — skonkludował Kaczer — kiedy na mieście strzelają, to się wprędce skończy, ale jak papiery pójdą między ludzi, zbierze się na długą burzę.

Nazajutrz w istocie po długim wahaniu wyrok być miał ogłoszony.

Oznajmiono o tem zawczasu; senatorów i posłów liczba nie mała od rana się ściągać zaczęła.

Miała przyjaciół dosyć wdowa Wapowska i jej też dano znać o tem.

Postanowiła natychmiast nazajutrz znajdować się sama z synaczką przy ogłoszeniu dekretu.

Do dnia więc, aby ją to nie minęło, była już w kościele św. Stanisława, gdzie mszy świętej wysłuchawszy, że jeszcze sala była zamknięta, do królowej szła, aby u niej czekać, aż jej znać dadzą, iż się wszyscy zebrali.

Żalobnie ubrana, w grubym kirze, dziecko też odziawszy czarno i w suknię z kapturkiem, chociaż już pierwszą boleść swą przemogła i wyplakała, czyniła wrażenie męczennicy, która rozpacz w sobie tłumi, a nad siły cierpi.

⁴Mamluk — Montluc. [przypis autorski]

⁵Gaweńskie książęcie — Kze Andegaweński. [przypis autorski]

⁶Psubrat — Pi brak. [przypis autorski]

Gdy szła, ludzie jej z poszanowaniem z drogi ustępowali, taki majestat boleści miała na pięknej, bladej twarzy.

Na zamku ruch od rana panował ogromny, cisnęli się kto gdzie mógł, a kogo nie puszczano, ten w podwórku stał czekając, aby się prędzej dowiedzieć o wyroku.

Dopiero późno na dzień oznajmiono Wapowskiej, że mogła być do sali wpuszczoną. Szła tedy sama, z dzieckiem tylko, a gdy się ukazała, choć tłok był wielki na sali, wszyscy się jej zaraz rozstąpili i miejsce uczynili.

Zabierali głos senatorowie, dla formy tylko, bo dekret już przygotowany był, o czym wiedziano.

Cisza zapanowała straszna, gdy z rozkazu króla czytać poczęto wyrok.

W krótkich słowach był on ujęty.

Król mocą swą, zdania widząc podzielone, gdy jedni się na starszych, drudzy na nowszych prawach opierali, zabójstwo osądziwszy przypadkowem, Samuela Zborowskiego skazywał na wygnanie z państwa i ziem jemu podległych, bez utraty czci i sławy.

Ciszą długą przyjęto wyrok, na niektórych tylko twarzach znać było oburzenie, które nawet i na innych, mniej zrazu wyrazistych, malować się zaczęło.

Wapowska stała jak skamieniała, słuchając. Podniosła głowę, oczy wszystkich zwróciły się na nią.

Chwyliła synaczka za rękę i zwolna od tronu się oddalając, z twarzą i wzrokiem ku niemu wzniesionym, odezwała się głośno.

— Jeżeli taka twoja na mężobójców sprawiedliwość, niech ten twój pierwszy wyrok będzie ostatnim.

A po chwili łkając dodała.

— Bodaj Bóg tobie też nie przeznaczył paść mężobójcy ofiarą.

Proroczych tych słów nikt, oprócz bliższych nie słyszał. Wzięto pod rękę rozplakaną i wprowadzono z sali, a król, jakby się wstydził wyroku swojego, widząc czem go przyjęto, natychmiast salę opuścił.

Tu dopiero oburzenie większości objawiło się z gwałtownością całą.

Wyrzekano głośno, a prymas objawił zdziwienie swe, że sprawę kryminalną, prostą cywilną uczyniono.

Było i innych naigrzań i ucinków dosyć, których Francuzi już nie słyszeli, bo razem z Henrykiem natychmiast się wynieśli.

Wapowska we łzach szła na górę do królowej, która już o dekrecie zawiadomiona, płakała też, choć wcale okrutną dla Zborowskich być nie chciała. Wedle ówczesnych jednak pojęć ząb za ząb, krew za krew były ścisłym tylko wymiarem sprawiedliwości.

Z sali wprost przyjaciele Samuela biegli na miasto, gdzie Samuel na schwał pijąc i łając, czekał co mu zwiastować będą.

Nie spodziewał się on wcale, aby go na gardle sądzono, wszelako konie mu bracia trzymali pogotowiu, aby natychmiast zbiedz mógł, gdyby niebezpieczeństwo zagrażało.

Bracia Samuelowi mieli na zamku umówiony znak, który im Francuzi na chorągwi wielkiej królewskiej, wywieszonej na wieży dać mieli — białą lub czerwoną chustą.

Wiedzieli więc zawczasu, iż dekret życie salwował. Przybiegli z tem do niego.

— Biała chusta powiewa!

Samuel się nie radował, nie rzekł nic, czekał na posła. Spodziewał się wyjść całe bezkarnie.

Wtem wpadł komornik jego, niosąc papier, który mu na sali wetknięto, a stał na nim dekret jako brzmiał.

Z brwiami ściągniętymi odczytał go Zborowski i na stół cisnął z przekleństwem.

Bracia stali zmieszani, lecz okazując radość, bo się im banicya wiekuistą nie wydawała.

Wybuchnął zaraz Samuel.

— Taka jest królów wdzięczność! Jam mu królestwo dał, a on mnie ojczyzny pozbawia... Głupim był i słuszne ukaranie!

Uderzył w stół pięścią aż wszystko na nim zadrżało; głowa mu opadła na piersi i zadumał się.

Zbliżyli się do niego pocieszając powinowaci, których odpychał, słuchać nie chcąc.

— Poznają mnie — zawołał — żem wygnany może niebezpieczniejszy dla nich niż tutaj. Schronić się znajdę gdzie, przyjmą mnie otwartymi rękami.

I zwróciwszy się ku zamkowi, grożąc pięścią, zawarczał.

— Pilnuj się dobrze laskonogi, abyś ze stolca twego nie zleciał.

Piść potem zaczął znowu i śpiewał, a namarszczona brew świadczyła, że się rozmyślał co czynić.

Przytomni występowali z radami.

Według nich łatwo było znaleźć poczystne przyjęcie u książąt niemieckich, w Saksonii, u tych, którzy protestantyzm wyznawali.

Samuel głową potrząsał.

— Zadaleko to dla mnie — przerwał — ja im pod bokiem siadę, aby mnie każdego czasu czuli i drżeli.

Nagle, jakby mu myśl przyszła szczęśliwa, wstał i krzyknął.

— Na Niż! Na Niż! do Kozaków! Hetmanic im będę!

I przy tej myśli swej pozostawszy, natychmiast zwoływać począł swoich, kto mu chciał towarzyszyć.

Po mieście wionęło tym duchem, jaki z izby senatorskiej buchnął. Jeden był głos, że król pobłążył mordercy.

Krzyczeli przeciwko Henrykowi przyjaciele Zborowskich, bo chcieli go mieć bezkarnym, a całą winę widzieć złożoną na Kroatę i Tęczyńskiego; więcej jeszcze wyrzucali mu Wapowskiego i Tęczyńskiego zwolennicy, dowodząc, że Zborowski pierwszy dobył miecza i przelał krew.

Francuzi rychło spostrzegli, gdy Pibrak wkrótce potem wyszedł po języki, że nikogo wyrok nie zaspokoił. Gwałtowne mu czyniono wymówki, wróżąc, że po całej Polsce pójdzie odgłos, który królowi serca odejmie.

Henrykowi, jak się zdaje, niewiele już o to chodziło, czy go tu miłować będą lub nie. Duchem i myślą był gdzieindziej.

Prawie codziennie przybiegali gońcy od królowej matki, a gdy listy przyniesiono z Francji, żadna siła Henryka utrzymać nie mogła, choćby senatorami otoczony był, choćby najważniejsze toczyły się sprawy, rzucał wszystko, zamykał się i czytał a odpisywał.

Francja go stokroć więcej obchodziła niż Polska, dla której obojętności i niechęci nie ukrywał.

Z królowną, dla której zawsze jeszcze pewne okazywał uszanowanie, obejście się było dziwne i nierówne. Czasami sam sobie ją przypominał i, jakby ukołysać pragnął, szedł do niej.

Nie bawił tu nigdy długo, rzadko usiadł, ale uśmiechał się, wdzięczył, obiecywał bez miary, czego tylko zapragnęła — i na kilka dni ją nakarmił nadzieją.

Gdy potem Anna wysyłała Solikowskiego lub uproszonego Czarnkowskiego, aby się upominał o to, co było przyrzeczonem, nic nie mogli wyprosić, odprawiano ich z niczem, odkładano.

Anna, na przemiany ludzona i zawodzona, w końcu chciała już zrzec się wszelkich nadziei.

Ale kobiety ją otaczające nie dopuszczały. Pani Łaska i wszystkie ile ich było upierały się przy tem, że Henryk żenić się powinien był i musiał.

A że łatwo jest to wmówić czego serce pragnie, biedna królowna, gdy już rozczarowana przygotowywała się do zawodu i rezygnacyi, wracała znowu do próżnych i zawodnych nadziei.

Tak dzień tu jeden do drugiego nie był podobnym. Przychodziły jedne z przesadzonymi widokami szczęśliwej przyszłości, a zaraz po nich inne, czarne, smutne i łzami oblewane.

Łaska i panie a panny upierały się szyć francuzkie lilie na sukniach, które królowna sprawiała, krajczyna mówiła o weselu ciągle...

Czarnkowski tryumfował, choć ostrożnym był, bo jeszcze nie widział dosyć jasno przyszłości.

Coraz mocniej jednak przekonywał się, że panowanie Francuza może być nietrwale, a w takim razie jego kandydat Ernest tym razem, jak się spodziewał, wszystkich za sobą pociągnąć był powinien.

Sam na sam z królowną, powtarzał jej.

— Jam się po nim nigdy dobrego nic nie spodziewał. Płochy i zepsuty jest, a o nas nie dba.

Jeżeli się nie mylę, królowa matka, której on najulubieńszym jest, tron dla niego francuzki gotuje.

Karol IX. dzieci niema i pono ich mieć nie będzie, a Francuzi się z tem zdradzają, iż ciągle chory jest i nie pożyje długo.

Królowna słuchała co jej pan referendarz przynosił, ale strzegła się z czemkolwiek przed Czarnkowskim zdradzić.

Nikt naówczas przewidywać nie mógł rychłej śmierci króla Francyi.

Anna, jak tylko mogła, trzymała się ostatniej nadziei jakiegoś szczęścia, które się jej nie wydawało niepodobnem.

Sama ona nie mogła, bo niewieścia skromność jej nie dozwalała, upominać się o spełnienie przyrzeczeń Henryka, ani pobudzić senatorów, ażeby oni je przypominali, ale krajczyna, inne panie i ks. biskup chełmski, od czasu do czasu próbowali przyjaźniejszych królowi panów skłonić do przemawiania za nią.

Niektórzy z nich przyrzekali to uczynić, próbowali może, lecz przypomnienie to tak zimno przyjmowali senatorowie, tak je lekceważyli, że niepodobna było sprawy na stół wyprowadzić.

Najgorliwsi nawet odkładali ją — było tyle pilniejszych do załatwienia.

Nadzwyczaj zęcznie postępował sobie Henryk, unikając rozwiązania, przeciągając a razem okazując się uprzejmym bardzo dla królowej.

Tylko uporczywe jej dopominanie się o uregulowanie spadku jej i sióstr po bracie szło także w odwłokę.

Anna pozbawiona dochodów, zapomniana, gdy się u Stanów domagała wyznaczenia utrzymania stanowi odpowiedniego, najczęściej wywoływała tem przykrości i upokorzenia.

Potrzeba było łzami oblewać opiekę senatorów, którzy zsyłali komisarzy dla rozpatrzenia się w wydatkach, a ci nawet kuchni królowej nie przepuszczali, chleby, mięso, przyprawy obliczając i wyrzucając marnotrawstwo.

Tak, obok troski o przyszłość, biedna pani musiała każdy kawałek chleba powszedniego oblewać łzami.

Wpadała Żalińska z narzekaniem, przychodził ochmistrz Koniecki skarżąc się, że mu skąpe wyznaczenie obcinano. Solikowski wysłany z biskupem chełmskim szli ze skargami i dnia spokojnego nie było.

Nadchodziła powoli wiosna, a położenie ani się wyjaśniało, ni polepszyło.

Król albo się nie pokazywał, lub grzecznie przesunąwszy zamykał i zapominał co przyrzekł.

Życie jego w początkach umiające się pokrywać pozorami pewnej przyzwoitości, pod jednym dachem z królową, wkrótce dla większej części dworu jej nie miało tajemnic.

Wiedziano o nocnych biesiadach, o tańcach przy drzwiach zamkniętych, o szalonej grze w karty, która króla ogołacała ze wszystkiego.

Niepodobna było ukryć tego, że Francuzi przywłaszczali sobie konie, srebra, opony, futra królewskie i natychmiast je do Francyi wysyłali.

Szczodroblewość ta Henryka przechodziła miarę wszelką, gorszyła zaś szczególniej tych, co z niej nie korzystali.

Talwosz należał teraz do tych, którzy najgwałtowniej przeciwko królowi i Francuzom się oświadczała. Nie mógł on im przebaczyć swej Dosi, która z najpocziwszego dziewczęcia stała jakby oszalałą jakąś istotą... Dopilnować jej nie było podobna, a dla Litwina jawnem się stało, że albo król lub ktoś z jego przybocznych serce jej zajął i głowę zawrócił.

Miłość nawet dla królowej wiele na tem ucierpiała, a przyjaźń dla Talwosza w nienawiść się zmieniła.

Ile razy się spotkali, spór był nieuchronny; sam widok Litwina, jak wyrzut sumienia, twarz jej okrywał rumieńcem i do gniewu pobudzał.

Talwosz znosił cierpliwie, ale przez litość z oka jej nie spuszczał.

— Źle się skończy — mówił w duchu — naówczas próżno szukać będzie przyjaciela i obrońcy. Kolej przyjdzie na mnie, gdy wszyscy odstąpią.

Francuzi pierwsi zdradzą.

Gdy z Francji przywieziono ową piękną Nanetę, która u Sederyna się ukrywała, a wieczorami po mężku przebrana na zamek się wkradała, Dosia przez czas jakiś zdawała się tem oburzoną i zniechęconą. Chodziła z oczami zapłakanemi, ale gdy się przekonała, że jej tamta w drodze nie stanęła, wszystko znów powróciło do dawnego porządku. We dnie i wieczorami nikła często Dosia, a gdy ją dopytywano co robiła, odpierała dumnie, że miała dosyć spraw królowej na głowie i że za temi nieustannie biegać musiała.

Talwosz uśmiechał się i głową potrząsał, a te jego uśmiechy gniew dziewczęcia podwajały.

Sejm tymczasem obradował nadaremnie, a Francuzi się z tem nie taili, że końca jego z upragnieniem wyglądali. Dwór potem miał na czas jakiś do Niepołomic się udać i tam dopiero swobodnie się wywczasowywać.

Czyniono nawet powoli przygotowania do tej podróży i do pomieszczenia króla w zamczku pod pozorem łowów.

Sederyn już po kilkakroć wysyłany był w tym celu. Sejm tymczasem ciągnął się dalej, nie bez różnych epizodów, które i Infantkę dotykały, przypominając boleśnie co przecierpiała.

Sławna owa Basia Giżanka, której pobyt na zamku warszawskim, pod jednym dachem z Anną, tyle uez królowie wycisnął, dobrze wyposażona dla córeczki, którą nazywano królewskim dzieckiem, zaraz po śmierci Augusta wyszła była za Woronieckiego, który posłem na sejm został wybrany.

Wiedziała o tem szlachta i tak samo jak Kościeleccy z rodziny brata wykluczyli za ożenienie z Telniczanką, Woronieckiego z izby poselskiej wyrugowano sromotnie za Giżankę.

Głośna to była sprawa.

Przebaczyła Anna Mniszchom i zapomniano ich nadszkakiwanie królowi, ale Giżance nie przebaczone ani mężowi jej.

Tak samo Anna Zajączkowska po śmierci króla wyszła prędko za Krzysztofa Dunina i z mężem do Krakowa przybywszy chciała u królowej przebaczenia prosić, ale Anna się oparła wszelkiemu zbliżeniu.

— Przebaczam jej — kazała powiedzieć przez Żalińską, która pośredniczyła — ale niech mi się nie pokazuje na oczy. Rana jeszcze się nie zablizniła.

Właśnie gdy Zajączkowska przyjechała do Krakowa, przytrafiło się coś co ją mogło przypomnieć, jeżeli nie królowie, to podejrzliwemu Talwoszowi.

Nie wiadomo zkąd zjawił się nagle jakiś szlachcic Zagłoba, który do stryjostwa Dosi się przyznawał, po owym drewnianym krzyżyku ją jakoby synowicą swą mianował i chciał królowej prosić, aby mu ją oddała, gdyż dzieci własnych nie miał.

W początkach się ta wieść głucho rozeszła i nie wierzono jej. Talwosz się wielce zaniepokoił. Nie mógł strzymać, ażeby panny Doroty samej o to, zszedłszy się z nią znieacka (co teraz się rzadko trafiało, bo ona go unikała), nie zagadnął.

— Ludzie plotą — rzekł zastępując jej drogę — że stryj panny Doroty o nią się upomina. Zkądże on się wziął przez tyle lat o niej zapomniawszy?

Panna stała mocno zarumieniona.

— Cóż w tem dziwnego? — spytała — albo ja stryja mieć nie mogę?

— Ale tak długo się nie zgłaszał! — zapytał Talwosz.

— Albo człowieka sumienie ruszyć nie może? — chmurno odparła Dosia. — Dopóki miał własne dzieci, nie dbał o synowicę, teraz gdy mu je Pan Bóg odebrał...

Litwin głową potrząsał.

— I panna Dorota opuścić zechce królowę — rzekł z trochą ironii — a oprócz tego, mnie się zdaje, że i Krakowaby żal było, gdy dosyć zaczyna być wesołym. Francuzi sobie bez panny Doroty rady nie dadzą.

— Wpan mnie męczysz tem prześladowaniem Francuzami! — zakrzyknęło dziewczę. — Raz na zawsze, powiadam wam, nie opiekujcie się mną.

— Więc i pytać nie wolno? — przerwał Talwosz. — Ja w tego stryja wierzyć nie chciałem, a panna Dorota nie stworzona do tego, aby gdzieś na kresach w lichym dworze z dziewczętami kądział przędła.

Zmarszczyła się Zagłobianka.

— Wolę tam kądziel prząć niż tu być na potwarze i posądzenia wystawioną — zawołała.

Tak się rozeszli, ale Talwosz się nie uspokoił. Ponieważ codzień chodził wieczorami do królowej, której donosił o tem co słyszał i rozkazy od niej odbierał, pierwszego dnia zaraz zapytał o Dorotę.

Królowna Anna zasępiła się.

— Prawda to jest, że się jakiś stryj o nią upomina, a co gorzej, że ona sama się temu nie opiera, aby z nim jechać, ale mnie ona tak potrzebna.

Przeszła się po komnacie królowna i dodała cicho.

— Od czasu jak mnie tak niepoczciwie oszukano z tą Hanną Zajączkowską, nikomu już nie wierzę.

Nie wiem czemu ona mi na myśl przychodzi, ale Dosią była bardzo stateczną.

— Panna Dorota — odważył się szepnąć Talwosz — od przybycia Francuzów bardzo się nam jakoś zmieniła.

Anna odwróciła się do niego.

— Nie sądzę — rzekła żywo — ja jej zmuszoną jestem używać często, aby wiedzieć co się tam dzieje. Jeżeli kto winien, to ja co ją narażam, ale dla tej francuszczyzny niema się kim posłużyć, a ona sobie z nią doskonale rady daje. Śmiała jest. Ufam że jej to ani głowy zawrócić, ani popsuć nie może.

— Dałby Bóg — westchnął Litwin. — Tembardziej w tej chwili szkoda byłoby ją stryjowi dawać na kresy, gdy tu miłości waszej potrzebna.

Królowna przeszła się zamyślona parę razy po komnacie i odpawiła Talwosza.

— Mój Talwoszu, a dowiedz ty mi się o tego Zagłobę, zkąd on się tu wziął! Co za jeden? Może go kto zna!

Nie chciałabym Dosi dać nie wiedzieć komu, na przepadle imię, na koniec świata.

Tego tylko było potrzeba Talwoszewi, który zaraz nazajutrz puścił się na zwiady.

Wiemy, że miał w tem niepospolitą biegłość i tropić, co się kryło, umiał i lubił. Tu jednak rozbił się, jak o mur, o owego Zagłobę. Żywa dusza nie znała tego człowieka, a ów zdawał się nadto dobrze zdawał się obeznany z Krakowem i tutejszemi stosunkami, jak na człowieka, co dopiero z kresów przybywał.

Nie dając mu się poznać, przypiął się do niego Talwosz, zagadując go o Podole, o Ukrainę, o kresy, o napady tatarskie, bo to wszystko musiał szlachcic najlepiej znać, gdy z tamtych stron przybywał.

Tymczasem Zagłoba, jakby mu gębę zamalował, o kresach nic mówić nie umiał; z rozmowy zaś dłuższej wydał się dworakowi Podlasiakiem raczej niż Podolakiem.

Włócząc się za nim i podpatrując go doszedł Talwosz, że po nocy Zagłoba do Sederyna zaglądał.

Wszystko to dawało do myślenia, ale na prostych podejrzeniach oprzeć się nie mógł Litwin; postanowił dalej śledzić, nuż go nie przyłapie na czem, a tu, jakby ostrzeżony, stary szlachcic zupełnie mu z oczu zniknął.

Odniósł Litwin królownie niewiele — nie tając tego, iż bez pewnej poręki Dosi mu się oddawać nie godziło.

— Ona sama rozum ma — odparła królowna — a ja jej znowu dla mojej dogodności szczęścia i losu zawiązywać nie myślę. Stryj jej dwie wsie obiecuje pono posagu, może ją dobrze wydać za mąż.

— Ano to święte słowa były W. Król. Mości — odezwał się Talwosz — gdyście Zajączkowską przypomnieli. Dziś takie czasy, iż nikomu wierzyć nie można.

— Ale Dorota łatwowierną nie jest — zamknęła królowna.

Zląkł się niepomału Litwin, gdy potem Żalińska i Koniecki powiedzieli mu z goryczą wielką oboje, że Zagłobianka na nic nie bacząc, gotową była ze stryjem jechać a królownę, dobrodziejkę swą, opuścić.

Spotykał ją poruszoną, z zapłakanemi oczyma, jakąś nieswoją i milczącą.

Królowna, gdy się spytał co będzie z panną Dorotą, powiedziała mu.

— Widzisz sam jak ja jestem ubogą, krupy mi panowie senatorowie mierzają, abym ich zanadto nie zjadła. Zagłobianki wyposażyć nie będę miała czem; jeżeli się jej trafia rodzina co ją przyjmuje i chce wyposażyć, jak świat zawiązywać?

— Jaby tylko ośmielił się powiedzieć, żeby odłożyć koniec aż się szlachcic wywiedzie co ma i kim jest — rzekł Talwosz. — Pannie Dorocie o męża trudno nie będzie.

Anna się uśmiechnęła, bo oddawna wiedziała, iż Talwosz kochał się w niej i starał o nią.

Dosia musiała domyślać się lub wiedzieć, że jej Litwin u królowej mięszął szyki i za pierwszym spotkaniem napadł na niego gwałtownie. Zburczała go bezlitośnie.

— Panno Doroto — rzekł obrażony Talwosz — proszę mi wierzyć, że ja o sobie nie myślę, gdy waćpannę ratuję. Wiem, że mnie nie chcesz, a serca nie mając, do rękibym się nie dobijał. Mnie waćpanny żal.

Przez krótką chwilę zdawało się jakby ta mowa na niej jakieś czyniła wrażenie — stała niema spuściwszy oczy, potem szybko, dumnie podniosła je i odburknęła.

— Bóg zapłać — alem ja nie dziecko.

— Wolno pannie Dorocie czynić co się jej podoba — począł Talwosz — ale czegoż się śpieszyć. Panna czekała kilkanaście lat na stryja, niech stryj choć rok na nią poczeka. Będzie czas się dowiedzieć kto on taki.

Na kresach różnych ludzi pełno, to wiadomo, choćby Zagłobą i stryjem był, może być nie takim jakby go pannie życzyć trzeba.

Królowna potrzebuje dziś i pociechy i posługi.

Dosia popatrzyła na Litwina.

— Masz mnie za niewdzięczną — zawołała żywiej. — Przecież widziałeś, zem siebie dla niej nie oszczędzała, ale w końcu przychodzi na każdego chwila taka, iż musi o sobie pomyśleć.

Łzy się jej kręciły w oczach.

Litwin miękkiego serca, szczególnie gdy ze łzami miał do czynienia — nie śmiał już się jej sprzeciwiać.

— Niech mi panna Dorota dozwoli choćby, abym ja tego szlachcica wziął na spytki i o nim się starał dowiedzieć.

Zagłobianka rzuciła się jak oparzona.

— Jeżeliś mi wpan kiedy życzył dobrze, a słowo moje u niego coś waży — poczęła — zaklinam i proszę, ani badaj, ani śledź, ani pytaj. Wiem dlaczego tego żądam. Daj mi słowo.

Poczęła naglić mocno, zdumiał się Talwosz, i języka w gębie zapomniał.

— Ale cóż to pannie Dorocie szkodzić może? — spytał.

— Nie chcę tego i po wszystkim — odezwiała się — śmiertelnie się pogniewam.

Przeszkodził im ktoś, bo rozmowa się w kurytarzu toczyła, musiała odejść Dosia, Talwosz odszedł też, ale więcej podrażniony niż zrażony.

Zamiast puścić Zagłobę, i zapomnieć o nim, nietylko sam, ale swoich pomocników też wyprawił, aby go śledzili.

Szlachcic na takiego kresowego człowieka, który długie lata przebył wśród ludzi innego obyczaju i języka, nie miał w sobie nic, coby go od sandomirskiej lub podlaskiej drobnej szlachty różniło, a jak na dziedzica dwóch wsi w żyznej ziemi, z obszarami wielkimi, chudo wyglądał.

Niewiedzieć jak nawet mógł synowicę zabrać, gdy woza żadnego nie miał, dwoje czeladzi, konie liche i chude.

Wszystko to były zagadki, które Talwosza trapiły i spokoju mu nie dawały. Biegając tak skłopotany chwycił gdzieś złego powietrza i zachorował. W początkach zdawała się ta niemoc małym czernem i leczył ją ciepłym winem z korzeniami, ale gorączka przypadła i dziesięć dni bezprzytomny leżał, aż Anna mu doktora swego posłać musiała.

Gdy do siebie potem przychodzić zaczął, pierwszą rzeczą o którą spytał było.

— Co się z Zagłobianką dzieje?

— A co ma się dzieć — odparł chłopak, który mu posługiwał — królowna jak mogła ją wyposażyła, a stryj ją zabrał i wywiózł kędyś na kresy.

Talwosz ręce załamał. Przeklinał teraz chorobę swoją dwakroć więcej, bo był przekonany, iż zdrów nie dopuściłby takiego pośpiechu.

Jak się tylko zwlec mógł biedny i stawić na dworze, poszedł do królowej; lecz nim ją zobaczył zabiegła mu drogę Żalińska desperująca, iż Zagłobianki dla syna nie mogła pozyskać.

Baba zła była, podejrzliwa, swarliwa. Nachyliła się do ucha Litwinowi.

— Wspomnisz moje słowo — wołała zapalczywie — to druga Zajączkowska. Stryj kłamany, wszystko to komedia niecna. Nadużyto dobrej wiary naszej pani. To francuzka sprawa.

Talwosz się oburzył zrazu.

— Ale jakimże sposobem? to nie może być!!

— Albo ją dla króla zwerbowali, albo dla tego Duka co przy nim jest (Nevers), albo dla Pibraka. Dla kogo, nie wiem, ale przysięgnę, że się zbałamucić dała.

Litwin stał tak pogrążony i przybity tą wiadomością, która mu się zdała poczwarna, iż mówić nie mógł.

— Pani Żalińska wie — rzekł w końcu — jak ona była dumna i nieprzystępna. Nigdy najmniejszej nie dopuściła się płochości.

— Królowie nie takich cudów dokazywali — odparła śmiejąc się złośliwie Żalińska. — Wpan myślisz, że Zajączkowska inna była? Kubek w kubek... ani do niej było przystąpić, a przecie ją dla króla dostali.

— Ale Dosia! z tym rozumem! — rzekł Talwosz.

— Głupi to rozum był — zakończyła Żalińska.

— Zkądże pani masz to podejrzenie? — zapytał Talwosz.

— Mam ja swoje drogi! mam ludzi — odparła Żalińska. — Dowiemy się później, gdzie to Podole, do którego Dosię zawieźli. Lękam się bardzo, aby ono dalej Niepołomic nie było.

Król się do Niepołomic właśnie wybierał. Talwosz nikomu nie mówiąc nic, jak tylko cokolwiek do sił powrócił, siadł na konia i sam jeden ruszył, gdzie mu wskazano.

Trzy dni go na zamku nie było, a gdy wrócił i pokazał się znowu, czy z choroby, czy ze zmęczenia, czy z wielkiej boleści tak był zmieniony, zestarzały, iż litość brała patrzeć na niego.

Kazała go do siebie przywołać królowa; ale w rozmowie z nią o Dosi wzmianki żadnej nie było. On nie wspomniał o niej, Anna też czy umyślnie, czy zajęta innymi sprawami, nie mówiła wcale o utraconej słudze.

Wychodzącego od królowej zaczepiła Żalińska.

— Gdzieś waćpan bywał?

— Jeździłem na wieś, sądząc że mi powietrze inne pomoże — rzekł. Nie przyznał się nawet, że był w Niepołomicach.

Nigdy on od lepszego rozpatrzenia się we Francuzach nie był ich przyjacielem, ale od tej chwili stał się im wrogiem najzaciętszym.

Gdzie tylko na nich psy wieszano i odgrażano się, Talwosz tam pewnie był i nigdy nie przyszedł z próżnymi rękami. Wiedział najlepiej o srogiej rozpuszcie na zamku, o nocnych króla zabawach, o jego służkach, Włochach i Francuzach, o kochankach, które z Paryża tu przysyłano.

Wiedział więcej niż wszyscy, bo twierdził, że król francuzki nie pożyje długo, bo mu w sosie do szczupaka truciznę zadano taką, która go powoli ze świata zglądzić musi.

Nie minął tydzień, aż Talwosz na zamku z Jourdainem się przymówiwszy na rękę go wyzwiał, ale tu się bić nie było można. Wyjechali więc za miasto. Litwin jeszcze po chorobie niewiele siły miał, ale wściekły był i Francuzowi, nim się złożyli, łeb szpetnie rozplątał.

Nastawił się drugi mszcząc za niego, i temu się dostało — dali mu pokój.

Nie mógł potem pokazywać się na zamku, bo inni się odgrażali, ale w mieście spotykał się z nimi i już go tam nie zaczepiano.

Niema pono straszniejszej dla serca męczarni, jak gdy ono między nadzieją szczęścia a zwątpieniem rzucane, jak łódka burzą w głębiny ciskana i unoszona falami do góry, naprzemiany ludzi się i rozpacza.

Tak żyła teraz biedna królowa Anna, która w początkach dała się słodkiemi słowy, obejściem się nader uprzejmem, nadszakującym ująć za serce; a z każdym dniem musiała ostygąć i przychodzić do przekonania, że z nią, jak z innymi, odegrano komedię tylko.

Krajczyzna Łaska i inne panie dotąd były zaślepione, nie przypuszczały nawet, aby król mógł złamać słowo dane krajowi; trwały więc w tej myśli i wpajały ją w królownę, że żenić się musiał. Czyniono nawet przygotowania do tego.

Anna słuchała nie śmiejąc przeczyć, zaledwie czasem rzucając zimniejsze, obojętne słowo, ale Łaska i towarzyszki jej natychmiast głośno, gorąco protestowały.

Król wprawdzie nie był częstym gościem u tej mniemanej narzeczonej swej, co się tłumaczyło zajęciem sejmowem, troskami rządu, lecz ilekroć się zjawiał, mógł w istocie utrzymać w błędzie, tak się silił na okazywanie niezmiernej czułości dla królownej.

Uśmiechał się, dowcipkował, jak zalotne dziewczę starał podobać, wyrywały mu się dwuznaczne słowa, wychodził potem rad z siebie, i nikt, oprócz jego minjonów nie wiedział, iż sam sztychował z tych zalotów, że potem smutną twarz i postawę Anny przedrzeźniał, mowę jej i westchnienia naśladował, co dworaków pobudzało do śmiechu.

Po takich odwiedzinach królowna jakiś czas żyła niemi, rozweselała się, tłumaczyła sama sobie obawy jako płonne, to co o Henryku mówiono jako złośliwe potwarze.

Z jednej strony Łaska i kobiety jej przemawiały za narzeczonym, z drugiej Czarnkowski i biskup Chełmski nie oszczędzali go.

Rodzaj życia jaki król prowadził, choć się starano je pokryć, choć nawet najlepiej u Henryka położony podkomorzy Jaśko z Tęczyna nie był ani przypuszczany, ani wtajemniczony w nocne zabawy, nie mógł pozostać tajemnicą.

Gawiedz zamkowa umiała podpatrywać, odgadywać, rozumieć.

Wiedzano, że Naneta od Sederyna po mężku przebrana przychodziła na zamek i bawiła tu do dnia białego. Oprócz niej były inne.

Ani młodość, ani krewkość nie mogły wytłumaczyć jawnego zgorznięcia, jakie król dawał. Duchowieństwo wiele przebaczało nawykłe w ostatnich latach panowania Augusta, w tem życiu coś jeszcze poczwarniejszego widziało.

Krzyczano na Sodomę i Gomorkę!

Gdy któremu z Francuzów, szczególnie Pibrakowi, delikatne dawano przestrogi, oburzał się przeciw potwarzom, nie dawał mówić, oskarżał Polaków o dzikość i barbarzyństwo.

Król i tak dosyć był umęczony, osamotniony, żeby mu nawet rozerwać się z młodzieżą swą nie dopuszczano.

Napróżno biskupi, szczególnie Pibrakowi, rozpowiadali, jak w kraju panowało straszne przeciw królowi oburzenie, jakie chodziły paskwile.

W istocie nigdy pewnie w Polsce takiego nie bywało rozpasania słowa i odgrózek.

Szlachta na zjazdach wołała otwarcie, iż elekcyja nic nie była warta, że to był król ślepych Mazurów, którego oni sobie okrzyknęli.

Mówiono, że go precz pozbyć się potrzeba. Sprawa Zborowskich była pozorem; w istocie pod tym ruchem kryły się intrygi przyjaciół cesarza i partyzantów Ernesta.

Posługiwano się wszystkim. Infantka, którą senatorowie sami chcieli wprzód obezwładnić i usunąć na stronę, teraz w oczach nieprzyjaciół króla rosła ze swemi prawami. Wyrzucano mu, że się z nią nie żenił, i zadawano to jako złamanie paktów.

Dzięki temu Anna stawała coraz wyżej, w miarę jak Henryk spadał.

Francuzi na mieście prawie się pokazywać nie mogli: drwiono z nich, urągano się, zaczepiano, ścigano.

Na wrotach i ścianach spotykali się z wizerunkami poczwarnymi króla i napisami obelżywymi.

Król o tem wiedział czy nie? ale wcale go to nie zdawało się obchodzić. Obowiązki swe pełnił przymuszony, niechętnie, wyrywał się jak tylko mógł z rady, zamykał w swoich pokojach i dostukać się już do niego nie było można.

Z tych izb zamkniętych szczelnie i strzeżonych przez Gaskończyków dochodziły śmiechy, muzyka, okrzyki, brzęk naczyń... a Polacy tylko z za drzwi przysłuchiwać się mogli tej wesołej myśli.

Jedną tylko miał dla nich dobrą stronę król — rozsypywał co miał z rozrzutnością niesłychaną.

Znaną była owa Jagiellońska szczodrobliwość tradycyjna Władysława, Aleksandra, Olbrachta, ale Francuz dawał tak, jakby do niczego najmniejszej ceny nie przywiązywał.

W ogóle tego co się tu z nim i koło niego działo, nie brał na seryo.

Przytem największy w świecie nieład panował na tym dworze, jakby na popasie w gospodzie.

Przyjmowano posłów tak, iż zdumieni wychodzili tym monarchą, który się im jakimś paziem wydawał, tak nie po królewsku występował.

Urzednicy dworscy musieli zastępować króla, gdy posłów traktować należało, bo na stół królewski często i naczynia i potraw brakło.

Tęczyński podkomorzym uczyniony głowę tracił.

Co było przygotowanem na dzień jutrzejszy, zjadano w nocy, rano nikt w porę nie wydał rozkazów — i na objad jeść nie było co.

Książę Nevers, Pibrak, rządził kto chciał, dysponował pierwszy lepszy, rozkazy się krzyżowały — a senatorowie przed obcemi wstydzić musieli.

Po posłuchaniu u króla, moskiewski poseł na obiedzie u jednego z panów bez ogródki powiedział, iż szkoda było narodu dla takiego króla, który wcale do potężnego monarchy podobnym nie był.

Kólczyki u uszów królewskich, obcisłe spodeńki, białe rączki, trefione włosy raziły i śmieszyły.

Starsi panowie boleli pocieszając się tem, iż z czasem wszystko się zmienić musi, król z językiem i obyczajem się oswoi, Francuzi powoli do domu powrócą, otoczą go Polacy i przerobią na lepszego.

Francuzów w samej rzeczy ubywało.

Bito ich, pędzano i tak im było w końcu niewygodnie, iż się jeden po drugim wypraszał. Niektórzy po prostu uciekali.

Z tych co bliżej Henryka stali, Jan z Tęczyna, mianowany podkomorzym, przypuszczony do większej zażyłości, dał się ująć i bronił króla gorąco.

Widział i on wady jego, ale je przypisywał młodości, chwalił dobre serce i łagodność. Henryk umiejący się przypodobać gdy chciał, pozyskał go sobie.

Wielu też z senatorów było za tem, aby króla do małżeństwa nie zmuszać, punkt ten paktów pokryć milczeniem i zapomnieć o warunku, który mógł odstręczyć młodego pana. Zborowscy, Tęczyński, Opaliński, Górkowie, Kostka i wielu innych byli za tem.

Biskupi kujawski i plocki popierali to zdanie. Nie rozprawiano o tem głośno, ale samo milczenie i nienaglenie o małżeństwo mówiło wiele.

Właśnie dlatego iż żenić się wcale nie myślał, a on i dwór królową „starą czarownicą” między sobą nazywali, Henryk ile razy się z nią spotykał, starał się ją uspić grzecznością, okłamać uprzejmością nadzwyczajną.

Jedyny to był talent młodego pana, iż nikt zręczniejszej serdeczności zmyślać nie umiał nad niego, gdy w duszy nie kochał nikogo.

Naówczas już z pewnością przychodziło na myśl to, co później starał się napróżno wykonać: chciał powrócić do Francji, gdzie na niego po bracie korona czekała, a Polskę, na wzór Ludwika Węgierskiego, zdać wielkorządczom. Zresztą lekko sobie ważył tę koronę.

Gdy sejm nareście się skończył, a wiosna zbliżała, myślano tylko o wycieczkach, zabawach, turniejach, o rozrywkach dla wielce znudzonego pana, a młodzież polska, zachęcona przez Jana z Tęczyna, gotowała się do turniejów, do tańców, do uczt, w których uciekających Francuzów zastąpić miała.

Wybierając się już do Niepołomic, Henryk, który oddawna nie był u Anny, oznajmił się jej na pożegnanie. Była tak słabą, że znowu z radością przyjęła ten dowód pamięci o sobie. Ubrała się staranniej i czekała na zapowiedzianego.

Henryk nadzwyczaj wyelegantowany, woniejący, przybył z jednym tylko swoim grand prevôt, Villequierem, i sekretarzem Beaulieu. Od progu przywdział maseczkę nadzwyczaj wesołą, zobaczywszy stojącą i oczekującą na siebie Annę, która stała smutna i blada.

— Nie prawdaż — rzekł biorąc ją za rękę, którą przytrzymał chwilę — iż mi za złe nie macie tak długiego zapomnienia? Lecz, wyraz to niewłaściwy. Pamiętałem, smuciłem się, wybierałem i nie dopuszczono mnie do was. Panowie senatorowie polscy są prawdziwemi tyranami i nie ja nad niemi, ale oni panują nademną!

Trzymano mnie często głodnego do nocy.

Henryk śmiał się.

— Ale nareście ten sejm się raz zakończy i wszyscy, oni i ja odetchniemy swobodniej. Jadę do tego zameczku w lasach, który i W. Król. Mości znajomym być musi, bo mi mówią, że tam ojciec jej zwykł był polować.

— I ja byłam tam wiele razy — odparła ożywiając się powoli Anna — Nie spodziewaj się jednak W. Król. Mość ani wiele przyjemności, ani wygod w Niepołomicach. Miejsce jest odosobnione i dzikie.

— Tem swobodniej tam odetchnę — rzekł król — aby potem do Krakowa powrócić odświeżony i wypoczęty. A Wasza Król. Mość co postanowiliście?

— Ja? — spytała nieco zdumiona Anna. — Ja? jak W. Król. Mości wiadomem być musi, wcale dotąd mej woli nie mam. Panowie senatorowie panują daleko despotycznie nademną.

Dotąd nic się od nich doczekać nie mogłam, ani uregulowania sprawy spadku mojego i siostr po bracie, ani opatrzenia mnie na przyszłość.

Wiele dóbr macierzystych mi pozabierano...

Anna już parę razy wprzód napomykała o tem królowi — podniosła ku niemu oczy. Henryk się zarumienił, zapomniał zupełnie o tem, co jej przyrzekał.

— A! proszę wierzyć — przerwał żywo, rękę kładnąc na piersiach — nie moja wina! Zawsze pp. senatorów. Co do mnie, gotówem wszystko po myśli i wedle życzenia waszego rozstrzygnąć, podpisać.

— Uczynicież to, W. Król. Mość — odparła Anna — bo niepewność jest przykra, a oprócz tego siostrom odpowiedzialną się czuję za zwłokę. Ja tu jedna bronię sprawy królowej Szwedzkiej i księżnej Brunświckiej.

Król słuchał już jednym uchem tylko, co najprędzej pragnąc się wymknąć, ale Anna dodała jeszcze.

— Proszę bardzo W. Kr. Mość o rozstrzygnięcie. Moje nalegania niewiele znaczą, słuchać mnie nie chcą, W. Kr. Mość masz prawo.

Król się kłaniał i przymrużał oczy, a usteczka krzywił zalotnie.

— Ale możesz W. Kr. Mość być pewną, że co do mnie — rzekł — ja z oczyma zamkniętymi podpiszę wszystko, co może jej spokojność zapewnić.

Chętnie uczyniłbym ofiarę nawet.

— Ja żadnej aniby przyjęła, ni potrzebuję wymagać — odezwała się Anna — żądam tylko sprawiedliwości. Dotąd nie obmyślano dla mnie nic, a nawet do własności swojej przyjść nie mogę.

— A! — przerwał nagle Henryk — ta nieszczęśliwa sprawa tego biednego kasztelana ze Zborowskiemi! Ile nam ona czasu zabrała, jak zawichrzyła wszystkim! Dzięki Bogu skończona raz, chociaż miałem to nieszczęście, że chcąc wszystkich zaspokoić, nie podobałem się nikomu. Zborowscy sądzą mnie nazbyt okrutnym, pani Wapowska zbyt pobbłażającym.

Nie widać było z tonu i dźwięku mowy, aby to wszystko wielce króla obchodziło. Lekko się wyrażał, a uśmiech sarkastyczny, dwuznaczny, do którego był nawykłym, nie przestawał błędzić mu po ustach. Czasem, roztargniony spoglądając na panny fraucymeru królowej, stojące za nią, jedno oko przymrużał.

Królowna podziękowawszy za obietnice, dodała, iż polega na nich i będzie czekać spełnienia.

— Chociaż jadę do Niepołomic — dodał król — nie dadzą mi i tam spokoju i będę pamiętał, aby nic nie zalegało, a sprawa W. Kr. Mości będzie dla mnie najpilniejszą.

Wprędce potem król, jakby się tem chciał przypodobać Annie, począł chwalić polską wiosnę.

— Obiecują mi polowanie piękne, lasy być mają wspaniałe.

— I dawniej zwierza były pełne — przerwała Anna — a że tam nikt polować nie miał prawa, dziś też obfitować muszą we wszystko.

Zapytała jeszcze królowa o wiadomości z Francji i zdrowie królowej matki, na co posmutniawszy odpowiedział Henryk, że od trzech dni listów nie miał, co go wielce niepokoiło.

— O zdrowie matki mniej jestem niespokojny — dodał — więcej się troszczę o najukochańszego brata, który już cierpi oddawna, a swego doktora Ambr. Paré słuchać nie chce, poluje nadto i zrywa piersi ucząc się grać na trąbce myśliwskiej.

Królewna szepnęła, iż słyszała, jakoby wiersze też pisywał, na co się Henryk uśmiechnął.

— Tak mówią — rzekł szydersko — ale ma przytem tyle rozsądku, że się z tem nie chwali. Królowie mają zbyt wiele do czynienia, aby poezją się zajmowali. A potem, od czegoż Ronsard?

Królowi zdawało się, że nad zwykle jej rozmiary przedłużywszy rozmowę z królewną, musiał ją już uszczęśliwić i na długo nakarmić; zakręcił się kłaniając grzecznie, uśmiechnął zalotnie i wesoło, elastycznym krokiem tancerza poszedł ku drzwiom.

Wszystkie panie patrzyły za nim zachwycone, tak zręcznym był, gibkim i młodzieńczo się wydawał.

Łaskę cieszyło to dla Anny.

— Takiego mieć będzie ślicznego męża!

Nie wątpiła bowiem, iż mieć go będzie.

Królewna po wyjściu Henryka natychmiast usunęła się do sypialni, aby tam chwilę przemarzyć.

Jak uczeń wypuszczony ze szkoły, młody król śpieszył do swych apartamentów. Tu go wielka spotkała radość.

D'Entragues, którego lubił bardzo, rówieśnik, przyjaciel, przybywał z listami z Francji.

Czekali wprawdzie oddawna na króla Opaliński, Zebrzydowski świeżo mianowany wojewodą i biskup płocki, ale d'Entragues przywoził tak upragnione z Francji nowiny — nic nie mogło równoważyć się z niemi.

Pibrak pobiegł przeproszać, składając się listami od matki i panowie senatorowie raz jeszcze z niczem odejść musieli.

D'Entragues nie miał nawet czasu zrzucić butów, w których podróż konno, pośpiesznie odbywał, wprowadzono go do gabinetu, którego drzwi natychmiast na rygiel spuszczone zostały.

Gdy się znaleźli sami, Henryk zrzucając z ramion płaszczyk i kapelusz z głowy, westchnął głęboko.

— A! przyjacielu! — zawołał ręce łamiąc — kiedyż ja z tej niewoli babilońskiej wyswobodzonym zostanę? Nie wiesz, na szczęście twe, co to jest siedzieć tu na ciężkiej pokucie w kraju niedźwiedzi, piwa i szabel krzywych, gdzie ludzie się po całych dniach kłóć, godzą, zabijają, a kłótnie i zgodę zapijają beczkami tego narodowego napoju.

Wzdrygnął się.

— D'Entragues, co ty mi przywozisz? matka? król? d'Alençon? co się u was dzieje?

D'Entragues dobywał listy.

— Dowiedcie się trochę z tego, co pisze królowa, chociaż poleciała mi, abym to dopełnił tem co mi ustnie zwierzyła... król coraz jest gorzej.

Henryk spojrział bystro.

— Co mówi Paré?

— Milczy, to najgorzej — odparł spytany. — Król wcale się oszczędzać nie chce, a łóżka nie cierpi. Choroba się wzmaga widocznie.

— Groźną jest? — szepnął Henryk.

— Przynajmniej się nią wydaje — mówił d'Entragues — nam wszystkim i królowej matce, która wcześniej zapobiegać musi, aby w razie nieszczęścia, d'Alençon, król Nawarry a z nimi Condé, Turenne i ich przyjaciele nie pochwycili regencyi.

Brwi Henryka się ściągnęły, listy, które trzymał w ręku, ścisnął konwulsyjnym ruchem.

— Zdaje mi się — rzekł stłumionym głosem, w którym namiętne poruszenie czuć było — zdaje mi się, iż królowa ma dosyć środków, aby ich nieszkodliwymi uczynić i nie spuszczać ich z oka. Regencya jej jednej należy; źleby było, gdyby ją miał d'Alençon pochwycić.

Zapobiedz temu potrzeba.

— Sądzę, że zapobieżono — odparł żywo d'Entragues — królowa ma na sercu sprawę W. Kr. Mości jak swą własną.

— Bo ona też jest wspólną naszą — przerwał Henryk. — Potrzeba mieć oko nie tylko na brata mego i na tego chytrego króla Nawarry, który tak dobrze umie, gdy mu

potrzeba, dobrodusznego udawać. Kondeusz, Montmorency, de Cossé, Turenne i Thore są niebezpieczni.

Uśmiechnął się d'Enragues.

— Wszyscy oni są tak dobrze jak w ręku naszym — rzekł — o to W. Kr. Mość możesz być spokojnym.

Wątpię, ażeby czas mieli do ucieczki, a najmniejszy ruch podejrzany swobody ich pozbawi.

— Do Bastylii — zamruczał Henryk.

— Trudniej będzie z d'Alençonem i królem Nawarry — ciągnął dalej przybyły — ale ci się na żaden krok stanowczy bez pomocników ważyć nie będą.

Henryk podniósł ręce do góry.

— I trzeba, ażeby mnie los nieszczęśliwy zaniósł tu na drugi koniec świata i związał, abym tylko zdaleka musiał niepokoić się i trwożyć.

— A! W. Kr. Mość możesz być zupełnie spokojnym — dodał d'Enragues. — Królowa czuwa, nic zaniedbanego niema.

— Mów mi jeszcze o Karolu — przerwał Henryk. — Jestże on w istocie tak źle?

— Wnosząc z twarzy — szepnął przybyły — zdaje się, że choroba z każdym dniem się staje groźniejszą. Pomimo starań lekarzy, wychudł strasznie, gorączka go trawi. Paré powiada przed temi, którym ufa, iż w tym wieku w jakim król jest, choroba groźniejsza niż w starości.

— Zmienił życie? — zapytał Henryk.

— Bynajmniej.

— A królowa młoda? — tu spojrzał bystro w oczy przyjacielowi, który go zrozumiał.

— Niema o to obawy — szepnął d'Enragues — jedynym potomkiem zostanie dziecie Maryi Touchet.

Henryk się uśmiechnął.

— To nikomu przeszkadzać nie będzie — odparł rzucając się na krzesło.

Musisz być straszliwie zmęczony d'Enragues? — dodał — ale ja ciebie nawet dla zrzucenia butów tych puścić nie mogę, póki mi nie powiesz wszystkiego. Tak chciwy jestem nowin z Paryża, tak stęskniony za wami! A! co za kraj! co za ludzie! i na końcu jak miecz Damoklesa wisi nademną straszna ostateczność ożenienia z kobietą, która matką byczy mi mogła, a mówią o niej, że jest czarownicą, że struła brata własnego i odziedziczyła po matce wszystkie przynioły, które tu pamięć jej czynią odrażającą.

D'Enragues spojrział na niego.

— To małżeństwo — począł.

— A! to małżeństwo — nie dając mówić dorzucił król — to małżeństwo byłoby śmiercią dla mnie! czemś jeszcze gorszem od śmierci, męczarnią...

— Nie nagle W. Kr. Mości?

— Wywijam się jak mogę — począł Henryk żywo. — Łudzę, zwlekam, nie daję im mówić o tem nawet. Część senatorów jest za mną, spodziewam się przez nich resztę pozyskać.

Sparty na ręku, mówił z oczyma spuszczone i podniósł głowę nagle.

— Miałebym tu do tych lodów przykuty pozostać na zawsze? — zawołał. — D'Enragues! wy na to nie pozwolicie, ja nie wytrzymam!

Wstał z krzesła.

— Dopókiż tak mój los pozostanie nierozstrzygnięty? — zawołał.

— Nie powinno to potrwać długo — rzekł d'Enragues. — Wiem, że i królowa matka tak sądzi. Dlatego czyni wszelkie przygotowania, aby katastrofa nie zastała ją nieczujną.

— Jestże ona nieunikniona? — cicho, jakby sam się tego obawiał co miał wyrzec, szepnął Henryk.

— Tak się zdaje — potwierdził d'Enragues.

Nastąpiły mnogie pytania o szczegóły, o pobyt d'Alençona i króla Henryka, o Kondeusza, o tych, których król za najniebezpieczniejszych uważał. Poseł królowej matki upewniał, że pamiętano o wszystkich, że nikt nie mógł nic przedsięwziąć, czemuby baczna królowa nie zapobiegła zawczasu.

Naostatek d'Enragues został wypuszczony z gabinetu, a Henryk listy przywiezione przez niego czytać zaczął.

Cały potem wieczór oblegano przybyłego z Paryża, bo każdy miał pytać o kogo, ale d'Entraques, otwarty z królem, przed innymi skąpym był w słowa. Składał się niewiadomością.

Nie przeszkodziło przybycie tego posła postanowionej do Niepołomic wycieczce, do kąd oddawna kredensa, kuchnie, służba, łowcze przybory wyprawione zostały. Zabrano Francuza ze sobą.

Tu na ustroniu król czuł się swobodniejszym daleko, nie tyle oczu na niego patrzyło. Przybywających panów pojono tak, aby nie wszystko co się tu działo widzieli.

Henryk mógł zapomnieć o paszkwilach i usposobieniu niechętnem dla siebie, bo tu mu o nich nie donoszono.

W Krakowie tymczasem nawet pobytowi temu nie przebaczano, rozpowiadając o nim rzeczy straszne. Wiedzano ile Francuzi z sobą przyjaciółek zabrali, że Nanetę Sederyn po mężku przebraną we własnej wyprawili kolebce. Zmniejszyła się liczba Francuzów, ale nienawiść dla nich urosła.

W gospodzie u Grocika poczarne o zabawach nocnych na zamku krążyły plotki. Zamek, choć zamknięty, nie miał tajemnic, zdradzała je czeladź, a najmniejsza rzecz starczyła złym językom, aby z niej straszną potwarz skleily.

Gawiedź krakowska zresztą w tem oburzeniu swoim była wyrazem tego uczucia, jakie w wyższych kołach się odzywało.

Chciano mieć króla, któryby majestat swój blaskiem cnoty uczynił wielkim; ostatnie lata życia Augusta dosyć już zgorzeń i goryczy przyniosły. Natomiast płocze chłopię wiodło za sobą srom i upokorzenie.

Wstydić się za nie trzeba było przed posłami obcemi, przed ludem, przed światem. Ludzie wywozili z Krakowa tylko powieści o rozpuszcie i nieładzie.

Nie jeden raz odzywały się już głosy, że króla takiego cierpieć się nie godzi; ale ślub monarchy z krajem wydawał się tak nierozzerwanym jak pasterza z owczarnią, jak męża z życia towarzyszką. Rozwód był niepodobnym.

Wymyślano więc różne środki jakiemiby na inną drogę młodego pana wprowadzić, a ożenienie stosowne wydawało się wielu jednym z najskuteczniejszych.

Dyssydenci chcieli niemieckiej księżniczki, katolicy bodaj rakuzkiej. Anna miała być uposażoną i skazaną na wieczne osamotnienie.

Wyzdrowiawszy Talwosz, który chodził jak błędny długo, przysłuchując się temu co mówiono, podburzając przeciwko Francuzom, trawiony jakimś niepokojem, po wyjeździe króla począł się także gdzieś wybierać.

Nie zwierzał się nikomu. Podróż to postanawiał, to odkładał, niepewien co pocnie.

Jednego dnia w końcu oglądano się za nim u Grocika, gdzie często bywał, rozmowom i plotkom się przysłuchując, a na zapytanie o niego odparł ktoś, iż go zrana widziano jadącego konno za miasto.

Talwosz w istocie ruszył do Niepołomic. Nikomu się on z niczego nie spowiadał, zdawało się jednak, iż historia Zagłoby i wyjazd z nim Doroty były mu podejrzone. Posądzal piękną Dosię, że gdzieś się dla kogoś ukrywać musiała.

Jak wpadł na myśl, że w Niepołomicach być mogła? Któż to odgadnie?

Mieścinę tak zastał pełną, iż konia postawić a sobie zapewnić noclegu było trudno. Zjazd był wielki. Bawili przy królu senatorowie niektórzy, urzędnicy niezbędni, wszyscy Francuzi ulubieni i mnogo się przemykało proszących, którzy na szczodroliwość Henryka rachowali.

Litwin znalazł sobie niepoczesny dworek mieszczanina, w którym go przyjęto. Postawiwszy konia, następnego dnia, ubrany tak aby oczu na siebie nie zwracał, poszedł z innymi krążyć około zamku i patrzeć na to co się tam działo.

Życie było bardzo huczne. Tuż około zamku plac obwiedziony służył za miejsce popisów dla biegających do pierścienia, którym i król się czasem zabawiał, lub na turnieje, chociaż one gorzko jeszcze zawsze nieszczęśliwą sprawę Wapowskiego przypominały.

Za gośćmi ściągnęło do Niepołomic mnóstwo różnych przekupniów, spodziewających się z nich korzystać.

Bezpiecznie więc w tym różnorodnym tłumie obracać się mógł Talwosz, nie będąc śledzonym i poznany. Zwracał on oko baczne na wszystkich wchodzących i wychodzących, na służbę, na tych co zamek zajmowali. Miał nawet przyjemność widzieć tego dnia

sławną Nanetę, którą mu tak dobrze opisano, iż ją poznał odrazu. Oprócz niej było kobiet kilka.

Talwoszowi na tę samą myśl, iż w podobnym towarzystwie zmuszonym był szukać swej Zagłobianki, serce się krajało, krew zalewała twarz.

— A! nie — mówił sam do siebie — to urojenie, to być nie może.

Jakaś śmieszna, chorobliwa ciekawość przytrzymywała go tu aż do późnego wieczora, gdy wszystkie okna zapłonęły światłem i król, po powrocie z łowów, do stołu miał siadać. O mroku cały jego dwór zaczął się swobodniej poruszać.

Talwosz już miał zamek opuścić, gdy postać jakaś mężczyzny młodego, ruchami nieśmiało zwróciła jego oczy. Sam nie wiedział dlaczego na widok jej serce mu bić zaczęło. Stał tak, że idący tuż około niego przechodzić musiał.

Im się bardziej zbliżał, tem straszniejsza bledność okrywała twarz smutną i wynędzniałą nieszczęśliwego Talwosza.

W tym zręcznym ale bojaźliwie się przesuwającym chłopaku poznał Dosię Zagłobiankę. W pierwszej chwili taka boleść go przejęła, tak uczuł się nieszczęśliwym, że zdrętwiały pozostał w miejscu. Wyminęła go idąc ku bramie. Lecz w tymże momencie oprzytomniawszy Litwin biegł już za nią i śmiało w ciemnych wrotach za rękę pochwycił.

Twarzy jego dojrzeć nie mogąc, Zagłobianka odepchnęła silnie śmiałego napastnika, który zawołał.

— Panno Doroto! ja to jestem! Na Boga! Mamże oczom wierzyć moim! Wy! w tem ubraniu! w tem miejscu! A! tak...

Zagłobianka stała niema, nie próbowała nawet uciekać.

— Tak — odezwała się zuchwale — ja to jestem; czego chcesz odemnie? Jakie masz prawo?...

Głos jej zamarł w ustach.

— Prawo! — krzyknął Talwosz idąc za nią, gdyż poczęła bramę mijać, jakby na zewnętrzne podwórze wyjść chciała. — Mam takie prawo jak człowiek, który tonącego ratuje.

Dorota wyszedłszy na podwórzec stanęła, założyła dumnie ręce na piersi.

— Według was ja już jestem trupem — rzekła szydersko — nie masz więc już obowiązku mnie wyciągać!

— Wy! wy! mogliście upaść tak straszliwie, tak nisko? — począł Talwosz z uniesieniem.

— Widzicie — odezwała się zimno dziewczyna. — Przyszliście zapóźno.

Rozśmiała się niewesoło. Talwoszowi, mimo oburzenia, na płacz się zbierało.

— I to — zawołał — koniec waszych wszystkich nauk, owoc książek i czytania, mądrości, której byłaś tak chciwą!

Zagłobianka nic nie odpowiadając ruszyła ramionami.

— Nie, to nie koniec — odparła po przestanku — a jaki on będzie, ja nie wiem. To pewna, że nie wrócę tam z kąd przyszłam, ale pójdę dalej.

— Na zgubę! — zawołał Talwosz.

— Może — zimno znowu szepnęła Dorota — ale do czego się to zdało wszystko, że mnie wmość gonisz, szpiegujesz i narzucasz mi swoje nauki i opiekę. Widzisz, że zrobiłam com chciała! Zawracać się ani mogę, ani myślę. Chcesz się mścić i prześladować mnie za to?

Talwosz się rzucił oburzony.

— Panno Doroto — zawołał — tak to mnie znasz, iż możesz o zemstę i prześladowanie posądzać? Widzę cię ginącą, płakać mi się chce. Mylisz się sądząc, że zawrócić nie można. Zawsze czas.

— Nie — odparła Dorota, która znacznie zdawała się ostygłą. — Nie. Zapóźno już.

Ponieważ ludzi się wiele około bramy kręciło, którzy podsłuchiwać mogli, Zagłobianka zaczęła powoli iść dalej, prowadząc za sobą Talwosza.

Stanęli wśród placu dzielącego od miasteczka. Zagłobianka się zatrzymała. Szła dotąd z głową spuszczoną, zadumana, podniosła ją spoglądając na Litwina, który włókl się za nią cały przejęty i drżący.

— Talwosz — rzekła zbliżywszy się nieco ku niemu. — Prośbę do ciebie mam.

Nie było odpowiedzi, pogrążony w myślach, zgryziony Litwin milczał.

— Trzymaj o mnie co chcesz — rzekła — ale nie zdradź przed królowną i temi, którzy dawniej mnie znali.

— Wstydzisz się więc sama? — przerwał Talwosz.

— Wstydzę, gryzę się, jestem nieszczęśliwa — rzekła Dosia. — Nie wiem jak do tego doszło, co się stało ze mną. Winnam ja, winien mój los, przeznaczenie... lecz co się stało, powtarzam, odstać się nie może. Lituj się, łaj, ale nie czerni mnie przed ludźmi. Ty kiedyś może przebaczysz, albo przeklniesz mnie...

Nie mogła dokończyć. Talwosz słuchał z politowaniem.

— Nie powiem nikomu nic — odparł — na coby się to przydało? Francuzów i tak nienawidzą wszyscy, ale jakże wy, wy z rozumem waszym mogliście dać się tak uwieść nikczemnie, tak upaść?

— Człowiek niezawsze rozum ma — rzekła po chwili. — Nie pytaj.

— Jakaż przyszłość? — spytał Litwin.

Dosia poruszyła ramionami.

— Żadnej, ja nie myślę już o niej.

Zamilkli; Litwin ani jej porzucić nie mógł, ani tak rozmowy skończyć.

— Wszystko to dla mnie zagadka i tajemnica — dodał po chwili. — Niech choć wiem dla kogo poświęciliście tak wszystko?

Dosia podniosła oczy i długo na niego patrzyła.

— Na co ci się to wiedzieć zdało — odparła. — Wart czy nie wart, była godzina, żem go sądziła godnym tego. Może dziś myślę inaczej — westchnęła — ale dziś...

Powtórzyła rozpaczliwym niemal głosem: — Zapóźno! zapóźno!

Talwosz nie odchodził jeszcze.

— Panno Doroto — rzekł — słówko, Francuzi się u nas nie osiedzą, o samym królu nawet nie wiem czy my z nim a on z nami wyżyć potrafi. Przyjdzie może godzina, gdy wam pomoc będzie potrzebna. Wiecie gdzie mnie szukać.

Dorota podała mu rękę i szepnęła smutnie.

— Bóg zapłać.

A wnet zmieniając rozmowę, dodała.

— Co robi królowna?

— Płacze czasem, niekiedy się ludzi — odpowiedział Talwosz. — Krajczyna i jej przyjaciółki utrzymują i żywią nadzieję, że król się z nią ożeni.

Rozśmiała się Zagłobianka.

— A! — przerwała — kto jej dobrze życzy, ten myśli podobne wybić z głowy powinien. Król się wzdryga na wspomnienie o niej samo. Nie ożeni się nigdy, może ani z nią, ani z żadną inną. Ludzie mu odmalowali królownę jako niebezpieczną trucicielkę i czarownicę. Wie, że ma lat blisko pięćdziesięciu, a on...

Rzuciła ręką w powietrze.

— Zawczasu ją przygotujcie do tego, ażeby się nie uwodziła — dodała Dosia. — Wyposażą ją i wyprawią kędyś na Mazowsze, nikt się ani ujmie za nią. Biedna sierota. Siostry, brat, kraj, opiekunowie, wszyscy ją opuszczają.

— Mówmy o pannie, nie o niej — przerwał Talwosz, który przewidywał, że się rozstać będzie musiał z Dosią. — Dwór zawsze w Niepołomicach zostać nie może, powróci w końcu maja do Krakowa, panna się tam pokazać nie możesz, cóż zrobisz z sobą?

Zagłobianka obojętnie ramionami potrząsnęła.

— Jak gdyby w tym dużym Krakowie — rzekła — albo na przedmieściach nie było dla mnie kąta? Skryję się gdzieś od ludzkich oczów.

— A cóż to będzie za życie? — spytał Litwin.

— Spytaj jakie ono teraz jest? — przerwała mu Dosia, której mowa, słowa, dźwięk głosu powiadały, że wcale szczęśliwą nie była.

Obejrzała się po nocnym niebie, na którym jasne gwiazdy świeciły. Chłodna, spokojna noc wiosenna ciszą jakąś niezupełną świat do snu kołysała. Zdała słyszeć było rzechotanie żab, jakieś szelesty tajemnicze lasu, jakieś szepotanie wiatru i stłumione szczebotanie ptasząt.

Dosia objęła oczyma widnokrąg, podała rękę Talwoszowi.

— Bądź zdrow! — szepnęła niewyraźnym głosem. — Nie myśl o mnie.

— I pobięła nazad ku zamkowi.

Wiedziano bardzo dobrze w Krakowie, co się w Niepołomicach działo, codzien prawie ktoś tam jechał lub ztamtąd przybywał, ale do królowej Anny dochodziły tylko te wiadomości, które troskliwy o nią dwór jej dopuszczał.

Nikt z tych co, jak Solikowski lub biskup chełmski, jaśniej widzieli położenie, nie śmiał rozczarowywać Anny i przynosić jej wieści, któreby ją zasmucić musiały.

Wszyscy widzieli, że owo małżeństwo, którym się jeszcze ludzono, gdyby nawet możliwym było, bardzo nieszczęśliwymby być musiało.

Poznawano coraz lepiej owego księcia Andegaweńskiego, który zdala się wydawał rycerskim panięciem, a zblizka był zepsutym chłopakiem, który sobie żartował ze wszystkiego, a sam potrzebował tylko zabawy i roztargnienia. Tych tu trudno mu było dostarczyć.

Francuzów ubywało, gdyż pobyt w Polsce stawał się dla nich coraz trudniejszym, zaminając o panu uciekali, gdy tylko mogli; z Polakami ani się rozmówić, ani zrozumieć, ni do ich obyczajów nie mógł Henryk nawyknąć.

Tęczyński, najbliższy króla, najmilszy mu może, był za szlachetnym, zanadto zacnym młodzieńcem, aby z nim mógł on przestawać na stopie zupełnego zaufania.

Z zaślepieniem i prostotą jakąś dziecinną prawie, podkomorzy króla daleko innym, lepszym sobie wyobrażał i czynił niż był w istocie.

Ile razy król się z czem niezdarnem mimowoli zdradził, Tęczyński nie brał tego na seryo, a poważniejąc zmuszał Henryka do zwrotu.

Z tym swoim podkomorzym król był, jak ze wszystkimi Polakami, niedowierzającym i ostrożnym. Kłamał po prostu, aby się od niego uwolnić i wydawać jemu innym niż był.

Dlatego też Tęczyński, ilekroć mowa była o królu, gorąco go brał w obronę, wynosił jego przymioty, ujmował się, tłómaczył go, ręczył za niego.

Wieczorami podkomorzy odprowadzał zwykle aż do łóżka, król się przy nim rozbierał, kładł do snu.

Tęczyński siedział aż usnął, zasuwał firanki królewskiego łóża i odchodził spokojny.

Po wyjściu jego, gdy obawy nie było ażeby powrócił, Henryk wstawał, ubierał się na nowo, przybiegali Francuzi, zapalano światła, przynoszono karty, zbierali się faworyci, ryglowano drzwi i zaczynały się nocne orgje, bankiety, zabawy, o których jeden pan podkomorzy nie wiedział.

Zdradził ktoś je przed Tęczyńskim, ale ten nie chciał uwierzyć, ażeby król mógł brać udział w nocnych rozrywkach — składał to na płochą młodzież. A że nad nią władzy żadnej nie miał, nic na to poradzić nie mógł.

Działo się to pod bokiem prawie królowej na zamku, która również nieświadomą była rodzaju życia, jaki prowadził narzeczony.

Wiedziała tylko, że kochał bardzo matkę, że do niej pisywał często i miewał od niej wiadomości, że się dla tej korespondencji zamykał, że tęsknił trochę za Francją.

Gościem częstym zarówno u króla jak u królowej bywał ów karzeł Krassowski, któremu przypisywano, iż on pierwszy Katarzynie Medycejskiej poddał myśl starania się o tron Polski dla syna.

Krassowski dumny był tem i pozostał w Polsce, aby to swoje dzieło doprowadzić do końca. Marzył on o ożenieniu Henryka, znajdując że to go na tronie utwierdzić mogło.

Roztropny, żywy, dowcipny Krassowski, któremu nie zbywało na towarzyskich przymiotach, nie widział nic jasno, okłamywał sam siebie.

To czego pragnął wydawało mu się możliwym, ludził się, a naostatek zdawało mu się, że on jeszcze tu czynnym powinien być i może, aby co rozpoczął dokończyć.

Nieustannie więc prawie krążył pomiędzy królem a Anną, jemu donosząc co się działo u niej, jej co widział na dworze Henryka.

Dosyć przebiegły król, aby karła ocenić i umieć z tego skorzystać, posługiwał się Krassowskim i po prostu kłamał przed nim.

Gdy mu potrzeba było co zanieść do Anny, jemu to powierzał; gdy się chciał o czem dowiedzieć, z niego dobywał. Krassowski w dobrej wierze, sądząc że służy swojej myśli, był narzędziem w ręku Henryka.

Stawał mu się wielce użytecznym, bo w dobrej wierze, co tylko posłyszał donosił i wskazywał królowi jak i od czego się miał bronić.

Częsty gość u królowej, Krassowski tu przyczyniał się wielce do utrzymania jej i pań przyjaciółek w złudzeniu tem, że małżeństwo nastąpić musi.

A że mu prawie wszystko wolno było, często na króla nastawał, aby myślał o ożenieniu.

Henryk nie chciał go wywodzić z błędu, nie odpowiadał wprost, zbywał dwuznacznikami.

— A ty nieznośny natręcie! — mówił do Karła — czyż nie widzisz, żeśmy tu jeszcze tchnąć nie mieli czasu, a wcale o przygotowaniach do wesela myśleć nie mogli?

Wszystko przychodzi w porze tym, co czekać umieją! — kończył uśmiechając się.

Krassowski potem biegł do Anny, zasiadał z paniami, które go pieściły i bawiły się nim jak lalką i rozповідаł im, jako z Henrykiem, którego znał dzieckiem, otwarcie mówił o ożenieniu, i że król utyskiwał tylko, iż mu na to czasu nie dano.

Słowa Karła powtarzano królownie, a był on i zdawał się powagą, na słowach tych polegać było można. Przynosiły one i utrwały nadzieję.

Wcale inna była rola referendarza Czarnkowskiego, który nadto bystrym był i przezornym, ażeby się dał uwieść lada czem. Zwolna starał się przygotowywać Annę do jakiegoś przewrotu, zmiany, których się spodziewał.

I on i wielu z nim nie czuli aby Francuz miał pewny grunt pod nogami. W powietrzu była jakaś katastrofa.

Biskup chełmski, który milczał aby nie martwić, przejęty był zgrozą z powodu płochego życia króla.

Cóż się po nim spodziewać było można? Katolicy wiedzieli, że w strasznej nocy św. Bartłomieja Henryk był czynnym, choć nie zbyt jawnie, — to obudzało w nich nadzieję, iż głównego nieprzyjaciela, dyssydentów zmoże i zwolna im cugli ukróci — to jedno pocieszało... obyczajnie zrażały.

Na dworze trudno aby się co ukryć mogło, a sam Henryk choćby był czasem chciał udawać surowszego, zdradzał się codziennie roztargnieniem i niezręcznością. Francuzi jego stokrót gorzej i więcej.

Królowna wśród tych wszystkich prądów i ludzi postawiona tak, że wielu rzeczy widzieć nie mogła a wielu nie rozumiała — sprawy sobie jasno nie zdawała ze swojego położenia.

Dni jasne nadziei mieniały się z szaremi dniami zwątpienia.

Zupełnie się zwierzyć nie mogła nikomu, wstydziła się stan duszy odkryć nawet przed krajczyną, którą kochała najmocniej. Do sióstr pisząc, choć się jej boleśne słowo wyrwało, nie mówiło wszystkiego.

Taka niepewność przyszłości nawet w młodszych latach jest brzemieniem do noszenia bardzo ciężkiem — Anna ugięła się pod niem.

Krajczyna czytała to w wychudłej i smutnej twarzy, starzejącej się w oczach, a że jej szło bardzo o to aby Anna podobać się mogła, rozpadała się, czuwała, pieściła ją, aby odżywić i odmłodzić.

Karzeł wyjechał był z królem do Niepołomic w początku, chciał się tam rozpatrzeć, aby opisać życie Henryka królownie. W tym gwarze jednak, gdzie sobie wszyscy daleko więcej pozwalali niż w Krakowie, wśród wrzawliwych rozrywek, przybierających coraz bardziej męzki charakter — gonitw, strzelania, ucztowania niepomiernego, Krassowski wprędce się uczuł znużonym, zniechęconym i postanowił do Krakowa powrócić.

Zręczny dworak jednakże w drodze sobie powiedział, że młodości wiele przebaczyć potrzeba, i że nie wszystko co widział należało opisywać królownie.

Przybył więc z obrazkiem tak ułożonym, aby przyjemne uczynił wrażenie.

Wiózł czy nie pokłony od króla, Krassowski je złożył u stóp Anny, zaręczył jej że Henryk tęskni, że niebawem zapewne powróci do Krakowa, że o niej często wspomina.

Krajczyna nie posądzała go wcale o kłamstwo, a miała potem za złe biskupowi chełmskiemu, który tych nadziei świetnych, marzeń o małżeństwie słuchając milczał, wzdychał, nigdy ich niczem nie popierając.

Prawda nie mogła z żadnej strony dojść do królowej.

Henryk im groźniejsze wiadomości przychodziły z Francji, które go powołać mogły do matki, zdawał się mocniej coraz chcieć sobie pozyskać miłość i zaufanie Polaków.

Przybywający z Niepołomic wszyscy rozpowiadali, iż za powrotem do Krakowa Henryk aby się lepiej poznać z ludźmi, spraszać ma panów i szlachtę z całego kraju, że się pragnie zalecić im, serca pozyskać, języka uczyć i t. p.

Królowna, która od tak dawna nie mogła się doprosić aby Henryk ją uznał spadkobierczynią po bracie, doczekała się wręście dekretu, mogła objąć co pozostało z Tykocińskich skarbów, uczuła się zamożniejszą i swobodniejszą.

Dobre jej serce natychmiast pomyślało o podzieleniu się tem z siostrami. Chwila radości i nadziei rozjaśniła trochę widnokrąg.

— Królowo moja! — wołała uradowana Łaska — widzicie! król jest o was troskliwy, pamięta, czuwa, myśli... Senatorowie byliby jeszcze zwlekali, on sam rozstrzygnął nareście.

Po tej pierwszej radośnej nowinie, Jaśko z Tęczyna podkomorzy królewski, którego się z Niepołomic, jako niewygodnego świadka pozbyć chciano, przybiegł do Krakowa i nazajutrz był u Anny.

Ten też widział wszystko w jak najpiękniejszym świetle.

— Przybywam aby tu wszystko przygotować na zamku na powrót królewski — mówił królownie. — Mam rozkazy króla.

Będziemy się bawili i z wielką okazałością przyjmowali. Miłościwy pan chce sobie serca pozyskać, a godzien jest tego aby go kochano! Szlachetny, uprzejmy, dobry, bez złości w sercu, pragnie dobra wszystkich; przyszłość się obiecuje pod jego panowaniem szczęśliwa.

Wszyscy się na to zgadzają, iż szcudrobliwszego nie mieliśmy monarchy, ani zdolniejszego nad niego.

Dotąd on nas mało, my go wcale nie znamy, ale się to wszystko zmieni, ustaną niechęci, nienawiść musi być zwyciężoną.

Z uniesieniem prawił tak długo Tęczyński, a królowna w milczeniu słuchała go z bijącym sercem.

— Nie powinni ludzie mu wyrzucać — ciągnął dalej podkomorzy — iż się zabawia płocho. Czyni on to nie dla siebie, pragnie poznać i ująć tych, co go otaczają. Ten cel będą miały zabawy, uczt, turnieje, gonitwy, które ja w Krakowie i w ogrodzie pod Zwierzyńcem mam przygotować.

Nie będziemy żałować na to.

Cieszył się tem zawczasu Tęczyński.

— Wasza Królewska Mość — dodał do Anny się zwracając — z paniami swojego dworu musisz też być przygotowaną do uczestniczenia w zabawach.

Król mi wyraźnie polecił ją o to prosić. Pań nam potrzeba jak najwięcej, a pięknych i mogących mu służyć do tańca.

Król lubi stroje wytworne.

Krajczyzna i wszystkie panie posłyszawszy to z ust podkomorzego, zaraz po wyjściu jego zakrzętnęły się z niezmiernym pośpiechem gotując suknie, ubiory, wszystko co z jak największym zbytkiem i elegancją wystąpić im pomagało.

Królowna, nigdy bardzo o strój niedbająca, choć najmniej się tem zajmowała, dała się wciągnąć, ulegała namowom, rzuciła czasem jakieś słowo.

Parę razy przypomniała piękną Dosię.

— A! — mówiła do krajczynej — co to za szkoda, na te festyny że nam tego dziewczęcia braknie, mogła być ozdobą fraucymeru, a tak dobrym była tłómaczem.

Odebrano nam ją, sama chciała, nie mogłam się sprzeciwić. Co gorzej, odciągnęła odemnie Talwosza, który mi już jak dawniej nie służy.

Zobojeźniał wielce.

W istocie chory, zrozpaczony Litwin po ostatniem widzeniu się z Zagłobianką niekiedy myślał o powrocie do matki, do Litwy. Tamby mu łatwiej było zapomnieć, stworzyć sobie jakieś życie nowe. Tu mu ją wszystko okrutnie przypominało.

Lecz król miał powrócić! Ona też zapewne ze dworem tajemnie tu przybyć miała. Talwosz mówił sobie, że mógł jej być potrzebnym.

Dziwnie upartą w sercu jego była ta miłość bez nadziei, do której przyłączyła się litość. Nie obiecywał sobie dla niej nic dobrego, a więc zawsze w nieszczęściu się mógł przydać, bo wiedział, że ona też rachować musiała na niego.

Kto był sprawcą tego nieszczęścia biednej dziewczyny, Talwosz dotąd ani się dowiedział, ani mógł domyślać.

Musiał to jednak być lub sam król, albo ktoś z tych dostojniejszych panów, co go otaczali. Zagłobianka nadto była dumna, aby lada komu dała się opanować.

Litwin obiecywał sobie, iż gdy się dwór przeniesie znowu do zamku, łatwiej mu będzie dośledzić czegoś, tu, u Sederyna lub między Francuzami.

W czasie pobytu w Niepołomicach żywe z Francją stosunki trwały ciągle jak przedtem. Nie było dnia prawie, ażeby ktoś nie przyjechał do Krakowa i nie został zaraz odprawiony do króla. Niekiedy dwóch posłów razem, dla pewności dwoma różnymi wyprawionymi traktami przez Niemcy przybywali jeden po drugim.

Nowiny być musiały ważne bardzo, gdyż Henryk oczekiwał ich z gorączkową niecierpliwością.

Lecz, tajemnicą było dla wszystkich co przynoszono z Francji, król się nie zdradzał nawet pytany, dwór jego milczał.

Z coraz większej tylko króla uprzejmości, coraz weselszej twarzy, coraz większego ożywienia wnosili panowie senatorowie, iż dobre musiał odbierać wiadomości.

Wcale się działo przeciwnie, lecz Henryk naprzód już był obrachował wszystko i gotował się do tego, co postanowił uczynić.

Zdrowie Karola IX. coraz było gorsze, coraz mniej utrzymania go przy życiu nadziei; matka pisała do Henryka, aby był gotów natychmiast, gdy zawoła, do Francji powracać.

Panowie Polscy, z którymi król próbował bardzo ostrożnie mówić o tem, iż mógłby być zmuszonym na krótki czas pojechać może do Francji, tak jednogłośnie zaprotestowali przeciwko temu, iż raz dotknąwszy tej ewentualności, król już nigdy nie śmiał o tem ani napomknąć.

— N. Panie — wołał biskup płocki — nie puścimy was, ani ty nas możesz opuścić!

We Francji będzie cię komu zastąpić, u nas jesteś potrzebnym niezbędnie. Jest to chwila, w której między tobą a krajem dopełnia się ślub i związek jaki was łączyć ma na wieki. Wrażenie byłoby straszliwe. Przypuścić nawet takiego nieszczęścia nie możemy.

Henryk nietylko przypuszczał je, ale miał już zawczasu stałe postanowienie porzucenia Polski. Wołała go Francja... tam było jego serce... wszystko. Matka w każdym liście przypominała mu co jej był winien. Kazała być gotowym.

Lekarze nie czynili już najmniejszej nadziei aby Karol IX. mógł zdrowie odzyskać i żyć długo.

Choroba się wzmagała i przybierała groźny charakter.

We dnie zabawiał się jak mógł chory, ale noce były straszne. Przychodziła gorączka a z nią krwawe obrazy mordy, rzezi, zabójstw... jakby wspomnienie tej nocy, której wieki zapomnieć nie miały.

Widma wszystkich poległych w tym boju nierównym z admirałem Coligny na czele, cisnęły się do łoża, oblegały je, groziły mu, domagały się zemsty.

Mówiono, że Karol naówczas potniał a łożę jego pot ten krwią broczył. Przelana krew nieprzyjaciół mściła się na zboliałym.

We dnie wszystko to wydawało mu się jakby snem, który już nie miał powrócić, a ciemności nocy niosły z sobą znowu te same męczarnie i tych samych upiorów.

Codziennie Karol podnosił się słabszym, piersi męczyły się oddychaniem... Kaszel je rozrywał. Matka przychodziła z politowaniem i uzaleniem do łoża syna, który w jej oczach czytał nie miłość ku sobie, ale jakby niecierpliwość końca.

Pilnowano d'Alençona... do chorego nikt, oprócz wybranych, zbliżyć się nie miał prawa. Czekano już tylko na tę godzinę, która miała lada dzień uderzyć i być ostatnią.

Przerażające te doniesienia przyjaciół swoich, pozostałych w Paryżu, król czytał z twarzą rozjaśnioną, z upragnieniem dzikiem, bez najmniejszego wzruszenia, któreby litości domyślać się kazało. Były to dla niego wieści pocieszające, szczęśliwe. Tron Francji odkryty całunem miał czekać na niego.

Tem większą miłość potrzeba było okazać dla Polski, przywiązać ją do siebie, aby ją uwieść i nie stracić jej.

Chociaż niewiele dbał w istocie o ten kraj niedźwiedzi, jak go młodzi paniczykowie nazywali — na wszelki przypadek, gdyby się dwie korony udało utrzymać razem, i to nie było do pogardzenia.

A przynajmniej rozstać się spokojnie i bez tragedii w ostatnim akcie.

W Niepołomicach już rozpoczęło się to zdobywanie serc i ludzi, te uśmiechy zalotne, to zaprzysięganie się króla, iż czuł się tu najszcześniejszym, że postanowił sercem i duszą oddać się Polakom.

Jakkolwiek w myśliwskim zameczku dosyć było swobodnie i wesoło, na zawsze tu pozostać król nie mógł, brakło wiele rzeczy, ciasnota się czuć dawała. Kuchmistrz pan Franciszek Allemani, Włoch, bo naówczas kunszt kulinarny najwyżej stał w Italii, krzywił się, że tu nie miał wszystkiego, co mu było potrzebnem do króla godnych bankietów.

Stajnie ciasne były dla koni. Kobiety przybyłe za dworem zbyt tu jakoś jaskrawo się wydawały, gdy w Krakowie ich widać nie było.

I tak jednego z dni ostatnich maja powrót do Krakowa został postanowiony. Poprowadziły króla wozy kuchenne, stajnia, zbroje, część dworu. Krajczyna przybiegła do królowej z tą dobrą nowiną, iż król stęskniony za nią powracał.

Razem prawie z tem, posłem ze Szwecji przyjechał chwilowo ksiądz Warszawicki. Przywoził on listy od królowej, nie zbyt czułe, ale stokroć nad nie miłszem było co opowiadał o małym Zygmsiu, którego królowa Anna oddawna wybrała sobie, przyswoiła, chciała mieć jak własne dziecko, zlewając na niego wszystką miłość jaką w sercu zachowała.

Ks. Warszawicki opowiadał z rozrzwiniem jak chłopię modliło się ślicznie po polsku, jak mówiło dobrze tym macierzystym językiem, jak było pobożne, świątobliwe nad wiek i wiele obiecujące.

Anna słuchając tych opowiadań o Zygmsiu zapominała swych marzeń o Henryku, niemal się ich wstydziła naówczas. Czuli, że bezpieczniej było kochać siostrzeńca i jemu się całkiem poświęcić, niż marzyć o niemożliwym zamążpójściu, które jej wmawiano i narzucano.

Po tych opowiadaniach o Zygmsiu (królowa go w listach Zysiem nazywała) Anna była spokojną, szczęśliwą, — gdy nadzieje na Henryku budziły w niej niepokój, rozdrażnienie, niesmak, ból jakiś.

Lękała się złego, przeczuwała je.

Król przybył jednego wieczora i pusty zamek natychmiast się ożywił niezmiernie. Francuzi, którzy tylko czując króla za sobą śmiały się, a w czasie jego niebytności cicho siedzieli, ruszali się teraz gwarno i wrzawliwie.

Z nimi razem przychodziły wieści i zapewnienia, że król postanowił się bawić sam i drugich zabawiać.

Villequier i Tęczyński mieli wydane rozkazy. Na zamku, w ogrodzie na Zwierzyńcu wieczorami muzykę i taniec zaprowadzić miano — król prześlicznie tańcował!

Tęczyński starał się zawczasu namówić królowę, aby i ona raz lub dwa prosiła Henryka do siebie, czemu on pewnie rad będzie.

Anna milczała jakoś niepewna, ale krajczyna natychmiast zakrzyczała, że koniecznie, dla samej godności królowej należało, aby ona u siebie też przyjmowała.

Oddane do przechowania w skarbcu koronnym srebra miano wziąć dla wystąpienia wspaniale.

Królowa musiała, gdy król przybył, trochę znowu o swym ukochanym Zygmsiu zapomnieć, chociaż po opowiadaniu ks. Warszawickiego śnił się on jej tak, jak go później na obrazku sztychowano, klęczący pobożnie z różańcem w ręku i oczyma ku niebu zwróconymi.

Zaraz po powrocie swym na Wawel, Henryk stawił się do królowej z powitaniem, w towarzystwie sędziwego biskupa kujawskiego Karnkowskiego i Jana z Tęczyna.

Nigdy go Anna jeszcze nie widziała tak nadzwyczajnie ożywionym, wesołym, nadskakującym i miłym.

Dla niej był on może zawsze nadto niewieście i pieszczono występującym młodzieniaszkiem, któremu powagi brakło, ale wdzięk i urok miał wielki. Tak doskonale odegrał czułość, do której królowa nie była nawykłą, że nią chwycił za serce.

Zdawała się ona szczerą. Mogłaż przypuścić niewiasta dobrej wiary, aby kto tak umiejętnie, tak zdradliwie kłamać potrafił i świętokradzko uczucia wyrażał, których w sercu nie miał?

Wesołość króla, pochwały, jakimi obsypywał wszystko i wszystkich, Annę też w dobry humor wprawiły.

Oświadczyła się z gotowością podzielenia zabaw i dopomagania do nich.

— Jest to dla mnie niezbędnie potrzebnem — rzekł Henryk — bo bez pań, bez kobiet żadna w świecie zabawa nie może być wesołą, zawsze jej czegoś braknąć będzie. Towarzyski W. Król. Mości są nam pożądane!

Od tego dnia poczęły się przygotowania. Zapowiedziano cały szereg uczt, wieczornych zabaw przy latarniach w ogrodzie, wyścigów, gier itp. Tęczyński ożywiony biegał, chcąc królowi okazać, iż Polska nie była tak barbarzyńską jak ją Francuzi sądzą i że tu także bawić się przyzwoicie umiano.

Wśród tych zaprzątnień czas nadzwyczaj szybko upływał; królowa dawała się porwać temu prądowi i trosk swych usiłowała zapomnieć.

Wtem jednego ranka, gdy Anna z Zosią Łaską w swym pokoju sypialnym spokojnie rozmawiała, radząc jej jak się na przyszły wieczór ubrać miała i ukazując jej klejnoty, w które ustroić ją chciała — wpadła Żalińska z twarzą zmienioną, jakby przeleżała, widocznie niosąc jakąś nowinę straszną. Ale że znaną była z gderliwości i dąsania się próżnego częstokroć, nie zrobiło to na królowie zbyt wielkiego wrażenia.

Żalińska spostrzegłszy Zosię, już otwarte usta zamknęła i chciała się cofnąć, gdy na dany znak Anny, Łaska prędko wybiegła do drugiej komnaty.

— Żalińsiu — poczęła królowa — widzę, że z jakąś skargą przychodzisz! Cóż się stało.

Starej ochmistrzyni ręce opadły załamane, łzy miała na oczach.

W chwili, gdy się już mówić zabierała, odwagi jej zabrakło.

Anna wstała z krzesła, poruszona trochę, bo ta nieśmiałość Żalińskiej dowodziła, iż coś nadzwyczaj ważnego zajść musiało. Nie zwykła ona była cofać się przed lada czem.

— Żalińsiu moja! mów. Cóż to tam takiego?

Ochmistrzyni potrząsała tylko głową.

— A! nieszczęśliwa ty moja sieroto — zawołała — której przeznaczeniem karmić zdradę i niewdzięczników chować na własny srom i zgubę.

— Mówże! zaklinam cię — przerwała już naprawdę zaniepokojona królowa.

Żalińska się obejrzała dokoła, westchnęła i zbliżywszy się do Anny, półgłosem rzuciła jej w ucho.

— Jak mnie żywą widzicie, jak chcę mojego zbawienia... tak... oto przed godziną, tu, w Krakowie, przebraną za mężczyznę widziałam tę niepocziwą Dosię, którą my sądziliśmy już u stryja na Podolu...

Ją Francuzi zbałamucili i wykradli, tak jak przedtem Zajączkowską.

Oburzyła się królowa.

— Żalińska! Śni ci się! To być nie może... Dosi! Zagłobianka! ona! ona... Boże miłosierny!

— Tak ona, ta cnotliwa, ta dumna Dosi, która ani mojego syna nie chciała — poczęła Żalińska — ani tego szalonego Tälwosza... nikogo.

— Oczy cię zawiodły — przerwała królowa. — Przebrana po mężku! ona...

Żalińska uspokoić się starała.

— Wcale mnie one nie zawiodły, a najlepszym dowodem tego — dodała Żalińska — że postrzegłszy mnie, natychmiast uciekła.

— Gdzież to było? — pytała Anna.

— Wysłałam dziś rano na miasto — mówiła ochmistrzyni — miałam różnych rzeczy kupić, bo ich teraz ciągle bez miary potrzeba. Wstąpiłam po drodze do Dominikanów... Klęczała u ołtarza.

Anna milczała.

— To zagadka jakaś, jeżeli nie omyłka — odparła ostygając. — Zawsze wolę sądzić, żeś się omyliła, niż uwierzyć, że ta pocziwa dziewczyna...

Żalińskiej się usta rozwiązały.

— Ale ja się tego obawiałam oddawna — zawołała. — Wyście jej nadto wierzyli, zbyt się nią posługiwali. Po całych dniach była w rozmowach i konszachtach z Francuzami. Latali za nią, a i ona za nimi.

Któryś z nich jej głowę zawrócił.

Ochmistrzyni coraz się mocniej unosić zaczęła.

— Nieszczęśliwy to dzień i godzina, gdy ci Francuzi do nas zawitali, kłamcy, roz-
pustnicy, kuglarze.

Ja zawsze przeczuwałam, że oni nam nic z sobą dobrego nie przyniosą.

— Zmiłuj się, król, król jest tak szlachetny, dobry — poczęła Anna.

Żalińska się cofnęła na krok i zamachnęła rękami.

— Nie gniewajcie się, królowno — rzekła — jam stara sługa. Tyle on wart co oni
wszyscy... przekonasz się o tem.

Anna odwróciła się nic nie odpowiadając.

— Jeśli się to sprawdzi — rzekła — wprost zaniosę skargę do króla, zobaczysz, że mi
sprawiedliwość wymierzy.

Tymczasem — dodała uspokajając Żalińską — chociaż radabym wierzyć, że cię oczy
nie omyliły, Żalińska moja, pozwól abym sprawdziła to coś mi przyniosła.

— Jak? — przerwała ochmistrzyni ze zwykłą sobie śmiałością. — Tom ciekawa?

Królowna pomyślała trochę.

— Wspomniałaś tego poczciwego Talwosza — rzekła. — Wiesz jak on w niej był
rozmiłowany. Gdyby nas wszystkich oszukała, jegoby nie potrafiła. Spytać go potrzeba,
powiedzieć mu, on jeden prawdy dojść może.

Żalińska potrząsnęła głową.

— Mnie się zdaje, królowo moja, że właśnie taka miłość jak jego, ślepa jest... ale...
A gdzie teraz szukać Talwosza, który się rzadko kiedy pokazuje i odchorował ciężko, że
mu Dosię wzięto.

— Każcie się o niego dowiedzieć — rzekła z westchnieniem królowna. — Nie chcę
napróżno króla tem męczyć, lecz, gdyby się okazało, że istotnie podejściem mi ją wzięto,
musi przykładowo winowajców ukarać.

Żalińska powstała chwilę milcząca i szepnęła odchodząc.

— Kruk krukowi oka nie wykole.

— Proszę cię, Żalińska moja — dorzuciła smutnie królowna — o tem wszystkim
ani słowa. Wstydyby mi było, a nuż oczy cię twoje zawiodły?

Ruszyła ramionami Żalińska i potrząsnęła głową.

Krajczyzna i przyjaciółki poznały po królownie, iż zmartwienie jakieś miała, lecz wie-
działy, gdy się z niego nie zwierzała sama, że jej dopytywać i zmuszać do wyznań nie
były powinny. One przyczyny nie umiały odgadnąć tego smutku, bo wszystko, w ich
przekonaniu, składało się jak najpomysłniej.

Poszukiwania Talwosza nie były bezskuteczne, syn Żalińskiej znalazł go w mieście
i powiedział mu, że królowna mówić z nim chciała. Nazajutrz rano stawił się Litwin bla-
dy, wymizerowany i jak z krzyża zdjęty. Królowna, która chciała otwarcie mu powiedzieć
wszystko, widząc go tak zbolalym, zawahała się. Żal jej go było. Poczęła więc od rozpy-
tywania o zdrowie, o zajęcie... a że kasztelan Talwosz, stryj jego właśnie był przyjechał do
Krakowa, o niego też i o Litwę.

Zbliżyła się nakoniec i zniżając głos, rzekła.

— Co się to tej poczciwej mojej Żalińskiej przywidziało! Wyobraź sobie, iż wpa-
dła tu do mnie z wiadomością, że Zagłobiankę za mężczyznę przebraną widziała wczoraj
u Dominikanów w kościele.

Ale to być nie może!

Królowna spojrzała na Talwosza i jeszcze większy żal uczuła nad nim. Litwin stał blady
jak trup, usta mu się trzęsły, oczy latały błędne, odpowiedzieć nie umiał.

— To nie może być — powtórzyła Anna — prawda, Talwoszu mój! Dosi! ona! Nie.
Żalińska Francuza jakiegoś, nie wiem kogo wzięła za nią.

Talwosz milczał, nie zebrał był myśli, i nie wiedział co miał odpowiedzieć. Zdradzić ją?
czy ratować? Dał słowo, że jej nie oskarży, lecz gdy raz rzecz była odkryta, miałże kłamać?
Dlatego wahał się z odpowiedzią. Przyznać się do tego, że i on wiedział o tem, widział ją,
a nie doniósł królownie — nie mógł.

— Miłościwa królowno — rzekł po bardzo długim namyśle — miłościwa królowno,
prawdziwie nie wiem co o tem trzymać. Żalińskiej się często niebywałe przywidują rzeczy,
lecz oczy ma dobre.

Ludzie są źli, a ta gawiedz francuzka, z którą ona przestawała...

Nie dokończył. Anna spojrzała na niego.

— Przypuszczasz więc, że mnie drugi raz tak jak z Zajączkowską oszukano? — spytała.
— Powiedziałem już — powtórzył Talwosz — że nie wiem co o tem sądzić, ale któż to rozstrzygnie?

— Znałeś Dosię, ona! — dodała Anna.

— Miłościwa Pani — wyjąkał Litwin z boleścią. — Znałem ją, prawda, ale od przybycia Francuzów dziwnie się nam ona zmieniła.

Przestawała ciągle z nimi. Jeżeli się co stało, nie ją, ale ich obwiniać należy. Dla nich nic świętego niema, a z niewiastami się obchodzą, jakby ani matek, ni siostr nie mieli.

Drgnęła królowna.

— Tak ich sądzisz? — przerwała. — Ależ król? król jest szlachetny, dobry, wszyscy mu to przyznają.

Talwosz, na którego odpowiedź potwierdzającą długo czekała królowna, stał niemy.

— Jeżeli ci się zdaje, iż Żalińska nie zmyśliła — poczęła Anna — mój Talwoszu, postaraj się dosłodzić prawdy. Nie mogę opuścić tej, którą wychowałam od dziecka, a jeżeli jest na drodze zatracenia, ratować ją jestem obowiązana. Okaże się to prawdą, czemu ja wierzyć nie mogę i nie chcę, udam się na skargę do króla. On wymierzy surową sprawiedliwość i ukarze winnego.

Talwosz pomyślał: Jak zabójcę Wapowskiego — ale głośno powiedzieć tego nie śmiał. Podniósł oczy, nie rzekł nic.

Królowna po namyśle dodała.

— Byłażby tak zuchwałą, tak nieroztropną, aby się tu jawnie w biały dzień pokazywała, gdzie ją zna osób tyle? Gdyby nawet przypuścić można najgorsze, sądzę że wstyd i sromu choć trochę zachować musiała.

Spodziewam się, mój Talwosz, że ty potrafisz dojść, czy w tem jest co prawdy.

Litwin stał zamyślony.

— Miłościwa Pani — rzekł. — Gdyby się okazało, że niepoczciwi ludzie ze słabości jej i łatwowierności korzystali, ja nie wiem, czy co na to poradzić dziś można. Zanieść skargę do króla, znaczy ją okryć niesławą.

— Tego co ją uwiódł zmusimy aby się z nią żenił — dodała królowna.

Skłonił się Talwosz i chciał odchodzić. Anna mu rękę podała do pocałowania.

— Biedni my jesteśmy, którzy w niegodziwości serca ludzkiego uwierzyć nie chcemy, aż one nam się czuć dadzą!

Pierwszych dni czerwca wieczorem król zapraszał na zabawę z tańcami do ogrodu przy Zwierzyńcu.

Mówiono już oddawna o tym festynie, na który i królowna ze swym dworem i wiele pań, żon senatorów i co było dostojniejszych w Krakowie gości wezwanych było.

Ogród miał być wspaniale lampami oświetlony, muzyka przygrywać w zielonych dla niej umyślnie pobudowanych szalaszach. Dla pań i starszyny stały szeregami przygotowane ławy kobiercami pookrywane. Stoły wśród starych lip i grabów uginały się od sreber. Allemani z kuchnią pracował od dwóch dni, bankiet gotując godny ust królewskich.

W całym mieście nie mówiono o niczem tylko o tym wieczorze królewskim, a że i królowna się na nim znajdować miała, nadawano mu takie znaczenie, iż miał być wesela zapowiedzią.

Nieinaczej go sobie tłómaczyły przyjaciółki królownej.

Przystęp do ogrodu nie dla wszystkich był wolnym, bo i płoty i strażę od nacisku gawiedzi bronili; pomimo to z miasta płynęli ciekawi gromadami, radzi się przypatrzeć choćby przejeżdżającym kolebkom i zdala oświetleniu ogrodu.

Wieczór obiecywał się piękny, a choć dzień czerwcowy był gorący dosyć, ku zachodowi słońca, zapowiadając pogodę ochłodło powietrze, lekki wietrzyk powiał ze wschodu.

Wiosna była w całym swym blasku, z całym wdziękiem jaki miewa w krajach ku północy posuniętych. Drzewa, trawy, kwiaty, wszystko śpieszyło z ciepła korzystać, rozwijając się bujno, rozlewając wonie dokoła. Słowiki w krzewach niezliczone pieśniami swemi napełniały powietrze, które o tej godzinie przerzynały krzyżujące się stada ptaków, gromady wesołych jaskółek, sznury ciągnących na noclegi kaczek i pojedyncze ptactwo wybiegłe z gniazd na żer wieczorny.

Naprzeciw słońca jak siatka złota kręciły się w słupy zbite jednodniowe muszki, cie- szące się życiem, które jutro utracić miały.

W mieście dzwoniło na pacierze wieczorne, ale nawet głos dzwonów w tej wiosennej atmosferze rozpyływał się z jakąś błogą tęsknotą, która w sobie miała pociechę i nadzieję.

Niebo wypogodzone, z jednej strony całe zdawało się złote, z drugiej ciemniało i prze- chodziło w barwę niebieskawą. Nie było na niem chmur, a kilka obłoczków białych cu- downie w oczach malejąc, nikły i roztopiały się na tem ognisku.

Z miasta pieszo po większej części śpieszyli ciekawi, nastroszeni tak wesoło, jak na ten dzień przystało. Witano się wołaniem, pozdrawiano, a gdy środkiem gościńca wio- dącego ku Zwierzyncowi pokazali się konni lub kolebka, wszystkich oczy zwracały się na królewskich gości. Ściągali się oni powoli, jak kto chciał, bo godzina wyznaczona nie nadeszła była jeszcze i ci co się lepiej umieścić chcieli, wyprzedzali drugich. Spodziewano się ścisku.

Gawiedz, między którą i majątniejszych mieszczan było wielu, miała na co patrzeć.

Nie lubiono Francuzów, wyśmiewano ich chętnie, staczano z nimi bójki, lecz przypa- trywano się im ciekawie, bo i strojami i obyczajami nie byli podobni nawet do Włochów, z którymi w Krakowie się dawno obyto.

Dwór Henryka cały odznaczał się nadzwyczajną elegancją, a charakter jej był nie męzki i stroje zdawały się raczej dla kobiet niż dla mężczyzn powymyślane. Kaftany je- dwabne z tkanin przetykanych złotem, szyte i pikowane tak, że do sukien i staników kobiecych były podobne, suknie pełne rozporków (*crèvés*), z których różnych barw bufo- wanie i wstążki wyglądały, opięte spodenki i pończochy, włosy niezmiernie kunsztownie trefione, bielizna i koronki, klejnoty i pióra, rycerzów wcale nie znamionowały.

Najmłodszy z ulubieńców króla szczególnie, którzy piersi mieli na pół odsłonięte i ob- nażone, a przybierali ruchy dziewczęce, obudzali u ludu śmiechy i wykrzyki zgrozy.

Wszystko w nich aż do szpadek cienkich i nożyków u pasa wydawało się zamaszystym Polakom dziwnym i śmiesznym.

Pokazywano sobie lalki te palcami i nadawano im obelżywe nazwiska. Ale Francuzi byli tego dnia w tak wesołych humorach, tak hardzi sobą, że się tego albo nie domyślali, lub o to nie dbali.

Gdy po tych niewieściuchach ukazał się potem który z polskiej młodzieży po polsku lub z węgierska odziany, zdrów, silny, barczysty, w sukni świetnej, a okrywającej go tak, że piękna postać stawała się wydatną, okrzykiwano swoich wesoło.

Polacy też w najrozmaitszych ubraniach się pokazywali, a na wytworności im nie zbywało. Poczawszy od koni do panów i czeladzi, niczego się nie można było powstydzic.

Kolebki pań wspaniale też wyglądały ze swem obiciem szkarłatnem, ze złożonemi słupkami, z zaprzęgami od złota, czubów i malowanych grzyw i ogonów. Czeladź towa- rzysząca godną była panów. A wszystko to rumiane, zażywne, zdrowe, gdy Francuzi przy nich wymokli wyglądali, bledzi i słabi.

Francuzkich kobiet, choć o nich wiedziano w mieście, tu na okaz i porównanie nie było wcale, więc ich ze swemi porównywać nie mogli patrzący, ale własnymi się cieszyli, bo i matrony i dziewczęta jaśniały powagą i krasą, a ubraniu ich chyba zbyt ni przepych zarzucić było można.

Okryły się klejnotami, które pokolenia pokoleniom zostawiły w spadku, a i tkaniny sukien świeciły złotem, srebrem lub bogatym perł naszywaniem.

Króla z zamku nie było jeszcze.

Spóźniał się on zawsze, dziś zaś przybyły do Sederyna posłaniec z Paryża z listami pilnymi wstrzymać go musiał.

Tymczasem uprzedzając go, jechała z fraucymerem swym królowna Anna, a ludziska ją znajdowali wcale jeszcze przystojną i hożą, nie tak starą jak jej lata mówiły. Jechała w złotogłowie i klejnotach, z wianuszkami na czółku, ale taka smutna jakaś, gdyby nie na tańce, ale na pogrzeb siwe konie ją ciągnęły.

Przy niej paziowie strojni, straż jej przyboczna, urzędnicy i cały wieniec panien i cały zastęp poważnych matron.

Lud witał ostatnią z Jagiellonek, a ona mu pokłonami odpowiadała.

Naostatek szmer zdala nadjeżdżającego króla zwiastował. Tlum z większą jeszcze może ciekawością podbiegł mu się przyglądać niż swej Infantce, ale z usposobieniem wcale różnym. Śmiano się, pokazywano palcami, przedrzeźniano postawy i miny Francuzów, ich ruchy wymuszone. Wybuchy były śmiałe, poszanowania żadnego.

Henryk niewiele na to uważał, jechał wystrojony, w kapelusiku dziwnej formy, obwieszonym sznurem pereł, śmiejąc się do swych towarzyszy, przebierając rękami i okazując humor tak wysmienity, jakby całe go nie obchodziło co się wkoło niego działo. Nie mógł z pewnością niewiedzieć, że lud pospolity drwił sobie z niego, bo towarzysze czuli to dobrze i niektórzy z nich złośliwie zaciskali usta i podnosili pięści.

Cała ta kawalkata przemknęła szybko i znikła wjeżdżając do ogrodu, u którego bramy zatrzymały się kolebki i konie i czeladź od powozów z niemi.

Wewnątrz przygrywały już muzyki skoczne tańce, których ich nauczono, po większej części włoskie, więc w Polsce znane od czasów Bony.

Ogród w miarę jak się na dworze zciemniało nabierał uroczego jakiegoś wdzięku, który mu nadawały fantastycznie rozrzucone światła i cienie, grupy malownicze mężczyzn w strojach najrozmaitszych, kobiet połyskujących od klejnotów i powiewnych tkanin.

Wszyscy musieli to przyznać Francuzom, że zabawy pięknie dla oczu urządzać umieli i nie żalowali nic na to. Opony, kobierce, całe postawy drogiego sukna wyścielały ziemię, gdzie było potrzeba, oddzielały ścianami jedwabnymi u gałęzi drzew poprzywieszanymi, jedno do tańca przeznaczone szranki od drugich.

Nie brakło też masek i przygotowanych figur poprzebieranych za jakieś mitologiczne postacie.

Król wszedłszy zaraz, a dowiedziawszy się, iż go królowna poprzedziła, pośpieszył ją powitać, jak zawsze, z nadskakującą grzecznością i poszanowaniem. Poprowadził ją potem po ogrodzie pokazując oświetlenie, które właśnie pośpiesznie zapalać kończono.

Od jednych drzew do drugich sznury latarni błyskały różnobarwnymi światłami; były to jakby wieńce kwiatów jakichś, których kształt przybierały.

Muzyki odzywały się wśród zielonych gałęzi rozkwitłych czeremch.

Na jednej z najpiękniejszych łąk wśród ogrodu, otoczonej staremi drzewami, wznosiły się srebrami zastawione kredensy, całe połyskujące, a kilka ogromnych stołów czekały tu na gości. Włoska *collazione* była gotową.

Król naprzód na nią królownę i jej panie zaprosił, a inni Francuzi poszli resztę zaproszonych gości pozbierać. Z wyjątkiem duchownych, którzy nie przybyli na tę zabawę wieczorną, senatorowie znajdujący się w Krakowie w niewielkiej liczbie, dwóch panów Zborowskich między nimi, siła majątnej szlachty i urzędników, wszyscy stawili się na królewskie wezwanie.

Przy wieczerzy król był w tak nadzwyczaj wesołym humorze, tak ożywiony jak nigdy. Zdawał się szczęśliwym, a był tylko gorączkowo niespokojnym. Wiadomości z Francji odebrane upoiły go, poruszał się, śmiał, szalał, aby nie wydać z tem, co nosił w sobie.

Po wieczerzy miały rozpocząć się tańce.

Francuzkim obyczajem otworzyć je miał poważny, ceremonialny *Pavanne*, który i królowej Annie był znany. Mogła go, nie naruszając powagi swej, przetańczyć z królem, a za niemi poszły inne pary.

Prowadząc zwolna Annę, przyznał się jej Henryk, że lubił bardzo taniec, ale skoczniejszy i żwawszy. Na co mu odpowiedziała, że dawno już z powodu żaloby i osamotnienia nie tańcząc, i zapomniała tych tańców, i nie mogła w nich uczestniczyć.

— Będę się przypatrywała — dodała królowna — a to mi zrobi wielką przyjemność. Proszę więc abyś W. Kr. Mość zabawiał się wedle upodobania, wcale nie zważając na mnie.

Król zdawał się tylko czekać na to upoważnienie, i po Pawannie, odprowadziwszy Annę na miejsce, które wśród starszych pań zajęła, sam bardzo żwawo począł z Francuzikami następne tańce przygotowywać.

Wszyscy ich byli ciekawi, bo ci co króla z jego przyjaciółmi w poufalszych towarzystwach widywali popisującego się, wiele opowiadali o zręczności, gibkości i wdzięku, z jakim żaden się z jego dworu ani mógł równać.

Po Pawannie już pewne powzięć było można wyobrażenie o tem z odtańczonego włoskiego *Corrente* znanego pod tym nazwiskiem na polskim dworze, którego Francuzi

nazywali po swojemu *Courante*, a Hiszpanie *Segidyllą*. Brakło tylko Francuzom kobiet, któreby im równą wprawę miały w tych skokach.

Henryk zdawał się całą duszą oddawać tej rozrywce, co na panach senatorach niemal przykre czyniło wrażenie. Było w tem coś majestatowi królewskiemu uwłaczającego.

Tańczący w chwilach wolnych uciekali się do kredensów, na których stały pełne ciągle weneckiego szkła puhary, i wychylano je obficie. Król też pił dużo. Twarz mu się zarumieniła, oczy zaczęły przyświecać.

Po Kurancie, w którym panny polskie nadto poważnie i skromnie się znajdowały, nie dając zbyt Francuzom rozbrykać, zażądał król coś weselszego, szaleńszego, a że panny przelękłe oświadczyły, iż tańców obcych nie umieją, nastąpiły narady, szepty, śmieszki, bieganie poza krzewy, zwoływanie się i, zamiast kobiet, przybiegli młodzi paziowie Henryka Francuzi, ale postrojeni tak, że nie wiedzieć za co je brać należało: za kobiety w strojach męzkich, czy mężczyzn wół na kobiety przerobionych.

Chłopaki młodziuchne mieli włosy długie, trefione, w puklach puszczone na ramiona, piersi na pół obnażone, a kaftaniki ich i spodeńki kroju były niezwyklego.

Mieli oni zastąpić brak tancerek. Zmarszczyło się kilka poważniejszych twarzy, lecz była to fantazja królewska, czemu się nie miał zabawić?

Zagrała muzyka popularną Farandolę, taniec z południowej Francji rodem. Miał on wszystkie cechy gorącego kraju z którego pochodził, ruchy i figury trochę czasem nadto swobodne raziły, lecz jeszcze to uchodziło.

Król dokazywał strasznie w Farandoli, podskakiwał, wyginał się, tupał, rękami i mikią nadrabiał. Śmiał się i jak dziecko tem bawił.

Patrzyła królowna Anna zdumiona a smutna. Weselości tej, mimowoli, podzielać nie mogła, niepokoila ona ją. Spuszczała oczy niekiedy zawstydzona i wdychała, lecz wkrótce ciekawość podnosiła powieki. Tłómaczyła sobie swą bojaźliwość przesadną, długiem osamotnieniem zrodzoną.

Wiodąc życie na pół klasztorne, niedziw że do takich zabaw swobodnych nie była nawykłą.

Panie jej dworu odwracały oczy, nie śmiejąc się odzywać.

Farandola coraz nabierając większego ognia, szaleńsza coraz ku końcowi, skończyła się nareście.

Noc już była nadeszła i gwiazdy na czarnem tle jej polyskiwały. W całym ogrodzie niezmiernie było wesoło, starsi pili i nucili, młodzież podzielona na grupy tańcowała.

Muzyki najpocieszniej, zdala słyszane, sprzeczały się z sobą.

Chwilę ledwie odpoczynku dozwolono sobie po nużącej Farandoli, a król naglił, ażeby czasu nie tracić.

Tańcowano spokojniej już nieco Sarabandę dla spoczynku, ale głosy ożywione Francuzów domagały się *Branles*, tańca, o którym powiadano, że bardzo rozmaicie bywał wykonywany, a wymagał wielkiej zręczności i siły.

Domyślano się czegoś szalonego, i królowna szeptała krajczynie, że mogłyby wstać a przejść się po ulicach.

W istocie raziło ją to pospolitowanie się króla, jego trzpiotanie i ruchy, które się niezbyt przyzwoitemi wydawały... Wołała na to nie patrzeć.

Lecz zamiast tego straszego *Branles*, zaczęto grać i tańczyć znośnego i dosyć spokojnego Gawota, a król, z pewną przesadzoną powagą, był w nim bardzo zabawny.

Zacna pani Łaska westchnęła i szepnęła.

— Ale ktoby się domyślił że to król!

I on sam i ci co z nim skakali, rzeczywiście zdawali się o tem zapominać.

Po Gawocie, Anna, która z przykrością się przypatrywała tańcom, szepnęła powtórnie towarzysze, iż chętnieby się przeszła, że zadługo już siedzieli.

I w momencie gdy następujący taniec się układał, królowna z towarzyszką i nieodstępnym ochmistrem Konieckim wstała po cichu, niepostrzeżenie wymykając się poza ściany jedwabne tego salonu, w którym król pozostał.

Długo nie mogły mówić nic i nie wiedząc dokąd pustą uliczką poczęły iść dalej, tam gdzie się druga muzyka odzywała.

Obie z pewnością myśli miały jedne, lecz smutno dzielić się było niemi.

— Śliczny wieczór — odezwała się Łaska — a i festyn też, niemożna powiedzieć, z królewską wspaniałością urządzony.

— Tylko — westchnęła Anna cicho — król nadto dobry i zbyt się z sobą spoufalać daje. Trudno mu potem będzie powagę swą utrzymać.

Łaska pomyślała chwilkę, musiała go bronić.

— Młody jest — rzekła — no i niezawsze się może rozerwać. Co dziwnego! spoważnieje on rychło.

Szli tak dalej. Wśród drugiego koła drzew, część Francuzów, której gorsza muzyka przygrywała Kuranta, zwiјаła się ochoczo. Tu, oprócz tancerzy, kupa ludzi ciekawych przypatrywała się zabawiąjącym.

Królowna z Łaską podszedłszy cicho, stanęły także nieco opodal w cieniu, z kąd skaczące pary dobrze widać było.

Nagle z piersi Anny wyrwał się okrzyk wprędce stłumiony, potrąciła jakby przestraszona krajczynę i nic nie mówiąc, ręką drżącą ukazała jej na prawo.

Oczy pani Łaskiej idąc w tym kierunku zatrzymały się na młodziku stojącym niedaleko, który płaszczem otulony, w berecie z piórem na głowę ułożonym od niechcenia przypatrywał się także tańcującym.

Krajczyna zobaczywszy go, o mało nie wykrzyknęła także.

Nie chciała wierzyć oczom swoim.

Gdyby nie strój mężki, powiedziała by że miała przed sobą Dosię Zagłobiankę. Królowna, chwilę się tylko zawahawszy już z krajczyną do tego zjawiska miała się zbliżyć, gdy Zagłobianka (ona to bowiem była) obejrzała się, poznała Annę, rzuciła się jak szalona w zarośle i znikła.

Królowna długo stała nie mogąc się z miejsca poruszyć.

— Widziałas ją? — zapytała towarzyszki.

— Widziałam kogoś nadzwyczaj podobnego do Dosi — zawołała Łaska.

— Ale to ona sama — odparła ręce załamując królowna. — Niema wątpliwości! Posadziłam biedną Żalińską, że się jej to przywidziało.

Niestety! Boże mój... ta dziewczyna biedna.

I Anna oczy sobie zakryła.

— Królowo moja — przerwała Łaska — byćże to może!

— Na świecie! na świecie — odpowiedziała królowna smutnie — wszystko co złe być może.

Chodźmy stąd.

Krajczyna widząc wielce rozżaloną panią, ani jej pocieszać już, ani chciała o tem przedłużać rozmowy.

Zawróciły się obie nazad tą samą drogą ku miejscu z którego wyszły, i prawie milcząc zbliżyły się ku niemu. Ale Anna nie myślała już zająć siedzenia i zatrzymała się nieco opodal, z kąd króla mogła widzieć tańcującego.

Muzyka grała *Volte*, taniec włoski, który we Francji musiano inaczej jakoś i śmieiej daleko a mniej przystojnie wykonywać.

Król, który już wprzódki sobie bardzo swawolnych ruchów pozwalał, widząc że królowna odeszła i sądząc może, iż widzieć go nie będzie, a lekceważąc pozostałe starsze panie i panów, nie miał już wcale miary i zapomniał wszelkiej przyzwoitości.

Anna stała osłupiona tem na co oczy jej padły.

Henryk tańczył w parze z młodym chłopaczkiem, zastępującym dziewczynę, i odegrywał z nim scenę miłosną tak bezwstydnie, tak zuchwale, tak rażąco, iż niektóre z kobiet porwały się z ławek, oczy sobie zakrywając i rozbiegając się na wszystkie strony.

Jak skoro jedna się z nich ruszyła, na dany znak spłoszyły się inne, ławki wywracać zaczęto, krzyki się słyszeć dały. Uciekał kto mógł.

Króla ani jego tancerzy wcale to nie powstrzymało, owszem jakby na przekorę, z szalem jakimś dzikim, podśpiewując, zaczęli się obejmować, całować, ścisnąć i taniec przeszedł w niedającą się opisać scenę, od której królowna też co żywiej uciekać poczęła, a nie uspokoiła się aż w bocznej uliczce, na której wiele pań z jej towarzystwa przestraszonych się znalazło.

Serce jej biło, twarz oblewał wstyd i ból czuła niewypowiedziany.

— Łasiu moja — odezwała się głosem drżącym — proszę ja ciebie, gdzie jest Koniecki? mnie słabo, czuję się niedobrze, wracajmy na zamek.

Koniecki był o kilka kroków.

— Żalińska z pannami, jeśli chcą, mogą pozostać dłużej, ja powrócę, głowa mnie boli; nie wiem co mi jest. Możemy bocznymi uliczkami do powozów się dostać.

Z pomocą Konieckiego i dwóch dworzan, którzy się szczęśliwie znaleźli, królowna unikając tych miejsc, w których brzmiała muzyka, przesunęła się niepostrzeżoną ku wrotom.

Tu, oprócz niej, wiele pań także starszych podążyły już, zmieszane i skłopotane, dłużej się tym tańcom nie mogąc przypatrywać.

Młodzież tylko przystała.

Widok Dosi, potem to szaleństwo króla, które tak boleśnie dotknęło królownę, przejęły ją i strapiły niezmiernie. Popłakując w milczeniu, razem z wzdychającą krajczyzną dostały się do zamku.

Ale królewskiej zabawy ta ucieczka większej części pań nie przerwała.

Francuzi oswobodzeni, po odejściu królownej rozpoczęli dopiero dokazywać, wcale się już nie troszcząc co ludzie pomyślą i powiedzą.

Henryk im do białego dnia dotrzymywał, i dopiero prośby usilne Tęczyńskiego, który chodził skłopotany wielce, skłoniły go, że się udał na spoczynek, gdy już jasno było i słońce wstawać miało.

O tym wieczorze królowna mówić nie mogła i nie chciała, lecz z jej posepnego milczenia widać było, że go mocno wzięła do serca.

Okolo południa, przypomniawszy sobie Dosię, kazała zawołać Talwosza.

Litwin na wieczornej zabawie nie był, bo wszelkich takich gromadnych a hałaśliwych rozrywek unikał.

— Niemasz się już co trudzić — odezwała się gdy przyszedł — ja wczoraj na moje oczy, sama widziałam po mężku przebraną Dosię. Nie myliła się Żalińska.

— Gdzie? — zawołał przerażony Talwosz.

— A! na tym wieczorze w ogrodzie królewskim — odpowiedziała królowna. — Nie spodziewała się pewnie, ażebym ja tam się przechadzała. Spotkałam się z nią zblizka.

— Kiedy tak — rzekł Litwin po krótkim namyśle — nie mam i ja już co przed W. Król. Mością ukrywać. Widziałem ją też i ja, a co więcej, mówiłem z nią.

— A! — zakrzyknęła Anna zbliżając się ciekawie. — Mówiłeś z nią, powtórz mi... co ci powiedziała?

— Nicem z niej nie wybadał — począł Talwosz — miarkuję tylko, że wcale szczęśliwą nie jest. Sama zeznaje, iż się zgubiła, ani chce się uniewinniać, ale ratować się nie daje.

Plakać mi się chciało po tej z nią w Niepołomicach rozmowie.

— Ale któż winowajca? Kto? — przerwała żywo Anna. — Gdybym wiedziała, udałabym się do króla dla pozyskania sprawiedliwości.

To mówiąc królowna przypomniała sobie wczorajszy wieczór, tego króla, w którego sprawiedliwości pokładała nadzieję — zarumieniła się i zamilkła.

— Nie mogłem się od niej o nikim dowiedzieć — odparł Talwosz — tyle tylko wiem, że w Niepołomicach mieszkała na zameczku, więc ktoś ją tam ze sług króla umieścić musiał.

Anna nie przeciągała tej rozmowy.

Talwosz odszedł.

Zniknięcie prędkie królownej z ogrodu musiało króla uderzyć, — wiedział czy nie, iż na taniec jego patrzyła? — ale nazajutrz wysłał do niej Tęczyńskiego z pozdrowieniem, a może dla wybadania.

Królowna po rozmyśle znalazła właściwszem tak postąpić, jak gdyby świadkiem wybryków nie była.

Krajczyzna już zrana usiłowała niemal uniewinnić tem Henryka, że królownej nie widział, że może napił się trochę. Młodemu coś trzeba było przebaczyć.

Anna musiała zamknąć w sobie co czuła i milczeć.

Tęczyński dopytywał królownej o zdrowie, o które król był troskliwy, i przypomniał w jego imieniu, że Anna przyobiecała zabawę jedną przynajmniej sprawić im na pokojach u siebie.

Zmięszalo to żądanie Annę, która się namyślała długo.

— Powiedźcie N. Panu — odparła — iż radabym go przyjąć u siebie, ale nie wiem, czy się u mnie tak ochoczo bawić będzie jak wczoraj.

Rachuję się z czasem — dodała — i widzę, że przed czternastym tego miesiąca trudno mi będzie się przygotować. Na czternasty więc prosić będę.

Chciał już z tem oddalić się pan podkomorzy, gdy królowna po krótkim namyśle wstrzymała go.

— Mam do was prośbę, hrabio — rzekła spuszczać oczy — ale to tak drażliwa i przykra okoliczność, że mi ciężko nawet powiedzieć i przyznać się do niej.

Słyszeliście pewne, jak za życia mojego brata niegodziwie z mojej dobroduszości korzystano, biorąc mi Handzię Zajązkowską. Powtórzyło się to, niestety, z małą odmianą. Miałam przy sobie wychowankę, do której sercem całym byłam przywiązana. Do się Zagłobiankę. Śliczna była jak rozkwitła różyczka polna, a rozumna i stateczna na podziw. Któżby to był mógł przewidzieć? To dziecko któryś z Francuzów mi zbałamucił i w najniepocziwszy sposób oszukano mnie, ją porwano. Ona jest tutaj. Kryje się, a tak niezręcznie, iż i moi słudzy i ja nareście sama widziałam ją po mężku przebraną.

Tęczyński słuchał, okazując coraz większy frasunek.

— Muszę prosić króla o sprawiedliwość — dodała Anna. — Co się stało, niepodobna zmienić, lecz niech się winowajca żeni, takiego zgorzenia nie można puścić bezkarnie.

Podkomorzy schylony, zadumany zdawał się przemyślać nad odpowiedzią.

— Niewiadomo kto się tego dopuścił? — zapytał.

— Ja nie wiem — rzekła królowna — ale król z łatwością się potrafi dowiedzieć o tem.

— Lękam się — odparł cicho Tęczyński — aby winowajca nie był zbyt wysoko położony. Król wielu ze swoich Francuzów oszczędzać musi, nie nad wszystkimi ma władzę.

Sprawa ta wymaga wielkiej oględności, ale mogę W. Król. Mości zaręczyć, że się będę starał ją wyświecić.

W mowie pana podkomorzego czuć było, iż rad się chciał sianem wykręcić z tego co mu narzucano.

Anna rozpoczęła skargi jeszcze, posłuchał ich cierpliwie i odszedł ponawiając zapewnienie, że uczyni co tylko będzie w mocy jego.

Królowna wiedziała, że spełniła co było jej obowiązkiem.

Po odejściu Tęczyńskiego, natychmiast się trzeba było odwołać do Konieckiego, do Żalińskiej, do wszystkich sił dworu dla przygotowania wieczoru, naznaczonego na czternasty. Czasu stosunkowo nie pozostawało wiele, a Anna tak była mało przywykłą do przyjmowania licznych gości, do wystąpień wspaniałych, musiała tu tyle osób zapraszać, tyle uczynić przygotowań, iż w głowie się jej zawracało.

Nadzwyczaj dbała o utrzymanie powagi swej i dostojności, chciała wytwornością przyjęcia nie być upośledzoną i nie wstydzić się przed ludźmi. A ona sama, jej dwór tak zdawna byli przywykli do jak najprostszego życia, do oszczędności i skromności.

Znowu więc ze skarbcza trzeba było srebra odbierać, opony zawieszać, kobierce ściągać, których oszczędzając chowano je także. Służba też nie starczyła, a kuchmistrza musiała od króla pożyczyć, bo nie miała takiego, któryby popsutym gębom pieszczonych Francuzów mógł dogodzić.

Zakłopotana się niemal do łez królowna.

Tymczasem krajczyna, która dotąd się nie chciała wyrzec nadziei ożenienia Henryka z Anną, uszczęśliwioną była tą nową oznaką jego... czułości. Tak ona to nazywała. Zbliżał się, starał widocznie o łaski, żywił tę myśl, która zresztą należała do zobowiązań.

Łaska i inne panie idące za jej przykładem tak uparcie w tej wierze trwały, że niekiedy sama nawet królowna dawała się nią uwieść.

Pytała tylko siebie samej często — czy małżeństwo to dobremby było, czyby szczęśliwym być mogło?

Najczęściej lży na to odpowiadały i niepewność wielka. Tak młody, tak płochy — możnaż się było po nim przywiązania spodziewać? Im lepiej go poznawała, tem bardziej powątpiewała o tem.

Wreście z rodzajem rezygnacyi zrzekała się własnej woli, mówiła w duchu — Stanie się co Bóg da, co przeznaczy! Nie władam sobą, należę do kraju, każą mi do ołtarza iść z nim, pójdę. A potem...

Stań się wola Twoja.

Rzadko myśl weselsza rozjaśniła te ciemne obłoki przeczuć trwoźnych; a pociechą najczęściej było wspomnienie Zygmunta, który wydawał się jej przybrany dziecięciem, jej jakby własnym. Dlaczego nie myślała przybrać sobie swojej imienniczki Anny, siostry jego? czemu ona ją mniej daleko obchodziła? — nie wiedziała sama.

Zdała, za mgłami śnił się jej czasem tron Polski dla siostrzana. Dla niego byłaby się zrzekała chętnie praw swoich. Onby krew Jagiellońską znowu wprowadził tu na długie wieki.

We wtorek czternastego czerwca od rana biegano w zamku, przygotowując ów zapowiedziany wieczór u królowej.

Cały fraucymer trefił włosy i przysposabiał stroje, służba była na nogach, Żalińska i Koniecki ochrypli oboje, a Anna siedziała w sypialni smutna, bo jej serce nic już sobie nie obiecywało w przyszłości.

Krajobraz musiała dla niej sama obmyślać ubiór i napróżno dopytywała o zdanie, królowna uśmiechała się obojętnie.

— Wszystko to jedno — odpowiadała przyjaciółce — jakkolwiek się ubiorę, nie będę ani młodszą, ani piękniejszą.

Nie troszcz się tak bardzo o mnie a pomóż raczej, abyśmy wstydu nie zrobili pamięci moich rodziców, imieniowi królewskiemu. Francuzi są do wspaniałości i rozrzutności nawykli, nasz obyczaj prostszym był zawsze, lękam się, aby nas nie wyśmiewali!

Oburzała się Łaska na samo to przypuszczenie — jej wydawało się wszystko bardzo pięknem i smakownem.

Anna nalegała, ażeby niczego nie żałować, i gotową była, pomimo wielkich wydatków, wyłożyć ostatni grosz dla czci swojego domu.

Pokoje też królowej, która sprosiła i przyjaciół i tych co jej niechętnymi byli jawnie, jaśniały nad wieczór całym przepychem pozostałości po Bonie i Zigmuncie Augusty.

Królowa matka, chociaż bardzo wiele wywiozła z sobą uchodząc z Polski, pozostawiła jednak dużo sprzętu, którego zabrać było niepodobna. Zygmunt August kochał się w rzeczach pięknych, więc tkanin, kobierców, sreber nie brakło, a wspaniałe komnaty nadawały się do przystrojenia niemi.

Nie zbywało też na pięknych twarzach we fraucymerze królowej, — i gdy wieczorem zebrało się całe grono gości, nie było się czego wstydzić — Anna mogła z dumą spojrzeć na swój dwór i grono ludzi najdostojniejszych, które ją otaczało.

Król nadszedł dosyć późno, z tą samą wdzięczną i wesołą twarzą, którą zawsze tu przynosił, starając się przypodobać królowi.

Dlaczego tego dnia właśnie, kłamany uśmiech i uprzejmość nie uczyniły wrażenia miłego na niej, i ani na chwilę nie złudziły? Anna nie wiedziała sama. Od tego wieczora gdy Henryka szalejącym w tańcu widziała, wstręt jakiś ku niemu czuła i obawę.

Wydawał się jej tak fałszywym i przewrotnym jak był w istocie. Wyrzucała to sobie a powściągnąć się nie mogła.

Tańce, od których Anna chciała się zupełnie wymówić, tak przykre one obudzały w niej wspomnienia, musiała rozpocząć Pawannem z Henrykiem, który, zdaje się umyślnie, starał utrzymać poważnym bardzo. W oczach tylko jego czasami błyski jakiejś ironii przelatowały jak ogniki błędne.

Od dalszych tańców stanowczo się wymówiwszy królowa zajęła się swemi obowiązkami gospodyni, zasiadłszy pomiędzy starszemi paniami.

Król wielce ożywiony, nie przestał skakać, wziął Zosię Łaskę, zapraszał inne panie do znanego im Kuranta i Gawota, ale znajdował się ciągle wstrzemięźliwie i nader przyzwoicie.

Dnia tego nic mu zarzucić nie było można, a wdzięk, z jakim występował w tańcu, zwracał głowy, bo nie można było mu zaprzeczyć układności, zręczności ruchów i sztuki przypodobania się.

Do późna w noc, przy odgłosach muzyki tańczono w salach jednych, w drugich biesiadowano i zabawiano się rozmową.

Nadedniem dopiero cofnął się król, uprowadzając z sobą Francuzów, i goście wszyscy rozjeżdżać się zaczęli.

Infantka panu Bogu podziękowała, odchodząc ostatnia do sypialnej komnaty.

— Łasiu moja — mówiła do przyjaciółki — powiedz mi? prawda? wszystko się nam powiodło? nie zabrakło nic? nie potrzebujemy się wstydzić? nieprawdaż?

— A! królowo moja — odparła krajczyna — żaden festyn się tak jak ten nie udał. Ludzie podobnego nie pamiętają.

Król nazajutrz w dziedzińcu pod oknami naszymi — dodała uśmiechając się — ma biegać do pierścienia. Niechże królowa moja nie zapomni wyjść na galeryę do łoży, aby się jego zręczności przypatrywać i przyklasnąć, boć to on dla was czyni.

Anna poruszyła ramionami i odparła.

— Poczniemy wieczorne modlitwy.

Piętnastego w istocie Henryk i inni Francuzi zapowiedzieli bieganie do pierścienia, ćwiczenie, w którym celowali. Uczyło ono celnego władania kopią, ale w Polsce zabawkę tę mniej ceniono i, jak mówił stary Bieliński, wolano silną, niż wydelikacaną a zręczną dłoń u rycerza.

Król, jak zazwyczaj, długo na dzień zasnął, i nie wyszedł na pokoje aż po dziesiątej.

Tęczyński, który się zaledwie zdrzemnął, był już na zawołanie oddawna.

Ze wszystkich Polaków, pan podkomorzy najmiłszy był królowi, a i on też króla uwielbiał; a przywiązał się do niego z zaślepieniem takim, że w nim samo dobre widział.

Przy hrabi Janie królowi nic zarzucić nie było można, tak gorąco stawał w jego obronie, i gotów był o najmniejszą obrazę czci Henryka krew przelewać. Przez całe dnie Tęczyński go nie odstępował, starając się przewidywać i uprzedzać wszelkie króla życzenia.

Przed dniami kilku podkomorzy miał przyjemność obdarzyć go bardzo pięknym koniem, wschodniej krwi, który się Henrykowi podobał. Jak z tym koniem, tak z każdą inną królewską zachcianką postępował — starając się ją zaspokoić, bodaj największym kosztem.

Za tę miłość król wprawdzie płacił mu uprzejmością wielką, przywiązał go do swej osoby, dawał widoczne pierwszeństwo, ale wcale do swych tajemnic, do tego co się w głębi serca działo nie przypuszczał. Kłamał tak przed podkomorzym jak przed innymi Polakami, a do swych zabaw z Francuzami nie zapraszał go, krył się z niemi.

Blady i zmęczony wyszedłszy z sypialni król powitał Tęczyńskiego pytaniem, czy kto nie przybył z Francji?

Ostatnie przed dni dwoma odebrane wiadomości z Paryża kazały się co godzina spodziewać katastrofy.

Henryk wiedział, że Karol leżał w krwawych potach dogorywając, trapiiony widzeniami mordów i rzezi, i że matka nie spuszczała z oka księcia d'Alençon i Henryka króla Nawary, a Montmorency i Cossé już byli do Bastylli odprowadzeni, Turenne i Thoré zbiegli, Molé i Coconnas pod sądem.

— Z Francji nie wiem o nikim — odparł Tęczyński — ale poseł cesarza Maksymiliana prosi o posłuchanie i czeka.

Był nim Andrzej Dudycz, i natychmiast go wprowadzono. Król, który miał wejrzenie bystre, usiłował z jego twarzy odgadnąć z czem przychodził. Dudycz nie okazał po sobie ażeby niósł coś ważnego.

Oznajmił tylko, że ma od cesarza własnoręczne pismo do króla, z poleceniem, aby oddał je do własnych rąk jego.

W istocie na małym zwiłku papieru opatrzonym pierścieniową pieczęcią cesarza poznał Henryk pismo Maksymiliana, domyślił się, że musiał list coś ważnego zawierać i nie rozpierzchotując go podziękował Dudyczowi. Cofnął się z nim do swojego gabinetu.

Podkomorzy pozostał z Dudyczem sam i po krótkiej rozmowie odprowadził go do kolebki.

Król zamknięty długo, nie powrócił na pokoje.

List cesarza w kilku słowach zawarty donosił, że Karol IX. dnia 30 maja zmarł na zamku w Vincennes, regencję przekazując matce.

Cała twarz Henryka zapłonęła ogniem, lecz trwało to mgnienie oka, zbladł, schował kartkę i po krótkim namyśle poszedł do zwierciadła, aby z pomocą jego twarz taką ułożyć, któraby nic poznać nie dawała, ani radości, ani niepokoju. Musiał do czasu zachować tajemnicę. Wiadomość zresztą nadesłana przez cesarza nie była urzędową. Nie mógł król powątpiewać o jej prawdziwości, lecz potrzebowała potwierdzenia.

Znał dosyć matkę swą i jej przywiązanie do siebie, by nie wątpić, że natychmiast gońców po niego wysłać musiała.

Rozmyślał jeszcze zamknięty, gdy jeden z paziów zapukał do drzwi bocznych.

— Gонец z Francyi!

Henryk rzucił się naprzeciw niemu.

Był to dworak królowej matki, młody de Chemerant, który nie otrząsnąwszy się z pyłu podróznego, śpieszył do Henryka, a gdy się drzwi zamknęły, przyklęknął przed nim, dobył list z za sukni i cicho zawołał.

— *Vive le roi!*

Król palec położył na ustach. Chemerant wstał.

— Wiem już! zachowaj tajemnicę! Nikomu ani słowa dopóki ci ust nie rozwiążę. Nikt wiedzieć o tem nie powinien.

Zdziwił się niezmiernie goniec, który pędził na złamanie karku, starając się aby go nie wyprzedzono, gdy z ust króla posłyszał, iż ktoś śpieszniej tu przybył od niego.

— Któż mógł przedemną tu przybyć! — zawołał smutnie.

Henryk uderzył go po ramieniu.

— Wyprzedził cię cesarz Maksymilian — rzekł żartobliwie i to mówiąc zdjął kosztowny pierścień z palca, który oddał posłowi.

— Chemerant — dodał — idź, spocznij, ale nikomu słowa! rozumiesz... Nie chcę nawet, abyś stał w gospodzie na mieście, niech ci dadzą mieszkanie w zamku.

To mówiąc król z listem matki poszedł niespokojny do okna. Chemerant cofnął się zaraz.

Na twarzy Henryka niemogąca się już ukryć i zamaskować radość promieniała. Był więc królem Francyi! u celu życzeń; spełniło się to co matka przepowiadała mu i czego tak gorąco pragnęła, był panem tego pięknego kraju, w którym miał się bawić tak przedziwnie! Śmierć brata ani na jedną sekundę nie zachmurzyła go smutkiem... Była upragnioną.

Rozpowiadano, że z czyjejs naprawy czarnoksiężnik Rugieri ulepił lalkę Karola IX. i na niej tajemniczym sposobem spełnił morderstwo, które żywego życia pozbawiło.

Aż do obiadu król siedział zamknięty u siebie. Sam jeden rozmyślał co miał począć z Polską, w której był królem, ale razem w niej niewolnikiem.

Wprzódym nim urzędowa wiadomość przyjść miała chciał coś postanowić. Komu się zwierzyć? kogo miał wezwać na pomoc?

W godzinie obiadu wyszedł, ale posępny i zafrasowany, a na zapytanie troskliwe Tęczyńskiego czy wiadomości z Francyi pomyślne były, potrząsnął tylko głową dwuznacznie. Ten więcej dopytywać go nie śmiał.

Obiad przeszedł w milczeniu.

Wszystko było gotowem do biegania. Dosyć ludzi zgromadziło się dokoła placu. Przeszedł mu o tem oznajmić Tęczyński.

— Hrabio mój — odparł oczy ku niemu podnosząc Henryk — widzisz sam jak jestem zmęczony. Nie mogę biegać, potrzebuję spoczynku, chcę nawet dziś położyć się wcześniej. Niech kto chce się zabawia.

Tęczyński natychmiast poszedł spełnić rozkazy. Ani on, ani nikt na zamku nie domyślał się jeszcze niczego.

Wieczór się zbliżał, gdy Henryk sposobem do którego Francuzi byli nawykli dał znać najzaufanszym swoim, iż z nimi sam na sam naradzić się potrzebuje. Villequier, Pibrak, Souvray i poseł francuzki Bellièvre zostali w ten sposób powołani.

Na zamku tak wszyscy byli nawykli do częstych z Francyi posłańców, iż nikogo nie zdziwił jeszcze jeden nad wieczór przybywający, de Neufvy. Wiózł on z sobą takie same listy, jakie zrana oddał Chemerant, ale oprócz tego ustnie miał wiele do opowiedzenia o ostatnich króla godzinach i męczarniach, dla których Henryk okazał się obojętnym.

Więcej daleko rozpytywał go o środki, jakie przedsięwzięła królowa matka, aby sobie zapewnić regencyą aż do jego przybycia.

Drugiemu posłowi temu nakazawszy tajemnicę, Henryk przywołał podkomorzego i zaraz po wieczerzy, skarżąc się przed nim na głowę, oświadczył iż idzie do łóżka.

Ze zwykłą ceremonią odprowadził go Tęczyński, dwóch paziów posadził na straży u łóża, świece zapalono, drzwi zamknięto.

Podkomorzy zaledwie się miał czas oddalić z zamku do swojego dworu pod wałami, dosyć odlegle położonego, gdy król wstał żywo, paziów odprawił i wezwanych swych doradców wpuścić kazał.

Stawili się oni wszyscy, nie jeden już raz tak do nocnych narad zapraszani, nie przewidując co ich tu czekało.

Villequier i Bellièvre weszli pierwsi i zastali Henryka w długim czarnym płaszczu stojącego w gabinecie.

Strój ten niezwykle miał już znaczenie.

— Brat mój umarł — odezwał się głosem stłumionym nieco i drżącą ręką dobywając listy, które na stół rzucił. — Królowa wzywa mnie, abym conajprędzej przybywał.

Souvray i Pibrak nadchodzili gdy to mówił. Wszyscy oni powitali go jako króla, a Villequier przykląkł do ucałowania jego ręki.

Wiadomość, chociaż spodziewana, uczyniła tak wielkie wrażenie, iż przez chwilę żaden z nich przemówić nie mógł.

Bellièvre pierwszy uczynił uwagę, że poselstwo jego tu było tem samem skończone i że natychmiast powinien do Francji powrócić.

Rzecz była tak małego znaczenia, iż nikt na nią nie zwrócił nawet uwagi.

— Królowa nagli, żąda, wymaga, abym przybywał niezwłocznie — począł mówić Henryk. — Nie ulega wątpliwości, iż im prędzej dostanę się do Paryża, tem dla mnie i dla Francji z tem będzie lepiej. Zapobieżono wszelkim pokuszeniom, d'Alençon i Henryk są strzeżeni, ale...

— Ale — przerwał Pibrak żywo — niemniej śpieszyć należy.

— Sądźcie — rzekł Henryk — iż mnie panowie senatorowie puszczą ztąd tak łatwo?

Spojrzeni po sobie wszyscy.

— Ba! — zawołał Pibrak — pomiędzy Polską a Francją wybór niewątpliwy. Z pierwszą stanie się... co zechce, a W. Kr. Mości do Paryża biedz należy jednej nie tracąc chwili.

— Sądźcie, wy Pibrak, co ich tu najlepiej znacie, że mi Karnkowski, Opaliński, Tęczyński ułatwią wyjazd rychły? Nie będą się starali strzymać tutaj?

Obejrzeni się wszyscy po sobie.

Pibrak z nich najlepiej znał Polskę, tak sobie przynajmniej pochlebiał, miał tu i serdecznych przyjaciół i okrutnych wrogów. Na niego zwracały się oczy wszystkich.

— Senatorów w Krakowie jest niewielu — odparł Pibrak — nie wiem, czy oni na siebie wzięć zechcą odpowiedzialność i sami rozstrzygać. Mogą, co najprawdopodobniejsze, sejm zwołać.

Jam o tej ewentualności mówił już z biskupem kujawskim. On sądzi, że bez sejmu się nie obędzie.

— A nim się sejm zbierze — tupiąc nogą zawołał król, który się okręcił na niej niecierpliwie — nim się on zbierze i nim się wygardłują, upłyną miesiące.

— Kilka co najmniej — potwierdził Pibrak.

— Cóż tu robić? — wykrzyknął król, bijąc papierami po rękach.

— Ba! — przerwał Villequier — rzecz bardzo prosta, nie pytać o pozwolenie nikogo i jechać gdy potrzeba.

— Przebojem? — zapytał Pibrak. — Nie mamy tu wojska na nieszczęście!

— Ale mamy doskonałe konie — rozśmiał się Villequier — i wrota gdy będziemy potrzebowali potrafimy sobie otworzyć.

— Uciekać? — zapytał Pibrak.

Król spojrzał na niego.

— Mój Guy — przerwał — można to nazwać inaczej, a przyznam ci się, że nawet ucieczka z tego kraju, przynajmniej w waszych oczach powinna być usprawiedliwioną.

Widzicie jak ja tu żyję, co cierpię... naostatek... (zżymnął się) grożą mi małżeństwem.

Souvray się głośno rozśmiał.

— N. Panie — rzekł — oni sami nie wierzą w nie.

— Ale królowa ciągle mi grozi, jak miecz Damoklesa — żywo począł król. — Wi-dzieliście ją wczoraj, poważna to matrona, włożywszy jej czepiec, starszą się pewnie wyda od mojej matki, a nudną jest i smutną i milczącą, a kwaśną tak, że nawet na mniszkę wydaje się za ponurą, cóż dopiero za żonę dla... dla...

Pibrak przerwał.

— A! to małżeństwo łatwobyśmy potrafili tak odkładać, ażby się nareście samo ze-rwało.

— Oprócz tego — zawołał król z przekąsem — mój Guy, nie znajdujesz, iż jest tysiąc innych trujących mi życie okoliczności, dla których ja tu pozostać nie mogę?

Pomóżcie mi, abym się mógł ztąd wyrwać; jak najcięższa niewola ciąży mi to moje królestwo.

Bellievre stał nieco na uboczu słuchając, trzech doradczy zbliżyli się do króla wyprze-dzając się z zapewnieniami, iż na wszystko co każe są gotowi.

— Najjaśniejszy panie — zawołał Villequier. — Z tego co nam mówił Pibrak wnosić można, iż na pozwolenie czekać byłoby niedorzecznością.

Potrzeba o nie prosić, aby czas zyskać i czujność ich uspić, ale my musimy gotować się do... nazwijcie to jak chcecie, chociażby uciezką.

Ja i Souvray bierzemy to na siebie. Chwili niema do stracenia.

Z wyrazu twarzy Henryka widać było, iż oświadczenie to przyjmował wdzięcznie.

— Myśl nie jest zła — rzekł — Pibrak niech gorliwie pracuje nad wyrobieniem mi u panów senatorów łaskawego zezwolenia na rozporządzanie osobą moją, a my tymczasem starajmy się obejść bez pozwolenia.

Pibrak stał zadumany.

— O jedno mi idzie — odparł po chwili namysłu. — Uciezka jest zawsze trochę niebezpieczną. Że się za nami w pogoń puszcza, nie ulega wątpliwości. A nuż króla na polskiej dogonią ziemi?

Villequier się oburzył.

— Dogonić nas nie mogą — zawołał. — Rzecz cała powinna się tak ułożyć, aby się nie postrzegli wprzód nim my przekroczym granicę. Obmyślim do niej najkrótszą drogę... konie możemy rozstawić.

Henryk się uśmiechał.

— Nie mam obawy najmniejszej — odezwał się — jeżeli Villequier i Souvray wezmą to na siebie.

Wiele na to czasu potrzeba, ażeby wszystko przygotowane być mogło? — dodał zwracając się do pierwszego.

— Dwa lub trzy dni starczą — rzekł Villequier śmiało. — Ja i Souvray nie stracimy ani godziny. Dziś jeszcze w nocy pójdziemy do Sederyna.

— Patrzcie, abyście zawczasu nie uderzyli na alarm — zawołał Pibrak.

— Sederyn jest człowiek pewny — rzekł Villequier — można polegać na nim.

— A na jego zręczności? — spytał król.

— Zarówno — rozśmiał się Souvray. — Patrząc na niego, niktby o przebiegłość i rozum tego otyłego rzeźnika nie posądził, a jednak...

Bellievre, który dotąd słuchał milczący, przybliżył się powolnymi krokami.

— A ty co mówisz na to? — zapytał król.

— Nic, oprócz iż dla mnie osoba W. Król. Mości nadto jest drogą, abym się o nią nie lękał. Dlatego życzę rozpatrzyć wszystko dobrze i ważyć jak najmniej. Znam Polaków.

— Pochlebiam sobie, że i ja ich przynajmniej tak dobrze znam jak wy — odezwał się Pibrak. — Są gwałtowni, obawiałbym się ich i ja, gdyby nie byli tak dobroduszni, tak łatwowierni, że ich zawsze na słowa zręczne wziąć można. Spytajcie biskupa Walencyi co im wmawiał i przyrzekał.

Są tak dziecinnie ufni, iż wierzą co im kto powie.

— Ale zwiedzeni i oburzeni — dodał Bellievre — w namiętności nie znają miary. Naówczas są to Zborowscy.

Reszta Francuzów milczała, ocenienie to charakteru polskiego, w grubych rysach, było dosyć trafne, nic mu zarzucić nie mógł żaden.

— Ucieczka króla, niema wątpliwości — dodał Bellièvre — przyprowadzi ich do rozpaczy. Mówmy prawdę, król ma już wielu nieprzyjaciół, pomnoży ona ich liczbę. Polskę potrzeba uważać za straconą.

Pibrak głową potrząsał.

— Może nie — rzekł krótko.

— A gdyby tak nawet być miało — odezwał się Villequier — lepiejże ważyć utratę francuskiej korony?

— Tej nic nie grozi? — przerwał Bellièvre — królowa matka choćby rok cały regentką być miała, potrafi na wodzy utrzymać tych, którychby się można obawiać.

Radzę ostrożność — dokończył poseł — przez miłość moją dla pana.

Skłonił się nisko.

— Nie mówię o koronie polskiej — dodał — ale z tą gwałtownością Polaków, którzy o cześć swoją stoją wielce, ostrożnie poczynać trzeba. Osoby króla nie poszanują gdy się obrażonymi uczują, a wątpliwości nie ulega, iż za obrazę wezmą pogardę ich kraju, korony i przysięgi im złożonej.

Henryk słuchał tych wywodów Bellièvre z widocznym zaszepieniem i niezadowoleniem. Poseł spostrzegł to w końcu i umilkł.

— Nie wiem — odezwał się kwaśno król — co postanowią senatorowie, ale mi to wszystko jedno. Jechać muszę, jechać chcę i pojadę. Proszę was tylko panowie, aby o tem postanowieniu mojem nikt nie wiedział.

Souvray, Villequier... pomogą mi.

Wtem król, jakby coś sobie przypomniał, wtrącił żywo, zwracając się do Villequiera.

— Mówcie o tem z dowódcą mojej gwardyi, z kapitanem Larchant.

Skłonił się Villequier.

— A przedewszystkiem muszę dziś jeszcze zobaczyć się z Sederynem — dodał. — Bez niego nie zrobimy nic, ani ja, ani Larchant, ani Souvray.

Po krótkim milczeniu, król oczyma obszedłszy przytomnych, rzekł jeszcze.

— Wyjazd więc mój jest postanowiony. To rozstrzygnięte. Według mnie, im on prędzej nastąpi tem lepiej. Przy największem staraniu o zachowanie tajemnicy, nie utrzyma się ona, gdy się przeciągnie.

Narada zdawała się skończoną, a jednak nikt odchodzić nie śmiał.

Król biegł po pokoju zaszepiony.

— Trzeba wszystko przewidzieć — rzekł cicho. — Polacy będą się gniewać na mnie... a w gniewie pomiarkowania nie mają. Gotowi mi nawet to co mam a pozostawię zabrać; klejnoty, które przywiozłem z sobą, byłyby stracone. Wiele z nich mają dla mnie wartość pamiątek.

— Potrzeba już teraz odesłać je do Francyi — rzekł Villequier.

— Ardier des Isoires — zawołał Souvray — wybierał się do Paryża oddawna, można mu je powierzyć.

Król potwierdzająco skłonił głowę.

Bellièvre się żegnał, chcąc odchodzić.

— Panowie moi — rzekł król zwracając się do nich — pamiętajcie mi zachować tajemnicę. Rachuję na to.

Villequier po krótkiej, cichej rozmowie z Souvrayem, który pozostał u króla, wybiegł natychmiast.

Nie wstępując nawet do mieszkania, nie zmieniając sukni, zbiegł zaraz ze wschodów, aby się udać na miasto.

Wieczorami wrota na zamku, chociaż były zawczasu zapierane, ciągle dla Francuzów wychodzących i powracających, niemal przez całą noc, przez strażę otwierane być musiały.

Nie było tajemnicą dla nikogo, że król sam nawet często nocą się udawał na miasto, a dopiero nad rankiem powracał, że Francuzi rozmaite osoby z sobą przyprowadzali tu... i że ciemności nocne pokrywały swawolę.

Spadała wina tych wybryków na młodzież, która królowi towarzyszyła, chociaż ona go tylko naśladowała.

Nie było trudno panu Villequier wysunąć się z zamku, a że mu o pośpiech chodziło, siadł na pierwszego lepszego konia, jakiego w stajniach znalazł osiodlanego.

W Starej Mynicy u Sederyna świeciło się jeszcze, a dla ciepła zbytniego okna były pootwierane. Zabawiano się, spodziewając że świeżo przybyli z Francji posłańcy zajrzą tu i coś z Paryża przyniosą. Tymczasem ani Chemerant, ani de Neufvy, nie pokazali się w gospodzie.

Oba oni wyprzedzając się aby być pierwszymi u króla, złamani podróżą odpoczywali, przeklinając cesarza Maksymiliana, który obu ich z wiadomością tą uprzedził.

Villequier wprost pobiegł na górę, ale zamiast szukać Sederyna w izbie, w której gwar Francuzów zgromadzonych słycać było, wywołał go z niej przez służbę.

Sederyn wyszedł powolnym swym krokiem, nie domyślając się nic zbyt ważnego.

Ponieważ Villequier był w wielkich u króla łaskach, szanował go wielce i kłaniał mu się nisko właściciel Starej Mynicy. Zobaczywszy go i postrzegłszy na twarzy wyraz jakiegoś zniecierpliwienia, otworzył nie pytając go drzwi osobnej komory, w której zwykle narady wymagające czterech oczu załatwiał.

Izba była, istne kafarnaum, pełna sepetów, szaf, koszów, skrzynek, broni i rozmaitych rupieci do przechowania Sederynowi dawanych. Weszli do niej nim przyniesiono światło, potracając o porozstawiane sprzęty... lecz tuż i chłopak wbiegł ze świecami. Villequier rzucił na stół kapelus.

Sederyn stał ręce w tył założony, przewidując że szło o coś ważnego, ale czekał długo nim Villequier namyślił się i przemówił.

— Mości Sederynie — rzekł w końcu zbliżywszy się do niego stłumionym bardzo głosem — albo szczęście sobie możesz zapewnić (*voire fortune est faite*), albo możesz nas i siebie zgubić. Przychodzę do ciebie od króla w bardzo, bardzo ważnej sprawie.

Sederyn się skłonił. Nawykły do przesady w słowach Francuzów, którzy wszystko powiększali, nie przywiązywał nadzwyczajnej wagi do zapowiedzi tej Villequiera.

— Jestem na rozkazy — rzekł chłodno. — Wiecie że służyć zawsze gotowem.

Villequier palec położył na ustach.

— A naprzód, milczenie! pod gardłem.

Sederyn wciąż odpowiadał głową tylko.

Villequier namyślał się, marszczył i słów dobierał.

— Król prawdopodobnie w tych dniach, jak najrychlej, przypuścmy najdalej za parę dni, musi jechać do Francji. Król brat jego umarł, korona francuzka spada na niego. Musi ztąd precz. Polacy go pewnie wypuścić nie zechcą, on czekać na ich pozwolenie nie może. Należy obmyśleć środki ucieczki... zwróciłem się o to do was. Kapitan Larchant wam pomoże.

Z natężoną uwagą słucał w początkach Sederyna, ale zrozumiawszy o co szło, zbladł jak trup, ręce podniósł, pochwycił się za głowę — milczał długo.

Villequier zląkł się tego milczenia.

— Panie Sederynie — zawołał — mów, nie mam czasu do stracenia. Król rachował na was.

Sederyn bełkotać zaczął — potniał i czoło ocierał.

— Panie hrabio — rzekł głosem zadławionym — panie hrabio, jestem cały oddany królowi, ale... znam Polaków i Polskę. Ważyć muszę nietylko mój majątek, wszystko co mam, ale zarazem życie, gardło.

Jeżeli król potajemnie uciecze, ci co mu pomogą będą najsurowiej sądzeni.

Na p. Villequier nie robiło to wrażenia.

— Rzecz naturalna — rzekł obojętnie — iż życie swe ratować musisz, to wasza sprawa! Co się tyczy majątku, straty wam król francuzki potrafi nagrodzić i zapłaci za polskiego króla.

Pomimo tego uspokajającego zapewnienia, Sederyn nie przestawał pot ocierać i stękać cicho. Zapatrzył się w podłogę.

— Tak prędko — zawołał — urządzić rzecz tak trudną!

I ręce szeroko wyciągał.

— Albo prędko, póki nic się nikt nie domyśla, lub później wcale nie będzie można — dodał Villequier.

Spoglądał na Sederyna, który jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Zbliżył się potem i położył rękę na jego ramieniu.

— Królowi o to najmocniej chodzi, aby się co prędzej dostał do Francji — rzekł — powinienes to zrozumieć. Niech kosztuje co chce. Wdzięczność będzie nieograniczona.

Mówmy jak i co pocniemy!

Sederyn jeszcze nie całkiem oprzytomniał.

— Nie dziwujcie się — odezwał się po długim przestanku — że mi niełatwo przychodzi zebrać myśli. Dom, handel, majątność, siebie, życie, wszystko stawić muszę. Stawka wielka.

— Ale wygrana pewna i stokroć ją przewyższająca — przerwał Villequier.

Sederyn, jakby pokrzepienia lub czasu do namysłu potrzebował, wysunął się obiecując natychmiast wrócić, i powrócił w istocie niosąc kubki i wino. Jeden z nich sam wychylił.

Zamyślony stał jeszcze trochę.

Villequier coraz to go budził.

— Cóż więc? cóż więc?

Sederyn z oczyma w stół wlepionymi, po którym palcami przebierał, nie odpowiadał. Naostatek ochłonawszy z pierwszego wrażenia, otworzył usta.

— Za królem nieochybnie pogoń się puści — rzekł. — Potrzeba się zabezpieczyć, ażeby jak najpóźniej się opatrzone, a drogę tak oznaczyć, ażeby jak najprędzej można doścignąć granicy. Na polskiej ziemi jeżeli króla dogonią, nie puszczą go dalej.

Villequier potakiwał.

— Któż to mógł przewidzieć — dodał Sederyn posępnie — że przyjdzie do potajemnej ucieczki? Nikt się nie gotował do tego... a tu pośpiechu potrzeba.

— Jak największego — potwierdził Villequier.

— Konie przodem wysłać musimy, bo jedne nie starczą — mówił Sederyn. — Ile osób będzie przy królu?

— Gromadka nie wielka, sądzę — odparł Villequier — ale nic jeszcze nie oznaczono. Koni może nam Larchant dostarczyć.

Rozpoczęli mówić o szczegółach, których się tyle nastęrczało, iż Sederyn ręce łamał co chwila. Villequier w imieniu króla na pośpiech i na tajemnicę nalegał. Nie dawał na przygotowania więcej nad dni trzy. Znał króla i jego temperament niecierpliwy.

W końcu Sederyn głosem znużonym zapytał.

— A cóż z Polską będzie?

Nie odebrał na to odpowiedzi rychło.

— Nie wiem — rzekł w końcu Francuz obojętnie — to zależy od panów Polaków. Jeżeli się zgodzą na warunki króla Francji, mogą pozostać pod jego panowaniem. Spodziewam się, że to dla nich dosyć byłoby zaszczytnem... jeżeli się burzyć i wicherzyć będą...

Wskazał ręką, iż o to nie dbał, naturalnie król i on.

Sederyn posmutniał.

— Nie znacie Polaków — odparł. — Wcale się oni choćby wobec i w porównaniu do Francji uposledzonymi nie czują. Jeżeli król lekceważeniem ich obrazi, zrzucą go... zrzucą. Przyjdzie tem łatwiej detronizacya, że dotąd go niektóre ziemie znać nie chcą i uznawać. Polska stracona! — zamknął Sederyn.

— Ja po niej płakać nie będę — odezwał się Villequier — a sądzę że i król prędko się pocieszy.

— W pierwszej chwili rozżalenia i sromu doznanego — dodał Sederyn — na tych, których Polacy w rękach mieć będą, pomszczą się okrutnie. Pamiętajcie o tem. Nie mówię o sobie, choć ja pierwszy zgubionym zostanę, ale i o tych, których król tu zostawić musi, boć wszystkich nie zabierze, potrzeba myśleć.

— Mamy przecież i przyjaciół tutaj — przerwał Francuz. — Biskup kujawski, podkomorzy Tęczyński...

— Ci się wszyscy przeciw wam obróć — mówił Sederyn — będą musieli bronić siebie, bo króla obraniać nie znajdą sposobu. Przysiągł Polakom.

Zmarszczył się mocno Villequier.

— Zamiast być mi pomocą, zatrważasz mnie trudnościami — zawołał gniewnie. — Nie po to tu przyszedłem?

Sederyn podszedł parę kroków, ujął jego rękę i w ramię go pocałował.

— Uspokójcie się — rzekł — trzeba przewidzieć wszystko.

— Ale nie tak widzieć czarno — sprzeciwił się Francuz. — Polacy pogniewają się, to pewnie, ale mi się zdaje, że ocenić też powinni tę cześć i korzyści, jakie pozyskają, gdy król Francji razem będzie ich królem.

Potrząsał głową Sederyn.

— Nie znacie ludzi — powtórzył.

— Mniejsza o to, gotujcie konie do granicy cesarskiej — zakończył. — Raz ją przekroczysz jesteście bezpieczni. Cesarz pierwszy dał dziś znać królowi o śmierci brata i niewątpliwie dalszą mu podróż ułatwi.

— Nie wątpię i ja o tem — rzekł uśmiechając się Sederyn. — Cesarzowi to będzie na rękę, bo starał się o tron Polski, a przewiduje już, że opróżnionym zostanie. Dostarczy koni i ludzi!

Zmarszczył się Villequier.

Rozmawiali jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Larchant, którego Souvray przysłał.

Larchant średnich lat mężczyzna, żołnierz od dzieciństwa, odważny, zapamiętały, pełen próżności, samochwał wielki, wyglądał na zucha, który się musiał miłować w niebezpieczeństwach. Śpieszył on tu, bo awantura była dlań pożądaną, a nadzieja wydobycia się z Polski, gdzie mu się nie wiodło i kilka już razy nieprzyjemne zetknięcia się z rębaczami naprzykrzyły wielce się uśmiechała. Larchant przychodził rozpromieniony.

Widząc go tak ochoczym do dzieła, gdy Sederyn chodził zafrasowany i przybity, Villequier wskazał mu gospodarza.

— Weźże go, kapitanie, i otrząśnij ze złych myśli! Czasu nie mamy do stracenia.

— A farsą taką doskonałą do odegrania! — podchwycił śmiejąc się Larchant. — Proszę sobie wystawić, tych drogich Polaków moich, nazajutrz rano, gdy im króla zabraknie!

A, cóżbym dał, aby na to patrzeć i pocieszyć się odwetem. Nadokuczali nam dosyć swoją butą nieznośną. Na nieszczęście ja tego nie zobaczę, bo królowi towarzyszyć muszę i inaczej go nie puszcze.

Koni potrzeba dobrych, to nie ulega wątpliwości — dokończył nalewając sobie wina — ale i kilka silnych rąk niezawadzi.

Podniósł krzepką pięść do góry.

Sederyn stał ciągle chmurny.

— Mości Sederynie, *a nous deux!* — począł Larchant — obmyślajmy, liczymy, a żywo! a żywo!

— Tak — zamruczał Sederyn — wamby się chciało jak najprędzej ztąd wyrwać, rozumiem, ale ja też myśleć muszę o tem, że mogę się zostać i wpaść w ręce zemsty chciwym.

Larchant mrugnął na Villequiera i klapnął silnie po ramieniu gospodarza.

— Odwagi! Nic się wam nie stanie — zawołał. — Nie zdradzi was przecie król, i nikt wiedzieć nie będzie kto nam pomagał.

Niedowierzająco potrząsał głową Sederyn, ale już Larchant, nie tracąc czasu, o liczbie koni i sposobie ich zebrania rozprawiać i badać zaczął. Żądał mieć zapaśne wierzchowce, chciał jak najwytrzymalszych i rącznych.

Roztrząsano potem w ilu i jakich miejscach konie się postawić miały, kto mógł króla prowadzić po nocy, jaka droga była najbezpieczniejsza.

— Tego bądźcie pewni — dodał Sederyn po namyśle — że gdy się o ucieczce króla dowiedzą, gdy alarm się zrobi, nie jeden ktoś, ale całe tłumy pobiegną na wszystkie drogi, łapać i chwytac, że tym Francuzom i przyjacielom króla, którzy pozostaną w rękach Polaków, niewygodnie będzie i ciężką chwilę przeżyć będą musieli.

Sederyn nie mógł się uspokoić.

Dniało już i Villequier zabierał się na zamek powracać, bo przewidywał, że król też spać nie będzie i zawoła go rano, a Larchant jeszcze nieszczęśliwego Sederyna męczył, usiłując mu dodać męztwa.

Nie przyszło mu to łatwo. Kapitan gwardyi rad był, iż powracał do swojej Francji z kraju piwa i niedźwiedzi, jak go nazywał, a Sederyn przewidywał, że Polskę, w której

dorobił się mienia, majątek, dom, wszystko porzucić będzie musiał, gardło w dodatku ważąc.

Znał nadto dobrze tych wśród których żył, by powątpiewać, iż mu zdrady nie przebaczą. Królowi, bądź co bądź, nie mogli uczynić nic, jemu groziło co najmniej ubóstwo i włóczęga bezdomna, bo wiedział, że na wielką wdzięczność rachować było trudno.

Rzadko się trafiało, ażeby król sam zwoływał panów senatorów na radę, najczęściej oni sami prosić musieli o posłuchanie i rozwiązanie spraw pilnych. Niewielu ich znajdowało się naówczas w Krakowie, i wszyscy we wtorek rano odebrawszy zaproszenie na zamek, mocno się temu zdziwili.

Łagodny i dobroduszny ks. biskup chełmski uradował się temu pomyślnemu symptomatowi.

— Dzięki Bogu — rzekł ubierając się, aby na zamek pośpieszyć. — Dobry znak, zaczyna się poczuwać do królewskich swych obowiązków, które zaniedbywał potroszę. Łaska Boża!

Spotykający się już w podwórcach zamkowych Zborowski wojewoda krakowski, Tęczyński, Pstrokoński, witali się pytaniami.

— Nie wiecie po co nas król wzywa?

Zwracano się szczególnie ku panu podkomorzemu, o którym wiedzieli wszyscy, iż miał króla zaufanie i łaskę.

Tęczyński nie wiedział o niczem.

— Widziałem króla wczoraj wieczór — odparł — był zmęczony i smutny, ale o żadnej tak pilnej sprawie nie wspominał.

— Znudziły go zabawy — przerwał szydersko nieco kasztelan czerski Pstrokoński — chce się rozerwać słuchając polskich mów, których rozumieć nie będzie.

— Ręczę wam — stanął w obronie Tęczyński, który zawsze króla się starał osłaniać — że radby mowy naszej się nauczyć.

— Niema na to lepszego sposobu — dodał Pstrokoński, gdy już na salę wchodzili — jak się z Polką ożenić. Niech ślub z Infantką przyśpieszy. *Probatum est.*

Sala senatorska dosyć obszerna, ozdobna, wydawała się smutną i pustą. Kurz leżał na ławach i pomimo okien otwartych, woń pustki niezamieszkaney, pyłu i zapomnienia przejmowała powietrze.

Zwolna ściągali się panowie senatorowie, przewidując, iż liczba niewielką będzie.

Wsunął się cicho marszałek Firlej, i zaledwie pozdrowiwszy tych, których zastał, zajął miejsce na stronie ku pierwszej ławie. Wszedł potem Ostafi Wołłowicz trocki kasztelan, witając Zborowskiego, który jeszcze z Tęczyńskim rozmawiał, za nim zjawił się Żaliński kasztelan gdański, dosyć pokorny i skromny.

Niewielu więcej spodziewać się było można. Zapytywano napróżno o kilku, dowiadując się, że ich w mieście nie było.

Ważniejszych narad nikt się nie spodziewał, a wiosna wyzywała wszystkich na wieś.

Król zwykle dość długo na siebie czekać dawał, i tym razem nie spodziewano się go rychło. Panowie senatorowie chodzili i siedzieli, pozbierawszy się w małe gromadki, gdy Tęczyński wyszedłszy na chwilę, powrócił oznajmując króla.

Drzwi otwarto szeroko. Henryk szedł wiodąc za sobą Pibraka, jako tłumacza do pomocy.

Spojrzenie na niego wskazywało, że przybywał z czemś ważnem, twarz miał posępną i uroczystą.

W dodatku strój niezwykajny oczy zwracał. Ubrany całkiem czarno, bez łańcucha nawet na szyi, król na ramionach miał ciężki płaszcz jakiś czarny, wlokący się za nim, jakiego nigdy nie nosił.

Zaledwie panowie senatorowie zajęli miejsca, gdy Henryk głosem wymuszonym, ponurym, mówić począł.

— Przychodzę się z wami, panowie senatorowie, podzielić boleścią moją. Doszła mnie od królowej matki wiadomość smutna, że najukochańszy brat mój, król Francyi, żyć przestał. Nie wątpię, iż oddacie mu należną cześć, gdyż Polskę miłował równie jak Francję i był jej najżyczliwszym.

Chwilę się zaledwie zatrzymawszy, Henryk dał znak Pibrakowi, aby mu w pomoc przybył. Senatorowie spoglądali po sobie siedząc w milczeniu, wszystkich ich ogarnęła jakaś trwoga i niepokój.

Lecz Pibrak już listy z Francji dobywszy rozpoczął ich czytanie.

Przeczuwano, iż król domagać się będzie zapewne pozwolenia wyjazdu dla objęcia panowania, i senatorowie badali się oczyma, usiłując porozumieć co czynić i jak odpowiadać mają, gdy król sam po Pibraku głos zabrał.

Uderzał nadzwyczajny, prawie nienaturalny spokój i rezygnacja z jaką mówić począł.

— Będę zmuszonym — rzekł — udać się do Francji, to niewątpliwa; tymczasem jednak rejencya jest w rękach mojej matki, w kraju panuje spokój, nic nie zagraża. Mam więc czas czekać, aż się mój wyjazd obmyśli i postanowi.

Przedewszystkiem — dodał zwracając się ku tym, których sobie szczególnie pragnął pozyskać — przedewszystkiem należy sprawy tego królestwa tak ułożyć, aby mu pokój i rząd dobry był zapewniony. Jest to moim obowiązkiem i pilno się tem zająć musimy.

Wszystko co mówił było tak piękne, rozsądne, tak pochlebne, iż nikt z senatorów nie zebrał się na odpowiedź. Milczeli pod wrażeniem wiadomości, która ich wcale niespodzianie spotkała, a byli w tak małej liczbie, iż obawiali się rozstrzygnąć cokolwiekbądź.

Król westchnął.

— Mamy czas — powtórzył — nic dotąd nie nagli — rzekł po małym przestanku — jednakże nic przewidzieć niepodobna. Dla spraw królestwa mojego francuzkiego mogę się stać potrzebnym, prosilibym więc was, abyście zwołanie sejmików i sejmów przyspieszyli.

Po przemówieniu króla panowało milczenie, szeptano naradzając się kto odpowie. Przypadło to na Zborowskiego, który począł od wyrażenia żalu i współczucia dla króla.

— Miłościwy panie — dodał — dozwolisz, abyśmy tak niespodzianie zaskoczeni, naradzić się mogli. Sprawa wielkiej wagi, nas gromadka mała, a odpowiedzialność ciężka ważna.

Usłyszawszy to król, jakby rad był od dalszych rozpraw się uwolnić, powstał żywo i oświadczył przez Pibraka, iż pozostawia panów senatorów dla dalszego roztrząsania co czynić mają, a sam zabrał się do wyjścia.

Zgromadzeni panowie w milczeniu pożegnawszy Henryka, pozostali na swoich miejscach i po oddaleniu się jego siedzieli strwożeni, niepewni co począć, jakby grom padł między nich.

Na twarzach widać było pomieszanie. Karnkowski szczególnie biskup kujawski blady, drżący, zdawał się tą nowiną do rozpaczki przyprowadzony.

Należał on do tych, co z Tęczyńskim króla popierali i największe na nim pokładali nadzieje. Sama myśl, iż Henryk mógłby się oddalić i zaniedbując polskie sprawy poświęcić cały Francji, przerażała biskupa.

Wkrótce po wyjściu króla zagotowało się od namiętnych rozpraw w sali senatorów i trzy godziny trwały głosy różne, utyskiwania, obawy, przewidywania, które się tem skończyły od czego się rozpoczynały — potrzeba było co najrychlej zwołać panów, rozesać listy do szlachty, zgromadzić naród, aby rozstrzygnął, czy może dopuścić nowo obranemu królowi swojemu wyjechać do Francji, gdzie mógł być narażonym na wojnę domową i na niebezpieczeństwo.

W chwili gdy okryty płaszczem żałobnym król kroczył do sali oznajmić o śmierci brata zwołanej radzie, tajemnica dotąd zachowywana o nadeszłych z Francji wiadomościach dłużej się już utrzymać nie mogła.

Zdradzili ją Francuzi sami.

Ochmistrz Koniecki, który właśnie szedł do Infantki, spotkał w korytarzu Tęczyńskiego. Błady i pomieszany podkomorzy zatrzymał go i szepnął smutną nowinę.

Koniecki, człowiek słaby i trwożliwy, zapytał, podnosząc ręce do góry.

— Panie hrabio! a cóż będzie z Infantką? z królem? ze ślubem?

Tęczyński poruszył ramionami.

— Król do Francji chce jechać! — odparł odchodząc śpiesznie.

Nie mogąc od nikogo się o niczem więcej dowiedzieć, ochmistrz pośpieszył na górę do swej pani.

Tu nie wiedziano, nie domyślano się nic jeszcze. Donoszono tylko Annie, iż wczoraj kilku posłów przybiegło z Francji.

Krajczyzna z Zosią Łaską stały oczekując na królową, gdy Koniecki wpadł ręce łamiąc.
— Król francuzki umarł! — zawołał — wiadomość przyszła z Paryża. Nasz Henryk zmuszony czy po dobrej woli wybiera się do Francji. Matka go powołuje.

Kończył te wyrazy, gdy weszła powolnym krokiem Anna, zbladła dosłyszawszy co przyniósł i Łaska musiała ją podtrzymywać, bo się złękła, ażeby nie osłabła.

Królowna, pobożna zawsze, zaledwie ochłonawszy, z rezygnacją uklękła przy krześle najbliższym stojącemu i poczęła modlitwę za duszę zmarłego. Za przykładem jej poszli wszyscy.

Pragnęła dowiedzieć się szczegółów, bo Koniecki tak jak nic nie przyniósł, oprócz wiadomości o śmierci. Nie było kogo posłać, do kogo się zgłosić o szczegóły. Król zanadto zajęty sobą, o Infantce zapomniał.

Ochmistrz przypomniał sobie dopiero teraz, iż kolebkę biskupa chełmskiego widział w podwórzu i domyślił się, że musiał się w senacie znajdować; poszedł do niego.

Wprędce powrócił z nim razem.

Biskup, jak inni senatorowie, był jeszcze pod wrażeniem trwogi, jaką obudziło w nich żądanie króla. Biskup kujawski właśnie był rozpoczął rozprawy od tego, iż należało zwołać co rychłej sejm, ale o ile możliwości starać się króla zatrzymać.

Tęczyński i inni zdawali się obawiać, aby król, zwłoką zniecierpliwiony, nie postąpił samowolnie.

Trzeba mu było ułatwić podróż.

Biskup kujawski się temu sprzeciwiał, miał przecucie, choć się z nim nie objawiał, że raz wyjechawszy z Polski, król do niej nie powróci.

Od biskupa chełmskiego niewiele się mogła dowiedzieć królowna, mówił tylko, że choć król zdawał się cierpliwie chcieć czekać na zezwolenie wyjazdu, widać było, iż go pilno potrzebował.

W duszy Anny razem z pierwszą wieścią o śmierci króla wstąpiło przekonanie, iż marzenie o Henryku, o małżeństwie, o przyszłości było skończone! Nie pozostawało jej nic już nad serce boleśnie ściśnięte ostatnim zawodem w życiu.

Na powiekach kręciły się łzy, których nie chciała przed ludźmi pokazać, wstydząc się swojej słabości.

Z zamku odgłos o śmierci francuzkiego króla, razem już o żądaniu wyjazdu Henryka, z szybkością błyskawicy przeszedł do miasta.

Niepodobna odmalować wrażenia jakie uczynił.

Niechęć ku Francuzom była i tak już podniecona, wybuchła ona zaraz gwałtownie, bo wnet zaczęto, uprzedzając najmniejszą oznakę prawdopodobieństwa, wołać, że król niezawodnie Polskę opuści.

Jedni się tym niemal cieszyli, drudzy chcieli gwałtem wstrzymać Henryka!

W jednej chwili na Rynku, po ulicach, w Sukiennicach, na Ratuszu, ludzie się gromadzić, zbiegać, rozprawiać zaczęli, przybierając tak groźne postawy, jak gdyby już się coś stało, albo natychmiast zagrażało.

Ruch, który panował między Francuzami, a z tym się oni nie mogli ukryć, usprawiedliwiał poniekąd niepokój miasta.

Oprócz tego z zamku, ze dworów senatorów, około południa zaczęto wyprawiać gońców, listy, posłańców na wszystkie strony.

Sederyn postrzegłszy co się dzieje, co najprędzej wyprawił na zamek, zaklinając Henryka, aby czynił co tylko było w jego mocy dla uspienia podejrzeń, dla uspokojenia ludzi, którzy już odgadywali ucieczkę.

Co do osoby swej, Henryk nadzwyczaj umiejętnie panujący nad sobą, był pewnym, że się nie zdradzi; im niecierpliwszy był, tem udawał spokojniejszego, ale Pi brak i inni nie umieli, choć się o to starali, ukryć gorączki, jaka ich paliła.

Król musiał kazać natychmiast zawołać Larchanta i zalecił mu, aby we dnie najmniejszych przygotowań, najmniejszego krzątania się i ruchu nie było na zamku.

Krassowski karzeł, który naówczas w kamienicy Zborowskich mieszkał, i tam się o śmierci Karola dowiedział, nim miał czas, ubrawszy się żalobnie, do króla z kondolencją pośpieszyć, z kilku różnych ust dowiedział się, jakoby za najpewniejsze, że Henryk jedzie do Francji, a jeżeli mu pozwolenia odmówią, gotów uciekać.

Krassowskiemu, który lepiej niż inni znał Henryka, wydało się to prawdopodobnym, ale oburzyło go.

On, tak samo jak biskup kujawski, jak Tęczyński, jak wszyscy przyjaciele króla, narazem był srodze, odpowiedzialnym prawie, gdyby on lekceważąc Polskę, miał ją opuścić.

Krassowski pierwszego co mu o tem powiedział zgromił, ale nim się dostał do zamku, pięć czy sześć osób spotkanych po drodze powtórzyło mu, że Henryk niezawodnie uciekać myśli.

Jeden z panów (był nim młody Radziwiłł Sierotka) szepnął na ucho karłowi, że przygotowania nawet pewne dostrzeżono na zamku i u Sederyna.

Krassowski co najprędzej pognał na zamek, ale król właśnie po naradzie senatorów słuchał sprawozdania biskupa kujawskiego, dostąpić do niego nie było można.

Karnkowski zaklinał Henryka, aby miał cierpliwość, aby nie czynił nic bez zgody senatorów.

Z uśmiechem jako odpowiedź uspokajającą, Henryk przewidując już potrzebę tego, wskazał biskupowi świeżo przez Pibraka wygotowany akt, którym królowej matce dawał pełnomocnictwo do reencji.

— Widzisz, ojcze mój — rzekł — że gdybym nie chciał pozostać i cierpliwie czekać co postanowicie, nie potrzebowałbym wysłać matce tego aktu, który Bellièvre dziś z sobą zabiera. Proszę więc was, pokażcie to senatorom, uspokójcie ich, zapewnijcie, że nie uczynię żadnego kroku bez wiedzy waszej.

Karnkowski wyszedł dziękując Bogu, iż król się okazał tak powolnym, gdy niemal gwałtem wtargnął na pokoje karzeł i padł Henrykowi do nóg.

Począł od oplakiwania Karola, dla którego król łez nie miał już... zmarszczył się smutnie tylko.

— Najjaśniejszy panie — dodał natychmiast karzeł podskakując aby się lepiej dać słyszeć — Na Boga w Trójcy jedyne, po całym mieście krąży pogłoska, że chcesz ujechać, ludzie mówią uciekać! Zlituj się nad sobą i nad nami!

Łamał ręce zrozpaczony.

Henryk parsknął doskonale udanym śmiechem.

— Oszalałeś, *petit Jehan!* — zawołał — oszalałeś! Jakże możesz ty, co mnie znasz od tak dawna, posądzić o coś podobnego? Ja? uciekać? Godziż się, abyś ty to powtarzał!

Na co uciekać mam, gdy mi niezawodnie jechać pozwolą, a sejm już dziś zwołują.

Król mówił z takim przekonaniem, z taką gorącością, tak oburzony razem, iż Krassowski, choć znał jego umiejętność oszukiwania ludzi, bo nieraz padł jej ofiarą, uwierzył mu i począł ręce białe całować.

— A! królu mój! panie mój — odezwał się z zapalem. — Nie wierzyłem temu, ale po całym mieście niegodziwi o tem trąbią, lud się rozgorączkowuje, nieprzyjaciele podpalają.

— Nic dziwnego, że głupia gawiedź takie niedorzeczności wymyśla — zawołał król — ale *petit Jehan* nie powinienby ich powtarzać.

Mój drogi, królowie nie uciekają, a ja nie mam żadnego powodu tak się na złamanie karku śpieszyć do Francji. Królowa matka mnie zastępuje, d'Alençon tak dobrze jak pod strażą, inni w Bastylli już lub w ucieczce. Nie obawiam się nikogo, mogę czekać.

Uspokoił się Krassowski.

— A! tak! — zawołał z zapalem — czekaj królu mój, najpiękniejszy orszak Polaków będzie ci towarzyszył, zyskasz ich miłość, nie czyni im sromu.

Henryk śmiać się zaczął znowu.

— Proszę cię — przerwał — jak ja, śmieję się z tego... niema w tem sensu co ludzie plotą!

Od króla rozgorączkowany karzeł biegł prosto do królowej. Obawiał się, aby do niej nie doszła wiadomość ta o zamyslanej ucieczce, śpieszył uspokoić Annę.

Był tu pożądanym bardzo gościem, bo u królowej łaknęli wszyscy wieści, a nikt nie przychodził, czuła się opuszczoną. Kto żył, około króla i jego dworu szukał lepszego obeznania się z położeniem.

Wszystkie panie i sama Anna wyszła do Krassowskiego, który ledwie dyszał ze zmęczenia.

— Wprost przychodzę od króla — począł żywo. — Niegodziwi ludzie rozpuścili już wieść, jakoby król uchodził zamysłał, nie czekając zezwolenia na podróż od panów senatorów. Ale Henryk mój śmieje się z tego i ani myśli się ztąd ruszać. To są potwarze.

Spytała królowna, czy mocno był zasmucony zgonem brata, boleścią jakiej musiała doświadczyć matka, dotknięta tym zgonem?

Na to naiwne pytanie karzeł nie umiał odpowiedzieć, tak dowodziło nieznanostwo wielkiej stosunków rodziny. Objasnić zaś królowę, że matka nie kochała syna, że sama spiskowała przeciw niemu, że brat nie cierpiał brata i że się cieszyć mógł z jego zgonu... nie mógł Krassowski. Spuścił oczy i milczał.

Gdy się to działo u królowej — na dole u króla, w mieście nieustannie mieniali się przybywający i odjeżdżający. Francuzi jeden po drugim opuszczali Kraków.

Panowała między nimi jakby panika jakaś, która sprawiała, że jeden przed drugim prosili się, domagali, błagali, aby ich do Francji puszczono.

Bellievre pierwszy pożegnał króla, zabrał listy i jawnie w biały dzień ruszył z pośpiechem wielkim, ale to się tłómaczyło potrzebą wysłania przez niego listów pełnomocnych.

W istocie zaś powierzonom mu było zapewnienie się, iż konie dla króla przysposobione zostaną na drodze.

Na Sederyna i Larchanta nie można się było całkiem spuścić, bo król naglił, nie dając im czasu do przygotowania przepręgów.

Bellievre miał czekać na Henryka u granicy. Tego nikt się nie domyślał.

Wkrótce po nim potajemnie pozawijane w tłumoczeki i skrzynki, klejnoty, perły, łańcuchy, co Henryk miał najdroższego — obawiając się, aby mu tego nie zatrzymano — wyprawił powierzywszy zaufanemu Ardier des Isoires, który dla bezpieczeństwa innym miał się udać gościńcem.

Naostatek pod wieczór de Neufvy wyprawiony został wprost do Wiednia, do cesarza, oznajmując mu o rychłym przybyciu króla.

W tym samym dniu gdy panów senatorów łudził zapewnieniami że nie potrzebuje się śpieszyć wcale, że czekać będzie cierpliwie aż sejm postanowi o wyjeździe, król już stanowczo się ważył na ucieczkę.

Wszystkie do niej przygotowania były poczynione.

Z nadzwyczajnego ruchu i niepokoju na dworze można się było wprawdzie domyślać czegoś i ludzie podejrzewali Henryka, ale Tęczyński, biskup Karnkowski, Zborowski gromili tych, co śmieli przypuszczać nawet, ażeby miał tak sromotnie chcieć ich oszukiwać.

Podkomorzy przysięgać za króla był gotów, gardło dawać za niego; lajał i sprzeczał się, gdy mu wspomniano o tem, że króla należało pilnować.

Wielu w istocie było tego zdania.

Tęczyński, który sam nigdy nie kłamał, którego rycerskie słowo nie było nigdy złamanem, porywał się do oręża za cześć królewską.

Tak samo Krassowski teraz pozyskany i przekonany bronił Henryka.

Z twarzy Francuzów czytać można było co kto chciał. Jedni z nich chodzili posępni jak noc, co zdawało się dowodzić, że nie spodziewają się rychło zobaczyć Paryża, drudzy biegali, śpiesząc się, niecierpliwą, przygotowywać zdając do podróży. Lecz, niektórzy z nich mogli bez króla być wysłani, i w istocie wielu z nich za pozwoleniem, a kilku podobno bez wiadomości, samowolnie się wymknęli.

U Sederyna teraz pełno ciągle było, a między Starą Mynicą i Wawelem jakby prąd płynął nieustający.

Sam tylko gospodarz, zdaje się naumyślnie, nastęczał się we wrotach oczom ciekawym, ażeby dowieść, iż nic nie robił i tak bardzo zajęty nie był.

W ciągu dnia Villequier i Souvray kilka razy przyjeżdżali od niego.

Francuzom pomimo to, zdawało się, że doskonale przygotowania były zatajone i nikt się niczego nie domyślał.

U królowej przez całą środę oczekiwano lub odwiedzin króla, albo wiadomości od niego. Koniecki jednak tłómaczył go, iż tak był z panami senatorami, z Francuzami odjeżdżającymi do Paryża, zajęty pisaniem listów, naradami, odprawą, że ani chwili wolnej nie miał.

Późnym wieczorem, gdy się już panie rozchodzić miały, a Annę krajczyna odprowadzić na spoczynek, oznajmiono Tälwosza.

Czekał on na królowę, błady i smutny jak zawsze. Wysła sama do niego.

— Co mi tam przynosisz? — rzekła zbliżając się — pewnie ani dobrego nic, a wątpię, by co nowego. Na zamku tu dziś sądny dzień.

O! i na mieście nielepiej — odparł Litwin — chyba gorzej, bo tu niktby się tego nie ważył mówić, co w Rynku głośno krzyczą.

Królewna zbliżyła się z ciekawością, Talwosz głos zniżył.

— Niema wątpienia — rzekł — że król rychło nas porzuci.

— A! baśnie to są — przerwała Anna. — Był u mnie Krassowski, król się z tego śmieje i ani myśli śpieszyć.

— Wszystko to na osłepienie nasze się mówi i czyni — odezwał się Talwosz spokojnie. — Wolno W. Król. Mości wierzyć mi albo nie, ale wiem o tem najpewniej, że Sederyn królowi i jego towarzyszom konie gotuje, i że, jeżeli nie dziś to jutro, nocą się wymknie.

Oburzyła się mocno królewna Anna.

— Mój Talwoszu — zawołała — jużciż go takim oszustem i kłamcą nie godzi się czynić bez dowodu. Tego się on nie dopuści! to nie może być!

— Z pewnością się to stanie — rzekł Talwosz — ja wiem o tem najlepiej, a jedynym sposobem, aby temu zapobiedz, królowi sromu a nam też oszczędzić boleści i wstydu, jest zawczasu dać znać panom senatorom. Ja za małym jestem człowiekiem, abym się ważył na to, lecz nie chcę mieć na sumieniu, iż wiedząc, choć W. Królewskiej Mości o tem nie oznajmiłem.

Król uciecze...

Powtórnie zzymnęła się Anna.

— Nie mów mi takich rzeczy — odezwała się do Talwosza. — Zdawna to uważałam, że serca do niego nie masz, więc łatwo wierzysz złemu. Ludzie plotą...

Litwin się uśmiechnął.

— A gdy się sprawdzi? — spytał.

Anna stała zamyślona czas jakiś.

— Gdyby się to sprawdziło, zaprawdę byłoby dla nas nieszczęściem wielkiem, lecz Bóg wie co czyni, Jemu ufajmy.

Ja już nic słuchać nie chcę — dodała ręką mu dając znak pożegnania.

— Zdrów bądź, mój Talwosz.

Skłonił się Litwin i odszedł.

Pomimo tego zgodzenia się z wolą Bożą, gdy królewna wróciła do krajczynej, wypieczone na jej twarzy rumieńce i oczy błyszczące, jakby przestachem i niepokojem, zdradzały, że dusza silnie poruszona została.

Nie dowiedziała się od niej nic krajczyzna, gdyż uklękła zaraz na modlitwę.

We czwartek spokojniej było na zamku, po odjeździe kilku Francuzów, a żaden poseł nowy nie przybył.

Król przestrzeżony przez cały dzień ten udawał bezczynnego i obojętnego, ruch około niego ustał, Francuzi siedzieli spokojnie, niektórzy z nich spali na zapas może, aby później bezsenność lepiej mogli wytrzymać.

Na mieście pomimo to, raz rzucona wieść że król uciekać chce, uporczywie się utrzymywała.

Około domu Sederyna krążyli ciekawi, na zamek zaglądali inni, szukano pozorów, aby się tu dostać, podsłuchać i podpatrzeć coś.

Larchant kapitan straży o ile mógł i umiał nie dopuszczał tu gawiedzi.

Przez cały dzień ten Tęczyński prawie nie odstępował króla. Trwożył się jakoś, przeczuwał czy go zaniepokojono, lecz okazywał się tak ciągle czujnym, niedowierzającym, że król pod wieczór zaczął mu czynić wymówki.

— Mój hrabio — rzekł do niego — nieufność względem mnie, innym być może przebaczoną, ale nie wam. Dałem wam tyle dowodów życzliwości mojej, iż mi trochę wierzyć powinniście. Zkąd ten niepokój? posądzacie mnie.

— N. Panie — zawołał Tęczyński — ja mam w was nieograniczoną ufność, słowo wasze dla mnie święte... lecz mimowoli ulegam temu co mnie otacza. W mieście niewysłowiona panuje trwoga, senatorowie jej ulegli. Ślą do mnie, dowiadują się, niepokoją.

Król, który śmiechem — bo mu się łatwo zdobyć było na niego — zbywał najczęściej wszystko, roześmiał się głośno.

— Co za dziwactwo! — zawołał.

Ale wnet rozmowa się zwróciła dziwnie.

Tęczyński niedawno przedtem darował był pięknego konia królowi.

— Bardzo żałuję, że go jeszcze nie mógł spróbować — rzekł Henryk — ale w tych dniach nie miałem ani godziny swobodnej. Wytrzymał on jest?

— Jak wszystkie nasze i wschodnie — zawołał Tęczyński — nie wymagają one zbyt-
nich starań, a często niemal samą wodą żyć umieją.

Nasi żołnierze zmuszeni w stepach wyschłych ścigać Tatarów, zimą czynić wycieczki, gdy strzechami domostw konie żywić potrzeba, muszą mieć też pod sobą szkapy tak wytrzymałe jak oni.

Zawczasu król ziewać począł, skarżył się na znużenie, i Tęczyński go do sypialni odprowadził. Tu już służba czekała na niego. Henryk położył się do łóżka. Podkomorzy tak był jeszcze niespokojny i strwożony, że dnia tego nie odjechał do domu i kazał sobie ładającą pościel rzucić w zamku na dole.

Do późnej nocy zasnąć nie mógł, zrywał się potem ze snu razy kilka i do dnia był na nogach.

Lecz cała ta trwoga okazała się próżną. Król wstał o zwykłej godzinie — nic nie zwiastowało, aby podejrzenia były uzasadnione.

Tęczyński znacznie się uspokoił.

Inni panowie trwali i w podejrzeniach i w obawie.

Biskup Karnkowski jak świt przysłał na zamek do podkomorzego, domagając się wiadomości o królu.

Henryk wstał dnia tego z pogodniejszą twarzą, weselszy i widocznie usiłował zadać kłam rozsianym pogłoskom.

Villequier przyszedł rano zafrasowany.

— Wszystko przygotowane — rzekł do króla — ale pomimo naszych starań, abyśmy po sobie nie dali poznać że się gotujemy uciekać, ktoś nas zdradzić musiał. Sederyn powiada, że senatorowie na noc domagają się straży przy zamku po wszystkich furtach. Tęczyńskiemu pokoju nie dają, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystko.

Lękam się...

— Bądź co bądź — przerwał król niecierpliwie — co postanowiono trzeba spełnić. Dziś w nocy musimy uchodzić, jeden dzień dłużej, a wszystko się wyda.

Błąd popełniliśmy, iż tej nocy nie uszedłem. Idź, gotujcie się, to moje ostatnie słowo. Dziś.

I król słuchać już nie chciał swego ulubieńca, który odszedł zmieszany.

Po Villequier, Souvray przybył z tem samem doniesieniem i taką samą dostał odprawę.

Henryk zagryzał usta gniewny.

Pora obiadowa nadeszła, król jadł sam, paziowie mu posługiwali.

Zatopiony w myślach siedział niewiele mogąc wziąć do ust, gdy usłyszał chrząkanie od progu.

We drzwiach stał w fartuchu białym, z twarzą niewiele od niego różniącą się barwą kuchmistrz, którego król odziedziczył po Jagiellonach, pan Franciszek Allemani.

Zjawienie się niepowołanego przed oblicze królewskie mogło zdziwić zaprawdę. Musiał bowiem wtargnąć przebojem mimo służby.

Krół podniósł ciekawe oczy ku niemu. Sądził że przychodzi z jaką skargą na Francuzów, bo te się często trafiały.

— Co ty tu robisz? — zapytał król marszcząc się nieco. — Chcesz bym ci za obiad podziękował, którego nie jadłem.

Allemani dziwną twarz ułożył, bojaźliwie się oglądając dookoła.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się przystępując bliżej. — Najjaśniejszy panie, proszę o przebaczenie, sądzę że obowiązkiem moim było przestrzedz.

— O czym?

— Nie mówię o tem że na mieście, ale w kuchni i po zamku wszyscy rozgadują, że W. Król. Mość masz dziś nocą ująć z Krakowa!

Zzymnął się król z początku i rzucił gniewnie, ale natychmiast przyszedł do siebie, spojrział ostro na kuchmistrza i śmiać się zaczął.

— Dziękuję ci za przestrożę — odparł obojętność udając. — Tymczasem jednak proszę, abyś obiad na jutro przygotował jak zwykle.

Allemani, uspokojony czy nie, miał odchodzić, gdy, choć to nie jego była godzina, wpadł Tęczyński.

— Najjaśniejszy panie — zawołał od progu — w mieście popłoch i żal okrutny. Wszyscy twierdzą, że chcesz nas porzucić i odjechać potajemnie.

Trwoga niezmierna.

Król wstał od stołu pośpyny i z wyrzutem się zbliżył do podkomorzego.

— Mój hrabio — odezwał się poważnie — ludzie rozsądni jak wy nie mogą temu dawać wiary. Wiecie co rada senatorów postanowiła. Co się tyczy głupiego tłumu gawiedzi, która nie wie co plecie, dajcie jej pokój. Nie dbam o plotki, a idzie mi o dobre imię.

Tęczyński zdawał się uspokojonym i podziękował królowi.

— Bądź co bądź — rzekł — ponieważ pogłoski się szerzą a umysły burzą, muszę iść upewnić i zabezpieczyć lękliwych.

— Idź, mój hrabio — rzekł król — powiedz żeś się widział ze mną i co słyszałeś odemnie.

Po wyjściu hrabiego nadszedł Villequier i Souvray, oba dosyć niespokojni, potwierdzając to co mówił hrabia.

W chwilę potem przyłączył się do nich Larchant z oznajmieniem, że około wrót i bram stawiano wszędzie strażę.

Król spojrział na niego.

— Niemniej — rzekł stanowczo — com postanowił, spełnić się musi.

Larchant skłonił głowę w milczeniu.

— Będziemy szukać środków — rzekł i wyszedł.

Nadchodził wieczór. Król niespokojny przebiegał komnaty, to jednego, to drugiego ze swych dworzan przywołując i wyprawiając z cichymi rozkazami.

Zmierchało gdy znowu powrócił Tęczyński, udając zupełnie uspokojonego, lecz nie mogąc zaprzeczyć się tego, iż drudzy senatorowie i miasto trwało w obawie.

— Ażeby raz was i wszystkich upewnić, że nie myślę wcale uchodzić — odezwał się król ziewając — zdaje mi się że najlepiej uczynię, gdy przy was pójdę do łóżka. Możecie pozostać na straży dopóki nie zasną, a spodziewam się wprędce zasnąć, bo jestem tem wszystkim znudzony i zmęczony.

Wkrótce potem wniesiono światło. Henryk kazał łóżko przygotować i w sypialni służbę zwykłą paziów postawić. Tymczasem spokojnie dość rozprawiał ze swym podkomorzym. Godzina do snu była zawczesna jeszcze, gdy na znak króla otworzono drzwi sypialni.

— Chodź ze mną — odezwał się do Tęczyńskiego.

U królewskiego łoża, którego firanki były rozsunięte, stali paziowie, którzy w nocy czuwać tu mieli, wedle zwyczaju. Król z gorączkową niecierpliwością, podzartowując sobie z bojaźni senatorów i Tęczyńskiego, zaczął się rozbierać i rzucił na łożo.

— Siadaj przy mnie — rzekł do hrabiego.

Mówili jeszcze chwilę o rzeczach obojętnych. Wtem wśród rozmowy, dosyć już ostygając, ujrzał Tęczyński, że król drzemać zaczął.

Odegrywał komedię z wielką sztuką. Przebąkiwał coś niewyraźnie, słowa mu zamierały na ustach; powieki kleiły się i podnosiły, nareście opadły, usta otworzyły jakby mimowolnie, lekkie chrapanie słyszeć się dało.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, król spał.

Zupełnie już uwiedziony i spokojny podkomorzy podniósł się cicho, jak najmniej czyniąc szelestu, zwolna zasunął firanki, kazał w zwykłym miejscu ustawić światło, dwóch paziów posadził na straży, a sam na palcach wymknął się z sypialni, z zamku i udał do miasta.

Na zamku najgłębsze panowało milczenie, światła pogasły; służba zabierała się do snu.

Jeden pan Franciszek Allemani, który odprawiony szyderstwem przez króla odszedł nie zupełnie przekonany, a z natury był podejrzliwym, nie odszedł na spoczynek. Chodziło mu to po głowie, co w ciągu dnia widział i słyszał.

Uderzyło go, że Villequier, Souvray, Larchant, Miron i niejaki du Halle prosili wcześniej o wieczerzę, kazali ją sobie podać osobno, jedli i pili ciągle coś szepcząc i naradzając się, a natychmiast po skończeniu jej w różne strony rozchodząc się zaczęli z pośpiechem.

Ciekawy Allemani podglądał i niepokoił się wielce.

— Coś się święci — powtarzał w duchu — temu Francuzikowi dowierzać nie można. Wszyscy oni, począwszy od niego, kłamią bardzo zręcznie.

Coś się gotuje.

Poszedł obejrzeć się około wrót i bramy, wszędzie stały straże, ale dowiedział się razem ze Villequier, Miron i wszyscy, oprócz Souvraya, wysunęli się na miasto.

Allemaniemu zaręczał postawiony przez niego roztropny chłopak, że ci panowie nie musieli się w podróż wybierać, bo wyszli bez butów i bez ostróg.

— Jak gdyby butów i ostróg pod płaszczem nie można ukryć! — zamruczał Allemani, który ciągle jeszcze nie mógł się dać przekonać, że król uciekać nie myśli.

Jakieś przeczucie trzymało go na nogach.

Przypomniawszy sobie furtkę nie zbyt strzeżoną i mało znaczną, która na Kaźmierz wychodziła. Poszedł sprawdzić, ale tu nie znalazł straży. Drzwi kute zaparte były drągiem i mocnym zamkiem obwarowane.

Wiedział że u burgrabiego były klucze. Świeciło jeszcze w oknie u niego. Allemani wszedł z pozdrowieniem. Nie chciał się zdradzić ze swem szpiegostwem, a pragnął czegoś dowiedzieć.

Burgrabia pacierze odmawiał, stojąc już w jednej koszuli.

Pan Franciszek go pozdrowił, byli ze sobą bardzo przyjaźnie.

— Gdybyście byli łaskawi klucza mi dać od furtki na Kaźmierz, mam sprawę do miasta — rzekł kłaniając się kuchmistrz.

Burgrabia przeżegnał się właśnie, kończąc pacierze.

— Ale ba! gdybym miał klucz, dałbym go wam chętnie — odparł — lichy nadało, że mi ten rozpustnik Suwra, czy jak się on tam zowie, który przy królu jest, tylko co go wyprosił. Powiada, że go jakaś mieszczka na wieczerzę w cztery oczy zaprosiła! O! ci Francuzi!

Allemaniemu ciarki poszły po grzbiecie.

— Masz tobie! — zawołał — Suwra! najpewniej dla króla.

Burgrabia jeszcze mu się uniewinniał i tłumaczył, gdy kuchmistrz już o furtkę niespokojny, żegnał go, wyszedł co prędzej, i pośpieszył stanąć na straży.

Drąg założony na furtce dowodził, że Souvray nie korzystał jeszcze z klucza. Allemani postanowił ukryć się w ciemnym kurytarzyku, z którego furtę i drogę do niej przez podwórze prowadzącą dobrze widać było.

Serce mu biło żywo.

Nie lubił króla, a przywiązał się do Polski i dworu. Uciekać ztąd wydawało mu się zbrodnią nieprzebaczoną.

W zamku panowała cisza, którą zaledwie dalekie powolne stąpanie straży przerywało. Od miasta dolatywały dźwięki bijących zegarów. Allemani godziny już pogubił.

Noc była bardzo ciemna.

Stał już tu dosyć długo i zaczynał się namyślać, czy nie nadaremnie się trwożył, gdy ciche stąpanie kilku osób usłyszał. Ktoś szedł od zamku do furty. Allemani ustawił się tak, aby mógł widzieć jak najlepiej. Był pewien, że Souvray nadchodził i że nie był sam.

Zdała jak trzy cienie ukazały się niewyraźne trzy postacie.

W jednej z nich łatwo było poznać barczystego i silnego Souvray, drugiej Allemani nie umiał nazwać, ale był pewien, że królem być nie mogła, trzecia...

Pomimo płaszcza, mimo niezwykłego okrycia głowy, wzrost, ruchy, wszystko tak nadzwyczaj podobne było do Henryka, że Allemani ręce załamał. Gdy, idąc bardzo ostrożnie, oglądając się dokoła, zbliżyli więcej, kuchmistrz nie tylko poznał już króla, ale stłumiony głos jego mógł rozeznąć. On to był! nie ulegało wątpliwości!

Trzy cienie z wielkimi ostrożnościami przysunęły się do furty, dwaj barczyści Francuzi odjęli drąg i bacznie, aby nie uczynić hałasu najmniejszego, złożyli go na ziemi.

Souvray dobył klucz z kieszeni, zwolna okręcił nim w zamku, drzwi się otworzyły. Król pierwszy lekko i pośpiesznie próg przeskoczył. Allemani słyszał zamykającą się furtę, chodzący w zamku klucz. Wszystko było skończone.

Przez chwilę Allemani tak zburzony był, że chciał krzyknąć i rzucić się na uchodzących, co niezawodnieby był życiem przypłacić musiał, lecz na myśl mu też przyszło, iż niekoniecznie wyjście z zamku nocne mogło oznaczać ucieczkę.

Wiedzieli wszyscy, że król miał kochanki w mieście, że nie jeden raz się do nich wymykał. Zrobić alarm nadaremny, króla sobie narazić, było nierozumnem.

Co teraz miał począć?

Pot kroplami spadał mu z czoła.

Namyślił się.

Miał na sobie suknie jeszcze, jak stał zwrócił się nazad do burgrabiego, który już do snu się zabierał.

— A wy tu jeszcze, Signor Allemani? — zamruczał stary dosyć kwaśno.

— Jak widzicie, powracam do was — odparł kuchmistrz. — Bądź co bądź, potrzebuję na miasto, otwórzcie mi którąkolwiek furtę, dajcie klucz jaki chcecie. Sprawa pilna, służba królewska.

Burgrabia na stole wśród mnóstwa rozrzuconych kluczyków począł szukać pośpiesznie i naostatek podał Allemaniemu ogromny klucz, który mu inną furtę boczną miał otworzyć.

— Ale na miłość Bożą — dodał odprowadzając go do progu — zamykajcie za sobą i nie wpuszczajcie ani wypuszczajcie nikogo.

Zaledwie coś odpowiedział, kuchmistrz śpiesznym krokiem podążył ku furcie wskazanej. Otworzył ją z łatwością, lecz gdy próg przestąpił, dwóch ludzi wyskoczyło z obu stron z za przymurków i zaparło mu drogę.

Jeden z nich miał nawet latarkę przy sobie, i ogromną halabardę w ręku.

— A wy tu co robicie? — zapytał kuchmistrz.

— Postawiono nas na straży!

— Ale mnie wyjść nie możecie wzbronić — zawołał kuchmistrz — idę w pilnej potrzebie.

Ludzie znali go, bo należeli do służby zamkowej, nie odpowiedzieli nic.

— Szkoda, że nie od furty Kazimirskiej was postawili — mruknął Allemani — tambyście się byli może na co przydali.

Spuściwszy się szybko do miasta, dopiero na drodze pomiarkował niespokojny kuchmistrz, iż nie wiedział, gdzie miał Tęczyńskiego szukać. Do domu jego na Podwalu spory był kawał drogi na stare nogi. Nie miał jednak innego sposobu dostania się tam, jak pieszo i dosyć powoli.

U podkomorzego spało wszystko, ledwie się mógł dostukać. Narobił jednak takiego hałasu, że Tęczyński posłyszawszy go, w koszuli skoczył do okna wołając.

— Kto tam? czego?

Położył się do snu niespokojny i zaledwie drzemać zaczął gorączkowo, gdy Allemani go zbudził. Przeczuwał już coś złego.

— Allemani, do miłości waszej! Sprawa pilna, wstawajcie!

Bez namysłu podkomorzy przerwał mu ogromnym krzykiem.

— Król!

— Król uciekł! — odparł kuchmistrz.

Nie odpowiadając mu Tęczyński zbiegł na dół, otwarto drzwi, wszystka służba się zerwała.

— Koni! koni! — wołał podkomorzy, który szalał niemal.

Wybiegł w koszuli do Włocha.

— Możeż to być? — zawołał z rozpaczą.

— Widziałem na moje oczy króla wychodzącego furtą na Kaźmierz ze Souvrayem i drugim Francuzem — odparł Allemani.

— Ale onże był?

— On sam.

Tęczyński ubierał się już rwiąc na sobie odzienie, dawał rozkazy poplątane, bezprzytomny, ludziom swoim dosiąść polecił koni i iść za sobą zbrojnym. Sam pochwycił oręż, ale jeszcze mu się wierzyć okropnej wieści nie chciało.

Dla Allemaniego zaprzężono wózek, aby go odwieźć do zamku, bo stary ledwie dyszał.

Czwałem biegł na Wawel podkomorzy. Tu wszystko spało w najuroczystszej ciszy i spokoju.

Tęczyński jak oszalały dopadł do ganku, pobudził służbę, kazał podać światło, i z niejaką obawą zbliżył się do drzwi sypialni króla. Zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Król mógł spać. Allemaniemu się przywidzieć mogło, budzić go postrachem po tak uroczystem poręczeniu nie śmiał Tęczyński. Wierzył królewskiemu słowu.

Zamiast więc dobijać się do sypialni, zwrócił się do znajomego sobie mieszkania Villequiera.

Zastał je puste. Nikogo!... a co więcej, wielu rzeczy brakło.

Villequier, myślał jeszcze, mógł się wymknąć na miasto. Zwrócił się do Souvraya. Nie było go także. Coraz niespokojniejszy biegł już do Mirona, nie zastał i jego.

Drzwi od mieszkania kapitana Larchant stały otworem, zajrzał tu i jego nie było na zamku.

Tęczyński przekonany, iż Allemani mówił prawdę, nie potrzebował już nic oszczędzać, nie oglądać się na nikogo. Zrobił alarm przywołując służbę a sam pobiegł do sypialni. Drzwi jej zamknięte były wewnątrz. Napróżno silił się je wyłamać.

Czasu nie chcąc tracić, okno w korytarz wychodzące wybić kazał i wpadł nareście do komnaty królewskiej.

Tu zastał wszystko tak jak odszedł, dwóch bladych paziów siedziało na swych miejscach u łoża na straży, paliły się świece.

Rozsunął firanki. Łóżko było puste.

Paziowie rzucili się mu do nóg, bo był tak wściekłym, iż się o życie swoje ułękli. Tłómaczyli się rozkazem króla. Zakazano im otwierać, aż pókiby dzień nie nadszedł.

W jednej chwili cały zamek roił się rozbudzonymi ludźmi.

Co pozostało w nim Francuzów, z obawy, aby w pierwszej chwili szał nie napadnięto na nich, pozabarykadowywali się w swoich mieszkaniach.

Tłum dworzan i czeladzi polskiej napełniał wschody, sienie, pokoje, dziedzińce.

Tęczyński bezsilny, zrozpaczony upadł na siedzenie, ledwie mając tyle przytomności, aby natychmiast rozesać gońców do Zborowskich, marszałka i wojewody, do litewskiego marszałka, do biskupa kujawskiego, do wszystkich w mieście się znajdujących.

Noc była ciemna, konno poroższyłani ludzie pochwyтали pochodnie i niosąc je zapalone puścili się na miasto.

Spotykanym ludziom, zapytującym z okien przestraszonym mieszkańcom krzyczeli.

— Król uszedł! król uciekł!

Co się naówczas stało w mieście, jaki alarm nagle poruszył je niewysłowioną trwogą i gniewem, tego opisać niepodobna. Wszystko się przyczyniało do powiększenia wrażenia, jakie ta wiadomość wyrzucić miała. Usposobienie wrogie mieszczan, obawy od dni kilku już szerzące się, godzina nocna, wrzawa, która dochodziła z zamku, przelatujące po ulicach złowrogie pochodnie, wszystko mnożyło zamieszanie.

Mnóstwo ludzi, nie wiedząc ani jak, ani dokąd króla gonić mają, zrywało się iść w pogoń na wszystkie strony, chwycić zbiega i jako więźnia i wiarołomcę nazad przyprowadzić.

W kilku kościołach domyślając się pożaru, nie wiedząc przyczyny alarmu i wrzawy, uderzono w dzwony.

Z panów senatorów, kto mógł tylko na pół odziany przybywał na zamek. Nie chciano wierzyć wiadomości... rozpacz tych, którzy zamek zastali pustym, była okropna.

Wszyscy ci, którzy dotąd króla bronili i opierali się przedsięwzięciu środków ostrożności, pokutowali teraz za zbytne swe zaufanie.

Na biskupa kujawskiego, na Tęczyńskiego wpadli inni, wyrzucając im opieszałość, a nawet zdradę.

Tęczyński nie umiał się tłumaczyć, nie chciał się uniewinniać — ludzie czekali w podwórku, natychmiast puścił się w pogoń za królem.

Łatwo się było domyśleć, że Henryk jak najkrótszą drogę do granicy cesarstwa wybierze.

Chciano przytrzymać Pibraka, którego nie bez przyczyny za współwinowajcę miano, lecz Guy już był ujechał także. Z Francuzów pozostali tylko ci, którzy pod rozkazami byli, a nigdy żadnych nie wydawali. Wszyscy króla ulubieńcy znikli.

Tęczyński z zamku wprost puścił się na miasto i pędził już ku przedmieściom, gdy ujrzał postać jakąś, jak mu się zdawało niewieścią, z krzykiem zastępującą drogę. Wybiegła ona z kamienicy i zuchwale rzuciła się na konia jego, tak że podkomorzy, choć wrzący gniewem i zniecierpliwiony, zatrzymać się musiał.

W istocie stała przed nim kobieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, w płaszczu białym, tak jak się z łóżka zerwała.

— Król! król! gdzie jest król? Co się stało z królem? — krzyczała chwytając Tęczyńskiego i trzymając go zrozpaczona.

— Król uciekł! — odparł Tęczyński — puszczaj mnie! puszczaj!

— Panie! na Boga! — przeraźliwym głosem poczęła kobieta — weź mnie z sobą... Siadam na konia! daj mi konia! Ja za nim muszę! ja z nim muszę!

Odepchnął ją ze wzgardą i gniewem podkomorzy.

— Precz! precz! stratuję cię koniem. Ustąp!

W chwili gdy kobieta padła na ziemię, sobą mu zapierając drogę, koń Tęczyńskiego skoczył... krzyk tylko dał się słyszeć. Tatarowie, których miał z sobą, popędzili z nim razem. Kobieta zemdlna pozostała na ulicy.

Królowna Anna, która i tego dnia jeszcze napróżno się spodziewała odwiedzin króla, odmówiwszy modlitwy z krajczyzną, po smutnej z nią rozmowie, udała się na spoczynek.

Niepokój, który od dnia odebranej wiadomości o śmierci króla Francji opanował umysły, dał się też czuć Annie. Nadzieje jej powoli rozwiewały się, pełzły, niknęły.

Napróżno przyjaciółki starały się ją w nich utrzymać; nie sprzeciwiała się, ale nie słuchała ich już prawie.

W pierwszym śnie królowna właśnie widziała przed sobą siostrę Katarzynę, wiodącą za rękę synaczka Zygmunta, który się jej uśmiechał, gdy wrzawa jakaś na zamku ją zbudziła.

W ciemnych oknach przeleciały jakieś światła pasy, jakby w podwórcach z ogniem ludzie biegali.

Żalińska twardym snem spała obok w drugiej komnacie. Anna zbudzona nagle, usłyszawszy wrzawę, ulękła się pożaru. Pamiętała, że zamek kilkakrotnie palił się za ojca.

Krzyknęła przestraszona.

Z dwu stron wbiegły ze świecami ochmistrzyni i krajczyzna, która jeszcze ubrana była, bo ją alarm zastał nad listem od księżnej brunświckiej. Miała już czas wybiedz na kurytarz i dowiedzieć się o pogłosce, iż król uszedł.

Zdawało się to jednak krajczyźnie takim niepodobieństwem, tak niemożliwą i straszną rzeczą, że nie śmiała powtórzyć Annie o czem ją uwiadomiono.

Poczęła uspokajać tylko.

— Królowo moja — rzekła — już od dwóch dni plotą ludzie niechętni, nieprzyjaciele królewscy, że miał zamiar uciekać. Wiadomo, że mu się to ani śniło, ale zrobiono w nocy trwogę, wpadli senatorowie...

Wszystko to się wyjaśni i za chwilę uspokoi.

Krajczyzna w istocie uwierzyć prawdzie nie chciała.

Anna z różańcem w ręku, drżąc zwróciła się do Żalińskiej.

— Idź, proszę cię, niech wiem prawdę. Wśród nocy, w pierwospy żeby się ważono na królewskim zamku na taką trwogę uderzyć! Niesłychana rzecz, powadze majestatu uwłaczająca.

Żalińska także do siebie przyjść nie mogła.

Pośpieszyła się przyodziać.

Krajczyzna nie odstępowała już Anny, którą niepokój przejmował coraz większy. Chciała wstawać, ale Łaska jej nie dozwalała. Upierała się niewierzyć.

Długimi wydały się te minut kilkanaście, które na powrót Żalińskiej oczekiwać musiano. Zeszła ona aż na dół i wpadła tam w taką ciźbę i zgielk, iż się z początku nic dopytać nie mogła.

Znalazł się szczęściem nadbiegający już Koniecki, który był wszystkiego świadomy.

Nie było wątpliwości. Ochmistrz widział sypialnię pustą, słyszał co opowiadano o ucieczce. Allemani sam mu potwierdził co opowiadano.

Szli więc nazad do królowej, która się ubrała naprędce i otoczona całym dworem stała jak słup, nie mogąc jeszcze zebrać myśli.

Kobiety jedne płakały, drugie starały się ją pocieszać, ale jednych ani drugich nie słyszała.

Krajobraz głośniejszy nad inne powtarzała.

— Ale cóż znowu tak nadzwyczajnego! Nie chcieli króla wypuścić, pojechał i powrócił. Korony tak, której poprzysiągł, nie porzuci i nie zrzecze się.

Patrzyła w oczy Annie, która nie spojrzała na nią.

Tymczasem z dołu to ten, to ów przybiegał z wiadomością o senatorach, którzy się zbierali, o pogoni, która miała wyjść za królem.

Wiedzano już, że Tęczyński się natychmiast wybierał pędzić za uciekającym.

Nikt już tej nocy nie pomyślał do łóżka powracać, i rozedniało rychło, a dzień znalazł miasto w stanie takiego zburzenia, jak gdyby nieprzyjaciół mu zagrażał.

Gawiedź coraz się okrutniej rozpalala przeciw królowi, przeciwko Francuzom.

Pierwszym skutkiem tego poruszenia było, że kupa czeladzi rzemieślniczej, prowadzona, jak się zdawało, przez kilku zamkowych dworaków, napadła na dom Sederyna, spodziewając się tam znaleźć Francuzów. Ale wrota znaleziono zamknięte i od dziedzińca mocno obwarowane, a okna żelaznymi okiennicami z wewnątrz pozabezpieczone.

Nie pomogło to. Zaczęto z drągami żelaznymi zbijać się, aby wrota podważyć i choćby mur rozbijać.

W końcu, jak się łatwo było spodziewać, brama nie wytrzymała i pospólstwo się wdarło do Starej Mynicy.

Francuzi jacy tu byli czas mieli tyłami zbiedz i schronić się na zamek, a Sederyn, także nie czując się bezpiecznym, zniknął.

Gawiedź rozsypała się po izbach i śpichrzach plądrując, niszcząc, łamiąc i gruchocząc co napadła.

Z ludzi, oprócz miejscowej służby, nie znaleźli nikogo, na kimby mogli zemstę wywierać.

Mienia też Francuzów pono tu już nie było, i Sederynowe zapasy odpokutowały za jego miłość dla Francji.

Gdziekolwiek oprócz tego w mieście o Francuzach zasłyszano, gdzie się ich domyślano, wszędzie na domy napadano. Żadna siła ludzka tego zdziżalego od żalu i gniewu pospólstwa wstrzymać nie mogła.

Dość powiedzieć, że konno jadący co prędzej na zamek Karnkowski referendarz ledwie z życiem uszedł, bo go znając przyjacielem Pibraka, lud kamieniami obrzucił i konia raniono.

Biskup nawet w zamkniętej kolebce nie mógł się pokazać na miasto.

Oblegały tłumy domy Zborowskich i innych osób znanych ze stosunków z Francuzami.

Ci wszyscy niemal, przeczuwając co ich czeka, wczas jedni na zamek, drudzy do Lipomana posła weneckiego, do Dudycza i innych obcych musieli się schronić, szukając u nich opieki.

Niemożna było przewidzieć, aby się to rychło ukończyło, bo jak zawsze, gdy się lud zburzy, znaleźli się podżegacze, którzy go jątrzyli i podbudzali do gwałtów.

Długo tajona niechęć do Francuzów teraz się swobodnie rozpasala.

Po gromadach skupionych w Rynku słyhać było mowców wykrzykujących, którzy na próżne beczki albo na przekupek stołki wdrapawszy się, na króla i senatorów wymyślali.

Naprzeciwko Panny Maryi stał jeden, który gardło zrywał dowodząc, że z tego *Króla Nocy* nic nigdy dobrego być nie mogło.

— Ślepe Mazury go *po nocy* królem okrzyknęły — mówił — *po nocy* go koronowano i *nocą* też uciekł.

Nietoperz to a nie król.

Piasta nam potrzeba było a nie takiego przybłądy z za morza, nieznanym belkozącego językiem.

Czemu go zaraz nie ożenili panowie senatorowie? którzy się dali pieniędzmi przekupić i krew Jagiellońską mu sprzedali. Gdyby się był z królową ożenił, byłaby go ona umiała utrzymać. Ją trzeba było obrąć królową, a chciałby mieć koronę, niechby ją był wziął.

Dalej ku ratuszowi gorzej było...

Tam na stolnicy, którą na fasach ustawiono, czeladź rzeźnicza zrobiła sobie teatr.

Występował na niem z cienkimi jak patyki nóżkami, w śmiesznym stroju z jakichś oberwanych sukna kawałków niby król, Henryka przedrzeźniająca karykatura.

Chłopiec udający go wywijał się, kłaniał, brał w boki, tańczył, a gawiedz śmiała się do rozpuku.

Ta lalka tak się podobała, że do niej zaraz kilka innych się przyłączyło. Drugi udawał Psubrata (Pibraka), inny Souvraya. Znalazł się naostatek grający rolę francuzkiej dziewczyny, bez której się naturalnie obejść nie mogło.

Ale to było tylko zabawką, gorzej na bocznych ulicach się działo, gdzie do domostw szturmowano, domyślając się w nich schronienia Francuzów. Nie schwytano ludzi, bo ci przestraszeni życie ratowali ucieczką do zamku, po klasztorach i dworach posłów, ale mienia już jak do wyjazdu poukładanego, rozchwymano dużo.

Wśród tego rozruchu, który ani panowie, ani burmistrz i starszyzna nie mogli uspokoić, zmuszając tłumy aby się rozeszły, znalazł się Talwosz zbudzony zawczasu.

Równy z innymi miał do Francuzów i do króla niechęć wielką, ucieczka go napęliła gniewem, ale nie widział do czegooby mogło doprowadzić wicherzenie i krzyki uliczne.

Próbował więc przemawiając do najbardziej rozjątrzonych nakłonić ich do uspokojenia. Nikt nie słuchał.

Błądził po ulicach przypatrując się temu co się gdzie działo, razem z kilku dawnymi towarzyszami i znajomymi do służby królewskiej należącymi — gdy Tęczyński wyleciał jak piorun z zamku ze swymi Tatarami i służbą. Stanęli aby się dowiedzieć dokąd i po co tak śpieszył, gdy o kilkanaście kroków od Talwosza kobieta owa z krzykiem się rzuciła chcąc podkomorzego zatrzymać.

Usłyszawszy głos jej Talwosz zadrżał. Począł zaraz rozpychając tłum biedz ku temu miejscu, w którym Tęczyński się zatrzymał, gdy padła na ziemię i cały oddział podążający za panem przeleciał za nim, czy tratując leżącą na ziemi, czy wymijając ją, tego nie mógł dostrzedz Litwin.

Litością zdjęty, gdy już w ulicy nie było przy leżącej kobiecie nikogo, nadbiegł, chcąc ją ratować.

Chociaż noc była bardzo ciemna, pochyliwszy się nad zemdloną, Talwosz o mało nie krzyknął, poznając w niej Dosię Zagłobiankę.

Leżała biała, martwa, tak jak bez życia... ale krwi i ran nie mógł dostrzedz.

Drzwi domu, z którego wybiegła zastępując drogę Tęczyńskiemu, stały otworem jeszcze, gdy inne wszystkie były pozamykane, bo właściciele kamienic obawiali się wszyscy zburzonego pospólstwa.

Z pomocą dwóch towarzyszków, którzy nadeszli, Talwosz podniósł z ziemi niedającą znaków życia dziewczynę, i kazał szukać w otwartym domu jej mieszkania a światła.

Wybiegli też zaraz gospodarze z kagankiem i Zagłobiankę we trzech dźwigając zupełnie odrętwiałą i martwą, po wschodach zanieśli do izb, które na piąterku zajmowała.

Gospodyni napróżno oblewając ją wodą ocucić chciała z omdlenia. Zdawało się, że życie z ostatnim krzykiem rozpaczy z niej uciekło.

Talwosz jednak upierał się ratować i jednego z towarzyszków posłał po lekarza, a sam co tylko mógł wymyśleć próbował dla przywrócenia jej zmysłów.

Długo wszystkie te usiłowania były próżnemi, a wyprawiony po doktora tak długo nie wracał, iż drugiego przyjaciela za nim wysłać musiał Litwin, sam jeden z Dosią pozostając.

On i zrozpaczona a rozplakana stara gospodyni pracowali tak dobrze około zemdlącej, iż w końcu życie jej powracać zaczęło.

Konie leżącej wśród ulicy szczęściem nie zgnioty, czego się Talwosz obawiał, omdlenie było skutkiem wzruszenia jakiego doznała.

Zaledwie otworzywszy oczy i oprzytomniawszy, Zagłobianka gdy przypomniała sobie co ją tak przeraziło, zerwała się z krzykiem z łóżka i padła na nie bezsilna.

Talwosz począł ją, jak umiał pocieszać i uspokajać. Rozlała się cała we łzy i jęki.

Mówił jeszcze do niej, gdy się zerwała.

— Król? król? co się z królem stało? To nieprawda! Nie mógł ujsć!
 Załamała ręce.
 Litwin nie wiedział sam co miał odpowiadać.
 Przypadła do niego z rękami zaciśniętymi, błagając.
 — Król? powiedz mi co się z nim stało? Ci źli ludzie, ci nieprzyjaciele jego, oni gotowi...
 — Królowi się nic stać nie mogło — odparł Talwosz — bo uszedł z wieczora i już go ani Tęczyński, ani nikt nie dogoni.
 Dosia słuchała, patrząc osłupiałemi oczyma.
 — Król, król uszedł? — przerwała — możeż to być?
 — Cały zamek splądrowano, niema wątpliwości, nie znaleziono go nigdzie.
 Zagłobianka oczy wlepiła w ziemię. Łkanie ustawało, bo gwałt sobie zadawała. Wargi powtarzały szepcząc — Król... król uszedł...
 Ani słowa... ani znaku życia... Na zawsze.
 Dla Litwina, któremu serce się krajało, nie ulegało wątpliwości, iż ze wszystkich Francuzów król jeden ją tylko obchodził. Poskromił się, aby jej próżnych nie czynić wyrzutów.
 Po chwili wróciła ślaniając się na łóżko i twarz kryjąc w poduszki, płakać zaczęła.
 Ponieważ wysłani po lekarza nie powracali i mało się ich powrotu mógł Talwosz spodziewać, powierzwszy dziewczę gospodyni, zdawało mu się iż najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi.
 Po cichu wysunął się z izby i zszedł w ulicę znowu, myśląc się udać na zamek i zobaczyć co się u królowej działo.
 Zdawało mu się że Dosia raz pierwsze wrażenie zwycięższy powoli do siebie przyjdzie i uspokoić się potrafi.
 Przez Rynek i teraz jeszcze przebić się nie było łatwo, spokój w mieście nie powracał, kupy ludu krążyły po nim z krzykami, odgrażając się przeciwko Francuzom. Po drodze na zamek ciągle spotykał gromady takie rozjuszone, które kolebki senatorów zatrzymywały i żadnem słowem dobrem nie dawały się pohamować.
 We wrotach zamku musiano silną straż postawić, aby cisnących się tam nie dopuszczała.
 Hamowano ciżbę tem, iż królowna na zamku była i ją poszanować należało.
 Jedno to imię teraz cokolwiek mogło rozbroić. Ci co się do zamku dostać nie mogli, oblegali go zewnątrz, nie chcąc i nie dając się rozproszyć.
 Talwosz znajomy wszystkim, sam jeden się na zamek dostać potrafił.
 Na górze zastał królownę z dworem modlącą się. Koniecki uspokoił tem, że Anna wiadomość o ucieczce przyjęła nie okazując wielkiego żalu, a troszczyła się o to tylko, aby Francuzom krzywdy nie czyniono.
 Ochmistrz, nie zbyt bystrego umysłu człowiek, domyślał się z tego, iż królowna może zawczasu wtajemniczona, o ucieczce wiedziała.
 Litwin więc nie miał tu co robić i zszedł na dół, gdy Konrat, jeden z tych dwu, których posłał po lekarza dla Doroty, nadbiegł zdyszany i porwał go za rękę.
 — Doktora nie napytałem nigdzie — krzyknął do Talwosza — ale bodaj go już będzie potrzeba.
 Byłem tam, aby wam oznajmić iż żadnego nie znalazłem, a trafiłem na to, gdy ta twoja dziewczka, właśnie czyjaś szpadę porwawszy i utkwivszy ją przy ścianie, sama się nią przebiła.
 Leży krwią oblana i już nie wiem czy żywa.
 Ledwie dosłuchawszy Talwosz, wypadł szukając konia, sam nie wiedział komu go z rąk w podwórzu wychwyił i skoczywszy na siodło, czwałem popędził, aby przekonać się, czy jeszcze nieszczęśliwej ratować nie będzie można.
 Na górze zastał tłok ludzi i zawodzące kobiety, podłogę całą krwią zbroczoną, a Dorotę na pościeli i przy niej doktora, którego przypadkiem z ulicy ściągnięto.
 Pierś była pod żebrami głęboko przebita, rana straszna, upływ krwi ogromny, ale dziewczę żyło jeszcze, a lekarz, mimo oporu jej, bo ręce kobiety musiały trzymać tak się wyrywała, tamował już krew i zawiązywał ranę.

Talwosz w milczeniu stanął nad łóżem. Spojrzał pytająco na lekarza, który mu wątpliwym odpowiedział znakiem.

Ponieważ człowiek był młody i nieznany, a z ubioru w nim Niemca poznał Litwin, dobył co miał pieniędzy i wcisnął mu je zapewniając go, iż dobrze wynagrodzony zostanie, byle nie opuszczał nieszczęśliwej.

— Królowna Anna, której ona była służką — poszepnął doktorowi — pewnie się zajmie jej losem. Ja powracam na zamek, aby się postarać o to, wy tymczasem róbcie co można, aby jej ocalić życie.

Z pomocą gospodyni rozpędziwszy potem ciekawych, Talwosz powrócił do konia i pognął na zamek.

U królowej zastał płaczącego biskupa chełmskiego. Poczciwy staruszek, gdy mocniej wzruszonym był, zawsze musiał ulżyć sobie rzewnymi łzami.

Dał znak starymu słudze królowej, iż chciał mówić z nią; wyszła zaraz do niego.

— Znalazłem Zagłobiankę — rzekł żywo — przychodzę dla niej prosić o opiekę i miłosierdzie. Biedna dziewczyna dowiedziawszy się o ucieczce Francuzów, przebić się chciała... raniła się niebezpiecznie. Niema komu czuwać nad nią.

Spojrzał, królowna Anna złożone ręce trzymała przy ustach słuchając go.

— Gdzie ona jest?

— Nie można jej na zamek przenieść? Lękam się aby sama sobie zostawiona, życia nie próbowała znowu odebrać.

— Gdzie ona jest? — powtórzyła Anna.

Królowna powołała krajczynę.

— Róbcie co można, ocalić potrzeba biedactwo! — zawołała wskazując jej Talwosza.

Pani Łaska podzielała uczucia królowej i z gorącością wielką wzięła się do spełnienia jej rozkazów. Zaprzężono kolebkę, wybrała się zaraz z Litwinem do Dosi, ale przed nocą nie można było przez pełne tłumów ulice przewieźć jej na zamek.

Najmniejsza rzecz drażniła gawieź, a ranna kobieta, w którejby się ofiary Francuzów domyślano, mogła wywołać nową burzę.

Dopiero więc ciemną nocą, małemi uliczkami mogła krajczyna niepostrzeżona z chorą się dostać do zamku.

Doktor zaręczał, że życie jej ocalić może, jeśli nowym jakim porywem nie zaszkodzi sobie. Ale w komorze przy mieszkaniu królowej, w której Dorotę położono, Anna kazała straż pilną trzymać u łóża.

Po wyjeździe Tęczyńskiego długo żadnej pewnej wiadomości o królu nie było.

Co godzina prawie ktoś inną i sprzeczną przywoził. Niepewność ta trzymała miasto i panów senatorów w gorączce, której nic ukoić nie mogło.

Z najrozmaitszych źródeł przybiegały wieści, które zdawały się prawdziwymi, dopóki nowe a całe różne nie nadeszły.

Zrana opowiadano, iż Tęczyński zdołał króla pochwyć, uprosić czy zmusić do powrotu, że król był tak jak więźniem podkomorzego i z nim razem zbliżał się do Krakowa.

W kilka godzin potem najpewniejsze posły przybiegały z nowiną, iż król zbiegł, a Pi-braka tylko po drodze schwytano i odarto.

Francuzów też kilku, którzy się ze strachu na różne strony porozbiegali, w pierwszej chwili popłochu, poobdzieranych, pieszo przyprowadzano po jednemu do Krakowa, zbiedzonych, głodnych i wściekłych.

Uspodobienie mściwe względem Henryka i Francuzów ten wywołało naprzód skutek, iż wszystkich oczy zwróciły się na królową Annę.

Publicznie wyznawano błąd ten, iż ją jak Jadwigę nie wybrano królową, zobowiązując elekta aby ją poślubił.

Nie widziano teraz innego ratunku nad Infantką, w niej była wybawienia nadzieja.

Mówiono o tem głośno, tak głośno, iż ciągle na górę do Anny dochodziły te spóźnione żale, które ona smutnym, zrezygnowanym przyjmowała uśmiechem, chłodnym i obojętnym.

Nie miała już żadnych nadziei, nie chciała ich mieć, aby potem nie oplakiwać, a potwarzającej z rozrzewnieniem krajczynej te życzenia senatorów i szlachty odpowiadała potrząsając głową w milczeniu.

Myślała o siostrzeńcu Zygmuncie.

Dla siebie przestała marzyć o czemkolwiekbądź... dla krwi swej tylko tron utrzymać pragnęła.

Zygmus, Zygmus modlący się po polsku stał przed jej oczyma. Gotową była zrzec się wszystkiego dla niego.

Pomiędzy senatorami zdania i przewidywania były bardzo różne.

Jedni jeszcze się spodziewali porozumienia z Henrykiem i powrotu, drudzy natychmiast gotowi byli ogłosić tron opróżnionym i zwołać wybory nowe.

Niektórzy obawiali się, aby lekkomyślny Francuz roszczęcy sobie prawa do korony, chociaż sam ją porzucił tak haniebnie, nie chciał frymarzyć nią z cesarzem lub innym jakim księżęciem.

Wstrzymywano się jednak z wyrokowaniem o tem co czynić należało, dopóki Tęczyński nie powrócił.

Królowi Henrykowi po wymknięciu się jego furtą Kazimirską niebardzo się wiodło szczęśliwie, czemu się dziwić nie można, bo zuchwale i nie zbyt starannie obmyślana była ucieczka.

Villequier, Pibrak i inni Francuzi mający królowi towarzyszyć, przodem się przed nim wymknęli i mieli na niego czekać po drodze. Wychodząc miał z sobą tylko Souvraya, Larchanta, Mirona i du Hallea.

Zaden z nich, choć tu już przebywali od kilku miesięcy, nie znał tak dobrze miasta i okolicy, aby wśród bardzo ciemnej nocy, przy pośpiechu i obawie, pewnym był iż nie zbłądzi.

Król biegł niezmiernie żywo i nagił.

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy tuż za sobą usłyszeli przyśpieszonym biegiem idącego kogoś, który się zdawał w ślad iść za nimi. Henryk a z nim wszyscy dobyli szpady, gotowi się bronić; sądzili, że ich już Polacy gonią. Dosiadali właśnie koni. Wśród ciemności dopiero nadbiegającego już na nich poznali Francuza d'Ermenville, który, chociaż nie wybrany do orszaku króla, przypadł zaklinając i prosząc, aby go wziął z sobą.

Henryk właśnie dosiadać miał konia, który tak był gorący, kręcił się i spinał, iż po kilkakroć napróżno się chciał dostać do siodła.

— Nastraszyłeś nas — zawołał do nadchodzącego — siadaj na koń, a prędziej. Nie mamy czasu do stracenia.

Koń królewski tymczasem tak dokazywał, że Souvray musiał podać mu klacz świeżo podarowaną przez Tęczyńskiego!

Los tak chciał, aby na niej zbiegł Henryk i zdradził tego, który mu ją ofiarował.

Villequier, Pibrak i kilku innych, z przewodnikami, których miał dać Sederyn, oczekiwając przy figurze nad drogą, u zrujnowanej kapliczki, z obrazem matki Boskiej.

Ale ani Villequier, ani Pibrak, a co gorzej, przewodnicy też się nie znaleźli na miejscu.

Czekać? nie było podobieństwa, czas upływał, król pierwszy ofiarował się jechać na oślep w kierunku ku granicy, spodziewając się, że go albo napędzą, lub się gdzieś z nimi spotka.

Noc chmurna i ciemna z trudnością nawet wybitą drogę znaleźć dozwalała.

Kilkanaście zaledwie kroków ubiegłszy król i towarzysze jego ugrzęźli w błocie, z którego ledwie się wydobyć potrafili.

D'Ermenville pobiegł szukać gościńca i udało mu się go znaleźć. Puścili się czwałem, gnając konie bez miłosierdzia, a jazda ta szalona, w milczeniu, wśród ciemności, około dwóch godzin trwała.

Las stał czarny przed nimi, a w nim dróg krzyżowało się kilka. Niepewność którą obrać. Souvray najszerszej wybitą wskazał, ale ta prowadziła do porębu, z którego drzewo budulcowe wywożono. Nagle, obalonych kilkanaście ogromnych sosen, kłody, pnie i gałęzie nagromadzone zaparły dalszą drogę.

Król zmęczony, podrażniony, zeskoczył z konia. Souvray i Larchant pieszo także poczuli błędzić, starając się wyszukać nową jakąś ścieżkę.

Szczęściem natrafili na chałupkę węglarza; ale dosyć hałaśliwie i orężem pobrzękając gdy się do niej zbliżyli, strwożony biedaczysko skoczył na wyżki, skrył się na nich i drabinę wciągnął za sobą. Larchant aby się do niego dostać musiał szturmem brać chałupę.

Porwanego biedaka przyprowadzono przed króla, który mu obiecywał nagrodę znaczną, byle im dalszą pokazał drogę.

D'Ermenville wziął na konia węglarza, wyjechał naprzód... pędzono czwałem znowu. Zaczynało dnieć, gdy dzięki przewodnikowi dostali się do Zatora.

Wzruszenie, szybka jazda nocna, obawa pogoni nieustanna, niepewność co począć dalej, brak przewodników, zabłąkanie się Pibraka, króla Henryka, rozpieszczonego i nie nawykłego do takich wysiłków, tak znużyły i odjęły mu siły, że choć pośpiech był konieczny, zwątpili towarzyszący mu czy dalej wydoła.

Złamany jazdą konną, chociaż na pół omdlały, kazał sobie skronie natrzeć winem, napił się go trochę i musiał siadać aby pędzić znowu, bo każda chwila niebezpieczeństwa zwiększała.

Droga do Oświęcimia dniem i gościńcem większym, stosunkowo była już łatwiejszą.

Tu naostatek znaleźli się straceni Villequier, Pibrak, Caylus, Beauvail i Nangis, stanowiący resztę gromadki. Potrzebowali oni tu spocząć, gdyż przebyli także nocą przygód i utrapien wiele. Król nie zatrzymując się dla nich, z Souvrayem, Larchant i du Halle popędził dalej natychmiast.

Wszystkie te zwłoki tyle czasu zabrały, że chociaż król o trzy godziny wyprzedzał Tęczyńskiego, pogoń zbliżyła się i groziła. Słyszano ją już nadciągającą. Villequier i Pibrak ledwie mieli czas skoczyć na konie i ukryć się w pobliskim lesie; inni ruszyli doganiać króla, aby mu być pomocą.

Miron jadący przodem, krzyczał na całe gardło.

— Prędejj! prędejj!

Nie mogąc zdyszany nic więcej wymówić.

Souvray, który za królem jechał na ostatku, zatrzymał się posłyszawszy wołanie i począł pytać Mirona co się stało.

Prerażony doktor nie zatrzymując się, krzyknął.

— Cała Polska goni za królem... nadjeżdżają... pędzą... Villequier i Pibrak wzięci w niewolę.

Tymczasem król strwożony nie zatrzymując się, z Larchantem i du Hallem pędził ciągle co konie mogły wyskoczyć.

Na drodze tuż za Oświęcimiem most na rzeczce Souvray kazał rozrzucić, ażeby goniących zatrzymać.

Zbliżał się tymczasem coraz Tęczyński, który z licznego orszaku po drodze zgubił część większą, wiele koni padło, inne ustały ze znużenia. Podkomorzy tylko z kilku po tatarsku ubranymi i uzbrojonymi ludźmi biegł, co chwila się zbliżając i zyskując pośpiechem na królu.

Do Oświęcimia dobiegł właśnie, gdy oni wyjeżdżali z miasteczka. W Oświęcimiu Tęczyński zaalarmował ludność, kazał zawołać starostę i zażądał świeżych koni, gdyż te, które miał, już dalej iść nie mogły.

Podstarości dowiedziawszy się że uchodzącym był król, puścił się natychmiast na przelaj bez drogi, i dopadł wkrótce do zburzonego mostu.

Tuż za nim widać było uchodzących Francuzów. Sądząc że pomiędzy nimi król się znajduje, puścił się wplaw do rzeczki, wołając po łacinie.

— Najjaśniejszy panie! czego uciekasz? (*Serenissima Majestas, cur fugis?*)

Król zdaleka widząc brodzącego w wodzie z łaciną szlachcica, pomimo trwogi i znużenia nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale nie myśląc stanąć, biegł dalej.

Granica już była niedaleko, tam czuł się bezpiecznym. Przed nimi widać było Pszczynę.

Tęczyński na złamanie karku gonił Henryka, chcąc koniecznie go ubiedz; miał już przy sobie tylko czterech Tatarów z łukami i strzałami.

Postrzegłszy go coraz się zbliżającego Bellievre, który miał parę pistoletów w olstrach, jeden z nich dał Larchantowi, drugi Souvrayowi.

— Brońcie się, panowie — zawołał — mnie szpada wystarczy.

Wtem Francuz poznał dobrze sobie znanego podkomorzego.

— Jako przyjaciel czy jako wróg przybywasz? — krzyknął do niego.

— Jako wierny sługa króla! — odparł Tęczyński.

— Każde Tatarom łuki spuścić, bo do nas mierzą! — zawołał Bellièvre.

Podkomorzy krzyknął na Tatarów swoich, ale musiał im powtórzyć rozkaz nim go zrozumieli i usłuchali.

— Souvray! — począł zwracając się do niego — na Boga! muszę z królem mówić!

Henryk stanął poznawszy Tęczyńskiego. Ten chciał zsiąść z konia, ale król kazał mu pozostać jak był i zbliżyć się.

Podkomorzy, pomimo całego poszanowania jakie miał dla króla, poruszonym tak był i zropaczonym ucieczką, iż niebardzo mógł i umiał w początku ważyć słowa.

Silił się na to, aby nie wybuchnąć, lecz mimowoli wyrwały mu się wyrażenia, które tylko położenie nadzwyczajne i rozpacz mogła tłómaczyć.

Miłość jaką miał dla króla, pokładane w nim zaufanie, odpowiedzialność za ucieczkę jaka na nim ciążyła, Tęczyńskiego w szal niemal wprawiała.

— Najjaśniejszy panie — począł drżącym głosem — panowie senatorowie wysłali mnie za W. Król. Mością ogarnięci rozpaczą, iż nie zasłużyli na to abyś im zaufał i kraj ten umiłował, który cię za pana obrał.

Cześć nasza i W. Król. Mości domaga się tego, abyś nas nie opuszczał, abyś powrócił. Wystawiasz nas na niebezpieczeństwo, na pośmiewisko. Pomnij na złożoną nam przysięgę, która cię wiąże. Jeżeli nas opuścisz, a i tego za czem gonisz nie osiągniesz... królu... będziesz od ludzi wzgardzonym, brzydzić się tobą będą... *jak psem*.

Tęczyński mówił z namiętnością, i sam może nie wiedział jak mu z ust wyrwało się to pogardliwe słowo. Król zbladł straszliwie, ale milczał, tylko Bellièvre oburzony przerwał.

— Panie hrabio, król was zawsze miłował, a ty go za to psem zowiesz? (*te rex amavit plurimum, et tu illum canem vocas!*)

— Bóg mi świadek — krzyknął Tęczyński rozgorączkowany — nie do króla to stosowałem, ale do postępuku.

Łzy mu stanęły w oczach i łkanie przerwało mowę.

— Najjaśniejszy panie — wołał — ja jako podkomorzy, jako stróż osoby twojej, za ciebie odpowiadam. Ludzie mnie uczynią zdrajcą... a jam tem tylko zawinił, zem ci ufał i wierzył słowu twojemu.

Królu, zaklinam, błagam, wróć do nas, znajdziesz w tym kraju posłuszniejszych i wierniejszych ludzi, niż w tym, dla którego nas chcesz porzucić.

Henryk bez gniewu wysłuchał popłątanej i pełnej goryczki mowy Tęczyńskiego, który rzucał się, poruszał, krzyczał, prawie nieprzytomny.

On zachował teraz, pewnym będąc że go Tęczyński zatrzymać nie może, całą krew zimną człowieka, który nie dba o nic, oprócz by dokonał co zamierzył.

— Hrabio, przyjacielu mój — począł. — Jadę objąć to co na mnie dziedzictwem spada, ale się nie wyrzekam kraju, który mnie obrał. Bóg łaskaw dozwoli, że zachować potrafię korony obie; ale Francya pierwsza ma prawo do mnie, krew moja wiąże mnie z nią i zmusza ratować. Tam są pierwsze obowiązki.

Musiałem to uczynić com zrobił. Conde z ośmiu tysiącami rajtarów od Falcgrafa ciągnie do Francji. Matka mi pisze, że dwanaście tysięcy Helwetów czeka w Metz.

Brat mój d'Alençon i król Nawarry spiskują.

Henryk mięszał się tłómacząc i śpiesząc zakończyć rozmowę, gdyż Bellièvre i Souvray dawali mu znaki, obawiając się zdrady. Sądziło, że Tęczyński umyślnie przedłuża rozmowę, aby dać innym nadciągnąć i króla wziąć w niewolę.

Tęczyńskiemu rozżalonemu, zboliałemu, trudno było poprzestać mówić.

Począł znowu króla zaklinać.

— Hrabio, przyjacielu — odparł Henryk — zaręczam i przyrzekam najuroczyściej, najdalej za trzy miesiące powrócę do was.

— Panowie senatorowie — przerwał podkomorzy — strwożeni są, abyś w Wiedniu nie był wystawionym na pokuszenia cesarza, który starał się o tę koronę i nie omieszką frymarczyć aby ją dostać.

Z dobrze odegranem oburzeniem król dalej mówić mu nie dał.

— Korona ta jest mi równie droga jak dziedziczna — zawołał — nie myślę się jej pozbywać, a czuję siłę, abym obie dźwignął.

Tęczyński raz jeszcze, składając ręce, nalegać począł.

— Najjaśniejszy panie! Zlituj się, wróć! wróć! senatorowie zgodzą się na wyjazd ciebie godny, będziemy ci towarzyszyli.

Wtem Henryk przerwał zniecierpliwiony nareście, głos podnosząc.

— Panie hrabio, nadto już jestem daleko, abym się wracał. Gdyby całe wasze siły polskie stanęły tu, nie cofnę się, a pierwszemu, coby mnie śmiało do tego nakłaniać, mieczbym w piersi utopił!

Proszę was o jedno, zabierzcie ludzi waszych i jedźcie nazad, a miejcie staranie o tych sługach moich, którzy w Krakowie pozostali.

Rozpoczęła się tedy scena pożegnania, ze strony podkomorzego szczerza i łzawa, którą król conajprędzej chciał skończyć. Zbliżył się Tęczyński do Henryka płacząc i dobywszy tulicha z za pasa, uderzył się nim w rękę aż krew wytrysła, którą wyssał, przysięgając na nią, że królowi wiernym pozostanie.

Krół też, który do zakłucia ręki był nawykłym, bo krwią listy do kochanek pisywał, odplacił Tęczyńskiemu wzajemnością.

Hrabia na pamiątkę ofiarował mu bransoletę z kamieni rzeźbionych, prosząc o jakiś mały upominek.

Souvray copędzej chcąc to skończyć, zawołał, iż nie ladajaka ale jak najdroższa pamiątka należy podkomorzemu.

Henryk zdjął z palca pierścień z dyamentem kosztowny (1200 talarów) i podał go Tęczyńskiemu, który ciągle łkając i płacząc, rękę całując jego rozstał się nareście.

— Odemnie, panie hrabio — dodał Souvray — przyjmijcie zbroję, którą zostawiłem w mojem mieszkaniu na zamku w Krakowie.

Henryk skinął na swoich i natychmiast ruszył dalej ku granicy morawskiej, gdzie postawione przez Bellievrea konie i kolebka czekały.

Nie potrzebował śpieszyć z powrotem Tęczyński, wioząc smutną tylko odprawę, jaką mu dano.

Wszyscy ci co po Tęczyńskim wyjechali także chcąc napędzić króla: dwaj marszałkowie koronny i litewski, starosta krakowski, kasztelanowie czerski i gdański, wielu szlachty ochotników, razem kilka tysięcy koni, przekonawszy się, iż Henryka nie potrafią doścignąć, od Zatora i Oświęcimia powracali.

Podkomorzy ciągnął nazad, wiedząc co go w Krakowie czeka. On, biskup kujawski, Zborowscy mieli wiele do zniesienia, im przypisywano wszystko złe.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, podkomorzy musiał się udać na zamek, aby zdać sprawę królownie z rozmowy swej z królem, z jego uroczystych przyrzeczeń, którym teraz nikt wierzyć nie chciał. Sam Tęczyński, chociaż starał się Henryka bronić i niewinniać, w duszy swej mało miał nadziei, aby na niego rachować można.

Gdy króla nie stało teraz, a sprawy jego, tryb życia i postępowanie w Krakowie zaczęły na jaw wychodzić, charakter też Henryka odsłaniał się z całą swą przewrotnością, lekkomyślnością i zepsuciem.

Tęczyński jednak milczeć musiał i choć dla własnej godności stawać w jego obronie.

Anna z ciekawością, której nie ukrywała oczekiwała na podkomorzego. Nazajutrz po powrocie stawiał się u niej.

Anna, pani krajczyna, kilka starszych pań wyszły naprzeciw niemu. Liczny fraucymer, nie mogąc do sali się wcisnąć, pozostał pode drzwiami.

Gorączka i rozdrażnienie jeszcze nie opuściły biednego Tęczyńskiego, łączył się z niemi tylko teraz wielki żal do króla. Na twarzy zwykle spokojnej i wesołej podkomorzego widać było znużenie podróżą i doznany zawodem.

— Naprawdę puściłem się za królem — rzekł smutnie — tyle tylko że go widziałem raz jeszcze, alem ani zakłęciami, ani prośbami, ani groźbą wymódz na nim nie potrafił, aby powrócił. Obiecał wprawdzie, że za trzy miesiące najdalej przyjedzie do Polski, ale...

Tęczyński spuścił głowę i nie dokończył; nie chciał przyznać, że już ani przyrzeczeniom, ni przysięgom nie wierzył.

Zaczął potem opisywać szczegółowie pogon swą, w której z kilkudziesięciu towarzyszków ledwie czterech mu pozostało gdy Henryka dognał.

Powtórzył potem rozmowę swą, słowa króla i wspomniał o tem, że w końcu napomknął mu o listach, które zostawił do panów senatorów.

Zarumienił się mówiąc to Tęczyński, bo nie śmiał powiedzieć prawdy, że listów tych napróżno szukano we wszystkich pokojach, i że je przypadkiem odkryto w małym wychodku, w czeluści pieca ukryte.

Królewna sądząc, że i do niej pismo powinien był zostawić, zarumieniła się mocno. Nie śmiała sama zapytać o to. Podkomorzy się domyślił pytania tego i zręcznie odpowiedział na nie.

— Sądziłem — rzekł — że między listami, które nie bez trudności dobrze ukryte znaleźliśmy nareście, będzie i pisanie jakie do W. Kr. Mości, ale żadnego nie było.

Królewna przerwała głosem drżącym.

— Jam się żadnego nie spodziewała, a Henryk teraz nadto jest swoją francuzką koroną zajęty, aby o polskiej mógł pamiętać. Bóg jeden wie przyszłość, mnie się zdaje, iż wmość na niego niewiele rachować możecie i że wprędce za nowym królem obejrzyć się będziecie musieli.

— Juści my go prawie jednozgodnie obrali — odezwał się podkomorzy — nauczeni popełnionym błędem, powinniśmy byli W. Kr. Mość wybrać sobie, zaczemby wszystko, przy błogosławieństwie Bożem, lepiej poszło.

Rumieniec znowu wypłynął na lice zbladłe Anny.

— O mnie nie myślcie — rzekła z godnością — ale o tej osierocoonej Rzeczypospolitej, która dziś tak jak wdową jest, bo ma króla a pozostała bez niego.

Ja wam z sobą nic przynieść nie mogę, a rychlejby oczy wasze zwrócić się powinny na tego, którego ja jak własne uważam dziecię, na małego Zygmunta, synaczka siostry mojej. Toć także Jagiellońskiej, choć po kądzieli, krwi potomek, a z nim takby wam Szwecya przyszła, jak z nami niegdyś Litwa.

— Mały jest jeszcze i nieletni — odparł Tęczyński — nam pilno, choćby dla wojny z Moskwą, dzielnego rycerza i wodza potrzeba, inaczej, to co nam już zabrano przepadnie, a i dalszych zaborów nie unikniemy.

Mówili znowu o Henryku, a królewna z dobrego serca wspomniała o Francuzach, którzy w wielkim strachu napaściom rozżalonego ludu zaledwie się oprzeć mogli, prosząc, aby ich oszczędzano.

— Król mi ich także polecił — rzekł Tęczyński — mieć będę o nich staranie, choć pospółstwu się dziwować nie mogę, bo i w naszych piersiach żal i ból zmysły nam mięsza.

Odszedł opowiedziawszy wszystko podkomorzy, a gdy się za nim drzwi zamknęły, królewna długo siedziała sparta o stół, zadumana, nie mówiąc ani słowa.

Żegnała się z marzeniami swemi, dziwiąc teraz, że je kiedykolwiek powziąć i tak długo trwać w nich mogła. Z tą samą siłą, z jaką w początku przywiązała się do Henryka, oddała całe serce swe siostrzeńcowi.

Chciała mu być przybraną matką, opiekunką i wszystko poświęcić, aby jego a nie kogo innego na tron wprowadzić.

Z posłuchalnej sali udała się powolnym krokiem do sypialni, padła przy klęczniku, złożyła ręce i rozplakawszy się, w duszy powtarzać zaczęła — Zygmunt! Zygmunt!

Ofiara dokonana została.

Codzień teraz jakby na pokuszenie królewnej odzywały się głośniejsze żądania wszystkich, aby nie kogo innego obrano tylko Annę królową, a przyszłemu panu zaślubienie jej położono za warunek.

Pochlebiali to spóźnione praw jej uznanie Annie, ale po ciężkiej próbie, jaką przebyła, prawie obojętnie przyjmowała te dowody przywiązania do dynastji.

Na myśli miała teraz Zygmunta.

Mało kto się ludził powrotem Henryka, a stronnictwo rakuzkie nowe powziąwszy nadzieje, krzątało się już czynnie, prawie pewne tego, iż większość mieć będzie za sobą.

Cesarz nawet tak dalece był spokojny o to, tak się ubezpieczył, że zbytnich nie myślał czynić zabiegów. Obawiano się, aby Henryk wprost nie sprzedał praw swoich do korony księciu Ferrary, o czem wkrótce potem poszły pogłoski, lub ich nie ustąpił bratu

d'Alençonowi, którego rad się był pozbyć. Lecz w Polsce o takim frymarku słyszeć nie chciano.

Stronnictwo królowej potężniało i rosło, chociaż ona sama bynajmniej się o to nie starała.

W kilka miesięcy po ucieczce Henryka dwór i Anna wybierała się do Warszawy. Czyniono przygotowania do podróży.

Talwosz jednego dnia stanął, jak dawnych czasów, w progu królowej.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Przyniósł jej z sobą wspomnienia smutnych i ciężkich chwil, przeszłych bezpowrotnie.

— Cóż ty mi powiesz? — odezwała się przystępując do niego. — Mówiono mi, że miałeś ochotę powrócić na Litwę?

— Sam nie wiem — cichym głosem rzekł Talwosz i westchnął. — Mam prośbę do W. Kr. Mości.

— Radabym ci ją nie słuchając nawet uskuteczniła — odezwała się Anna.

Chwilkę namyślał się Litwin, jakby mu ciężko było się tłumaczyć.

— Wiadomo W. Kr. Mości — rzekł po namyśle — jak dawno i wiernie miłowałem Zagłobiankę. Nie poszczęściło mi się z nią, niestety! Taka była wola Boża!

Dzięki opiece W. Kr. Mości panna Dorota przychodzi do zdrowia. Choć ja jej nie widuję, bo wiem, że widok mój przyjemności jej nie uczynił, wiem od innych, że się ma lepiej.

Anna poruszyła rękami.

— A, mój Talwoszu — rzekła — życie wprawdzie uchowało się, ale co się z nią stało biedną! Jak zmieniona na ciełe i na duszy, jak upokorzona i znękana, tego ludzki język nie wypowie.

— Bądź co bądź — począł Litwin — ja trwam w mojem dla niej przywiązaniu i własnie łaski i pośrednictwa W. Kr. Mości przychodzę prosić, bo pragnę ją poślubić.

Pojedziemy na Litwę, tam jej nikt nie zna, nikt nie wie co się stało, a ja tej przeszłości pamiętać nie będę.

Pokłonił się Talwosz.

— Przemówcie za mną — rzekł do królowej, która stała zamyślona.

— Uczynię to chętnie — odezwała się Anna — chociaż z góry przewiduję, że się to na nic nie przyda.

— Niech mi pozwoli chwilę rozmowy z sobą — dodał.

— Przyjdź jutro po odpowiedź.

Nazajutrz krajczyna przychodzącemu Litwinowi dała znać, że z Dorotą się widzieć może.

W ciągu tych kilku miesięcy Talwosz dowiadywał się tylko o nią, ale jej nie widział wcale. Wszedł do komnaty przyciemnionej z bijącym sercem.

Przed nim stała w ciemnej sukni, jakby zakonnego kroju, blada i zmieniona do niepoznania, jakby jej nagle lat dziesięć przybyło, Zagłobianka.

Twarz miała przerażającą wyrazem jakiejś rezygnacyi trupiej, ostygłej, obumarłej.

— Chcieliście widzieć się ze mną — poczęła pierwsza — a ja też wam za ocalenie życia pragnęłam podziękować. Jesteście dobroczyńcą moim, boście mi dali czas do pokuty.

— Panno Doroto — głosem przejętym uczuciem odezwał się Talwosz — nie mówmy o przeszłości. Ja przychodzę was prosić, abyście mi podali rękę do ołtarza.

Spojrzała na niego wejrzeniem długim Dosia i poczęła głową poruszać.

— Sądzisz, że przeszłość można zmazać i zapomnieć? Myślisz, że dosyć jest powiedzieć jej: precz! aby odeszła na zawsze? A! nie... nie... przyjacielu! Wsiąka ona w całą istotę naszą i przejmuję do kości. Ja szczęśliwą nigdy być nie mogę, a tobiebym szczęścia nie przyniosła. Nie, nie...

— Panno Doroto, jeśli uznajecie, żem wam wiernie i poczciwie służył — dodał Talwosz — należy mi się zapłata, bądźcie moją! Proszę was, błagam! Pojedziemy na Litwę, do matki mojej. Siądziemy w cichym zakątku; wierzcie mi, nigdy słowem, niczem te nieszczęśliwe przebyte czasy się nie przypomną.

Przykląkł przed nią. Dosia obie ręce wyciągnąwszy zmusiła aby się podniósł.
— Nie mogę — rzekła — nie mogę. Serce mi wyszło! Nie wierzę w nic, nikomu,
nie chcę się nic spodziewać.

Łzy się jej z oczów puściły.

— Dlaczego wam o tem nie powiedziano — odezwała się ocierając je — ja oddawna
postanowiłam do klasztoru wstąpić, i gdy królowna do Warszawy, ja do Nowego Sącza
pojadę. Dałam w duszy słowo Bogu i nie złamię go.

Wierz mi, Talwosz, tak lepiej, to był jeden koniec, który serce uspokoić może... grób!

Napróżno Litwin wszelkimi sposobami starał się ją sam i przez królownę nakłonić,
aby postanowienie zmieniła. Dorota pozostała przy swym ślubie niewzruszoną.

W kilka dni potem krajczyna i Żalińska towarzyszyły jej do Nowego Sącza, gdzie
królowna wychowawicy swej przyjęcie zapewniła.

Talwosz natychmiast potem ruszył na Litwę i tam się na wsi zagrzebał.

Annę Jagiellonkę czekały jeszcze w dziwnie wiążącym się życiu nowe nadzieje i zawody.
Wybrana królową, zostawszy żoną Stefana Batorego, w czasie panowania jego żyła w ciszy,
na ustroni, wśród małego kółka, jakie sobie stworzyła.

Śmierć męża, nagła, przedwczesna, rozbudziła, odżywiła nadzieje wprowadzenia na
tron siostrzeńca, do którego, nie znając go, coraz się mocniej przywiązywała.

Niema wątpliwości, że jej staraniom i zabiegom Zygmunt III. wybór swój był winien.
Przyjęła go przybywającego jak dziecię własne, on kochał ją i szanował jak matkę.

W tem złudzeniu macierzyństwa dożyła do końca, i serce jej nareście znalazło kogoś,
komu całe oddać się mogło.

Drezno, 1884.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/infantka>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Infantka: powieść historyczna* (Anna Jagiellonka), tom III, Kraków: Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], 1884 (Kraków: W. L. Anczyc).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0436-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.